

DOM BURZ

IAN R. MACLEOD

DOM BURZ

PRZEŁOŻYŁ WOJCIECH M. PRÓCHNIEWICZ

**WYDAWNICTWO MAG
WARSZAWA 2008**

Tytuł oryginału:
The House of Storms

Copyright © 2005 **Ian R. Macleod**

Copyright for the Polish translation
© 2008 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:
Maria Rawska

Korekta:
Urszula **Okrzeja**

Ilustracja na okładce:
Steve Stone

Projekt graficzny serii:
Piotr Chyliński

Opracowanie graficzne okładki:
Jarosław Musiał

Projekt typograficzny, skład i łamanie:
Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-7480-079-2
Wydanie I

Wydawca:
Wydawnictwo MAG
ul. **Krypska 21 m.** 63, 04-082 Warszawa
tel. (22) 813-47-43, fax (22) **813-47-60**
e-mail kurz@mag.com.pl
www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:
Firma Księgarska Jacek Olesiejuk **Sp. z o.o.**
ul. Poznańska **91**, 05-850 Ożarów **Maz.**
tel. (22) **721-30-00**
www.olesiejuk.pl

Druk i oprawa:
drukarnia@dd-w.pl

*Serdeczności dla Heather i Johna;
i dziękuję, że pozwoliliście mi użyć tej nazwy.*

CZEŚĆ I

1

Arcycechmistrzynie Alice Meynell jechała z synem do Invercombe i była najzupełniej pewna, że wiezie go na miejsce śmierci. Nie, nie straciła nadziei - nadziei wciąż się zawzięcie trzymała - ale przez lata choroby Ralpa odkryła w zwykłych słowach odcienie znaczeń, których istnienia wcześniej ledwo się domyślała.

Wyglądała z okna pociągu, który wytaczał się z Bristolu. Był chłodny szary poranek, wciąż obrzeżony nocą, Ralph dygotał pod kocami, usta miał sine. Najpierw jechali nocnym pociągiem z Londynu, a teraz ów z wyglądu porządny, lecz lodowaty w środku samochód wiózł ich wzdłuż wewnętrznych podwórzy pobłyskujących tandetą miasta, które zawsze było jej bardziej obce niż choćby najdalsze rubieże kontynentu. Tramwaje poruszały z szumem pałakami składającymi nad ulicami swe końce jak rozmodlone dłonie. A te budynki! Festony koralowego kamienia hodowanego i mutowanego przez mistrzów budowlanych przypominały jej ulepione z mąki i wody maskary z ciasta. Wszystko się zakrzywiało, skręcało, różowe i błękitne, jakby nadal rosło - niczym eksplozja w żłobku. Jakże różniło się od uporządkowanej siatki Northcentral! W eleganckich dzielnicach wokół tamy Clifton fantastyczne domy powoli budziły się do życia, a wśród gasnących z pobłyskiem latarni chodnikami do pracy spieszyli służący. Wtem, tak raptownie, jak to się nigdy nie zdarza w Londynie, znaleźli się wśród pustych pól.

Ralph pierwszy raz widział Bristol i ledwo zdążył nań spojrzeć. Mimo że miasto leżało nieopodal celu ich podróży, Alice się zastanawiała, czy jej syn kiedykolwiek jeszcze je zobaczy; ostatnio takie myśli budził w niej niemal każdy nowy widok. Wzdrygnęła się. Zegar, przyspieszony i rozgorączkowany jak jego puls, tykał przez cały czas. Londyn, potem Bristol, teraz ten rozfalowany krajobraz, oświetlane lampami pociągu, nietknięte jeszcze świtem bezlistne szpalery krzewów.

Przedtem, jeszcze przedtem... Baden, potem Paryż, jakaś miejscowość w górach. Gabinety lekarzy. Blask fiolek. Błysk binokli. Wszeptywane na próżno zakłęcia. W jej wyobraźni miesiące i pracokresy zlewały się

niekiedy w jedną długą chwilę, rozpoczynającą się letnim popołudniem na londyńskich Wzgórzach Latawcowych - był to Dzień Motyla; już nigdy w to święto nie poczuła się tak jak wtedy - gdy Ralph podbiegł do niej, zaczął kaszleć, a wśród kropelek śliny na jego dłoni dostrzegła krwawe punkciki. Odtąd wyglądało to jak nieprzerwana ucieczka, czas spędzany w licznych naprawdę pięknych i ciekawych miejscowościach wydawał się jedynie przerwą na złapanie oddechu przed kolejnym biegiem. Znużyłoby to nawet zdrowe dziecko - ona też czasem czuła się znużona. I wszystko po to, by się dowiedzieć, że takie słowa jak „nadzieja” dają się dzielić na nieskończone odcienie i niuanse, coraz słabsze, aż tracą znaczenie. Lecz teraz, wyjeżdżając z doliny, gdy wschodzące słońce niespodziewanie wysunęło się zza ściany szarych chmur i zakreśliło strzępkami mgły, zmierzali do Invercombe, które będzie ich ostatnim bastionem.

Ralph oddychał teraz regularniej. Słońce oświetlało mu twarz i Alice dostrzegła lśniący w świetle nowego dnia gęstniejący puch na jego policzkach. Choć choroba nie pozwoliła mu na normalne dzieciństwo, już stawał się mężczyzną.

Wyczuwając zmianę w jej spojrzeniu, odwrócił się ku niej. Na górnej wardze miał kropelki potu.

- Długo się tam jedzie?
- Nie wiem, skarbie. Nigdy tam nie byłam.
- Powiedz jeszcze raz. Jak to się nazywa?
- Invercombe.

Skinął głową i znów zapatrzył się w okno. Na szybie pulsowała mgiełka oddechu z jego ust.

- Więc tak wygląda Zachód.

Alice uśmiechnęła się i ujęła syna za rękę, gorącą i lekką. Teraz, skoro słońce już naprawdę wstało, zaczęła sobie przypominać, jak piękny, nawet w **późnozimowy** poranek, **potrafi** być krajobraz Zachodu. Wzgórza wysuwały się jedno zza drugiego - czy za którymś kolejnym ukaze się morze? Niezbyt znała zachodnie ziemie. Nic ponad miasteczka o fasadach z mellitu, gdzie w młodości beczynn timer trawiła popołudnia, siedząc na walizce i czekając na pociąg. Ralph wydawał się jednak zadowolony, patrzył na drogę biegnącą w dół z boczem ku rzece i dalekim wzgórzom Walii. Londyn, kilka spędzonych tam dni, gęsta mgła i niekończąca się bieżąca, zacierały się już w pamięci. Tak, Invercombe wydawało się odpowiednie, ze wszystkich tylekroć wyliczanych w myślach powodów,

a poza tym coraz bardziej czuła, że to miejsce niejasno, acz znacząco przemawia do niej.

- Naprawdę nie masz pojęcia, jak tam jest? - mruknął Ralph.

- Nie, ale...

Ralph odwrócił się z powrotem do niej i razem wyskandowali zdanie, które wypowiadali zawsze, gdy przybywali w jakieś nowe miejsce:

- Zaraz się okaże...

Drzewa się rozstały, ukazując wysoki zewnętrzny mur z małą stróżówką i długą wewnętrzną aleją, dalej po prawej za parkiem prześwitywał jakby zameczek czy ruina, a jeszcze dalej porośnięta niby lipami i zimozielnią ziemia wznosiła się ku przysadzistej latarni morskiej. A nie, to jest zapewne wiatroster.

Alice zrobiła rozeznanie i wiedziała, że Invercombe istnieje od bardzo dawna. Ów nadmorski przyczółek u ujścia Severn zapewne ufortyfikowali już Rzymianie, i z pewnością stał tu mały zamek, który złupili wojska Cromwella. Potem nadszedł czas, gdy angielski krajobraz raz jeszcze spłynął krwią, po tym jak samotny obsesjonat Joshua Wagstaffe wyekstrahował ze zbieranych przez całe życie kamieni nieznaną dotąd substancję. Nazwał ją eterem, od piątej formy materii, której domyślał się Platon; jej poszukiwanie niebawem stało się obsesją Wieku. Eter nakłania zboże do rodzenia wielkich jak cebryki kłosów na ziemiach, które dotąd rodziły głównie plewy. Eter sprawia, że kręcą się zamarzniete osie. Eter pozwala naginać materię świata. A przede wszystkim eter stanowi potęgę, a cechy rzemiosł rozumiały to najlepiej i w swych walkach z królem i Kościołem użyły go, jakby od zawsze do nich należał.

Po krwawej rzezi tak zwanych wojen zjednoczeniowych, u zarania pierwszego z Wieków Przemysłu, Invercombe odbudowano, już nie jako zamek, lecz elegancką, przesyconą nowym bogactwem i możliwościami eteru rezydencję na tym chwiejnym płaskowyżu; prawdziwy kamienny klejnot. Przez pokolenia zamieszkiwała ją rodzina Muscoates, dopóki ich gwiazda nie przygasła, kiedy dom stał się częścią ugody upadłościowej i przeszedł pod władanie Wysokich Cechów. Stał się zaledwie jedną z wielu inwestycji, jednym z wielu udziałów przechodzących mimochodem z testamentu do testamentu, z małżeństwa do małżeństwa, aż wreszcie pod koniec Trzeciego Wieku dostał się Cechowi Telegrafistów,

choć wątpliwe, by kiedykolwiek powstała tam noga kogoś z arcycechmistrzów. Niemniej losy rezydencji meandrowały dalej i znaleziono dla niej użytek: ośrodek rozwoju technologii, która miała się stać cudem i rogiem obfitości obecnego Wiek. Oczyszczono stary kanał młyński i postawiono nad nim generator zaopatrujący **Invercombe** w elektryczność. Potem zainstalowano nowoczesną jak na ten czas maszynę obliczeniową, a na skraju posiadłości wzniesiono małą, ale sprawną stację nadawczą. Prowadzone tam prace zrodziły nowy rodzaj elektrycznego telegrafu, który nie potrzebował już **wykwalfikowanych** telegrafistów łączących się umysłami - dzięki niemu zwykli cechowi, o ile byli dostatecznie bogaci, mogli po prostu rozmawiać tak, jakby siedzieli twarzą w twarz. Ten wielki wynalazek, nazwany telefonem, odmienił oblicze świata. Lecz Invercombe raz jeszcze znalazło się w cieniu sławy i ludzkiej pamięci. Salony, porzucone w chaosie wieńczącym ostatni z Wieków Przemysłu, dryfowały przez historię, aż wreszcie zostały nadane w dożywotnią dzierżawę pewnemu starszemu mistrzowi, niejakiemu Ademusowi Isumbardowi Porrettowi.

Invercombe było wówczas na wpół zrujnowane i poważnie zagrożone przez fale podmywające klif pod jego fundamentami, ale starszy mistrz Porrett energicznie zabrał się do remontu. Alice widziała stuletnie dokumenty świadczące o odbudowie dachu, naprawie generatorów, rekonstrukcji tarasów, założeniu od nowa wielu ogrodów. Starszy mistrz Porrett postarał się nawet nadać brzydkiej stacji nadawczej kształt imitacji zamkowych ruin, aby nie psuć krajobrazu. Według Alice zakres tych robót był dziwnie duży jak na zaledwie dożywotniego dzierżawcę - ale **niewyklejszą** z przeróbek Porretta było wzniesienie wiatrosteru, którego ceglana wież z mosiężną kopułą widzieli teraz, stojącą jak przysadzista latarnia morska na południowym zboczu wzgórza, ponad kanałem. Mistrzowie żeglugi dzięki takim urządzeniom potrafili lepiej wykorzystywać siłę wiatru, ale pomysł, by posadzić je na łądzie i sterować klimatem całej doliny, uznała za niezwykle wręcz ambitny.

Samochód zatrzymał się z szurgotem na półkolistej połaci omszałego żwiru. Alice wprawnym okiem osoby przyzwyczajonej do wizyt w nieznanym miejscach otaksowała wysokie okna i kominy, eleganckie zwieńczenia, misternie wryte na szybach wzory. Dom był ładniejszy, niż sobie wyobrażała.

Gestem poleciła szoferowi, aby poczekał, i zerkając na zegarek - była za piętnaście ósma - podeszła do frontowych drzwi. Pociągnęła za dzwonek. Pracokres czy dwa temu wysłała informację, że przyjeżdżają, ale, jak to miała w zwyczaju, nie podała konkretnej daty i godziny. Zwykle w takim momencie zza drzwi wyglądała przestraszona twarz jakiejś na wpół odzianej pokojówki. Odkąd wyszła za męża za arcycehmistrza Toma Meynella, rozpoczęła małą, prywatną krucjatę na rzecz należytego zarządzania wszystkimi posiadłościami cechu. I dlatego właśnie jej uwagę zwróciło **Invercombe**, stosunkowo niewielka rezydencja, ale długie kolumny liczb pod tą nazwą wskazywały, że chłonie pieniądze jak gąbka. Jak Alice wyjaśniono, koszty szły głównie na ów lądowy wiatroster, zbyt potężny, by go bez ogromnych nakładów wyłączyć. Alice postanowiła zachować Invercombe, choć sama nie potrafiła określić dlaczego. A teraz stała u jego drzwi, Ralph marzył w samochodzie i nic się nie działo. Przez nagie drzewa prześwitywała **zielonkawozłota** kopuła wiatrosteru. Westchnęła i przycisnęła palcem drgającą powiekę prawego oka. Już miała drugi raz pociągnąć sznur dzwonka, gdy coś usłyszała, a raczej wyczuła za plecami czyjąś obecność. Powoli odwróciła się, spodziewając się, że to złudzenie wywołane zmęczeniem. Lecz stała tam potężna Murzynka.

- Pani arcycehmistrzynie, witamy w Invercombe - powiedziała i dygnęła. —Nazywam się Cissy Dunning i jestem tu **ochmistrzynią**...

2

Ralph był, jak zawsze, najważniejszy. Znalazła mu najlepszy pokój o najlepszym powietrzu, ze stuletnimi, ale niemal nieużywanymi meblami i ładną boazerią. Olbrzymi **zielonozłoty** materac w łóżu z baldachimem nawet jej wydał się w miarę czysty, okna wychodziły na południowy zachód, a w kominku już trzaskał przyzwoity ogień.

Wypatrzyła wygodną sofę i kazała ją przenieść do pokoju Ralpha, żeby mieć gdzie usiąść, a w razie konieczności także spędzić noc. Wszystko trzeba było posprawdzać, **poprzesuwać**, przewietrzyć, poustawiać, poprzeglądać, **powyjaśniać**, pozałatwiać. To potrwa nie godziny, lecz dni całe. Ochmistrzyni wyglądała jednak na kompetentną i nie dawała się wyprowadzić z równowagi, mimo że była kobietą i Murzynką, a jej podwładni, jak się zdaje, znali się na swej pracy, choć nie wyglądało, by ten

cały wiatroster w najdrobniejszym stopniu zmieniał mroźną pogodę. No i ta wymowa! Te drobne niuanse ich zachowania, ich strojów, delikatny, obcy posmak wody, który jej dziwnie odpowiadał, a nawet jakby wzbogacał smak herbaty. Nic właściwie nie było tutaj takie samo i Alice niemal wyczekiwała, kiedy w pozornej sprawności mechanizmu Invercombe pojawi się jakaś luka, a wtedy ona łatwiej narzuci własną dyscyplinę tym ludziom.

— No i...? Co sądzisz?

Siedziała przy Ralphie, na jego łóżku. Był późny ósmkowy ranek, czwarty dzień ich pobytu tutaj; ogień mienił się delikatnie. Spełniono już chyba wszystkie jej zarządzenia dotyczące spraw codziennych i niezbędnych i znalazła się w dziwnej sytuacji. Niewiele pozostało do doglądania. Na zewnątrz szarzał kolejny ponury dzień.

Ralph się uśmiechnął. Póležał w łóżku, niemal całkowicie ubrany. Spał dobrze już trzecią noc.

- Podoba mi się. Podoba mi się tutejsze powietrze. Kiedy pozwolisz mi się rozejrzeć po wszystkim?

- Niebawem. — Rozradowana, ścisnęła go za rękę. — Ale nie możemy się spieszyć. Ledwo dwa pracokresy temu... — Przekłęte londyńskie powietrze. Ralph mamroczący, że palą go kości. Nieco tej słabości przetrwało aż do teraz. Pochyliła się i ucałowała go w policzek, czując pod wargami młodzieńczy puch. Uśmiechnęła się i wyprostowała. - Sprowadzę twoje książki.

Choć przybyło już wiele rzeczy, które na początku poleciła wysłać z Londynu, podręczniki, dzięki którym doglądała edukacji Ralphi, jeszcze nie dotarły. Jednakże zmarły lata temu starszy mistrz Porrett swą zadziwiająco dobrze wyposażoną biblioteką najwyraźniej wyszedł na przeciw jego potrzebom. Książki były stare, lecz Alice, rozłamując przy otwieraniu ich dziewicze grzbiety, wywnioskowała, że przez cały obecny Wiek niewiele istotnego dodano do sumy ludzkiej wiedzy. Studiowanie pięknych, ręcznie kolorowanych rycin kwiatów, zarówno naturalnych, jak i eterowo modyfikowanych, ich szczegółowych łacińskich opisów oraz kaskadowych ilustracji przedstawiających skały, na pewno przysłuży się Ralphi, kiedy wstąpi do Telegrafistów i zacznie prawdziwą pracę, choć Alice nigdy nie rozumiała tej męskiej potrzeby katalogowania.

- Czemu się tak uśmiechasz? - zapytał.

- Bo planuję. Zastanawiam się kiedy, a nie czy. Po prostu cieszę się, że ty się cieszysz.

Popatrzył na nią podejrzliwie.

- O ile ty też jesteś szczęśliwa. --Głos mu się załamywał, to był niski, to wysoki.

- Ależ jestem.

Miejscowy lekarz, niejaki Foot, zdążył już ją odwiedzić ze swą wścibską małżonką, podobnie wielebny wyższy mistrz Humphry Brown, proboszcz. W niedzielne poranki chodziła oczywiście do kościoła, jak każda szanowana cechmistrzyni, ale przez lata usłyszała już zbyt wiele modlitw i pieśni. Znała etapy, przez jakie przechodzą matki suchotników. Ogromna udręka towarzysząca odkryciu choroby ustępuje pragnieniu pojechania wszędzie, uczynienia wszystkiego. Dopiero po latach pojawia się przepelniona poczuciem winy świadomość, że w ten sposób tylko przysparza się dziecku cierpienia. Naturalnie, zdarza się, że suchoty ustępują, ale jedynym znanym sposobem ich złagodzenia jest wypoczynek i świeże powietrze. A ty dalej podróżujesz, dalej się niepokoisz, dalej rzucaś się w niestrudzony pościg za najświeższym powietrzem i najpełniejszym wypoczynkiem. Okresy pogorszenia i poprawy zdrowia dziecka stają się gwiazdą, na którą orientuje się całe twoje życie. W miejscowościach uzdrowiskowych i sanatoriach całej Europy widziała wiele przypadków, w których ten pościg trwał do śmierci dziecka albo zachorowania matki. Lecz impuls każący jechać do Invercombe był jasny i nieodwołalny. Nie czuła ani odrobiny zwykłych wątpliwości.

Podłożyła synowi dodatkową poduszkę pod botaniczną książkę i zostawiła go przy lekturze. Na korytarzu spojrzała na zegarek. Już prawie południe. Daleko w Londynie jej mąż Tom zapewne zmierza na lunch do swego klubu. W tym zaduchu, podobnym do londyńskiego powietrza na zewnątrz, ale dziesięć razy gęstszym, nad czerwonym winem i obfitymi posiłkami, przy snookerze, wśród tych samych kiepskich żartów i uśmiechów wymienianych między tymi samymi ludźmi w ich krzesłach z wysokimi oparciami, odbywała się większość prawdziwej pracy Wysokich Cechów. Postanowiła, że jeszcze przed lunchem zatelefonuje do niego. Ale najpierw musi doprowadzić się do porządku.

Na podeście skrzyła do swojego pokoju, położonego pod kątem prostym do pokoju Ralpha, z oknami wychodzącymi na balkon chwiejnie zawieszony nad wielką zatoką. Invercombe miało wiele takich niespodzianek, załamujących się pod dziwnym kątem korytarzy i otwierających się znienacka widoków na ląd lub wodę, a po tej stronie domu morze było tak blisko, że nie można było znieść myśli o nieustannym

podmywaniu fundamentów przez silny **przybój**, ale wszystko to dawało niezaprzeczalnie przyjemne uczucie. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy dziwny komfort, jaki tu czuje pomimo ciągłego chłodu na dworze i nisko wiszącego szarego nieba, nie jest pierwszym z objawów budzącego się wiatrosteru. Przywitano ich tu tak spokojnie: gdzie indziej nadskakiwano by im nieznośnie, by potem ulokować w cuchnących moczem łóżkach. Wszelkie podejrzenia, jakie żywiła w stosunku do Invercombe, okazały się bezpodstawne.

Otwierając drzwi balkonowe, **strząsnęła** z ramion zieloną jedwabną suknię. Dotarli już prawie wszystkie jej kufry, ubrania rozpakowano i włożono do szaf. Na stoliku przy oknie stała, połyskując od **fal** morskich, czarna skrzyneczka z laki - gramofon. Zakręciła jego talerzem, zdjęła kolczyki i krokiem walca, raz-dwa-trzy, przemierzyła lśniąca podłogę. Dotknęła stalowych zamków kuferka, na jednym oddechu wyszeptła zwalniające je zakłęcie. Dwa akcentujące muzykę szczęknięcia - i jego boki rozwinęły się, ukazując aksamitną kryjówkę. Był tam olejek z bergamoty, z ogrzanych słońcem soków drzew cytrusowych. Były przypominające wosk destylaty z ambry, ziem rzadkich, były zawierające ołów. Podróże szkodziły zawartości kuferka, tak jak dobremu winu, lecz Alice, odkręcając żłobkowany słoik chłodnego kremu i nakładając go wełnianym puszkciem na twarz, poczuła, że w Invercombe wszystko się już powoli stabilizuje. Aromaty pszczelego wosku, migdałów, nutki wody różanej mieszały się z zapachem szumiącego morza, a ona, ubrana w halkę, obracała się w rytm muzyki, raz-dwa-trzy, przed wysokimi lustrami garderoby.

Przyjrzała się sobie z lewa i z prawa. Szczęka, szyja, profil, pozbawiona wieku twarz i figura kobiety wciąż stuprocentowo pięknej, choć może nie całkiem młodej. Stopy lekko stąpają na palcach. Jędrne biodra i biust. Alice. Alice **Meynell**. Włosy, które zawsze były bardziej srebrne niż blond, wciąż mogła sobie pozwolić nosić długie i rozpuszczone. Wysokie, klasyczne czoło. Szeroko rozstawione niebieskie oczy. Jeden wielki szczęśliwy traf. Ludzkie ciało, nic więcej, rozwieszzone na przypadkowych kościach.

Nucąc, wyciągnęła srebrną lampkę spirytusową, przytknęła świeczkę do jej knota i białym płótnem przetarła szklany kielich. Płyta potrzaskiwała w ostatnim rowku. Nastawiła ją jeszcze raz, potem podgrzała kielich delikatnym ciepłem lampki, dodała olejków, parę kropel spirytusu, tynktur i balsamów oraz greckiego miodu. Zamieszała łyżeczką z kości

wielorybiej, maź nabrała piennej lekkości, czyniącej ją bardziej chłonną na ostatni składnik – najczystszy z najczystszych eter. Alice, wciąż nucąc, tańcząc, wyciągnęła z tajemnych czeluści kuferka małą fiolkę i wyszeptawszy zaklęcie, które nasiliło dziwoblask, ścisnęła pipetę i uniosła rozjarzoną buteleczkę ku oczekującemu kielichowi. A teraz wyśpiewała głosem podobnym do dźwięku fietu główne wersy zaklęcia – dźwięki niegdyś dopracowane przez nią z zapalem najgorliwszego z paromistrzów. Zatętniła ciemność. Skończył się zaśpiew. Kropelka spadła. Elixir napełnił się energią.

Alice usiadła przy toalecie i rozmasowała policzki. Potem umoczyła końce palców w miksturze i zaczęła wcierać ją w skórę twarzy, zawsze ruchem ku górze. Poczowała przyjemne mrowienie. Trzask, trzask – odezwał się gramofon na końcu płyty, dołączając do delikatnego poszumu fal uderzających o klif daleko w dole i całej życiowej gonitwy, która przywiodła ją do tej chwili, do tego zaklęcia, do tego miejsca. Rozciągnęła wargi i mrugnęła do lustra. Następnie popracowała nad szyją i ramionami, wmasowała delikatnie maść w rękę i rowek między piersiami, choć do ciała były inne czary.

Zrobione. Uśmiechnęła się szerzej do siebie, kończąc wizerunek, który chciała zaserwować Tomowi, kiedy doń zatelefonuje. Odrobina błękitu nad oczyma, kropla czerni na rzęsy, po czym wyczyściła akcesoria, zamknęła kuferek i wyszeptala zdanie unieruchamiająca oba jego zamki. Czuła się odświeżona pod każdym względem. Magiczna toaleta miała mnóstwo zalet, między innymi była lepsza niż dobrze przespana noc. Alice z powrotem zdjęła z wieszaka zieloną sukienkę i pociągnęła nosem - czy materiał wchłonął odpowiednią porcję zapachu jej ciała? Przy potrząskiwaniu gramofonu nadal nuciła, jakby wtórowała płycie. Co nuciła? To przecież niebezpieczne, mrużyć sobie coś niedbale podczas pracy z eterem – pokój, po którym się rozejrzała, wyglądał, jakby znieuruchomiał na chwilę. Szum, trzaski, odgłos fal. Jakby cały dom zaczął oddychać.

Zapomniała jeszcze o kolczykach. Pochyliła się nad toaletką, aby wcisnąć w płatki uszu złote pręciki. Wtedy stało się coś strasznego. Kiedy tak przyglądała się sobie, kiedy na jej twarz znów padł bystry wzrok nadmorskiego słońca, po raz pierwszy w życiu zauważyła, że jej dotąd idealny podbródek zaczyna po obu stronach obwisać.

Budka telefoniczna pod najelegantszymi schodami w wewnętrznym hallu Invercombe była małą klateczką z czerwonego pluszu. Zwieńczający ją mosiężny dzwonek wyglądał, jakby mniej razy dzwonił, niż był polerowany. Budka miała wewnątrz przytulne, acz staroświeckie. Stanowiła element historii tego domu, historii eksperymentów cechu. Alice znalazła się przed lustrem, ale w łagodnym, padającym z góry blasku elektrycznej żarówki prawie mogła sobie przekonać, że wcale nie widziała tego, co dostrzegła na górze.

Żarówka przygasła. Alice, wciskając wyłącznik i wybierając mosiężnym kołeczkiem numer klubu Toma, poczuła, jak urządzenie znajomo, z oporem ustępuje. Przekażniki załączały się na kablach zakopanych pod ziemią, by nie psuć urody Invercombe, i biegnących do tej cudacznej stacji nadawczej, by od niej skierować się ku tętniącej, dudniącej maszynie obliczeniowej w izbie rachunkowej. Wejrzała w lustro i dostrzegła drgnięcie, przerwę w rzeczywistości. Jej twarz się rozplynęła, potem zaś zniknęło - czy raczej poszerzyło się - i samo lustro, wypuszczając z siebie gwar męskich głosów. Poczuła gryzący dym cygar i usłyszała stłumiony uliczny hałas Londynu; portal był już w pełni otwarty.

Kelner z tamtej budki nachylił się do niej, aby zapytać, z kim życzy sobie rozmawiać; kiedy odchodził, poczuła powiew spowodowany przez zamykające się drzwi, potem usłyszała chichot nalewanego drinka - aż wreszcie przyszedł jej mąż i usiadł w lustrze naprzeciwko niej.

- Tak myślałam, kochanie, że zastanę cię w klubie.

- Znasz mnie. Punktualny jak w zegarku. - Czuć go było raczej potem niż wodą kolońską. Krawat, choć niewątpliwie niedawno zawiązany na nowo, miał już przekrzywiony. - Jak Ralph? Przez cały pracokres powtarzałem sobie, że brak wiadomości to dobra wiadomość, a poza tym na pewno zabrałaś ze sobą wystarczającą ilość rzeczy do tego... jak to się nazywa? Inverglade?

- Invercombe. I nie wzięłam prawie nic. - Alice figlarnie udała obrażoną, gdy Tom wpatrywał się w nią znajomym, pełnym tęsknoty wzrokiem. Potrzebowała jego spojrzenia, zwłaszcza po tym, co dostrzegła na górze, w lustrze toaletki. Ten ciepły powiew jest lepszy niż eter. - Ralph już się zadomowił. A ja bardzo się cieszę, że tu przyjechaliśmy, mimo że bardzo do ciebie tęsknię.

- Tak krótko byłaś w Londynie. I tak długo cię nie było. - Uśmiech Toma niemal zgasł.

- Wiesz przecież dlaczego. Musiałam.

- No tak, no tak. I Ralph... rozumiem, że Londyn to nie miejsce dla niego.

Wpatrywał się w nią. Poruszył ustami. Wokół jego oczu pojawiły się zmarszczki. Miał gęste czarne włosy jak Ralph, jednak na czole zaczęły się cofać, a na skroniach siwieć; poza tym jego podbródek był już z lekka obwisły wtedy, kiedy go poznała. Mężczyznom w ogóle łatwiej przychodzi ładnie się zestarzeć.

- W każdym razie tęskniłem za tobą, kochanie.

Rozszerzonymi nozdrzami chwycił jej zapach; jej zmysły pobudzał stłumiony uliczny zgiełk i grzechot przejeżdżającego tramwaju, kiedy opowiadała Tomowi o osobliwościach Invercombe: o tym, że ochmistrzy- ni jest kobietą i Murzynką; o wiatrosterze - że wciąż nie wierzyła w jego działanie; o dziwnej wymowie tutejszych mieszkańców; i o Ralphie, który dobrze sypiał, przegryzał się przez zaskakująco bogatą bibliotekę i nie mógł się już doczekać wyjścia na zwiedzanie okolicy.

- To brzmi wspaniale. Jestem z was dumny. Powiedz Ralphowi... Powiedz mu, że jestem z niego dumny. I że niedługo będziemy dużo przebywać razem. Alice, jest tyle rzeczy, którymi chciałbym się z nim podzielić.

- Ten czas był trudny dla nas obojga.
- Kiedy wyjeżdżałaś, byłaś taka smutna.
- Ale już nie jestem.
- A wyglądasz...

Alice, mimo że wcale nie pozwoliła podbródkowi obwisnąć, uniosła go jeszcze wyżej.

- ...przewspaniale, kochanie.

Potem rozmawiali o interesach, a wieści wcale nie były pomyślne. Pewien kontrakt budowlany przeciągał się, rzekomo z powodów technicznych. Tom był za uwzględnieniem dodatkowego czasu na zmiany w projekcie, Alice zaś była przekonana, że należy się z umowy wycofać i pozwać klienta do sądu.

- Czy nie za ostro?

- Musimy działać ostro. Przecież oni wobec naszego cechu zrobiliby tak samo.

Tom skinął głową. Wiedział, że instynkty zbyt często podpowiadają mu ugodowe działanie, polegał więc na sile i radzie Alice. Potem się pożegnali, jego obraz przygasł, lustro pociemniało, poczuła - jak drzwi zatraskujące się od niewyczuwalnego przeciągu - rozłączające się od

Londynu po Invercombe kolejne przekaźniki. Powinna już unieść wyłącznik, ale jeszcze parę chwil posiedziała przed otwartą linią, a lustro znów wyglądało, jakby się rozszerzyło. Patrząc w nie, czuła się prawie tak, jakby spadała. Była pewna, że przy odrobinie wysiłku mogłaby wejść w tę przestrzeń i popłynąć wzdłuż linii jako coś bezcielesnego, wychodząc gdzieś na drugim końcu. Od dawna bawiła się myślą o takim eksperymencie, zawsze jednak odrzucała ją jako zbyt absurdalną i niebezpieczną. Ale jakież może być lepsze miejsce na takie doświadczenie niż ten dom? —szepnął do niej telefon. Przecież właśnie tutaj zaczęły się sztuczki z lustrami. Zwalniając wyłącznik, usiadła głębiej w fotelu i obserwowała, jak w szkle stopniowo pojawia się jej własne odbicie. Unosząc dłoń, by dotknąć miękkiego podbródka, poczuła, że grawitacja, burząca góry i przetaczająca księżyc po niebie, wyszarpuje ciało z jej twarzy.

Wyszła z budki, włożyła płaszcz i skierowała się do drzwi. Było zimniej, niż się spodziewała. Owiana parą oddechu przeszła przez frontowy dziedziniec, potem przez mostek nad przypominającą wąwóz dolinką rzeki Riddle i ruszyła ścieżką wijącą się przez arboretum z drzewami iglastymi ku zapachowi dymu. Wiatrosternek Ayres, łysy, z kręconym wąsem, odziany w rękawice, włókł czarne, przypominające kukułcze ziele sploty ciemniownika, by cisnąć je w ognisko na polanie.

— Ciągłe muszę to wyrywać, proszę pani! —zawołał, gdy ją dostrzegł. — Muszę też bagrować kanał, przynajmniej dwa razy na wiosnę. —Roślina była brzydka, sinofioletowa, pokryta trującymi niebieskoczarnymi jagodami, płomienie strzelały z niej z mokrym sykiem w górę. Alice, wspomniawszy swoją twarz, cofnęła się.

- Pomyślałam, że wstąpię i zobaczę, jak pana postępy przy wiatrorze - powiedziała. —Prawdę mówiąc, miałam nadzieję, że już zobaczymy jakieś efekty. Przez wzgląd na mojego syna...

Wiatrosternek Ayres zrzucił rękawice i otarł czoło. Poprowadził ją w górę błotnistą ścieżką wzdłuż wąwozu pod słupami wznoszącymi się nad sterówką, potem otworzył skrzypiące żelazne drzwi i wprowadził Alice w surowe, bursztynowe światło wiatrosteru.

— Długo pan tu pracuje?

- Dobre dwadzieścia lat.

— I nigdy naprawdę pan tego nie użył?

– No cóż... - Z namysłem postukał w tarcze paznokciem. - Widzi pani, on tak naprawdę nigdy nie był wyłączony. Na swój sposób działa cały czas. Przynajmniej na biegu jałowym. Maszyny dużo bardziej woła robić to, do czego zostały stworzone, niż nie robić nic.

Kiedy się uśmiechał, podwijał mu się wąs. Poklepując poręczę galerijek, gładząc żółte jak lwia sierść cegły, oprowadził Alice po wszystkich piętrach. Tu wznosiła się główna maszyna wiatrosteru, karmiąca się eterem i elektrycznością, obrośnięta pąklami przewodów. Ta budowla, stwierdziła Alice, jest albo tętniącą życiem świątynią przemysłu, albo monstrualnym szwindlem. Ale przynajmniej panował tu wzorowy porządek. Coraz wyżej i wyżej. Wreszcie znaleźli się na samej górze i przez kolejne żelazne drzwi wyszli na ziąb zewnętrznej galerii, dużo wyżej niż drzewa Invercombe. Wysokość robiła wrażenie, zwłaszcza po stronie zbocza opadającego ku wirowi wody i błyskowi koła wodnego.

Kopuła wiatrosteru, pobrużdżona i popstrzona plamami, wyglądała jak powierzchnia jesiennego księżycy.

- Można dotknąć?

- Lepiej nie, proszę pani.

Popatrzyła przez czyste powietrze nad wierzchołkami drzew i roześmiała się, bo poza szarościami i cieniami doliny Invercombe cały świat zbiełał. Pola wyglądały jak pryzmy prześcieradeł, miasteczka i domy jak zrobione z papieru.

- No proszę, panie Ayres, spadł śnieg!

- A tu nic by pani nie zauważyła, nieprawdaż?

To prawda, nie spadło go dużo, ale dosyć, by odmienić krajobraz. Niby-ruina - telefoniczna stacja przekaźnikowa ~ była białym pałacem. A tam, za chusteczkowymi polami, wznosiły się wzgórza Mendip. Na północy ponuro żarzył się Bristol. Tam z kolei leżało Einfell - zgęstek mgły zaledwie...

W Einfell, jak wie każde dziecko, mieszkają odmienicy, osoby zniekształcone, zmory przemysłu, które padły ofiarą zbyt długiego kontaktu z eterem i przejęły niektóre cechy wymawianych zaklęć. W Wiekach nieco mniej cywilizowanych odmienców palono albo zakuwano w łańcuchy, więzono i prowadzano po ulicach jak chowańców albo perszerony, a wszystko to pod auspicjami Cechu Zbieraczy. Teraz jednak, w nowych czasach, krzywiono się na takie praktyki. W Einfell odmienicy, trolle, chochliki - w zasadzie można by wybrać dowolną nazwę - żyły sobie po swojemu. A cechy zgodnie przymykały na to oko, ponieważ stanowiło to

rozwiązanie problemu, leżało w ich interesie, a poza tym tak najłatwiej było o nich zapomnieć.

Alice musnęła palcami drobną bliznę Znak po wewnętrznej stronie lewego przegubu, przypominając sobie, jak w Dniu Próby ustawiła się ze wszystkimi dzieciakami z podwórka w kolejce do zielonego furgonu. Dziwną chwilę, kiedy znalazła się sama w tej szopie na kółkach, cuchnącej dymem fajkowym i zatęchłą pościelą, a cechowy kapnął jej na lewy nadgarstek czegoś świeżącego - była wówczas biedna, więc nigdy wcześniej tego nie widziała, ale nawet największy głupek wiedział, że to się nazywa eter. I już. Boli cała ręka, zostaje rozpalona blizna - nigdy się do końca nie zagoi - zwana Znakiem Starszych. Wysokie cechmistrzynie, które później poznała, często dekorowały swój Znak pomysłowo skonstruowanymi bransoletkami, u innych z czasem zaczynała otaczać go obwódka brudu codzienności, ale naprawdę nie dawało się o nim zapomnieć. Jeśli bowiem należycie się uważało, chodziło do kościoła i robiło wszystko, co nakazuje twój cech, oraz unikało tego, czego zabraniał, Znak dowodził, że wciąż jesteś człowiekiem. Ale co się działo za murami **Einfell**, wśród odmienionych, pozostawało tajemnicą, choć Alice częściej niż większość ludzi miewała powody, by się nad tym zastanawiać...

- Prawie każdy patrzy w tamtą stronę - powiedział wiatrosternek Ayres, podążając za jej wzrokiem. - Chociaż nie za bardzo jest na co. Nie miałem z nimi żadnych kontaktów, ale słyszałem, że ludzie czasami udają się do nich po pomoc - po lekarstwa, wróżby. Wątpię, co prawda, żeby coś dostawali. Wszyscy mówią, że to miejsce to jedna zawiedziona nadzieja...

Tego wieczoru **zjadła** kolację razem z Ralphem w jego sypialni. Powietrze było zmysłowo ciepłe, chociaż poza Invercombe ziemię skrywał śnieg. Podzieliła się z synem swym odkryciem, ta wiedza polatywała między nimi, kiedy rozgrywali partyjkę warcabów. Jeśli się nie skupiała, Ralph **potrafił** teraz z nią wygrać. Sam zaś mógł jednocześnie opowiadać o swych najnowszych odkryciach na polu ukochanych nauk. Mimo smutnej prawdy o obwisłym podbródku była niemal całkowicie szczęśliwa. Przyjemnie siedziało się razem z Ralphem w tym starym, dziwnym domu dającym osłonę przed nocą i śniegiem, jego słowa dryfowały,

stukwały pionki warcabów, a ona pozwalała sobie nawet na grzeszną myśl, że chciałaby zachować go w tym stanie - uwięzionego w wieży, jak jakiegoś stwora w bajkach, które niegdyś tak lubił. Ale nie, nie: naprawdę chciała, żeby wyzdrowiał i żył samodzielnie. Teraz, kiedy się znaleźli w Invercombe, nawet trochę wierzyła, że to się może zdarzyć.

Ralph zmęczył się, dostał lekkiej gorączki. Czując, że przelała na niego zbyt dużo swej nerwowości, poprawiła mu poduszki, nalala kolejną porcję tynktury i przyglądała się ruchom jego jabłka Adama, kiedy przełykał. Potem odwrócił się do niej, mając jeszcze na ustach ciemny płyn, a w jego spojrzeniu pojawiło się coś obcego.

Przegarnęła ogień i przygasiła światła. **Poprawiła** mu pościel, na czole położyła zwilżoną chustkę. Ale wciąż był niespokojny i leżał w dziwnej pozie na poduszkach. W takich chwilach był wrzuszający. Alice, która bardziej niż zwykle pragnęła, by nocą dobrze wypocząć, **sięgnęła** po drewniane pudełeczko z cierpnikami, wypolerowanymi, pokrytymi misternymi żyłkami. **Od** przyjazdu tutaj starała się ich nie używać, dziś z pięciu różnych ich mocy sięgnęła po trzecią z kolei.

Ralph zakaszał rozdzierająco. Przebiegł wzrokiem po jej twarzy. **Nadchodził** kolejny spazm. Weisnęła chłodny kamień w jego prawą dłoń. Szukając na prześcieradle ostrzegawczych śladów krwi, poczuła przyływ zimnego potu. Tak wiele razy myślała: Niechbym to była ja. Teraz ta sama myśl przemknęła jej przez głowę, gdy Ralph odzyskiwał oddech. W ciągu minuty zasnął - tak szybko działał cierpnik.

Właściwie był to fałszywy alarm. Sama się nadmiernie zdenerwowała. Wstając, zerknęła na kanapę. Czy powinna spędzić tu noc? Ralph oddychał jednak regularnie, a jej obecność odebrałby jako sugestię, że znów mu się pogarsza. A tymczasem polepszało mu się. Tak. Naprawdę... Ucałowała go w policzek, wdychając już niezaprzeczalnie męski zapach jego **ciała**, i zostawiła Ralpha z jego snami.

Wróciwszy do swego pokoju, unikała wzrokiem lustra nad toaletką. Zdjęła buty, potem żakiet i położyła się na łóżku. Słyszała odgłosy zapadającego w sen domu: niski głos Cissy Dunning, kroki pokojówek, szepty na dobranoc, zamykanie drzwi. Ralph dorastał. Niebawem, jeśli wszystko pójdzie tak, jak pozwala sobie czasami wierzyć, głos przestanie mu się załamywać i jej syn zacznie miewać tęskne, spragnione, abstrakcyjne myśli o namiętności, jakie pojawiają się u mężczyzn w tym wieku, choć większości nie opuszczają nigdy. Może nawet już się sam zaspokajał, choć wątpiła w to; żyli zbyt blisko siebie, żeby czegoś takiego nie

dostrzegła. Na pewno jednak dojrzywał, ona zaś, na mocy tych samych nieubłaganych praw bezeterowej fizyki i natury - tak jakby nikt nie mógł zyskać bez czyjejs straty - traciła swą urodę.

Wspomniała, jak pierwszy raz zdała sobie sprawę z jej potęgi, kiedy stary ogrodnik zaczął darzyć ją szczególnymi względami w starym, wilgotnym domu, w którym się wychowała. „Z takim wyglądem musisz, dziewczyno, uważać” - tylko tyle powiedziała ciotka, kiedy przyszła do niej, kulejąc, w rozdartej sukience. Ale przynajmniej Alice zaczęła inaczej przyglądać się sobie w lustrze. Od zawsze wiedziała, że matka i ojciec byli atrakcyjną parą, ale zadając ciotce niespodziewane pytania i wertując kolumny towarzyskie starych gazet, dowiedziała się, że on, Freddie Bowdly-Smart, zanim pojął za żonę Fay Girouard, był „słynnym kawalerem”, że „grał do kilku bramek” (o jaki sport chodziło?), a Fay była aktorką, choć Alice nie rozumiała wówczas, co wynika z takiego określenia, poza faktem, że los matki zależy od jej ciała, jej twarzy. Pobrali się, urodziła się Alice Bowdly-Smart, a pewnego pogodnego poranka Fay i Freddie zostawili ją w objęciach mamki, by wyruszyć w rejs swym wytwornym nowym jachtem. Mniej więcej po jednym pracokresie fale wyrzuciły na brzeg ich ciała, po czym ją i pieniądze rodziców powierzono opiece niezamężnej ciotki.

Starsza pani miała zarządzać tymi funduszami. Wyraźną wskazówką umiejętności w tym względzie był jednak rozpaczliwy stan jej domu, zniedołężniały służący i wodniste jedzenie. Cała posiadłość, razem z długami, które chyba pochodziły z czasów młodości ciotki i jej zaginionego zalotnika, stanowiła lekcję pogładową na temat upadku wysokiego rodu. Alice Bowdly, zrozumiawszy po śmierci ciotki, że nic nie dziedziczy, i porzuciwszy nazwisko Smart, opuściła dom i wyprawiła się do dystyngowanego miasta Lichfield, najdalej gdzie stać ją było na bilet trzeciej klasy w jedną stronę. Tam, błysnąwszy uśmiechem, mignawszy nogami, zdołała znaleźć sobie lokum, choć niebawem odkryła, że sam uśmiech nie uchroni jej przed głodem. Ale się dostosowała. Robiła, co było konieczne. Zachowanie obojętności zawsze dobrze jej wychodziło, a zarobione pieniądze i uzyskane kontakty reinwestowała w elegantsze stroje i elegantsze maniery, potem także w lepsze mieszkanie na staromiejskim rynku.

Zaraz po dwudziestce, teraz jako piękna, w miarę zamożna kobieta, przeniosła się do Dudley, owego rogu obfitości Midlandów. Tym razem udało jej się zamieszkać w najelegantszej dzielnicy Tipton i chadzać na spacer do Castle Gardens. Bogaci synowie wyższych cechmistrzów

władających miejscowymi rzeźniami zabierali ją na pikniki, nauczyła się też dość przyzwoicie malować akwarelami i grać na fortepianie, odkryła w sobie upodobanie do lepszych rzeczy, przejechała się tu i tam, liznęła nieco francuskiego. Otrzymała nawet parę niezgorszych propozycji małżeństwa, wszystkie jednak były nie dość dobre.

Niebawem dobiegała trzydziestki, wciąż nieusatysfakcjonowana i wciąż piękna. Pojechała więc pociągiem do Londynu, tym razem jako Alice Smart, i zrzuciła większość z dziesięciu lat, które już zaczynały jej ciążyć. Osiedlając się w Northcentral, w małym, ale niebywale drogim mieszkaniu z widokiem na zigguratowe ogrody Parku Westminster, korzystając z pomocy ustosunkowanego wielkiego mistrza Cechu Elektryków, który się w niej zakochał, zyskała dostęp do wszelkich niezbędnych kręgów towarzyskich. Postarała się odpowiednio młodo ubierać i zachowywać, choć jak na swój wiek wydawała się doświadczona. Dla mężczyzn uosabiała wszystko, czego brakowało innym dziewczynom z towarzystwa. Największą z jej zdobyczy był arcycechmistrz Tom Meynell; z przyjemnością stwierdziła, że nawet go lubi. Niemniej podczas małżeństwa pomiędzy Wysokimi Cechami dokonywały się olbrzymie przesunięcia władzy i majątków, ona zaś miała do zaoferowania tylko siebie. Tego lata, kiedy odrzuciła wielkiego mistrza Elektryków, a Tom Meynell wreszcie jej się oświadczył, gwiazda Alice świeciła jasno jak nigdy, a ich ślub był wydarzeniem sezonu. Byli ze sobą szczęśliwi. Uwielbiała bogactwo, niezliczone karety, samochody, służących, wielkie domy o niekończących się korytarzach, trawniki, jeziora... wszystkie teraz należały do niej. Kochała także Toma, choć dziecko, którego oboje pragnęli, nie chciało się począć. Zążywała eliksiry, radziła się dyskretnie lekarzy, ale była dziesięć lat starsza, niż myślał Tom, a jej ciało zawiodło właśnie wtedy, gdy najbardziej go potrzebowała. Wreszcie, po paru fałszywych alarmach, zaszła w ciążę. Czowała się dumna, czuła się źle, poród potwierdził jej najgorsze obawy, ale dziecko miała idealne - no i był to syn. Takiego szczęścia nie zaznała nigdy przedtem. Ralph Meynell uosabiał wszystko, co w niej najlepsze, a szczególnie zachwycał ją fakt, że on nigdy nie będzie musiał się tak jak ona zmagać z losem.

W pewnym sensie jej uroda powinna teraz stracić na znaczeniu. Kobietom z Wysokich Cechów wolno nieco oklapnąć, kiedy staną się matkami, a od mężów oczekuje się, że dyskretnie spojrzą gdzie indziej. Ale nie Alice Meynell. Nadal była uosobieniem wdzięku. Odkryła też, że ma o wiele większy niż Tom talent do cechowej polityki. Po śmierci jego ojca

stała się dla Toma jedyną podporą i wiernym słuchaczem. Korzystając ze swych rautów, kontaktów, uśmiechu, często umiała przechylić szalę na korzyść jego cechu. Nie **potrafiła** określić, kiedy zaczęła używać eteru do pielęgnacji ciała - ten proces był bardzo stopniowy - ale nigdy nie miała wątpliwości, tak jak rzadko miewała je przez całe życie, że robi to co właściwe, to co konieczne. Jej fortuna, jej cech, jej syn i mąż, wszystko zależało od tego, czy pozostanie legendarną, olśniewającą pięknoską, arcycechmistrzynią Alice Meynell.

Jej uroda nie przemijała z upływem lat, przeciwnie, nawet **wytworniała**. Oficjalnie Alice zbliżyła się do trzydziestki, a Ralph wyrósł na chłopca bystrego, energicznego, wrażliwego. Oczywiście tęskniła za czasami, kiedy był mały, i chętnie miałaby więcej dzieci. Zdarzyło się nawet kilka fałszywych alarmów. Potem nastął ów upalny wieczór na londyńskich Wzgórzach Latawcowych. Ralph miał dziewięć lat, a ona, czując, że już czas - najwyższy czas - nauczyć go pływać, wybrała się z nim na basen. Nie z tego powodu, że te uperfumowane chlorem publiczne przybytki były idealnym miejscem, tylko dlatego, że w basenie dla dzieci było płytko i bezpiecznie. Tak jej się wydawało, choć Ralph sztywno stał w roziskrzanej wodzie wśród wrzeszczących, chlapiących dzieciaków i nie chciał ani zanurkować, ani nawet się głębiej zanurzyć, a potem skarżył się, że boli go w piersi. Gdy wyszli z basenu, biegał po pagórkowatym parku jak uwolniony więzień, ona zaś usiadła pod drzewem, aby utulić swe drobne **rozczarowanie**. Podbiegłszy do niej, zaczął kaszleć. Już miała mu przypomnieć, że powinien użyć chusteczki, gdy dostrzegła połysk krwi na jego dłoni i cały świat runął w posadach. Tego samego lata odkryła także, że nie jest płodna. Ralph - jak to często powtarzała w myślach, ale nie rozumiała - Ralph był dla niej wszystkim.

Tak oto rozpoczęła erę poszukiwań, choć nie pozwoliła sobie przestać być Alice Meynell. Zewnętrznie wszystko wskazywało, że jest kobietą w pełnym rozkwicie urody. W eleganckich cechowych domach musiała nawet uciekać się do comiesięcznej farsy płamienia paru sztuk białej krwi, wiedziała bowiem, że pod schodami rodzą się plotki, ale była Alice, Alice Meynell, i zadbała, by jej obecność zapamiętano we wszystkich europejskich uzdrowiskach i kurortach, do jakich jeździła z Ralphem. Odkryła nawet, że oddalenie przydaje jej dodatkowego mitycznego poluru. A kiedy wracała do Londynu, swe wyjścia na bankiety i bale planowała z wojskową dokładnością. Pojawić się tutaj. Nie pojawić się tam. Bezwstydnie flirtować. Tak, stwierdziła kładąc się do łóżka, teraz

jest bardziej niż kiedykolwiek konieczne pozostać stuprocentową Alice Meynell i położyć kres tym fałdkom kojarzącym się z okropną, obwisłą twarzą jej koszarnej ciotki.

Invercombe było ciche i spokojne. Lekko wzdrygając się od chłodu podłogi, podeszła do swego kufereka, wyszeptła zaklęcie zwalniające zamki i wyciągnęła postrzępiony, opuchnięty notes. W elektrycznym blasku lampy stołowej rozpostarła na łóżku rozdarte, wylatujące, pozaginane, poplamione kartki - przypominające cechową księgę zaklęć, ale ukradzionych, pożyczonych, skopiowanych czy znalezionych, zdobytych małym albo i dużym kosztem. Jej własne, elegancko pochylone, zielone pismo mieszało się ze **zzółkłymi** bazgrołami dawno zmarłych ludzi, strzępkami zapisanymi maczkiem, ledwie czytelnymi zawijasami i fragmentami dziwnych ilustracji.

Przez całą noc rozważała wątpliwości i niemożliwości. **Wyszeptywała** fragmenty zaklęć, wprawiające w trzepot strony, często nasycone śladowymi ilościami eteru naniesionego przez odciski palców i wycieki. Ach, gdyby tak wszystkie splotły się w jeden zaczarowany latający dywan, który **uniósłby** w dal ją, Ralpa i ich kłopoty! Zamiast tego zadowolila się jednak czymś z niekompletnego leksykonu, skromnym dodatkiem do arsenału uroków i zaklęć, który wypełniał jej kuferek i mógł, być może - nie, na pewno mógł, wiara jest zawsze ważna - przepędzić z jej podbródka te obsceniczne fałdy. Dobrze się składało, że znalazła się teraz nad ujściem rzeki, w którym występowały silne pływy; leksykon zapewnił ją, że tu można naprawdę znaleźć to, czego poszukuje.

Złożyła notes, zamknęła kuferek, naciągnęła buty i w najcieplejszej pelerynie ruszyła w dół schodów. Parę minut zabawiła w bibliotece, przeglądając ręcznie kolorowane ilustracje małży i mięczaków, aż doszła do hasła, które ją interesowało, wydarła je i wyszła z ciemnego domu bocznymi drzwiami.

Posiadłość Invercombe nadal spowijał cień. Tylko wiatroster chwycił już odrobinę światła brzasku i kiedy schodziła po tarasach, których kamienie lśniły od osadzającego się na nich lodu, **przebłyskiwał** pomiędzy nagimi drzewami. Z zielonej kępki czegoś, co gdzie indziej byłoby zwykłą trawą, uniósł się dziwnie przyjemny aromat. Alice, wiedziona impulsem, pochylała się, by powachlować palcami - rosa skapująca z koniuszków żdźbeł smakowała intensywną słodyczą. Tu, na skraju posiadłości, poza wierzbowym zagajnikiem i płaskim terenem do gier i zabaw, zbiegały się ścieżki z ogrodu, prowadząc przez bramę do mozaikowej głębi słonego

stawu napełnianego morską wodą –jak się domyślała - przez podziemne kanały, którymi od strony zatoki Clarence Cove przyplływ wdzierał się pod szczyt Durnock Head. Idąc energicznie wokół wypiętrzonego cypla, odkryła, że co większe skały nad Kanałem Bristolskim są oprószone śniegiem - w mglistym półmroku wyglądały jak lukrowane baby. Był odpływ, nadal pobłyskiwały dalekie światelka na moście na Severn, na jego delikatnych mackach przypominających płynącą meduzę.

W pamięci miała czyste wyobrażenie poszukiwanej muszli, nadbrzeżna rzeczywistość była jednak brudna, oślizła i śmierdząca. Alice wyjęła z kieszeni peleryny stalowy nożyk i zanurzyła dłoń w rozlewisku, które okazało się o wiele zimniejsze i głębsze, niż oczekiwała. Zamoczyła rękaw, ale wyciągnęła pierwsze ze stworzeń i od razu, po prążkach na skorupie, poznała, że to nie *Cardiumglycimeris* - mięczak, którego szukała. Wyrzucając go z powrotem, prostując się i zastanawiając, jak najlepiej szukać dalej, zauważyła, że po skałach skacze coś ciemnego. Poczula ukłucie strachu, kształt był jednak niewątpliwie ludzki.

- Ej, ty! - krzyknęła, bo w kontaktach z gminem ważne było, aby natychmiast narzucić dominację. - Co tam robisz?

Postać się wyprostowała. Miała w ręku coś jakby worek, za sobą ciągnęła grabie. Nie zbliżyła się, więc Alice musiała narazić kostki na szwank i przejść po zielonkawych głazach.

– Jak się nazywasz? - Zachowała wyniosły ton.

Postać po prostu się jej przyglądała. Nosiła czapkę i stary, na oko przemoczony do nitki kaftan. Co zaskakujące, mimo ziąbu była boso. Chłopak w wieku Ralpa lub trochę młodszy. Wyraźnie biedny, może też niedorozwinięty albo tylko ograniczony. Już miała dać sobie spokój z rozmową, gdy stworzenie zamrugalo, oblizało wargi i wyprostowało się - okazało się prawie wzrostu Alice - po czym przemówiło.

– Zbieram sercówki. Jestem Marion Price i to jest mój kawałek brzegu.

Czyli to dziewczyna. Ani „proszę pani”, ani „pani”, ani dygnięcia. No i ten „mój kawałek brzegu”, całkiem jakby była jego właścicielką.

- A ja jestem arcycechmistrzyni Alice Meynell. Mieszkam w tym wielkim...

– Invercombe.

A nawet przerywa. Alice jednak postanowiła ciągnąć rozmowę i rozłożyła planszę wydartą z książki o faunie morskiej.

– Taki. Będziesz mogła mi pomóc?

- Ostryga paciorkowa. Przeważnie je wyrzucamy.

- Potrzebne mi coś takiego, spójrz. W książce nazwano je krwawymi perłami.

- **Tak?** - Dziewczyna z wybrzeża zasznurowała usta spierzchnięte od wiatru i chłodu, miała zaczerwienione policzki, co przypadłoby do gustu niejednej cechmistrzyni. - Jeśli chce pani zrobić z nich naszyjnik, to się nie nadają. Są nietrwałe, w sam raz dla dzieci do zabawy.

Tak jakby sama nie była jeszcze dzieckiem. Zanim jednak Alice zdążyła zapewnić ją, że poszukuje krwawej perły właśnie dla jej kruchości, dziewczyna z wybrzeża skakała już zygzakiem po kamieniach, które Alice pokaleczyłyby stopy do kości.

- A ty zbierasz małże?

- Sercówki. Gotujemy je i sprzedajemy na targu w Luttrell, po trzy szylingi za kubełek. Ale wodorosty zatrzymujemy sobie i robimy z nich chleb.

- Jecie wodorosty?!

- No pewnie. - Dziewczyna i kobieta przypatrywały się sobie ponad kałużą, nad którą klęczały, obie równie zdumione. - Nigdy pani nie próbowała chleba z wodorostów?

Alice uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Skąd jesteś? Tu jest w pobliżu wieś?

- Nazywa się **Clyst**. Niedaleko, za tym załomem cypla. Mieszkam z matką i ojcem. Mam brata i... - zawahała się - siostrę.

Jej **rozgwiażdżiste** palce poruszały się pomiędzy pasmami wodorostów i pulsującymi paszczami ukwiałów.

- I tak codziennie rano? Zbierasz sercówki?

- Nie codziennie. Tylko kiedy jest dosyć światła i odpowiedni odpływ.

Co za życie! Miotani tam i z powrotem wzdłuż ujścia rzeki, jak niesione prądem śmieci.

- Mam... - Dziewczyna podważyła krawędź muszli, uniósłszy ją wysoko w posiniałych, pomarszczonych palcach. Istotnie, *Cardium glycimeris*, ale po **otwarciu** szybkim ruchem krótkiego szerokiego nożyka okazało się, że w środku i **ma** perły.

- **Twoja** rodzina należy do **hu**?

- No pewnie. - **W**edrówka palców ustała na chwilę.

Alice zrozumiała. Tu, na Zachodzie, nawet nadbrzeżni zbieracze i budowniczo wie łódek z wikliny mieli się za cechowych. Mdłe światło odbijało się od lodowatej wody i oświetlało twarz dziewczyny, która przy

pracy miała rysy całkiem nieruchome, pełne głębokiego skupienia. Jej dziwny akcent, jej zwierzęcy spokój wydały się Alice przyjemnie uspokajające. Życie straciło jeszcze parę ostryg paciorkowych. Szum przyływu stawał się coraz głośniejszy.

- Nie powinniśmy już iść? Nie znajdziemy ich gdzieś wyżej?
- To najlepsze miejsce. Mamy jeszcze parę minut.

Kolejna muszla, kolejna pusta paszcza. Wtem, gdy już otaczały je pierwsze strugi przyływu, dziewczyna wydobyła z wody nieco większą ostrygę. Szybko rozdzielona, ukazała na swym żywym języku wilgotny rubin. Dziewczyna i arcycehmistrzynie zerknęły na siebie triumfalnie.

- Jedna wystarczy?
- Musi. — Przyływ zaszemrał wokół nich. Dziewczyna już się odwracała, sięgała po worek i grabie. - Nie! Zaczekaj!

Alice miała dziwne przeczucie, że ta dziewczyna mogłaby wnieść coś nowego do funkcjonowania Invercombe. Najpewniej trochę piasku w tryby, ale może właśnie tego było trzeba. Konieczność radzenia sobie z nową, nieokrzesaną pokojową będzie wystarczająco trudnym wyzwaniem dla ochmistrzyni Dunning.

- Jak mówiłaś? Ile dostajesz za kubek gotowanych sercówek?
- Trzy szylingi, jeżeli się poszczęści.
- A ile takich kubeków trzeba, żeby zapełnić garnek?
- Ze dwanaście.
- Przyjdź do pracy w Invercombe, a dopilnuję, żeby płacili ci dwa razy tyle.

Dziewczyna z wybrzeża odłożyła worek, wytarła dłoń o kaftan i wyciągnęła ją. Alice, gdy przyływ zalewał kałużę i podbiegał im do stóp, była zbyt zaskoczona, by jej nie uścisnąć.

3

W niedzielny rano ochmistrzyni Dunning posiała po Marion Price. Marion, stojąc przed drzwiami kantorki, na samym końcu niskiego, bielonego korytarza, poprawiła nakrochmalony biały czepek.

- Proszę! Stoisz tam, prawda?
- Weszła do małego, zagraconego pokoju.
- Zamknij drzwi. Krzesła są do siedzenia nie?

Marion, pewna, że o jeden raz za dużo brzęknęła wiadrem albo niechcący złamała któryś z niezliczonych nakazów i zakazów wiszących w ramkach na ścianach służbówek, postanowiła przyjąć zwolnienie z Invercombe z godnością i taktem. Rzeczy, które zawsze miała za oczywiste – jak ocenianie każdego dnia po zapachu i klimacie poranka, przeplatające się sezonowo prace, połowy i przyływy - zaczęły już wydawać się dziwne i odległe. Tu, w tym domu, wszystko stawało na głowie, aby każdy dzień był taki sam; nigdy jeszcze nie jadła tak dobrze, nigdy nie miała tak ciepło i nigdy nie zdawała sobie sprawy, że jej byt jest tak mało ważny. Starła się jednak zachować stosownie poważny wyraz twarzy, podczas gdy ochmistrzyni wzdychała, a jej miedziane, przetykane siwizną włosy podskakiwały, kiedy kręciła głową.

- Możliwe - powiedziała - że byłam dla ciebie trochę za ostra. Naturalnie, nie ja prosiłam, żeby cię tu przyjąć. Domyślam się, że ty też nie masz wielkiej ochoty pracować u nas.

– Starłam się jak najlepiej, proszę pani. Przykro mi, że to się okazało za mało.

– Spokojnie, spokojnie. Nie wezwałam cię, żeby cię zwolnić.

– Tak, proszę pani?

– Jesteś z wybrzeża, więc chyba nigdy nie myślałeś o spędzeniu życia w służbie. Dla mnie to było oczywiste od zawsze. Dunningowie służyli w wielkich rezydencjach odkąd mój prapradziadek przybył tutaj jako niewolny. Jesteś zdziwiona?

- Nigdy nie myślałam, proszę pani.

- Są jeszcze ludzie, którzy myślą, że my, Murzyni, nie powinniśmy pracować jako cechowi. W miastach, na przykład Londynie, nawet wygłaszają na ten temat kazania z ambon. – Jej wydatne usta pocieniały. – Wygląda na to, że jesteś dość bystra i zdolna. A ja potrzebuję każdej pary rąk, żeby ten dom jako tako działał...

Gdy ochmistrzyni Dunning rozprawiała o rozmaitych sprawach Invercombe, Marion błędziła wzrokiem po pokoju. Ściany pokrywały typowe haftowane pouczenia – DOM PORZĄDNIK PROWADZONY RZADKO TROSKI WYMAGA. NIE RÓB NIC PO ŁEBKACH - a na biurku chemistkini piętrzyły się notatniki, suszki, kwity nienadziane jeszcze na szpikulec oraz przedmiot w kształcie ziarna fasoli, podobny do tych, jakie Marion zdarzało się czasem znajdować podczas nadbrzeżnych wędrówek. Dzieciaki nazywały je fasolkami, choć to oczywiście nie była fasola.

– Nie słuchasz mnie!

– Co? Ach, przepraszam, proszę pani, ja po prostu...

– Mniejsza o to. Może któregoś dnia awansujesz na kucharkę lub ochmistrzynię. Jeśli tylko tego chcesz... i jeśli nauczysz się mówić „słucham” zamiast „co”. - Uśmiechnęła się. – Niech to zostanie między nami: widzisz, arcycechmistrzyni i jej synek to dość dziwni ludzie. Przyjeżdżają tu znikąd, bez własnej służby, prawie bez uprzedzenia. Tyle pieniędzy, wszystkie te podróże i co z tego mają?

Marion spróbowała zastanowić się nad tym dziwnym pytaniem. Faktycznie, nie widziała arcycechmistrzyni od tamtego spotkania nad morzem, a syna, który niby tu z nią mieszkał, w ogóle.

– Wszystko?

- Dziewczyno - ochmistrzyni nawet nie pokręciła głową - nie ma co się wymądrzać. Na pewno już słyszałaś, że on jest ciężko chory. - Westchnęła. – A to, swoją drogą... - Perłowymi opuszkami palców dotknęła fasolki. – Na to się gapiłaś, zamiast mnie słuchać. Wiesz, co to jest?

Marion zaprzeczyła.

– To z Wysp Szczęśliwych. Takie nasiona spadają z palm i płyną aż tutaj przez całe Morze Borealne.

Marion dotknęła fasolki, myśląc o białych plażach i jaskrawych kwiatkach. Wyobrażała sobie, że tak muszą się czuć cechmistrze, kiedy dotykają licznych dziwnych urządzeń - chalcedonów, szeptokamieni, cierpników, szpinetowych klawiszy maszyn kalkulujących, liczykami...

– Parę warunków bez dyskusji – dodała ochmistrzyni. - Po pierwsze, ten dom opiera się na wzajemnym szacunku i obowiązkowości. Każdziuteńkie z tych oprawionych przez kucharza przysłów, a widziałam, że krzywisz się drwiąco na ich widok, każde z nich to sama prawda. Oczekuję, że w niedzielę moi pracownicy spędzają czas z rodziną.

- Nie miałam jeszcze wolnej niedzieli, proszę pani.

- No to już masz. Wilkins za jakieś pół godziny wyjeżdża furgonem do Luttrell. Postaraj się zdążyć i włóż no swoją najlepszą spódnicę i zapaskę... - Oczy ochmistrzyni powędrowały w górę i w dół. – Pamiętaj, że reprezentujesz ten dom, ludzie będą patrzeć na ciebie i wyobrażać sobie, niech im Bóg wybaczy, że jesteś najlepszym, na co stać Invercomb. A twoja rodzina na pewno się zastanawia, jak ci tu idzie. Możesz więc wrócić do Clyst i powiedzieć staremu Billowi Price'owi, że Cissy Dunning przesyła pozdrowienia i mówi, że radzisz sobie całkiem dobrze, chociaż czasem trzeba cię trochę pogonić. Co, może nie?

— Tak, proszę pani. - Dygając, Marion zdała sobie sprawę, że nie zrobiła tego, kiedy wchodziła. — Dziękuję.

- Zaraz, jeszcze jedno. - Ochmistrzyni wysunęła dolną szufladę biurka, otworzyła puszkę i wyciągnęła brązową kopertę. — Dla ciebie.

- Proszę pani?

— Na miłość boską, to przecież twoja wypłata!

Siedząc na tyle furgonu do wożenia żywności, w gromadzie podstawowych, pomocników ogrodnika i młodszych pokojówek, Marion bardzo marzła. Droga poza posiadłością była pełna głębokich kałuż, a nagie drzewa ociekały wodą. W Invercombe, nawet jeśli padało, to tak dyskretnie, że nie dało się zauważyć. Dziewczyna zerknęła na wiatroster. Wprawdzie wtajemniczono ją w fakt, że on może zmieniać pogodę, ale odrzuciła to jako bajkę.

Wilkins wysadził ją na poboczu, skąd udała się prosto nad morze. Czowała, jak poprawia jej się nastrój po tym fikuśnym domostwie, w którym ciągle coś trzeba było robić. Tutaj mogła sobie krzyknąć, zamachać rękoma i wystraszyła tylko mewy i rybołówki. Krzycząc, skacząc — zatrzymała się, tylko aby zrzucić nowe buty i skarpety, a potem zedrzeć z głowy czepek - popędziła przez plamiste, marznące błoto. To był odpływ kwadraturowy, szybki, zimny i silny; uciekał z sykiem, choć biegła ku niemu, a jednak wreszcie zdołała zanurzyć stopy w wodzie - co za słodka, beztroška rozkosz po ucisku butów.

W skalnych zalewiskach zaczęła szukać fasolki. Marne szanse, ale co tam; była przecież wytrawną poszukiwaczką. Znalazła pensówki, prawie dobre miednice, obręcze od krynolin, brosze, bryłki wyrzuconego przez fale węgla, wyżłobione kości, fantastyczne kawałki maszyn, brunatno-purpurowe zwały kukułczego wodorostu. Kiedyś nadpłynęło ogromne, włochate cielsko zmytego z mostu na Severn gargulca, jednego z tych, co pelzają po podniebnych belkach i bez końca malują je na czarno. Dziś jednak znalazła tylko parę odłamków ładnie otoczonego szkła. Prostując się, czując, jak w kieszeni spódnicy ciąży koperta od ochmistrzyni, przyspieszyła kroku, idąc ku przygarbionym, nieregularnym domkom Clyst.

Domek Price'ów wyglądał spod przysadzistego dachu pokrytego trochę dachówkami, a trochę mchem. Marion weszła do środka, pochylając

się, żeby nie uderzyć głową w niską framugę. Mateczka gotowała pranie. Podnosiła je kopyścią, jakby sprawdzała, czy już się ugotowało. Raptem dostrzegła Marion.

- Wiedziałam! - wykrzyknęła, wymachując parującym podkoszulkiem. - Wylali cię!

Nie od razu przekonała matkę, że naprawdę jeszcze pracuje w Invercombe. Potem mateczka zobaczyła wiszące na jej szyi buty.

- A co zrobiłaś ze starymi?

Marion wzruszyła ramionami, przypominając sobie, jaką minę miała kucharka, kiedy ciskała je do ognia.

- Trzymam je na bardziej mokre dni.

- Bardziej mokre? Nas prawie zalało!

- Ja i tak większość czasu spędzam w domu.

- No pewnie. Idź, zwołaj ojca, brata i siostrę, dobrze?

Ludzie znad brzegu umieli rozpoznawać się z daleka. Po sposobie chodzenia, swoistym przygarbieniu się czy utykaniu. Oto szła jej siostra Denise, ciągnęła za sobą worek i ugiwała się jakby z zaskoczeniem i niesmakiem. Dalej Owen jechał po błocie na drewnianej włóce, odpychając się kijem. Marion zwinęła dłonie w trąbkę i krzyknęła zawadzaco.

Po pachnących rybą uściskach i wyrazach zdziwienia, jak ona wygląda, troje dzieci Price'ów znalazło ojca nad małym strumykiem, gdzie polewował i nizał z powrotem swe piękne spławiki z błękitnego szkła, z których był tak dumny. Wokół Marion zdążyła się już zebrać gromadka dorosłych i dzieciaków. „Mają dużo złota do polerowania?” - zapytał ktoś. „Nauczyli cię jakichś zaklęć? A ta ochmistrzyni to naprawdę zbiegła niewolnica? Ile ci się udało zwędzić?”.

- Mamy szczególny dzień - obwieścił tata, gdy wrócili do domu.

Zaprowadził Marion do spiżarni i podniósł deski, odsłaniając dół, w którym trzymał swój drobny import. Odkorkowawszy zębami jedną z brązowych butelek bez etykiet, przysunął ją do nosa, by sprawdzić, czy nie dostała się do niej morska woda. Potem siedli przy stole, jedli obsmażany chleb z wodorostów, śledzie i wszyscy trochę sobie popili. Marion nigdy wcześniej nie zauważyła, jak szary jest ich chleb i jak zawzięcie ojciec dłubie w zębach. Była pewna, że przysłuży się rodzinie, przyjmując zaskakującą propozycję arcycechmistrzyni; powtarzała sobie, że to po prostu praca jak każda, ale teraz wyglądało, że sam fakt służenia w wielkim domu stanowi tożsamość, którą chcą ją naznaczyć i domownicy, i wszyscy w Clyst - a ona się z nią wcale nie identyfikuje.

- Jak tam, skarbie...? - Porośniętą odciskami dłonią matka ścisnęła jej nadgarstek.

- Masz pustą szklanekę, dziewczyno. - Tata uniósł butelkę.

- Wszystko w porządku. A w ogóle to mówiłam wam, że dostałam wypłatę?

- No, w takim razie... - Tata odstawił z brzękiem flaszkę i zatarł dłonie.

Marion wiedziała, że pieniądze należą się rodzinie. Jasne, fajnie byłoby przejść się wzdłuż jedynej w Luttrell pasażu porządnym sklepów i kupić mamie nową chustkę, tacie cygaro w srebrnej rurce, Denise jakieś perfumy, a Owenowi kompas, któremu zawsze się przyglądał, ale miała lepszy pomysł. Właściwie to dlatego tak łatwo i szybko zgodziła się na brzegu na ofertę cechmistrzyni. Koperta, kiedy ją wyciągała i kładła na stole, wydała się równie solidna i pewna, jak same pieniądze.

- Myślę, że powinniśmy za to zrobić Sally porządną nagrobek - obieciła Marion.

Od razu poznała po ich minach, że nigdy o czymś takim nie myśleli.

- Wspaniały pomysł - mruknęła mama, znowu ściskając przegub Marion. - Po prostu, po prostu... wspaniały.

- Tylko że - dodał ojciec, przerywając dłuższe milczenie - wszystko jest już załatwione.

- Co niby jest załatwione? - Marion zdumiała się szorstkością we własnym głosie.

- Zapisaliśmy naszego Owena do Cechu Żeglarzy, tak jak zawsze obiecywałem!

- Nie jesteś zła, co? — zapytała Marion siostra, gdy się gramoliły na niską antresolę nad kuchnią, gdzie obie spały.

- Wcale. — I to była prawda. Wykupienie Owenowi porządnego czeladnictwa było dla rodziny najlepszą możliwą inwestycją. A o Sally już się tu nie rozmawiało, choć odeszła zaledwie rok temu.

- A ja będę prawdziwą krawcową, mówiłam ci? Nan Osborne obiecała, że mnie nauczy, a potem, w przyszłym roku, załatwi, żebym poszła do tej cechowej akademii w Bristolu.

- Świetny pomysł - odparła Marion z roztargnieniem, wysuwając szufladę i znajdując w niej rzeczy siostry.

- Rozpuściłaś się w tym Invercombe, sikając do porcelany. Kto by pomyślał!

- To powinnaś być ty, Denise. Mogę jeszcze spróbować szepnąć słówko...

- Wyobrażasz sobie, że latam ze szmatą i **dygam**?! Ale twoja bluzka to mi się naprawdę podoba... – Denise się przysunęła. - Te zaszewki, co ją dopasowują tutaj i tutaj. - Zazdrośnie musnęła rękami pierś siostry.

- Poważnie? Myślałam, że jest po prostu za ciasna.

Piękne błękitne oczy Denise przez chwilę wyrażały zdumienie. Jej twarz, o ładnych, wydatnych kościach policzkowych, zarumieniona od rumu i przebywania na świeżym powietrzu, była obramiona jasnobrązowymi lokami. Marion pomyślała, że to najpiękniejsza twarz, jaką w życiu widziała. Przynajmniej do momentu, kiedy poznała nową arcycechmi-strzynie Invercombe.

- Niewiele jeszcze wiesz o świecie, co, siostrzyczko?

Ona tymczasem zapomniała, czego właściwie szukała wśród swoich starych rzeczy. Denise zresztą i tak przywłaszczyłaby to sobie albo wyrzuciła.

- Marion, jakieś resztki i guziki. Kawałki tasiemek, na przykład takiej, jak ci się pruje u dołu sukni. Wiadomo, jak to jest w tych bogatych domach, ciągle wyrzucają coś, co może się jeszcze przydać.

- Rozejrzę się. - Chociaż, jak stwierdzała jedna z mądrości kucharki, **POŻYCZANIE Z DOMU TO ZWYKŁA KRADZIEŻ**.

– Ale przede wszystkim musisz mi załatwić jedno... – Denise zrobiła zaskakująco poważną minę, przysiadając przy maleńkim okienku i przyzywając Marion do siebie. Otworzyła usta i wetknęła do nich palce.

- Zidziś?

Marion, mrugając od ohydneho smrodu, zajrzała do środka. Trzonowce siostry były czarne jak smoła. Denise zawsze lubiła słodczyce, szczególnie Kartacze **Bolta**, ogromne landryny o warstwach jak cebula, które zmieniały kolor, gdy się je przegryzało. Czerwoną warstwę można było rozsmarować na ustach i wyglądała jak szminka.

- Gdybyś tak skombinowała dla mnie trochę porządnej pasty do zębów - powiedziała Denise, przetykając ślinę. - No wiesz, takiego białego czegoś, co pachnie lekarstwami. To na pewno by pomogło. Przyniesiesz mi, co?

Marion zdała sobie sprawę, że jej powrót do Clyst zmienił dzisiejszy dzień w coś przypominającego te rodzinne niedziele, o których kiedyś czytała w gazetach. Jej powrót albo rum. Bo mateczka drzemała przed ogniem, tata nucił i krzątał się wokół, choć niczego konkretnego nie robił, a Denise, zainspirowana bluzką, coś z zapałem majstrowała. Nawet zwykle pracowity Owen siedział w otwartej przybudówce na odwróconej blaszanej balii i gapił się na przyływ.

- Gratulacje - powiedziała.

Uniósł na nią wzrok.

- Mówisz to poważnie?

- No pewnie. A teraz rusz się.

Zapał już zmrok. Właściwie był jeden z tych dni, kiedy wcale nie robiło się naprawdę jasno - przynajmniej poza Invercombe. Na morzu żarzyły się klejnocikami i punkcikami światełka statków. Fracht szedł do Bristolu albo wychodził stamtąd na cały świat. Brat od zawsze marzył, żeby zostać marynarzem na takim statku, precyzyjnym jak urządzenia pokładowe.

- Już cię inicjowano?

- Nie, ale tata naprawdę podpisał papiery. Dają taką żółtą kopię, cały czas mówi, że powiesi to w ramce. Nie wiem, jak mam ci dziękować.

- To nie z moich pieniędzy. Tata oszczędzał od lat.

- No... - Owen zachichotał i pokręcił głową. - Przynajmniej zawsze tak mówił.

Owen był pod każdym względem największy w rodzinie; o szerokiej twarzy, rumianych policzkach i sterczącej szopie kasztanowych włosów, skłonny do tycia nawet na ich kiepskim jedzeniu. Trudno było go sobie wyobrazić w białym mundurze ze sznurami, epoletami i mosiężnymi guzikami, ale o swym nowym cechu mówił podekscytowany i zapewniał, że choć będzie chronił jego tajemnice, nigdy nie zapomni o swych korzeniach.

- Naprawdę, siostra. Wierzysz mi? Rozumiesz, ja się nie zmienię. Będę dalej jadł pasztet z węgorka i nienawidził cholernych Poborców Akcyzy. I dalej będę rzucał w fale kawałki chałki, żeby morze nie zapragnęło zbyt wielu dusz.

- Owen, jesteś moim bratem. Jesteś Price'em. Kiedy będę musiała ci o tym przypomnieć, to wezmę wiosło i walnę cię w łeb.

Miło się tak zaśmiewać w ciemności, nawet kiedy grzechot wiatru w dachówkach ustąpił mocniejszemu szurgotowi deszczu.

- Posłuchaj, skarbie... - szepnęła mama, przyciągając Marion do siebie, gdy cała rodzinka zebrała się po ciemku, by ją pożegnać. - Któregoś dnia obstaluje się dla Sally coś ładnego.

Marion szła nadbrzeżną drogą, a deszcz zmieniał się w deszcz ze śniegiem. Wiedziała wprawdzie, że jest skrót prowadzący przez cypel prosto do furtki ogrodu Invercombe, ale tamtędy nigdy by nie poszła ani jako dziewczyna znad brzegu, ani jako młodsza pokojowa. Drogą płynęła woda. Marion trzymała się jej krawędzi. Szła, od czasu do czasu przewracając się, aż dotarła do miejsca, gdzie odchodziła mniejsza dróżka wiodąca do bramy i stróżówki Invercombe. Deszcz ze śniegiem przez chwilę silniej niż przedtem siekł pojeżdżające drzewa, potem ustał jak za naciśnięciem guzika.

4

Punkt dziesiąta, ciepły marcowy wieczór w Invercombe, dziewięćdziesiąty dziewiąty rok Wieku Światła; każdy kurant, dzwon i gong z osobna wypełniał sobą milczenie, aż w przeciągłych obchodach godziny zastępował go następny. Z początku ta nieregularność narzucała się Alice jako coś, co można by wykorzystać. Teraz nauczyła się nią delectować. Dziesiąta rano. Wyciągnęła z kuferka poplamioną fioletem papierową torbę i wysypała owoce ciemiernika do białej, zdobnej rytem retorty. Dziesiąta rano. Mruknęła zakłęcie i uśmiechnęła się, patrząc, jak puchną i nabierają lśniącej, apetycznej, słodkiej czerwieni. Dziesiąta rano. Włożyła elegancki oliwinowy płaszcz, ostatni raz sprawdziła w lustrze i uśmiechnęła się na widok odzyskanej jędrności podbródka.

A na zewnątrz, kiedy szła do Ralpa na południowo-zachodni górny taras, gdzie lubił teraz siadywać, rozbawił ją fakt, że cień rzucany przez zegar słoneczny na ciepłą ścianę z czerwonej cegły ponad głównym hallelem pokazywał zaledwie wpół do dziesiątej.

Na dźwięk kroków matki Ralph przesunął kolisty obiektyw swego teleskopu z kotłującego się gorączkowo żywopłotu, w którym obserwował

parzenie się wróbli, i skupił sokołe spojrzenie swego nowego nabytku, prawdziwej marynarskiej lunety, którą sprezentował mu niedawno wiarosternik Ayres, na posiwiłym pasemku włosów.

- Skarbie, to niezbyt ładnie patrzeć na ludzi tak, jakby byli przedmiotami.

- Nie? - Mrugając, oderwał oko od okularu.

- No dobra, nieważne. - Matka przysiadła na skraju leżaka, odgarniając koce okrywające mu nogi. - Muszę zobaczyć się z **kimś** w Bristolu.

Ralph skinął głową. Rzeczywistość poza biblioteką i ogrodami Invercombe była całkiem inna. Pomyślał o ojcu, o zadymionym londyńskim powietrzu, które przedostawało się razem z nim po linii, kiedy rozmawiali przez telefon, i poddał się łaskoczącemu **napiwowi** nowej fali kaszlu.

- Muszę iść. - Matka delikatnie go ucałowała. Nic się jej nie imać. Zawsze była tak młoda i świeża; wyglądała pięknie, idąc przez słoneczny taras, gdzie rozrośnięte głowy ogromnych dzwonek kiwały się na wietrze, jakby chciały, uderzając pręcikami, zawtórować biciu wszystkich zegarów domstwa.

Pozostawiony samemu sobie, znów przyłożył oko do lunety i jednym rozmazującym obraz ruchem przesunął obiektyw przez pół doliny. Powietrze było zadziwiająco przejrzyste, a urządzenie, zaprojektowane i wyprodukowane według czystych zasad optyki, okazało się, jak pomyślał, wiodąc wzrokiem po złotozielonych łądych świetlików i mlecznych kulach **luniaka**, chyba jedynym **nienaeteryzowanym** przedmiotem w Invercombe. Osiągnął tutaj całkiem **nowy** stan jasności umysłu. Za to, oraz za poprawę zdrowia, czuł wdzięczność wobec Invercombe. Początkowo było znużone jak on, wydawało się zaledwie końcem kolejnej podróży i - jak zawsze - okazją do kolejnych lektur, kolejnych badań naukowych. Wiedza, pewność, nauka od dawna były mu murem obronnym przed gorączką, a także najpewniejszym dowodem, że świat - prawdziwy świat, którego poza rozgardiaszem koców, wózków inwalidzkich, kufrów i dworców kolejowych widział tak mało - naprawdę istnieje.

Najpierw pociągnęły go mapy. Był podróżnikiem, obrysowując podróże swoje i matki wzdłuż kropkowanych granic Europy, potem połączył afrykańskiego łądu, białych **granice** Lodowej Kołyski, aż ogarniał go nowy atak gorączki i niósł do terra incognita koszmaru. Potem zainteresował się przyrodą. Zaczynał rozumieć, że wszystko w życiu jest częścią jednej skomplikowanej maszyny. Płatki kwiatu miały związek z zapylającą kwiat pszczołą mieszkającą w ulu pośród kształtów, jakie można było

zaobserwować także w skalnych kryształach. Przewracając lśniące, ciężkie stronice wielkich i kosztownych ksiąg, które kupowała mu matka, odgarniając półprzezroczyste warstwy ochronnego pergaminu, by spojrzeć na pięknie pokolorowane i opisane plansze, często czuł, że jakaś część jego duszy opuściła łóżko i spaceruje po cudownym ogrodzie. Ta ucieczka do świata, w którym wszystko dawało się opisać i wytłumaczyć, była stuprocentowym przeciwieństwem gorączkowych majaczeń. Element tego świata stanowiła nawet choroba trawiąca jego ciało - a skoro tak, nie była ani wspaniała, ani straszna, była po prostu faktem. Pierwotna gruźlica płuc: mieszkała w motyliach skrzydłach wypatroszonych płuc swych ofiar.

Wrogiem, przed którym należało się bronić, stał się więc chaos - bezsens - a nie choroba. Ralph tropił go i zwalczał z samolubnym zapamiętaniem inwalidy. Niebawem uznał, że zbędna jest ręka Najwyższego nakreślająca mechanizm powodujący wszystkimi zdarzeniami w przyrodzie, odrzucił też biblijną ideę ogrodu rajskiego, w którym rzekomo pieniły się wszystkie gatunki i rodzaje. Teraz raj istniał dlań jedynie jako chaotyczny mit, całkiem nieprzystający do Wieku Światła, acz nieco trudniej było wyzbyć się obrazu dwóch pierwszych istot ludzkich, płochliwych jak fauny i odartych nawet ze swych figowych listków. Od czasu do czasu wciąż przylapywał się na wpatrywaniu w stare ryciny Adama i Ewy stojących obok obsypanego owocami Drzewa Wiadomości Dobrego i Złego. Oboje byli bezwłosi, co, jak wiedział z zawołowanych wzmianek w dodatkach i przypisach książek o fizjologii, nie zdarzało się dorosłym ludziom, choć nigdy dotąd nie znalazł żadnych ilustracji, z którymi mógłby należycie porównać to, co się działo z jego ciałem. Często mieli pępki, co, zważywszy na okoliczności, także było błędem, a Ewa - także piersi i sutki, które nie zawsze w pełni zakrywała uniesioną nonszalancko dłonią. Czasami można było nawet dojrzeć szczelinę pomiędzy jej nogami. Po odłożeniu książek, zgaszeniu świateł, kiedy ogień migotał w kominku, a jego ogarniała słodka ciemność zakłęb i rozlewające się po ciele laudanum, jej obraz często stał mu przed oczyma jak pełen wyrzutu duch utraconej wiary. Czasem nawet przychodziła do łóżka i brała go w objęcia - wtedy rozkoszny ucisk na podbrzuszu tarcie mrowiał ulgę.

Lecz teraz, w Invercombe, wszystko stało się jasne. Tutaj, mimo że wiele książek zgubiło się podczas przenosin, miał dostęp do biblioteki jeszcze większej niż w Walcote, której półki były jak na jego gust zbyt wypchane powieściami i oprawionymi rocznikami plotkarskich magazynów.

W Invercombe od razu wiedział, otwierając pierwszą z tutejszych książek, o życiu ptaków, że nigdy dotąd nikt jej nie otwierał, o czytaniu nie mówiąc. Przywodziło mu to na myśl odległe czasy sprzed choroby, kiedy jako pierwszy szedł po białym i z pozoru nieskończonym śnieżnym polu. To prawda, książki w Invercombe były nieco stare, Ralph rozumiał jednak, że wiedza się nie zmienia. Miał też dziwne poczucie - bardzo nienaukowe, ale dodające otuchy - że te książki czekały na niego, tak jak czekał cały dom. Widział, że i matkę ekscytowało Invercombe, że swą starożytną maszyną obliczeniową, najwyraźniej wciąż działającą gdzieś w trzewiach domu, gdzie jeszcze nie dotarł, z jej rolą w kształtowaniu się jego cechu, nawet z wiatrosterem do obrony przed co gorszymi wybrykami pogody. W pewnym stopniu leczył go sam pobyt tutaj. Czasami, uderzenie serca za uderzeniem, oddech za oddechem, strona za stroną, czuł, jak jego ciało - izolowane wysepki bólu - na nowo składa się w całość.

Zejsście na dół do biblioteki, bez pomocy, było całkiem jak propozycja złożona królowej Izabeli przez cechmistrza Kolumba, dotycząca baśniowych kontynentów Thule. Gdy pierwszy raz wypuścił się z sypialni w oszałamiającą pustkę głównego tarasu na półpiętrze, tak samo jak on widział, jak znajome widoki chowają się za horyzontem, znikając w bladym świetle poza zasięgiem wzroku. Dotarcie dalej zajęło całe dni naprzemiennych wypadów i odwrotów, które w jego pamięci zlały się w jedną nieprzerwaną podróż. Gdy tylko doszedł do zakrętu, z początku wydającego się nieosiągalnym, widział nowe przeszkody, jakich nie przewidział żaden kartograf. Jak podróżnik na krawędzi świata, lądował u skosu potężnych głównych schodów. Matka wydawała oczywiście pomruki dezaprobaty, ale Kolumb słyszał to samo od swej załogi. Ralph szedł coraz dalej, schodek za schodkiem, aż wreszcie, ponad pracokres od pierwszej wyprawy, stanął triumfalnie przed drzwiami biblioteki, która była dokładnie tak imponująca, jak to sobie wyobrażał.

Przez parę dni zadowalało go samo siedzenie tam, między piętrami nieotwartych grzbietów książek. Stopniowo jednak ogarnął myślą i opamiętał to wspaniałe pomieszczenie. Wstanie z łóżka, ubranie się, a potem przejście po arkadach i zejście w dół schodami było dlań odpowiednikiem długiego spaceru po okolicy. Czasem nawet matka pozwalała mu iść samemu, choć podejrzewał, że czai się gdzieś za rogiem, na wypadek gdyby miał nagły atak zawrotów głowy. W Invercombe, w tych szeptach, grze cieni, zapachu słonego powietrza, czuło się, że ktoś cię podgląda, ktoś cię śledzi.

Koliste spojrzenie teleskopu objęło **dojrzewające** owoce w gaju cytrusowym. Ralph prawie czuł zapach rosnących pomarańczy i cytryn, które hołubił wiatroster w najbardziej osłoniętej części ogrodu. Potem do góry. Czasami tak robił - niech sobie leci i gdzieś się zatrzyma. Na grządkach figlowały i skrzyły się kolorami kwiaty o niezwykłych zapachach i jaskrawych barwach - czerwone, białe, zielone, fioletowe, albo w żadnym z tych kolorów i we wszystkich zmieszanych razem. Kiedyś niezbyt **interesował** się cudami sztuki zielmistrzów, teraz jednak przepełniała go nowa ciekawość. W końcu finalny ich produkt, obojętne, jak daleko odbiegł od **przodków**, musiał mieć swe korzenie w jakiejś naturalnie rosnącej roślinie. Cedr kamienny musi mieć w sobie coś z sekwoi z **Thule**. Żółcień pochodził zapewne od pospolitej pietruszki, a może i kopru morskiego. Potem były jeszcze stworzenia, które przybywały specjalnymi przesyłkami, zaplombowanymi i ostemplowanymi napisami „Żywe zwierzęta. Do rąk własnych adresata” prosto z biur Wydziału Stawonogów Cechu Zielmistrzów. Co pospolitszym gatunkom wystarczały pszczoły, muchy i osy, ale kiedy szło o szkarłatne jęczyczki ogniomaków, trąbki świetlików czy owoce luniaka, zwykle owady po prostu się nie nadawały. Te gigantyczne włochate i zębate stwory, jaskrawo pasiaste, o potężnych trąbkach, nazywane były brzęczkami.

Omiótl obiektywem rozmazane czubki drzew. Oto żywopłot i jakaś trawa, na której wciąż lśni rosa. Potem coś niebiesko-białego. W paski. Zastanawiając się, co to za naeteryzowane cudo upolował tym razem, wyostrzył obraz. Paski stały się wyraźniejsze, potem zniknęły, potem znów pojawiły się w **polu** widzenia. Bawełna - widział jej splot. Delikatnie przesunął lunetę, dopóki nie ujrzał botka, potem rąbka spódnicy... i z powrotem tej samej pasiastej bluzki.

Jedna z pokojówek. Te nagłe ruchy, to rozprostowywanie się fałdy na bluzce, spowodowane były tym, że pochylała się i prostowała, rozwieszając pranie. Kawałek po kawałku, jedno koliste spojrzenie za drugim, skompletował sobie jej obraz. Ciemne, prawie czarne włosy, lecz na słońcu **pobłyskujące** złoto. Były gęste i bujne, obcięte tuż poniżej ramion; po powtarzającym się błysku dłoni, którymi je odgarniała, domyślał się, że wolałaby krótsze. Twarzy nie widział - tylko krzywiznę brody i czasem małżowinę ucha, choć szybko z powrotem zakrywały ją włosy, ale przyjemnie było tak po prostu tę pokojówkę obserwować. Rzeczy, które dżgającym ruchem umieszczała na sznurze, pozostawały białą mgłą, podejrzewał jednak, że dobrze byłoby się im przypatrzeć, rozpoznać ich

naturę i krój, tak jak zapamiętał krzyżowy wzorek na szelkach fartucha i kształt poruszających się pod nimi łopatek. Lecz skupienie się na praniu oznaczało, że dziewczynę będzie widział nieostro. Gdy zaczął bić kolejny z zegarów Invercombe, Ralph poczuł, że coraz większa część świadomości wydostaje się z jego spowitego w koce ciała przez lunetę, sunąc po świetlnym promieniu.

Steward Dunning pozwalała jej teraz chodzić do domu nie tylko w niedziele, ale i w większość poranków - na wczesne śniadanie. Dzisiaj Marion wstała przed czwartą, ubrała się i szybko wyszła z posiadłości, ruszyła główną drogą, a potem brzegiem do rodzinnego domku, gdzie Priceowie dopiero wstawali.

- O, jesteś. — Tak jakby po prostu zesza z pięterka. A potem: — Czy to nie dzisiaj dzień wypłaty?

Pieniądze w jej kopertach jakby się kurczyły. Owen potrzebował munduru ucznia, podręczników, specjalnych piór, specjalnych tuszy - wszystko było specjalne. Kompasy, jakie podziwiała na wystawach w Luttrell, najwyraźniej nie nadawały się dla prawdziwego żeglarza. Igła urzędzenia, które w końcu zakupił, obracała się w obudowie wielkości miednicy, w której dałoby się wykopać dziecko. Nasycona zakłęciami, wykalibrowana, kręciła się jak żywa ryba. Denise także potrzebowała pomocy finansowej, aby utrzymać się u Nan Osborne. A Marion nie była w stanie zmusić się do zabrania grubej tubki Pasty Wybielającej Piltona z umywalki w łazience dla służby.

Godzinę po śniadaniu, przed wyjściem do Izby Żeglarskiej w Luttrell, Owen miał się uczyć. Któregoś z pierwszych poranków spędzonych w domu Marion zastała go siedzącego w otwartej przybudówce. Przed świtem było przejmująco zimno i już miała mu powiedzieć, że są w domu lepsze miejsca do pracy, gdy zauważyła, że jego szeroka twarz łśni od łez.

— Jestem beznadziejny, Marion! Nie mogę nawet spamiętać, która to sterburta, a która bakburta. Zobacz... - Uniósł kartkę, która wyglądała, jakby ocierał nią łzy. - To nawet nie jest po angielsku!

Marion wyjęła mu papier z rąk. Był to tekst zakłęcia.

- Owen, ja nie powinnam tego oglądać.

Lata wiedział to i owo o nawigacji, chyba podłapał też parę zakłęb, ale na pewno przeraziłby się, gdyby Owen poprosił go o pomoc. Podsunęła

kartkę pod migoczącą lampę, próbowała wypowiedzieć zapisane na niej słowa, odchrząknęła, spróbowała jeszcze raz. Tamtego ranka i we wszystkie inne dni, kiedy ochmistrzyni rozumiała, nie pytając o nic, że obecność Marion w domu rodzinnym jest ważna, znajdowała w bałaganiarskim worku Owena stosowne podręczniki mówiące o Zdaniu, Kształcie i Składni, zadawała sobie trud ich zrozumienia, po czym wszystko mu jak najprościej tłumaczyła.

Przypląwy nadchodziły i odchodziły. Odfrunęły zimujące ptaki. A Marion dowiedziała się nieco o korzystaniu z map, wykreślaniu kursów, pochodzeniu słów takich, jak „marspikiel” i „boja”. W końcu, gdy palce już im ziniwały, a książki próbowały odlatywać, nauczył się i Owen. W szczególności trzeba było uczyć się węzłów. Analizując skomplikowane rysunki, usiłowała zmusić, zaklinając go oczyma, jakiś stary, pokryty smołą kawałek sznura do zrobienia sztuczki, a palce jej drżały, swędziały i pokrywały się bąblami, po czym pokazywała to Owenowi tak, aby rozumiał. Były tam duże, ozdobne węzły jak osie gniazda, były węzły tak małe i delikatne, że jubilerzy związywali nimi sznury pereł. No i wreszcie węzły wiatrowe, wyjątkowo uparte i trudne bez odpowiedniej dawki eteru - od niekończących się zakłęb bolały gardła, tak jak palce od wiązania; czasem jednak w jakiejś resztkę liny pozostało jeszcze dość eteru, by powietrze wokół nich zgęstniało, jakby przeszło tamtędy coś dużego i niewidzialnego.

Takie rozpoczynanie każdego dnia było męczące, a potem czekała ją jeszcze długa droga z powrotem do Invercombe, w pośpiechu, żeby zdążyć na wspólną modlitwę z kucharką i pokojówkami. Nawet teraz, kiedy rozwieszała bieliznę - ochmistrzyni nalegała, żeby każda służąca sama sobie prała - w głowie wciąż polatywały jej żeglarskie zakłęcia. Falujące prześcieradła mogły być bezanami i bramslami, a podkoszulka topslem. Poczowała łaskotanie na karku. Poczowała coś jak światło, jak blask słońca wydobywający z ciała pot. Choć nie było to całkiem nieprzyjemne, miała niemal pewność, że ktoś ją obserwuje.

Wiatrosternik Ayres dostrzegł z galeryjki wiatrosteru mosiężny poświat. Opuścił wzrok i zobaczył, że panicz Ralph zawzięcie obserwuje z górnego tarasu dziewczynę od Price'ów z Clyst rozwieszającą majtki na sznurku. Bardzo ucieszył się, że podarował chłopakowi swą starą lunetę.

Przesuwając w palcach wycięcia wstęgoczarzu, myśląc ciepło i erotycznie o Cissy Dunning, przypatrywał się krajobrazowi Somerset poza posiadłością Invercombe, wciąż spowitemu w mgłę, podczas gdy Invercombe już kąpało się w słońcu. Teraz, po latach oczekiwania, miał szansę puścić tę maszynę na pełne obroty i udowodnić ochmistrzyni Invercombe, że jest w stanie ożywić posiadłość jak należy, a po drodze może i zdobyć jej serce. Słońce lśniło na jego łysinie i kopule wiatrosteru, gdy sprawdzał temperaturę, ciśnienie atmosferyczne oraz zastanawiał się nad właściwym sformułowaniem zaklęcia, którym odgoni nadchodzący front chmur. Kiedy zegar wybijał ostatnie „bom” godziny dziesiątej, rozbiły w słońcu liczne okna Invercombe.

5

Podczas przewożenia ich dobytku do Invercombe zaginęła część paczek, zwłaszcza z książkami Ralpha. Chociaż wobec bogatej biblioteki Invercombe nie powinno mu ich brakować, Alice powiedziała ochmistrzyni Dunning, że skoro i tak jedzie dziś do Bristolu, poświęci parę minut na zajęcie się tym problemem.

Ochmistrzyni rzuciła jej jedno ze swych spojrzeń.

- Te rzeczy, proszę pani, rządzą się własnym czasem.

Ach, doprawdy? – pomyślała Alice. A potem pociąg z Luttrell niewiarygodnie się spóźnił. Właściwie ten, który w końcu przyjechał na małą miejscową stację, ani wyglądem, ani trasą nie przypominał niczego z rozkładu jazdy. Niemniej znaleziono dla niej elegancki wagon, a kawę podano słodką, mocną i aromatyczną, tak że teraz Alice szła spacerkiem przez to osobliwe miasto, czując się pełna życia, energii i zadowolona. Jak łatwo się było domyślić, gałkowaty fallus wieży zegarowej bristolskiej poczty głównej pokazywał całkiem inny czas na każdej z sześciu fasad.

W środku kolorowe kafle i olbrzymia poczekalnia. Długie ławki dla oczekujących. Zapach gumek. Trzepot uwieczonych gołębi. Podeszła prosto do pierwszego okienka i mocno walnęła w dzwonek, udając zniecierpliwienie i bawiąc się inkrustowaną cechową broszą - nie zapomniała przypiąć jej do kłapy.

- Proszę pani, o pierwszej zamykamy.

– Nie ma problemu. –Zerknęła na kolejny olbrzymi zegar, który zwieszał swe wskazówki w całkiem zrozumiałym geście kłęski. - Nie zajmę dużo czasu.

– Muszę znaleźć kogoś, żeby pani pomógł. To, niestety, nie mój departament.

I tak dalej.

– Tak, pani arcycechmistrzyni. To wielka szkoda. Naprawdę panią rozumiemy. Czy ma pani opis każdego zaginionego przedmiotu? A także kopię formularza LIF dwieście siedemdziesiąt jeden łamane na A?

I tak dalej.

Cech Pocztców był blisko spokrewniony z Telegrafistami. Choć na traumatycznym przelomie wieków, po którym nastął obecny Wiek Światła, drogi tych instytucji się rozeszły, Alice mogłaby wyrecytować z tuzin nazwisk wysokich cechmistrzów nadal maczających palce w obu. Dawno jednak stwierdziła, że bez sensu jest zwracanie się do tak ważnych osób w sprawach dziejących się o wiele poniżej ich poziomu. O wiele lepiej delikatnie używać swych potężnych wpływów, rozmawiając bezpośrednio z urzędnikiem, majstrem czy mechanikiem, który może osobiście zająć się twoją sprawą. Bezpośrednie groźby zwolnienia z pracy czy obietnice awansu tylko denerwowały te istoty, a Alice, choć uważała się za osobę wolną od pospolitej próżności, i tak myślała, że właściwie wyświadcza im przysługę, obdarzając uwagę przez parę minut.

- Jest już dobrze po pierwszej, pani arcycechmistrzyni, niezmiernie mi przykro, ale obsłużenie pani według formularza wyszukania przedmiotu będzie możliwe dopiero po otwarciu urzędu jutro rano... – Prawdę mówiąc, bristolskie kościoły i zegary wciąż zawzięcie wybijały godzinę, ale ten starszy mistrz, podobno zajmujący się zagubionymi przesyłkami w rejonie doręczeń Invercombe, był już na dobre zajęty kanapkami, kiedy zaprowadzono ją do jego pokoju. Śmierdziało konserwowym mięsem i najwyraźniej tutaj tak zwana służba publiczna, jak bez ironii o sobie mówili pocztowcy, standardowo kończyła w połowie dnia godzinę urzędowania. Rozkład tych godzin, jak podejrzewała Alice, celowo zaprojektowano dla zmylenia przeciwnika. Starszy mistrz zakręcił karuzelą pieczętek. Dotknął - choć wolałaby, żeby nie robił tego swoimi tłustymi paluchami –żółtych formularzy w dwóch kopiach, które z takim trudem wypisała. Po co jeszcze tu siedział, skoro urząd zamykano? Rozumiała jednak: etykieta cechowa. Starszy mistrz nosił zarękawki, był strażnikiem swej baterii pieczętek. Nie warto go prosić, aby błędził po katakumbach

wypełnionych niedoręczonymi przesyłkami. I tak zdałby się na nic. Wzdychając, choć wciąż prawie uśmiechnięta, zostawiła urzędnika z jego drugim śniadaniem, a puste sale urzędu pocztowego z ich gołębiami.

W zalanym słońcem mieście zapachy jedzenia mieszały się z woniami starego kamienia, zatkanych rynsztoków, prostodusznym smrodem otwartych publicznych pisuarów, których używanie sprawiało podejrzaną przyjemność mężczyznom gapiącym się na ciebie ponad przepierzeniem. Niewiarygodne budowle poszturchiwały się ramionami, gdzieś wysoko łaskotały tramwaje, krzżeli się ludzie, zamożne cechmistrzynie nosiły tak puchate i włochate futra, że Alice zaczęła się zastanawiać, czy w cieńszym okryciu nie powinno być jej zimno. Lecz to wszystko było na pokaz, tak jak niesamowite balkony z koralowej piany, wystające z pierwszych pięter domów, gdzie można było widzieć i być widzianym, nawet nie schodząc sobie zelówek. Londyn, ze swym zgiełkiem wydawał się przy tym uporządkowany. Po Lichfield, po Dudley, po tych wszystkich korektach, jakie była zmuszona w życiu poczynić, Alice uważała się za osobę elastyczną, choć musiała przyznać, że Bristol i cały Zachód wciąż potrafiły ją zaskoczyć.

Znalazła cukiernię, w której witrynach piętrzyły się ogromne, walczące z grawitacją konstrukcje z waty cukrowej i bitej śmietany, weszła do środka i czekała, bo nawet arcycechmistrzynie muszą czasem poczekać, aż zostaną obsłużone. Kasa była potężną, niesamowicie wypolerowaną machiną, z ostentacyjną radością obdzwanianą każdy zakup, potem następowało pakowanie i zamieszanie, gdyż paragony wypisywano ręcznie, ze skupieniem i mozołem wymagającym wystawienia języka, w paru egzemplarzach przez kalkę. Alice próbowała nie wspominać podwójnych formularzy z poczty. A kiedy przyszła jej kolej, kiedy udało się jej porozumieć z dziwnie mówiącym sprzedawcą, wybrała sześć babeczek z kremem.

Mimo że wcale nie było tak ciepło jak w Invercombe, wielu bristolczyków jadło drugie śniadanie na placu przed katedrą. Alice znalazła ławkę pod wysoką nibylipą właśnie zaczynającą wypuszczać srebrne liście. Musiała przyznać, że jest na co popatrzeć. Byli tu Hiszpańczycy i Francuzi - widywało się ich co prawda i w Londynie, ale nigdy nie czuli się tam u siebie; było wielu Murzynów, pajęczonogi chowaniec tańczył przy akompaniamencie katarynki, zza budynków wystawały maszty statków, pokrzykiwały mewy. Pewna, że nikt jej nie obserwuje, położyła pudełko ciastek na ławce, rozwiązała sznurek i wydłubała z kremowych wierzyczek wszystkie sześć kandyzowanych wisienek. Z nibylipy zeskoczyła

wiewiórka i zabrała wysunięte w palcach owoce. Schrupała je ze spokojną delikatnością sugerującą, że już wcześniej jadała słodycze z luksusowych cukierni, otarła wąsy i odbiegła w podskokach. Alice rozwinęła papierową paczuszkę wyciągniętą z kieszeni płaszcza i ułożyła na ciastkach sześć krwistoczerwonych jagód ciemiernika. Wyglądały jeszcze barwniej i apetyczniej. Zawiązawszy pakunek z powrotem, udała się na Brandon Hill, gdzie mieszkała wielka cechmistrzyni **Celia Raithby**.

Przypuszczała, że wszelkie ceregiele związane z zapoznawaniem ludzi są na Zachodzie nie do uniknięcia. Była już na przyjęciu z tańcami, gdzie pozwolono stadu brzydkich dzieci jeść i pić razem z dorosłymi, a potem wymiotować na parkiet. Jadła kolację z przystojnym (przynajmniej za takiego się uważał) mistrzem praworządca **Corneliusem Scuttem**, który pomadował swe siwe bokobrody i sądził, że ma wzięcie u kobiet, choć cały był pokryty wątrobianymi plamami i liczył sobie lat siedemdziesiąt albo i więcej. Z uporem much krążyli wokół niej także doktor i doktorowa Footowie oraz wielbny wyższy mistrz **Humphry Brown** – a myślała, że już udało się go przepłoszyć z Invercombe. Było to dość irytujące, ale przyglądając się wysokiej, porośniętej stalagmitami grocie, którą przypominał fronton kamienicy przy Charlotte Street 28, Alice wiedziała, że siatka zobowiązań i znajomości ciągnie się za nią przez całe życie, aż po dzisiaj, do Bristolu.

Nie była pewna, kiedy właściwie poznała tu na Zachodzie cechmistrzynię **Celię Raithby**, ale podczas niedawnego wieczorku w kulisach teatru Hotwells zaczęła wyczuwać w jej zachowaniu coś poza niemą życzliwością i cały czas próbowała dociec, co to takiego, gdy Celia dyskretnie na nią skinęła.

– To bardzo dobrze się składa, że mieszkamy teraz tak blisko siebie – zagruchnęła. – Pani arcycechmistrzyni. A może powinnam rzec... – Naprawdę trzepotała wachlarzem i falowała pełnym biżuterii dekoltem, bo i wyglądała na taką, co czytuje tanie romanse. – Może powinnam rzec po prostu Alice **Bowdly**!

Nawet wtedy do Alice jeszcze nie wszystko dotarło. Przecież Cheryl Kettlethorpe była tak chuda, jak ta kreatura jest gruba. I działo się to bardzo dawno temu.

– Nie pamiętasz naszego paktu zawartego nad jeziorkiem Stow Pool?

Oczywiście nie było żadnego paktu, ale osoby pokroju **Celii** - albo Cheryl, już sobie przypomniła - zawsze lubiły spowijać swe żądania wyściółką kokieterijnych sentymentów.

- Nie mówmy teraz o tym. Nie tutaj, prawda? Ale myślę, że my dwie powinnyśmy się spotkać i porządnie sobie pogadać. Och, moja droga, nie masz co się niepokoić... - Poklepała się po nosie, jak to zachodniacy mieli w zwyczaju. - Jestem wzorem dyskrecji.

Teraz Alice rozejrzała się po okolicach frontowego łuku w poszukiwaniu czegoś przypominającego sznurek do dzwonka. Wypatrzyła tylko coś, co wyglądało jak mosiężna tarka do sera. Nacisnęła guzik pod nią i trochę się przestraszyła, gdy zaterkotał z niej metaliczny odpowiednik głosu Celi.

- Proszę, wejść. - Coś szcęknęło. Uchyliły się wielkie wrota. - Winda wjedź na ostatnie piętro.

Winda w prywatnym domu? Był to wszakże wiek nowoczesności, a Bristol miał pod dostatkiem energii elektrycznej z wielkiej tamy w Clifton. Alice zobaczyła hall, cały w gwiazdy i księżyce, meble w czerwone cętki i jeszcze więcej marmuru niż w tej cukierni. Jeśli to nie był jakiś potworny błąd, Celia naprawdę dobrze się urządziła. Winda minęła z kłopotem szczyt domu, wyjeżdżając na światło, i Alice wyszła nieufnie na dach. Zalała ją burza kolorów.

- Och, jesteście! - Celia zamachała do niej z fotela. - Coś dla mnie przyniosłaś!

- Parę ciastek, nic takiego. - Alice położyła paczuszkę na szklanym stole, strząsnęła płaszcz z ramion, usiadła i czekała, aż jej zmysły przestaną wirować. Pomieszczenie było przykryte witrażowym dachem z tysiącami różnokolorowych szybek. Poniżej, zmieniając się za każdym, najdelikatniejszym poruszeniem głowy, leżał Bristol.

- Tak się cieszę, że kupiłam ten dom - westchnęła Celia. - Dobrze mi tu na dachu. A zielmistrzowie przynoszą tu swoje najnowsze wytwory, zanim pokażą je światu.

Białe, ociekające rosą kwiaty w kształcie mis były tak wielkie, że dałoby się w nich obmyć twarz. Świetliki żarzyły się jak pochodnie.

- Latem nie robi się tu zbyt gorąco?

- Nie, nie. Całe to szkło jest hydraulicznie otwierane. My na Zachodzie nie jesteśmy aż tak zacofani, jak wy sobie na Wschodzie myślicie...

- A to coś na drzwiach?

- Wyobraź sobie, że rozmawiasz z kimś, słyszysz jego głos i nie musisz się martwić, czy zdążyłaś się umalować. Jak rozumiem, to działałoby i na większą odległość. - Celia zachichotała. - Pomyśl, cały świat mógłby gadać ze sobą do woli, nie tylko nasza garstka szczęściarzy z lustrami i budkami telefonicznymi. Ale to by się nie sprawdziło, prawda?

Alice musiała się zgodzić, że pewnie nie. Miała już przybliżone pojęcie o drodze, którą wybrała Cheryl Kettlethorpe, by się stać cechmistrzynią Celią Raithby, a teraz usłyszała jeszcze o wiele więcej. Dwa razy wyszła za mąż, dwa razy owdowiała, wygrała w kilku kosztownych procesach wytoczonych przez pokrzywdzonych krewnych. Umiała walczyć, ale ukrywała to równie dobrze jak tamta rozchichotana młoda dziewczuszka, którą Alice spotkała kiedyś na ulicy w Lichfield, rozglądającą się za mężczyznami w potrzebie. Seks był wtedy liczącą się walutą, i mówiło się o tym bez hipokryzji, ale Celia chyba nadal tak patrzyła na życie.

- Moi mężowie, biedactwa, no, niestety, w tej dziedzinie, szczerze mówiąc, byli nie za bardzo. Nie miałam też szans pozostać tak szczupła i drobna jak ty, kochanie. Bo na miarce mojej krawcowej znam się jak każda kobieta. - Poklepała się po dekolcie matrony. - **Mężczyźni** się nie przyznają, ale lubią babki trochę przy kości, choć nie zawsze nawet wiedzą, co z tym zrobić. Kiedy zobaczyłam ciebie, to pomyślałam: Moja dawna przyjaciółka, Alice Bowdly! Ale przecież to niemożliwe, bo zupełnie się nie zmieniła. Kochana, jak ty to robisz?

Alice otworzyła usta, żeby powiedzieć coś o ścisłej diecie, ćwiczeniach, dyscyplinie, ale Celia już dzwoniła bransoletami.

- Cokolwiek to jest, ja bym nie dała rady. Jeśli chodzi o wszystko co dobre, jestem słaba jak dziecko. A propos, w tej paczce są ciastka?

Otwarte pudełko roztoczyło mleczny i słodki aromat.

- Trzeba się też czegoś napić.

Celia poczłapała do wielkiej, cicho mrużącej szafki. W środku stały kieliszki, butelki, tace. Odkorkowane, nalane z bulgotem, musujące wino dodawało słodkości już i tak przesłodzonemu powietrzu. Miało kolor moczu i jakby odrobinę coś z jego zapachu. Tu, w Bristolu, nigdy zbyt wiele nie dzieli cię od pisuaru. Butelka, zauważyła Alice, nie miała etykiety. Podobnie jak wino na przyjęciach, a nawet niektóre butelki, które oglądała we własnych piwnicach. Co oni tu mają za problem, na tym Zachodzie? - postanowiła zapytać Celię. Brakuje papieru i kleju przez te wszystkie idiotyczne formularze i kwitki, które tak lubią? A może Hiszpańczycy i Francuzi wstydzą się swoich produktów?

Celia, zawzięcie przyglądającą się ciastkom na stoliku, wyprostowała się, a wyraz totalnego zaskoczenia poznał jej twarz dołkami.

- Naprawdę nie słyszałaś o drobnym imporcie?

- Nie. - Alice mimo irytacji uznała, że nie czas udawać wszechwiedzącą. - A co to takiego?

- No, to jest dobre pytanie... - Celia się na chwilę zamyśliła. Na jej ustach zaigrały niewypowiedziane zdania. - Chodzi o... Właściwie trudno dokładnie powiedzieć... Jest prawo, nieprawdaż? Czasem głupie, zwłaszcza jeśli chodzi o płacenie części dochodów. Nie chodzi o to, że mam coś przeciwko płaceniu podatków. Ale są pewne granice, prawda? W końcu nie robiliby tak absurdalnych przepisów, gdyby nie spodziewali się, że będziemy je obchodzić...

Najpierw powoli, potem szybciej rozjaśniło się jej w głowie.

— Czyli to wino jest z przemytu?

- Kochana! - Celia wyglądała, jakby miała sięgnąć przez stolik i dać jej klapsa w nadgarstek. - Ty naprawdę musisz wszystko ubierać w tak niefortunne słowa. Dobrze ci radzę, po prostu zacznij nazywać to w myślach drobnym importem.

Alice skinęła głową. Jak to często bywało, eufemizm mówił więcej niż bezpośrednie określenie.

- Od której zacząć? - Celia zatrzymała dłoń nad babeczkami. — Chyba ty powinnaś wybrać pierwsza.

Alice sięgała już po zdobioną niteczkami lukru i arcydzięglem konstrukcję najbliższej sobie, ale szybki manewr lalkowatych dłoni Celi skierował ją ku najdalszemu ciastku.

- O, to chyba wygląda najsmaczniej.

Alice przypatrzyła się złowrogiemu połyskowi jagody ciemiernika, po czym powoli, delikatnymi ruchami zaczęła jeść babeczkę bez pomocy łyżeczki czy serwetki.

- Te bzdury o wyrzeczeniach, co? - Celia zagarnęła ciastko ze środkowego rzędu i zjadła drobnymi liźnięciami, skubnięciami, wzdychając z rozkoszy. - Świetnie ci się udało — mruknęła z pełnymi ustami. — Rozumiesz, ja jestem tylko dwukrotną wdową, damą cechową. Ale ty jesteś arcycechmistrzynią jednego z głównych cechów. I nosisz się z tym tak lekko. Masz nawet rodzinę. A przynajmniej syna, choć słyszałam, że biedactwo ma problemy ze zdrowiem. No i te domy! Całe to bogactwo! Wpływy! Naprawdę musisz - mmm, jakie to pyszne! - wszystko mi o tym opowiedzieć.

Pomiędzy lepkimi kęsami Alice starała się podtrzymywać rozmowę, choć Celia nie była właściwie zainteresowana niczym poza sobą oraz tym, że ona i Alice są tak podobne, mogłyby zostać świetnymi przyjaciółkami i mogą na sobie polegać. To prawda, przyznała w myślach Alice, że wyjawienie prawdy o ich pochodzeniu mogłoby Celi nieco zaszkodzić, ale

nie bardzo. Jej obaj mężowie przecież nie żyją, ma ugruntowaną pozycję na Zachodzie, gdzie liczą się tylko podwójne standardy. Alice natomiast wciąż buduje swe życie – wciąż nieukończone. Oczywiście niedbalstwem było nierozpoznanie od razu w Celi ohydnie odmienionej Cheryl Kettlethorpe, nie wyczuwała jednak w egzaltowanym zachowaniu tej kobiety pragnienia otwartego szantażu. Przecież wydawała się teraz **przeszczęśliwa**, otoczona gigantycznymi kwiatami, opychająca się babeczkami. Czy rzeczywiście potrzebowała więcej pieniędzy, wyższego statusu? Bardziej prawdopodobne, że czuła się po prostu trochę samotna wśród dóbr po zmarłych mężach. Jej żąda przyjaźni z arcycechmistrzynią, przyprawionej do tego odrobiną dreszczyku tajemnicy, zapewne była szczerą. Lecz Alice wiedziała, jak to się dzieje. Zawsze coś się wymknie. Drobne przysługi. Nawet otwarte żądania pieniędzy - bo przecież nikt ich nie ma za dużo. Wszystko to opakowane w standardowe banały typu „bo tak to jest między nami **przyjaciółkami**”, gdy naprawdę obie strony wiedzą, że masz nóż na gardle. Zmusiła się do przełknięcia drugiej babeczki, mając pewność, że Celia dokończy resztę. Udała, że pociąga kolejny łyk okropnego wina, i zapytała, czy może na chwilę wyjść.

Wycieczkę przedłużyła, zaglądając za kilkoro drzwi i w dół klatek schodowych; najwyraźniej Celia rzeczywiście opróżniła dom ze służących. W przypominającej pałac toalecie Alice zwymiotowała. Dwie jagody **ciemniernika**, które połknęła w całości, jak pigułki z tranem, wymagały kilku **splukań** i sporej ilości papieru toaletowego. Obmywszy twarz i ręce, idąc z powrotem na dach, naprawdę czuła się oczyszczona. Wprawdzie planowała sfinalizować zakłęcie parę godzin później, daleko stąd, ale była **ciekawa**...

Gdy siadała ponownie, Celia była w trakcie czwartego i ostatniego ciasteczka, a ostatnia czerwona jagoda zniknęła już w jej usmarowanych kremem ustach.

- Naprawdę jesteśmy tutaj całkiem same?

Celia zlizwała z palca kroplę kremu.

- Ależ wcale nie jest potrzebna aż taka dyskrekcja. Ja w życiu nikomu nic nie powiem. Wiesz co, na swój sposób przypominasz mi mojego Clive'a. Mówiłam, że to był mój drugi mąż?

I znów popłynęła. Ja, ja, ja. Ten akurat mąż wzbogacił się na, jak to nazwała, kolonialnej plantacji; Alice wiedziała, że oznacza to zniewolenie tysięcy Murzynów pod palącym słońcem po to, by Celia i jej podobne mogły się roztyć, mając pod dostatkiem cukru. Tak typowe dla tego

leżącego w dole miasta, pokawałkowanego przez kolorowe szybki jak rozsypane części układanki, afisze na ścianach zachwalały szczucie niedźwiedzia i walki gargulców. Kawowa karnacja wielu służących, a nawet pomniejszych cechowych też o czymś mówiła. Ostentacyjna pobożność. Szalejąca biurokracja. Drobnny import. Wszystko to było częścią wielkiej różnorodności, z której składało się wielkie państwo, ale gdy tak siedziała i słuchała Celi, niewiele wysiłku kosztowało ją wywołanie u siebie furii niezbędnej do rzucenia zaklęcia. Tak, zostanie w Invercombe i wytrzyma wszystko, żeby tylko Ralphowi się w końcu poprawiło, ale trzeba przyznać, że ten Zachód jest z gruntu zepsuty.

- **Słucham...?** - Celia oblizała wargi z **połyskujących** okruchów. - Nie dosłyszałam.

- Zamknij się na chwilę, dobrze? Chcę mieć pewność, że wszystko wyjdzie mi jak trzeba.

Celia opuściła dłonie na kolana, pochyliła się w fotelu.

Alice nabrała powietrza. Odchrząknęła. Czuła się niemal zakłopotana - zaklęcie było gardłowe i skomplikowane.

- **No...?** - Celia wyprostowała się, wyraźnie zdumiona. — Bo nie rozumiem...

- Teraz to już nie ma znaczenia.

- Hm... - Celia przechyliła głowę, jakby się zastanawiała, czy się zgadza. A potem, z początku niedostrzegalnie, zaczęła się trząść. — Hm... - Tym razem wyrwał się z jej gardła zwierzęcy odgłos.

Alice wstała. Celia dygotała, wbijając dłonie w pierś i brzuch, jakby chciała wydrzeć stamtąd powód tego, co się z nią dzieje. Błada pod warstwami makijażu, oczyma wychodzącymi z orbit omiotła kwiaty, szkło, meble. **Stęknęła**, dziwne wymiociny o jaskrawym **dziwoblasku** załaty jej łono i pierś. Usiłowała wstać, ale nogi jej nie dźwignęły i przewróciła się na szklany stół, zasypując wszystko odłamkami. Alice cofnęła się o krok. Celia dygotała, a powietrze pod witrażowym dachem zaczął wypełniać charakterystyczny dla Bristolu odór moczu i odchodów. Przewróciła się na bok wśród szkła, pojawiła się krew, a konwulsje powoli **ustawały**.

Alice lawirowała między bałaganem. Celia już się prawie nie poruszała. Drżały tylko jej usta. Choć ogród nadal był odizolowany od świata zewnętrznego, Alice poczuła na twarzy mocny, czysty powiew przewracający elegancie papierowe miseczki, w których siedziały babeczki; uboczny efekt zaklęcia, przemilczany na studiowanych przez nią stronicach, ale nie całkiem nieprzyjemny.

Przyklęknęła, by spojrzeć w twarz Celii, która patrzyła do wewnątrz siebie. Zbliżał się koniec. Lecz usta wciąż drżały. Coś mówi? Alice ostrożnie odgarnęła włosy z lewego ucha i przysunęła się do ust Celii.

- Myślałam, że...

To właśnie powiedziała? A koniec zdania miał brzmieć „jesteśmy przyjaciółkami”? Alice uśmiechnęła się ciepło do umierającej. W sam raz na banalne epitafium. Obserwowała poszerzające się tęczęwki. Ostatni cuchnący wydech i Celia odeszła. Czy myślała o swych zmarłych mężach? Czy czuła pustkę? Przez moment Alice rozglądała się wokół. Pulchne przeguby Celii zdobiły liczne bransolety. Oddychając przez usta, unosząc za mały palec lewą **dłoń**, zsunęła jedną z nich, cienkie srebrne kółko wysadzone drobnymi odłatkami berylu lub rubinu - odpowiednio kosztowne, ale wśród całej tej **ostentacji** niezauważalne. Wkładając płaszcz, wsuwając pamiętkę do kieszeni, rozgniotła obcasem drugi kieliszek i opuściła dom przy Charlotte Street 28.

Poranne słońce zniknęło. Kiedy jechała dorożką do wielkiego domu cechowego i stacji nadawczej Telegrafistów, która górowała nad portem, a jej nieokiełznane sploty kamienia były w odcieniach siniaków, Bristol wydawał się innym miastem. Wysiadła na sypiący pyłem w oczy żwirzek przed głównym wejściem do domu cechowego; po upalnej cieplarni Celii teraz było jej naprawdę zimno. Przywitała hierarchiczny pochód młodszych, starszych, wyższych, niższych, zwykłych i głównych **cechmistrzów**, po czym poprowadzono ją przez sale, w górę klatek schodowych, przez budynek wypełniony uspokajającym, codziennym szmerem. Praca tutaj nie ustawała nawet podczas wizyty ich własnej arcycechmistrzynie. Alice podobało się to, podobał się jej także coraz jaśniejszy blask linii telefonicznych rozchodzących się wachlarzem z wielkiej wieży, odwiecznego znaku firmowego głównych gmachów jej cechu, choć ta tutaj, zbudowana na Zachodzie, przypominała raczej wytrysły z ziemi murowany gejzer. Stamtąd, gdy stało się obok wiekowej, acz nadal potężnej głowni, przez którą łączyli się niegdyś telegrafisci, ciemniejące warstwy wietrznego zachodniego krajobrazu wydawały się już schwyte w sieć, **oplątane**, usidłone. Jej własne...

- Nie jest pani zimno...? Moglibyśmy przecież...

Pokręciła głową. Dobrze było należeć do tego cechu.

Daleko w dole, w morzu przekaźników, w wijących się miedzianych wstęgach zakłęb, w gniazdach węży przewodów i przepustów, swą nieustanną pieśń rozsnuwały potężne umysły maszyn obliczeniowych. Skorzystanie z budki telefonicznej wydawało się nie tylko słuszne, lecz konieczne.

Te **małe** pomieszczenia. **Właściwie** jedno, bez końca powielane i łączone. Alice splotła palce wokół rączki do wybierania i przyjrzała się **swjej** twarzy w owalnym lustrze. Przechyliła głowę, ale nic tam nie wypatrzyła. Była doskonała, kompletna. Krwawa perła - a właściwie tylko jej kawałek, żeby nie trzeba było jeszcze raz szukać na brzegu - spełniła swe zadanie. Ale teraz, kiedy uśmiechała się sama do siebie, a mała górna lampka oświetlała posrebrzony blond jej przyczesanych włosów, odniosła wrażenie, że czerwona perła puchnie w jej umyśle do rozmiarów jagód **ciemiernika** i wciąż się powiększa. Zamrugła, przelękając coś, co jakby rosnęło jej w gardle. Była starsza i nie miało to nic wspólnego z wyglądem.

Światło **zabuczało**. Krzesło, choćby nie wiem jak lekko w nim siedać, **tyknęło**. Przypomniała sobie drobne zwierzęta, na które ogrodnik Jakob zastawiał kiedyś **pułapki** w posiadłości ciotki. Czasem **mówiła** do nich czule, usiłowała sprawić, aby **zobaczyły**, zrozumiały, pokochały ją jak zwierzęta domowe, których nie wolno jej było mieć, przez co strasznie ich pragnęła. One jednak nie słuchały. Cały czas bały się, **piszczały** i drapały. Więc je zabijała, powoli, starannie, na wiele różnych sposobów. A kiedy umierały, patrzyła z ciekawością w ich małe czarne oczka. Już wtedy chciała wiedzieć, chciała zrozumieć, tak aby móc schwytać, obezwładnić tę ostatnią chwilę życia i zostawić ją na zawsze za sobą. Lecz tajemnica **pozostawała** tajemnicą, tak jak dziś podczas śniadania z **Celią**. Alice bawiła się w zamyśleniu mechanizmem wybierającym telefonu, który, co przyszło jej do głowy, naśladował prototyp w Invercombe. **Bzzz**, **bzzz**, zrobiło światło. **Tik**, **tik**, **zrobiło** krzesło. To jest moment najbliższy śmierci, jak tylko można się znaleźć za życia, pomyślała. Życia, czyli bezustannego odsuwania w przód nieubłaganej chwili.

Wybrała numer prywatnej budki Toma w jego biurze na najwyższym piętrze Giełdy Dockland. Jak zawsze ucieszył się niezmiernie na jej widok, a jeszcze bardziej, że zechciała znaleźć czas na odwiedziny u kolegów z **Giełdy** Bristolskiej. To prawdziwy cud, że Ralphowi tak się poprawia. Naprawdę musi już wyjechać z Londynu i zobaczyć się z nimi. Alice, utwierdzając męża w tych niekonkretnych planach, pomyślała, że to rozkoszne: po tylu latach świadczących wprost przeciwnie, nadal udawało

mu się wierzyć, że może brać sobie wolne, jak każdy z jego zwykłych cechowych.

- A jak ten kontrakt? - zapytała. - Ten na nową linię telefoniczną na wschodzie.

- A, ten. - Tom westchnął i uszła z niego połowa blasku.

Alice rozumiała, że nic nigdy nie idzie zupełnie gładko, ale i tak historia o odwołanych spotkaniach i źle zrozumianych poleceniach, którą ją teraz **raczył**, brzmiała jak kiepski żart. Ogólnie wydźwięk był taki, że **Pike'owie**, podwykonawcy, złożyli w sądzie kontrprozew i wyglądało na to, że bardziej opłacają im się przeciągające się procesy niż rzeczywiste wykonanie **zlecenia**.

- No, jest parę problemów - przyznał Tom, kręcąc głową nad złem świata, jak to miał w zwyczaju. - Oczywiście takie sprawy zawsze wyglądają gorzej, niż się mają naprawdę. Zresztą nie powinienem cię denerwować ciągłym gadaniem o pracy. - Wyglądał jednak na zmęczonego, a kiedy się zegnali i jego duch zbladł, aż zastąpiła go ciemność pustego lustra, Alice poczuła się tak samo. Wyłącznik już miał **brzęknąć**, rozłączając ją, lecz ona przytrzymała go i nadal wpatrywała się w mrok.

Pomysł lepszego wykorzystania telefonu nie **wydawał** się już nonsensowny i wynikający z osobistej próżności. W końcu od ostatniego znaczącego postępu minęło ponad stulecie. A któż by się nadawał do dokonania następnego kroku naprzód lepiej niż ona, arcycechmistrzynie tego właśnie cechu? Teraz wydawało się jej, że ma pod kontrolą całe zaklęcie - była bowiem pewna, że potrzeba tylko troszeczkę więcej magii, a nie niezdarnych technicznych wtrętów. Odkąd zamieszkała w **Invercombe**, przeszkody, niepewność, wszystko zniknęło z niemal absurdalną łatwością. Czasem wyglądało całkiem, jakby zwroty, które ćwiczyła, doskonaliła, wyszeptał jej do ucha cichy powiew w którymś z korytarzy; jednakże te zaklęcia, tak jak magiczne eliksiry w jej kufierku, zostały naprawdę pozyskane ciężką pracą, przedsiębiorczością i podstępem. Owszem, niedawno parę razy **budziła** się nagle, jakby spłoszona czyjąś obecnością w pokoju. Lecz ten szept, który słyszała, to pewnie tylko pulsowanie krwi w uszach albo fale przyływu obmywające klify daleko w dole. Może to po prostu to, co artyści nazywają natchnieniem, pomyślała. Czowała, że **Invercombe** przemawia do niej, i odnosiła wrażenie, że skomplikowane dźwięki, które teraz wydawała, są łatwe jak bułka z masłem dla najlepszych magów.

Już! Poczwała, że coś fizycznie popycha ją ku lustru, wpadła tam leciutko jak **nurkujący** pływak poddający się sile grawitacji. **Połączyła** się,

zjednoczyła i popłynęła sieciami rozchodzącymi się promieniście od Bristolu. Jazda była radosna, nieskrępowana zwykłymi, bezpiecznymi protokołami rządzącymi łącznością telefoniczną. Zakłęcie używane przez konserwatorów łącznic na Templemeads zaniósł ją przez lokalne linie w oczekujące objęcia stacji przekaźnikowych, skąd wciągnęło ją miasto. Mignęły kolorowe małe autka, silosy cukrowni, pomarszczony błysk zapory Clifton. Stocznie, gęstwina masztów, kominów i Bag. Wysadzana klejnotami katedra. Ulice były strugami światła niosącymi drobne pyłki, wyglądały jak popychane potężnym i nieodgadnionym prądem, a nie powodowane wolną wolą odrębnych istot ludzkich. Jej wzrok ogniskował się i leciał przez złącza i przekaźniki, skacząc od centralki do słupa, jadąc w dół i w górę po każdym napowietrznym odcinku linii, aż dotarła na Charlotte Street. Jakże to łatwe! Roześmiałaby się, gdyby mogła się roześmiać. Gdyby mogła krzyżeć, krzyknęłaby. Pod numerem 28 było lekkie zamieszanie - służące płakały, a cechowi zdejmowali kapelusze. Skupiając się na ostatnim odcinku linii telefonicznej, która ją tam przyniosła, Alice przyglądała się, jak znoszą po schodach do oczekującego czarnego wozu owinięte w czerwono-niebieską narzutę ciała Cheryl.

Po powrocie poszła do Ralpha. Jeszcze się nie kładł, zasłony w pokoju miał rozsunięte, choć na zewnątrz niewiele można było już dostrzec poza słabym blaskiem paru wczesnych świetlików. Przesunęła wierzchem dłoni po jego policzku.

– Naprawdę trzeba ci kupić maszynkę do golenia.

Ale Ralph, kiedy go komplementowała, że staje się mężczyzną, nigdy się nie cieszył.

- Twój ojciec mówił, że może tu wpadnie - dodała. - Nie robiłabym sobie dużej nadziei, choć wiem, że z przyjemnością by nas odwiedził.

Skinął głową.

- Pomyślałem, że może jutro ubiorę się porządnie i pójdę do ogrodu. Tyle rzeczy muszę obejrzeć.

- Czasem sobie myślę, że zbyt męczysz się nauką. Nie wszystko trzeba zrozumieć i wytłumaczyć.

Widziała, że poruszyła mu się grdyka. Coś powstrzymał, może tylko kaszel.

- A ja myślę, że to ty za bardzo się starasz - rzeki. - No wiesz, na przykład dzisiaj... widać, że to było męczące.

- No tak, ale... - Do głowy wpadł jej w pełni ukształtowany pomysł. - Ale możesz coś zrobić, żeby mi pomóc, kochanie. Bo rekonwalescencja to nie tylko spacer po ogrodzie i nauka nazw kwiatów. Musisz nauczyć się też poznawać ludzi.

- Ludzi?

- Myślałam tylko o paru miejscowych dygnitarzach. Po prostu takiej małej kolacyjce tu na dole. Już chyba najwyższy czas, żeby w tym domu pojawili się jacyś inni goście poza nami, nie?

Pocałowała Ralpa na dobranoc. Idąc korytarzem do swojego pokoju, spotkała ochmistrzynię Dunning z tacą.

- Wiem, że pani o nic nie prosiła. Ale kucharka pomyślała...

Alice była trochę głodna. Dzięki Najstarszemu, jedzenie było proste i zwykłe. Grzanka z cynamonem, dojrzałe czerwone jabłko —choć nawet te rzeczy tu na Zachodzie miały w sobie bogactwo smaku. Zwykłe mleko było bliższe temu, co ludzie Wschodu nazywaliby śmietaną, a parująca z białej porcelany herbata pachniała kusząco jak nigdy.

— To bardzo miło. - Zrobiła ruch, jakby miała wyciągnąć ręce i wziąć tacę, ale nagle coś przyszło jej do głowy. - A właśnie, ta znakomita herbata. To nie jest mieszanka, którą przywiozłam z Londynu, prawda?

- No... - Ochmistrzyni zerknęła gdzieś w bok na dywan.

- Nie mam o to pretensji, skądże. Pomyślałam tylko, że gdyby kucharka podała mi nazwisko dostawcy, sama sobie trochę zamówię.

- Proszę pani, dostawca to chyba nie jest właściwe słowo. Wie pani, jak to jest. - Teraz ochmistrzyni patrzyła prosto na nią, szczerze. Gdyby nie trzymała tacy, pewnie poklepałaby się po nosie. Alice uśmiechnęła się, kiwnęła głową. Rozumiała.

- Czy znalazła pani czas na pójście na pocztę?

— Hm, tak... Coś mi się chyba udało załatwić, chociaż już prawie zamykali, kiedy tam dotarłam.

- Nieważne. Tu na Zachodzie takie problemy z czasem się rozwiązują. Trzeba tylko trochę cierpliwości...

Tego wieczoru Alice położyła się wcześniej. Po zgaszeniu światła zapatrywała się w pachnący morzem mrok i wspominała dzieciństwo, ten

wilgotny, stary dom. Kiedy wreszcie się dowiedziała, że cały jej spadek został utracony lub roztrwoniony, wywabiła ciotkę do kaskady na samym dole ogrodu. To zawsze było jej ulubione miejsce, bo tam, gapiąc się na wodę, czuła, że ona jest nieruchoma, a reszta świata się porusza. Ciotka wciąż usiłowała pływać, gdy Alice ją topiła. Było to całkiem jak walka z ogromną, rozjuszoną zabłą, aż w końcu nadszedł moment, kiedy po długiej młócce powierzchnia wody się wygładziła. Alice wspomniała te mętniejące oczy, rozdziawione usta, ten ulotny moment utraty życia, po którym ciało ciotki odwróciło się i popłynęło po jezioru.

A potem szła po ścieżce wokół jeziora Stow Pool w Lichfield w zady-miony jesienny wieczór. Tutaj na pewno znajdzie swą przyjaciółkę Cheryl Kettlethorpe. Przyspieszyła kroku, pewna, że mają do omówienia coś niezmiernie ważnego. Cheryl jednak **umykała** jej, a miała na sobie futro koloru zmierzchu, ciemniejące, mroczniejące w miarę jak **słońce** odpływało znad jeziora, tak że gdy Alice ją w końcu dogoniła, pozostał tylko chłodny, mglisty blask gwiazd i dojmujące poczucie czegoś niewypowiedzianego.

6

Kiedy pracokres za pracokresem zbliżał się kwiecień, w Invercombe zapanowało ogromne poruszenie. Ponaglone słońcem i wiatrosterem Ayresa wszystko rosło, wspinało się i nabrzmiwało. Knieć błotna **zółciła** się na obrzeżach zielonego stawu. W iglastym arboretum rozwijały się zielone paprocie, a pod murami ogrodów już zaczynały –o wiele za wcześnie – płonąć żarem ogniomaki. W ciemnych od linoleum pomieszczeniach **służby** ochmistrzyni Dunning musiała przewodzić burzliwym spotkaniom. Główny ogrodnik **Wyatt** skarżył się na niespotykane o tej porze robactwo i zbyt późne nasadzenia. Kucharka **złościła** się, że musi już podawać rabarbar nowalijkę, a powinni jeszcze zadowalać się konserwowym. Nawet **Wilkins** narzekał na swe perszerony. Cissy mogłaby sama wymienić parę problemów, ale zmilczała, bo wiatrosternik Ayres zaczął wykrzykiwać, że na statkach, na których pływał, uznano by to za bunt, a potem zaczął rzucać jej w różnych odmianach to samo tęskne spojrzenie, jakim darzył ją od prawie dwudziestu lat.

I jeszcze miała się odbyć kolacja. Po głębokim zastanowieniu Alice zaprosiła doktora i doktorową **Footów**, praworządcę **Scutta**, wielebnego

wyższego mistrza Browna. Miejscowe znakomitości. Nudne albo ciekawe, zależnie co sądzicie o zastanej wodzie, niemniej użyteczne. W niczym nie będzie to przypominać jej wystawnych przyjęć i balów, ale to pierwsza oficjalna kolacja w dorosłym życiu Ralpha, wydobyto więc z zawiniątek zabytkowe serwisy, które okazały się zdekompletowane lub poszczerbione; odkryto także braki w kluczowych zasobach sztuców i przypraw. Alice starała się jednak zachować łabędzi spokój, choć wszystko w niej aż wrzało.

Dla Ralpha trzeba było zamówić pierwszy wieczorowy garnitur, a kiedy sprowadzony z Bristolu krawiec obwiódł miarą jego ramiona, zobaczyła, że jej syn nabiera męskiej sylwetki. zaproponowała także, żeby spróbował odrobiny wina wybranego przez nią z labiryntu piwnic Invercombe. Okazało się, że przez lata spożywał tak wiele alkoholu i morfiny, że niemal uodpornił się na upicie; pokazała mu jednak, jak rozcieńczać wino wodą w proporcji stosownej dla chłopca - raczej młodzieńca - w jego wieku.

Po czym nadszedł szósty kwiecień, ósmek i wyglądało na to, że dokładnie nic nie jest gotowe. Alice przechadzała się po domu, sprawdzając kwiatowe kompozycje i solidaryzując się z drobnymi kuchennymi kryzysami, jednocześnie mimochodem przyglądając się zgromadzonym przez kucharkę prowiantom, przeważnie nieposiadającym etykiet. Zajrzała nawet na wiatroster, by przypomnieć Ayresowi, że tego wieczoru w Invercombe ma być ciepło i bezchmurnie.

Ralph ubierał się w swój nowy strój, gdy matka weszła do pokoju i objęła spojrzeniem zasupłany chaos, jakim była jego muszka i pas do smokingu.

- Powinni dawać do tego jakiś podręcznik.
- Wykapany ojciec. - Rozluźniła muchę. — Broda do góry. Raz zawiąs, dwa zawiąs i na trzy w pętelkę.
- Jak mam sobie z tym sam poradzić? Może poprosiłabyś którąś z pokojówek.
- Biedactwa, wszystkie mają roboty po uszy. - Matka, z połyskującą strugą czerwonego pasa w dłoni, przyglądała mu się uważnie. - Na pewno wszystko się uda, tylko ci trochę pomogę. Zobacz... Tak jakbyś się owijał bandażem. Podnieś ręce. Teraz odwróć się do mnie. - Ralph się zakręcił. Pas obwiódł go posłusznie. — I nie przejmuj się, skarbie, tym

wieczorem. Ci ludzie naprawdę nie są ważni. Pomyśl, że te parę godzin spędzasz nieco inaczej, niżbyś chciał. Zawsze tak robię. Wyglądasz jak prawdziwy elegant. - Jej dłonie wyglądające na nim ubranie. Chłodne, dobrze znane poczucie bliskości. Ten zapach świeżej pościeli, który nigdy się naprawdę nie zmieniał, niezależnie jakich używała perfum. —Taka jestem z ciebie dumna, naprawdę. Jeszcze to, proszę. —Wzięła w rękę coś, co niepostrzeżenie przyniosła. - Myślę, że ci się przyda.

Błękitna wyściełana pluszem szkatułka, trochę nierówno wyważona, z wytłoczonymi inicjałami R.M. Wieczko sprężyste odskoczyło. W środku znajdowały się błyszczące przybory do golenia.

Po wyjściu matki Ralph zwrócił się do lustra. Maszynka była marki Felton - na stacjach kolejowych widywał reklamujące tę firmę plakaty - ale złocona. A czy ten wielki ćwiek na wykonanej z kości słoniowej rączce pędzla to naprawdę diament? Puszczać wodę i nucąc, jak to podobno robią mężczyźni, Ralph złożył maszynkę i zaczął się golić.

Kiedy skończył, twarz, która popatrzyła nań z lustra, nie była specjalnie odmieniona, jeśli pominąć krew skapującą na kołnierzyk. Ralph zdecydował, że już lepiej nie będzie. Zastanowił się, czy nie zajrzeć do książek, po czym postanowił wyjść na dwór.

Nabierał sił. Jeśli się nie spieszył, ostatnio już prawie nie miewał załdyszki. Tak właśnie, stwierdził, poskrzypując nowymi lakierkami, wygląda dobre samopoczucie. Nie czuł bólu w klatce piersiowej, głowie czy kończynach. To było niesamowite —odnosił wrażenie, że zapomniał czegoś ważnego. Widoki, którymi wcześniej napawał się tylko w perspektywnym skrócie soczewki lunety, teraz ukazywały się ze wszystkimi zapachami i wieczornymi szmerami, których nie potrafiły przekazać nawet najlepsze przyrządy optyczne.

Żółciły się cytryny, pomarańczowiały pomarańcze, zawiewając od cytrusowego gaju słodko-gorzki zapachem. A ogniomaki kwitły już ogniem. Zwinął dłonie wokół jednego, by poczuć jego niespieszne ciepło. Zupełnie się nie dało powiedzieć, gdzie kończy się natura, a zaczyna sztuka —i magia. Po ładzie panującym w książkach aż kręciło się od tego w głowie. Ogród schodził w dół. Tutaj już słońce nie sięgało, rozświetlało tylko wiatroster i rozmaite odcienie zieleni drzew, a powietrze było chłodne i zielone. Ralph wyobrażał sobie, ile eonów musiało trwać ukształtowanie takiej doliny. Woda rwąca bez końca w dół. Prawie widział i słyszał, jak się to dzieje. Jego myśli poruszały się tu o wiele swobodniej niż przy czytaniu książek.

Za gazonami ogród opadał dalej. Całkiem jakby się wkraczało do głębokiej, nieruchomej wody, nim jeszcze za zakrętem ścieżki błysnął słony staw. Potem na jego drugim brzegu coś drgnęło; zgęstniała cisza, przesunęła się szarość. Matka spacerowała ubrana w futro, w którym Ralph nigdy jej wcześniej nie widział - w taki wieczór byłoby w nim absurdalnie gorąco. Oprócz wdzięczności, że jest tutaj z nim, poczuł się jednak niespodziewanie samotnie. Już otworzył usta, by ją zawołać, ale w tym momencie jedna z dotychczas posłusznych stóp postanowiła zmylić krok. Upadł naprzód, obcierając sobie dłonie i brudząc koszulę o porośniętą mchem ścieżkę.

Wstał zaraz, ale matkę już stracił z oczu. Czas iść do domu i spotkać się z tymi ludźmi. Kiedy szedł pod górę, całe niebo pulsowało i się żarzyło - jak większy i ciemniejszy wiatroster.

- Ralph? Skarbie... Wszędzie cię szukaliśmy. — Matka podeszła doń w przepięknej zielonej sukni. - Jak ty wyglądasz! - Przyjrzała mu się w łagodnym świetle zerwanego ze ściany luniaka.

Ralph zobaczył plamy z mchu na gorsie koszuli.

- Przepraszam... parę minut temu zobaczyłem cię po drugiej stronie tego wielkiego stawu. Spacerowałaś... w futrze...

- W futrze? Skarbie, o czym ty mówisz? W taki dzień akurat miałabym czas spacerować po ogrodach! I nie powinnam była pozwolić ci golić się samemu. Masz tu parę plam z krwi. Nie ruszaj się. - Powiedziała coś; słyszał raczej chłopot fontanny, nie słowa. - Teraz lepiej.

I jeszcze raz, jej ręce na gorsie koszuli, a luniak ponownie rozbłysł. Raz jeszcze i koszula stała się nieskazitelna.

— Goście już są. Naprawdę wyglądasz elegancko, lecz wolałabym, żebyś akurat w ten wieczór nie wypuszczał się na żadne wyprawy badawcze...

Salon w zachodnim skrzydle oświetlały niezliczone świece, których płomykami ledwo co kołysał powiew z drzwi otwartych na ogród.

— Umarła tak nagle. — Doktorowa Foot, szczupła, pełna wigoru kobieta, o wiele bystrzejsza od swego męża, odłożyła łyżkę. Palcami musnęła połyskliwą broszę w kształcie żuka. - Będzie jej nam bardzo brakowało.

- Poważnie się zastanawiałam, czy nie przyjść na pogrzeb - powiedziała Alice, gestem nakazując zebranie nakryć do zupy. - Oczywiście, poznałyśmy się. Natychmiast poczułam do niej sympatię i pomyślałam, że

się zaprzyjaźnimy. Obawiałam się jednak, że moja obecność na pogrzebie mogłaby się wydać... – rozważyła dobór słowa - ...arogancją.

– A jak znajduje pani Zachód, pani arcycechmistrzyni? – indagował praworządca Cornelius Scutt, pyszniący się błękitem i sznurami swego galowego munduru, zalatującego nieco naftaliną.

- Chyba jeszcze go nie znalazłam. W każdym razie do dzisiaj. – Uniosła kieliszek, przytknęła go do ust. - Jakkolwiek wykorzystywanie niewolnych, którego jesteście wielkimi zwolennikami, wydaje mi się nieco... – przechyliła głowę - ...niezwykłe.

Praworządca nie mógł oderwać od niej zaropiałych oczu.

- Pani obecność tutaj jest więcej niż pożądana. Pomoże obronić nas przed bezpodstawnymi oskarżeniami, tak łatwo rzucanymi przez Londyn i cały Wschód. Ludzie, którzy nigdy nie widzieli kolonii i nie rozumieją...

- Ależ rozumiem, że pańszczyzna zapewnia pracę i byt ludziom, którzy inaczej żyliby jak dzikusy...

Przez cały sorbet, aż po pasztet, Alice nieprzerwanie wymieniała argumenty przemawiające za zwyczajem, który zawsze uważała za czyste niewolnictwo. Lecz gospodarka niewątpliwie potrzebowała cukru, bawełny i metody ich produkcji wymagały licznej siły roboczej. Nawet Pismo Święte przyznawało, że niewolnictwo jest nieodłączną cechą ludzkości. Czyż nie wszyscy jesteśmy w ten czy inny sposób nieubłaganie przypisani do tej czy innej roli przez akt narodzin i inne okoliczności? To ostatnie pytanie wymierzyła w ochmistrzynię Dunning, która nadzorowała wymianę nakryć stołowych, konieczną przed podaniem homarów.

- Cóż, tak, proszę pani. Choć oczywiście nie mnie mówić...

Ochmistrzyni wycofała się, zachowując swe zdanie głęboko w sercu, Alice zaś upewniła się, że przekazała co należy - fakt, że ludzie Zachodu, nawet wyzwoleni Murzyni, byli czuli na krytykę pańszczyzny i instynktownie jej bronili.

Głównym daniem była kaczka, od wielu dni przygotowywana według specjalnego przepisu kucharki. Delektując się jej delikatnym smakiem, zapewne pochodzącym głównie z nielegalnych ziół, Alice chętnie podniosłaby temat drobnego importu, gdyby już wcześniej nie próbowała i nie przekonała się o mizernym efekcie. Nawet praworządca, którego obowiązkiem było jego ściganie, a który teraz gapił się w jej dekolt, czuł się przy tej rozmowie niezręcznie.

– Zanim tu przyjechałam - powiedziała zamiast tego, przechodząc na temat, który uznała za lżejszy - nie miałam pojęcia, że wokół Invercombe

narosło tyle mitów i przesądów. Całkiem jakby ten dom sam je produkował. Choć przyznam, że duchów jeszcze nie widziałam.

- Ależ tu jest duch! - odezwała się wielka **cechmistrzyni** Lee-Lawnswood-Taylor, jak zwykle przesadnie wystrojona w czerwony tiul i powstrzymująca się od łapczywego picia wina, co Alice zaobserwowała już przedtem, razem z widocznymi spod makijażu siateczkami pękniętych naczynek na jej nosie i policzkach. - Ale może nie powinnam...

- To bardzo ciekawe, proszę opowiedzieć.

- Podobno czasami po ogrodzie spaceruje dama, z którą był zaręczony starszy mistrz Porrett.

- Naprawdę? Ta cechmistrzyni, z którą się nigdy nie ożenił? Ale ona chyba nigdy tutaj nie była. - Alice zauważyła ze zdziwieniem, że wszyscy biorą to bardzo poważnie. - W tym cały problem, prawda?

- Myślę, że –sapał praworządca Scutt po jej prawej stronie - w tym, jak się zdaje, leży cały problem.

- Jakie to urocze! Mówicie, że nawiedza ten dom duch kogoś, kto nigdy naprawdę nie był w Invercombe! - Alice unikała wilgotnego wzroku praworządcy. Z kimś takim nie trzeba było świadomie flirtować; nie miało to zupełnie sensu, bo wiedziała, że już ma go w garści. - W Londynie wszystkie nasze duchy były... - Urwała, po raz pierwszy naprawdę się zastanawiając, jakiego użyć słowa. Poszukała pomocy u Ralpha, który siedział u przeciwnego krańca stołu, jakby na samym skraju ciemności poza zasięgiem światła kandelabrow. Poświęciła mu dziś wieczorem zbyt mało uwagi. Wydawał się błądliwy. - Może mój syn Ralph, posiadający ogromną wiedzę naukową, posłuży nam wyjaśnieniem. Skarbie, mógłbyś?

- Wyobrażam sobie - powiedział Ralph powoli, a przy tym z taką emfazą, że zaczęła się zastanawiać, ile już wypił wina - że duchy, o ile w ogóle są, z konieczności istnieją poza czasem.

- Naprawdę, skarbie? - Całkiem jakby jej zaprzeczał, choć nie wiedziała dlaczego i jak. - Myślałabym raczej, że przy twojej wiedzy przyrodniczej i twoim zamiłowaniu do logiki powiesz, że...

- Zjawy nawiedzające domy mogą być równie dobrze spowodowane przyszłymi, jak przeszłymi zdarzeniami. Z tego co wiem o historii Invercombe, w jego historii nie zdarzyło się nic bardziej nadzwyczajnego ani nieszczęśliwego niż w innych rezydencjach. Niemniej jednak...

Ralph zamrugał, jakby **zdziwiły** go własne słowa. Jego twarz wydawała się przezroczysta jak płomyki pęlgające nad stołem pomiędzy nimi. Szerokie, białe czoło lśniło kościstym połyskiem. Lecz w salonie, przy

otwartych drzwiach do ogrodu, **panował** przyjemny chłodek. Pogoda, jak obiecał **wiatrosternik**, była idealna, a po kolacji Alice zaplanowała przechadzkę z gośćmi po ogrodzie, teraz jednak poczuła niepokój o syna. Może jest po prostu zmęczony? Może tylko się upił? I dlaczego, u licha, ubrudził najlepsze ubranie, biegając po ogrodzie? Spojrzenie jego zaczerwienionych oczu, pozornie nieogniskujące się na niczym, obwiodło stół, zatrzymując się z początku na kieliszkach napełnionych czerwonym winem, potem śledziło ruchy ciemnowłosej pokojówki, która zbierała ubrudzone sosem nakrycia. Alice dopiero po paru chwilach zidentyfikowała w niej dziewczynę spotkaną na brzegu. Służąca poruszała się z gracją, której nie można komuś wpoić – musi być wrodzona. No i była całkiem zgrabna. Nawet ładna. Ralph, jak dostrzegła, jeszcze po jej wyjściu z salonu wpatrywał się w drzwi. Poczua ulgę. Może nie jest chory. Może jest prostsze, łatwiejsze **wytłumaczenie**.

Przy doprawdy znakomitym winie i jedzeniu - kucharka przeszła samą siebie – goście się rozgadali. Ci ludzie, pomyślała Alice, mówią o Londynie jak o miejscu, które się odwiedza, podziwia i opuszcza. Mieli tyle tematów, o których wypadało **brać** nie wypadało mówić, w ich głosach słyszało się cienki **polor** wykształcenia - wydawali się jej niezręczni i naiwni. Rano dowiedziała się od Toma, że Pike'owie wygrali pierwszą rundę w londyńskim sądzie, a owi krnąbrni podwykonawcy mieli siedzibę właśnie w Bristolu, gdzie by indziej. To jej teraz wiele tłumaczyło.

Limonkowe sorbety z owoców wyhodowanych w Invercombe były drobno posypane przypominającą szczypiorek przyprawą, której nigdy wcześniej nie widziała. Nazywano ją słodkogorzem i rosła w chłodnych zakamarkach ogrodu, ponieważ ciepły klimat posiadłości był dla niej zbyt łagodny. Alice poczuła w ustach ostrą, zniewalającą słodycz. Straciła wątek w rozmowie, ale Ralph z pasją się bronił.

– Skoro jednak Pan stworzył ziemię dla człowieka - rzekł wielebny Brown, zaprzeczając czemuś, co powiedział jej syn - dlaczego **miałby** na tysiąclecia zostawiać ją jałową i niezasiedloną? Naturalnie, dzisiaj przyznaje się, że siedem dni stworzenia to być może nie są dni w naszym obecnym rozumieniu tego słowa...

– Czy pan nie **rozumie!**? - Ralph omiół stół chwiejnym spojrzeniem. – Wszechświat nie działa w ten sposób. Musimy odejść od naszego naturalnego pragnienia umieszczenia się w centrum wszelkiego stworzenia i przyznać rację świadectwom własnych zmysłów. Świat przyrody zmienił się ogromnie. Jak inaczej wytłumaczyć znajdowane w skałach

odciski roślin, a nawet zwierząt całkiem niepodobnych do znanych nam dzisiaj?

- Pozwól... masz nieco, że tak powiem, słuszności - odezwała się niespodziewanie doktorowa Foot, milcząca przez większość przyjęcia. — Bo wiesz, ja zawsze powtarzam, **nieprawdaż?**... - Skinęła główką w stronę męża. - Że moje skromne badania nad światem owadów, małych stworzeń co prawda, w istocie dowodzą, że...

- Moja droga, to tylko chrząszcze. Ciekawe hobby jak na damę cechową i tak dalej, ale niespecjalnie mogą być dowodem na cokolwiek. Paniczu, proszę mnie pozwolić wyjaśnić. - Doktor Foot wychylił się zza żony. - Cała Anglia była niegdyś zalana wodą. Tutaj prawdopodobnie były bagna, dzikie i niezamieszkane, poza małym, żyznym obszarem, który Biblia nazywa rajskim ogrodem, a współcześni uczeni lokują go na urodzajnym półksiężycu ziem w Arabii. Tu, nad nami, mogły fruwać tropikalne ptaki. Możliwe nawet, że hipopotamy żyły...

— Ale skąd się wzięły te ptaki? Dlaczego mają skrzydła? Jak nauczyły się latać?

- Z pewnością matki nauczyły je latać, jak przystało na każdą dobrą matkę. Czyż nie, pani arcycechmistrzyni? — wtrącił wielebny wyższy mistrz Brown i już obracał swój drażniąco łagodny wzrok ku Alice, gdy szczeekliwy śmiech kazał mu znowu zwrócić się do Ralpha.

- A powietrze skąd się wzięło? To mi pan umie wyjaśnić? Czy to wszystko zostało stworzone dla nas i miało się już nigdy nie zmienić? — Nie mogła nie zauważyć z rosnącym niepokojem, że Ralph oddycha szybko i płytko. - A słońce? Gwiazdy? Zostały poukładane na niebie jak ozdóbki na półce, żeby wyglądało ładnie, i to rzekomo ręką Boga?

Słowo „rzekomo” niezręcznie zawisło w powietrzu. W tym towarzystwie nie kwestionowało się istnienia Najstarszego, którego Syn we własnej osobie należał do cechów - najpierw cieśli, potem rybaków. Jeżeli jednak teraz przetnie całą dyskusję i w miarę szybko wyśle Ralpha do łóżka, goście będą udawać, że nic nie zauważyli.

- Skarbie, chyba powinienes już iść na górę.

Alice wiedziała, że znów traktuje go jak dziecko, a przyjęcie organizowała właśnie dlatego, że już nim nie był. On jednak przytaknął, posłusznie wstał i zasunął krzesło. Chwiejąc się nieco, zakaszłał i otarł usta; do czoła miał przyklejony mokry kosmyk włosów. Potem zatoczył się i oparł o stół, rozcapierzonymi palcami chwytając obrus, podzwaniając kieliszkami i naczyniami z przyprawami. Alice poderwała się i skoczyła

ku niemu. Gdy złapała go za ramię i dostrzegła czerwone punkciki, którymi usiał stół, w pierwszej chwili pomyślała, że to wino, a nie krew.

7

Ralph był przekonany, że niebawem wygrałby ten spór. Triumf czuł nawet, kiedy wyprowadzano go z salonu, wyluskiwano z marynarki, rozwijano z pasa do smokingu, odwiązywano muszkę. Był pewien, że wraca w nowy i niezachwiany logicznie świat. W uszach mu dzwoniło, kręciło się w głowie, ale gdy oponenti w dyskusji pojawiali się nad jego ogromnym łóżem z baldachimem, prawie się do nich uśmiechał.

– Zawsze noszę torbę ze sobą, proszę pani. Kilka lekarstw przydatnych w nagłych wypadkach...

- To proszę je dać. - Głos matki był ostry jak nigdy.

Czas pęłzył leniwie. Ralph poczuł zapach jedwabnej sukni matki.

- Przyniosę ci cierpniki, skarbie.

Leżąc tak, czuł przyjemne rozleniwienie. Powróciły ruchome cienie i głos doktora Foota. Jego twarzy dotykały szorstkie, bezcielesne ręce, które chwyciły go za usta i otworzyły mu oczy. Później poczuł na piersi zimny, znajomy dotyk stetoskopu, czy raczej jakiegoś nowego wynalazku, który zasysał powietrze. Szarpiąc się, kaszląc, walczył z nim.

- Wyraź objawy zatrucia krwi, pani cechmistrzyni. Nie, nie, proszę nie ruszać tego cierpnika... - Poczul, jak ktoś rozwiera mu palce. - Zakłęcia mogłyby się klócić.

Zapachniała torba doktora. Kiedy się otworzyła, zanurkował w jej przesłodzoną zawartość. Wokół niego polatywały niezliczone fiołki, kiwając smukłymi korkowymi głowami i kręcąc szyjami z błękitnego szkła. Potem coś musnęło jego usta, a lepka plama zapuściła ciemne korzenie w śnieżną połąć prześcieradła.

- W tym jest eter? – Głos matki. - Jakieś zakłęcie?

- Sądę, że to konieczne minimum. – Doktor Foot odchrząknął. Coś rozbłysło w bliźniaczych półksiężycach jego okularów. Nastąpił delikatny deszczyk śliny i Ralph poczuł jak wzbiera w nim, wrze, podchodzi do gardła jakaś wydzielina. Ścisnęło mu się serce. Nie miał sił, ale kaszłał i tak. Po czym jeszcze raz zaintonowano zakłęcie, sprowadzając coś w rodzaju odpoczynku.

Obudził się w pełnym świetle dziennym, na wpół zwisając poza łóżkiem. Na zalanym światłem kwadracie dywanu czekały nań w równych stosikach książki. Kaszłąc, pospiesznie sięgnął po oprawny w tłoczoną skórę tom na wierzchu najbliższej pryzmy. Książka zatrzepotała i ześliznęła się na podłogę. Nie miał pojęcia o jej treści, ale pragnął uspokajającej błogości ponumerowanych, opisanych rycin. Była niesamowicie ciężka. Może to Księga Wiadomości Dobrego i Złego, z której cytują wszystkie pozostałe dzieła, spisana na papierze z pulpy drzewnej zrobionej z tamtego drzewa w raj. Może niedługo zobaczy Ewę.

Czekając, aż nadpłynie i zaleje go kolejna fala chorobliwego znużenia, udało mu się wreszcie unieść książkę i rozewrzeć okładkę. Po przerwie na zebranie sił przejrzał strony cechowych dedykacji i puste kartki w oczekiwaniu na prawdę. Owady? Uśmiechnął się, czując zawrót głowy. To dziwne, że zawierająca wszystko księga właśnie od nich zaczyna. Lecz, jak dobrze wiedział, każdy system klasyfikacji ma swoje problemy. A więc *Lepidoptera*, motyle. Dlaczegoż by nie? Nawet książka o wszystkim musi od czegoś zacząć.

- Ralph! Prawie wypadłeś z łóżka... I nie powinienesz czytać.

Zdziwił się, z jaką łatwością matka przesunęła go z powrotem na środek łóżka. Potem zrobiła jeszcze wiele innych rzeczy. Jej chłodne palce apelowały, wydawały polecenia, na które posłusznie reagowało jego bezmyślne ciało. Chłodne powietrze, guma, porcelana. Wzdrygnięcie na dotyk gąbki. Oraz czyste prześcieradła, czysta piżama. Brakowało już tylko pasa do smokingu i krawata.

— Przepraszam... - skrzeknął.

Jej prześliczna twarz zamajaczyła tuż nad nim. Była nieskazitelna, czysta i świeża. Wszystko psuł tylko chaos gorączki — czuł, że na nowo go ogarnia.

- Chodzi ci o kolację z przedwczoraj? - Uroczu przechyliła głowę. Jej chłodna i świeża dłoń gładziła go po policzku i subtelnie się na nim zatrzymała. Ogolił się przecież, więc wrażenie dotykowe było nowe i inne dla nich obojga. — Źle się poczułeś. Wszyscy rozumieją. A propos, doktor Foot przyjdzie tu jeszcze dzisiaj rano. Wiem, skarbie, że to trochę prostak, ale na swoim fachu zna się co najmniej tak dobrze, jak ci kosztowni szarlatani z Harley Street. A to ważne, żebyś był pod obserwacją. - Jej szarobłękitne oczy. Jak diamenty. Pod wodą. Na końcach świata.

Przełknął ślinę, wciskając szorstki, wysychający piasek z powrotem do gardła, żeby się odezwać, ona jednak położyła mu palce na ustach.

- Psst, kochanie moje. - Jej oddech zafalował mu na twarzy. Nachyliła się tak blisko, że rysy miała nieostre. Poczul dotyk jej warg na swoich. A potem poszła.

Płynnie naprzemienna utrata i odzyskiwanie przytomności. Skupienie na oddychaniu pomiędzy mokrymi skurczami kaszlu. **Świadomość**, że ktoś coś mówi. Jak dialogi dramatu.

- **W**tej chwili nie obchodzi mnie, jakie ma pan obiekcje, panie doktorze.

- A jednak, pani arcycechmistrzyni... zakłęcia, które mogą zwalczyć gorączkę i ułatwić mu oddychanie, mają ograniczoną moc. To kwestia ilości eteru, której można użyć przy ich rzucaniu.

- **J**eśli chodzi panu o ostrożność, o pieniądze, o przepisy pana cechu, to z pewnością mogłabym...

- Ależ proszę pani, wcale nie chodzi o to. Gdybym dodał do eliksiru jeszcze więcej eteru, gdybym wprowadził do jego organizmu taką ilość, jak pani sugeruje, znalazłby się poza władzą jakiegokolwiek cechmistrza. Pani syn stałby się odmieńcem.

Długa pauza w rozmowie. Wysiłkiem umysłu Ralph przewrócił puste białe strony.

- Czy to by go uratowało?

- **T**o znaczyłoby po prostu jeszcze więcej cierpienia i niepewności. **O** wiele więcej, niż jesteśmy sobie w stanie wyobrazić. Leczylibyśmy jakieś monstrum. I niewiele już mógłbym mu pomóc...

Światło bladło. Usłyszał bulgot nawilzacza powietrza, potem poczul na ustach jego ziołowy oddech. Ogień w kominku zmienił się w perkatonosego stwora z żarzącą się paszczą, czającego się na kaflach, jakby szykował się do skoku. Pełzał po nim swymi **kleszczowatymi** łapami. Jego suchy uśmiech wdzierał się żarem w zatęchły ściek jego płuc. Nadeszła chwila przytomności, kiedy matka unosiła go i przytykała mu do ust naczynie z wodą, ból przełykania.

Muskały go skrzydła wiatraka. Ogień nadal się szcerzył, warując na owadzych nóżkach. W płucach mu bulgotało, bulgotał nawilżacz. Wyczuwał ruchy matki, jej dotyk i westchnienia. Chwile bez treści przelatywały obok jedna za drugą, czyste i klarowne jak niezapisane stronicę jego nieskończonej książki. Później poczuł za sobą czyjąś obecność, przewrócił kartkę i roześmiał się w głos, widząc, co na niej jest. Znalazł się bowiem na szczycie Latawcowych Wzgórz, w ustach wciąż miał gorzki posmak basenu pływackiego, ale niczego się już nie bał, a szary Londyn **niedbale** człapał pod jego stopami, pylistym od sadzy powiewem unosząc w powietrze setki latawców puszcanych przez chłopców w marynarskich ubrankach pod czułym okiem **mam** i niań. Wielkie, olbrzymie jaskrawe motyle niesione ciepłą ręką wiatru. Tak, to był Dzień Motyla, Ralph śmiał się, nie zwracał uwagi na drapanie w gardle i pozwalał stokowi nieść się biegiem w dół. Ludzie uśmiechali się i machali rękami. Nikomu nie przeszkadzało, że ma na sobie przepoconą piżamę. A potem, jakby latawce się skurczyły, albo on urósł do wymiarów olbrzyma, otoczyły go ich żagle. W zdumieniu rozłożył dłoń i pozwolił jednemu osiąść na niej. W dotyku lekki i suchy jak papier, rozpościerał skrzydła ku słońcu, a pewna część jego jaźni, ta, która z przyjemnością przestudiowała tak wiele książek, w jednej chwili go rozpoznała. Nie był to latawiec ani motyl, lecz *Biston betularia*, krępak nabrozak, mała, nieciekawa i pospolita ćma, choć osobliwe szturchnięcie, z jakim nowa porcja wiedzy zapalała w jego umyśle kolejny ogień, przypomniało mu, że w książkach o *Lepidoptera* często przedstawia się ją na dwóch rycinach: na jednej ciemniejszą, czarniawą odmianę, na drugiej - jaśniejszą, szaro nakrapianą. Tutaj, na dymnych obrzeżach Londynu, występowała ciemniejsza. Ralph przyjrzał się jej uważnie, ogarniany coraz silniejszym poczuciem wiedzy i siły.

Spojrzał na długi, porośnięty suchą letnią trawą stok, który dzielił go od matki, a w jego dłoni podrygiwała prawie czarna ćma - wysłanniczka świata nauki i pewności, którym tak bardzo pragnął się z nią podzielić. Ostrożnie, zamykając dłoń, aby nie uciekła, zaczął iść pod górę. Odległość była olbrzymia. Słońce - oślepiające. Wspiął się w upale. Dysząc, zerknął zdezorientowany na drgające od upału ławki. Zapach lodów i zdeptanej ziemi. Ostry, metaliczny posmak strachu. Kaszlnął i spróbował wziąć się w garść, w dłoni nadal niosąc drogocenny okaz ćmy, pod zawistymi na niebie latawcami, wśród falujących drzew, a tłusty pot szczypał go w oczy.

Rowerzyści, wioślarze, kosze piknikowe, sprzedawcy tandety i puste twarze na ławkach — wszystko zapadło się w mrok. Ale ona tam była! Siedziała na zielonej drewnianej ławce, dokładnie tam, gdzie ją zostawił, ubrana w srebrnoszare futro. Zamachał do niej, zawołał, podbiegł, przedzierając się przez bezpowietrzny żar. Uśmiechała się. Jej twarz była jak chłodny płomień, Wzgórza Latawcowe nikły, w miarę jak się zbliżał, aż wreszcie jej rysy odmiały się znienacka i Ralph resztą swego racjonalnego umysłu dostrzegł inną twarz - wychudzoną, o czerwonych oczach i sinych ustach, za zbryzganą krwią szybką czegoś, co bardzo przypominało mosiężny hełm nurka. Nieistniejąca chwila skurczyła się i zniknęła. Coś było nie tak, pochłonęły go duszne otchłanie boleści, aż wreszcie, gdy był już pewien, że dłużej jej nie znieśnie, ból całkiem zniknął.

8

Alice złapała się na wpatrywaniu w zegar stojący w głównym hallu. Rozumiała teraz owe spotykane niegdyś matki o pustym spojrzeniu — samotne, ponure i zagubione, odwiedzające ponownie wszystkie miejsca na kontynencie, gdzie spotkał je zawód. Ona będzie robić to samo. Będzie odwiedzać każde uzdrowisko, siadywać w każdej beznadziejnej poczekalni i pić upstrzoną krwią ślinę każdej ofiary, aż wreszcie sama zarazi się tą samą chorobą co Ralph. I wtedy będzie mogła przynajmniej partycypować w jego cierpieniu - zamiast czuć tę przeokropną niemoc, przez którą, po dwóch bezsennych dniach i nocach, musiała uciekać z pokoju syna. Ujmie mu trochę bólu i weźmie na siebie.

To działa się za szybko. Jeszcze niedawno spacerował po ogrodzie. Dyskutował. Czytał. Jadł. Przecież jeszcze nigdy nie było tak źle. Przenigdy. Nie powinna była przyjeżdżać tutaj... Nie mogła po prostu czekać. Musiała coś zrobić. Wybiegła z domu, oczy jej wyschły, twarz piekła.

- Proszę pani..?

Odwróciła się i zobaczył biegnącą ku niej po żwirze ochmistrzynię.

- Proszę pani, dokąd pani idzie?

Alice nie wiedziała. Ale czy to zbyt skomplikowane polecenie - przygotować konia na przejażdżkę? I proszę tutaj nic nie robić. Rozumiesz, Cissy? Nic a nic. Proszę tylko przypilnować, żeby doktor Foot czuwał. No i to niebo - niech wiatrosternik zrobi coś z tym przeklętym słońcem...

Wzięła klacz od zdenerwowanego Wilkinsa, wyjechała z Invercombe. Niebo nad wiatrosterem już szarzało. Pęczniejące chmury przypominały brudne mleko, a każde stuknięcie kopyt, każde szczęknięcie uzdy było dla powietrza zniewagą. Potem uderzyła ją dziwna myśl, że odkąd Ralph się rozchorował, nie dzwoniła do Toma - ojciec pracuje w Londynie, wyobrażając sobie, że syn chodzi, jest coraz silniejszy i ma się coraz lepiej. Zaśmiała się szczekliwie, aż klacz się wzdrygnęła. Drogowskaz na rozstaju głosił: EINFELL. To, że właśnie tam Alice się skierowała, jakby przeczyło wszelkiej logice, choć jednocześnie spełniało utajoną chęć, która kryła się gdzieś z tyłu głowy od samego przyjazdu na Zachód. Królestwo odmieńców. Mimo wszystko musiała się uśmiechnąć, pomyślawszy, że może niebawem znów ujrzy Silusa Bellingsona.

Dotarła do wysokich żywoplotów, jakie mogłyby okalać dowolną dużą oraz wymagającą pewnej dyskrekcji instytucję, i zsiadła z konia przed szeregiem nijakich furtek. Panowała tu cisza, nie śpiewał żaden ptak. Pchnęła pierwszą bramkę. Pociągnęła za wodze, ale dotąd posłuszny wierchowiec nie chciał ustąpić. Uwiązawszy go, ruszyła jasnoszarą ścieżką.

Po obu stronach rósł cienisty las, który ustąpił porośniętej kępkami drzew polanie z niskim budynkiem pośrodku. Wzniesiono go z szarego betonu, który na początku obecnego Wieku przez krótki czas uważano za nowoczesny; teraz był przybrudzony od deszczów. Zdobione mosiądzem wahadłowe drzwi bezgłośnie ustąpiły pod naciskiem dłoni, ukazując bezbarwne wnętrza i szerokie, lśniące biurko. Nikt za nim nie siedział. Bo w jakim rozpaczliwym położeniu trzeba być, żeby odwiedzać to miejsce?

Alice usłyszała, jak jej buty delikatnie szurają po wypolerowanej podłodze. Przytłoczyła ją myśl o wiele prawdziwsza, bardziej wstrząsająca i straszniejsza niż wszystko, czego dotąd doświadczyła: Mój syn jest umierający. Potem uświadomiła sobie, że ktoś stoi za jej plecami, w drzwiach. Zakapturzona postać, jak mnich. Tb nie może być... A jednak.

- Silus, to naprawdę ty?

Długie dłonie, bielsze niż kość słoniowa, zafalowały.

- Właściwie mógłbym cię spytać o to samo. Czas o tobie zapomniał?

Pokręciła głową, potem zmusiła się do podejścia o krok bliżej do swego dawnego ukochanego.

- Mój syn umiera.

- Rzadko przychodzi się do Einfell z radosnymi wieściami... - Głos miał nadal rozpoznawalny, choć nieco bełkotał i seplenił.

Wskazał gestem korytarz, obrócił się w milczeniu, a Alice poszła za nim, zastanawiając się, ile pamiętał, co czuł, co wiedział. Ciąg drzwi z numerami, na ścianach znów mignęły kwadratowe zielone trawniki, jak niezliczone wersje tego samego obrazu. Twórca tego miejsca, kimkolwiek był, musiał lubować się w zwyczajności. Potem znaleźli się w pokoju, najzwyczajszym gabinecie, gdzie Silus zasiadł za pustym biurkiem i gestami tych odmienionych, dziwnych dłoni, które kiedyś ją pieściły, nakazał Alice zasiąść na krześle naprzeciwko. Za plecami miał kolejne okno, z widokiem na kolejne trawniki i las w oddali - najwyraźniej otaczał ich zewsząd. Światło powodowało, że w głębi kaptura nie widziała niczego oprócz cienia.

- Mogę ci dalej mówić Silus?
- Może mi pani mówić, jak tylko zechce, pani arcycechmistrzyni.
- Wiesz, że jestem arcycechmistrzynią?
- Czyż nie taki miałaś cel, aby nią zostać? I żebyś nigdy więcej nie musiała przyznawać się ludziom, jak to osiągnęłaś?

Teraz we wnętrzu kaptura delikatnie zamajaczyła twarz. Lecz niezbyt przypominała Silusa. Właściwie niezbyt przypominała człowieka.

- Sprowadziłam się do domu niedaleko stąd. Mój syn jest chory od tak dawna, że już nie pamiętam, kiedy było inaczej. Ale cały czas szukam i pomyślałam, że może Invercombe się sprawdzi. Ma wiatroster. Rozkazałam, żeby... - Odwróciła wzrok od skrytego pod kapturem bladego kształtu, policzki ją zamrowiły od czegoś zimnego. Zdała sobie sprawę, że płacze.

Boisz się, że twój syn umrze?

Skinęła głową, czując smak soli.

- Alice, pewnie się domyślasz, że nie jesteś pierwszą cierpiącą osobą, która przychodzi do Einfell. Ani pierwszą, która spodziewa się cudów.

- Nie chodzi o cud. Ja tylko muszę oddać mu z powrotem, co...

Co moje?

Nie. Pokręciła głową. *Silus, mogłabym go sobie odpuścić. Mogłabym postanowić, że jeśli przeżyje, to dobrze, jeśli nie, to trudno. Gdyby tylko...*

Silus zachichotał, choć zabrzmiało to bezgranicznie smutno i nieludzko, jak zimowy syk smaganych wiatrem drzew. Dłonie sięgnęły do kaptura, odgarnęły go i Alice nie miała wyjścia - musiała spojrzeć w te oczy, w całości koloru dzisiejszego nieba, a i tak poniekąd ludzkie. To one były najstraszniejsze, wcale nie jego zniekształcona, przypominająca czaszkę twarz.

- Alice, dlaczego ze wszystkich ludzi na świecie akurat ja miałbym ci pomagać?

- Zawsze byłeś dobrym człowiekiem.

I znów ten zimowy śmiech.

Alice, gdybym był dobrym człowiekiem, nie wyłądownałbym tutaj. Miałem żonę i dzieci. Miałem dobrą pracę. Sądziłem nawet, niech mi Najstarszy wybaczy, że mogą mieć ciebie i nadal cieszyć się ich miłością...

- Przecież nie byłeś pierwszym mężczyzną w historii, który...

Ale pokochałem ciebie, Alice. Na tym, jak się zdaje, polegał mój błąd.

Alice przyznała w duchu, że pewnie tak. Podczas trudnych pierwszych miesięcy w Londynie potrzebowała bogatego i wpływowego kochanka, będącego niezbędną odskocznią do wspięcia się na szczyty, w które mierzyła. Wielki mistrz **Silus Bellingson** z Cechu Elektryków - przystojny i czerpiący dumę z faktu, że jest wierny żonie i rodzinie, a jednocześnie zachwyca wszystkie kobiety - nadawał się idealnie. I był łatwym łupem. Oczywiście po paru miesiącach, kiedy Alice miała już na tyle ugruntowaną pozycję w Londynie, by się zdecydować zakończyć sprawę i wziąć na celownik Toma Meynella, Silus się nie zgodził. Wspomniała, jak zgodziła się spotkać z nim głęboką nocą, w jego gabinecie pod dymiącymi wieżami londyńskiej elektrowni, jak on, nie mogąc się powstrzymać, zaczął przechwalać się biegłością swego cechu - poprowadził ją przez ogromne hale generatorów, poodsuwał drzwi tajemnych szaf, w których ogromne ilości eteru z flasz promieniowały ciemnością i światłem.

- Alice, to nie była buta. Albo nie tylko. To była miłość. *Wierzyłem, że...*

— A w co wierzysz teraz?

— Twój syn naprawdę umiera?

- W takiej sprawie bym nie kłamała.

- Nie - westchnął. *Na ile cię znam, wierzę, że nie.* - Nas, Wybranych, cechy kiedyś wykorzystywały do rozwiązywania problemów, przy których bezsilne były ich zaklęcia - i, co trzeba powiedzieć, źle nas wykorzystywały. Niewykluczone, że moglibyśmy twojego syna uleczyć. Lecz ludzie to nie maszyny. Einfell zaś jest równie rzeczywiste jak ty, jak dzisiejszy dzień, jak choroba twojego syna. Nie ma tu żadnej Złotobiałej. Tb nie jest dom z bajki, a zdrowie, którego pragniesz dla **Ralpha**, to nie jakieś zepsute koło zamachowe. Kto jak kto, ale ty, Alice, powinnaś rozumieć, że bliskość śmierci to coś więcej niż tylko...

Rozejrzała się po pokoju. Na błyszczącym szarym linoleum pod białymi ścianami ozdobionymi kilkoma wyblakłymi fotografiami przedstawiającymi twarze sprzed tego Wiek stała metalowa szafka na akta z czterema szufladami. Masz rację, pomyślała, spoglądając mącącym się wzrokiem na odmieńca. Wiem dokładnie, jak wygląda bliskość śmierci. Właśnie tak.

– To dlaczego po prostu mnie nie odeślesz i nie zakończysz tej gry? – zapytała.

Silus pokręcił głową, choć ani drgnął.

– Nie mogę. I jest coś jeszcze. Ludzie-Cienie...

– Ludzie cienie?

- Mieszkają w głębi lasów wokół Einfell. Są... - zawahała się - ...bardziej odmienieni niż ja. Bliżej im do tego, co eter chyba chce z nas zrobić. A ostatnio byli niespokojni. Bo przecież pod koniec roku okaże się, że ten Wiek trwa już całe stulecie...

– Mówisz, że...

Nie. Nic nie mówię.

Alice znów ogarnęło poczucie przegranej.

– Co mogłabym jeszcze...?

– Powinnaś chyba już pójść.

- Może Ralph już... →Nie żyje. Pozwoliła tej okropnej, niewypowiedzianej myśli na ucieczkę.

- Chyba powinnaś wracać do Invercombe.

Potaknęła i wstała. Silus również wstał i swymi smukłymi białymi dłońmi otworzył przed nią drzwi. Po wyjściu z gabinetu wydało się jej, że w głębi korytarza mignęła jakaś inna postać, o potwornej twarzy, jak zrobionej z węgla drzewnego - zaraz jednak zniknęła. Potem Alice znalazła się na zewnątrz, sama. Po co tu przyjechała? Co ją tu ciągnęło, co chciała osiągnąć? No i co Silus miał na myśli, mówiąc o Ludziach-Cieniach z lasu? Gdy dotarła na jego skraj, gdzie drzewa ocierały się o ciemne spłoty chmur, z ich falujących cieni coś ją przyzywało. Musiała się przekonać, co się tam kryje.

Między drzewami wisiały na sznurkach różne przedmioty. Podzwaniały potrącane przez nią łyżki i widelce. Poblyskiwały, kołysząc się, kawałki ceramiki i kółka od zasłon. Droga w głąb, coraz wyraźniejsza, wyłożona była płaskimi talerzami. Alice weszła na niewielką polanę, gdzie coś się poruszyło, choć w pierwszej chwili pomyślała, że to tylko podobny do

chmury zgręstek szarości pośród drzew albo projekcja jej własnych, pomieszanych uczuć.

Co by pani oddała, pani arcyceh mistrzyni?...

Zawahała się, zachwiała. Czy naprawdę to słyszy, widzi? Po czym jakiś kształt, trochę ludzki, choć całkiem szary i postrzępiony, podbiegł do niej susami przez bujną trawę, a kolejny, szybki i lekki jak cień, zaszeptał gdzieś za nim. Coś jeszcze innego zaszeleściło między drzewami. Przez chwilę czuła się otoczona, dźwięki - napawające strachem, a jednocześnie dziwnie melodyjne, jak tęskna piosenka słyszana we śnie - **przenikały** ją na wskroś. Te istoty miały twarze, jak najbardziej. Miały usta i oczy. Nosiły nawet strzępy ubrań, szeleszczące i pobrzękujące jak otaczający je las, choć same były niesamowicie chude i ledwie widoczne. Alice mimo wszystko się uśmiechnęła. Wyciągnęła do nich **rękę** i **poczuła** muśnięcie, jakby najdelikatniejszym z jedwabiów. Ci Ludzie-Cienie, pomyślała z dziwną radością, to prawdziwi odmieńcy. Są tak przesyleni eterem, że stali się niemal czystym zaklęciem. Jakże typowe dla Silusa i jakże smutne, że nawet przeobrażając się w taką istotę, zatrzymał się w pół drogi.

Co by pani oddała...? "Lnów to samo pytanie. Potem zniknęły z szelstem. Alice, znów sama na polanie, zauważyła, że po przeciwnej stronie stoi maleńka i wiekowa stacja nadawcza. Zgarbiwszy się, weszła do środka, odgarnęła liście z poskrzypującego metalowego fotela i przetarła lustro suchą jak wiór szmatą, aż w brudnym szkle **ukazało** się jej odbicie. Urządzenia, po staroświecku ciężkie, przywodziły na myśl Invercombe - oczywiście, właśnie tutaj wysyłano pierwsze telefoniczne wiadomości, bo przecież nie dałoby się mieć tylko jednej budki. Oto kolejny relikw z pięknej historii cechu...

W **zmętniałym** połysku lustra udało się jej ponownie skupić. Alice Meynell. Ani stara, ani młoda, ale wiecznie piękna. Przez mgnienie oka miała wrażenie, że w istocie odbyło się coś na kształt rozmowy, mimo że budka od dawna była wyłączona.

9

Ralph szedł przez trawę na cyplu Durnock Head, w miarę jak się zbliżał do Świątyni Wiatrów, coraz mniejszy na tle poszerzającego się widnokręgu.

- No chodź! - zawołał do matki, która z trudem dotrzymywała mu kroku. - Pomyślałbym, że już się zmęczyłaś, gdybym nie wiedział, że ty raczej...

— Szczerze, skarbie, to naprawdę się zmęczyłam. - Alice, wreszcie siadając obok niego w cieniu, na okrągłej ławce, zdziwiła się, słysząc w swoim głosie zadyszkę jak u starszej pani. - W końcu nie jestem już taka młoda jak ty... - Uśmiechnęła się do niego szeroko. Do szyi kleiły się jej pasma rozwianych wiatrem włosów.

„Nasze dzieci są zwiastunami naszej śmiertelności”, przypomniała sobie. Nigdy jednak nie spodziewała się, że zrozumie to tak nagle i wyraźnie.

Doktor Foot wciąż zalecał ostrożność, ale wszyscy widzieli, że to nie jest taka sobie zwykła poprawa. Ralph Meynell był wyleczony. Nie miało już znaczenia, w co Alice wierzy, a w co nie. Był zdrowy. Niemożliwe, a jednak prawdziwe. Jej serce dudniło, a on nawet nie stracił tchu; od jego wyzdrowienia przez cały czas czuła się tak jak teraz, wspinając się na Durnock Head - że próbuje dotrzymać mu kroku, ale nigdy jej się to nie udaje. Wspomniała swój powrót do Invercombe z **Einfell** w szarą niedzielę, wybiegającą z domu rozpromienioną ochmistrzynią, ciągnięta przez nią głównymi schodami na górę, nie rozumiała ani słowa z jej bełkotu. Ale w pokoju Ralpha były otwarte wszystkie okna. Złamano wszystkie jej zakazy, co do jednego, tak że Alice znalazła się o krok od uderzenia ochmistrzyni w twarz, kiedy uświadomiła sobie, że Ralph ma otwarte oczy i patrzy na nią z zakłopotaniem, ale i zadowoleniem. Gorączka, jak się przekonała, kładąc mu dłoń na szpeciniastym policzku, całkiem ustąpiła. Kryzys naprawdę minął. Dzień później Ralph już siedał i jadł z aż niepokojącym apetytem. Kolejnego dnia chodził po domu energicznie jak nigdy. A teraz, pracokres później, proszę tylko popatrzeć.

Nie miało to za grosz sensu. Ochmistrzyni i pokojowe niewzruszenie przyjmowały, że to najzwyklejszy cud, Ralph mógł złożyć wszystko na karb swej ukochanej nauki, Alice natomiast, siedząc w **Świątyni Wiatrów**, czuła się zdezorientowana. I zmęczona. W myślach wciąż borykała się ze wspomnieniami z **Einfell**, z rozmową z Silusem i przelotnym spotkaniem z Ludźmi-Cieniami.

— Szkoda, że nie przyniosłem sobie paru książek z biblioteki...

Ralph już wstał z ławki i chodził po tej wietrznej kaplicy zapomnianych bogów, a jego odnowiony i obniżony głos odbijał się echem od kopulastego sklepienia. Mówił, że książki często piszą o „najlepszych, najbardziej typowych okazach”. Tak jakby z pozostałymi było coś nie tak! Tak jakby one nie miały własnej historii i znaczenia - choć słowa „znaczenie” nie cierpiał prawie tak bardzo, jak zakłamanych stwierdzeń o „dowodach inteligentnego projektu”...

Alice, zakłopotana i wyczerpana, postanowiła, że maksymalnie skorzysta z okazji do odpoczynku i podziwiania widoków. Bo zaraz będą łązić po cyplu i studiować do ostatniego szczegółu każdy z osobna liść jakiejś banalnej rośliny. Wyzdrowienie Ralphi spadło na nią tak nagle, że nie zdążyła jeszcze się dostosować. Przedtem to ona za wszystko odpowiadała, decydowała o wszystkim. Dawny Ralph był w zasadzie stacjonarny. Wiedziała, że pozostawiony w pokoju, będzie tam nadal po jej powrocie - a ten jej nowy syn ciągnął ją wszędzie jak pies na smyczy. Czasem trudno było nie czuć rozżalenia. Miała przecież oprócz tego mnóstwo spraw na głowie. Tom biedził się nad konfliktem z Pike'ami, tak że koniecznie musiała pojechać do Londynu, chociaż na kilka dni, by załagodzić sytuację.

— Wiesz co, jeżeli potrzebujesz, możesz wyrwać sobie z książek potrzebne strony. Przecież one są nasze.

— Może i tak — przyznał, robiąc marsową minę. — Ale strony są ułożone w hierarchicznym porządku, który panuje nie tylko w książkach. Jest wszędzie tutaj...

I ruszył dalej. Po chwili wstała i ona — wyszli z cienia świątyni, by analizować długość, szerokość i kosmatość każdego źdźbła trawy, wszystko zapamiętane notując. Przypominało to rozwiązywanie jakiegoś maleńkiego i nieważnego supelka, podczas gdy jej cech wykrwawiał się z wpływów i pieniędzy. To prawda, sama lubiła od czasu do czasu rozejrzeć się raniem za jakimś kwiatkiem, rośliną czy owadem, ale to zupełnie co innego. Co gorsza, plany Ralphi rozkwitały. Potem chciał zająć się muszlami, a jeszcze później budową skał.

Alice przysiadła na bujnej murawie i mrużąc oczy, obejrzała się w stronę domu. Ogrody Invercombe, lśniące oczka wodne, okna, kominy, wszystko wyglądało tak triumfalnie, tak solidnie — a jej cały świat wydawał się na bakier. Potem zerknęła na północną stronę doliny, gdzie cypel się obniżał, a posiadłość, za ciągiem gazonów, nabierała bardziej praktycznego charakteru. Na sznurze łopotało pranie rozwieszzone przez pokojówkę. W głowie Alice zaczął powstawać plan.

W porze obiadowej poszukała Cissy Dunning. Dom milczał, cichutko poskrzypywał i cykał wśród płynnie mijających godzin. Domyślając się, że ochmistrzyni pewnie je obiad, skierowała się prosto do jej gabinetu, gdzie weszła od razu i bez pukania, jak to miała w nawyku wobec służących.

- A, to pani... - Cissy uniosła się z krzesła. Wargi miała pokryte tłuszczem i okruchami. - Piękną mieliśmy pogodę...

- Prawda? - Alice usiadła naprzeciw Murzynki. - Byłam na Durnock Head z synem. Ale nie przeszkadzaj sobie, Cissy, jedz.

- Już w zasadzie skończyłam.

Cissy Dunning otarła usta serwetką. Trochę podejrzewała, że ta piękna, choć trochę rozczochrana kobieta chce, by jadła dalej, bo chce ją widzieć z pełnymi ustami i masłem na twarzy. Arcycechmistrzyni chyba prawie wcale nie potrzebowała jeść. Ani wydać, ani się pocić... Cissy chrząknęła i postanowiła odwzajemnić to przenikliwie błękitne spojrzenie. W obecności pani zawsze przychodziły jej do głowy takie pokretnie myśli. Całkiem jakby jej nie ufała, mimo dobrego traktowania. Wydawało się, że cechmistrzyni czerpie przyjemność ze swej oryginalności.

Może ona jest aniołem, pomyślała Cissy. Może na tym to polega. Przecież tak wygląda. I tak się też zachowuje, nawet jeśli oznacza to postępowanie, którego do końca nie da się zrozumieć. A ostatnio naprawdę coś przyszło do tego domu. Cissy zawsze ciekawiło, jak to było widzieć na własne oczy wskrzeszenie Łazarza. A kiedy wstrząsnął nią widok wstającego z łóżka Ralpa, poczuła się prawie tak, jakby właśnie to widziała.

- Pogoda naprawdę jest wręcz niezwykła... - dodała.

- Ralph nigdy nie był tak zadowolony i taki ruchliwy, więc w żadnym razie nie narzekam. Myślę jednak, że ja... on potrzebowałby trochę pomocy... - Arcycechmistrzyni uśmiechnęła się oszałamiająco.

W dawnych czasach, jak teraz o nich myślała, Cissy z pewnością sprzeciwiłaby się propozycji tej eleganckiej, białej kobiety. Według jej normalnych standardów zetknięcie ze sobą Ralpa Meynella i Marion Price, choć diametralnie różniących się urodzeniem, to jednak należących do przeciwnych płci i będących prawie w tym samym wieku, było prośeniem się o kłopoty. Lecz już zachwiało się sporo z jej dawnych pewników.

- Ralphowi bardzo się przyda jej znajomość okolicy. Poza tym jest zdrowa, zdolna i chyba dość inteligentna. Domyślam się też, że sporo

wie o tutejszej faunie. Na pewno więcej, niż ja chciałabym wiedzieć. — Drobny gest dłoni. I znów ten uśmiech. —Chciałabym, żeby tego lata mój syn nacieszył się życiem pod każdym względem. Naturalnie, skoro wyzdrowiał, przeżyje jeszcze niejedno lato. Ale żadne nie będzie już takie jak to. Mój mąż to człowiek wpływowy i Ralph, żeby się rozwinąć, musi wyjść z jego cienia. Na jesieni pójdzie do naszej Wielkiej Akademii w Highclare. Będzie miał dużo nauki i obowiązków, bo musi nadrobić braki spowodowane przez chorobę. A w dodatku od syna arcycechmistrza oczekuje się, że będzie przewyższał wszystkich wokół.

- W pani ustach brzmi to dość surowo, pani cechmistrzynie.
- Nie „w moich ustach”, Cissy. Obawiam się, że taka jest prawda.

Cissy zerknęła na fasolkę na blacie biurka. Gdyby siedział przed nią ktokolwiek inny, sięgnęłaby po ten uspokajający kształt. Ale właściwie, czy nie jest naturalne pozwolenie dwojgu młodym ludziom na spędzenie razem lata?

10

O świcie do Świątyni Wiatrów przyłączały się różnorodne wierzchołki drzew; zalewisko odbijało i powiększało ich zielenie i srebrzyste błękity. Potem w nieruchomej wodzie pojawił się poblask prawdziwego ruchu - błysk jasnej koszuli. Później przybliżyły się głosy.

- Każda żyjąca istota jest inna. Żadne inne drzewo nie ma takiego kształtu jak to. Ułożenie gałęzi, rysunek na korze —wszystko jest niepowtarzalne.

— A ja myślałam, że to wszystko dzieło mistrza Wyatta.

Ralph wybuchnął śmiechem. Jego głos, po paru miesiącach wahania, ustabilizował się w okolicach dolnej oktawy.

— Samo by się też zrobiło!

Odbicia ich obojga lśniły na wodzie zalewiska, gdy siedzieli na jego kamiennym obrzeżu, a w Invercombe powoli rozwijał się dzień. Według standardów Ralpha wstali absurdalnie wcześnie, chciał bowiem przyjrzeć się, jak otwierają się różne kwiaty w różnych punktach doliny oraz jaki ma to wpływ na ich orientację i kształt. Marion tylko wzruszyła ramionami na wzmiankę o wpół do piątej — o tej porze i tak zawsze już jest na

nogach. Pod wieloma względami trudno ją było zaskoczyć. Ale z kolei czasami, kiedy mówił coś najoczywistszego...

– Wiesz, naprawdę chciałbym pojechać do bibliotek w Bristolu. W domach cechowych na pewno mają bardzo porządne zbiory.

- Nigdy nie byłam.

– Domyślam się. Wielkie Cechy...

– W Bristolu.

– Nie gniewasz się?

Wzruszyła ramionami, odwróciła wzrok. Jego spojrzenie natomiast przyciągnęła doskonałość jej odbicia. Nachylenie podbródka, ciemne refleksy we włosach. Aż po miejsce, gdzie mankiet bluzki osiadał na nadgarstku, a widoczna tam błękitna żyłka wiła się wokół migotliwej blizny Znak. Każde żywe stworzenie, napomniał się, jest niepowtarzalne. Ale może niektóre są bardziej niepowtarzalne od innych.

Teraz, patrząc na świat, widział, że wszystko jest ze sobą nierozzerwalnie powiązane w kolejne piętra coraz większej złożoności, coraz ściślej adaptacji. Lecz z takiej piramidy, zaczynającej się od martwych skał i zwięzającej ku coraz większej specjalizacji, poprzez mchy i porosty, potem rośliny i królestwo zwierząt, które zaczynają się poruszać o własnych siłach i wykazywać przejawy rozumu, wynikało, że gdzieś musi być szczyt. Może jest nim Marion Price, pomyślał, wciąż gapiąc się na jej odbicie w ciemnej czeluści zalewiska.

Była cicha i spokojna jak ta woda. A czasem jej ruchy bywały nagłe i nieprzewidywalne. Teraz albo za chwilę obróci się i spojrzy na mnie, pomyślał z nadzieją. Tymczasem jej lewa dłoń, jakby obdarzona własnym rozumem, powędrowała na brzeg wody. Palce musnęły powierzchnię, dolina rozpadła się w rozchodzące się koncentrycznie zmarszczki. Ralphowi zrobiło się szkoda obrazu. Ale doskonałość ma wiele oblicz, a nigdy wcześniej nie widział tak elegancko zademonstrowanego wznoszenia się i opadania zakłóconej cieczy, zgodnie z regułami napięcia powierzchniowego, o których to i owo wiedział.

Kiedy wychodzili z Invercombe przez wahadłową furtkę i szli po ścieżce wijącej się ku morzu, czuł, jak wokół dzień nagrzewa się i rozwija. Podczas swych podróży po Europie widywał wspaniałe krajobrazy, ale na ogół oddzielała go od nich szklana szyba i mgła choroby. Tutaj przypominało to raczej chwilę wysiadania z samochodu - nagły zgiełk ulicy w obcym mieście. Świat był jaskrawy, wielki, a wszystko zrobiło się wyraźne.

Zbierając siły, na nowo dziwiąc się początkiem każdego zaczarowanego dnia, czuł się jak Bóg, w którego już nie wierzył.

Trudno byłoby o lepszego przewodnika po wybrzeżu niż Marion. Znała nazwy wszystkich roślin i zwierząt. Może i nie były poprawne naukowo, ale złapał się na tym, że używa ich w niezliczonych notatkach, które razem zapełniali. Trzewioróża. **Wiedźmi** sak. Nożownik. Trawa sznurkowa. Znała też ich naturalne siedliska. Nie ogólnie, jak ludzie opisujący ryciny w książkach Ralpha, ale wiedziała, jakie i które gatunki będą mieszkać w poszczególnych zalewiskach oraz czym i dlaczego się różnią. Ralph mógł kucać z nią na ziemi godzinami, przyglądając się powolnemu przyrostowi ziemi wydalonej przez dżdżownicę, falującym kolcom jeżowca, walce krewetki o życie albo po prostu samej Marion.

Teraz, ciemna na tle oślepiającego nadbrzeżnego blasku, odwróciła się doń plecami.

- Spróbuj pochodzić boso - powiedziała, zdejmując botki i pończochy. Ralph, który dla edukacji zmuszał się od czasu do czasu do przeczytania jakiejś powieści, zastanawiał się kiedyś, skąd tyle hałasu wokół kobiecych nóg i kostek.

- To nie boli?

- Będziesz miał suchsze stopy. No i nie zniszczysz butów.

Ralph wzruszył ramionami i usiadł. Bose stopy zawsze kojarzyły mu się z zebrawkami i **ulicznikami**, ale od razu poczuł się lepiej. Rzeczywiście, dotyk powietrza i słońca na nagich palcach był wcale przyjemny.

- O wiele lepiej! - Przeszedł parę kroków po łupku, poutykał, skrzywił się. - E, wcale nie!

- Marudzisz. Zobacz... - Podskoczyła, zawirowała w piruecie. Ralph, przyglądając się jej, roześmianej, bosej, z rozwianymi włosami, na brzegu morza, wyzbył się wszelkich dotychczasowych wątpliwości, czy Marion Price jest szczytem wszelkiego stworzenia. Nagle pisnęła, upadła na skałę tuż obok niego i zaczęła ze smutkiem masować podeszwy. - Popatrz... - Uniosła stopę ku niemu.

Ralph popatrzył. Palce ozdabiały grudki piasku i odłamki muszli. Zauważył, że oba wielkie palce są wygięte do góry.

- Mnie chyba nigdy stopy nie stwardnieją. Nie przypominam sobie, kiedy ostatni raz członek rodu Meynellów chodził boso... chyba że wchodził do wanny.

- Uważasz, że powinnam mieć stwardniałe ręce i stopy, bo takie ma mój ojciec?

Jak zawsze wyprzedzała go o krok.

- To tak nie działa, prawda? – ciągnęła. - Gdyby wszyscy stawali się tacy jak ich rodzice, to moi kuzyni ze Stiplely mieliby u lewej ręki po trzy palce, jak ich ojciec.

W pnącym się ku górze słońcu Ralph rozcapierzył palce stóp i poczuł, jak przesypuje się między nimi mokry piasek. Marion poszła dalej. Uwielbiał sposób, w jaki się poruszała, kiedy była nad wodą - taka czujna, zawsze się pochylała, rozglądała, szukała. Kojarzyła mu się z morskim ptakiem. Coś znalazła. Uniosła to ze śmiechem.

- Ralph, zobacz! Znalazłam fasolkę.

Nie miał pojęcia co to takiego, ale wstał i podbiegł do niej przez skwarne słońce, by współuczestniczyć w odkryciu.

Nigdy nie byłem tak szczęśliwy, pomyślał.

11

London wywarł na Alice wstrząsające wrażenie. Tak jakby coś nabytego na Zachodzie kazało jej się dziwować – niczym jakiemuś prostakowi – widokami, do których z dawien dawna przywykła. Wyszła ze swej miejskiej rezydencji na Northcentral. Już czekał na nią samochód, to rozbłyskując, to ciemniejąc w promieniach Wieży Hallam. Pozwoliła, by wielkie gmachy i poranny ruch zostały z tyłu. Myślami trochę była z Ralphem, choć dziś miała inne sprawy na głowie.

Giełda Dockland nadal dominowała nad dokami. Gdyby dało się od nowa napisać historię jej cechu, Alice z pewnością wybrałaby inne miejsce na główną siedzibę. Czasem pozwalała sobie nawet marzyć na jawie o przejęciu domu Zwierzmistrzów albo i parweniuszowskich Ślusarzy na Wagstaffe Mall, choć dziś próżne były nadzieje na coś takiego. Pomyślała też, wysiadając i zerkając przez obracające się żurawie na wielką, wysoką budowlę, miejsce pracy męża, że posiadanie siedziby w pobliżu rzeczywistych środków produkcji ma swoje zalety. Wiedziała bowiem, przestępując śliskie wycieki, że bogactwo to brudny przemysł i niewiele ma wspólnego z marmurowymi hallami i wykwintnymi salonami.

Pojechała windą, ale i tak zatrzymała się na wielu piętrach, z początku nieoczekiwanie, choć wieść o wizycie arcycechmistrzynie szybko rozniosła się po piętrach. Starsi i wyżsi mistrzowie uwijali się pośród klekotu

maszyn do pisania, rur poczty pneumatycznej, wózków z papierami i taśm telegraficznych. Jak zawsze, szczególnie zapamiętywała najzdolniejszych i najpracowitszych: tacy ludzie byli w cechu potrzebni, choć mogli także stać się dlań zagrożeniem.

Kiedy dotarła do przestronnego gabinetu męża na samej górze, Tom już od dawna siedział przy biurku. W płynnym funkcjonowaniu Wielkiego Cechu Telegrafistów pewną rolę odgrywały także klubowe obiady i poranne przechadzki, teraz jednak sytuacja była trudna. Alice poczuła, że odrobinę go jej szkoda. Wyglądał zauważalnie starzej, a ostatniej nocy, mimo długiego rozstania, nie mógł utrzymać erekcji. Jak tak dalej pójdzie, znajdzie się w grobie jeszcze szybciej niż jego ojciec. Alice, kładąc mu dłonie na ramionach i całując w rzednące włosy na czubku głowy, pomyślała: Cóż, mamy trudny koniec trudnego Wieku. Każdy musi ponieść jakąś ofiarę.

– Naprawdę muszę pojechać do naszego domu na Zachodzie.

– Naturalnie. - Wyprostowała się, zdjęła rękawiczki. Światło rozbłysło na obrazach i panneau. Z tej wysokości Londyn był jasny, błękitnoszary. – Kiedy tylko będziesz miał możliwość, musisz, kochanie, porządnie wypocząć.

- I mówisz, że Ralph ma się o wiele lepiej.

- Nie tylko lepiej. Kochanie, jest wyleczony i całe dni spędza nad morzem. Ma nawet przyjaciół. Skarbie, nie wiem, czy go poznasz. Zresztą, w przeciwnym razie nie zostawiłabym go i nie przyjechała tutaj.

Tom westchnął i się uśmiechnął.

- Przynajmniej jedno idzie w dobrym kierunku.

Usiadła przy jego biurku i zaczęli rozmawiać o interesach. Maszyny obliczeniowe przygotowały dla niej tabele, zupełnie nie tak jak prosiła, ale kryła się w nich ta sama historia. Zyski spadały. Koszty rosły. Pesymizm zawsze był bardziej zaraźliwy niż optymizm - wystarczyło tylko posłuchać rozmów w klubach - ale Telegrafiści ucierpieli jeszcze bardziej niż inne Wielkie Cechy. Podczas choroby Ralpha Alice spuściła interes z oczu - i za to teraz płacili. Miała jednak swoje plany.

- Wyjdźmy na balkon. Muszę ci coś wyjaśnić.

Uderzyło w nich cierpkie londyńskie powietrze. Z dużej wysokości wydawało się, że magazyny o ogromnych dachach włożą jeden na drugi, żeby tylko się dostać do ruchliwej rzeki.

– Dziwne, że stary wielki mistrz Pike zginął właśnie w taki sposób - powiedział Tom, w ogóle nie patrząc na miasto. - To znaczy, spadł

z balkonu. I przypominam sobie człowieka, który parę lat temu mówił, że wykupi trochę naszych akcji i zrestrukturyzuje zarząd. Jak mu było... Digby? Nie, Drigby. Też zabił się, spadając skądś, prawda?

Nawet nie mrugnawszy, Alice odwzajemniła spojrzenie męża.

– O czym teraz myślisz?

- No, nie wiem. - Westchnął, odbiegając wzrokiem ku żurawiovi obracającemu się nad statek. - Że ludzie umierają. - Długa przerwa. Spojrzenie Toma, kiedy patrzył, nie widząc, na pełne zgiełku miasto, wydawało się zagubione. - Ciężkie czasy nastały dla nas, Alice. Ale wszyscy mówią, że jesteśmy największymi szczęściarzami na świecie, szczególnie teraz, kiedy Ralph całkiem wyzdrowiał.

- Bo jesteśmy szczęściarzami. I będziemy. - Alice opanowała wyraz twarzy i pozwoliła, by jej oczy zabłyśły na wietrze. - Jak pewnie wiesz, mamy dużo ziemi na wschodnim wybrzeżu. Przeważnie słabej i większość dzierżawimy za beccen na pastwiska. Miała tam być nowa linia telefoniczna, którą mieli budować Pike'owie, ale sądzę, że te tereny możemy wykorzystać do czegoś jeszcze...

Tę chwilę dobrze zaplanowała, choć wszystko niemal zepsuł nagły powiew londyńskiego wiatru, gdy wysypywała na rękę zawartość wyciągniętej z kieszeni koperty. Sucha, lekka zielona substancja prawie uleciała, nim Alice zdążyła zamknąć dłoń. Zostało jednak dosyć, by Tom mógł wziąć odrobinę na zwilżony palec, kiedy poprosiła go, by spróbował.

Skrzywił się.

- W zasadzie słodkie, ale ma w sobie coś ostrego. Jak to się nazywa?

- Słodkogórz. Na Zachodzie czasem używa się tego jako przyprawy. Ale tam nie rośnie zbyt dobrze, bo najlepiej się czuje, rozumiesz, na słabej glebie, w chłodzie. To w sam raz dla nas, na wschodnie wybrzeże.

- Po co?

- Wiesz, ile cukru importuje się rocznie z Wysp Szczęśliwych, żeby zaspokoić apetyt Anglii na słodycze?

- Ale popyt jest zaspokojony w stu procentach.

– Owszem.

- Mówisz, że to można by uprawiać i sprzedawać jako substytut...

Tomowi leciutko zwilgotniały oczy. Zrozumiał, o co jej chodzi, zawsze rozumiał. Znakomicie się uzupełniali - ona była od pomysłów i dyskretnych wpływów, on od ciężkiej pracy i uporu. Spadłyby obroty w Bristolu, a wzrosły w Londynie i Cech Telegrafistów bardzo by zwiększył zyski...

- Zrobiłam rozeznanie - ciągnęła. - Zdziwiłbyś się, do czego można tego słodkogorza użyć. Nie tylko do ciast, czekolad i herbaty. Także do perfum i kosmetyków, do krokietów i serów... właściwie wszystko, co tanio wykonane, zyskuje po posłodzeniu.

On jednak miał wątpliwości - może po prostu przez posmak surowego słodkogorza, istotnie dość ostry.

- **Tom**, kochanie, jeśli sądzisz, że koszty...

- Nie martwię się o sprawy organizacyjne. Jeśli mówisz, że się uda, jestem pewien, że wszystko się da załatwić. Zastanawia mnie nie tyle klęska tego słodkogorza, ile sukces. I jakie byłyby konsekwencje.

Czasem Tom bywał równie dziwny i uparty jak Ralph. Zaszli już jednak za daleko, żeby się wycofać, a wiedziała, że mąż nie zostawi jej na lodzie. Plany operacji były zatwierdzone i czekały tylko na jego podpis. Sprawa jest załatwiona. Ale Tomowi nie trzeba wszystkiego tłumaczyć. Sam do tego dojdzie.

Wieczorem, po ciężkim dniu spędzonym na przekopywaniu się przez zaległe papiery, gdy giełdę opuściła już większość pracowników, gdy nawet Tom poszedł do domu, Alice, mając pewność, że nikt jej nie przeszkodzi, weszła do prywatnej budki telefonicznej na najwyższym piętrze. Czuła się niezwykle przyjemnie, zasiadając w fotelu, z którego tak często rozmawiał z nią mąż. W budce unosił się zapach kurzu i skóry, który pamiętała z rozmów. Podnosząc łącznik, dostrzegła w lustrze swe odbicie. Całkiem jakby czekała tam na nią jakaś część jej jaźni.

Wykręciła numer, już z łatwością wyszeptala nowe zakłęcie i popłynęła grubą żyłą biegnącą przez środek Giełdy Dockland ku maszynom liczącym w podziemiach. Niegłupio byłoby trochę bardziej zaangażować je w prace rozwojowe wokół słodkogorza, **wiedziała** jednak, że bywają omylne. *To* - jak wszystko - nie ich wina, lecz **faktu**, że otrzymywane przez nie dane gospodarcze, zwłaszcza z Zachodu, były zafalszowane ponad wszelkie wyobrażenie. Pewnego dnia świat będzie wyglądał dokładnie tak, jak sobie wyobrażacie, obiecała tej wijącej się płataninie informacji. Zatriumfuje logika. **Wasze** prognozy będą doskonałe.

Przeskoczyła na sieć międzymiastową i poleciała na zachód Anglii, od przekaznika do centrali, aż dotarła tutaj - do budki telefonicznej w Invercombe, która wydała jej się najbardziej odpowiednim miejscem

docelowym ze wszystkich. Po **wyjeździe** to wrażenie było jeszcze silniejsze.

Skupiła się w dalekim lustrze. Słyszała tykot zegarów. Powoli, jedna bezcielesna kończyzna za drugą, wysliznęła się ze szkła, a potem z pustej budki. Minawszy główne schody, dojrzała swym pozornym wzrokiem jedno z licznych zwierciadeł, w którym odbijały się tylko meble i blask niskiego, wieczornego słońca. Hall był pusty. Wiszące wazony były pełne chwilowo pozbawionych zapachu kwiatów. Natężyła się. Tak, teraz lepiej. W milczeniu wspięła się po głównych schodach. Śliska i niewidzialna jak cień w cieniu, podryfowała naprzód. Pozorny wzrok napotkał jedno z licznych zwierciadeł. Nic w nim nie zobaczyła, ale nie przeżywała już załamania, jak za pierwszym razem, gdy naprawdę zrozumiała, że jest w tym miejscu i nie jest jednocześnie. Robię się w tym coraz lepsza, pomyślała i zachichotałaby, gdyby to było możliwe. Najtrudniej nadal było się poruszać i jednocześnie ogniskować wzrok. Aby się skupić na starym dębowym fotelu, potem na marmurowym popiersiu, potem na charakterystycznym słoju drewna, którym wyłożono wyjście naprzeciwko, przed każdym krokiem musiała napełnić swój umysł konkretnymi myślami o danym przedmiocie.

Płynąc zrywami, weszła w ciemne, bielone korytarze dla służby, zeszała w dół ku pracowniom i magazynom. Invercombe pęczniało w głąb jaskiniami, podpartymi zakrzywiającymi się w ciemności kolumnami ze lśniącej skały, gdzie słone powietrze pulsowało w rytm **fal**. Pod stropami były rozpięte ogumione czerwone kable, które falowały lekko jak czułki olbrzymiego homara. Powietrze wypełniło się sykiem i brzęczeniem. Tu w swej zatęchłej alkwie leniwie cykała sobie stara maszyna obliczeniowa, mieląc strumienie miejscowych danych, a w nich - co nadal zdumiewało - był i jej obraz. Głęboko w podziemiu, nadal oświetlonym słabnącym dziennym światłem przez łuki w sklepieniach, w miejscu gdzie Riddle najgłębiej wcinała się w dolinę, przycupnęły bokami do siebie dwie warczące jak złe zwierzaki prądnice. Nie one jednak były głównym źródłem hałasu dochodzącego z zewnątrz, gdzie czerpaki koła wodnego podśpiewywały „ach, ach, ach”, napełniając się i obracając.

Mogła zejść głębiej w splątane morskie trzewia Invercombe, ale zawirowała wokół pylonu, wzbijając się ku połyskowi wiatrosteru. Przez chwilę była elektrycznością, potem zewnętrzną galeryjką kopuły, skąd w jedną stronę otwierał się widok na łagodną zieleń całego Somerset, w drugą zaś na dolinę i błyszczący Kanał Bristolski. Stał tam wiatrosternik Ayres

i spoglądał w dół na ścieżkę wiodącą ku sadom. Alice podążyła za przepelnionym uśmiechem spojrzeniem i dostrzegła nucącą, kołyszącą się, zwieńczoną czerwoną chustką na głowie, okrągłą sylwetkę ochmi-strzyni Dunning. Nie do pomylenia z nikim innym. W wielkim wiklinowym koszu niosła wiązkę wierzbowych bazi. Wydawała się całkiem zadowolona, choć taka robota należała zwykle do kucharki. Co więcej, spojrzenie Ayresa, którego częścią była teraz Alice, miało w sobie ciepło i głód niemający wiele wspólnego z perspektywą dzisiejszej kolacji, nieważne jak smacznej. Rzeczywiście, dziwne i pełne osamotnienia dni.

Wróciła na galeryjkę wiatrosteru. Wcześniej była to maksymalna odległość, na jaką poważyłyby się oddalić od budki telefonicznej, ale przepoiło ją piękno zapadającego wieczoru, a drzewa w arboretum zapraszały. Jednym prostym skokiem prześliznęła się od gałęzi do gałęzi, od cienia do cienia, sfrunęła w dół kaskad, przeszła przez ulistnioną paszczę grotu i dotarła do słonego stawu. Byłoby przyjemnie pounosić się na tej ciepłej jak krew wodzie. Tu jednak, w ostatnie ogrodzenie pnące się ku Dur-nock Head była wprawiona furka - kolejny oczywisty cel. Alice ruszyła wzdłuż długich cieni skał ku nasilającemu się zapachowi morza.

Odptyw trwał już od jakiegoś czasu i czuło się, że życie tutaj, poza strefą kontroli mistrza Wyatta, jest całkiem inne - walczy i pożera się nawzajem. Daleko na tej lśniącej połaci trzy sylwetki poruszały się jak dziwojasne płomienie. Na spłachetku piasku leżała pęknięta muszla czareczki, skrawek starej sieci rybackiej, białe kości mewy rozrzucone w jaskrawym blasku zachodu słońca. Jak srebrna nić pajęczyny, Alice podryfowała ku nim.

12

Światła mostu na Severn dopiero zaczynały rozbłyskać, kiedy Ralph pomagał Marion i jej ojcu popychać krnąbrną łódź ku przypiłowowi. Natężając się tak, nie był już słabowitym paniczem-arcycehmistrzem. Obdarty, ogorzały, z wypłowiałymi od słońca włosami, coraz bardziej i bardziej upodabniał się do innych przemierzających brzeg postaci. Podobnie Marion, choć ona tylko powracała do naturalnego stanu. Niebawem ciemnowłosi, bosy i zabiegani, oboje w pełni dojrzały, choć wciąż niesamowicie młodzi, upodobnili się do siebie nawet wyglądem. Inni

ludzie znad morza, pozdrawiając ich, zaczynając pogawędkę, pytali niekiedy, czy nie są ze sobą spokrewnieni.

Błoto ślizgało się pod stopami i kolanami. Stępka umknęła z cmoknięciem. Ralph, próbujący złapać łódkę i wspiąć się do środka, upadł jak długi w szybko pogłębiającą się wodę. Chwila paniki, kiedy słono-gorzka woda nalała mu się do ust i gardła, potem Marion pomaga mu się wy dostać.

- No nie, nie umiemy pływać. - Jej ojciec zachichotał. - A chyba coś mówiłeś, że bywałeś na tyłu łodziach?

Marion stabilizowała łódkę, a Ralph nieco ostrożniej wgramolił się do środka. Choć przemoczony do nitki, nie marzł, bo powietrze i woda były ciepłe. Fakt, że statki, na których pływał, miały sale balowe i pokłady spacerowe, wydał mu się zupełnie niewart tłumaczenia. To całkiem inne pływanie, tak jak całkiem inne życie. Zdumiewające, jak łatwo, nawet w tak bezwietrzny wieczór, wypełniają się żagle tej pozbawionej wiatrosteru łódeczki.

Dni nabrały nonszalanckiego rytmu. Rankiem Marion i Ralph poważnie badali skały na zboczu Durnock Head od strony morza. Było to interesujące pod względem geologicznym i stanowiło znakomitą okazję do wspinaczki - Marion, podobnie jak Ralphowi, to lato dało okazję do przeżycia prawdziwej, nigdy dotąd niezaznanej wolności dzieciństwa. Powietrze nad Kanałem Bristolskim stawało się tak przejrzyste, że statki wydawały się zabawkami, które można zamknąć w dłoni. Oboje odłupywali warstewki skały. Każda odsłaniała coś nowego, co mógł stworzyć tylko szczęk młotka. Czasem znajdowali gromadkę muszli - w niektórych dawało się rozpoznać pospolite gatunki znad brzegu, inne były dziwne. Albo odciski robaków, albo osobliwe stworzenia przypominające wielkie stonogi. Ocean wracał do oceanu, płukali okazy w pobliskich zalewiskach, a Ralph wyobrażał sobie, że zanurza się pod powierzchnię prądawego morza.

W porze obiadowej często chodzili do Clyst. Rodzina Price'ów nie dostrzegała ogromnego dystansu, jaki pokonał Ralph, żeby móc zasiadać z nimi przy kuchennym stole. Jego skóra była poznaczona solą, spalona słońcem, nieźle poznał nadbrzeżną faunę, choć niektórym stworzeniom nadawał bardzo dziwne nazwy. Przyswoił sobie nawet odrobinę zachodniego akcentu. Tylko Denise zadawała pytania stosowne wobec kogoś z wysokiego cechu. Ale Londyn zbył wzruszeniem ramion, Paryż uśmiechem i wymijającym skinieniem głowy.

Popołudniami upał wyganiał ich w pachnący cień cytrusowego gaju, czasem, zszedłszy mrocznymi schodami Invercombe, chronili się w chłodnej alkwie maszyny obliczeniowej. Odkąd ją naoliwiono, oczyszczono z kurzu i rdzy, obrano z pajęczyn, bębunki i dźwignie poruszały się gładko i łatwo, gdy Ralph z Marion starali się wpisać na karty perforowane wszystkie zebrane o życiu **informacje**. Była to ogromna praca, sądził jednak, że posuwają się do przodu.

Teraz wieczór przeszedł w żarzącą się światłami noc, a oni wypływali na otwarte wody, gdzie powietrze miało inny zapach i zwyczaje. Ralph zerknął na ojca Marion - jej tatkę, jak zaczął o nim myśleć - poszturchując go **rumpel zrogowaciałymi** palcami. Marion trzymała szot. Oboje robili to z nonszalancją, choć Ralph jeszcze przed dzisiejszym nieplanowanym nurkowaniem wiedział, że to myłace. Owe umiejętności były równie skomplikowane, jak te pielęgnowane przez któryś z Wielkich Cechów, ale **O** wiele bardziej fascynujące. Jeździł włókami z bratem Marion, Owenem, razem z nim czyścił i zbierał pułapki na łososie. Pomagał mamusce obierać wierzbowe witki, a w magiczne noce wyprawiał się z całą wioską na polowy węgorzy, wciskając pod **głęboką** do bioder wodę syczące chemiczne światła i zaganiając ośliżle, falujące kształty do szemrzących siatek. Robił to wszystko i rozkoszował się tym. A niedługo będzie noc świętojańska, już wiedział, że ma być wspaniała i całkiem inna od poprzednich, bo rozmach planów i przygotowań był oszałamiający. Zaliczała się do nich także dzisiejsza wyprawa, choć nadal nie wiedział dlaczego.

Woda była tu ciemniejsza i tak przejrzysta, że mógł zajrzeć w nicość bez dna. Tato Marion mrucał jakieś polecenia, sprawdzał punkty nawigacyjne. Świątynia Wiatrów stanowiła zaledwie odbłysek księżyca. Na północy rozrzucone wokół Avonmouth światła skupiały się ku tiarze mostu na Severn. Wyglądały tam jak nanizane na nitkę. Wielkie statki **spały** na kotwicach, ze światłami tylko na topach masztów, albo w **pełni** oświetlone pełzły głównymi pogłębionymi korytarzami ku pełnemu morzu, w jakichś cechowych sprawach. Można było zajrzeć w jasne okna kabin i poczuć dymny powiew wydzielany przez ich maszyny i wiatrostery.

Marion szarpnęła bomem. W przelocie położyła dłoń na kolanie Ralpa, co wprawiło go w ciepłe drżenie, i przecisnęła się do steru. Tato **wychylił** się za burtę i zajrzał w przepastną wodę. Potem zaczął mieszać w niej wyłowionym kawałkiem kija i coś mamrotać, aż utworzyły się fosforyzujące nitki. Jakieś zjawisko luminescencyjne? Ale tato **wciąż mrucał**, niemal nucąc, zbyt szybko i niewyraźnie, by Ralph

mógł zrozumieć słowa. Z wody wyskoczył szklany pływak - odbicie nocy w lśniącym błękicie. latko wyłowił go z wody. Za nim pojawił się krótki kawałek sznurka, potem grubsza lina.

Ralph pomagał ciągnąć, Marion buchtowała linę, na jego plecach rytmicznie pojawiał się i znikał przyjemny nacisk jej przedramienia, aż zwój, żarzący się dziwoczernią w świetle księżyca spoczął na dnie łodzi. Chłopak zdał sobie sprawę, że dopiero co był świadkiem rzucania zaklęcia. Z wody wynurzyła się jednak skrzynka i był zbyt zajęty. Musiał wychylić się tak daleko, że bał się o równowagę łodzi. Wtem, w ostatnim zrywie, skrzynia znalazła się na pokładzie.

Ociekające wodą listewki ukazywały zielone kształty butelek. Tatko uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Same najlepsze na tegoroczną noc świętojańską, co? No już, wracajmy i schowajmy to, zanim pojawią się przekłęci Poborcy Akcyzy...

13

W wigilię świętego Jana arcycechmistrz Thomas Meynell wreszcie przybył ostatnim pociągiem do Invercombe. Następnego dnia, w szampańskim humorze wędrując po domu, zastanawiał się, ile jeszcze rzeczy Alice dyskretnie odkryła wśród skarbów jego cechu - stwierdził jednak, że żadna nie byłaby tak wspaniała. Nic dziwnego, pomyślał, zaglądając do pełnych światła i świeżego powietrza pokojów, że tutaj Ralph wyzdrowiał.

Drzwi sypialń otwierały się z westchnieniem. To na pewno pokój Ralpa - były tu kamienie, książki, muszle, ale ani śladu chłopaka. Ten, za rogiem, oczywiście należał do Alice. Rozglądając się dyskretnie, postanowił wejść. Wczoraj, oboje usprawiedliwiając się zmęczeniem, spali w oddzielnych pokojach. Lecz tutaj poczuł się o wiele bliżej swej żony: przez otwarte przeszklone drzwi napływało morskie powietrze, a światło opływało czarne skórzane boki jej wielkiego kufra. Uśmiechnął się, dotknął jego niezwykłych zamków i obejrzał się na drzwi.

To i owo o swej żonie Tom od dawna wiedział, choć nie przyznawał się do tego. Na przykład, że jest zapewne troszeczkę starsza, niż twierdziła. Albo że jej cechowe urodzenie wcale nie jest tak wysokie, jak zapewniała wszystkich. Jego ojciec od początku miał wątpliwości, nazwał ją nawet

„poszukiwaczką złota” - lecz Toma właśnie ta aura niedopowiedzenia i tajemnicy nieodparcie w Alice pociągała.

Tu stało lustro, przed którym się przygotowywała, choć zawsze wyglądała doskonale, nawet w chwilach najdzikszej namiętności. Właściwie była wtedy jeszcze wspanialsza. Poczul, że członek mu drgnął. Przypomniał sobie tajemne, magiczne sztuczki, które tak sobie cenil w ich życiu seksualnym. Jej triki, jej rezygnację. Pierwszy raz, gdy go zadziwiła, nieproszona pochylając się i biorąc go do ust. Miłość była jednocześnie prosta i nadzwyczajna. Wróciła doń jak piosenka, której nie słyszał od lat. Ostatnia noc - znużenie, nic poza tym. Teraz już będzie jak dawniej, wskrzesi to nieodparta magia tego domu.

Zbłądził wzrokiem na flakoniki perfum, potem na zieloną aksamitną szkatułkę, w której trzymała biżuterię. Wysunął szufladę, brał w palce połyskujące szafiry i perły, wspominając, jak dotykały jej skóry. Splątał łańcuszek, ale zdołał go rozsupłać i rozkładał wszystko z powrotem, choćby w przybliżeniu tak porządnie jak przedtem, gdy wtem zahaczył o coś knykciem i wyskoczyła sprężynowa szufladka. Miała dziwną zawartość. Nawet elegantsze z tych rzeczy, jak zestaw wysadzanych zielonymi kamieniami srebrnych bransolet, wydawały się o wiele zbyt krzykliwe dla Alice. A ta brosza to niewątpliwie tania imitacja - niezwykle tania jak na jego oko. Z kolei ta szpila do kapelusza zardzewiała, zbyt długo wystawiona na powietrze i deszcz. Tu natomiast leżał mosiężny guzik - dokładnie taki, jaki jego ojciec miał niegdyś nosić przy kamizelce. Elegancki diamentowy kolczyk, ale tylko jeden, z wybitym oczkiem. I jeszcze coś, co z pewnością było po prostu suwakiem od męskiego rozporoka — może tu kryły się kolejne tajemnice Alice, których nie był tak całkiem nieświadom. W końcu wszyscy mamy swoje historie. Nie żywił o to do niej pretensji. Przecież sam także miał swoje dawno zapomniane namiętności...

Po czym odkrył srebrną łązkę na cieniutkim złotym łańcuszku, całkiem jakby przywołał ją myślą. Błysnęła, zakręciła się, kiedy uniósł ją przed lustrem. Elegancka biżuteria — i kosztowna. Nie poskąpił jej swej kochanej, uroczej Jackie Brumby, choć wisiorek był na tyle mało rzucający się w oczy, że mogłaby go bezpiecznie nosić byle praczka, w najgorszym wypadku ukryty pod ubraniem, jako ich wspólny sekret. Jakże zachwycał się nim, kołyszącym się, połyskującym między jej piersiami, kiedy się kochali...

— Dobrze spałeś?

Głos Alice był spokojny.

Tom, odwracając się, upuścił łańcuszek i zamknął szufladę.

- To chyba to wiejskie powietrze.

- **Tak** się zawsze mówi, prawda? - Uśmiechnęła się.

- Pomyślałem, że może przeniosę tu swoje rzeczy i będę dzisiaj spać z tobą.

Ułożyła włosy tak, jak najbardziej lubił, luźno podpięte z tyłu długim szylkretowym grzebieniem, przez co odsłoniła piękną szyję i uszy. Nie nosiła pończoch, stopy obuła w lekkie espadryle. Podała mu rękę i poprowadziła go na parter i do ogrodów. Tam wysoko, po lewej, stoi ten słynny wiatroster - no cóż, kochanie, powinien być słynny. Tamten cypel nazywa się Durnock Head. A te wieżyczki jak z bajki maskują pierwszą na świecie stację telefoniczną zbudowaną przez naszych cechmistrzów. W sam raz na niezłe muzeum, gdyby nie było tu aż tak pięknie! Doszli do cedrowej alei, gdzie powietrze było chłodniejsze i przetykane pajęczynami. Tom przypomniał sobie drobną scysję z ojcem o podpisaniu jakichś papierów tuż przed tym, jak staruszek zmarł na udar mózgu podczas jazdy na jednorozcu w Walcote. Nawet w ten przepiękny poranek myśli nie chciały odejść, towarzyszyły mu jak naeteryzowany mrok w blasku słońca.

Zrobiłem coś dziwnego, kochanie. Nic takiego właściwie - pamiętasz te dokumenty, o których rozmawialiśmy pracokres czy dwa temu? Widzisz... jeszcze ich nie podpisałem. To nie ma nic wspólnego z planowaniem, tą nową rośliną ani naszym cechem. Po prostu... wiem, Alice, kochanie, że to bardzo głupie - ale chciałbym ci powiedzieć, tak zwyczajnie, że ich nie podpisałem, a ty się uśmiechnij i powiedz, że to nieważne. I tak przecież w końcu je podpiszę. Całą przekłętą kupę papierów. Mówiłem, że to głupie, prawda? Ja tylko chcę usłyszeć, że mnie kochasz, obojętne, podpisałem je czy nie.

Lecz kiedy szli mostkiem nad zarośniętym nenufarami kanałkiem, stwierdził, że nie da rady nic takiego powiedzieć.

- A przed nami, kochanie, ta otwarta przestrzeń to tak zwane tereny rekreacyjne...

Długie stoły na kozłach przykryte olśniewająco białymi obrusami zastawiono niekończącym się ciągiem waz, półmisek i talerzy, znoszonych do doliny z kuchni. Placki wielkości koła od wozu. Torty wszelkich kolorów i rodzajów. Piramidy pomarańcz. Pachnące góry brzoskwiń...

- Częstuj się, kochanie. W południe, jak przyjdą ludzie, to wszystko zniknie. - Jej dłoń, lekka jak motyl, osiadła mu w talii. - Szkoda, że żadnego z tych smakołyków nie da się jeszcze robić ze słodkogorza.

Kucharka wykorzystuje go tylko jako ozdobę. Wiesz co, troszeczkę ci się tu odkłada, naprawdę...

I zostawiła go, żeby pokpiwać ze służących albo śmiać się razem z nimi, miła i serdeczna, piękna i mądra - istny wzór pani domu. Odpychając od siebie uporczywy obraz lśniącego wisiorka Jackie, stwierdzając, że wszelkie niepokoje uporządkują się, jeśli spędzi tu więcej czasu, Tom rozejrział się za Ralphem. Tego ranka jeszcze bardziej niż podczas krótkiego wczorajszego spotkania zdumiewało go, jak bardzo syn wyrósł, jak szerokie ma ramiona, jak długie i spłowiałe od słońca włosy i że w swym zszarganym ubraniu emanuje ciepłem i zdrowiem. Jesteś już prawdziwym mężczyzną. Taki jestem z ciebie dumny. Ale i tych słów Tom nie potrafił wykrztusić.

- Niezłe widowisko, co? W każdym razie, tato... - Ralph uśmiechnął się, jak każdy, kto widział ten rozgardiasz. — Cieszę się, że nareszcie przyjechałeś do Invercombe.

- Nazwałeś mnie tatą...

- Tak się tutaj mówi. Chyba to od nich podchwycilem. Nie masz nic przeciw temu, prawda?

- Nawet mi się podoba. - Tom poczuł, jak gdzieś w nim w głębi pękają warstwy lodu. „Tato”... może to zwiastuje początek nowej bliskości między nimi.

Spacerowali po trawnikach, Ralph z zadowoleniem pokazywał ten lub inny widok czy odmianę drzewa, a łacińskie nazwy sypały się z jego ust tak łatwo, jak przychodziło mu przyjemne, głębokie „r” nowego, zachodniego akcentu. Głowę miał po brzezi wypełnioną hipotezami i teoriami, tak że kiedy doszli do obrzeżonej winoroślą groty, Tom był bez tchu. Ralph natomiast nie przestawał mówić, dopóki nie pojawili się pierwsi miejscowi goście i nie utkwil wzroku w pewnej ciemnowłosej pokojówce pomagającej stawiać kolejne kozły, by pomieścić nieskończony przypływ jedzenia. Tom też zwrócił na nią uwagę. Była bardzo ładna. Nie, była piękna. Jak ten Ralph na nią patrzy, z zachwytem i tęsknie jednocześnie... Zerknęła w ich stronę i wesolo zamachała ręką, gestem ciepłym jak promyk słońca. Tom uśmiechnął się do siebie, do myśli, że syn może właśnie odkrywa miłość. Pozwolił sobie nawet na jeszcze jedną grzeszną myśl o kochanej, nieobecnej Jackie, która wypowiedziała służbę i zginęła w tak tajemniczych okolicznościach...

- Chodzi mi tak naprawdę o specjalizację, dziedziczone przystosowanie do lokalnych warunków. Bo mam, tato, taki pomysł, i sędzę, że on

może być istotny dla całej naszej koncepcji życia. Na razie jeszcze nie potrafię tego do końca wytłumaczyć...

Grota wionęła na nich chłodnym, ziemnym oddechem.

- Rzeczywiście, to świetne miejsce do badań - zgodził się Tom. - Bardzo ważne dla historii naszego cechu. Musisz mi pokazać te stare maszyny. A swoją drogą... - ciągnął, szybko zmieniając taktykę podług wyrazu twarzy syna - ...zostawiłem ci w pokoju nowy prospekt z Highclare. Matka prosiła, żebym przywiózł go osobiście, bo zdaje się, że poczta tutaj jest troszeczkę niepewna.

- Highclare to nasza główna akademia, prawda?

- Na jesieni tam idziesz. Przecież to już wszystko...?

- Naprawdę nie myślałem, ojcze.

I tyle „taty”. To naprawdę absurdalne, że Alice spędzała z nim tyle czasu, a nigdy mu o tym nie powiedziała.

- Chociaż myślę, że to ma trochę sensu, żebym tam poszedł - przyznał Ralph.

- Tak właśnie sądziłszy. Twoja matka i ja.

- Oczywiście.

- AJe to tylko przy założeniu, że nadal będziesz czuł się tak dobrze jak teraz... to znaczy będziesz zdrowy.

Tom przez chwilę niemal nienawidził Alice za to, w jaki sposób rzuciła na niego przekazanie Ralphowi wiadomości o Highclare. W końcu jednak on był Głównym Telegrafistą, więc dyskretnie usunęła się z drogi, stwarzając mu okazję do odbycia z synem w cztery oczy męskiej rozmowy o przyszłości. Każdy porządny ojciec już dawno miałby taką rozmowę za sobą. Jak zawsze, to była jego wina, a nie jej. Przez te jego głupie obsesje. Podziwiał Ralpa, że przyjmuje to z godnością. Nie prosił nawet, żeby powiedzieć mu, jakie naprawdę jest Highclare - a czekają go tam zimne sale sypialne, rytuały inicjacyjne i błotniste boiska.

- Przepraszam - rzekł Ralph. - To chyba musiało się stać. Przecież gdyby nie Telegrafisci, nie byłoby nas w tym wspaniałym miejscu. Wiem, że mam pewne obowiązki. Tylko... zaskoczyło mnie to. A wydaje mi się, że tego lata jestem już blisko odkrycia czegoś ważnego. Rozumiesz to, prawda?

- Tak - zgodził się Tom, gdy tak beznamiętnie na siebie patrzyli. - Chyba tak.

Piknik na terenach rekreacyjnych miał się zacząć w południe, lecz wśród nadbrzeżnego ludu wszystkie terminy były „mniej więcej”, z jednym, jedynym wyjątkiem - przypliwów i odpływów, co na ogół pozwalało na godzinę czy dwie luzu. Zatem około dziesiątej pierwsi goście przeprawili się przez wahadłową furtkę, której na co dzień nie ważyli się użyć, i ruszyli w górę przepięknej posiadłości, a główna fala przybyła znacznie po wpół do drugiej. Wtedy wielkie placki stanowiły już ruinę, kucharka musiała zarządzić, aby przyniesiono jeszcze wiele pęt kielbasy, a lemoniady chronicznie brakowało, poza tym jednak prawie wszystkiego było aż nadto, choć krajobraz oświetlonych słońcem galaret i splądrowanych szynek przypominał raczej pobojuwisko niż piknik, a goście obrzucali się z upodobaniem bulkami.

Denise Price, tegoroczna Królowa Lata, przybyła na udekorowanym kwiatami fotelu. Chmara dzieci obrzucała ją płatkami róż. Jednakże zwietrzywszy jedzenie, akolici popędzili naprzód, a ona, po krótkim wahaniu, sama czując głód, podkasala tren sukni i pobięła za nimi. Potem nasycony i nieco rozweselony tłum ruszył luźnymi grupkami ku Jarmarkowi Świętojańskiemu, który zawsze odbywał się na końskich pastwiskach od strony Luttrell. W tym roku dodatkową atrakcją była obecność arcycechmistrza Invercombe i jego pięknej żony. Często mówiło się nawet, choć z dala od uszu Denise Price, że to Alice Meynell jest prawdziwą Królową Lata. Obchodziła stragany z owocami, oglądała wiązki ziół, aromatyczne cygara i cygaretki oraz wszechobecne piramidy pozbawionych etykiet butelek. Wszyscy byli dumni, że jest między nimi, i wdzięczni za jej zainteresowanie, odpowiadali na liczne pytania ze szczerością, której pewnie przyjdzie im potem pożalować.

Zarżnięto barana, rozpalono ogień, aromatyczny dym popłynął w zapadający wieczór. Między masztami dwóch wyciągniętych na plażę łodzi rozpięto stary żagiel, na którym pojawiły się ruchome kształty. Przy trzeciej szpuli stało się jasne, że kinematograf wyświetla film o piratach, śmiesznie nieprawdopodobnych okrętach, że jest to coś w rodzaju wyprawy po skarby, okraszanej od czasu do czasu walką na miecze. Widzowie powtarzali echem, dukając, migocące napisy, trochę dla siebie, trochę dla swoich niepiśmiennych sąsiadów. Po sporym zamieszaniu z kolejnością szpul opowieść dotarła do czegoś w rodzaju zakończenia i przyszedł czas na gwóźdz świętojańskiego programu, to jest na tańce.

Orkiestra była zbieraniną muzyków w liberjach z rozmaitych miejscowych szkół cechowych. W ogóle szarf i mundurów widziało się sporo;

Owen Price szybko się przekonał, że nowy strój marynarza czyni go znacznie cenniejszym łupem dla dziewcząt, niż to bywało w poprzednich latach - za to z Denise, jak co roku, chciał zatańczyć każdy chłopak. Dziś jednak na brak partnerek nie narzekał nawet wieloebny wyższy mistrz Brown, wiele kobiet sądziło bowiem, że wart jest krótkiego płąsu dla zbawienia duszy, choć pewnym utrapieniem były jego wędrujące dłonie. Cissy Dunning, wystrojona w oszalamiająco zielono-pomarańczową wirującą spódnicę, wabiła do siebie wiatrosternika Ayresa. Każdy wystarczająco trzeźwy obserwator by dostrzegł, że jest jedyną Murzynką wśród głównego tłumu świętujących. Mniejsza grupka służących i robotników o ciemniejszej skórze bawiła się i popijała razem nieco dalej w stronę morza.

Rozochoceni goście, o twarzach błyszczących od baraniego tłuszczu, sformowali teraz ścieżkę z płonących wierzbowych witek. Pary nurkowały ze śmiechem w ten ognisty tunel. Szczególne wiwaty zebrał Owen, który wynurzył się z dwiema dziewczynami. A także Denise, która oświadczyła swym licznym zalotnikom, że oszczędza się na Bristol, i triumfalnie poszła sama. Pokojówka Phyllis trzymała się z koniuszym Wilkinsem, a wiatrosternik Ayres i ochmistrzyni Dunning przetańczyli ze sobą tyle, że to już nie zaskakiwało. Lecz ogrodnistrz Wyatt i jego żona ruszyli w płomienie po raz pierwszy od dwudziestu lat, podobnie Bill i mateczka Price. A potem nadszedł sam arcycechmistrz ze swą prześliczną żoną, jego syn zaś, nie dziwiąc tym nikogo poza sobą samym, poszedł pod rękę z młodszą Price'ówną, z którą tak często go widywano.

Zbliżała się północ,znaczono więc osoby do rozpalenia ognisk. Widać było drogę ich pochodni, gdy szli wzdłuż brzegu, a potem w górę, pod wschodzącym księżycem. Durnock Head na północy. Klify w Yaverland i High Reston na południu. Tej ceremonii przestrzegało wiele gmin - pierwsze ognie pojawiły się po drugiej stronie rzeki, na wzgórzach Walli. Potem cyple Hockton zamigotały i zapłonęły ogniskami z kolcolistu. Niebawem bransoletą gwiazd rozbłysła cała linia brzegu, a ludzie stojący tej nocy nad morzem w Luttrell poczuli się na chwilę centrum czegoś, tu, w noc świętojańską dziewięćdziesiątego dziewiątego roku Wieku Światła.

Staw ze słoną wodą połyskiwał. Na niebie wciąż wisiał księżyc w pełni, ale tu, w cieniu Durnock Head, noc nabrała niespodziewanej, atramentowej gęstości. Nic się nie poruszało. Potem dały się słyszeć głosy, kroki.

- Szpule do kinematografu na pewno były pomyłone. Ta końcowa walka na miecze musiała być gdzieś w środku, bo ten wielki pirat w pasiastej bluzie już nie żył. - Ralph się zaśmiał. Głos miał zdarty, ale było to przyjemne. - Przecież kazali mu skoczyć do morza.

- Może przepłynął pod statkiem i wlaźł po drugiej stronie - powiedziała Marion, która widywała już wcześniej takie rzeczy. Spódnicę miała podkasaną powyżej kolan, buty niosła w ręce. — A widziałeś tego pirata, który wyglądał jak wiatrosternek Ayres?

- Może on naprawdę jest piratem.

Ralph pokręcił głową. To nie wydawało się aż tak nieprawdopodobne, a chciał dodać coś jeszcze. O tym, jak nadbrzeżny lud wiwatował na cześć hiszpańskich piratów i wygwizdywał angielskich **praworządców**, choć powinno być odwrotnie. I że zamiana szpul w kinematografie sprawiła, że film zakończył się wyraźnym zwycięstwem piratów. Lecz ścieżka skręciła, zobaczył mglisty poblask stawu i zakręciło mu się w głowie. Bo choć miał ją mocną, od lekarstw na mocnym spirytusie, był całkiem pijany. Przynajmniej dopóki nie wszedł do tej ciemnej doliny, gdzie powietrze było chłodniejsze i tak nie szczypało dymem w oczy. Uświadamiał sobie szuranie jej kroków. Wydawało się, że z tyłu na ścieżce pozostał cały dzień, jeden ciąg flag, płomieni i chorągiewek.

Wspiął się na obrzeże stawu i ruszył, chwiejąc się, balansując, po kamiennej krawędzi. Marion go obserwowała. Próbował się zaśmiać, ale sztuczka była trudniejsza, niż się spodziewał. Ostatnim zrywem dotarł do schodków po drugiej stronie.

- Tu jest głęboko. Dobrze, że nie wpadłeś.

- No tak...

- Powinieneś nauczyć się pływać. - Marion weszła na obramienie stawu. - Ja cię nauczę. - Stojąc obok, zrobiła najbardziej niezwykłą rzecz, jaką w życiu widział. Wyciągnęła poły bluzki i rozpięła ją. Zaczęła zdejmować spódnicę, a halka ledwo co zakrywała jej ramiona i biust. - Rób to, co ja.

Ralph, zbyt osłupiały, by robić cokolwiek innego, usłuchał. Dotąd wydawało mu się, że jest ciepło, teraz zdał sobie sprawę, że dygoce.

- **Tak** się u nas pływa - powiedziała Marion, stojąc nad brzegiem w białej bieliźnie. - W sam raz dla przyzwoitości, ale nie nie krępuje ruchów. Na twoim miejscu ten podkoszulek też bym zdjęła - dodała beznamiętnie, składając ubrania na suchej krawędzi stawu. - Przecież u faceta niczego nie zakrywa.

Ralph posłuchał, choć to zupełnie nie przypominało rozbierania się pod wzrokiem pielęgniarek i lekarzy.

– Idealne miejsce na naukę — dodała jeszcze. - Bo w kanale zdarzają się silne prądy.

Jaka była piękna, kiedy tak odgarnęła do tyłu włosy i zanurzyła w wodzie najpierw jedną, potem drugą stopę. Powoli zeszała po podwodnych stopniach, coraz bardziej wchodząc w swoje odbicie - kolana, uda, plecy - aż zlała się z migocącym księżycem, kiedy woda sięgnęła jej do ramion.

- Zimna? - spytał.

Zaśmiała się, odwróciła.

— Sam się przekonaj...

Miękkie wodorosty połaskotały go w palce nóg. Woda była zimna, ale przynajmniej miał teraz powód, żeby się trząść. Wchodził, aż poczuł mroźny uścisk na żebrach.

- I co teraz?

Podpłynęła do niego, zawisła kusząco tuż poza schodkami.

- Rozgarniaj wodę rękami jak najmocniej. Ja cię złapię.

Ralph prawie się nie zawahał — wyglądało to na dziecinnie łatwe - ale woda natychmiast z hukiem załała mu uszy, dostała się do nosa i ust. Potem poczuł dłonie dziewczyny na ramionach, wokół na powrót eksplodowały gwiazdy i indygo nocy.

Marion popchnęła go z powrotem. Wdrapał się na schodki, przełknął, zakaszłał.

Odpłynęła kawałek.

- Dobrze ci idzie.

— **Dobrze...?**

- Pewnie. Próbuj jeszcze raz. Postaraj się mocniej kopać nogami i machać rękami.

Tym razem oddaliła się bardziej. Był pewien, że utonie na długo, zanim do niej dotrze, ale z mokrymi włosami, z wodą obmywającą ramiona wyglądała tak prześlicznie, że przez chwilę zastanawiał się, czy ludzkość nie wyszła z wody. Ta myśl była jednak za skomplikowana na teraz. Skupił się na wierzganiu.

Powierzchnia jeszcze raz zamknęła się nad nim. Jeszcze raz - gdy już był pewien, że nigdy więcej nie zaczerpnie oddechu, Marion pociągnęła go do **góry**.

— **Teraz** było lepiej.

Kaszel się uspokoił.

- Jeszcze raz.

Marion, to piękne morskie zwierzę, ta syrena, ta panna wodna, drażniła się z nim. Postanowił jednak nie ustępować. Raz po raz rzucił się ku niej. Raz po raz tonął. Ale gorzej już nie było, i po pewnym czasie ona przestała wracać i unosiła się pośrodku stawu. Teraz udawało mu się czasem przez moment popatrzeć na nią nad powierzchnią, pomiędzy mlóącymi rękoma, a chwilami miał wrażenie, że się porusza. Robił postępy, był tego pewien, i im bardziej w to wierzył, tym łatwiej przychodziło zmusić ręce do ruchów przypominających pływanie. Całkiem jakby w tym żywiole człowiek unosił się bardziej siłą umysłu niż czynu. Skonstatował, że w sztuce pływania jest jakiś pierwiastek duchowy. Lecz zaczął go niepokoić bardziej przyziemny problem.

Co do bielizny Marion, nie miał pojęcia, lecz sprzedawcy z Jermyn Street na pewno nie wyobrażali sobie, że w majtkach od nich ktoś będzie pływał. Bawelniane płótno trzepotało w wodzie i obcierało. Co gorsza, w połowie drogi do Marion gumowa tasiemka nagle zsunęła mu się z pośladków. Podciągając ją, błyskawicznie się zanurzył.

- Co się stało? - zapytała Marion, kiedy wreszcie wydostała go na powierzchnię. - Już tak ci dobrze szło.

- Przez te majtki. - Nawet kiedy dyszał, powolutku zjeżdżały mu po udach.

Uśmiechnęła się. Księżyc uśmiechnął się razem z nią.

- Trochę ci nakłamałam, Ralph, że pływamy w bieliźnie. Przeważnie nie mamy na sobie nic.

- Ale...?

W zasadzie mogła mu powiedzieć prawdę — że dorośli i starsze dzieci w ogóle rzadko pływają, jeśli nie muszą ratować się przed utonięciem, zamiast tego jednak zsunęła z ramion przejryste ramiączka halki i zakotyła biodrami. Majtki Ralpa, już i tak opuszczone do połowy masztu, zsunęły się w geście solidarności, on zaś uwolnił je ostatnim wierzgnięciem. Zaśmiał się. Do tej chwili nie uświadamiał sobie, że samodzielnie unosi się na wodzie. To rzeczywiście kwestia wiary w siebie, pomyślał, gdy slipy opadały, falując i ciemniejąc, ku podmorskim czeluściom. Marion, bardziej dbała o cenne części garderoby, podpłynęła do brzegu i z pluskiem cisnęła nań mokry zwitek bawelny. Ralph, unosząc podbródek i mocno kopiąc wodę, odkrył, że dalej pływa. Ludzie mogliby też latać w ten sposób, pomyślał. Kiedy się odwróciła i popłynęła ku niemu, mignęły mu jej piersi.

Problemem rzeczywiście były majtki. Teraz, celując w jakiś punkt na kamiennym obmurowaniu i odpychając się mocno od schodków, Ralph odkrył, że naprawdę pływa. Rozkoszując się nowo odkrytą wolnością, pomlócił trochę tam i z powrotem, ale wiedział, że noc nad głową rzednie, a księżyc niknie; wiedział też, że jego ruchy są hulaśliwe i niezborne. Popłynąwszy ku schodkom, przysiadł na wpół zanurzony, uspokoił oddech i przyglądał się Marion.

Już prawie świtało. Ostatnio często wstawał o świcie, kiedy świat wisiał na wpół ukształtowany, szary i mglisty, całkiem jakby co rano niewidzialne ręce tkwały go na nowo. Światło stało się mleczne, łagodne. Gwiazdy przyblakły. Woda opływała ramiona Marion i łagodnie przepływała między palcami. Jej powierzchnia zakrzywiała się i marszczyła, ale prawie nie traciła ciągłości, kojarząc się Ralphowi ze stałą i z rtęcią. Ciekła i stała. Rzeczywista i nierealna. Gdy Marion zanurkowała, mignawszy stopami, a żywiol znalazł się w jedno, wydało się prawdopodobne, że dziewczyna nigdy nie wróci. A kiedy dłuższy czas później wróciła, spokojnie i równomiernie musnęła wzrokiem jego, skały, mgliste kształty wokół. Należę do tego świata, pomyślał Ralph w burzy kropel, kiedy otrząsała włosy. Ta myśl sprawiła mu radość.

Usłyszał jakiś dźwięk. Mokry, klekocący. Wyobraził sobie z początku, że to pierwszy ranny ptak. Takiego śpiewu jednak nie znalazł, poza tym brzmiał, jakby wydobywał się ze stawu. Dostrzegł to, a Marion już do tego podpływała. Jeden z brzęczków ogrodnika Wyatta pewnie wylądował tutaj, bo powierzchnia stawu na chwilę wydała mu się czymś stałym. Marion zamknęła stworzenie w dłoniach, podpłynęła do stopni i wyszła z wody. Ralph, wspominając tę chwilę, ucziwie przyznawał, że jakimś sposobem udało mu się nie zastanowić, jak rozwiążą trudną kwestię wyjścia nago ze stawu. Okazało się to takie proste: wylazł z pływaczki i przykucnął koło niej, kładącej na trawie podtopionego owada.

— Czasem znajduje się je na brzegu. Dzieci lubią kolekcjonować ich skrzydła.

Ten egzemplarz był żółty, na czubku odwłoka i ostrogach nakrapiany jaskrawą zielenią. Fasetkowe oczy były lazurowe. Czułki przypominały pęki strusich piór. Był duży i skomplikowany jak nakręcany samochodzik, brakowało mu tylko kluczyka. Przemókl zupełnie - przez jakiś czas Ralph przyglądał mu się z poczuciem solidarności. Potem spojrzął na Marion. Prawe kolano miała uniesione, drugie wciśnięte w trawę, podpierała się na pięcie i zgiętych palcach drugiej nogi. Cała była pokryta paciorkami

kropel wody. Analizował zmieniającą się fakturę jej skóry. Wokół ramion i szyi, po tyłu słonecznych dniach, była oliwkowa i upstrzona drobnymi, niemal niewidocznymi piegami. Reszta ciała o wiele bledsza, prawie przezrysta, całkiem jakby powstała z tej samej drżącej szarej materii co ranek. Woda ściekała z jej włosów strużkami wzdłuż zarysu pleców albo, o wiele szybciej, po stromiźnie prawej piersi, żeby na ciemniejszej wypukłości sutka zebrać się i skapnąć drobnymi, precyzyjnymi kroplami. Marion patrzyła na bręczka, a on patrzył na nią i utwierdzał się w przekonaniu, że oto ma przed sobą szczyt wszelkiego stworzenia. Przyroda, nauka, walka o przetrwanie - cokolwiek rządziło tym światem, tak wiele zainwestowało w kształt samicy człowieka.

Starał się utrzymać myśl na tej dość abstrakcyjnej **płaszczyźnie** częściowo dlatego, że zwykle tak właśnie funkcjonował jego umysł, a po części przez świadomość, że członek mu stwardniał i próbuje uciec spod lewego uda. Koncentracja i zaklinanie go, by się położył, nie pomagało. Nie skutkowały także naukowe rozmyślenia.

Marion zadygotała, kropla zbiegła jej po czole i spadła z czubka nosa. Zaraz kolejna zeskoczy z prawego sutka, potem zadrga i zbierze się jeszcze raz, zgodnie z prawami napięcia powierzchniowego, tarcia i ciężenia. Teraz woda kapiała wolniej, a coraz większe odstępki między kroplami na skórze sprawiały, że Marion wydawała się niemal sucha. Pociągnęła nosem. Odwróciła się do niego i uśmiechnęła, a Ralph poznał po tym uśmiechu, że wiedziała, od razu wiedziała, że się jej przygląda.

— Jesteś piękna - wyszeptał.

- Nie - odparła. - Ty jesteś piękny.

Po raz kolejny go zaskoczyła. Zmieniła pozycję i dotknęła jego piersi, rysując na niej drobny, zimny kształt, niewidzialny hieroglif wśród kropelek. Zadygotał. Ledwo mógł oddychać, a jego penis, zniecierpliwiony, wreszcie uniósł się spomiędzy ud, ona jednak i to zbyła uśmiechem, położyła mu dłonie w talii, jakby nadal pływali, pociągnęła go do góry i sama też wstała. Byli tak blisko, że woda, która wylała się z jej dołeczków przy szyi, spłynęła mu po palcach **stóp**. Marion trąciła go czubkami piersi, objęła. Kiedy przytuliła się doń całym ciałem, oboje już drżeli. Przywarła do niego ustami, przez chwilę smakowała jak słona woda z basenu, zimna jak poranek, zaraz jednak stała się ciepła, ludzka i żywa. Szczęknięły zęby. Trudno było oddychać. Poczul grzmot jej śmiechu.

— Nigdy wcześniej tego nie robiłam...

- Nie...

Jej dłoń zgarnęła wodę z jego pleców. Potem powędrowała naprzód. Tak delikatnie, że prawie krzyknął, obwiodła nasadę jego członka. Pociągnęła go na mokrą od rosy trawę, poczuł, jak spotykają się ich biodra - oboje zbyt długo obserwowali naturę, by nie wiedzieć, co robią. Oczywiście, żadne sobie tak tego nie wyobrażało, ale i tak wypadło lepiej niż cokolwiek innego, co robi się po raz pierwszy w życiu.

W całym Invercombe rozgrywały się podobne sceny. Ogrod mistrz i pani **Wyatt** tarzali się pożądliwie po płomiennej rabacie wśród połamaanych ogniomaków. Cissy Dunning, pożegnawszy się pospiesznie z wiatrosternikiem **Ayresem**, była już w połowie drogi z wiatrosterowego wzgórza, kiedy zawróciła. Bez tchu dotarła do żelaznych drzwi i mocno zastukała. Nadal nie miała pojęcia, czego właściwie chce, lecz Ayres wiedział. Wciągnął ją w pulsujące światło, przytrzymał za potylicę i przycisnął usta do jej ust tak szybko, że zaczęła go odpychać, zanim zdążyła pomyśleć „nie”. Na brzegu, w rodzinnym domku **Price’ów**, w głębi wydmy, gdzie Owen nie potrzebował już swego munduru, a Denise przestała oszczędzać się na Bristol, ciała poruszały się we wspólnym rytmie. Mężczyźni i kobiety z nabrzeża, rybacy, mistrzowie, żeglarze, szwaczki, pielęgniarki, oberżyci, panie domu i partacze łączyli się w miłości. Nawet na górze w wielkim domu, do którego wrócili ręką w rękę, pijani świętem, pośród zmierzwionych prześcieradeł arcycechmistrzyni Alice Meynell dosiadała teraz męża, a jej pozbawione wieku ciało lśniło, gdy z uśmiechem doprowadzała męża na szczyt rozkoszy - ostatni raz w jego życiu.

Ralph się obudził. Naprawdę niewiarygodne, że zasnął. Światło dzienne przelewało się przez drzewa. Podniósł się na łokciach. Marion spała, nieruchomo, z twarzą i włosami wciśniętymi w stokrotki. Dłuższy czas napawał się tą chwilą, w końcu wstał. Popatrzył po sobie, na udzie dostrzegł odrobinę zaschniętej krwi. Przyroda jest taka sprzeczna. Począłapał ku stawowi. Wskoczył do wody, podpłynął kawałek, starając się **wymachami** jak najmniej burzyć odbite poranne niebo. Teraz już przychodziło to łatwo. Woda unosiła go jak jej ręce. Wyszedł w miejscu, gdzie już padało słońce, otrząsnął się z wody, ogrzał. Marion obróciła się odrobinę,

przesuwając lewą rękę nad twarzą, ukazując uniesioną ku górze pierś i rzadką kępkę włosów we wgłębieniu poniżej. Nadal spała.

Zauważył, że obok leży coś czarnego. Brzęczek, którego wyratowali, zdechl i stracił kolory. Te stworzenia nigdy nie żyły długo, ale Ralph i tak posmutniał, kucając obok niego. Nawet w takich pięknych chwilach gdzieś czyhała śmierć. Śmierć była w istocie esencją wszystkiego, sama w sobie piękna, byle tylko umieć się należycie zdystansować od skupionego na samym sobie procesu własnego życia. Brzęczek nie miał szans na przeżycie. Zdechl, bo był za duży i przerośnięty...

Ralph wstał. Gdy tak ściszał w garści martwego owada, uderzyła go pewna myśl, wspomnienie, wyraźne, a jednak trudne do skonkretyzowania. Potrzęsął głową. Zachichotał. Nie chciała odejść - tkwiła w nim, drobna, a jednak oczywista, z konsekwencjami promieniującymi w tak wiele różnych stron, że aż kręciło się od tego w głowie. Choć obrazoburcza, była tak piękna jak Marion leżąca na usianej stokrotkami trawie, obejmując i ten staw, i złoty poranek wokół. Właściwie była tym wszystkim, a to wszystko było nią.

Ta myśl wyjaśniała, dlaczego wszystko jest takie, jakie jest, tak prosto i elegancko, tak ewidentnie, że miał ochotę klepnąć się w czoło. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał? Przechadzając się po obrzeżu stawu, podskoczył nagle i pobiegł po ścieżce do morza. Powietrze tętniło mewami, solą, słońcem i zgnilizną. Z rozpostartymi rękoma, ze śmiechem, zatańczył na mokrym piasku.

14

Tramwaje wjeżdżały w owalne różowe wejście do południowego skrzydła bristolskiego domu cechowego Kupców-Pionierów i turlały się na północ. W budynku goście wychodzili z ich iskrzących, kołyszących się kadłubów i znikali w czeluściach polerowanych marmurów, klejnotów i koralowego kamienia, które przy innej pogodzie sprawiałyby wrażenie chłodnych. Tego ranka jednak ich połysk przypominał raczej krople potu.

Wiatrosternik Elijah Ayres - choć kiedy przedstawiał się recepcjonistcie, owo „Elijah” zabrzmiało obco i w jego uszach, a Cissy nawet w chwilach namiętnego uniesienia tytułowała go wiatrosternikiem - jechał ku

czekającemu go spotkaniu na warkoczącym dywanie elektrycznych schodów. Pogwizdywał. Korpulentni bristolczycy o czerwonych twarzach popatrywali na niego, przesuując palcami po przepoconych kołnierzykach. Nikt nie powinien dzisiaj mieć takiej rozradowanej miny. On jednak wystawił na schodkach do ogrodu w Invercombe, jak to miał ostatnio w zwyczaju, tablicę, na której obiecał: *Deszcz o czwartej*. Poinstruował Marion i Ralpa, żeby do jego powrotu mieli oko na instrumenty, i już cieszył się na ten orzeźwiający deszczyk, a także, później, perfumowane krągłości piersi Cissy...

Zapukał do zdobionych drzwi. Ktoś się odezwał. Ayres wszedł do długiej i szerokiej sali konferencyjnej, gdzie wirowymi wzorami lśnił cedr kamienny, a powietrze, nieudolnie mieszane przez kilka wiatraków, pachniało skisłą wodą kolońską. Paru oklapniętych od upału mężczyzn na przemian studiowało mapy i walczyło z unoszeniem ich przez wentylatory.

- Zapewne zna pan większość nas, panie wiatrosterniku - powiedział starszy mistrz Cheney, siedzący najdalej.

Znał, przynajmniej ze słyszenia. Wyższy mistrz taki, wielki mistrz owaki - skinienia głów i uśmiechy wcale go nie ujęły; zanim usiadł, wahał się chwilę nad wyborem krzesła. Na tyle blisko, by brać czynny udział, ale pozostać na skraju grupy: o, to tutaj powinno się nadać. Zdumiewająca mieszanka cechów zebrała się tutaj - nie spodziewał się aż tylu. Był zaintrygowany i odrobinę nieufny, ale ci ludzie go potrzebowali, inaczej by nie został zaproszony. Trochę swobodniej uśmiechnął się do wielkiego mistrza Lec-Lawnswooda-Taylora, którego posiadłość graniczyła z Invercombe. Zdarzało mu się chronić jego uprawy przed gradem.

Starszy mistrz Cheney był mężczyzną postawnym, szarookim, ostrzyżonym na jeża. Mówiło się, że chętniej pilnuje udoju swych krów niż spraw Aktuariatu Cechowego.

- Im szybciej to załatwimy - westchnął - tym lepiej.

Otarł dłonie o spodnie.

- Jak z naszej rozmowy wynika, mamy pełną zgodę co do tego, że nastąpił znaczny spadek obrotów. Oczywiście, wszyscy musimy radzić sobie z kryzysami, ze stratami, nawet z tak smutną stratą, jaka przypadła w udziale naszym młodym wielkim mistrzom Pike'om, którzy utracili ukochanego ojca. - Skinął ku dwóm podobnym do siebie cechmistrzom w sile wieku. Wiatrosternik Ayres nie widział ich wcześniej. - Lecz w obecnym spadku niepokojąca jest nie tyle jego siła, ile zakres.

Gdzieś koło Świętego Stefana załomotał pneumatyczny świder. Uwagę Ayresa z niewiadomego powodu przykuła przepiękna kitajska waza, lśniąca, pobłyskująca na bocznym stoliku. Wydała mu się jedynym chłodnym przedmiotem w rym pokoju, w tym mieście.

- Prawdopodobnie wszyscy podjęliście jakieś kroki. Powtarzam jednak, że to za mało, by uchronić Zachód przed **popadnięciem** w recesję. Musimy zrobić coś więcej, panowie. W przeszłości wszystkim udawało się osiągnąć tak przydatne dodatkowe dochody... i dodatkowe przyjemności... - przerwał, uśmiechnął się - w drobnym imporcie, przy którym pomagał nam **wiatrosternik** Ayres i jego wspaniała maszyna. Lecz drobny import czegokolwiek to za mało. Musimy zwiększyć skalę.

Starszy mistrz Cheney rozsypał po stole garść elegancko przewierconych kamyków. Zwykle liczykamyki były nanizane jak w abaku, na pręty, a wprawny operator, szepcząc i przesuwając je niemal niewidocznymi ruchami palców, wciąż był w stanie pokonać najszybszą maszynę liczącą. Te jednak były większe.

- Nasz statek - zaczął - nazywa się „**Prozerpina**”...

Słowo „nasz” było ostatnim pojedynczym wyrazem, jaki zapamiętał wiatrosternik. Natychmiast podniósł jeden z liczykamyków i **już** widział konfigurację ozagłowania „Prozerpiny”, moc jej maszyn, wiatroster znanej marki Woods-Hunter z Dudley, trochę wolno reagujący na polecenia. „Prozerpina” miała wąski kadłub, wysokie śródkręcie, przystosowana była do bardzo szybkiego przewożenia lekkich, cennych ładunków. Poza zaduchem tej sali Ayres wyczuwał portowy zapach - zęz i świeżej farby. W Tuxan nigdy nie był, ale wiedział, że to port na Środkowym **Thule**. Zresztą nie było to miejsce, po którym mógłby spokojnie spacerować Anglik czy w ogóle biały Europejczyk. Meksykanie nigdy nie zapomnieli okrucieństw. Corteza i byli dumni ze swego odrodzonego cesarstwa - ich starannie chronioną dumą była także własna magia. Nawet teraz, kiedy w **okolicach** Tenochtitlan znaleziono bogate złoża eteru, niechętnie handlowali z resztą świata. A trudności w jego wydobyciu, ekstrakcji, destylacji i transporcie były niemal nie do przezwyciężenia. Pieniądze to jednak pieniądze. Handel to handel. A przede wszystkim eter to eter.

Według obecnego planu „Prozerpina” będzie w pełni wyremontowana, załadowana i gotowa do rejsu na początku września. Popłynie w kierunku przeciwnym do pasatów, a eter to kłopotliwy ładunek, nie było jednak powodu spodziewać się trudności, o ile znajdzie się na Oceanie Borealnym przed porą huraganów i będzie się trzymać z dala od szlaków

handlowych i okrętów praworządców. Przy odrobinie szczęścia i pomyślnych wiatrach znajdzie się w Kanale Bristolskim i będzie czekać na pilota, nim zacznie się październik.

- Nasi przedstawiciele wynegocjowali z cesarzem cenę pięciu milionów funtów w złocie za cały ładunek - powiedział starszy mistrz Cheney. Wiercenie na zewnątrz ustało. Nawet wiatraki z pozoru zwolniły swe nieustanne potakiwanie. - Według obecnej wartości **rynkowej**, uwzględniając koszt remontu i przystosowania „Prozerpiny”, szacujemy, że zysk netto wyniesie w przybliżeniu trzydzieści milionów. Oczywiście będą problemy techniczne. Przewiduję, że każde zakłęcie na statku trzeba będzie zmienić i przepowiedzieć z idealną precyzją, bo taka ilość eteru je zniekształci. Jestem jednak pewien, że uda się jej przed zimą dotrzeć do naszych brzegów. Warunki muszą być wtedy takie, żeby Poborcy Akczyzy nie widzieli nic a nic. I tu, panie **wiatrosterniku**, zaczyna się pana rola. Najlepsza pogoda, na jaką pana stać, czy raczej najgorsza - na czas rozładunku.

- Nie będzie żadnego problemu.

- Ale rozumiem, że Invercombe jest teraz zamieszkane?

- Mieszka tam chłopak i jego matka, arcycechmistrzynie Cechu Telegrafistów, stuprocentowa kobieta ze Wschodu, byłoby bardzo niedobrze, gdyby ktoś taki patrzył nam na ręce. Zresztą jej przeważnie nie ma, a chłopak jest w porządku. Poza tym wtedy już wysłał go do akademii cechowej.

- Proszę wybaczyć, panie wiatrosterniku, że to mówię, ale to coś więcej niż **przywołanie** kilku wiechci mgły, żeby rozładować parę beczek porturu. Przedsięwzięcie, o którym mowa, jest znacznie trudniejsze i kosztowniejsze od poprzednich. Mgła musi pokryć całe ujście rzeki. Potem trzeba będzie „**Prozerpinę**” szybko rozładować i zatopić na głębiny, a przedtem rzucić zakłęcie, które pozwoli nam o niej zapomnieć do czasu, aż jej los nie będzie miał już dla nas, tutaj zgromadzonych, żadnego znaczenia.

Wiatrosternik Ayres uśmiechnął się i myśląc o Cissy, zliżał z wąsów krople potu.

15

Marion i Denise szły brzegiem morza. Od Luttrell wiała bryza, ale zbyt słaba, by zamazać ich odbicia w wodzie, a przyptływ był ciepły jak herbata.

– Nie mogę uwierzyć, że już na jesieni będę w Bristolu — powiedziała Denise.

- Zabrzmiało to, jakby ci było smutno.

Denise uśmiechnęła się do siostry. Nosila kapelusz od słońca - arcycechmistrzynie Invercombe wywarła na niej wielkie wrażenie, więc sama też starała się zachować modną bladeść - ale i w nim była piękna. Jej włosy połyskiwały czerwienią miedzi, oczy lśniły.

- Nie, nie jest mi smutno...

I szły dalej, zadowolone ze swego towarzystwa, co wcześniej rzadko się zdarzało. Szczęście było dla Marion tym, czym dla Ralpha dobre zdrowie; właściwie zaskakiwało w nim tylko to, jak mało jest zaskakujące. Zastanawiała się też, jaki cel miało jej życie przed tym przepięknym latem. Było to coś w rodzaju oczekiwania, stwierdziła. Zachichotała i kopnęła wodę, ochlapując sobie gołe nogi.

- Powiedz mi jeszcze raz, Marion, jak powstały zwierzęta.

– **To** bardzo proste...

- Już to mówiłaś. - Denise się zaśmiała.

– Bo to jest proste. To, kiedy zwierzęta giną i ile wyprodukują potomstwa, zależy od tego, jak dobre są w przetrwaniu. Jak silne. Jak dobrze odżywione. Jak płodne.

- To zdroworozsądkowe.

- Denise, to wszystko tylko zdrowy rozsądek. Każdy jest inny. Nawet my, mimo że jesteśmy siostrami. To samo dotyczy wszystkich żyjących stworzeń. Ta rozgwiadza jest inna od tamtej. Więc jeśli jedno zwierzę ma jakąś zdolność, która ułatwia mu przetrwanie, prawdopodobnie będzie miało więcej potomstwa, a ono też będzie dłużej żyło i też miało więcej potomków. W dłuższym czasie, przy odpowiednim zróżnicowaniu środowiska, mogą się wykształcić dowolne cechy. Ciało większe albo mniejsze. Kości dłuższe albo lżejsze. Ulepszony sposób chodzenia lub **pływania...**

- I to wszystko? To chyba nic szczególnego.

- Na tym polega całe piękno tej idei. Są wyraźne dowody - istnieje taki gatunek ćmy, który w miastach jest ciemniejszy, przez co ptaki gorzej go widzą i rzadziej zjadają.

- Trochę to wszystko okrutne jak dla mnie, Marion. Te zwierzęta nie tylko się rozmnażają i umierają, całkiem jakby do tego sprowadzało się życie. Zaraz mi powiesz, że to zupełnie coś innego, niż mówi Pismo Święte.

Marion głębiej zanurzyła stopy w klarownej wodzie, patrząc na morskie robaki i okładniczki, na smukłe własne palce. Wszystko się rozwijało. Ewoluowało. To było prawdziwe piękno stworzenia: zupełnie niepotrzebujące interwencji Najstarszego. Marion wyczuwała jednak, że pusty opór siostry jest zwiastunem przeszkody znacznie poważniejszej od wszystkich, które do tej pory omówili. Mało kogo obchodziła opinia Denise, ale był przecież doktor Foot i wielebny wyższy mistrz Brown, cała bezmyślna, trzymająca się utartych ścieżek reszta świata. A Denise miała rację. Teoria Alpha była okrutna. Przystosuj się lub giń. A właściwie przystosuj się i giń tak czy owak. Niespodziewana myśl nadeszła znikąd: Idę sobie tym brzegiem, który tak dobrze znam, przyplływ zaraz sięgnie mi do kolan, a ja nie mam pojęcia, dokąd idę...

Sypialnia Ralpa w Invercombe była zupełnie odmieniona. Książki piętrzyły się chwiejnymi stertami. Na każdej półce, w każdym wolnym miejscu, na każdym skrawku podłogi stały okazy kolekcji. Owady-znalezione martwe lub naeteryzowane. Odlamki skał. Kawalki roślin. Czaszki. Hałdy zużytych notatników z wylamanymi grzbietami. A przede wszystkim było pełno muszli. Na sznurach schły kaczenice. Słuchotki i diodory. Na parapetach okien, otwartych przez całe dnie i noce, piętrzyły się warkocze wysychających mszywiolów i laminarii, resztki wolnej podłogi połyskiwały od piasku, a cały pokój pachniał morzem. Nabral jednak przez to charakteru, całkiem jakby listwy do wieszania obrazów od wieków czekały na udekorowanie żółtymi, gąbczastymi ootekami trąbika zwyczajnego. Z Ralphem nauka była czymś całkiem innym. Ten nowy sposób patrzenia na świat nadawał sens wszystkiemu. Wszystkiemu. Całkiem jakby kształtowali świat na nowo, klarowniej i lepiej.

- Siostra, jedna wskazówka - powiedziała Denise. - Jeśli chcecie sprzedać światu tę ideę, musicie wymyślić dla niej dobrą, chwytliwą nazwę. Wszystko co najlepsze ładnie się nazywa. Eter, dajmy na to... - Krótka pauza. - Albo Uniwersalna Pasta Wybielająca Piltona.

- Masz rację. - Marion się zaśmiała. Poszperała w kieszeni i wyciągnęła tubkę.

- Dzięki. Nie ukradłaś tego z Invercombe, co?
- Oczywiście, że nie. A co, przejęłabyś się tym?
- Nie. Ale ty byś się przejęła.
- Ralph mi dał.
- O. To mnie zdziwiłaś.

- Co, mam ją zabrać?

- Pewnie, że nie!

Woda była teraz chłodniejsza. Niedługo będzie trzeba wracać do Invercombe. Muszą z Ralphem zrobić pomiary dla **wiatrosterownika** Ayresa; taki obowiązek mógł przypaść w udziale młodszej pokojówce - dziewczynie z wybrzeża - tylko w letnie dni jak ten, kiedy w Kanale **Bristolskim** statki odbijały się jak w lustrze, a lazur nieba pochłaniał całkowicie Durnock Head, z wyjątkiem dziwojasnej latarni na Świątyni Wiatrów.

- Cieszę się, siostra, że jesteś szczęśliwa z Ralphem - powiedziała w końcu Denise. - Ale wiesz... nie chcę, żebyś skończyła u Fredka, a mama zbyt się wstydzi, żeby coś powiedzieć, więc najwyższy czas, żeby ktoś postarał się ci wytłumaczyć...

- U Fredka? Denise, o czym ty mówisz?

Denise ujęła siostrę za rękę.

- Chodź. Siądziemy sobie na wydmach.

Marion ustąpiła. Domyśliła się już, o co chodzi. Od tamtej wspaniałej nocy świętojańskiej stało się to dla nich z Ralphem sporym problemem i źródłem frustracji, wiedziała bowiem dosyć, by rozumieć, że stosunek przerywany w żadnym razie nie jest pewnym zabezpieczeniem.

Usiadły w kępach trawy, Denise wyciągnęła z kieszeni mały, zakorkowany słoiczek. Był tak ciemny, jak pasta Piltona biała, i skrzył się błyskawicami, kiedy się nim potrząsnęło. Powtórzyła zakłęcie, które Marion powinna wyrecytować przy pierwszych objawach krwawienia, i drugie, które trzeba szeptać zawsze podczas pełni. Niby drobiazgi, ale Marion zachwyciła się, słysząc, jak słowa siostry łączą cykle jej własnego ciała z obracającymi się w kosmosie chłodnymi, szarymi bryłami skał i harmonią przyływów.

16

Alice wyszła z domu praworządcy Scutta. Było już upalne, duszne popołudnie, ale Bristol, nawet poszarzały, wciąż miał ten błysk, ten klimat odrealnienia w barwnych mozaikach i niezwykłych, zwieszających się nad ulicą domach, wyglądających jakby napęczniały i urosły jak ciasto drożdżowe. Spojrzała z uśmiechem do góry, w łukowate

okno sypialni **praworządcy**, na wypadek gdyby przerwał swe chrapanie w pozycji na wznak i wstał. Było to jednak mało prawdopodobne; uznała też, że w **Corneliusie** Scutcie znalazła opokę zachodniego zakłamania.

Minęła domki jak z piernika, cukiernię na rogu i skierowała się ku pospolitszemu odorowi portu, jeszcze brudniejszego i bardziej wiekowego niż londyński. Kościoły i przytulki mieszały się ze sobą pomiędzy labiryntem wodnych kanałów, tak nabitych statkami, że przypominały suchy ląd. W tym przemyśle ciężkim używano się cięższej magii, wokół rozbrzmiewały więc - pośród pokasywania maszyn, turkotu toczonych beczek, huku rzucanych palet i szurgotu rynien zsypanych - także osobliwie akcentowanymi okrzykami zachodnich zakłęb. Przez swą nieustanną ciekawość, pchając ją ku miejscom jasnym i ciemnym, rynsztokom i śmierdzącym moczem zaułkom, o mało co nie wdepnęła w kolczastą pułapkę na wielkoszczury. Obok rosły ropiejące, szeleszczące kępy kukulczych pokrzyw. Nic nie wskazywało, by to miejsce trapiła recesja, choć Alice o tym wiedziała. Zerknęła ponad blaszanymi dachami na kominy i silosy wielkich importerów cukru; nazwiska BOLTS, KIRTLINGS odcinały się wielkimi literami na tle brudnych ścian. Firmy sporego kalibru, owszem, ale tutaj wszystko było tak usztywnione od zadęcia i restrykcyjnych zwyczajów handlowych, że padało przy najbliższym szturchnięciu.

Ladunki takie i owakie. **Śniadzi** mężczyźni, dziwaczne dialekty. Powiewy obcych zakłęb, zapachy z osobliwych statków. Czarni marynarze i dokerzy, w dobrej kondycji fizycznej, bez widocznych śladów maltretowania czy bicia. Wolni czy niewolni - trudno było określić, choć dla Alice sama ich obecność tutaj była czymś niewłaściwym, tak jak obecność Cindy w Invercombe. W głębi swego wschodniego serca nadal uważała, że czarna skóra równa się niewolnictwu. Zastanawiała się, co by się stało z gospodarką Bristolu, gdyby odrzucono ten rekwizyt. Z uśmiechem doszła do Giełdy Bristolskiej. Prawie się już do niej przyzwyczaili i po obowiązkowej serii ukłonów i szurania nogami, po wypiciu szklanki chłodnej, wodnistej limonkowej lemoniady, żeby pozbyć się posmaku praworządcy Scutta, udało się jej, wydawszy bezwarunkowy zakaz przeskadzania, zasiąść w spokoju w budce telefonicznej.

Jak zawsze, miała mnóstwo roboty. Trzeba było przekierować na inne tory pewne umowy i inwestycje na Zachodzie, nawiązać i zerwać pewne

sojusze, a także nadzorować handlowy debiut słodkogorza. Teraz wydawało się jej, że robi to raczej dla Ralpha, a nie dla siebie, swego cechu czy Toma. Może niezupełnie dla obecnego Ralpha, zbierającego skały w Invercombe z tą wiejską dziewczyną, mającego głowę bardziej niż kiedykolwiek nabitą nauką i jakąś nową teorią, ale dla mężczyzny, którym Ralph już niedługo się stanie. Będzie miał dużą wiedzę, dużą władzę. Będą go uwielbiać i będą się go bać. Właściwie całkiem jakby to ona stała się mężczyzną.

Zakończywszy wreszcie rutynowe rozmowy, postanowiła jeszcze trochę zostać w budce i poćwiczyć swe niedawno nabyte zdolności. A gdy to czyniła, gdy wypowiadała zaklęcie, pociągnęło ją jak zwykle do Invercombe. Jeszcze przed sprowadzeniem przez Ayresa popołudniowego deszczu ogród lśnił, połyskiwał intensywnymi kolorami, a brzęczki już błyszczały jak ogromne świetliki w głębokim cieniu drzew. Muskając je, czuła, że ich mózgi są bezmyślne - bo to prawie nie mózgi - ale poczucie, że jest w nich, było niesamowicie silne. W swych fragmentarycznych, wirujących światach szczególnie pragnęły zbitki zapachu, kształtu i koloru pewnego kwiatu, tak że Alice, mimo swej ludzkiej złożoności, pławiła się we wszechogarniającej, beczasowej zmysłowości aktu wejścia do ogniomaka. Potem popłynęła przez tarasowe ogrody, przez arboretum ku płomieniowi słonecznego światła, jakim była Świątynia Wiatrów. Jeszcze dalej, gdzie ziemia spadała ku morzu klifami strzegącymi Invercombe od północnego wschodu, małeńka łódeczka poruszała się szarpnięciami wiosel.

Kiedy wpływali do zatoczki Clarence Cove, nagi do pasa Ralph czuł, jak po plecach i spod pach spływają mu chłodne strużki potu. Marion ściągnęła bluzkę, gdy tylko stracili brzeg z oczu. Jej skóra zmieniła odcień w miejscach zwykle skrytych pod halką i podkasaną spódnicą. Z obowiązku brali ze sobą kostiumy kąpielowe, choć przyzwyczaili się już pływać nago, brązowi jak foki.

Pociągnęli wiosłami wstecz i zatrzymali łódź. Ralph popatrzył w górę na wyglądający znad klifu fragment domu - rafę koralową kominów i balkon pustego pokoju matki, która bawiła dziś w Bristolu. Mimo to trudno było się pozbyć poczucia, że są obserwowani. Morze cmokało i dudniło. Zbocze klifu pod Invercombe było całe usiane grotami, Cissy

Dunning ostrzegała jednak oboje, by nigdy nie próbowali schodzić poniżej poziomu prądnicy w domu. Prawdziwe jaskinie były śliskie i niebezpieczne, a poza tym równie często poziome, jak pionowe. Gdy uspokoiła się ostatnia zmarszczka, Ralph wyjrzał za burtę. Morze naprawdę było tu zdumiewająco głębokie i tak przejrzyste, że od patrzenia na nie niemal kręciło się w głowie. Blask słoneczny prześwietlał wodę i powoli w niej zanikał.

- Tu będzie dobrze... - Marion rozpięła bawelniany stanik. Potem, balansując tak zręcznie, że łódka prawie się nie zakołysała, ściągnęła spódnice i majtki. Była taka piękna, Ralph jednak posmutniał na myśl: Z latem jest tak, że im dalej w nie, tym mniej go zostaje.

- A może tam? - Jedna z jaskiń w klifie była dosyć szeroka, żeby wypłynąć do niej łodzią. Wyglądało na to, że ma nawet naturalną przystań, gdzie mogliby wygramolić się z łodzi.

Marion jednak pokręciła głową. Wydawała się odrobinę zakłopotana.

- Jest mi za gorąco, żeby dalej wiosłować. Nurkujemy tutaj, dobrze?

Ucałowała go i zniknęła; Ralph na chwilę został sam, ona oddalała się od niego ku chłodnej głębinie. Niezgrabnie, rozkołysawszy łódź, skoczył za nią. Kiedyś, w odległych, acz nie tak dawnych czasach, nigdy by nie uwierzył, że może nurkować, teraz jednak zapomniał już o tamtym Ralphie, a przed sobą miał tylko Marion, błyskającą stopami w rozfalowanej ciemności.

Wynurzyli się, dysząc, ku słońcu i zanurkowali z powrotem. Tym razem głębiej. W uszach dzwoniły im zakłęcia dawno umarłych cechmistrzów, ciemność klula w oczy. Dno pod nimi wyglądało jak oświetlone księżycem, brudnobiałe, z mignięciami ryb i atramentowymi smugami wodorostów. Wtem Ralph zobaczył żebra czegoś wielkiego i martwego. Nie był to morski potwór, lecz wrak statku. Oglądali go, coraz to unosząc się ku powierzchni i spadając znowu. Marion znalazła wśród wrakowiska zielony wisiołek, a Ralph inkrustowany marynarski przyrząd, przy dotknięciu wciąż szepczący o gwiazdach i piasku. Był też kocioł z paleniskiem rozświetlonym chłodnym wewnętrznym ogniem. Wokół falowały wodorosty.

Ralph czuł niemal religijny zachwyt, chociaż pełne powietrza płuca cały czas dawały o sobie znać. Marion przepłynęła nad nim, jej włosy zafalowały wśród roztańczonych wodorostów. Scena była niemal absurdalnie piękna; czuł się niezgrabny i zagubiony, wynurzając się jeszcze raz na powierzchnię i czepiając burty łodzi. Głowa Marion wyskoczyła po

drugiej stronie. Wciąż zbierał siły, by **przeleźć** przez burzę, ona zaś prawie wcale nie straciła tchu.

- Ciekawe - wydyszał - jak on się tu rozbił?

- Pewnie się nie rozbił. - Odgarnęła włosy z twarzy. - Czasem oplaca się zatopić statek, kiedy już spełnił swoje zadanie.

- **Ale** po co **ktoś...**?

Ona jednak już wchodziła do łodzi. A potem, leżąc i jedząc pomarańcze pozbierane wcześniej w cytrusowym gaju - niesamowicie gorące i lepkie od słodczy, omawiali co będą musieli opracować po powrocie do Invercombe; gatunki i gromady okazów zebranych na brzegu, aby znaleźć nierozwiązywalny przypadek.

- Pamiętam... - Marion puściła na wodę pustą łupinę pomarańczy. - Tyle się działo sto lat temu, na przełomie Wieków. Przecież wszyscy mówili, że to wszystko jeszcze raz się zmieni. Ale nic się nie wydarzyło, prawda?

Ralph powędrował wzrokiem wzdłuż jej uda. Pomyślał o jej dłoniach zaciśniętych w gniewie. Albo powiewających flagami.

- **Widzę** cię na barykadach. - Naprawdę ją widział. Słyszał nawet skandowanie: „**Ma-ri-on!**”.

- Nie, ale... rozumiesz, może to ta teoria. Każdy Wiek jest inny, kończy się inaczej, może my spowodujemy koniec? - Przesunęła nogi, wydłubała z zębów kawałek albedo. — Tylko że potrzebujemy nazwy, łatwej do zapamiętania dla ludzi, czegoś jak nazwa firmowa.

Jak zwykle miała rację. Ralph zmagął się z pokusą jej ciała, popołudniowe słońce prażyło, a oni rozważali „dobór wzajemny”, „o zmianie gatunków”, potem „rozwój gatunków”, później „rozwój w środowisku naturalnym” i wreszcie „adaptację środowiskową”, która wciąż wydawała się nie do końca idealna, ale przynajmniej inteligentnie przekazywała myśl. Zostaje więc „adaptacja środowiskowa” - nad klifem, nad kominami Invercombe wreszcie pojawiła się lekka mgiełka, a myśli Ralpha były teraz zbyt rozchwiane, bo patrzył w połyskujące wgłębienie między jej piersiami. Obrysował palcami jedwabistą skórę. Żebra uniosły się i opadły, kiedy zachichotała, sutki napięły się, gdy odpychała go bez przekonania. Łódź się zakotłosała. Ucałował Marion w ramię. Smakowała **słodko-gorzko**. Pomarańczami.

- Nie obawiasz się czasem - szepnęła z twarzą tak blisko niego, że była rozkosznie rozmazana - że jesteśmy zbyt chciwi?

On jednak chciał teraz tylko przesunąć językiem po jej uchu. Czy to tylko prymitywny instynkt? Czy rozkosz, jaką czuł teraz, kiedy zapewniła

go, że może bezpiecznie szczytować w środku, była tylko drzeniem nerwów? Natura to natura, a oni są jej częścią, tu i teraz - dlaczego mieliby kiedykolwiek pragnąć uciec?

Właśnie odkryli, że można, choć nie jest to specjalnie wygodne, kochać się w małej łódce. Było to trochę śmieszne, bo uważali na drzazgi, ale i piękne; kiedy Marion uniosła nogi, niebo pociemniało, morze się zatrzęsło, a on wszedł w nią, łódka dygotała i czuł na plecach chłodny i ciepły powiew wiatru.

Potem położył się obok Marion. Kawałki skórki pomarańczowej lepiły mu się do pleców, w udo uwierało go wiosło, a niebo było niemal czarne, gdy świeży wietrzyk opróżniał Clarence Cove. Adaptacja środowiskowa. Niech będzie. Właściwie, kiedy słono-pomarańczowy zapach Marion mieszał się z aromatem burzy, a pierwsze krople deszczu siekły go po skórze, ta nazwa wydawała mu się jedyną nie do końca doskonałą rzeczą w jego świecie.

Alice, odświeżona pozorną podróżą przez morze, słońce i chłód jaskiń Invercombe, wróciła do sal bristolskiego Cechu Telegrafistów i upalnego popołudnia, postanowiła jednak, w ramach kolejnego ćwiczenia, spróbować opóźnić chwilę powrotu do fizycznego ciała. Unoszenie się we szkle, pośród wilgotnej skóry i mosiądzu budki, okazało się łatwe. Popatrzyła na siedzącą **arcycehmistrynię** Alice Meynell. Doskonała konstrukcja szyi i gardła. Błękitne oczy, chłodne, ciepłe, beznamiętne, nawet kiedy wpatruje się w lustro budki i — jak dostrzegła ze zdumieniem, a potem nagłym zrozumieniem - zupełnie puste.

Dryfowała, przyglądała się. Tak, była piękna. Udało jej się pozbyć nawet ledwie zauważalnej obwisłości policzków. Ale spostrzegła coś dziwnego. Jak to możliwe, w tej odizolowanej od wiatru budce, że parę posiwiałych pasemek włosów powiewa w powietrzu? Przechodząc przez siebie raz za razem, spróbowała spowodować to znowu. Delikatne jak dym loczki powiewały zgodnie z jej niewidzialną wolą. Spróbowała jeszcze raz, i choć właściwie dopiero uświadamiała sobie, że takie coś jest możliwe, dostrzegła widmowe kształty własnych dłoni, jak wyrysowane **najbliższym** odbiciem posrebrzanych cieni z lustra. A kiedy odwracała je, podziwiała, uśmiech na twarzy Alice Meynell stawał się jeszcze piękniejszy i bardziej zagadkowy.

17

Tom uciekł od londyńskiego skwaru i spędzał kilka ostatnich, apatycznych dni w wielkim majątku Walcote, gdy Alice wreszcie przybyła go odwiedzić. Po niedawnych odkryciach obawiał się tej chwili, ale również za nią tęsknił. Przyjechała długim zielonym autem, które sama prowadziła, i wyglądała beztrzesko jak zawsze, obejmując go u szczytu marmurowych schodów, mimo przebytej drogi świeża jak pościel, jak nikt inny. Całkiem jakby nic się nie zmieniło, zachowywała się jak gdyby nigdy nic, a jednak wszystko było inne i kiedy później, w czerwonym przepychu zachodniego salonu przyniosła mu tacę ciastek, był pewien, że to oznacza jego koniec.

- Spróbuj ich, kochanie. Coś chyba się nam udaje. Nawet lukier i kandyzowane owoce nie zawierają ani odrobiny cukru.

Tom patrzył na nią, gdy przysiadła na szezlongu. Bardzo chciał wspomnieć o papierach - oboje wiedzieli, że ich nie podpisał - ale nie potrafił się do tego zmusić.

- No i...? Nawet ich nie spróbujesz, Tomaszu niedowiarku?

Ty też spróbujesz? Pytanie stanęło mu w gardle. A ona była tak promienna, tak piękna. Uświadomił sobie, że nadal ją kocha. Kocha, choć powinien nienawidzić. To było najgorsze.

- Później, kochanie, jeśli czas pozwoli, pokażę ci nasze plany budowy pierwszej przetwórnicy słodkoczarna. Zarezerwowałam jedną partycję maszyn liczących specjalnie po to, żeby stworzyć trójwymiarową wersję gotowego projektu. Możesz wykręcić jej numer z dowolnej budki telefonicznej i przejść się po fabryce, jakby już była gotowa.

Chciał jej powiedzieć, że nie to przedsięwzięcie jest najważniejsze. Ważniejsza jest miłość, ich życie oraz kłamstwa. Czy do jego ojca też przyszła w Walcote z jakimiś cudownymi ciasteczkami? Wciąż nie miał pojęcia, ile prawdy zna. A mistrz Pike, przeciwnik, ale uważany przez wszystkich za porządnego człowieka? A ta modna wdowa z Bristolu? A ludzie z Dudley i Lichfield? Wydawało się, że to za dużo - za obficie - tak jak za dużo jest dekoracji na tych ciastkach, ale po części rozumiał, czemu to wszystko zrobiła. Bo Alice robiła tylko to co logiczne i konieczne. Sprzedawanie się za pieniądze - według niego to hańba raczej dla mężczyzny niż dla

kobiety. Był w stanie zracjonalizować nawet zabicie swojego ojca - w końcu stanął przeszkodę w jej rozwoju, tak jak teraz on. Ktoś musiał ustąpić, a wiadomo, że Alice nie ustąpi nigdy. Ale dlaczego zabiła nieszczęsną, uroczą Jackie Brumby? Jaką zbrodnię popełniła ta dziewczyna, poza dzieleniem z nim łóża na długo przed tym, jak poznał Alice?

- Te ciastka to dopiero początek. Pomyślałam sobie, kochanie, że moglibyśmy urządzić słodko-gorzkie przyjęcie. - Jej śmiech się nie zmienił. - To dopiero brzmi! Może wyznaczymy nowy trend.

Tom był pewien, że to „my” oznaczało ich cech, któremu była stuprocentowo oddana, a nie małżeństwo, jakie niegdyś stanowili. Przynosząc te lśniące słodyczą ciastka, chciała załatwić wszystko w białych rękawiczkach. Wystrzegą się wszelkich nieprzyjemności i była całkowicie sobą. Tom wybrał ciastko, które wydało mu się najbardziej znajome, z wisienką i białym lukrem, jaki uwielbiał od dziecka. Przegryzł się przez miękkie warstwy, poprzesuwał wisienkę językiem i zapatrzył się na swoją przepiękną żonę. W ustach rozplywała mu się sama słodycz, ale kiedy ją przelknął, poczuł dziwny, ostry posmak.

- Spróbuj jeszcze jednego. Mówili mi, że te waniliowe płatki świetnie się sprzedają, choć ja tak naprawdę za nimi nie przepadam.

Tom posłusznie zjadł wszystko, co mu podsunęła, za każdym razem śliniąc się w oczekiwaniu, choć serce i żołądek pozostawały puste. A skończywszy, ze zdziwieniem odkrył, że może wstać i pójść za Alice głośno rezonującymi korytarzami, kiedy oświadczyła, że ma parę spraw do załatwienia w Londynie. Odprowadził ją monumentalnymi schodami rezydencji Walcote, usłyszał szum odległego morza, chlupot fontann, szurgot własnych stóp na żwirze, przytulił żonę mocno, odwracając się ustami od nadstawionego policzka ku miękkości jej ust.

- Wszystko w porządku, kochanie? Na pewno nic cię nie trapi?

- Nic. Nic a nic.

Jej samochód dawno zniknął za srebrzystą linią niby lip, a on jeszcze stał na podjeździe. W ustach wciąż miał gorycz. Miał ją też o poranku - obudził się zaskoczony i poniekąd rozczarowany, że nadal żyje. Nawet bez pomocy Alice zdawał sobie sprawę, że taki człowiek jak on nie może już funkcjonować w tym świecie. Należało więc zrobić to, co niegdyś czytane książki określały jako „uporządkowanie wszystkich spraw”. Jednakże kiedy zrobił porządek na biurku i podarował każdemu z kamerdynerów po krawacie, miał już niewiele do roboty. Życie i obowiązki wydawały się blahostkami, gdy raz zaczęło się odstawiać je na bok.

Było gorąco, a Tom zawział się, że będzie galopował na pięknym jednorozcu ze stajni Walcote. Lekkomyślnie pędził lasem pod niskimi konarami. Przeskakiwał żywołoty i strumyki. A jednak przeżył. Odwiedził drzewo, pod którym znaleziono nienaturalnie skręcone ciało jego ojca - z początku sądzono, że zginął od upadku z wierzchowca, potem okazało się że to jakiś zator w mózgu. Niedaleko stamtąd Tom odkrył nagrobek arcycechmistrzyni Sary Swalecliffe-Passington i jednorozca, na którym uwielbiała jeździć. I Passingtonowie, i Swalecliffe'owie byli jego przodkami w randze, jeśli nie bezpośrednimi krewnymi, tak że znał historię ojca Sary, który, gdy bankructwo jego cechu wyszło na jaw, popełnił samobójstwo, wchodząc do klatki z łownym smokiem. Tom zawsze uważał ten czyn za szlachetny. Zastanawiał się, czy go nie powtórzyć, ale trzeba było zbudować klatkę i zamówić smoka poza sezonem łowieckim, zresztą ludzie uznaliby tylko, że zwariował.

Powinien porozmawiać z synem, ale kiedy stawali twarzą w twarz przez telefon, stać go było wyłącznie na głupawe pytania o wspaniałą pogodę w Invercombe. Nie umiał powiedzieć Ralphowi o Alice; była wszakże jego matką, opiekowała się nim, dała mu życie, a w ich połączonych dłoniach leżała przyszłość ukochanego cechu. Nie potrafił rozmawiać z nim także o miłości, bo co, u licha, sam o niej wiedział? Ralph zresztą był obsesyjnie zajęty swą teorią oraz ładną dziewczyną z wybrzeża. Ewidentnie pomyliły mu się priorytety.

W trakcie przejażdżki Tom zatrzymał się na cmentarzu pod kościołem parafialnym w Saltfleetby. Wpadł mu do głowy pomysł. Najpierw chciał znaleźć grób Jackie, nie miał jednak pojęcia, gdzie on jest, więc rozmyślając o przewadze liczebnej umarłych nad żywymi, spacerował po prostu pomiędzy skromniejszymi nagrobkami, aż dostrzegł w ostrym słońcu dwa wyryte w kamieniu nazwiska. JOHN i ELIZA TURNER, oboje zmarli, nim zaczął się Wiek Świata, ale przeżyli sporo lat. Pieczęci cechu nie poznał, ale rozgarnawszy trawę, przeczytał, że Eliza była cechmistrzynią, a John mistrzem ludwisarskim. Tom nie wiedział, co oznacza „ludwisarz”, poza tym, że to szacowny fach należący do któregoś z niższych cechów, lecz kiedy wstał i rozejrzał się wśród spokojnych umarłych, kiedy pomyślał, jak łatwo ludzie zapominają o tym, co jest naprawdę ważne w życiu, aż jest za późno, uświadomił sobie, że dokładnie wie, co chce przekazać synowi. Wsiadł z powrotem na wierzchowca i szybko ruszył ku plaży Folkestone. Była całkiem pusta, falowała w upale. Było tak gorąco,

że schylając się po tuzin gładkich kamyków, Tom musiał owinąć dłonie w chusteczkę.

Następnego dnia, w Londynie, skwar był jeszcze dokuczliwszy. Ulice dymiły, a kable bzycały i żarzyły się handlowymi depeszami pomiędzy budynkami. Tom wiedział już teraz, co oznacza uporządkowanie wszystkich spraw. Kazał zdumionym prawnikom jeszcze raz wydrukować papiery, które zniszczył - zatwierdzające plany Alice - opieczetować je i dostarczyć upalnym wieczorem do jego miejskiej rezydencji. A gdy je podpisał, będąc pewnym, że to jego ostatni akt w roli arcycechmi-**strza**, z przyjemnością zauważył, że pozbył się ostatniego śladu goryczy w ustach.

Odprawił wszystkich służących, ukrył się w sypialni i pounosił wszystkie okna, wpuszczając do domu martwe powietrze. Bezbarwne niebo wisiało ciężko nad miastem, pulsowało jasno i ciemno w takt obrotów Wieży **Hallam**. Zanosilo się na burzę, w domu było cicho jak makiem zasiał, a on siedział na brzegu łóżka i wpatrywał się w otwarte drzwi sypialni; mijały mroczne godziny, aż wreszcie, gdy powietrze nad Londynem zawirowało i pochłodziło od deszczu, zaczęła się w nich rysować ukochana, wyczekiwana sylwetka.

18

Wyglądało, że w ten pracokres pogoda robi, co chce. Wiatrosternik Ayres zanotował wyniki pomiarów, przejrzał codzienne raporty Bristolskiego Biura **Meteorograficznego** i zerknął na prognozy w gazetach - przede wszystkim po to, żeby się z nich pośmiać. Prawie wszystko, jak przystało na porządnego **wiatrosternika**, czuł w kościach. Schował już swą tablicę i kredę, pogodę bowiem można było nakłaniać do zmiany kursu, perswadować jej, nawet odrobinę opóźniać, ale nie powinno się jej przeciwstawiać, a nie było sensu obiecywać czegoś, czego dotrzymać się nie da.

To, co nadchodziło, mocno przerastało wszystkie jego czary. Wyobrażał sobie ogromne ściany chmur piętrzące się pośrodku Oceanu Borealnego, dowiadywał się o losy „Prozerpiny”, o jej remont i załadunek. Potem przyszedł wieczór, kiedy sztorm znad Morza Antylskiego sięgnął

mackami aż tutaj. Z południa Anglii pelzł front atmosferyczny. Ayres wyszedł na zewnętrzną galerię wiatrosteru w elektryczny mrok. Włoski na skórze mu się jeżyły, lecz wiedział, że jego wiatroster jest uziomiony i mocno naeteryzowany. Próżno szukać bezpieczniejszego miejsca.

Jego uczucia wobec Invercombe były teraz zabarwione jednocześnie smutną i przyjemną nadzieją, że niebawem z Cissy stąd wyjadą. Nie byli przecież młodzieniaszkami, a teraz, gdy wreszcie przyznali się przed sobą, że ukrywając uczucia, zmarnowali tyle lat, wydawało się, że to jedyne wyjście. Czuli też, że to lato jest nie do powtórzenia. Cissy wiele razy powtarzała, że przez ostatnie miesiące dom prowadził się łatwo jak nigdy. Woda do kąpieli zawsze była gorąca. Wszystkie podłogi lśniły. Pościel była bielsza, garnki bardziej błyszcząły - wszystko było aż za łatwe; Ayres zauważył to samo w swoim wiatrosterze. Gdy chciało się pociągnąć dźwignię w złą stronę, stawiała opór, w prawidłową zaś szła gładko jak po maśle. Kiedy ten chłopak, Ralph, był chory, wirniki anemometrów kręciły się tak zapamiętale, że mało nie urwały mu rąk. Będzie silny sztorm; jednakże ponaglał w myśli „Prozerpinę”, by niesiona silnym wiatrem dotarła do Anglii na rozładunek. Oszczędności już wprawdzie mieli, ale nawet Cissy, zawsze krzywiąca się na wieść o odbywającej się nieopodal Invercombe wielkiej dostawie, przyznawała, że nieźle byłoby dysponować dodatkową gotówką.

Widoki były zachęcające. Oboje mieszkają w porządnym domu w jakiejś lepszej dzielnicy Bristolu, może na Saint Michael's Hill albo w Henbury; ona na zasłużonej emeryturze. Do sprzątanania i sprawunków zatrudni się młodą dziewczynę, żeby Cissy miała komu rozkazywać i z kim się zaprzyjaźnić. Będzie biały balkon, żeby mogli sobie siadywać w ciepłe wieczory, a także piwniczka na parę butelek najlepszych roczników z drobnego importu. Oraz biżuteria i suknie, które Cissy będzie nosić, gdy wyjdą na przechadzkę na Boreal Avenue.

Drzewa szarzały, okna trzaskały, chmury gnały po niebie. Ucieszył się, że na kanale nie pozostał już żaden statek, bo zapowiadał się sztorm, jakiego w życiu nie widział. Marzły mu zęby i galki oczne, a pot lał się zeń strumieniami. Światło dzienne stało się zielone, potem fioletowe, aż zniknęło całkiem. Wiatrosterownikowi zaczęły się skręcać wąsy. Gdyby miał włosy, również by zafalowały. Chciałby zachichotać na tę myśl, ale głowę wypełniały mu dziwne, niespokojne obliczenia stopnia uziomienia i umagicznienia wiatrosteru, zastanawiał się też, co to musi być za front, że dotarł tak daleko od zwrotnika, przez cały Ocean Borealny.

Myślał, że świat zamarł w ciszy, lecz teraz, gdy stały odgłos zanikł, zdał sobie sprawę, że coś jednak brzmiało - był tak przyzwyczajony do szmeru koła wodnego, że gdy znieruchomiało, poczuł się jak ślepy. Nagle, po tylu latach wiary, stracił zaufanie do swego wiatrosteru. Cissy miała rację — nie powinien tu stać. Było już jednak za późno, świat zalewała ciemność. Wypelniła jego oczy i myśli. A potem, z rykiem grzmotu, niebo nad Invercombe rozdarła pierwsza błyskawica.

19

To chyba tylko cień cienia.

Tom Meynell wciąż wpatrywał się w drzwi sypialni i nie miał pewności. Kiedy powietrze stawało się niespokojne i zaczynało unosić zasłony, pomyślał, że zachowuje się jak prorok lub szaleniec, chociaż nigdy nie przeszłoby mu przez myśl się z nimi porównywać. Wpatruj się odpowiednio długo w jedno miejsce, a pojawi się tam coś, co najbardziej kochasz. Wiatr przybierał na sile, niebo grzmiało z tęsknoty za deszczem. I oto ona. Alice.

- Nie ma cię tutaj, prawda?

- Nie. Ale... - Postąpiła kilka kroków w głąb pokoju. Trudno było dostrzec, co ma na sobie, ale wspaniale w tym wyglądała. Zresztą u niej to żadna niespodzianka.

- Cieszę się, że przyszedłeś, Alice. Czekalem na ciebie.

- Nie mów nic. - Stała tuż przed nim, częściowo zarysowana, częściowo przejrzysta wśród burzy. - Chcesz mnie zasypać pytaniami.

- Niezupełnie. - To była prawda. - Ale to rzeczywiście nadzwyczajne. Jak ci się to udało? Można powiedzieć, że jesteś duchem. - Zauważył, że ona niesie małą szklaneczkę w palcach obu dłoni.

- Korzystam tylko z telefonu, kochanie. - Potwierdzający uśmiech przy słowie „tylko”. - Wiem, że wygląda na coś więcej.

Na pewno da się to odkrycie jakoś wykorzystać komercyjnie? Lecz Alice to Alice - na razie nie mógł pojąć, jak mogła się czuć, przebywając w jednym miejscu i swobodnie poruszając się w innym.

- Idzie burza... Co się stanie, jeśli piorun uderzy w którąś z central przekaźnikowych? Wiesz, jak one funkcjonują. Czasem nie działają przez kilka dni...

Ona jednak tylko się uśmiechnęła i nieznacznie wzruszyła ramionami - była przecież wcielonym ryzykiem. Zasłony falowały migotliwie na wskroś niej.

- Mogę cię dotknąć? Da się? No bo wiesz, przecież niesiesz tę szklankę. Zastanowiła się.

- Ale powoli. I musisz powiedzieć mi gdzie.

Wybrał lewy policzek, a potem, chciwie, jeszcze pukiel włosów. Była jedwabście gładka. Ciało anioła. Tak jak pamiętał.

- Chyba wiesz, po co przyszedłem.

- Chyba tak. - Położył dłoń z powrotem na łóżku. - Czekałem na to... - Wykonał niezręczny gest i nie był pewien, czy musnął ją palcami, czy tylko poczuł powiew burzy. - Nie wiem jak długo. Szczerze mówiąc, ulżyło mi. Mam już dość.

- Tak mi przykro, kochanie.

Skinął głową i zaczął się zastanawiać, co oznacza „przykro mi” dla Alice.

- Swoją drogą, podpisałem te dokumenty, bo to **już** zakrawało na farsę.

- I tak nie ma to większego znaczenia.

- Zdaje się, że nigdy nie miało. - Uśmiechnęli się razem. Powietrze smakowało teraz **ostrzej**. Światło było bardziej niebieskie. - Choć zawsze zastanawiałem się, czy ojciec...

- Coś wspominałeś, że nie będzie pytań.

- Czy do niego przyszedłeś w ten sam sposób?

- Nie, skąd. Zaczęło mi się udawać dopiero po latach doświadczeń. To głównie zasługa tego przepięknego domu. Chyba on nauczył mnie mówić. Ale nie pytaj jak. Ani **dlaczego**...

- Tylko skoro cię tu nie ma, a ta szklanka jest... - Urwał pod jej spojrzeniem. W końcu ukochanej kobiecie trzeba pozwolić na pewne sekrety.

- Wypijesz to?

- Przecież zjadłem tamte ciastka, prawda?

- Aaa, tak myślałeś! Wyobraź sobie, co by było, gdyby się rozniósł, że zmarłeś po skosztowaniu słodkogorza.

Miała rację, jak zawsze.

- Ale i **teraz**...

- Dlatego właśnie to ważne, abyś zmarł wyraźnie na to samo co twój ojciec. Ludzie pomyślą o jakiejś dziedzicznej przypadłości. Poza tym już zachowywałeś się nieco... - Pauza. Pierwsze kilka kropel deszczu spadło

na dywan ciężko jak szklane kulki. - Nietypowo. Te **galopady**. No i rozdawanie rzeczy.

Płyn w szklance był tak samo **półprzezrysty** jak ona.

- Jak to smakuje?

- Kochanie, skąd mam wiedzieć? - Na ułamek sekundy straciła cierpliwość.

Kiwnął głową. Deszcz przenikał przez nią, skapując mu na wierzch dłoni. Pomyślał o Jackie. Ciekawe, czy umrze tak samo jak ona, czy w ten sposób zbliży się do niej. Dlaczego w ogóle ją zostawił?

- **Wypiję** to, Alice. Ale chcę, żebyś obiecała, że nigdy nie zrobisz Ralphowi nic złego.

- Kochanie, to mój syn. Nie mogłabym go skrzywdzić.

Zdecydował, że musi na to nalegać.

- Przysięgnij.

- Na co?

- Na siebie. Na twoje piękno i tajemniczość.

Alice złożyła przysięgę. Solennie, z uniesionym podbródkiem. Była zakłębionym, wirem mroku i deszczu.

Tom ostrożnie wyjął szklaneczkę z jej widmowych palców. Uniósł do ust i wypił. Alice była teraz bliżej. Bliżej niż kiedykolwiek i piękniejsza niż kiedykolwiek. Gdy padał, dysząc w konwulsjach, widział tylko bezbrzeżny błękit jej oczu.

20

Rankiem po wielkiej burzy Ralph siedział w bibliotece Invercombe. Przy próbach streszczenia i porządkowania w papierach pojawiał się jeszcze większy chaos. Coraz bardziej uświadamiał sobie, jak niewiele wie. Niebo się przejaśniło, chodniki na zewnątrz już wyschły, ale pojękujący, niespokojny wiatr trzepotał kartkami notesów. Ralph musiał wstać i pozamykać wszystkie okna.

W domu panowała niezwykła cisza. Wydawało się, że wskutek burzy wszystkie zegary, co do jednego, przestały bić. Nagle ogarnął go niepokój, poczuł bowiem, że w drzwiach biblioteki ktoś stoi. Rozpoznawszy Cissy Dunning, powinien był poczuć ulgę, ale na jej ładnej twarzy malowało

się coś, czego dotąd nie widział; nie odezwała się słowem, dopóki nie usiadła obok niego i nie położyła mu rąk na kolanach.

W Londynie na cały ranek przerwano pracę, linie telefoniczne zwisły jak wstęgi nocy, a ludzie ustawiali się w dwóch lub trzech rzędach wzdłuż Wagstaffe Mall, żeby obserwować wielki karawan ciągnięty przez zdobne piórami czarne konie oraz idący za nim powolny kondukt, z Ralphem i wielkimi mistrzami cechu, pośród stłumionego bicia dzwonów. Najpierw odbyła się publiczna ceremonia w kaplicy na Northover, potem tak zwana prywatna, w niezwykle onyksowej krypcie pod siedzibą Cechu Telegrafistów. Ralph, stając pomiędzy rozpostartymi skrzydłami złotego orla, by przemówić do zalanego światłem lamp morza twarzy, spodziewał się tremy, okazało się jednak, że jest spokojny. Liczyła się dlań jedynie matka, niepowtarzalna, anielska i dumna, a poza tym całkiem ładna w tej żalobie; uświadomił sobie, że po śmierci ojca ma tylko niewyraźne poczucie utraty tego obojętnego, ale w gruncie rzeczy porządnego człowieka, którego miał nadzieję jeszcze kiedyś naprawdę poznać.

*

Koło południa, po pogrzebie, londyńskie sklepy otwarto, a pod freskami Sali Wielkich Cechów odbyło się wystawne przyjęcie na stojąco. Ralph, który przedtem przy takich okazjach zwiedzał korytarze i gawędził z kelnerami, teraz był bez końca zaczepiany i zanudzany rozmowami o Highclare, jego powrocie do zdrowia, o tym, jak wielką stratą jest śmierć ojca, a potem, nieodmiennie, jak wspinał się z jego matka otoczona czarnymi rojami żałobników.

Dzień biegł dalej. Trzeba było pójść na spotkanie w budynku Giełdy Dockland. Dotychczas Ralph tylko zerkał na te zebrania przez zamykające się drzwi, teraz zaś miał siedzieć u szczytu stołu i zatwierdzać liczne dokumenty. Obawiają się przede wszystkim, że umrę, zanim osiągnę pełnoletność, pomyślał, gdy bez końca kalano jego imię. Pomyślał o ojcu zasiadającym w tym samym fotelu, otoczonym tymi samymi lub podobnymi twarzami. Potem o Marion, o morskim zapachu jej skóry - i zaczął się zastanawiać, czy można się z powrotem do kogoś zbliżyć, jeśli już znalazło się tak daleko. Pierwszy raz po śmierci ojca naprawdę zebrało mu się na płacz.

Weszła matka, nieobecna od początku spotkania. Przebrała się w inny czarny strój, podkreślający blask jej włosów. Rozjaśniała twarze ludzi niczym słoneczny blask. Ustalenia obecnie wprowadzane w życie przygotowano na taką okoliczność już wiele lat temu. Ralph nie mógł być formalnie mianowany, dopóki nie wykształci się na telegrafistę i nie zostanie powołany do cechu. Na ten czas ustanawiano zarząd powierniczy, oczywiście z matką w roli prezesa.

Gdy uczestnicy zebrania się rozeszli, stanął obok niej na balkonie puste gabinetu ojca i zdziwił się, widząc, o ile jest od niej teraz wyższy. Drobną różnicą paru centymetrów wydawała się o wiele większa niż odległość z balkonu do ziemi, do doków i prawie całego Londynu.

Matka zaśmiała się smutno.

– Takie życie, wieczna krzątanka. Ludzie zatrzymują się na parę godzin. Traktują to jak wcześniejszą przerwę obiadową i cicho pytają się nawzajem, kto umarł tym razem. A potem wracają do pracy.

- Mówisz, że tak się toczy ten świat.

- Bo tak... Inżynier dyżurny powiedział, że według niego telegrafści w ogóle nie powinni dzisiaj normalnie pracować, ale ja odpowiedziałam... - Pociągnęła nosem. Musnęła oczy dłońmi. Na powiekach zostało coś błyszczącego. - Odpowiedziałam mu, że pracując jak co dzień, najlepiej uczę pamięć Toma. - Jeszcze raz pociągnęła nosem, potem uśmiechnęła się do niego. - Chodź, oprowadzę cię...

Zabrała go w dół, pokazała halaśliwe maszyny liczące i niezwykle baterie chalcedonów żarzących się jak jaja feniksa. Tak właśnie mogę się zbliżyć do ojca, pomyślał, chociaż akurat dzisiaj ta myśl nie dawała ukojenia. Jedyne pocieszenie, tutaj, gdzie Marion czułaby się kompletnie zagubiona, stanowiła matka. Była mu towarzyszką i wsparciem. Tyle lat powtarzała mu o ludziach, o obowiązkach; teraz, po farsowym falstarcie bankietu w Invercombe, wreszcie to rozumiał.

Na następny dzień przewidziano ceremonie potwierdzające jego nowy status arcycechmistrza-elekta. Na próżno starając się nie zaciąć przy gołębieniu, Ralph pomyślał, że twarz patrząca nań z lustra już jest odmieniona. Musiał włożyć kolejny nowiutki garnitur i buty, które po wczorajszym powolnym marszu i długim staniu były udręką. A potem były jeszcze łańcuchy, birety i peleryny. W finale, na samym szczycie Gieldy Dockland,

pośród cechowych relikwiarzy, pokazano mu pierwszą głównię cechu. Ciernista, czarna, chłoneła blask pochmurnego dnia i wszystkie odgłosy portu. Podobne urządzenia były w słynnej Wieży Obrotowej w Walcote, w biurach regionalnych w Bristolu czy Preston, do wszystkich będzie musiał wymówić skomplikowane zaklęcia podczas triumfalnego objazdu, kiedy tylko osiągnie wiek dojrzały. Ostrzeżono go jednak dyskretnie, że dotknięcie główki teraz, bez odpowiedniego przygotowania, prawdopodobnie pomieszałoby mu zmysły. W ten **najtrzeźwiejszy** z dni była to otrzeźwiająca myśl.

Wróciwszy wieczorem do miejskiej rezydencji, zdjawszy skarpetki, czując pulsowanie w stopach, zjadł z matką kolację na zimno. Pierwszy tegoroczny ogień strzelał i trzaskał na palenisku w salonie. Tylko we dwoje: prawie jak za dawnych czasów. Cenił sobie ten gest i jej obecność bardziej, niż **potrafiłby** wystawić.

- Bardzo dobrze ci poszło, skarbie - powiedziała. - Wszyscy tak mówili. **I** nie tylko w zasięgu twoich uszu. Albo moich. Przynajmniej tak **słyszałam**.

- **Wszyscy** gapili się na mnie. Teraz wiem, jak się czują zwierzaki w londyńskim zoo.

Brzmiało to bardziej gorzko, niż zamierzył. Uśmiechnęła się i odsunęła tacę.

- Możesz wierzyć lub nie, ale się przyzwyczaisz. Zresztą lwy chyba też się **przyzwyczajają**, pomyśl więc sobie, że jesteś lwem. Tylko że ty, skarbie, masz klucze do swojej klatki.

Naprawdę? Dziwnie to zabrzmiało.

- Tak zdrowo teraz **wyglądasz**. Choroba naprawdę zniknęła bez śladu, prawda?

- Pewnie o tym też ludzie gadają?

- To nic złego. - Urwała. Na jej pięknych dłoniach igrały odblaski ognia z kominka. - Twój ojciec zmarł nagle, bardzo podobnie jak dziadek, nic więc dziwnego, że wszyscy są przejęci.

Ralph zrozumiał smutek w jej oczach. Przez całe lato studiował zawiłości dziedziczenia i nagle uderzyła go myśl, że jemu również pisana jest śmierć od nagłego udaru, w pozornie doskonałym zdrowiu.

- Skarbie, nie powinieneś się obawiać. Wiem, że masz ciemne włosy po ojcu, ale poza tym prawie we wszystkim, w wyglądzie, umyśle i zachowaniu, jesteś o wiele bardziej podobny do mnie. Wszyscy to mówią.

Ralph znów zaczął jeść. Poniekąd jej uwierzył.

Nazajutrz matkę zatrzymały w Londynie rozmowy telefoniczne, spotkania dotyczące powiernictwa i jakiejś dziwnej nowej przyprawy, Ralph zaś wrócił pociągiem na Zachód - sam, a raczej bez towarzystwa, bo starali się mu nadskakiwać wszyscy bagażowi, stewardzi i naczelnicy stacji. Do Invercombe dotarł wieczorem. Dom był chłodny, ciemny i **spokojny**. W środku było zupełnie pusto. Najwyraźniej Marion i inne pokojówki wybrały się do Luttrell na obchody jakiegoś swojego cechowego święta. Cissy też nie było, bo tę porę dnia miała wolną i spędzała ją z wiatroster-nikiem Ayresem.

Wiedziony długo powstrzymywaną ciekawością, nie zwracając uwa-gi na uporeczywe, drażniące poczucie, że nie jest sam, Ralph zszedł do piwnic. Żeby coś widzieć, musiał po raz pierwszy w tym roku powłączać świeżo odremontowane oświetlenie. Stara maszyna obliczeniowa tykała sama do siebie w swej pobielonej wnęce, przekaźniki leniwie **pobłyski-**wały spatynowaną morską zielenią, najwyraźniej śniąc nie o adaptacji **środowiskowej**, lecz o niewysłanych wiadomościach, nieusłyszanych we-zwaniach. Ralphowi, w czysto zwierzęcym odruchu, o którym słyszał, ale nigdy go nie doświadczył, **zjeżyły** się włoski na karku - jak u psa. Szedł jednak dalej.

Za ostatnią z żarzących się żarówek kończyły się cegły, tunel jednak ciągnął się i obniżał. Ściany miał z wilgotnej skały. Podłoga to krzywiła się, to uskakiwała. Ralph pośliznął się, potem napotkał stopień, słupek z kruszącego się cementu. Wydawało się, że korytarz jest całkiem ciemny, niemniej, w miarę jak przyzwyczajał się wzrok, czarny, mokry kamień roz-jarzył się słabutkim światelkiem. Ta czarna substancja, szlam, wyraźnie była organiczna. Nawet tutaj gnieździło się życie. Idąc dalej, wspomniał ży-laste gruzełki, które wyrosły i szczyły w mroku jego własnych płuc. Potem próbował w ogóle nie myśleć o niczym. Słone powietrze, niepowtarzalne dudnienie i mlaskanie morza ciągnęły go i wabiły - poczuł, że znajduje się na krawędzi jakiegoś nowego objawienia, gdy za kolejnym zakrętem chodnika, w ostatnim z ostatnich poblasków światła, drogę zagroziły mu ciężkie żelazne drzwi. Zaskrzypiały, uchylając się lekko, potem za-trzymał je ciężki łańcuch. Za nimi widział już tylko ciemność. Czuciem, węchem, słuchem rejestrował żywą pieśń ładu zderzającego się z morzem.

Pobiegł z powrotem tunelem, a potem krętymi, coraz szerszymi scho-dami. Słońce już zaszło. Nawet w domu musiał zapalić światła. Nadal

nikogo nie było, jego londyński bagaż leżał tam, gdzie zostawiono go dla pokojówek, choć odkrył, że ktoś, zapewne Wilkins, wniósł mu do sypialni jakąś drewnianą skrzynkę. Domyślając się, że zachodni system pocztowy po długim namyśle wreszcie wypłul jakąś część jego rzeczy, zerknął na etykietę. Był na niej adres Invercombe, niewątpliwie wypisany ręką ojca, ostemplowany w dniu jego śmierci.

Ralph zerwał pieczęcie i opakowanie. Znalazł w środku tylko kupkę kamyków. W pierwszej chwili pomyślał, że ojciec przed śmiercią rzeczywiście zachowywał się tak dziwnie, jak sugerowali niektórzy. W drugiej - że przysłał mu te kamienie, próbując niezręcznie pomóc w jego geologicznych badaniach. Nie wiedział, która myśl jest smutniejsza. Były to krzemienie, jakich pełno na szaroniebieskich kamienistych plażach południowego wschodu, i zastanawiał się, co właściwie ma z nimi począć, gdy grzebiąc ze zdziwieniem w głębi pudełka, musnął jeden dłonią.

Wrażenie było natychmiastowe, jak igła postawiona w połowie płyty gramofonowej, jak dezorientująca fala przesłuchu na linii telefonicznej. Informacja zalala go, a kiedy cofnął dłoń, natychmiast zniknęła. Znalezienie kamyka zajęło jeszcze chwilę. Owijając w kartkę, żeby uniknąć napływu danych, uniósł go do światła najbliższej lampy. Żadnych znaków ani pieczęci, ani charakterystycznego otworu pośrodku, lecz to rodzaj liczykamyka. Dotknął go dłonią umyślnie i pozwolił wiadomości od ojca płynąć.

21

Izba Cechu Ludwisarzy w Anglii Zachodniej mieściła się na wąskiej uliczce bristolskiego Starego Miasta. Jej gmach z kolumnami widział już lepsze czasy, a także niezliczone pokolenia gołębi tulących się do siebie na brukowanych dziedzińcach. Był całkiem odwrócony od pieniających się wszędzie indziej fantazyjnych raf z kamienia koralowego. Ralph przyjrzał się spatynowanej mosiężnej tabliczce.

- To chyba jest ta chwila, w której postanawiamy, że nie wchodzimy.

- Ale byłoby szkoda, bo zaszczytny aż tak daleko - odparła Marion i musiał się z nią zgodzić.

W środku wspięli się po skrzypiących schodach i weszli do gabinetu umeblowanego długimi rzędami szaf z wiekowymi z wyglądu aktami. Na biurku stał kamerton. Ralph przytknął go palcem.

- Tak? - Pojawił się przygarbiony człowieczek i zerknął na nich przez okulary w drucianej oprawce. - Tak, proszę?

- Jestem John Turner, mistrz ludwisarski, a to moja żona, cechmistrzyni Eliza. Przed chwilą przyjechaliśmy do Bristolu z Kentu.

- Szukacie państwo pracy, jak rozumiem.

- Na razie chcielibyśmy się zorientować...

- Bardzo słusznie. Jestem mistrz McCall z Drugiej Harmonicznej. - Wyciągnął dłoń. Ralph ujął ją, zastanawiając się, czy zapoznając się z życiem owego sprezentowanego przez ojca cechmistrza, nie przeoczył jakiegoś kluczowego zgięcia palca wskazującego.

- Niestety, ukradziono mi, hm... moją kartę cechową.

- Wschodnie lepkie rączki, tak? Mówią, że tam jest to na porządku dziennym. Nie ma problemu. A teraz, jeśli pan pozwoli...

Najosobliwsza chwila nastąpiła, gdy mistrz McCall rozpostarł długi wydruk. Podążając wzdłuż kolumn nazwisk, pomrukując, w końcu zatrzymał zbrązowiały palec: M-rz Turner J., (małż: E.), hr. Kent, Wlk Harm 1. Okt., a potem ten sam niepowtarzalny numer, którego Ralph starannie wyuczył się na pamięć z liczykami.

- Proszę, tymczasowa przepustka. Ważna sześć miesięcy. Proszę sobie kiedyś zrobić fotografię i przynieść, wyrobimy stałą, ale nie ma pośpiechu. Narzędzia też pan stracił?

- Niektóre... Cały bagaż zostawiliśmy na Templemeads.

Mistrz McCall zatrzaskał z wysiłkiem księgi. Zdjął okulary i zaczął je przecierać. Co teraz? - pomyślał Ralph. Pomiął jakiś oczywisty element etykiety.

- Jest jeden problem - powiedział McCall. - Może się pan tu osiedlać na dowolnie długo, ale nie mogę obiecać, że znajdzie się dla pana jakaś praca. Pewnie tak samo ciężko o nią tutaj, jak w Kencie. I tak myślę, że zrobił pan dobrze, przyjeżdżając na Zachód, ale to już trzeci dzwonnik w tym pracokresie. Co prawda sporo tylko przejeżdża. Lepszą pracę można znaleźć w koloniach. Thule, Wyspy Szczęśliwe, może nawet Afryka. Sam bym na to stawiał - zachichotał - gdybym miał jakieś pieniądze.

Ralph kiwnął głową. Zerknął na Marion. „Dzwonnik” - pewnie gra słów, łącząca nazwę i funkcję cechu.

- Co do noclegu, jeśli chcecie coś taniego i nie za brudnego, to polecam Sunshine Lodge. Może Lascome, jeśli naprawdę jesteście bez grosza. I wieczorami trzymajcie się z dala od wschodniego **Redcliff...** - Mistrz **McCall** z hukiem ostemplował tymczasową kartę cechową i machnął nią w stronę **Ralpha**. - No i... witamy w Bristolu.

Zjedli późne śniadanie w pobliskiej jadalni, głośno tytułując się mistrzem **Johnem** i **Elizą**, teraz już tylko dla zabawy. **Ralph** miał na sobie marynarkę ze skórzanymi łatami i pożyczone od **Wilkinsa** spodnie. **Marion** - obszerną samodziałową chustę i długą tweedową spódnicę. Na ile mógł ocenić odbicia w witrynach sklepów mijanych po drodze z dworca **Templemeads**, nie wyróżniali się z porannego tłumu. Zresztą w tym zadymionym rozgardiaszu nikt nie zwracał uwagi na ludzi. **Marion** wzięła na cały dzień skrętnie uzbierane wychodne. **Ralph** jeszcze wczoraj zatwierdzał kolejne regularnie przysyłane przez matkę dokumenty. Czy zatwierdzanie to coś innego niż podpisywanie? Nie dbał o to. Po prostu fantastycznie było uciec od wszystkiego - nawet od **Invercombe** - i stresu związanego z próbami zrozumienia tego, co wiedzieli o adaptacji środowiskowej. Bardzo mu smakował ten czerstwy chleb i gumiate mięso. Naprawdę poczuł się kimś innym - jakby zdjęto zeń wielki ciężar. Był dozgonnie wdzięczny ojcu za samą tę chwilę, za możliwość picia ciepłego piwa w bristolckiej jadalni razem z panią **Elizą**, która była także **Marion**.

Wyszli na ulicę, chcąc krzyknąć, śmiać się, tańczyć ze starszankami pchającymi taczki na rynek w **Upmeet**. Przeliczyli drobne, należące głównie do **Marion**. **Ralph** nie był przyzwyczajony do używania pieniędzy i wchodząc pod błękitne, podparte filarami stropy **Martin's Bank**, denerwował się o wiele bardziej niż w Izbie Ludwisarzy. Tutaj czuło się klimat celowości, bogactwa i tajemnicy. W przeszklonych wnękach siedzieli urzędnicy, jak raki pustelniki, przed nimi zaś stało w kolejkach wielu bristolczyków.

Dzieci darły się, **cechmistrzynie** gruchały do trzymanyh na rękach dziwnych psów. Ludzie interesów w jaskrawych halsztukach robili marsowe miny i **spoglądali** na zegarki. **Ralph** rozejrzał się wokół za zwykłymi **cechmistrzami** w rodzaju **Johna** i **Elizy Turner**. **Był** ich dość, aby nie rzucać się w oczy, ale nie za wielu. Próbował wyobrazić sobie, co zostawił mu tu ojciec. **Ludwisarze** oszczędzaliby raczej w kasach spółdzielczyh albo puszkach po herbacie. Zatem nie będą to pieniądze, ale skrytka depozytowa i **list**, który wytłumaczy sens tej maskarady.

- Nazywam się John Turner, a to moja żona Eliza. Przyjechaliśmy dzisiaj z Sevenoaks... - **Pocił** się i wiedział, że za dużo mówi, ale od czego zacząć, jeśli nie wiadomo, czego chcieć?

- Ma pan konto? - zaciągnął z bristolska urzędnik w wysokim kołnierzyku, z długimi mankietami.

- Tu jest moja karta cechowa, jeśli potrzebny jakiś dowód tożsamości, no i tak się zastanawiałem...

- Chce pan wypłacić pieniądze? - Urzędnik, patrząc różowo obramionymi oczyma w przestrzeń, **wstukiwał** już cyferki w stojące obok, przypominające kasę urządzenie. - Ile?

Ralph nie miał pojęcia. Zerknął na Marion.

- Chyba wystarczą nam trzy funty i dziesięć szylingów - powiedziała, po czym dodała do Ralph'a: - Musimy przecież zapłacić za pokój w Sunshine Lodge.

- **W** takim razie, jeśli można... - Urzędnik sięgał po kwitek wypłaty, gdy zauważył sumę w okienku swej kasy. Zmienił mu się wyraz twarzy. Zerknął na Marion. Obejrzał Ralph'a od **stóp** do głów. Trwało to już sporo dłużej niż zwykła transakcja i kolejka z tyłu zaczynała się denerwować.

- Powiedział pan: trzy funty i dziesięć szylingów?

Marion przysunęła głowę do okienka.

- A może najpierw poda nam pan stan konta?

- Zapiszę go państwu. - Nawet ta prosta czynność zajęła więcej czasu, niż spodziewał się Ralph czy ktokolwiek z czekających za nimi. Ale gdy dostał kartkę do ręki, zrozumiał dlaczego.

Marion pierwsza się opanowała.

- W takim razie możemy zaokrąglić wypłatę do pięciu funtów, prawda, kochanie?

Ralph musiał tylko powtórzyć na kwicie wypłaty podpis, jaki widział w liczykamyku, dostał pieniądze i już byli na zewnątrz. Dzień zaczął toczyć się własnym rozpędem. W końcu, skoro już mają pieniądze, dlaczego by rzeczywiście nie wziąć pokoju w Sunshine Lodge? Ten przybytek mieścił się za cukrowniami, gdzie zadymione powietrze słodko pachniało. Zapytali o drogę, skierowano ich na szeroką, zaśmieconą ulicę. Nad przeciwnym jej końcem wznosiły się maszty i kominy okrętowe. Szły tędy jeszcze inne pary, niektóre prowadziły dzieci lub dźwigały bagaże, inne trzymały się za ręce i nie pasowały do siebie strojem ani wiekiem, z powodów, których Ralph z trudem się domyślał. Niewiele różniło Sunshine

Lodge od innych pensjonatów. Kobieta w siatce na włosach wprowadziła ich oboje do pokoju 12A.

- Ciekawe, jak to wygląda w Lascome - mruknęła Marion, szarpiąc się z oknem.

Ralph się zaśmiał. Wskoczył na łóżko, które ostrzegawczo zadygotało. Z innych pokoi dobiegały głosy, kaszel; powietrze miało w sobie coś nieuchwytnie oślizłego. Było tu okropnie, ale ten pokój należał do nich. Marion zrezygnowała z otwarcia okna. Ralph rozwiązał węzeł samodziałowej chusty. Dotknął jej włosów.

- No i, pani Elizo?

Pocałowała go. I zaraz chciwie się objęli, z tą samą co zawsze rozkoszą kołysząc się, dysząc, a łóżko kołysało się i dyszało razem z nimi. Byli sami, byli razem, po raz pierwszy doświadczając stuprocentowej bezkarności wielkiego miasta, gdzie nikt ich nie zna i nikogo nie obchodzi. Tam, w Invercombe, chwile pożądliwości zwykle przychodziły w ustronnych miejscach ogrodu, gdy próbowali dostrzec sens w zebranych danych, lub na dole przy maszynie liczącej, w chłodnym mroku, gdy uwagę Ralpha odwracał widok żyłki po wewnętrznej stronie jej ręki albo puls w dolku na szyi i czas na miłosne uściski kradli wyższym celom. Tutaj wszystko wyglądało inaczej, Ralph był zresztą pewien, że z za pożółkłych ścian dobiegają też jęki innych. Odgłosy miłości były zakłęciami cechu, do którego mogła należeć cała ludzkość. Marion była taka piękna, a kobiece ciało stanowiło nieskończoną, niezbadaną Ziemię. Jej sutki poszerzyły się, pociemniały, był tego pewien; gdy ujął jeden ustami i poczuł, jak twardnieje, sapnęła i niemal go odepchnęła. W namiętności kobiety były tak zmienne jak późnoletnia pogoda poza Invercombe. Rozszalała jak burza Marion zawzięcie, niemal gniewnie odpychała go; obnażała zęby i właśnie wtedy, gdy powinna być najbliżej, patrzyła nań z bardzo, bardzo, daleka.

Położyli się na plecach i patrzyli na zawile wzory na poplamionym suficie.

- Ile to tak naprawdę jest, cztery tysiące pięćset funtów? - zapytał w końcu.

Marion zachichotała, łóżko skrzeknęło.

- Wystarczyłoby na wynajęcie tego pokoju do końca życia.

To była przyjemna myśl. Głośno ryknęła okrętowa syrena, na tyle blisko, że zabrzczała szyba w oknie.

Położył rękę na udzie Marion.

— Nigdy nie myślałem, że kiedykolwiek zrozumie ojca. Ale teraz chyba go rozumiem. Tyle nam dał. Nazwisko. Pieniądze. Jakby otworzył nam drzwi.

- Mój ojciec nie zarobił tyle przez całe życie.

- To mnóstwo pieniędzy. A jednocześnie... - Ralph urwał.

Marion położyła dłoń na jego dłoni.

- Wiem, co chcesz powiedzieć. Dla mnie dużo, dla ciebie prawie nic.

Na wydrukach w cechu widywał takie kwoty jako odsetki na jednym koncie za jeden pracokres. Ale jako pieniądze, które można wsadzić do kieszeni i wydać - dużo rzadziej. Zapewne te cztery i pół tysiąca to było wszystko, co ojciec posiadał, a raczej co mógł niepostrzeżenie mu przekazać. Tak, to niewiele, ale jednocześnie mnóstwo jak na ludwisarza. Ralph poczuł rosnącą ekscytację. Ojciec naprawdę podarował mu życie całkiem inne niż to, które sam musiał prowadzić. Mogli przez nie przejść razem z Marion.

- Widzisz, jak się to wszystko składa? Chciał, żebym uciekł. Wiedział o tobie i chciał, żebyśmy uciekli oboje. To właśnie powiedział ten kamyk...

Myśli nabrały realności. Całkiem jakby wszystko, co przeżył - Invercombe, ozdrowienie, adaptacja środowiskowa, nawet słowa matki o tym, że posiada klucz do własnej klatki - prowadziło właśnie do tego.

— Moglibyśmy naprawdę zostać państwem Turner.

- A gdzie byśmy pojechali? - zapytała Marion.

Ralph znowu spojrzął na brązowe plamy na suficie. Układem i kształtem przypominały mu podróże po mapach z czasów choroby. Przywiodły też na myśl kiść bananów, jaką pokazywała mu w kuchni kucharka, i ogromnego, kosmatonogiego pająka, który z nich wyszedł, większego od wszystkich brzęczków, ale ewidentnie naturalnego. A potem fasolkę, którą kiedyś nad morzem pokazała mu Marion.

— Moglibyśmy pojechać na Wyspy Szczęśliwe. Słyszałaś, co mówił mistrz McCall. Chcesz przez resztę życia być pokojówką albo nadbrzeżną zbieraczką?

Na brudnym suficie pokoju 12A w Sunshine Lodge widać było wszystkie te wyspy z ich skomplikowaną linią brzegową. Myślał o owadach, owocach, ptakach. O udowodnieniu adaptacji środowiskowej na znacznie obszerniejszym zbiorze przykładów. Cisza się przeciągała. Wyspy z powrotem zamieniły się w plamy. Czy Marion naprawdę podoba się jej obecne życie?

— Bo wiesz, nie musimy być razem. Ja wcale...

- Nie, Ralph. Nie o to chodzi. Chętnie z tobą pojedę, tam czy gdziekolwiek. Po prostu...

- Po prostu co?

Usłyszał westchnienie. Uniosła się na łokciu i położyła mu dłoń na piersi.

- Po prostu nic. Chciałabym pójść w jedno miejsce w Bristolu. Razem z tobą...

Okazalsze **bristolskie** budowle - hotele, rezydencje, domy towarowe, domy cechowe, fabryki - były niewiarygodne. Z rozbuchanych murów wzywały sfinksy, lwy, z jaskrawo żyłkowanego lub przezroczystego szkła. Jedna budowla, Wielka Izba Kołodziejów, miała całą fasadę zabudowaną chlupoczącą i skrzącą się kaskadą fontann. Inna, opleciona rurami, wyglądała jak zbudowana na lewą stronę. Drzewa z koralowego kamienia podpierały marmurowe obłoki, a pod nimi, na ulicach, żebracy o zapadniętych oczach walczyli łokciami o miejsce. Damy cechowe szły za czarnoskórymi służącymi z **rabarbarowoczerwonymi** parasolami. Marion prowadziła go skrajem rojnych targowisk, potem pod obwieszonymi praniem czynszówkami. Była tu już kiedyś? Ralph zupełnie stracił orientację. Weszli przez bramę na teren, który w pierwszej chwili wziął za park, bo na trawie siedzieli piknikowicze. W Londynie nie było takich cmentarzy.

— Mówią na to Bristolskie Mogiłki — powiedziała Marion. - Kiedy chowali tu Sally, tylko mama pojechała. Bo przy kościele w Luttrell zdaje się nie było już miejsca, przynajmniej dla **Price'ów**. To chyba częsty problem - brak miejsca...

U podnóża stoku nagrobki przeważnie były wysokie i wąskie, jak kamienne budki telefoniczne. Wyżej stały niespecjalnie zminiaturyzowane kopie państwowej i prywatnej architektury - pomniki w kształcie płomieni, zbudowane z czerwonego kryształu lub w kształcie **kitajskich** świątyń, egipskich piramid, wspierane przez słonie z imperium Mogołów, walczyły ze sobą o słońce i ludzką uwagę. Lubiano tutaj fotografie w ramkach, a czaszki i piszczele były równie popularne jak aniołki. Na Bristolskich Mogiłkach tłoczyli się także żywi. Ci, którzy nie przybyli tu na piknik, kładli na grobach kwiaty albo klęczeli w skupieniu, inni zaś wędrowali od nagrobka do nagrobka z pustą ciekawością i co rusz ich

dotykali, jakby podejrzewając, że najbardziej wymyślne są zbudowane z plasteliny. Później Ralph **zauważył**, że w centralnym punkcie wielu grobów wmurowano szeptokamienie. Wszedł na trawę, żeby dotknąć jednego, i uśmiechnęła się doń twarz młodego mężczyzny. W następnym zaśmiało się dziecko. W trzecim wiekowie duchowny odchrząknął i zaczął miarowym tonem omawiać wady tego świata.

Im wyżej szli, tym skromniejsze stawały się pomniki. **Bristolskie** chłopaکی miały tu miejsce do gry w piłkę, z pochyłymi kamiennymi słupkami bramek w komplecie. Nawet sama ścieżka, zauważył Ralph, składała się ze szczątków starych pomników. Pojawiały się i znikwały cechowe inskrypcje i zwoje. A czasem, razem z nimi, delikatna sugestia jakiegoś **neteryzowanego** przesłania. Do głowy wciskały się mgliste zarysy twarzy, fragmenty słów i nieznane pragnienia.

Doszli na otwartą polanę, na której w dwóch miejscach piętrzyła się świeża ziemia, jakby wykopana przez wielkie i pracowite krety. Tu i ówdzie stały kwadratowe, skromne nagrobki. Jeśli popatrzeć **uważniej**, wśród trawy można było dostrzec więcej drewnianych tabliczek, nie większych niż te, którymi **ogrodmistrz** Wyatt opatrywał swe okazy. Marion odliczyła je od lewej i od prawej. Kucnęła.

— Wiem, że to najgorsze miejsce, w jakie mogłam cię zaprowadzić, po tym wszystkim, co przeszedłeś, **ale...**

- Nie, ja rozumiem. Chcesz, żebym zostawił cię na chwilę?

Pokręciła głową.

- Nie wiem, czego właściwie się spodziewałam. To po prostu...

Ralph rozejrzał się wokół. Był stąd piękny widok na miasto i wzgórze Breedon.

- Sally była prawie dziewięć lat ode mnie młodsza. Mama i tata chyba nie spodziewali się, że... - Przesunęła dłonią po źdźbłach trawy. - Spałyśmy w jednym łóżku. Wszyscy ją uwielbiali i rozpieszczali. A któregoś dnia wstała rano i zaczęła narzekać, że boli ją głowa. Zachorowała. Pogorszyło jej się bardzo szybko i następnego dnia umarła.

- Tak mi przykro, Marion.

— Potem w domu w ogóle się o niej nie mówiło. - Wstała, otarła dłonie i kolana. - Kiedy martwiłam się, że nie ma tu żadnej tabliczki. Kiedy dostałam pierwszą wypłatę, pomyślałam, że mogę ją kupić. Głupi pomysł.

— Posłuchaj. Za te **pieniądze...**

- Ralph, nie bądź głupi. Już nie chcę, a szczególnie teraz, kiedy zobaczyłam, gdzie ona leży.

Ralph skinął głową. W Londynie formowano właśnie i odlewano statuę arcycechmistrza Thomasa Meynella, która miała być odsłonięta koło Bożego Narodzenia.

Przyjechali do Bristolu pod pretekstem spotkania z doktorową Foot w Przepompowni Hotwells. Kelner, zanim poprowadził ich do stolika, spojrzał jeszcze krytyczniej niż urzędnik bankowy. Nakryto już do podwieczorku, który kosztował tyle co cały tydzień w Sunshine Lodge. Rzępolił kwartet smyczkowy, między stolikami wił się strumyczek, a nad głowami trzepotały papugi - miało to tworzyć atmosferę Wysp Szczęśliwych. W Invercombe świetliki już zwiędły, natomiast tutaj nadal były tak jaskrawe, że raziły w oczy. Doktorowa Foot nosiła kapelusz z piórami, których papugi mogłyby pozazdrościć. Jej twarz lśniła z ekscytacji.

- Czy powinnam tytułować cię mistrzem, czy arcycechmistrem?

- Wystarczy Ralph.

- Patrzą na ciebie i nie mogą się nadziwić. A kiedy mąż mi mówił, że to cud, myślałam, że przesadza.

- To jest... - Ralph się zawahał. - Marion Price. Pracuje w Invercombe. Pomagała mi w badaniach.

- Tak, tak. - Z uśmiechem przeniosła wzrok na Marion, na Ralpha i z powrotem na Marion. — Dobrze razem wyglądacie, jeśli wolno mi to stwierdzić. Jestem taka zadowolona, że mam okazję z wami porozmawiać.

Nalala herbaty. Jej konikiem, wyjaśniła, wciąż przeskakując wzrokiem pomiędzy nimi, są chrząszcze. W dzieciństwie zbierała biedronki, teraz miała niezliczone szuflady okazów. Podziwiała ich aparaty gębowe i rogi, ich piękne chitynowe okrywy. Klasyfikacja chrząszczy stanowiła wielki problem - wszyscy się zgadzali, że to najliczniejszy ze wszystkich rzędów zwierząt.

- Doktor Foot - ciągnęła - zawsze mawia, że to ulubione istoty Najstarszego, bo tyle ich natworzył. Tylko że on rozumie to dosłownie. Sądzi, że Bóg siedział sobie jak kreślarz i wymyślał takie czy owakie kształty skrzydeł. Kto jak kto, wy - pan Ralph i panna Marion - z pewnością cenicie go za umiejętności lekarskie, ale jego poglądy na świat bywają dość... uproszczone.

Ralph nie posunąłby się do tego, żeby dostrzec w tej ekscentrycznej kobiecie bratnią duszę, niemniej ucieszyła go jej reakcja na adaptację

środowiskową i fakt, że świetnie pasowała do jej skatalogowanych okazów. Owady występujące na konkretnym terenie miały wyraźnie podobne formy, różniące się zgodnie z naturą swego habitatu. Dwa gatunki żyjące w bardzo podobnych warunkach na różnych kontynentach mogły posiadać aparaty gębowe o niemal identycznej funkcji, ale różniące się diametralnie szczegółami budowy.

- Zapisałam sobie. - Pogrzebała w torebce. - Tu macie najlepsze biblioteki i zbiory. Proszę się tylko na mnie powołać. - Uśmiechnęła się. - Albo powiedzieć, że jestem Pani Chrząszcz...

- Chyba się domyśliła, że nie jestem tylko twoją asystentką... - szepnęła Marion Ralphowi do ucha, gdy pożegnali się z doktorową i wybiegli w zielik bristolskiego popołudnia.

Kamuflaż, myślał Ralph, to jeden z najprostszych, acz najniezwyklejszych przykładów adaptacji środowiskowej. Na przykład w Hotwells, w swych praktycznych, choć niemodnych strojach rzucali się w oczy, podczas gdy doktorowa Foot w swym kapeluszu pasowała idealnie. Może tak samo da się wytłumaczyć upierzenie pawi, które zawsze go zastanawiało. Tyle jeszcze mają do zrobienia. W domach cechowych, które teraz odwiedzali, patrzono na nich podejrzliwie, lecz na wzmiankę o Pani Chrząszcz otwierały się drzwi do uświęconych sal pełnych zakurzonej wiedzy. Największe wrażenie robiły zbiory Oddziału Stawonogów Cechu Zwierzemistrzów. Ręcznie iluminowane strony rozbłyskiwały kolorami, a samą czytelnię podpierały frontony z rzeźbionym szarańczakiem i żukiem gnojnikiem. Jeśli można było wyobrazić sobie jakiegoś nieprawdopodobnego owada, okazywało się, że życie już gdzieś tę myśl wypróbowało. Ralph, wypełniając z Marion rewers za rewersem, uwalniając z łańcuchów kolejne księgi, zauważył, że skupia się przede wszystkim na urozmaiconej faunie Wysp Szczęśliwych. Kwitki podpisywali „J. i E. Turnerowie”. Obiecywali też, że pozdrowią Panią Chrząszcz.

Gdy izby cechowe zamykały się na swe wieczorne ceremonie, spacerowali po Bristolu. Ludzie wychodzili do jadalni na kolację, targowiska były jeszcze gwarniejsze niż zwykle. Ulicami pędzono gęsi i świnię. Wszędzie było pełno sprzedawców i domokrażców. Ralph i Marion, trzymając się za ręce, oglądali torby, buty, ubrania, deliberując, co mogliby chcieć nabyć dopiero co przybyli z Kentu John i Eliza. Ten szal na niedzielę, ten krawat na wieczorne przechadzki. Wielkie statki pojeżdżały, odchodząc z wieczorną falą, ściany były pokryte płacami afiszy obiecujących „Rozpoczęcie życia od nowa” i „Szansę na awans”. Wyjazd pracokres temu,

wyjazd jutro. Potrzebny każdy fach i ludzie w każdym wieku. „Porządne koje”. Dym, żagle, delikatne **laskotanie** przywołujących wiatr wiatrosterów, powiewający chusteczkami tłum. Kurs na Wyspy Szczęśliwe, kurs na **Thule**.

Pochłonięci własnym szczęściem, omal nie przeoczyli ostatniego pociągu i musieli biec na **Templemeads**. Zgrzani, zdyszani, wpadli do wagonu, który w tej sekundzie ruszył. Przez otwarte okna zaraz wpadł chłodniejszy powiew. Ralph był przekonany, że to początek o wiele dłuższej podróży.

22

Zmieniły się ogrody Invercombe. Jodły powiewały złoto **nakrapianymi** konarami do **wiatrosterownika** Ayresa, w tajemnicy testującego i kalibrującego swój wiatroster na przyście „Prozerpiny”, co sprowadzało na dolinę przelotne deszcze, powiewy zimna oraz południowe mgły, często rozlewające się nad morzem i dezorientujące migrujące gęsi i szablodzioby. Także Cissy była niespotykanie drażliwa i sztorcowała pokojówki za pojawiające się na ścianach pawiej sali plamy wilgoci, po czym chowała się w swym kantorku i po raz kolejny próbowała napisać list z wypowiedzeniem. Decyzje to prosta sprawa. Trudne są natomiast czyny wcielające je w życie.

Ralph na ten czy inny sposób także się wyprowadzał. Skrojono już mu strój starszego czeladnika, udzielił też niechętnego wywiadu nadskakującemu mu autorowi „Gazety Absolwentów Highclare”. Teraz co rano i drugi raz po obiedzie dotąd zawodny zachodni system pocztowy przynosił mu prośby od nieznanomych o pomoc, o referencje oraz kolejne papiery do zatwierdzenia. Wyjazd do Highclare był zaplanowany na piątek, pierwszego października. Tak więc trzeba wyjechać z Marion na Wyspy Szczęśliwe wcześniej.

Wyspa Sosnowa była największą i najbardziej zaludnioną w archipelagu, ale właśnie dlatego najmniej go interesowała. Także Hispaniola i **Arawak** były zbyt ucywilizowane, jak na potrzeby badacza historii naturalnej i zbiegów. Mniejsze z wysp, na których nie uprawiano jeszcze tak intensywnie trzciny cukrowej, pozwolą precyzyjniej udowodnić nadrzędny mechanizm adaptacji **środowiskowej**. Wyspa Węgorza, Wyspa Ducha

Świętego, Wyspa Krzywa, Wyspa Strzępiasta. Nazwy brzmiały znajomo, choć porządnym danych o florze i faunie tych pomniejszych wysepek nie dawało się nigdzie znaleźć. W Bristolu i Invercombe odkrył tylko chaotyczne ogólniki dotyczące jaszczurek, ananasów i żółwi olbrzymich, bzdury o wrzących jeziorach, o *chickcharnie*, czyli **czerwonookich** elfach, oraz o ptakach mniejszych niż paznokiec kciuka. Nieprawdopodobne, ale i zachęcające. Był przekonany, że znajdzie tam nietkniętą ludzką ręką naturalne krajobrazy, czekające na zbadanie i skatalogowanie.

Marion też się zmieniała. Zostawiała za sobą wielki awans do dostatniego życia. Mniej czasu mogła poświęcać na katalogowanie, także kochali się teraz rzadziej. Wiedział, że czuje się niezręcznie, zamierzając oszukać rodzinę. A jednak ekscytujące było otwieranie stron „Bristol Morning Post” i wspólne przeglądanie anonsów obiecujących nowe życie. Wybrali „Verticordię”, oferującą „porządne, proste koje” i wypływającą w ostatni dzień września na wyspę Penn, jedną z mniejszych na Antylach, choć oboje się zgodzili, że zostaną tam tylko parę pracokresów, a potem się przeniosą. Ludwisarz to w końcu wędrowny zawód. Postanowili, że będą podróżować od wyspy do wyspy, że Ralph naprawdę nauczy się tego fachu, na pokładzie, wśród skaczących nad dziobem delfinów, lecz prawdziwym celem podróży miało być i tak udoskonalenie i udowodnienie teorii adaptacji **środowiskowej**. Ralph uznał, że Marion powinna pojechać do Luttrell i wypłacić gotówkę na kupno biletów.

Bez sensu było kończyć teraz porządki w materiałach zebranych przez całe lato, tak w notatkach, jak za pomocą maszyny liczącej; on w każdym razie zupełnie nie potrafił się skupić. Spacerował po brzegu. Odwiedzał Świątynię Wiatrów. Pogoda była zmienna. Przecież wiatroster Ayresa dotąd umiał nad nią panować? Któregoś ranka obszedł Durnock Head, mając nadzieję zerknąć do zatoczki Clarence Cove. W nocy mocno padało, buty miał oblepione ziemią, choć niebo już się całkiem przejaśniło i widok z góry był doskonały. Ku jego zdziwieniu pracowało tutaj dwóch pomocników ogrodnika. Rozbierali fragment kamiennego murku.

Gdy przystanął, żeby z nimi pogadać, z dołu pospiesznie nadszedł wiatroster Ayres, ocierając czoło chusteczką.

- A ja myślałam, że panicz będzie zajęty pakowaniem.

Ralph uśmiechnął się i pokręcił głową. Teraz zauważył kolejną lukę, w murku okalającym sąsiednie pole. Do spółki tworzyły linię prowadzącą ku gruntowej drodze wijącej się po zboczu Durnock Head i łączącej się z boczną drogą do Luttrell.

- Jak powinienem teraz do pana mówić? Bo chyba nie może to już być tylko „mistrz”, prawda?

- Mnie odpowiada Ralph. Tak zawsze wszystkim mówię.

- Zawsze, tak? - Wiatrosterownik poruszył ustami. - Czyli wyjeżdża panicz tam do akademii, tak samo jak brat Marion.

- To prawda. Chociaż Highclare i tutejsza Szkoła Morska pewnie trochę się różnią.

- Na pewno. - Ayres, mrużąc oczy, przyglądał się falistemu krajobrazowi, poznaczonemu teraz plamami brązu i ciemniejszej zieleni. - A kiedy dokładnie, jeśli mogę zapytać, planowany jest wyjazd?

- Matka przyjeżdża po mnie w następnym piątek.

- Trochę późno jak na pierwszy rok, nieprawdaż?

- No... - Ralph się zastanawiał, dokąd zmierza rozmowa. - To nie jest mój pierwszy rok. W zasadzie jest, ale już i tak jestem o rok spóźniony, rozumie pan.

Wiatrosterownik Ayres, choć nadal wyglądał na nieprzekonanego, skinął głową.

- A wie panicz, co się mówi o Telegrafistach?

- Co?

- Że nie należy nigdy powierzać im żadnych tajemnic, bo pewnie już i tak je słyszeli.

Ralph uśmiechnął się szeroko. Tego dowcipu nie znał.

- A kiedy panicz wyjedzie, kiedy zacznie rządzić swoim cechem w Londynie, będzie pamiętał, jak to się robi na Zachodzie?

- Będę pamiętał. Obiecuję. I obiecuję też, że zanim to się stanie, jeszcze wiele razy przyjadę do Invercombe.

- Na pewno, chłopcze.

Wiatrosterownik raz jeszcze otarł czoło, pociągnął nosem i odszedł. Ralph, pozostawiając ludzi z ich dziwnym zajęciem, rezygnując z zejścia do Clarence Cove, raz jeszcze pomyślał o planach swoich i Marion, porach i miejscach spotkań, podróży na wyspę Penn w porządnej koi na pokładzie „Verticordii”. Na pewno nie zamierzał na stałe zrywać wszelkich kontaktów z Anglią. Sądził, że może za parę pracokresów zatelefonuje do matki, że ona w końcu go zrozumie. Czyż sama nie była niezależna? Po dwóch czy trzech latach, kiedy udowodni się teorię adaptacji środowiskowej, będą mogli wrócić z Marion do domu na własnych warunkach. Wtedy chętnie zajmie się nauką doktryn swego cechu i przyjmie obowiązki arcycechmistrza. Z przyjemnością. Matkę będzie miał z powrotem

u boku, Marion też. Przy takich wzniosłych założeniach, pomyślał z przekonaniem, rzeczywiście powinien być bardzo wdzięczny, że się nauczył, jak to się robi na Zachodzie.

23

Nastał ostatni dzień września. Rano, po modlitwie i śniadaniu z resztą młodszych pokojówek, Marion wzięła szczotkę i wiadro i udała się jak zwykle czyścić ruszty w kominkach. Ralph wstawał później, jego matki nie było, a cały dom wydawał się zimny i opuszczony. Kiedy się pochyliła, żeby wysunąć popielnik, ogarnęły ją mdłości. Na szczęście zdążyła dotrzeć do garderoby przy głównych schodach, zanim zwymiotowała, choć dobrze wiedziała, że korzystanie z toalet dla gości jest wbrew zasadom. Wypluła usta i przejrzała się w krystalicznie czystym lustrze w ozdobnej ramie. Sama sobie to zgotowałaś, pomyślała. Wróciła do obowiązków, choć dziś złapała się na tym, że chętnie nachyla się nad pastą do czyszczenia, wdychając jej mocny, amoniakowy zapach.

- O czym tak dumamy, co? - odezwała się Cissy Dunning.

Marion zerwała się na nogi i wykonała lekki dyg, jakim należało witać starszą służbę w głównej części domu.

- Przepraszam panią, nie słyszałam, że pani idzie.

- Żeby tylko każdy tak znajdował sobie zajęcia jak ty. A swoją drogą, jak się czujesz? Bo wyglądasz mi trochę...

- Wszystko w porządku, proszę pani. Ale dziękuję za troskę.

- No to dobrze. - Cissy zatarła ręce. Piknął zegar. Drugi wybił godzinę. Ósma rano. - Panicz Ralph będzie się dzisiaj pakował. Chciałam tylko powiedzieć, że nie mam nic przeciwko, żebyś mu pomagała, kiedy wstanie, a ty skończysz z tym rusztem.

- Dziękuję. Ale dzisiaj mam tylko pół dnia. Pomyślałam, że chyba pójde do domu.

- Oczywiście. Wiem, że to dla ciebie trudny czas. Rozumiem to doskonale. Jeśli potrzebujesz porozmawiać, teraz czy później, przyjdiesz do mnie, prawda?

- Tak, proszę pani. - Marion kiwnęła głową. - Przyjdę. I dziękuję.

Cissy uśmiechnęła się, zawahała, po czym odwróciła. Marion wróciła z westchnieniem do czyszczenia paleniska.

Ojedenastej, kiedy skończyły się jej obowiązki i wymówki, Ralph nadal nie dawał oznak życia. Zwinąwszy fartuch i cisnąwszy go do kosza na pranie, zesłała tylnym korytarzem, otworzyła drzwi wschodniego skrzydła i przekradła się pod sznurami, na których trzepotała pościel, do ścieżki prowadzącej ku głównej bramie. Wiatr pojękiwał, chmury się kotłowały. Odchodzi z Invercombe bez słowa ostrzeżenia czy wymówienia. Najgorsza ze wszystkich młodszych pokojówek.

Ralph zbudził się ze skomplikowanego, niezapamiętywalnego snu. Zadzwoił po śniadanie i skubnął parę kęsów, po czym odstawił tacę i zaczął się ubierać. Zbliżało się południe, ale pogodny był tylko wiatroster - wyglądał jak złoty ryt wklejony na kolaż z innego obrazu. To jest ten dzień. Marion miała już bilety na „**Verticordię**”, która odchodziła z Bristolu na wyspę Penn jutro przy porannym odpływie. Spotkają się dziś wieczorem, o dziewiątej, na stacji w Luttrell i złapią ostatni pociąg.

Musiał spakować się dwa razy. Zaczął od łatwiejszego, na podróż do Highclare, która nigdy się nie odbędzie. Nowe walizki, zamówione przez matkę, słodko pachniały skórą i wystawami sklepowymi. Koszule i marynarki. Krawaty i stroje sportowe. To chyba ważne, żeby ten Ralph, który jedzie do Highclare, miał wszystko co niezbędne. Jego wzrok przykuła muszla nogi pelikana na półce nad kominkiem. Unosząc ją, zastanawiał się, dlaczego brzuchonogi zawsze skręcają swe muszle zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Przyłożył ją do ucha, po czym z uśmiechem położył na koszulach i zapiął walizkę. Załatwione; wszystko poskładane i poukładane tak, jak nauczyła go matka podczas długich podróży po Europie, od hotelu do hotelu, o wiele lepiej, niż zrobiliby to jakiś nieznający się na rzeczy bagażowy czy pokojówka.

Wyciągnął spod łóżka luźny płócienny wór; znalazł go w piwnicach. Będzie musiał wystarczyć, chociaż nawet mistrz Turner podróżowałby z czymś porządniejszym. Co trzeba zabrać na Wyspy Szczęśliwe? Ralph miał ubrania albo zbyt eleganckie, **albo** za małe, albo zbyt stare i zniszczone. Książki - powoli zaczynał rozumieć stwierdzenie matki, że to tylko informacja, wiedział też, że kiedy zacznie wybierać, nie będzie umiał skończyć. Muszle, pióra, liście, kawałki wyrzuconego przez fale drewna, wszystko to było już opisane - a jeśli nie, to i tak jest już za późno. Wczoraj wieczorem, po wielu dniach zmagania się z decyzją, nappełnił

ten worek kamieniami od ojca i poszedł na brzeg w czasie odpływu. Zaczął rzucać je daleko w niespokojną wodę, w kierunku spowitych wirami chmur wzgórz Walii. Liczykamyk z wiadomością zostawił sobie na koniec, ale trzymał go w dłoni już tyle razy, że informacja niemal się wytarła, pozostało tylko słabiutkie echo. W końcu wyrzucił ten prawie zwykły kamień. Stał się już prawdziwym Johnem Turnerem.

Otworzył worek. Cisnął do środka parę kart perforowanych, choć wiedział, że są usiane błędami. Z perspektywy czasu nawet mozolnie sporządzone notatki wydawały się bez sensu - na Wyspach Szczęśliwych czekał na zbadanie cały nowy świat. **Spojrzał** na elegancką notatkę spisaną przez Marion. Nie pamiętał ani dnia, kiedy to pisali, ani przy którym zalewisku. Wszystkie zwały się w jedną lśniącą kałużę morskiej wody, nad którą Marion nachylała się nad notatkami. „Nie powinniśmy też tego **dopisać?**”. Nidy wcześniej nie przebywał tyle pracokresów w jednym miejscu, nigdy tak dojmująco nie czuł upływu czasu. A teraz to wszystko minęło. Zupełnie wszystko. Prawie przypadkowo, jakby nieco gniewnie, wepchnął do środka parę notesów, parę ubrań. Dom był ciemny i cichy, tylko wiatr dudnił za oknami. **Chmury-cienie**, każda ciemniejsza od poprzedniej, pędziły po niebie, a morze w dole wyglądało groźnie i odpychająco. Na kanale nie było ani jednego statku. Gdzie się wszyscy podziali? Nawet zaprzątnięty własnymi planami, Ralph wyczuwał, że kroi się coś dziwnego. Musi jednak porozmawiać z matką.

Temperatura w domu spadała stopień za stopniem. Na dole, pod osłoną budki telefonicznej, też było zimno. Jego obraz w zwierciadle zbladł, zastąpiony wizerunkiem matki, która, gdy tylko była w którejś rezydencji, zawsze osobiście odbierała telefony. Tym razem przebywała w londyńskiej, tam było znacznie cieplej i delikatnie pachniało politurowanym drewnem. Nadal nosiła się na czarno, ale tak powściągliwie, że prawie się tego nie zauważało. Zapewne w salonach i herbaciarniach ten kolor stawał się ostatnim krzykiem mody.

- Jak idzie pakowanie? - zapytała.

- Prawie skończyłem.

- Co to za dźwięk?

- A, to. To tylko wiatr. - Ralph spodziewał się, że okłamanie matki będzie najtrudniejszym z dzisiejszych przedsięwzięć, zachowywał jednak niezwykle **spokój**.

- Tam jest naprawdę tak zimno? Żałuję, skarbie, że przed rozmową z tobą nie włożyłam swetra. Ale zawsze się zastanawiałam, ile pięknej

pogody latem zawdzięczaliśmy wiatrosterowi, a ile zwyklemu szczęściu. Z tym wiatrosternikiem Ayresem jest coś nie tak, nie wydaje ci się? Coś tajemniczego, coś podejrzanego.

- Może i tak.

- W każdym razie powinnam przyjechać jutro w porze obiadowej. Przekaż to Cissy i kucharce. Myślałam, że po południu będziemy już w połowie drogi, może zatrzymamy się gdzieś koło Oksfordu, żeby coś zjeść.

- Ja chętnie.

- Wiem, skarbie, że to trudne dla ciebie. Nie chodzi mi o Highclare, tam poradzisz sobie świetnie. Ale to ogromny przełom w twoim życiu. Wszystko, co przyniósł ten rok... umarł twój ojciec... - Zamilkła. Ralph słyszał odległy szmer londyńskich ulic. - Wiem też, jak bardzo polubiłeś ten dom. I tę pokojówkę.

Ralph skinął głową.

- Nie, nic nie mów. Dobrze wiem, jak to zabrzmi, gdy powiem, że rozumiem. Myślisz teraz, że jesteś jedyną osobą na świecie, która to przeżywa, i w pewnym sensie to prawda, taka właśnie jest natura życia. Ale wszystko się ciągle zmienia. Czas nigdy nie staje w miejscu. Niekiedy trzeba się z czymś na trochę rozstać, żeby docenić, jak bardzo to jest ważne. Albo nieważne.

Ralph się wzdrygnął. Nie był pewien, czy faktycznie usłyszał to ostatnie zdanie. Obraz matki już blakł, szarzał jak w zaparowanym lustrze. Wydała się też dziwnie zniekształcona, nie przypominała kobiety z krwi i kości, raczej coś na kształt widma. Potem zdał sobie sprawę, o co chodzi: na styku ciepłego i zimnego powietrza w budce tworzyła się mgła.

- Połączenie chyba już długo nie wytrzyma. — Na rączce wybieraka pod jego dłonią skraplała się rosa, jak pot. - To chyba nie jest bezpieczne.

Zachichotała.

- Chciałam tylko ci powiedzieć, skarbie, że mnie też zdarzało się źle myśleć o życiu, jakiego muszą się spodziewać wysocy rangą cechowi. No wiesz, wizyty, ludzie. Ale ono jest także wspaniałe i ekscytujące. Ralph, masz wpływy. Masz władzę. I to nigdy nie traci barw...

Tu jednak rozmowa się urwała. Ralph wyszedł z budki i wkroczył w ciemność hallu. Każdego innego dnia poszedłby na górę do wiatrosternika i zapytał, co jest z tą pogodą, czuł jednak, że tym razem nie byłby mile widziany. Może to po prostu jesień, a on po prostu tęskni za latem.

Przekartkował poranną pocztę. Kolejne papiery do zatwierdzenia - nie mógł się do tego zmusić. Później zauważył coś znajomego w charakterze pisma na mniejszej kopercie i rozciął ją. List był od doktorowej Foot - o nowych spostrzeżeniach, jakie nasunęła jej przy analizie zbiorów teoria adaptacji **środowiskowej**. Pani Chrząszcz pisała, że zamierza uczynić wszystko co w jej mocy, by propagować tę teorię wśród „sił **bezrozumnych i głupich**". Ralph zastanawiał się, czy ma na myśli własnego męża. Uśmiechnął się. Miło było mieć sojusznika. W postscriptum wspomniała o dotąd nieznanym gatunku żuka. Miał brązowy grzbiet i grube **czułki**, podobno licznie występował na plantacjach trzciny na **Arawak**, gdzie radośnie pożerał młode pędy. To z pewnością, sugerowała doktorowa, jest dowodem dopiero co zaszłej adaptacji do nowych warunków. Myśl była ciekawa, choć dla Ralpha pojawienie się tego żuka wyglądało na zbyt nagłe. Raczej, pomyślał, jest to ręka człowieka niż niewspomagana niczym natura. Odłożył list z powrotem na srebrną tacę i poszedł do biblioteki. Było za ciemno, żeby czytać bez światła, ale po raz ostatni chciał usiąść w swym ulubionym fotelu.

Drzewa w dolinie wirowały jak wodorosty podczas sztormu. Cissy Dunning wspinała się ścieżką do wiatrosteru. Wiatr na przemian ciągnął ją i popychał, krótkimi nagłymi zrywami.

Zastała Ayresa przechadzającego się po wewnętrznych galeriach, kurzącego cygaretkę i pogwizdującego, choć wyższym tonem, tę samą pieśń, którą wył wiatr nad wiatrosterem. Na najniższym poziomie stało kilka beczek, ostemplowanych czymś, co wyglądało, mimo że nie znała cechowego języka, na ostrzeżenia i zakazy.

- To też będzie niezbędne - wyjaśnił, kiedy łąpała oddech.

Tu przynajmniej było cieplej, choć skóra ją mrowiła i świerzbiała od **naelektryzowanego** powietrza.

- Elijahu Ayresie, co ty knujesz, u licha?

- Przecież wspominałem ci o tej dostawie.

— Mówiłeś, że nadejdzie dopiero za kilka pracokresów.

— Wiesz, jak to się zmienia. Pamiętasz tę burzę, która wysadziła wszystkie żarówki w żyrandolach? To był sam jej skraj. Jeden z najgorszych huraganów w historii Zatoki **Thule** dopadł „**Prozerpinę**” kiedy była **ta-
klowana** i ładowana.

Przesunęła językiem po zębach i westchnęła. Słyszała to już wcześniej.

- **Ralph** Meynell dalej tu jest i dziwnie się zachowuje. Nie powinnam się była zgodzić z jego matką, żeby spędzał dużo czasu razem z Marion Price. I na miłość boską, ona tu jutro przyjeżdża.

- Do rana dawno skończymy. A chłopak nam nie przeszkodzi, nie przy takiej nocy nad Clarence Cove, jaką tu pichcę. I to będzie ostatnia, obiecuję. **Potem...**

- Tak, tak. - Potarła skronie. - Zupełnie nowe życie.

- Zobaczysz, Cissy. - Oczy miał rozjarzone jak wszystkie wskaźniki wokół. - Będziemy razem zadawać szyku. Będziemy śmietanką towarzyską.

Kiedy nachylił się ku niej, pachniał ostro i zapalczanie, czymś więcej niż czystym olejem, cygaretką i elektrycznością. Odsunęła go.

- Mam z tobą do pogadania.

- Cissy, mówiłaś to już milion razy - mruknął. - Teraz jest najlepsza pora, żeby wyjechać z Invercombe.

- Nie to mnie boli. Zresztą dzisiaj napisałam wymówienie i jutro wręczę je arcycechmistrzini.

- Znakomicie, Cissy.

- Czyli odchodzę i myślę sobie, niech Najstarszy ma mnie w opiece, że jesteś najbardziej uroczym, najdziwniejszym, najbardziej denerwującym i fascynującym mężczyzną, jakiego w życiu znałam. Ale naprawdę musimy porozmawiać o tych bzdurach, które sobie opowiadaliśmy, o tych klejnotach i eleganckich domach.

- Cissy...

- Nie. Teraz dla odmiany ty posłuchasz i dasz mi coś powiedzieć. Popatrz na siebie i na mnie. Na twoją rękę i na moją. Na kolor naszej skóry. Możemy sobie swobodnie chodzić pod rękę tutaj, w Invercombe, ale ile takich par widzisz na Boreal Avenue?

- No właśnie o to...

- Jeszcze nie skończyłam. Marzenia to piękna rzecz, tak samo miłość, ale choćby na tym statku było nie wiadomo ile pieniędzy, i tak nie kupisz sobie i mnie cechowego życia. Czyli mówię tak: może uda się nam mieć ogródek, może nawet pokojówkę, **ale** w jakimś cichym miejscu, gdzie ludzie mogą sobie gadać co zechcą, ale nie muszą się do nas wtrącać. Ładny mały domeczek w **Kornwalii**, tak sobie pomyślałam, bo zawsze lubiłam wzburzone morze. Oni pilnują swojego nosa i naprawdę nie mają

ogonów. Można sobie spacerować po klifach i do woli rozmawiać o egzotycznych krajach, w których podobno byłeś. No? Jak to ci wygląda?

Gdy Marion docierała do **Clyst**, mgła gęstniała. Wdarła się razem z nią do kuchni, gdzie mateczka gotowała kolejną porcję bielizny.

- Mam nadzieję, że nie spodziewasz się jeszcze kolacji. Cienko ostatnio przedziemy, Owen i Denise mają wolne pod koniec pracokresu... a swoją drogą, nie czas u ciebie na wypłatę?

Marion siadła przy długim rodzinnym stole, przyglądając się szramom i **przypaleniom** tam, gdzie tata, ku irytacji matki, używał go jako warsztatu. Zostawiła w Invercombe liścik, który Cissy znajdzie dopiero jutro. Prosiła w nim, żeby odprawę przesłano tutaj.

- Ostatnio byłem z Ralphem w Bristolu - powiedziała wreszcie.

- **Tak?**

- Postanowiliśmy, że pójdziemy na Mog... na cmentarz komunalny. Znalazłam grób Sally.

- Sam z siebie nigdzie nie poszedł, nie? - Mateczka, z twarzą spowitą obłokiem pary, zawzięcie mieszała i oglądała bieliznę.

- Chciałam tylko powiedzieć... No, że miejsce jest bardzo ładne i chyba nie trzeba się kłopotać o kamienny nagrobek. Można zaoszczędzić pieniądze.

- Ha! Gdybyśmy tylko je mieli...

Marion się przygarbiła. Wyglądało, że dręczy ją tylko własne poczucie winy. Mateczka wcale nie przestała myśleć o Sally - ani tata, ani Denise, ani Owen. Ona była w ich milczeniu, w kształcie skały, w powiewie wiatru. Była teraz w twarzy mamy przyglądającej się praniu, oblizującej usta, ocierającej rękę o spódnicę i **oświadczającej**, że pewnie już czas wziąć się do szykowania kolacji.

Nie żyło im się źle - Marion zrozumiała to teraz. Mieli co jeść, mieli buty w razie potrzeby, dach nad głową, godność wynikającą z poczucia tożsamości - dobry sposób na życie. Ludzie znad brzegu to faktycznie rodzaj cechu, i to sporo lepszego od większości innych. Przynajmniej nie potrzeba mu certyfikatów, głupich przysięg i nudnych ceremonii.

Pomogła mateczce nakryć do stołu, po czym pojawili się tata, Denise i Owen. Tata zjadł swoją porcję szybkimi dziobnięciami. Marion wiedziała, co się święci — przy tak gęstej mgle dziś wieczorem będzie dostawa

i do pomocy wzięto jego i innych miejscowych. Owen natomiast cały czas opowiadał, co musi zrobić, zanim wyjedzie do Bristolu. Wydawał się spokojny. Osiągnął pewien poziom wiedzy niezbędnej żeglarzom i wiedział już, że reszta to głównie **ozdóbki**, którymi posługuje się każdy cech, aby przydać swej pracy pozornego skomplikowania i tajemnicy. Marion wciąż igrała z pomysłem wyjawienia rodzinie, że jedzie z Ralphem na Wyspy Szczęśliwe, ale tatko **już** wstawał od stołu, Owen miał jakieś formularze do wypełnienia, mateczka porcję prania do wygotowania, Denise zaś haftowała swą pracę czeladniczą. Nie należało im chyba przeszkadzać we własnym życiu.

- Co tam w wielkim domu, wszystko dobrze? - zapytała ją później Denise, gdy siadły razem na jej łóżku na poddaszu. **Obszywała** kamizelkę ostatnimi kawałeczkami karmazynowej nici. - Ralph nie wyjeżdża?

- Jutro matka przyjeżdża po niego samochodem i zawozi do akademii Highclare.

- No to nie powinnaś być z nim? - Siostra przegryzła nitkę. - Ostatnia noc razem, coś w tym stylu?

Marion wzruszyła ramionami. Powędrowała wzrokiem ku pomarańczowemu pudłu, gdzie pomiędzy starymi ubraniami i zeszytami szkolnymi schowała bilety na „**Verticordię**”.

- Potrzyj mi tę świeczkę, co? Dobra... - Denise wyrównała kamizelkę. - Całkiem niezłe, jeśli nie przyglądać się za bardzo z tyłu. Swoją drogą, nie myślisz, że to najwyższy czas?

- Na co?

- Żebyś przyznała się komuś, co robisz.

Marion próbowała sformułować jakieś niewinne pytanie.

- No przestań już! Masz szczęście, że nie trzymam w ręku nożyczek, **bobym** cię nimi dźgnęła, Marion Price. Może tatko jest zbyt zajęty drobnym importem, Owen polerowaniem nowych odznak, a mateczka gotowaniem gaci, ale każdy, kto ma oczy, widzi, że od paru pracokresów coś chowasz w fartuszku. I naprawdę myślisz, że od czasu do czasu nie zadam sobie trudu **przegrzebania** twoich rzeczy?

- Znalazłaś bilety?

- Oczywiście! Ale czemu nazywasz się na nich pani Eliza Turner?

Marion odetchnęła z ulgą. Siostra po jej wyjeździe zdoła wyjaśnić wszystko mateczce, tacie i Owenowi. Wyjawiała swoje plany, lecz Denise nadal patrzyła na nią niedowierzająco.

- To prawda, przecież widziałas bilety.

– Nie powiedziałaś mu, prawda?

Marion zamrugęła, zaskoczona.

– I czemu nie brałaś tej mikstury? - pytała Denise dalej. - Po tobie bym się tego nie spodziewała!

- To chyba było przedtem - westchnęła. - Może nawet za pierwszym razem. Potem już staraliśmy się być ostrożni.

- Ile miesięcy?

– **Trzy.**

- A u lekarza nie byłaś?

– Do niedawna czułam się dobrze. Teraz zaczynam się bać śniadań.

Denise zachichotała.

- Podobno to oznacza, że dziecko jest zdrowe. Ralph nie ma pojęcia?

- Ani trochę.

- Ci faceci! Burczą tylko, jak dostajesz tego co miesiąc, jakby to była twoja wina. No, ale jak pojedziecie na tę wyspę, to będzie musiało się wydać, prawda?

- Myślałam, że mu powiem. Już mało brakowało. Ale on tyle ostatnio przeszedł. Zmarł mu ojciec. A potem, kiedy zaczął mówić o podróży, nie chciałam, żeby czuł się w obowiązku tam ze mną jechać. Chciałam, żeby zaczynał nowe życie ze mną, bo tego pragnie. Nie przez jakieś... - Marion urwała. Słowo „dziecko” wciąż trudno jej było wymówić.

- A drugi powód to oczywiście to, że może zrezygnowałby z całego pomysłu.

- Nie, Ralph by tego nie zrobił.

Denise przygryzła wargi.

- Jeśli to prawda, to masz szczęście.

- Nie masz pojęcia, jak wielu rzeczy się zrzeka, żeby wyjechać. Chyba sam nie ma pojęcia.

- A jeśli **wam** się nie uda?

- Nie jestem bezradną istotą, Denise.

Ściemniło się. Owen zawołał w górę drabiny, że wychodzi. Tatko już wymknął się z domu i nie wróci do rana. Marion ucałowała w czoło mateczkę drzemającą przed ogniem i otworzyła drzwi. Wiatr uspokoił się, powietrze smakowało solą i dymem. Wzdłuż linii brzegu słabiutko żarzyły się ogniska. W takie noce, przed wielką dostawą, ludzie z nabrzeża starali się jak najbardziej zadymić okolice, wspomagając mgłą wiatroster-**nika** Ayresa.

Odwróciła się do Denise.

- Mam nadzieję, że w Bristolu znajdziesz wszystko, czego ci w życiu trzeba.

- Mówią, że tuż obok mojej szkoły jest fabryka toffi. - Siostra się **zaśmiała**. - No, no, kto by pomyślał! Uciekasz z **arcycehmistrzem** na jakąś tropikalną wyspę. Jak to się rozniesie, Marion, będą śpiewać o tobie piosenki. Dasz mi znać, co u ciebie?

- Pewnie.

Siostry objęły się na pożegnanie. Marion, kierując się bardziej wyuczuciem niż wzrokiem, trafiła na nadbrzeżną drogę. Nawet tutaj trudno było utrzymać właściwy kierunek. Zastanawiała się, co robi Ralph, **ale** stwierdziła, że nie ma czasu wracać do Invercombe. Mijała wątle drzewa, migwały jej nieznajome mury, aż wreszcie dotarła do wiru światła latarni na głównej ulicy Luttrell. Zbudziwszy kasjera na dworcu, za resztkę pieniędzy wypłaconych z konta Turnera kupiła dwa bilety do Templemeads. Peron był pusty, ale w poczekalni paliło się w kominku. Marion usiadła na ławce i czekała.

Ralph, obolały, zadyszany, idąc, jak mu się wydawało, ku nadbrzeżnej ścieżce, omal nie wpadł w muliste głębiny słonego stawu. Światła ledwo się tliły. Smog gęstniał od dymu. Płócienny wór obijał się o nogi. W pewnej chwili Ralph dostrzegł wybiegającego z mgły wiatrosternika, lecz na powrót zamknęła się za nim noc. Może zresztą to było złudzenie? Już się zastanawiał, czy nie wrócić po własnych śladach i jak to właściwie zrobić, kiedy odnalazł drogę. Teraz było nieco łatwiej. Wtem znienacka zepchnął go z drogi nieoświetlony wóz zaprzężony w konie o wytłumionych szmatami kopytach. Ralph omal nie wpadł pod koła. Podniósł się spod żywopłotu, kaszlnął, otarł usta i ruszył dalej.

Luttrell było całkiem odmienione. Którędy do dworca? Mijał błotniste podwórza, wreszcie usłyszał aż nazbyt bliskie skomlenie psotworów, a potem przewrócił się o drewniany wózek bagażowego. Marion mówiła, że kupi bilety, lecz na peronie nikogo nie było i na chwilę zamarło mu serce, wszedł jednak do poczekalni i tam ją znalazł. Siedziała pośród smogu. Objęły się. Ubrania mieli wilgotne, a Marion smakowała nocą. Pociąg, głośny i niematerialny, już nadjeżdżał, światła w wagonach migotały jak sceny na kinematografie. Ralph ruszył machinalnie do pierwszej klasy, Marion wzięła go jednak za rękę i pociągnęła do trzeciej.

Na stacji Aust wsiadło trzech chłopaków. Rozsiedli się z szeroko rozstawionymi nogami na **twardych** ławkach i puścili w obieg brązowy dzban z wąską szyjką, a Ralph prawie nie rozumiał, co mówią, zaraz jednak domyślił się, że pytają jego i Marion, dokąd jadą. „Co ón, **miszcz**, języka w gębie ni **ma?**”. Ralph, niespecjalnie zachwycony rzucanymi Marion spojrzeniami, zapewnił ich, że ma, a chłopcy **wybuchnęli** śmiechem, wytrzeszczając oczy i klepiąc się po udach. „**Patrza** no, prawdziwy pan. Chce **troche?**”. Ten o **najczerwieńszej** gębie wyciągnął dzbanek w haczykowitzki zgiętych palcach. Marion wzięła go, upiła łyk i podała Ralphowi.

- Czestuj się, John - wytarła podbródek. - Najstarszy jeden wie, kiedy następny raz.

John? Po chwili przypomniał sobie. Płyn - coś w rodzaju **cydru**, ale gęstego i osłizłego - stanął mu w gardle. Świetna podróż, nie ma co, dławi się **cydrem**, a podpici partacze dworują sobie z niego. Ale przynajmniej mgła trochę się rozrzedza. Za oknami wreszcie pojawiły się światła, podwórza i szeregówki Bristolu.

Minęli żebraków i bezdomne wdowy na obrzeżach dworca Templemeads, naradzając się nad najszybszym i najbezpieczniejszym sposobem dotarcia do Sunshine Lodge. Brnęli mniej więcej na północ. Magazyny i bariery tworzyły kolejne ślepe uliczki wśród wielkoszczurów, smoczowszy, szlamu i błota.

- Masz bilety?

Marion poklepała się po szeleszczącej kieszeni płaszcza. Parę minut później, gdy wreszcie znaleźli się wśród domów, przyłożyła ręce do ust i uciekła w zaułek. Ralph odłożył płócienny worek.

- To ten ohydny cydr, Marion. Nie powinnaś była go pić.

- Nie, to nie to, ale...

- Ale co?

- To już prawie tutaj.

Dotarli na ulicę brukowaną kocimi łbami. Mijały ich głośnie pary o **zmętniałym** wzroku. W Sunshine Lodge ta sama kobieta w tej samej siatce na włosach zdjęła z haczyka ten sam klucz. Odłożywszy worek, tak wyczerpany, że już właściwie nic nie czuł, Ralph nieufnie szturchnął wyłącznik światła w pokoju 12A. Zdziwiająco - żarówka się **zajarzyła**. Marion, zsunąwszy buty i skarpety, rzuciła się na skrzypiące łóżko. Ralph usiadł po drugiej stronie, od ściany.

- Muszę do łazienki.

Marion i sprężyny łóżka zachichotały.

- Zajrzyj pod łóżko, tam pewnie jest kubek.

I był, ale Ralph nie potrafił się zmusić do użycia go. Po omacku zszedł po nieoświetlonych schodach i w końcu dotarł pod zewnętrzny mur, który śmierdział, jakby postawiono go specjalnie w tym celu. Powiedział sobie, że będzie się musiał do takich rzeczy przyzwyczaić. Marion chyba już spała, zwinęta w kłębek, w ubraniu. Położył się na przetłuszczonych kocach koło niej, z plecami wygiętymi przez dołek w materacu. Pokój w niczym nie przypominał tego, w którym się latem kochali. Zmieniły się plamy na suficie. Ani śladu Wysp Szczęśliwych, żadnego z rozpoznawalnych kontynentów czy mórz. Zastąpił je zniekształcony brakiem logiki krajobraz z jego gorączkowych majaków. Potem prądnica na zewnątrz przestała burczeć, światło zamrugalo i zgasło, noc szerniała. Gdzieś niedaleko, zbyt głośno i długo zaśmiewała się kobieta. Marion delikatnie pochrapywała. Jej oddech cuchnął wymiocinami i cydrem. Ralph odwrócił się, powstrzymując napad kaszlu.

Swędziała go skóra. Żałował, że nie wziął więcej notatników. Że wyrzucił kamienie ojca. Co to w ogóle za przekaz - posłać synowi życie niższego cechowego, samemu czując niezachwianą dumę z przynależenia do Telegrafistów? A może nie było żadnej wiadomości albo źle ją zinterpretował. Westchnął. Łóżko westchnęło razem z nim. Ale nie mógł już wrócić - był tutaj, z Marion. Muszą razem zmierzyć się z przyszłością.

Zamknął oczy. Próbował myśleć o białych plażach i przejrzystych oceanach rojących się od dowodów; o pięknych rybach. Z wysiłkiem starał się zasnąć.

Wiatrosternik Ayres był przekonany, że obojętne, jak bardzo narzeką Cissy, nic nie może się równać z porządną dostawą. W końcu tak samo cieszyła się lepszymi markami, świeższymi owocami, gotówką w kieszeni, a poza tym, według niego, drobny import miał w sobie tę słusność, której czasami nie dostawało zwyklemu życiu. Nawet przybycie „Prozerpiny”, której mocodawcy i inwestorzy byli kalibru grubych ryb z Hotwells, miało klimat czegoś właściwego. Przemysł był dla niego moralnym obowiązkiem i prawdopodobnie Ayres robiłby dziś to samo, nawet bez sowitego wynagrodzenia, jakie miał otrzymać za swe trudy - choć ono oczywiście się przyda.

Ludzie się nawoływali, podczas gdy on z jednym z bardziej zaufanych młodszych ogrodników Wyatta podtaczał beczki z materiałem wybuchowym na brzeg, gdzie przygotowywano już wielką łódź wiosłową. Ktoś zamachał pochodnią. Załadowali, odepchnęli się, zanurzyli wiosła i puścili wkoło flaszeczkę czegoś najlepszego, ostrego, cierpkiego i słodkiego - czegoś w sam raz na taką noc. Przemykali wśród wirów mroku jak duchy. Wiatrosterownik ufał im, jak nigdy żadnemu zarozumiałemu marynarzowi. Był tu Scobie, Jack, Mały Paul oraz Bill Price, czyli ojciec tej dziewczyny, Marion. Prześliznęli się łodzią na główny nurt przypływu, pewni, że w tak ciemną noc nie będzie tam żadnych innych statków. Na Durnock Head montowano już drewniane żurawie. Drogą od tyłu podjadą furgony.

Ciemność przed nimi była jeszcze głębsza. Najpierw poczuli zapach statku; potem usłyszeli powolne dudnienie maszyn. Oto we mgłę zamajaczyły maszty „Prozerpiny”, o której wiatrosterownik śnił, odkąd u Kupców-Pionierów dostał do ręki opisujący ją liczykamyk. Dostrzegł nad burtami twarze, wijące się liny, a kiedy wspinał się wraz z załogą na pokład, powiedział sobie, że to będzie zwykła dostawa, jak każda inna.

Kapitan Convertino, Hiszpańczyk, wykuśtykał z mgły, gdy stanęli na pochyłym pokładzie.

- Dobrze, że to już koniec podróży, chociaż szkoda tracić ten statek. Mimo że stary i według rejestrów już zatopiony...

Twarz bez zmarszczek okalały mu siwiejące, związane z tyłu włosy. Na niektórych właśnie tak wpływało morze - nie wgrzyzało się w rysy, lecz powodowało ich obrzęk.

– Jestem wiatrosterownik Ayres. A to Bill Price, Jack Petty, Pete Scobie...

Lecz nie było czasu do stracenia. Od razu, z pomocą marynarzy, zaczęli wynosić eter z ładowni. Załoga „Prozerpiny” okazała się słaba i markotna, nawet jak na niewolnych. Z zasady wiatrosterownik nie aprobował takiego obsadzania statku, dziś też nie widział powodu, by ten pogląd zmienić. Brak doświadczenia mieli wypisany w bliznach na dłoniach, w solnych oparzeniach na ramionach. Ale i tak dostaną zapłatę, za którą kupią sobie wolność.

Eter nie był w szkatułach ani beczkach, jak się spodziewał, lecz w wielkich słojach tłoczonych w języki, smoki i inne symbole, obce każdemu angielskiemu cechowemu. Zgromadzone na pokładzie wyglądały jak opasłe terakotowe bożki. Wiatrosterownik pomagał opuszczać materiały wybuchowe przez luk do pustoszejącej ładowni. Dno było całe usmarowane

olejem, wodą z żeży i słomą z opakowań. Nie zwracając uwagi na żar pozostałych słoików, podparł baryłką każdą z grodzi, po czym wyciągnął woskowe czopy i wetknął do środka lonty. Skręcone paski kordytu świeciły mu w dłoniach jak świetliki. Dołączona do nich koperta była cała oklejona ostrzeżeniami, że nie należy jej rozpieczętowywać do momentu **aktywacji** lontów, on jednak wiele dni temu nauczył się na pamięć owych skrętów fonetycznego hieroglify. **Śpiewały** w nim teraz, gdy wspinał się na główny pokład.

Pomruk hiszpańszczyzny — i w **chwalebnej** ciszy uniosła się kotwica. Po krótkiej dyskusji o zanurzeniu i wyporności wiatrosternik przejął ster, przesunął rękojeść telegrafu. Maszyny zmieniły rytm, „Prozerpina” zwiększyła przechył. Ta żalosna łajba wręcz domagała się zatopienia. Wpływając w głąb kanałów, myślał o pachnących wiązkach tytoniu, błyszczących butelkach, aromacie pomarańczy i bananów w chłodnych jaskiniach w letnie noce. To był prawdziwy drobny import, a nie to tutaj. Na miłość Najstarszego, Meksykanie wrywali ludziom serca na szczytach piramid i składali je słońcu w ofierze. Nic dziwnego, że aż go świerbiało, żeby wypowiedzieć **zakłęcie-zapalnik**.

Wstęgi mgły wciąż były na tyle gęste, by skrywać dziób, poznawał jednak po zmianie zapachu wody, po **rozplywie** prądów, po milczącym echu wokół, że wpływają do Clarence Cove. „Prozerpina” zatrzeszczała. Przetawił dźwignię na „bardzo wolno” i zbliżał się do szumu jaskiń. Gestem nakazał przygotować kotwicę. Ale nagły ogrom klifów zaskoczył go i tak. Fale mlaskały i omywały brzeg. Przed nim sterczał kikut pomostu na krawędzi największej z grot, który po skończeniu zadania zostanie zniszczony, jak wszystkie inne dowody. Statek powoli się zatrzymał. Ucichły maszyny. Wtedy rozległ się skrzyp wiosel.

Przechodząc przez pokład, Ayres obserwował rzucanie lin, ostatnie cumowanie. Łodzie wiosłowe podskakiwały w prześwicie między statkiem a brzegiem. Teraz zostało już tylko wywindować wszystkie słoje na górę, przenieść przez groty i dalej przez pola do furgonów. Dlatego mgła powinna się utrzymać jeszcze przez kilka godzin, choć, co dziwne, wydawało się, że rzednie.

Posmakował powietrze. Zdumiony, pogładził wilgotny wąs - również pewny wskaźnik. Sprawdził nastawy wiatrosteru. Nad sobą coraz wyraźniej widział reje „Prozerpiny”, a nawet postrzępioną krawędź bezanu na tle kiwających głowami wzgórz i twarze poszczególnych ludzi w łodziach. Ale nie było wiatru - powietrze ani drgnęło. Dziwne, istotnie, choć się

domyślał, że to kolejny wpływ tego przekłętego ładunku. Cóż, to nie ma większego znaczenia, o ile noc się utrzyma, a kołowroty będą działać jak należy, lecz lekcję trzeba zapamiętać: to nie jest warte tych pieniędzy, o jakich słyszał w domu Kupców-Pionierów. Oni nigdy nie nadstawiali karku, nie ryzykowali w tak ciemne i zimne noce jak ta. On też już nie będzie ryzykował. Ani razu więcej. Jeszcze tylko zaklęcie, które pośle tę łajbę na dno, do innych spoczywających w głębi zatoczki. I Bóg z nią. **I** krzyżyk na drogę.

Mgła jednak faktycznie się przprzedzała. Wilgotne wzgórze połyskiwały wokół, statek wznosił się i opadał, a nad jego rufą przejaśniało się tak mocno, że gdyby to nie był środek nocy, pomyślałby, że świta. Potem usłyszał maszyny, na moment zdziwił się, że „Prozerpina” jakimś sposobem ruszyła, ale po chwili dobiegły go jeszcze błyski i okrzyki. Ten efekt, zdał sobie nagle sprawę, spowodował odpychający mgłę wiatroster większego statku wpływającego właśnie do Clarence Cove. Tak głupio. Tak prosto. Wcale nie wschodzi słońce, tylko reflektory przebijają się przez rzednące pasma bieli, **dźgają** połamane reje „Prozerpiny” i uwijające się sylwetki na pokładzie. Nawet nie jeden statek, ale dwa - najeżone działami dzioby dwóch **mosiężno-białych** okrętów **Praworządców**.

- Wszyscy z pokładu! Już!

Cisza, dyskrecja nie ma już sensu. Uciekali nawet niewolni. Grzmotnęły działa, **chlupnęła** woda, chrupnęły kości zderzające się z pokładem. Człowiek na dziobie jednego z okrętów Praworządców powiększał jeszcze zamieszanie i harmider, wykrzykując coś niezrozumiale przez megafon. Z tymi pysznymi bokobrodami, w tym mundurze to musiał być praworządca Cornelius Scutt. Wiatrosterownik rozejrzał się wokół. Pokład był już pusty, a jasno oświetlona woda pomiędzy „**Prozerpiną**” a mlaskającym brzegiem roiała się od wiosł, łodzi i młocących ramion. Oczekał. Łodzie się oddaliły, ciała wleczono za nimi lub wciągnięto na pokład. Nie spodziewał się wprawdzie, żeby z zatoczki była jeszcze jakaś droga ucieczki, chciał jednak, żeby wszyscy znaleźli się w należytej odległości, zanim zrobi to, co musi.

Obliżał usta i dotknął wąsa. Pomyślał o Cissy, o **Kornwalii**, o wieczornych spacerach wśród różowych armerii falujących na rojnych od mew wzgórzach, o tym co później, w oświetlonym kominkiem domku, o imbirowym aromacie jej ciała. Był rad, że zignorował ostrzeżenia i wcześniej otworzył tę kopertę. Frazy **zaklęcia-zapalnika** miał w głowie - już czekały. Odśpiewał je z łatwością.

24

Wejścia do **bristolskiego** portu coraz ciśnień zbijają rozpychających się, pokrzykujących, niskocechowych ludzi, a zimną, szarą aurę ponad nimi miały zmienne powiewy wiatru - to wiatrosternicy na wielkich statkach testowali swe urządzenia. Flagi trzepotały i opadały, żagle napełniały się i obwisały, a zapisana kredą tablica nad wschodnim wejściem obwieszczała, że „Verticordia” odpływa o 2.30 po południu, czyli znacznie później, niż spodziewali się Marion z Ralphem. Gdy przepychali się z powrotem na ulicę, w dłonie Ralpha coraz to ktoś wciskał ulotki. Lepki druk obiecywał „Nowe życie”, „Od nowa”, „Dobłą, łatwą pracę” i „Bujne pastwiska”. Wyglądało na to, że co najmniej połowa Bristolu wyjeżdża albo stara się o to. Zerkając na wejście do pierwszej klasy, zwieńczone lwami lśniące czarne bramki, Ralph przypomniał sobie inne podróże - dywany, wyłożone drewnem kabiny i powitania kapitanów.

Jedli późne śniadanie w nadbrzeżnej kafejce. Ralph grzebał w smażonych jajkach i morskich ziemniakach, których nigdy wcześniej nie próbował i teraz też nie miał ochoty. Kolejne roztrwonione pieniądze, pomyślał, choć nie powiedział tego głośno.

- Cały czas czekam, aż coś się zacznie - powiedział. Przyjrzał się wyszczerbionemu kubkowi z herbatą. - Nie po to tu przyjechaliśmy, prawda?

Marion rzuciła mu dziwne spojrzenie, jak to miała ostatnio w zwyczaj.

- Może sprawy jeszcze nie skończyły się kończyć.
- Za dziesięć lat, już w Londynie, będziemy patrzeć na to i...
- W Londynie? To znaczy?
- Przecież nie spędzimy reszty życia na Wyspach Szczęśliwych. Trzeba udowodnić teorię, więc musimy tutaj wrócić.
- A co się stanie z Elizą i Johnem Turnerami?
- Chyba nie będą już nam potrzebni.

Do wejścia na pokład nadal było mnóstwo czasu - całe godziny - postanowili zatem wrócić do publicznych czytelni Wydziału Stawonogów Cechu Zwierz mistrzów. Powrót na główne ulice Bristolu, zamiecione, rojne od kapeluszy i powozów, od gazeciarzy wykrzykujących coś

o aresztowaniach, sprawił im ulgę. Wpuszczono ich pod **owadzioskrzydłe** kolumny jako mistrza i panią Turner, znajomych Pani Chrząszcz.

Po złożeniu tuzina rewersów na książki, które według Ralpa będą mieli czas przejrzeć, czekali dłużej niż zwykle - może ludzom z niższego cechu należy się gorsza obsługa. Marion usiadła na ławce i zaczęła sobie masować kostki. To trwało już zbyt długo, Ralph właśnie miał zacząć się niepokoić, gdy pojawił się osobnik wyglądający na kogoś ważniejszego.

- Mistrz Turner z żoną? Państwo pozwolą tędy.

Minęli szklane gabloty z gigantycznymi owadami - może wykonanymi w powiększeniu modelami, a może prawdziwymi okazami co bardziej ekstrawaganckich dokonań cechu - i znaleźli się w małym gabinecie. **Cechmistrz**, przedstawivszy się jako wyższy mistrz Squires, zapytał, czy dawno wyjechali z Kentu.

Ralph, nie chcąc niszczyć resztek wiarygodności swej tożsamości, zapewnił, że niedawno.

- I znacie Panią Chrząszcz? Doktorowa Foot to znakomita uczennica, zwłaszcza jak na kogoś spoza naszego cechu.

Wyższy mistrz Squires, siwowłosy, pulchny na policzkach i brzuchu, a poza tym chudy, wydawał się dość sympatyczny. Jego biurko, zauważył Ralph, miało sześć nóg. Podobnie krzesła, z poręczami rzeźbionymi w kształt czerwi. Cechy to naprawdę niezwykle organizacje.

- Może herbaty?

- Mamy niewiele czasu - odezwała się Marion. - **O** przyplwyie wsiamy na statek.

- Wyjeżdżacie, tak? I postanawiacie odwiedzić nasze skromne progi. Miło mi. Zwłaszcza że, sądząc po książkach, które zamówiliście, macie ogromną wiedzę przyrodniczą. Czyli przyszlście ostatni raz, chociaż, jeśli mogę być szczery, wydaje mi się, że w Cechu **Ludwisarzy** nie ma już pan czego szukać.

— Przykro mi, ale nie rozumiem.

- Bardzo łatwo domyślić się przedmiotu czyichś studiów. Zdziwilibyście się, do czego można dojść, patrząc na rewersy, no a Pani Chrząszcz też coś wspominała. Chociaż, biedaczka, trochę pomyliła wasze nazwiska i rangi.

- Zapewniam pana - rzekł Ralph - że chodzi o nas.

- Dobrze, dobrze. No, w zasadzie dobrze. Ten pański pomysł, ta hipoteza czy też teoria... jak się nazywa?

- Adaptacja środowiskowa.

- Słyszałem gorsze nazwy. - Wyższy mistrz Squires wstał, brzęknął kluczem i otworzył szafkę. W środku znajdowały się książki, notatniki, zwoje i arkusze papieru. — Na przykład taką. - Podał Ralphowi książkę. Była mała, tandetnie wydrukowana. Na grzbiecie miała niewyraźnie wytłoczony tytuł. *O sile naturalnego rozwoju*. — Albo taką... — Wyschły, owiązany wstążką zwój luźnych kartek, zilustrowanych pięknymi rycinami wielkiej różnorodności owadzych oczu. *Argumentacja na rzecz lepszego zrozumienia procesów życia na ziemi*. - Wspaniała kreska, prawda? - Kolejny tom był kompendium odmian pszczół, ktoś jednak dopatrzył się czegoś w Dodatkach i potem przekreślił czarną linią wszystkie nieprawomysłne strony. Były tam trzy rozdziały: *Zasada doboru*. I *Życie - pytanie*. I *Pochodzenie różnorodności gatunków*. - O, zaczyna pan rozumieć?

Ralphowi kręciło się w głowie. Paliło w piersi. Poczul się słaby i jałowy.

- Poniekąd nie jestem zaskoczony, że nie należy pan do żadnego z cechów, które zajmują się procesami życia. Choć muszę dodać, że to spore osiągnięcie, dotrzeć tak daleko jak pan, w tak młodym wieku. Gdyby chodził pan do którejś z naszych akademii - a bez wątpienia to samo powiedzieliby panu **zielmistrzowie** - pierwsza myśl zmiatająca w tym kierunku została by wyśmiana i powstrzymana. Dla pana dobra, naprawdę. Choć czasem coś się przesaczy. Stąd moja skromna kolekcja.

— Mówi pan, że to nieprawda?

— Nie jestem pewien, czy to ważne. Ale skoro pan zapytał, mniemam, że to prawdopodobnie prawda, że cechami dziedzicznymi rządzi mieszanka przypadkowych zmian i naturalnej konkurencji, acz muszę przyznać, że mam drobne zastrzeżenia do takich kwestii jak wykształcenie dziobów przez ptaki w tym samym czasie, kiedy ewoluowały muszle. Nie wiem też, co było pierwsze, pszczoła czy kwiatek. - Wzruszył ramionami. - Tego typu rzeczy.

- Mówi mi pan, że to jest zakazane?

- Mówię panu, mistrzu Turner, że nasze badania nad funkcjonowaniem przyrody muszą odzwierciedlać rzeczywiste potrzeby ludzkiego społeczeństwa. Ktoś nieodpowiedzialny mógłby na przykład wykorzystać pańską teorię, by dowodzić, że my, ludzie, pochodzimy od małp. I co zostałyby z naszego pojęcia niepowtarzalnej, świętej ludzkiej duszy, naszego ukochanego Kościoła i drogiej ludzkiej wiary? A poza tym, skoro życie cały czas nieustannie się zmienia, a decydujący jest fakt, kto żyje najdłużej i ma najwięcej potomstwa, czyż nie powinno się to odnosić także do naszego społeczeństwa? I co stałoby się z cechami, które dają

nam oparcie, pewność i stabilność? Rozumiem pana rozczarowanie, ale tak właśnie się sprawy mają. Rozumiem, na przykład - o ile to pana pocieszy - że w innych dziedzinach nauki także istnieją podobne, niezbędne ograniczenia...

Wyszli z Izby Cechowej. Tyle był wart rewolucyjny pomysł Ralpha, adaptacja środowiskowa - chociaż przynajmniej znalazł potwierdzenie. Miał rację. I nie był już sam. Ci inni - autorzy tych zakazanych książek - zasługiwali, by coś dla nich uczynić. Wróciwszy do Sunshine Lodge, Ralph chodził po pokoju i uderzał pięścią w otwartą dłoń. Nadal był zdeterminowany.

- Marion, nie możemy się teraz poddać. Tym bardziej nie możemy.

- A kto mówi coś o poddawaniu się, poza wyższym mistrzem **Squiresem**? - Siedziała na łóżku. Czubek nosa miała błady. Pragnął jej dotknąć; coś odmienić, coś zaczarować.

- Wszystko poniekąd nabrało jeszcze więcej sensu. Możemy sobie być mistrzem i panią Turner, ale kiedy wrócimy, będziemy potrzebować potęgi i wpływów mojego cechu, żeby to wszystko przeforsować.

- Kiedy wrócimy... Cały czas to dzisiaj powtarzasz. Wiesz co, skoro tak bardzo chcesz być Ralphem **Meynellem**, to po co w ogóle wyjeżdżać z Anglii?

- Potrzebujemy dowodów. Musimy je zebrać, opisać...

— I tylko o to chodzi?

Uświadomił sobie, że jest bliska płaczu - takiej Marion jeszcze nie znał. Przykre, że reaguje w ten sposób teraz, gdy najbardziej potrzebuje jej siły.

- Marion, posłuchaj. Jesteś nadbrzeżną zbieraczką, nie rozumiesz, na czym to polega.

- Myślałam, że wyjeżdżasz z Anglii, bo chcesz być ze mną.

— **T**oteż. Ale teraz liczy się fakt, że...

Wstała i wyszła tak szybko, że kiedy trzasnęła drzwiami, sprężyny łóżka nadal się kołysały i wdychały. Ralph pokręcił głową, słysząc cichnące kroki i łomot drzwi frontowych; kobiety to naprawdę całkiem inne stworzenia. Nie zrobił jej przyjemności, wyglądając za nią przez okno. Wybieganie z pokoju, kłótnie zawsze wydawały mu się pustymi gestami. Niedługo wróci. Musi - ma - wrócić.

Położył się i gapił w sufit. Plamy i zacieki. Żadnej mapy. Może są dwa pokoje 12A, może wtedy byli z Marion w tym drugim - radośnie kochali się przed słoneczną podróżą na archipelag przepięknych wysp, gdzie

nabierze sensu cały mechanizm **świata**. Spojrzał na drzwi, zaklinając ją, by wróciła. Zerknął na zegarek. Została niecała godzina. Bramki są **ju** otwarte, rodziny płynące trzecią klasą wchodzi na statek, żeby zająć najlepsze koje. Poza tym, przypomniał sobie, ona ma bilety. Może już tam jest. Postanowił wyjść i sprawdzić.

Tłumy zniknęły, a przez niekończące się podwórza doskonale widział statek, który wydawał mu się „**Verticordia**”. Dym z porzewiałego komina wił się i rozwiewał. Marsie **wypełniały** się i obwisały, jakby poruszane oddechem. Ani śladu Marion. Podbiegł do kasy biletowej.

— Turner? Turner? - Kasjer przebiegł palcem po liście pokładowej. - Nie Turton? Tyler?

- A może pan sprawdzić, że je nam wydano? Kupiliśmy u waszego agenta w Luttrell.

- Gdyby pan miał bilety, byłby pan na liście. Widzi pan, my dostajemy nazwiska telefonicznie.

- Ale my mamy bilety. **Ja...** - Właściwie czy on w ogóle widział je na oczy?

- Przepisy mówią jasno. Gdyby pan miał bilety, byłby pan na liście. Kilka jeszcze zostało, tylko że druga klasa, nie trzecia.

Ralph wybiegł z biura. Marion na pewno jest w Sunshine Lodge. Biegł ulicą, w powietrzu unosił się ostry zapach z cukrowni. Popędził po schodach, potem musiał zejść jeszcze raz, żeby poprosić babę w siatce na włosach o klucz — rozumiał już, że to oznacza brak Marion na górze. Chwytał płócienny worek i począł z powrotem na ulicę. Miał jeszcze dwadzieścia minut. Może pół godziny, i to irytujące przecucie, że Marion jest parę kroków za nim lub przed nim. Nie mógł jednak tak stać i czekać, aż do niego wróci albo go dogoni. Musiał kupić nowe bilety, bo tamte najwyraźniej rozpląnęły się w powietrzu.

Powlókł się do Martins Banku. Dziś było tam pustawo, rozpoznał jednak **bladookiego** urzędnika, który obsługiwał ich kiedyś, i podszedł do jego okienka.

- Ma pan jakiś dokument tożsamości? Odznakę cechową? Rachunki na własne nazwisko? Książeczkę czekową? Jakikolwiek dowód tożsamości?

- Musi pan mnie pamiętać. Byliśmy tu, ja i moja **żona**, John i Eliza Turnerowie. Jesteśmy **ludwisarzami**. Moja żona, ciemnowłosa, ładna... - Oblizał pot z warg. — Kiedy ostatnio tu przyszliśmy, mieliśmy na rachunku ponad cztery tysiące funtów.

Teraz kasjer kiwnął głową.

- Tak, oczywiście. - Zagrał palcami na klawiszach swej maszyny. Radośnie zadzwoniła.

- Chciałbym wypłacić pieniądze.

- Niestety, to niemożliwe.

- Ale przed chwilą pan powiedział...

- Na koncie nie ma już tych pieniędzy. - Kasjer wyglądał, jakby było mu go żal. - Zostały wypłacone. Mogę dać panu wydruk...

Ralph pokuśtykał po lśniącej podłodze, wyszedł we wczesnopopołudniowy tłum i poszedł do Sunshine Lodge. Może będzie tam Marion. Zdumiewające i absurdalne to wszystko. Ależ będą się z tego śmiać, gdy już wyjaśni się prawdziwy powód - z pewnością oczywisty, prosty.

Niebo wirowało chmurami, ciemniało. Jakże nienawidził Zachodu i tego ciężkiego wora, wlokąc się po kocich łbach do Sunshine Lodge, patrząc w jego brudne okna. Rozbrzmiała okrętowa syrena. Może to „Verticordia”.

Wspiął się po stopniach i pchnął drzwi frontowe. Duszny hall. Kobieta w siatce na głowie siedziała tam gdzie zawsze. Poprosił o klucz do pokoju 12A.

- Nie ma go na haczyku. Popatrz sam. - Pokazała.

Ralph pobiegł schodami. Numer był na drzwiach - 12A. Wszedł. Była - siedziała na strudzonym łóżku, ale odmieniona i ubrana w ciemniejsze rzeczy.

- Ralph...

Poczuł przypływ radości, potem zdumienia, a na końcu ulgę, gdy odwróciła się doń matka, o twarzy pięknie obramionej włosami w kolorze zimowego słońca.

CZEŚĆ II

1

Ziemia od dawna posiadała pewną część świadomości zogniskowanej potem w kamiennym nacieku znanym jako Invercombe. Żyła podług rozmaitych rytmów. Według przypływów i odpływów. Według powolnej drogi słońca. W budzącym się świecie, w zapadającym zmroku wychodziła naprzeciw morzu i cofała się, pławała w zmianie pór roku. Drobne poruszenia życia przebłyskiwały łagodniej niż cienie chmur, niektóre jednak zapuściły w ziemię macki, a inne, jeszcze szybsze, pojawiały się i znikaly zgodnie ze swymi niewytłumaczalnymi zajęciami. Była milczącym świadkiem wzrostu drzew, a potem ich śmierci i nadchodzenia białej, niemal nieskończonej zimy. Na swój powolny sposób wypiętrzala się i opadała pod nieubłaganą pokrywą lodu. Brzeg morza zmieniał kształt.

Gdy odszedł sięgający do trzewi mróz, gdy ujście rzeki zalały wody roztopów, a dalekie wzgórze postradały wieczne białe czapy, powróciły szybkie żywe istoty. Drzewa rosły, wydymały się na wietrze, padały i odrastały od nowa według zawilego planu. Pojawiały się i znikaly nowe, jeszcze szybsze istoty. Niektóre przewracały drzewa, wykopywały kamienie i wypalały je w kopcach, których spękane pozostałości wiele lat później historycy nazwali piecami ziemnymi. Tam po raz pierwszy uwolniła się z ziemi odrobina świadomości. Początkowo stworzenia skorzystały z niej bezwiednie. Później, gdy na szczyt urwiska wokół zatoki Clarence Cove wtaszczono i w ziemi osadzono koronę wielkich kamieni, ich obrzędy skomplikowały się i zaczęły odnosić do bogów, czarów i przyciągania Księżyca. Ziemia wciąż nie rozumiała. Kiedy owa korona i jej budowniczo wie padli, zostali pochowani w niej i zapomniani, nie pojmowała nadal.

Obcym żywiołem był przede wszystkim czas. Kanał ożywał coraz bardziej wymyślnymi pływającymi urządzeniami, lasy zaroily się od żywych istot i podzieliły przesiekami, a ziemia pozostała obojętna. Potem wycięto kolejne drzewa, na trawach zaczęto wypasać bialo-szare stworzenia. Kamienie i drewno, które kładły na niej inne istoty, tworzyły

coraz bardziej skomplikowane formy, wypiętrzały się w fortyfikacje, jakby naśladowując rozmach klifów poniżej, choć wkrótce zawsze się waliły. Ziemia ustępowała i powracała, a zmieniając się, pozostawała niezmienna. Karmiona zwłokami i odchodami, omywana deszczem, grzana słońcem i skuwana mrozem, ryta przez owady, erodowana od spodu przez morze i pstrzona aureolkami przez mewy - wszystko to przychodziło i odchodziło w swym niewytłumaczalnym porządku, a ziemia wciąż trwała.

Teraz nazywano to innym wariantem pisowni i brzmienia - **Inver-Durnock**, a dolinę, jak wszystkie w tej części świata, zwano **combe**. Stąd powstała nazwa Invercombe i przesiąkła także na cypel, choć dumnie okazała Durnock Head zachowała własne miano. W owym czasie istoty ludzkie lepiej poznały substancję, którą ich przodkowie niegdyś w prymitywny sposób wydobywali z pękających od żaru kamieni. Teraz nazywali ją eterem i wykorzystywali do budowy jeszcze bardziej wymyślnych kamiennych piramid strzegących doliny. Dom, zdobny jaskrawymi emaliami, hołubiony zakłęciami, rozpięty na długich, delikatnych żebrach belek i łuków wykonanych z pierwszych ściętych tutaj bajkowych drzew hodowanych teraz przez Cech Leśników, stał się miniaturą **naeteryzowanych** cudów Londynu, Bristolu, Preston i Dudley. Dla ziemi był lekki jak cień idący za słońcem. Lecz eter, przesycający go od kamienia węgielnego po najwyższy z kominów, niósł się echem tej samej świadomości, a dzięki temu echu przeżywał coś przypominającego ciekawość.

Powoli, choć ziemi nic nie wydawało się powolne, dom otoczył się ogrodami, także nasyconymi eterem, **rozrastającymi** się na całą dolinę. Mijały Wieki, cokolwiek to znaczyło. Na czubku Durnock Head, gdzie niegdyś obnażały zęby stojące na sztorc kamienie, **wykwitła** biała **Świątynia Wiatrów**. Dom, ogród i ziemia uświadamiały sobie niewyraźnie tę nową obfitość; apel woli, z którą nie miały ochoty dyskutować. Dobrze rozumiały, że życie coraz bardziej się komplikuje. Akceptowały to, tak jak akceptowały wszystko. Oddychały teraz nie tylko zgodnie z porami roku i rytmem morza, ale także z nieregularnymi, nieznacznymi jak cień przepływami życia, jego zamiarów, jego maszyn.

Dolina przeobraziła się w tarasowy ogród karmiony stawami zasilanymi z rzeczki Riddle. Na wodzie kręciło się koło mielące na **mąkę** ziarno z nowych, złotych pól na zachodzie, obok pieczono z niej chleb i dostarczano świeżutki do domu. Na nowo odkryte i powiększone przez budowniczych piwnice wypełniły **się** winami. Ku morzu, zamiast strzelnic i dział, **wyglądały** misterne jaskółcze gniazda balkonów z żelaznych

esów-floresów. Do Invercombe zawsze miło się przyjeżdżało i trudno było wyjechać; szczęścia zaznawało tu pokolenie za pokoleniem pewnej rodziny, karmiąc ryby dorastające w stawach do niezwykłych rozmiarów albo spacerując wieczorami po otoczonych murem ogrodach, przy fantastycznym świetle księżycowego bluszczu. Może było tu aż za dobrze, bo kiedy Pierwszy Wiek zmienił się w Drugi, kiedy kraj poprzecinały linie kolejowe i telegraficzne, a miasta skryły się pod czapami smogu, wpływ Invercombe zaczął słabnąć. Gazowe światło nigdy tu nie dotarło, a cechmistrzowie i cechmistrzynie z pobliskich miejscowości, idąc tu z wizytą, wymieniali spojrzenia, strzepując kurz z foteli, i postanawiali, że chyba już nie wrócą. Dom na swój sposób zdziczał. Kominy obrosły gniazdami. Dymił z rzadka. Był alkohol i były samobójstwa. Rodzina podupadła, a rezydencja zbłądziła w księgi i rejestry majątkowe Wielkiego Cechu Telegrafistów. O zachodzie słońca barwne światło wciąż wpadało przez wspaniałe okna do hallu, lecz wzięło po drodze w pasmach kurzu.

Mijał Wiek za Wiekim. Pojawiały się nowe technologie. Któregoś lata przyjechali ludzie i Invercombe raz jeszcze rozbrzmiało dźwiękami zakłęk i stukiem młotków. Może nie był to powrót do świetności, ale pojawiło się światło i życie. I dom po raz pierwszy napełnił się energią elektryczności, a potem połączył cieniutkimi drucikami wijącymi się przez kraj z inną świadomością, większą. Ludzie szybko zniknęli, zbłądły gadające odbicia w lustrach, które dla siebie wywoływali, lecz Invercombe nie było już samotne. Oddane w dzierżawę starszemu mistrzowi Ademusowi Isumbardowi Porrettowi z Powszechnego Cechu Pobielaaczy, w ramach rekompensaty za niedotrzymany kontrakt małżeński, miało odnowione dachy i naprostowane kominy. W nocy jego okna świeciły jak nigdy przedtem, w dzień rozwiano wszystkie cienie. Potem dolinę ogrzał wiatroster, który walczył z szarym niebem i odpędzał deszcz zgodnie z wolą starszego mistrza Porretta. Nad Kanałem Bristolskim mogły się kłębić mgły, lecz nad tarasowe kwietne ogrody i piękne drzewa docierała jedynie delikatna mgiełka, jaką widywało się czasem w tle renesansowych obrazów. W skwarne letnie dni, gdy tworzono doskonałą pogodę, gdy światło nabierało takiego samego połysku, jak powodująca nim naetyryzowana mosiężna kopuła, starszy mistrz Porrett bez końca przechadzał się po żelaznej galerijce wiatrosteru, wypatrując na drodze powracającej zaginionej narzeczonej.

Poza Invercombe Anglia się bogaciła. Był to wiek telefonu i gramofonu, niesfornych nowych rytmów i tanecznych mód przynoszonych

z Wysp Szczęśliwych przez pomyślnie dla statków pasaty. Korzenie i czekolada; wyuzdane tańce; suknie z kaskadowego jedwabiu o obciążonych rąbkach, by opadały lekko jak woda; wykopaliska w Egipcie; ambitne osadnictwo w głębi dzikiego łądu Thule. Ogrody zoologiczne były pełne okropnych stworów, a skandal stał się tak modny jak imitujące stiuki tapety. Moda rządziła światem, pieniądze czuło się wszędzie, a balom nie było końca. Nastął Wiek Światła, ulice wielkich miast lśniły blaskiem jak nigdy przedtem, tramwaje iskrzyły, a zjawy kinematografów migotały na ekranach sal kinowych, które wyparły dawne wodewile i kabarety. Automobile stały się równie powszechne jak bryczki, a dawne skomplikowane telegramy, które cechmistrz musiał wyśpiewywać cechmistrzowi, głównia głowni, zostały zastąpione telefonami. Był to też Wiek Informatyki i Pieniądzy, sprytnych machin, prowadzących handel całego kraju z szybkością i dokładnością, z jaką nie mógłby konkurować żaden ludzki umysł - i Invercombe, drobnymi obrotami malego mózdzku własnej maszyny obliczeniowej, wkomponowało się w tę pieśń.

Ostatni ze służących znalazł któregoś dnia swego starszego mistrza martwego. Ademus Isumbard Porrett stał przymarznięty do galerii wiatrosteru, wypatrując na drodze gościa, w którego nadejście zdawały się wierzyć jego oczy-sople, choć było wiadomo, że ona umarła zaraz na początku Wieku. Zgodnie z ostatnią wolą, mistrza pochowano na terenie posiadłości w nieoznakowanym grobie, a Invercombe wróciło do Cechu Telegrafistów. I znów zostało zapomniane. Zatrudniono tylko podstawową obsadę służby. Czasem, dla kłowań i krzątaniny stworzeń, których dom i ziemia nadal nie rozumiały, w noc, kiedy w ujściu rzeki małe łódeczki uwijały się jak nartniki, przywoływano mgły albo uspokajano morze. Mijał czas, ale wszystko pozostawało takie samo.

Potem dom wyczuł nowe drganie, gdy ustępował chłód szczególnie długiej zimy, którą czuł już w wilgotnych kościach swych wiekowych kamieni. Powodem zmiany wydawał się przyjazd dwóch nowych stworzeń, choć dom nie pojmował przyczyn i skutków. Niewiele wiedział także o więzi łączącej lub dzielącej te ruchliwe istoty, rozumiał tylko, że starsze i większe osobniki wielu gatunków - fruujących, ryjących, a także tych stawiających kamień na kamieniu i zakłęcie na zakłęciu - karmią i chronią mniejsze i młodsze swego rodzaju i często przy okazji zabijają inne gatunki. W pewnym sensie nie dostrzegł więc niczego niezwykłego w arcycechmistrzyni Alice Meynell, choć wyczuwał, że jest wyjątkowa pod wieloma

względami; a przemawiał do niej, jak do wszystkich mieszkańców, nie dlatego że zależało mu, by usłyszała, by porozumiała się z nim, lecz dlatego że nie potrafił nie śpiewać.

To lato było ciepłe. Invercombe wygrzewało się i oddychało. Mewy na klifach Clarence Cove wysiadywały jaja i zażerały się szprotami, a jedno ze stworzeń, które przyjechało do domu bliskie śmierci, wyzdrowiało i zaczęło spędzać cały czas z drugim swego rodzaju, urodzonym nieopodal nad brzegiem.

Dla Invercombe każde z tych zdarzeń ważyło tyle samo. Potem nadszedł moment, jak uklucie komara, w którym przepadła wielka dostawa eteru, i Invercombe opustoszało jeszcze raz, choć owej długiej zimy telefony rozdzwaniały się wiadomością, że kończy się Wiek Światła, że Wschód zwraca się przeciwko Zachodowi - zatem nawet ono zaczęło wyczuwać zmiany.

2

Na początku była pieśń, a pieśń była wszystkim i wszystko było pieśnią. Klade, choć zawsze powtarzał sobie, że jest szczęśliwy, z perspektywy czasu widział w owych wczesnych, niepamiętanych dniach dzieciństwa tylko utraconą treść. Powoli zaczął z pieśni wyróżniać poszczególne głosy, postacie, sylwetki. Dłonie Idy, szorstkie i darzące. Potem głos Silusa, biały kształt jego białej twarzy. Ściany, sufity, wpadające przez okna snopy światła oraz wyraźny obraz i zapach - może pierwsze prawdziwe wspomnienie - Kwiat stojący nad nim i patrzący przez pręty łóżka, chwiejący się, szlochający, płaczący i śpiewający poprzez popękane kwiatowe płatki swojej twarzy. Gdyż i Kwiat był pieśnią, a ta pieśń nie była ani smutna, ani wesola, ani głodna, ani ciepła, ale była wszystkim, była dotykiem pomarszczonych prześcieradeł i Rolnikami nachylającymi się wieczorem nad krowami na swych zachwaszczonych ostem polach. I gumowatym smakiem wtykanego do ust smoczka, gorącym strumieniem pokarmu, który przychodził potem, choć Klade wiedział, że to późniejsze wspomnienie, coś, co wymyślił sam w czasach, gdy zwiedzał Wielki Dom i porozlewał w Kuchni wiele butelek.

Rósł, zmieniał się, czas mijał, ale pieśń była zawsze. Większa niż Wielki Dom, niż Ogród, niż Las, do którego nie wolno nigdy wchodzić, bo tam

mieszkają Ludzie-Cienie, tam pieśń jest **najwyraźniejsza** i najostrzejsza. *Pieśń jest tobą, pieśń jest nami*, szeptała Ida swoim sposobem, innym niż dźwięk lub obraz. *Ty, Klade, należysz do Wybrańców*. Mruga. Ciemne rysy jej twarzy. I tak samo my...

Wybrańcy. Wędrując pod pełnymi nasion strąkami w Ogrodzie, odłupując z drzew siwą korę, Klade obracał to słowo w ustach jak kamyki wyłowione z Nieprzebytego Strumienia, które czasem ssał, bo były przyjemnie gładkie i chłodne. Wybraniec, jestem Wybrańcem. Podobał mu się smak i klimat tego słowa. Wybraniec, Wybraniec, **Wybraniec...!** Tak śpiewało słońce, chmury, tak śpiewały maleńkie błotnistoszare rybki uciekające mu spod palców w strumieniu. Woda też śpiewała, przemykając miłym chłodem między palcami, a on śpiewał wraz z nią i śmiał się pełnymi kamyków ustami. Kiedy wstał, widział Wielki Dom, skinienie zgiętego palucha komina i poszarzałe szyby okien. Ogrody kołysały się, przepysznie pachnąc pokrzywami, a tu szedł sobie Silus, z białą twarzą i dziwnym skrzywieniem warg rysujących w powietrzu drżące kształty jak kłęby chmur. Klade też tak próbował, ale usta wciąż unieruchamiała mu chłodna, lśniąca twardość otoczków.

Pieśń odmieniała go i unosiła. Pieśń popychała do przodu. Pieśń była wypływającymi kamieniami. Czas biegł zatem za zakurczonymi oknami Wielkiego Domu, których pod żadnym pozorem nie wolno mu było oblizywać tym spuchniętym czymś w ustach, zwanym językiem, czego nie miała Ida. I były kolejne głosy - zimowe głosy, choć wiedział, że wszystkie sprowadzają się do śpiewu rzeki i otoczków. To, powiedziano mu stanowczo, służy do dotykania. To, powiedziano, do słuchania. To jest smak, czyli jeszcze coś innego. To, Klade, jest kolor, a to, Klade, zapach. To są ręce, palce i nimi, a nie ustami, dotyka się wszystkiego, choć ogień, przed którym siedział na trójnożnym zydlu w Wielkim Salonie, nie miał palców, a jednak dotykał go swym ciepłem. Ogień był dobry, lecz jednocześnie niebezpieczny i wolno było siedzieć tu, ale nie bliżej, słuchając wlewających się zza drzwi zimowych głosów.

Nawet to imię - Klade. Słyszałeś, żeby ktoś się tak nazywał?

Ida. Słyszał ją nawet przez zamknięte drzwi, bo nie miała języka i wydawany przez nią głos brzmiał tylko w jego głowie.

- Zwał wszystko na Kwiat, jak chcesz, bo to po prostu był pierwszy dźwięk, jaki wydał. Ale jest jedyny w swoim rodzaju. Dlaczego miałby mieć imię, którego inni już używali?

Robimy z niego kogoś zbyt niezwykłego. Widziałeś, jak mu się wszystko myli. Co może słyszeć, a czego nie. Nie powinniśmy byli się zgadzać i jechać do Świętego Alphege'a.

- A miałem wybór? Cokolwiek knuła Alice Meynell, na pewno nie pozwoliłaby Klade'owi dorosnąć i prowadzić normalnego życia. Nie znasz jej, Ida. Jest...

Tutaj słowa, które próbował wypowiedzieć - Klade zauważył, że Silus stara się ostatnio jak najwięcej mówić ustami, choć było to dlań niewygodne i często kończyło się ciepłą mżawką na twarzy - zdryfowały w pieśń, a tej już nie rozumiał, ciemnej, dziwnej, niebezpiecznej i kuszącej jak płomień ognia. *Ida, nie możemy go zostawić...*

Ja już czasem nie mogę. Mimo że tak bardzo go kocham. Mimo że nie mamy wyboru.

- Musimy starać się być rozsądni. To najważniejsze. I pewnie najtrudniejsze. Kto wie, co przyniesie przyszłość? Ale on jest częścią przyszłości.

W końcu kto by go teraz zechciał?

- Jest doskonały. Niepowtarzalny i nasz. Naprawdę jest Wybrańcem. Za późno na żale. Wspomnij tylko, Ida, jak my tutaj trafiliśmy...

Klade niewiele rozumiał. Świat jednak rósł, on także rósł, a tymczasem musiał się uczyć, czytać. Czytanie miało posmak pajaków i kurzu. Był do tego celu nawet specjalny pokój na piętrze, w rogu Wielkiego Domu, gdzie w okna postukiwał buk, a latem słyszało się świergot jaskółczych piskląt w gniazdach, uczących się swej partii pieśni.

- Teraz słuchaj. Powiedz to powoli. Nie spiesz się. Nazywam się Klade.

Klade powtórzył, lecz Silus kręcił głową. Choć ułożył usta w uśmiech, Klade wiedział, że jest mu smutno.

Nie...

- Nie chcę, żebyś mówił tak jak ja. Otwórz porządnie usta. Nie bełkocz i nie pluj.

Ale...

- Wiem, wiem - rzekł Silus. - To moja wina. Bo mnie tak odmieniło.

Szarość w oczach Klade'a pociemniała, pieśń w jego głowie także. Wokół narastały inne jej aspekty - ptaki, stuk-stukające gałęzie buka. Ida spacerowała po ogrodzie i Klade wiedział, że słucha. Albo nie - bo do słuchania służyły uszy, do tej części pieśni, która była dźwiękiem. Więc może to wcale nie było słuchanie.

- Chyba powinienś mówić... *A zresztą może nie. Może to jeszcze bardziej myślące.* Mów tak, jak słyszysz Idę. W głowie. I tak wyraźnie. Rozumiesz, o co chodzi?

- Tak.

Ida złamała w ogrodzie suchą lodygę szczeci, a wyczuwał to zmieszane z czuciem jej ciała.

Tak.

Potem poszło już łatwiej. Miał tworzyć dźwięki ustami, nie tylko w głowie. Tak jak śpiewają ptaki, Klade, chociaż my nie jesteśmy ptakami, Klade, jesteśmy Dziećmi Wieku. I nie wolno ci wkładać kamyków do ust, obojętne jak słodkich i chłodnych, ani lizać szyb, nawet potajemnie.

Wiosną pojawiły się trzepoczące przedmioty, pachnące jak ten zakątek domu, gdzie ściany wydymały się i do środka kapał deszcz. Przedmioty, które Ida zamykała w niezręcznych dłoniach albo kładła na kanciąstych kolanach i długo się w nie wpatrywała. Nazywały się „książki”, a to, Klade, są litery i słowa. To specjalna część pieśni. Latem do Ogrodu zaczęły się wdzierać krowy, wraz z nimi przybiegli Rolnicy, mucząc, tupiąc na trawie wśród leniwych much i depcząc pokrzywy, aż przybyli Stalmistrzowie i wypłoszyli ich swymi wielkimi jak łopaty dłońmi, wciąż płonącymi żarem kuźni.

Lato było dobre. Lato to siadywanie z Idą na starej ławce w motylim upale. Lato to książki. Lato to nauka czytania. Wskazywała czarnym palcem ziarniste kształty. Krowa. Ptak. Potem Pies, podobny do Kota, ale nigdy go nie widział. Jakże się śmiali, gdy kazala psu stanąć w środku głowy Klade'a i zamerdać ogonem! Tak, zaraz już wiedział to wszystko, znał też kształty, jakie przybierają, kiedy ściska się je jak muchy pomiędzy kartami książek. Ale... mężczyzna, kobieta? Ida, co w tych słowach takiego smutnego? I jak się pisze „Wybraniec”?

Klade był, na długo zanim odkrył ten termin, pożeraczem książek, a właściwie pożeraczem wszystkiego. Łykał, co się nawinęło, nie tylko kamyki, „pożeracz” bowiem oznaczało tu jedzenie bez jedzenia. Pochłaniał Wielki Dom. Pochłaniał poddasze, całe w słonecznych plamkach. Pochłaniał Ogród aż po Las, gdzie mieszkali Ludzie-Cienie. Dalej nie. Pochłaniał długą przesiekę zwaną Ślepą Drogą, która w jedną stronę prowadziła do Kuźni Stalmistrzów, a w drugą w ogóle nigdzie.

Uwielbiał siedzieć w obłędnym żarze i blasku Kuźni, w sapaniu pieca, okrzykach i loskocie. Stalmistrzowie mieli płaskie czerwone twarze, potężne ramiona i poszarzałe, pokryte pęcherzami, szczękające metalem dłonie. Było ich dwóch, choć równie dobrze mógłby to być jeden. Zlewali się ze sobą wśród gorącej pary, jak wtedy, gdy zanurzali rozżarzone metale w pięknej, pokrytej szumowinami wodzie w kadzi. A kując młotami, głośno skandowali, chociaż ich słowa nie przypominały tych, które Klade czytał w książkach albo miał wypowiadać. Ida powiedziała: *Oni w kółko wyspiewują zaklęcia, których się nauczyli, kiedy terminowali*, co oznaczało jakąś odległą, tajemną i nadal niezrozumiałą partię pieśni.

W kącie Kuźni, nieopodal chichoczącego i grzechoczącego Nieprzebytego Strumienia, Klade znalazł całe ogromne arkusze słów. Jakimś sposobem uciekły z książek, po czym zostały spiętrzone, związane, ściśnięte i mieszały razem z myszami, które pozostawiły wśród nich mysie plamy i zapachy. Zafascynowany tymi zbrązowiałymi kartkami, pozbierał je metodycznie spomiędzy mysich bobków i poznał wiele słów dotyczących tych istot zwanych kobietą i mężczyzną, których Ida, Silus i Kwiat przeważnie nazywali Tamtejszymi, o ile ich w ogóle jakoś nazywali, a którzy nie byli Wybrańcami. Mieli coś takiego, jak Narodziny. Mieli coś takiego, jak Małżeństwa. Mieli Cechy. Mieli Zgon. A niektórzy z Tamtejszych lubili rozplaszczać się na obrazkach na tych stronicach, tak samo jak psy i koty. I zawsze byli w odcieniach brązu - w kolorze mysich sików, nawet jeśli myszy na nich nie nasikały.

Einfehl, jak rozumiał, było konkretnym miejscem, a gdzie indziej istniały też inne miejsca, o nazwach takich, jak Londyn i Preston i Bristol, gdzie jedna na drugiej stały cegły wielu domów i sami Tamtejsi łazili jeden po drugim, jak te stonogi, które znajdowało się, zerwawszy kawałek tapety ze ściany Wielkiego Domu, gdy Silus nie patrzył. Tamtejsi byli wszędzie.

No i była jeszcze ta machina. Przyjeżdżała z prowadzącego nigdzie końca Ślepej Drogi w każdy dziesiątek po południu, na Podwórze dla Trzody przed Nową Szopę, czyli tam gdzie mieszały koty. Z przodu miała twarz i coś jakby oczy, zimą świecące odłamkami słonecznego blasku, a kiedy indziej całkiem puste. Prychała i klekotała, a z boku miała wielkie litery. *A. Rudy. Taunton. Art. Spożywcze. Dostawa.* Potem patrzył i patrzył przez chwasty i kocie lby, a maszyna rozpostarła skrzydło, jak żuk na słońcu,

i wyszedł Rudy. Rudy nie wszystko miał rude. Część twarzy **Rudy'ego** była czerwona, na policzkach rosła mu rzadka, żółtawa szczecina, którą bez przerwy pocierał. Oczy też miał czerwone. I białe, i niebieskie. Koty zaczęły mruzczyć i ocierać się o jego nogi, a Rudy ze skupieniem na nie cmokał. Co najśmieszniejsze, głaszcząc je, cały czas poruszał ustami, mlaśniał, oblizywał zęby językiem i odwracając głowę, wypluwał lśniące strugi, które lądowały jasne i spienione na bruku albo zawisały na łądogach zielska. Rudy był tak rudy, że rudość aż z niego wyciekała.

Klade podszedł bliżej. Dotknął rudej rzeczy, powąchał ją i posmakował. Ostra, ciepła i cierpka. Bardziej jak farby, którymi czasami bazgrał na kawałkach papieru, próbując wymalować Psy, Koty i Krowy, niż cokolwiek, co mógłby wypluć z własnych ust. Rudy patrzył na niego i drapał się po głowie.

- No, niech mnie...

- Dzień dobry - powiedział dumny z siebie Klade. - Jestem Klade.

Rudy język **Rudy'ego** oblizal jego rude usta i przesunął coś rudego z zakamarka jednego rudego policzka w drugi. Pieśń wirowała wokół, okalając go radosnymi pętlami, ale nie wnikała do wnętrza. Całkiem jakby był skałą pośrodku Nieprzebitego Strumienia.

- Rany Boskie - powiedział płaskim, rudym, bezmelodyjnym głosem. — **Trochę** młody jesteś jak na swój stan, co?

- Jestem, a ty nie jesteś Wybrańcem.

- A ty jesteś chłopak, prawda? - Rudy, nie postąpiwszy kroku bliżej, przyjrzał się **Klade'owi** uważniej. - Na oko nikt by nie poznał. Mamie się przytrafiło, co? **Biedaczysko...**

Potem przyszła Ida i Silus, a potem **Stalmistrzowie** i Łowczy, i paru Wybrańców z Dalekiej Wsi, którzy byli w stanie pomóc. Rudy otworzył większe skrzydła z tyłu swej maszyny i zaczął wyjmować kapustę, worki cukru, mąki i morskich ziemniaków, przeważnie jednak puszkę, a czasem nawet książki, które Ida tuliła do piersi, a pieśń na chwilę jaśniała wokół niej jak oczy maszyny, które nazywały się reflektory i były napędzane czymś, co nazywało się elektryczność, czego w Einfell nie ma, ale w świecie Tamtejszych jest bardzo ważne.

Ida usadziła go na stołku przed kominkiem w Salonie i rozłożyła wokół jeszcze nieobsikane przez myszy arkusze gazet. Poklepała go po plecach,

a jej dłonie były w **dotyku** jak gałązki. Jej pieśń zawsze była radosna i smutna. W punktach kulminacyjnych kojarzyła mu się swym zagubieniem i siłą z pieśnią Ludzi-Cieni z głębi Lasu. Kiedy wzięła te złęczone rzeczy zwane nożyczkami, Klade wiedział, że ma kłopot z utrzymaniem ich w swoich dziwacznych dłoniach.

Powietrze wokół głowy **Klade'a** śpiewało szeptem *ciach, ciach* i laskotało go w szyję. Ale **w** pieśni było coś jeszcze, coś ze wspomnień Idy, jak okrucz lata ukradziony przez reflektory maszyny **Rudy'ego**. Klade siedział, a Ida obcinała mu włosy - **żywy-martwy**, zapamiętaj różnicę, choć włosy na pewno były martwe, bo inaczej strzyżenie by bolało - ale to były włosy kogoś innego, w innym pokoju, i miały kolor wspomnień, czyli słońca. Lśniące złote loki.

Przepraszam, Klade, ale ty cały czas mi przypominasz...

Nie bądź smutna i nie przepraszaj. - Poprawił się: — Powiedz, Ida, bo mnie to ciekawi. To, co myślisz, jest Tam, prawda? - Przypomniał sobie etykiety z puszek, które lubił czytać. - Może to Floodgate Street w Deritend, gdzie robią Budyń w Proszku Alfreda, Najlepszego Przyjaciela Każdej Gospodyni?

Nożyczki przestały pracować i poczuł dzwoneczkowy nacisk - śmiech Idy, choć smutek pod spodem wcale nie zniknął. ***Nie, Klade, nie. To jest w Yorku. Nieważne. Co za różnica, mogłoby być choćby w Afryce...***

Siedział więc dalej, nożyczki ciach-ciachały, a na murach Afryki **wkwitły** kwiaty podobne do tych, które Kwiat wywoływał w powietrzu, ale te były narysowane na papierze; kształt okna, zapachy i dźwięki przedostające się przez nie całkiem się zmieniły. Tej partii pieśni Klade jeszcze nigdy nie słyszał. Mokry szum i szelest czegoś zwanego Ruchem. Wiele, wiele głosów, a Ida śmiała się innym głosem, choć wciąż własnym i gładziła go teraz mniejszymi palcami, jednoręka, bo drugą uciniała mu złote pukle.

- Ostrożnie, ostrożnie, bo utnę ci ucho... - Głos był i nie był jej.

Ciach-ciachanie nożyczek, uczucie obecności Idy, zarówno teraz, jak i w dalekim miejscu zwanym York, było miłe i mroczne zarazem. Ciach, ciach, a potem przyglądała mu się, nożyczki odpoczywały, a włosy pięknie leżały wokół, jednocześnie złote i ciemne. Zaczęło go uciskać w oczach, w gardle i brzuchu, Ida była wszędzie dookoła, ciepła jak słońce i zimna jak księżyc, i przez chwilę tak duża, że aż podobna do najbardziej szalonych Ludzi-Cieni i nie było w niej nic poza pieśnią. Ale Klade z jakiegoś powodu pragnął się do niej przytulić, poczuć coś więcej niż gałązkowaty dotyk dłoni. Zazdrościł tym książkom - tak je do siebie przyciskała -

i żalował, że nie jest miększa, łagodniejsza, chętniejsza. Choć piękna, przepiękna jak wszyscy Wybrańcy, chciałby, żeby była kimś innym.

Nożyczki upadły. No, chyba koniec. Zebrała gazety, przeciągnęła po nich gruzłowatymi pakami, a potem, nagłym szarpnięciem, wśród dymu i zapachu sadzy, cisnęła je wszystkie w ogień.

Nadeszła zima. W okna tłukł deszcz. Popatrzawszy uważnie, Klade mógł w każdej kropli dostrzec cały ogród aż po migotliwy mrok lasu.

- To jest zjawisko optyczne - powiedział mu Silus. - Załamanie światła.

- Jak w lustrze?

Pauza. Deszcz dalej robił *kap, kap, kap*.

- Eee, przecież ty nie widziałeś lustra. W Einfeld nie mamy żadnego.

- Ale Tam, u Rudych jest dużo?

Rynny zagdakały.

- Chyba tak. Zdaje się. Ale to nie są Rudzi. Myślę, Klade, że już ci to mówiliśmy. Mistrz Rudy to po prostu jeden konkretny człowiek, który przywozi nam zakupy. Rudy to także nazwa koloru, tak się składa, że on ma właśnie takie nazwisko. Ludzi mieszkających poza Einfeld, w miastach jak Bristol czy Taunton, rzeczywiście nazywamy Tamtejszymi. Bo oni mieszkają tam, poza Einfeld, a my tutaj. Rozumiesz?

- Tak. I w Yorku też. A my jesteśmy Wybrańcami.

Kap, kap, kap. Gdak, gdak, gdak. Wpatrując się odpowiednio intensywnie w ciemniejące szkło, Klade widział w nim uwięzioną twarz Silusa, pokrzywioną i rozciągniętą jak przesłonięty chmurami księżyc. Prawie widział też swoją własną.

- Tak, Klade. Ale nie powinieneś płuć, jak mówisz - to chyba też ci już mówiłem.

Padało i kapalo przez wiele dni bez przerwy, Ida karmiła ogień w Największym Salonie mokrym węglem, wszystko było zamglone i zadymione, a Klade pomagał jej w gotowaniu. Czasem robiła się rozszargniona i tylko stała pośród smogu, ze ściszoną i wciągniętą do środka pieśnią. Musiał jej wtedy przypominać, co ma robić i kiedy. Po raz kolejny strzygła go, tym razem jej pieśń była rozkojarzona i nożyczki naprawdę ciachnęły mu ucho. Oslupiał. W środku był Czerwony, nie Rudy, choć wiedział, że naprawdę jest Wybrańcem, i znał już różnicę pomiędzy tym, co się myśli w głowie, a co można wypowiedzieć językiem. *Kap,*

kap, kap, robił deszcz, a rynny nie mogły powstrzymać się od chichotu, aż nagle coś potężnie łupnęło - to dach postanowił zwalić się na schody i w pieśni domu pojawiło się jeszcze więcej skrzypnięć i pojękiwań.

Przyszło paru dekarzy, żeby naprawić dach. Klade, który rozczytywał się w Ogłoszeniach Budowlanych starych egzemplarzy „Bristol Morning Post”, był wielce podekscytowany. Przez osty po drugiej stronie Ślepej Drogi przypatrywał się, jak wyładowują z furgonu drabiny. Z płonących przedmiotów, które trzymali w ustach, leciał dym. Gdy wyrzucili jedną taką rzecz, Klade przeczesał mokrą trawę. Krótki, mokry, biały i pękaty — powąchał go i skinął głową z poczuciem wtajemniczenia; ci cechowi na pewno byli Rudymi.

Słuchał ich głosów, ich pieśni-bez-pieśni.

- No, chyba nieźle, co? Potrójna stawka w piątek. A to zwykły dach, nie? Ale widziałeś tego tam... Jezus Maria! Co za nora! W życiu nie uwierzysz, że tu mieszkają ludzie. No i te, kurwa, stwory w lesie... Trzepocą wokół jak, kurwa, pranie, co się urwało...

- Przepraszam.

Dekarze spojrzeli nań ze swoich drabin, a uśmiechy zamarły im na twarzach, choć zęby mieli jeszcze ostrzejsze i bardziej błyszczące niż Łowczy - ale w końcu jeden wypluł je na dłoń i Klade się zorientował, że to metalowe rzeczy zwane gwoźdźmi.

- Czy nie jesteście czasem z firmy Frandons z Frimley, tej co oferuje Usługi dla Wszelakich Cechów, Rozsądne Ceny i Bezpłatną Niezobowiązującą Wycenę? - spytał Klade, zachwycony, że tak dokładnie pamięta reklamę i ani razu się nie zapluł.

- **Że** jak?

- Czy nie?

- Nie. Jesteś jednym z nich, co? Mały, pieprzony troll. Ej, Eddie, jak ci się zdaje?

Drugi dekarz, Eddie, zerknął w dół, z nowej polaci gontu, na której leżał rozpostarty z młotkiem.

- Nie może być. No popatrz tylko na niego.

- Ale zobacz na nadgarstek, nie ma Znaku. A jak dla mnie, **już** powinien być po Próbie.

Klade też spuścił wzrok, przyglądając się brudnobiałej skórze w miejscu, gdzie żyły spotykały się z dłonią. Potem uniósł ją, pokazując dwóm dekarzom balansującym na ociekającym wodą dachu. Wokół zimowe niebo zionęło deszczem.

- A może to prawda, co opowiadają. Że cholerne odmieńce, kurwa, kradną nam niemowlaki. No niech ja tylko powiem Shirl...

Wrócili do podniebnej pracy, pokrzykując na niego, że ma odejść stamtąd, pieprzony świr, bo tam jest niebezpiecznie. Ale Klade zauważył, że na lewych przegubach mieli niewielką ranę po wewnętrznej stronie, jakby kiedyś skaleczyli się przy stryżeniu albo waleniu młotkiem. To samo spostrzegł później u Rudy'ego i innych dostawców. Potem zrobił eksperyment, *ciach ciach*, i wyleciało trochę pieprzonej czerwieni. Dopadł go Silus i zapluł mu całą twarz, mówiąc, że nigdy, przenigdy nie wolno mu tego robić ani używać takiego słownictwa. Kazał nie pokazywać się sobie na oczy, po czym znalazł go i przeproszał, powtarzając, że czasami zapomina, jakie to wszystko dziwne.

- Tamtejsi - powiedział - mają na przegubie taki Znak, który pokazuje, że nie są Wybrańcami. To jest coś, czego nie mamy, co tracimy. No i oni, Klade, nie nazywają nas Wybrańcami, tylko mówią brzydkie słowa. Takie jak te, które po nich powtarzałeś. Troll, potwór, czasami - i to już nie jest źle, bo nawet brzydkie słowa się stopniują - odmieniec. Oni się nas boją, dlatego dekarze tak cię potraktowali.

- A od czego robi się ten Znak?

Długa pauza. Pieśń dziwnie ścichła i zapachniało głównie nowym dachem, czyli rżniętym drewnem i surowym kamieniem.

- Znak, Klade, robi się od eteru. My stajemy się Wybrańcami.

- A co to eter? Coś jak elektryczność?

Silus zastanowił się nad tym. Twarz miał gładką jak talerz.

- Chyba lepiej pokażę ci najpierw, czym eter nie jest, a potem dopiero wytłumaczę, co to takiego. Musisz w końcu dowiedzieć się trochę o świecie...

Silus pokazał mu rzeczy nazywane mapami - Klade widywał je wcześniej w reklamach („Jak dojść do naszego salonu”), ale nigdy naprawdę ich nie rozumiał. Niebieski, tutaj, to woda i jest jej naprawdę bardzo, bardzo dużo, a zielony — tak Klade, rudy też - to ziemia. Klade dotknął miejsca wskazywanego czarnym paznokciem Silusa, czyli Einfell, potem zerknął w bok przez łomocący gałęziami buk, ciekawy, czy zobaczy palec wystający z chmur. Silus się roześmiał. Wiesz co, Klade, czasami...

Klade zachwyił się mapami. Niebieska woda, której nie można pić, bo tyle w niej soli. Najbardziej podobały mu się te, na których cały ich kraj, Anglia, był narysowany malutki. Uwielbiał Afrykę, czarną w swym sercu, ale gorącą i jasną, bo pod większym słońcem. Uwielbiał Thule,

ludzie przeważnie mieli tam Rudą skórę - uważaj, Klade, bo zaczyna ci się mieszać. A pamiętasz, jak pytałeś o elektryczność, a ja powiedziałem, że w Einfeld jej nie mamy?

Dni stały się cieplejsze, za otwartym oknem gabinetu rozbrzmiewała pieśń pełna budujących gniazda ptaków i mchu, który zarastał nową połącz dachu. Silus trochę westchnął, trochę zachichotał. Oczy mu pojaśniały.

- Klade, to pierwsza rzecz, jaką mi pokazali, kiedy uczyłem się na elektryka. Tyle się od tego czasu wydarzyło, a ja i tak pamiętam. - Wyjął pręt z czegoś, co nazywał bursztynem, piękny, ciężki, i potarł go tkaniną, którą nazwał jedwabiem. - A teraz popatrz, co się stanie, kiedy go zbliżę do tych kawałków papieru...

Uniosły się i tańczyły jak śnieżne płatki. **Klade'a** aż **zatchnęło** z zachwytu.

*

Próbował pójść w drugą stronę Ślepą Drogą, gdzie wątle drzewka wyrastały spomiędzy bruku i leżały przewrócone przedmioty zwane latarniami. Czuł, jak wycieka z niego życie, i barwa, aż wreszcie z góry zobaczył **żywoplot** groźny od ogniociernia, pofałdowane wzgórza Tam w chmurach i we mgle, przetykane słupami i liniami, jakby świat był pozszywany i bez tego mógł się rozpaść. Stał bez tchu. Prawie już nie czuł pieśni i szkoda mu było tych szarych ludzi, Rudych, Tamejszych, że muszą żyć w pustym świecie, jaki sobie uczynili. Litował się, choć był zafascynowany.

Po drugiej stronie lasu leżało Miejsce Spotkań. Kojarzyło się z jeszcze nieobsikaną przez myszy gazetą, było szare i płaskie, otoczone wielką połącią trawnika. Latem o zmierzchu przychodził ją kosić mistrz Kosiarz, którego lepiej unikać, z jego dłońmi-niedłońmi wirującymi jak roje owadów o brzasku. Pieśń przypominała tutaj zimowy nurt wody, gdy Nieprzebyty Strumień zarastał lodem i niósł Klade'a w swych ramionach do środka Miejsca Spotkań, gdzie panował wszechogarniający zapach-niezapach.

Czasem do Miejsca Spotkań przyprowadzano ludzi - Tamejszych albo Wybrańców, Klade, to nie zawsze się liczy. Ale zawsze byli w Złym Stanie. Raz leżało tam coś, co nazywało się niemowlę, tak jak u kotów, kiedy mają kocięta. Jakiś Tamejszy zostawił je pod bramą. Zepsuło czyste

korytarze Miejsca Spotkań swoim **pojękiwaniem-bez-pieśni i słodkawym** zapachem. Klade patrzył na nie, a kiedy przestawało kwilić, szturchał je palcem, aż zaczynało znów, i wykręcił mu nadgarstek, żeby sprawdzić, czy jest Wybrańcem. I dalej nie był pewien. Ale nie podobało mu się, że skacze wokół niego tak wielu Wybrańców, że nawet Łowczy przyniósł mu kawały mięsa, które położył, **sinoczerwone** i krwawiące, na schodach Miejsca Spotkań, żeby znaleźli je z rana, a Ida kazała mu je zabrać i posprzątać. Nie podobało mu się, że zmieniła się nawet pieśń Ludzi-Cieni w głębi lasu.

Niemowlę miało twarz jakby zrobioną z błony i tylko jedno oko, które chyba nic nie widziało. To, Klade, samo w sobie nie oznacza, że ono jest Wybrańcem. Czasem po prostu się takie rodzą, tak jak te kociaki, które Silus zbierał do worka i wrzucał do kadzi u **Stalmistrzów**, robiąc to z miłosierdzia. Dziecko też długo nie żyło, no i dobrze, choć kiedy Klade to powiedział, Silus wściekł się na niego, jakby użył słów w **rodzaju** pizda, wiedźma, potwór albo jebany odmieniec.

Potem pojawił się ktoś, kogo Klade wziął za Nurka, bo przypominał mu **cechmistrza** ubranego w ogromny kombinezon do nurkowania z mosiężnym hełmem wyposażonym w okienka, który widział kiedyś na obrazku w „Bristol Morning Telegraph”. Tylko że ten Nurek zrósł się ze swoim strojem, cały wydawał się zrobiony z podgumowanej tkaniny, mosiądzu, szkła, krwawego mięsa i pętli skórzanych pasków. Nie miał nic wspólnego z morzem, pracował przy eterze. Pochodził z niedalekiego Invercombe, gdzie wchłonął tyle substancji, że w nocy świecił, a w dzień był ciemny, co nazywało się dziwoblaskiem. **Klade’owi** stanowczo zabroniono zbliżać się do niego - **Ty przede wszystkim nie, Klade** - ale on i tak zakradł się do Miejsca Spotkań i zajrzał przez dziurkę w drzwiach w dygoczącą ciemność, gdzie Nurek leżał na łóżku i dyszał swą okienkową twarzą, a Kwiat próbował zaklinać pieśnią jego ból. Wokół polatywały ciemne i jasne macki gazu, jak fragmenty Ludzi-Cieni.

Klade ucieszył się, kiedy Nurek odszedł, żeby spocząć pod ziemią, a Miejsce Spotkań znowu było puste. W korytarzach czuło się brak celu, co przypominało mu ogłoszenia z gazet o **Otwartych Dniach Cechowych**, które, jak wiedział teraz, odbyły się wiele lat temu. Teraz przychodził tu często, gdy nie było nikogo, i przynosił te nowe napoje w puszkach, które bardzo polubił, i za każdym razem prosił mistrza **Rudy’ego**, żeby je przywiózł. Nazywały się Słodycz i dokładnie takie były, **Z dodatkiem słodkogorza**, który był **Produktem Nowego Wieku**. Była **Dojrzała Malina**

i *Miodowa Pomarańcza* i *Kandyzowane Jabłko* i *Łagodny Tonik*, a Klade uwielbiał, siedząc w korytarzu oparty plecami o zimną białą ścianę, czytać wypisaną na nich drobnym drukiem listę składników. Potem, z ustami wypełnionymi słodką, tajemniczą goryczą, wędrował po pokojach poświęconych ponurym Wiekom, w których Wybrańców zakuwano w łańcuchy, więziono i piętnowano krzyżem z wielką literą **C**. Poplamione ryciny i fotografie przedstawiające Wybrańców w całej ich wspaniałej różnorodności uspokajały go i fascynowały. Z pełną ciekawości ekscytacją, przypominającą uczucie, z jakim oglądał reklamy Higienicznych Podwiązek i Sprzączek, eksperymentował, zamykając sobie skrzypiące kajdany na rękach czy nogach, choć były na ogół tak duże, że jego dłonie i stopy swobodnie przez nie przechodziły.

Potem ze swych własnych, tamtejszych powodów przyszli kolejni Tamtejsi, nagle i niespodziewanie, jak to oni. Nie, Klade, nie przynieśli nic do jedzenia, a już na pewno nie twoje ukochane puszki. I w Złym Stanie też nie są. Czasami są podobni do nas i przychodzą tylko, żeby się przywitać, tak jak ty chodzisz do Stalmistrzów. Ci akurat Tamtejsi byli z Yorku, który, jak się dowiedział Klade, wcale nie leżał w Afryce, ale zachwyił się tym zbiegiem okoliczności i chciał podzielić się nim z Idą, lecz poczuł smutne wzburzenie jej pieśni i poczuł węglową wilgoć jej twarzy.

- Klade, siedź po tej stronie Miejsca Spotkań i nie łaź nigdzie - powiedział Silus. - Wolałbym, żebyś się nie **pokazywał**, kiedy przychodzą.

- A czemu? Bo myślą, że jesteśmy goblinami i kradniemy im dzieci, choć naprawdę oni zostawiają je pod bramą?

Silus seplenił i chrypiał. Jego wzrok osiadł na **Kładzie** jak powolna mgła. *Nie potrafię na ciebie krzyżeć. Proszę, zrób, jak mówię.*

Klade znał już przejścia i korytarze, którymi mógł się **przekraść**. I wiedział, którymi oknami mógł zaglądać. No i oto przyszli. Tamtejsi. Duzi i mali, o grubych i cienkich głosach i bez śladu pieśni, trzymali się jedno drugiego, jakby słabo widzieli albo się zgubili.

- No chodź, Stan. Mówiłeś, że chcesz.

— Niezły, kurna, sposób na spędzenie niedzieli.

I był tam Silus, i była Ida, od **stóp** do głów owinięci obszernymi zielonymi pelerynami, w kapturach, które całkiem ich zasłaniały, jakby się wstydzili, że są Wybrańcami.

— Jezu, Ida - jęknął Stan.

Klade mniej więcej wiedział, kto to Jezus - Jezus umarł i był bardzo ważny - i wiedział też, że jego imienia nie należy **używać** w ten sposób.

Nie wiem co powiedzieć. Moje dzieci — tak wyrosliście! Czy to w ogóle wy? To ty, Terry? Co się stało z twoimi złotymi lokami...

— Jezu, nie rób tak! Nie mów mi w głowie!

Nie umiem inaczej. Nie mam...

Klade zdziwił się, gdy Stan zakrył uszy przed pieśnią Idy. Nawet przy zwykłych dźwiękach to nie bardzo pomagało i oczywiście Idy nie zatrzyma. Ale cała scena trwała zaskakująco długo, a Tamtejsi szlochali i wyli, hałasując gorzej niż Rolnicy podczas dojenia bydła. Nie spodobali się **Klade'owi** - przede wszystkim przez swój wpływ na Idę. A Silus, próbując Wszystko Załagodzić, seplenił gorzej niż zwykle i nie wychodziło mu nic, poza sykiem i pluciem.

Tamtejszy zwany Stanem w końcu wyrwał się z Miejsca Spotkań w szare światło pięknie utrzymanego trawnika mistrza Kosiarza. Klade, ciekawski, poszedł za nim przez boczne drzwi i obserwował zza węgła, jak Stan ociera twarz, rozgląda się po lesie, jakby był czymś strasznym, choć o tej porze nie było Ludzi-Cieni ani Łowczego. Potem Stan parsknął jeszcze raz i zaczął mozolnie wykasływać mnóstwo rzeczy ze środka; Klade zdziwił się, że ma tego tyle i tak kolorowego, zważywszy że mistrz Rudy wypluwał tylko małe rude kulki.

Stan skończył i otarł usta. Sprawdził coś na nadgarstku, poniżej Znak (to coś, jak wiedział Klade, nazywało się zegarkiem), jego wzrok powędrował ku głównemu wejściu do Miejsca Spotkań, a potem zatrzymał się na **Kładzie**.

Klade stał bez ruchu, Stan przez chwilę też, napinając i rozluźniając mięśnie szczęki, łapiąc powietrze jak ryba z Nieprzebytego Strumienia, z twarzą jeszcze bardziej popstrzoną białymi plamami.

- Słodki Jezu! Tu jest jeszcze gorzej, niż myślałem...

Znowu kaszlnął, odwracając się od Klade'a, plując i **chrzając**. Potem wrócił do środka Miejsca Spotkań przez lśniące drzwi, a Klade schował się - tym razem porządnie - aż w końcu i on, i pozostali Tamtejsi poszli sobie. Nie pierwszy raz miał z nimi przykre doświadczenia. Wiedział już, że cokolwiek to jest, co każe Tamtejszym tak reagować na widok Wybrańców, u niego jest najsilniejsze; silniejsze nawet niż u mistrza Kosiarza. Zwykle się nie przejmował, nawet tym, co mówił mistrz Rudy, o ile przywoził mu puszcзки Słodyczy, dziś jednak był niewytłumaczalnie wściekły. Kiedy siedział na pustym biurku w najdalszym z pokoiów Miejsca Spotkań, kąpiąc w dudniącą blachę szafki na akta, przyszła doń Ida. Nastroj miała szary i mokry; smutek wyciekał z niej jak deszcz z nieba.

Strasznie mi przykro, Klacie. Ludzie umieją tak boleśnie ranić. W pewnym sensie Einfell rzeczywiście jest azylem...

- Bo inaczej dlaczego byśmy tu mieszkali?

Poczęstował szafkę **kolejnym** grzmiącym kopniakiem.

Klade, wszyscy rodzimy się Tamtejszymi. Wybrańcem zostajesz, kiedy wciągnie cię zakłęcie.

Klade kiwnął głową. **Bum, bum**, zrobiła szafka na akta, brzmiąc pustką w pieśni - dokładnie tak się czuł. **Bum!** Wiedział wszystko, co chciała powiedzieć Ida. **Bum!** Zagapił się w ścianę. Wisiały tam zdjęcia - ale w rym pokoju akurat nie Wybrańców, lecz tak zwanych dobroczyńców i przyjaciół Einfell. Kobiet i mężczyzn. **Cechmistrzów i cechmistrzyń.** Pań i panów. Stan i Eddie, i Matka, i Terry. Te imiona, które sobie nadają. I kurwa dużo ich jak kurwa chuj.

Kiedy tu przybyłeś, Klade, kiedy pierwszy raz cię tu przynieśliśmy, myśleliśmy, że...

- Nawet mi o tym nie mów!

Ale...

- **NIE!**

Mimo coraz bliższego wieczoru, w pokoju nadal było jasno, przy tak czystych oknach i szybkach w ramach lśniących tak mocno, że czystością swego światła rozmywały **fotografie** wewnątrz. Klade przypatrzył się wszystkim po kolei. W szybie za każdym razem widział taką samą twarz, mrugającą i krzywiącą się ze zdumienia. Twarz Tamtejszego.

Klade rósł. I na swój szczególny sposób się zmieniał. Prawie samodzielnie rozładowywał co **pracokres** dostawę żywności od mistrza **Rudy'ego** i sam układał ją w tak zwanej Nowej Szopie, gdzie kory **przepłaszają** szczury. Mistrz Rudy, który miał na imię Abner, rozmawiał z nim teraz bardziej swobodnie i rzadziej spluwał, chociaż **prymki** tytoniu żuł nadal; i mówił Klade'owi, że ma nigdy nie popaść w ten obrzydliwy nałóg.

Klade zaczął też brać udział w decydowaniu, co zamówić, zwłaszcza we wszystkich nowych promocjach, a już szczególnie puszek Słodycy w **ich** zaskakujących nowych smakach.

- Spokojnie - mówił teraz, widząc nowego Tamtejszego wysiadającego z furgonu czy wozu (bo nauczył się już niemal idealnie ich odróżniać). - Spokojnie, ja nie jestem żadnym...

Wycwicył ten zwrot i uśmiech przed lustrami ramek na zdjęcia w Miejscu Spotkań. Na te chwile kontaktu nauczył się wyciszać w sobie pieśń, żeby go nie rozpraszała. Zrozumiał bowiem, że nie jest jak zatruty eterem Nurek, lecz jak to niemowlę, które **pomiaukiwało** i cuchnęło. Nigdy nie był w Złym Staniu, po prostu matka zostawiła go w jakimś **bristolskim** przytułku - w gruncie rzeczy to prawie to samo, jakby podzuciła go pod bramę Einfell.

Silus czy inny z Wybrańców czasem udawał się **Tam**. W końcu wystarczyło wgramolić się na błyszczący zielony wóz i zaprząć piękne, wypiełgnowane przez Rolników konie. Ale Klade i tak się nie spodziewał, że Silus przyjdzie do niego któregoś ranka ubrany w swą najelegantszą szarą pelerynę i oznajmi, że czas, aby Klade też pojechał.

- Czemu?

Silus wydał zbliżony do śmiechu odgłos.

- Klade, tyle się naczytałeś tych gazet! *Myślałem, że aż się palisz, żeby...* Masz, włóż to. - Wyciągnął ku niemu drugą pelerynę.

- Ale czy **ja...**? No wiesz, czy oni **nie...**?

- Klade, posłuchaj. Jedziesz *ze mną. Widziałeś, jak ludzie na mnie reagują...*

Na Podwórzu dla Trzody już czekały konie, a kiedy wóz ruszył i Einfell zostawało z tyłu, Klade cieszył się ze swej peleryny. Minęli brzeg lasu, który wydawał się ciemny, zgrzebny i dziwny. Minęli trawnik, z Miejscem Spotkań pływającym pośrodku jego zieleni. Silus rozmawiał z końmi. Jego pieśń była czymś pochłonięta i osobliwa.

- Klade, otworzysz mi bramę? Trzeba tylko podnieść rygiel.

Jęknął zardzewiały metal. Niesamowicie, że Klade nigdy sam na to nie wpadł. Potem wsiadł z powrotem do wozu i już znaleźli się Tam. Żywopłoty były zielone, a droga długa i płaska. Były też pola. W oddali, a czasem bliżej, widział równiutkie kalenice tylnych ścian domów. Za drewnianą furtką zaczął się rzucać pies. Pierwszy, jakiego Klade widział w życiu, poza stronicami książek i myślami Idy.

Podczas tej pierwszej i następnych podróży Klade zdumiewał się, jakie wszystko jest do siebie podobne. Jedno pole jest kwadratowe i następne też. Zastanawiał się, jak Tamtejsi wiedzą, do którego domu iść spać, i skąd Silus wie, w którym miejscu tych identycznych ścieżek ma skręcić. Pieśń była jałowa, prawie zanikła, a cisza rozbrzmiewała odgłosami koni i grzechotem wozu. Oddech i bicie serca, dotyk pośladeków na ławce i język, uwięziony, milczący pieśnią w ustach, niewyraźne skupienie powożącego

Silusa. Pojawiły się inne wozy. Całe skupiska domów o prostych kominach, z ogrodami jak maleńkie wycinki pól i tak samo kwadratowymi. I okna, wpatrujące się w nich szklane oczy. Jak zauważył, niektórzy Tamtejsi gapili się, inni nie. Czasami odwracali głowy i spluwali jak Abner Rudy, inni tulili do siebie małych Tamtejszych, dziwnie układali swe czerwone usta i rysowali jakieś znaki na piersi.

Odkrył jednak, że i Tam można usłyszeć urywki pieśni. Jeden z pierwszych dobiegł go z mijanej kuźni - poznał ją po dymie i łomocie młotów, a potem po spoconym śpiewie mężczyzn, którzy byli **stalmistrzami**, a mimo to mieli zwyczajne, cieliste dłonie i twarze Tamtejszych. Klade zatęsknił za domem. Potem słyszał tryle i kaskady innych nut, niespodziewane i nagłe, dochodzące z miejsc zwanych domami cechowymi, ze zgiełku innych warsztatów, młynów i fabryk, a także kiedy wóz przejeżdżał pod czarnymi liniami wijącymi się na długich palcach słupów - tam pieśń była szeptliwa i intensywna. Przechylił głowę i ucieszył się, widząc splatającą się między wierzchołkami drzew a niebem kolejną linię. Ale tym razem pieśń była całkiem inna. Prawie jak nie pieśń, płynęła blade, choć znajomo. Zjeżyły mu się włoski na wierzchu dłoni. Jak się dowiedział, były dwa rodzaje słupów. Jedne należały do Telegrafistów i przносиły wiadomości, drugie do Elektryków i przносиły elektryczność, a oba były dumą i atrybutem swego cechu.

Dojechali do Bristolu. Tutaj pieśń kryła się w budynkach, o ile to były budynki, bo wyrwane z gazet i nadmuchane, wielkie i kolorowe, przerażały wyobraźnię Klade'a. Do tego dochodził tumult zwykłych dźwięków i cechowych dzwonów. Tamtejsi roili się tu jak stonogi, pędzili w górę i dół ulic, a mały wóz **Klade'a** i Silusa całkiem gubił się w gęstwinie ruchu.

Silus musiał załatwić tak zwane Sprawy, czyli, jak się okazało, zapłacić różne rachunki wiążące się z prowadzeniem Einfell i zarządzać funduszami, które zgromadzono dla nich na początku Wieku. Klade musiał pamiętać, aby przed wysiadaniem z wozu naciągnąć kaptur. Zimny wstrząs chodnika. Ciała, łokcie i zapachy. Słowa **wychrzakiwane** chodnikowi przez lśniące plwociny lądujące koło jego stóp. Troll. Bękart. Odmieniec. A gdy stał i czekał, aż Silus zorganizuje przechowanie koni, nauczył się patrzeć w górę na wijące się linie, telefoniczne i elektryczne, na wyolbrzymione reklamy z jego gazet. Słodycz **śnieguliczki**. Szarlotka Bessie z wodnych jabłek. Potem ciemne gabinety o pełnych ornamentów ścianach i sufitach, o zadymionym powietrzu pełnym czasem ciężkiej, a czasem wątlej pieśni, gdzie Tamtejsi zwani Księgowymi radzili się maszyn

znajdujących się jednocześnie daleko i blisko i nazywanych maszynami obliczeniowymi, czyli, jak podejrzewał Klade, całkiem różnych od maszyny napędzającej furgon Abnera Rudy'ego. Z czasem zaczął rozumieć coraz więcej z tamtejszego świata. Wzrok mężczyzn zza biurek, utrzymujący się na nim, kiedy nie patrzył, i uciekający, gdy spojrzał. Drżenie rąk, którymi podawali Silusowi pióro, żeby podpisał. Oddychanie przez nos, jakby mimo woli czuli coś obrzydliwego. Kiedy wychodzili, słowa szeptane ciszej niż wypluwane na ulicy, ale i tak te same.

Kurwa!

Odmieniec!

Wiedźma!

Jezu!

Boże drogi!

Troll!

Silus zabrał Klade'a na tamę w Clifton. Tutaj łączyła się pieśń eteru i elektryczności, a także wody. Patrzyli z góry, jak wytryskuje potężnymi lukami i spada w odległy wąwóz. Długo stali tam, wysoko nad miastem, a Klade nie czuł się samotny, pieśń bowiem była tu prawie tak silna jak w Einfell, choć czystsza i elegantsza. Słupy szły w dal po wzgórzach, a jego myśl leciała z nimi. W naładowanym, mglistym powietrzu mrowiła go skóra. Silus wdał się w dyskusję nad szeleszczącymi arkuszami planów — cechmistrzowie nieomal gięli się przed nim w ukłonach, a w ich oczach nie było już widać paniki. Klade przeszedł kawałek kołyszącą się galeryjką. Pozwolił sobie przesunąć palcami po zapoconych zwojach rur ponad niesamowitą przepaścią. Patrząc w dół, pozwolił sobie nawet troszkę odciągnąć kaptur z twarzy.

- Patrzcie no, przecież to straszdyło.
 - Najstraszniejsze, że wygląda normalnie.
 - Ale ciekawe, czy ma fiuta.
 - A widzieliście tego drugiego? Twarz jak czaszka, tylko że z oczami.
 - Stary Manny cały ranek się trząsł.
- Klade odwrócił się ku tym uwagom.
- Wszystko w porządku. Naprawdę nie jestem...
 - I gada.
 - Raczej szumi. Jakby lal.
 - Co to za akcent, kolego?

Dwóch młodych Tamtejszych. Mężczyzn - chłopców właściwie, Klade bowiem umiał już odróżniać te rzeczy - z podwiniętymi rękawami,

owinięci pasami na narzędzia. Jeden miał za uchem papierosa, twarz drugiego była nieco zniekształcona wykwitami czerwieni, choć na pewno nie był Wybrańcem. Klade czuł na twarzy ich płamiasty, gęsty oddech Tamtejszych. Cofnął się o krok, muskając plecami poręcz galeryjki.

Jeden chwycił go za pelerynę. Klade był pod spodem ubrany, ale poczuł się nagi.

- Może jednak ma fiuta...

- Nawet by nie wiedział, co z nim zrobić. - Dłoń ciągnąca za płaszcz zjechała w dół. Palce zacisnęły się taksująco na niespodziewanym elemencie anatomii Klade'a. - Biedak.

- Może go popieścimy prądem. Zobaczymy, ile woltów...

- Albo po prostu wyrzucimy za balustradę.

- Hopla!

- Jak na kogoś zrobionego z czarów, to całkiem ciężki.

Poczucie fizycznego otoczenia ciałami Tamtejszych było dla Klade'a tak dziwne, że nie od razu zdał sobie sprawę, że jego stopy już nie stoją na galeryjce, a poręcz ucieka spod pleców. Wisiał w powietrzu. Dłoń, która już nie ścisnęła go w kroczu, pozostawiła tak silne wrażenie, że nadal ją tam czuł. Zobaczył cały bok zapory, wspaniałą ścianę z zamienionej w beton pieśni, nieskończenie spadającą wodę, jej pomarszczoną i spienioną powierzchnię daleko w dole. W zasadzie było to nawet przyjemne - poczuł żal, słysząc krzyki i czując, że jest gwałtownie stawiany z powrotem. Chłopcy go otrzepali. Wyszczzerzeni od ucha do ucha, poprawili mu pelerynę. „Tak się tylko bawimy. Nie ma co się złościć”. Ale w drodze powrotnej do Einfeld Klade pomyślał, że Silus naprawdę wygląda tak strasznie, jak czasem szeptem mówili o nim Tamtejsi. Strzelał lejcami, był zły na konie.

Klade zadbał teraz, żeby otrzymywać aktualne gazety: „Bristol Morning Post”, „Evening Telegraph” albo „London Times”, czy po prostu stary dobry „Taunton Advertiser”, jeśli nie było nic innego. Czytał je od deski do deski, od winiety po ogłoszenia o przyplływających statkach. Wydawało mu się, że o wiele lepiej rozumie świat Tamtejszych dzięki gazetom, niż widząc go na własne oczy.

- Wiesz co, nie powinienś tego kupować — powiedział mu któregoś dnia Abner Rudy na Podwórzcu dla Trzody, gdzie o nogi ocierało mu się nowe pokolenie kotów, a Klade wynosił z wozu karton z dwoma

tuzinami puszek najnowszego smaku Słodocy, czyli *Porzeczkowego Snu*, którego smak w zasadzie mógł sobie wyobrazić, choć nigdy go jeszcze nie kosztował. - Sama chemia. I zabiera pracę porządnym Bristolczykom i plantacjom trzciny na Wyspach Szczęśliwych.

Wróciwszy z szopy po kolejne pudło, Klade już zdecydował, że przekonywanie dostawcy jest bez sensu. Przecież Rudy mógłby po prostu nie sprzedawać towaru, jeśli jest mu przeciwny. Tamtejsi byli pod tym względem - niedostrzegania rzeczy oczywistych - prawie jak Wybrańcy. Wiedział, jak Abner czy dowolny inny handlarz zareaguje na opinię kłócącą się z ich poglądami. A on był tylko jakimś tam odmieńcem, tym bardziej dziwnym, że wyglądał na Tamtejszego - *Słyszysz tego pieprzonego malego goblina?* - chociaż był Klade'em.

Ale i tak się zorientował, o co chodzi. Nawet Silus mówił, że fundusze zorganizowane przy zakładaniu Einfell nie przynoszą już takiego dochodu jak kiedyś. Dla Klade'a idea pieniędzy była prosta - oparta na dodawaniu jednego funta do drugiego. Rozumiał też spadające ceny akcji i fakt, że jeśli zyski są mniejsze, mniej płaci się ludziom, którzy wtedy mają mniej do wydania; artykuły w „Bristol Morning Post” nazywały to błędnym kołem. Widział, co się dzieje, bo furgon Abnera został byle jak przemalowany na Zaopatrzenie Leśników, a zaraz potem farbę zeszlifowano w ogóle, napisy zniknęły. Słyszał syczące skargi Silusa, że coraz trudniej związać koniec z końcem.

Teraz, gdy Silus jechał do Bristolu, Klade zniknął. O wiele bardziej wolał, powtarzał sobie, porządkować zapasy i je zanosić - jedzenie, czasami jakieś inne zamówienia - w zakątki Einfell, gdzie mieszkali co bardziej widmowi i samotniczy Wybrańcy. Słońce czy słońca, był jak Łowczy ze swym łupem, zostawiał zapasy na poplamionych parapetach okien albo na skraju lasu, w którym polatywali i pojękiwali Ludzie-Cienie. Pogwizdywał, czego nie umiał żaden spośród Wybrańców. W końcu po co ma jechać Tam, skoro wie o nim więcej niż niektórzy Tamtejsi? Był jak te ptaki, które patrzyły z wysoka w reklamach „Naszej Fabryki” z dymem wijącym się z rzeźbionych kominów; był jak Bóg Najstarszy, co podobno unosi się gdzieś nad mapą całego świata. Gwizdał do siebie i spacerował, nie bojąc się niczego. A wszyscy Wybrańcy wiedzieli, kto idzie - nawet najbardziej szaleni Ludzie-Cienie zmieniali swą pieśń. Był bowiem jedyny w swoim rodzaju. Był Klade'em.

Czasem przyjeżdżali nowi Wybrańcy. Niektórzy tak odmienieni, że **przyłączyli** się do leśnych Cieni albo znajdowali sobie miejsce w Dalekiej Wsi. Inni, jak kiedyś Nurek, zatrzymywali się na jakiś czas w pokojach Miejsca Spotkań, żeby tam umrzeć, a Kwiat śpiewał im, aż cierpienie ustało. Lecz Fay zupełnie nie przypominała Nurka ani zresztą nikogo z Wybrańców, bo każdy był tak niepowtarzalny jak zakłęcie, które go zmieniło. Przez parę **pracokresów** wędrowała po posiadłości, wlokąc za sobą strzępy obszarpanej taftowej sukni, w której ją przyprowadzono, dopóki Silus nie posłał **Klade'a** z czymś lepszym.

– **Proszę...**

Na jego bliskość podskoczyła jak oparzona, choć obserwowała go cały świt przez pole ostu, przysiadłszy na omszonym skraju lasu.

- Przysłali mnie, żebym ci to dał.

Złapała rzeczy, obwąchała je i wycofała się w półmrok, potem znów podeszła i chyba wreszcie spojrzała nań jak należy swymi szalonymi oczyma schwytanego ptaka.

Klade nie sądził Wybrańców po wyglądzie, ale powierzchowność Fay go zaintrygowała. Skąpy przydzwiewek mógł pochodzić z poplamionej deszczem reklamy **Damskiej Galanterii**, mimo że jej szyja, ramiona, ręce i to, co mogło być biustem, zbiegały się w jeden piramidalny, spadzisty kształt zwieńczony wystającym spomiędzy resztek włosów zębątem grzebieniem. Dłonie miała maleńkie, a jej skóra pod plamami z mchu i błota mieniła się wirami, ciemniała i tak jak zmierzch nie miała konkretnego koloru. Może jej przeznaczeniem jest dołączyć niedługo do Ludzi-Cieni i żyć tam z nimi, w zimnie i deszczu. Może umrze. Ale i tak przyniósł jej trochę jedzenia, lekkiego morskiego ziemniaka w Sosie Pomidorowym **Tamana**, **Marka numer jeden**. Podał jej puszkę.

- Możesz **to...**

Wyrwała mu ją z dłoni i uciekła między drzewa. Ale następnego wieczoru wróciła w to samo miejsce. I następnego.

- Co to za miejsce? Hades?

– Nazywa się Einfell. Musiałś o nim słyszeć.

Fay leniwie przeżuła kolejnego morskiego ziemniaka i drobnutki-mi brudnymi rączkami pozbierała z siebie okruchy. Ubrania, te stare i te darowane, mało co zakrywały. Klade zauważył, że nawet jak na standardy Wybrańców jest między nogami urządzona całkiem inaczej niż on.

- Umiesz mówić, nie mówiąc?

Fay z pełnymi ustami pokręciła głową. Nie rozumiem... Niektórzy nigdy tego nie **łapali**. Ida mówiła, że pamiętanie - albo **niepamiętanie** — jest dla Wybrańców najtrudniejsze. Zaczął codziennie znosić jakieś rzeczy na ten skrawek lasu, gdzie się chyba zadomowiła. Kawalki koca z wozu organizacji dobroczynnej. Sztachety i blachę falistą do ochrony przed deszczem. Gwoździe, żeby to wszystko zamocować. Pogwizdywał, wałąc młotkiem, kiedy wyjął je z ust. W lesie, głębiej, kwitły już dzwonki. Niedługo przyjdzie lato.

- Mieszkałam kiedyś w Bristolu - powiedziała, rozumniejsza teraz i bardziej pewna siebie, gdy kucali pod niskim, **grzechoczącym** daszkiem, który jej zmajstrował.

- Pokażesz mi?

Dotknęła go. Jej skóra zawirowała. Ujrzał dom wciśnięty w szereg innych, wypełniony płomykami, dymem fajkowym i słodkim **talkowym** zapachem. Na parapetach stały wazon, schody były przykryte dywanem i nie czuło się zapachu zgnilizny. Następnego wieczoru pokazała mu to jeszcze raz. Zobaczył teraz Bristol barwniejszy niż w gazetach, lepszy niż miasto, które widział podczas wyjazdów Tam z Silusem. Tak, to o wiele bardziej mu się podobało. W „**Evening** Telegraph” były teraz Lokauty, były Procesy, były Marsze. We Wstępniakach i Listach do Redakcji dyskutowano nad kwestią pańszczyzny, nazywaną przez niektórych niewolnictwem. Lecz w Bristolu, gdzie zabierała go Fay dotykiem swych wirowych palców, nie było takich debat - były tylko przejażdżki tramwajami w słońcu i zimne napoje w piwnych ogródkach Pod Zieloną Pergolą. Były tylko statki cumujące do nabrzeża Marii Panny wśród falującego lasu, był festyn **Gorama** i wata cukrowa, która wypełniła usta Klade'a, choć nigdy jej nie próbował — była niemal lepsza niż sama Słodycz.

Pola ostu żółkły, a Klade, szukając po szopach i opuszczonych domach rzeczy, którymi mógłby poprawić warunki życia Fay, jeszcze raz doszedł do końca Ślepej Drogi, gdzie stał już kiedyś i zapatrzył się Tam. Tylko wzgórze, drzewa i mignięcie daleko czegoś, co wygląda na morze. Poza wynikającym z pory roku światłem i kształtami chmur nic się nie zmieniło. A te linie telefoniczne biegły tuż przy porośniętym ogniocier-**niem** płocie Einfell, jakby zastanawiały się nad wejściem. Silus powiedział zresztą, że kiedyś tu były i nadal idą, jakimś podziemnym kanałem, do opuszczonej budki w lesie. Stając odpowiednio blisko, słyszał nawet i czuł ich charakterystyczne rżenie, jakby **poskrzypywanie** odległych

drzwi. Roześmiał się w głos, pomyślawszy, jaki stałby się świat, gdyby zjednoczyć Tam i Einfell, całkiem jakby **znalazł** się we wspomnieniach, które pokazała mu Fay.

- Klade, czy ty na pewno się jej nie naprzykrzasz? - zapytał go Silus.

Musisz pamiętać, dodała Ida, **że wspomnienia są trudne**.

Mieli jeszcze jakieś wątpliwości, które skryli przed nim mimo jawności swych pieśni. A Klade przecież pomagał Fay przeżyć jeszcze raz życie - to jej na pewno pomoże. Był jej przewodnikiem, a ona jego. Pikniki, najlepszy cydr z Nailsea, wiszące latarnie Pod Pergolą, pod pędzącymi gwiazdami, kołyszące się od blaszanego **umpa-umpa** orkiestry dętej.

Była pełnia lata. Więcej niż pełnia. Klade, gwizdząc, z nowym kawałkiem brezentu pod pachą (dla ochrony, bo może w końcu spadnie **deszcz**); **przeszedł** przez falujące skwarem pola i zastukał w falistą blachę schronienia Fay. Nie było potrzeby - ona zawsze siedziała w tym ciemnym schowku, który zbudował dla niej na krawędzi upalnego lasu. Wyglądało na to, że nie zauważa gorąca ani smrodu.

- Silus mówi, że powinnaś wprowadzić się do nas, do Wielkiego Domu. Tyle tam wolnych **pokoi**...

Nie jestem pewna, na razie...

Zaszeleściła, **zaskrobała**. Bardziej niż przy innych Wybrańcach wydawało mu się, że są dwie Fay - jedna tylko w pieśni, druga prawdziwa - i obie niemal całkiem oddzielne. Mimo to prawie widział w niej młodą Tamejszą kobietę, którą niegdyś była. W kształcie dłoni. W cienieści krzywiźnie piersi i bioder. Jej ciało zawirowało, dotykając go, sprowadziła sny, ale Klade był coraz bardziej świadom, że Fay kiedyś była kobietą, a po części jest nią nadal.

Wylądasz...

Nachyliła się, dotknęła jego twarzy.

Jak człowiek...

Już wcześniej prosiła go o lusterko, ale w Einfell nie było luster, poza błyszczącymi szybkami ramek na zdjęcia w Miejscu Spotkań - Klade nie potrzebował napomnień Silusa, by wiedzieć, że lepiej ich Fay nie pokazywać.

- Kiedyś myślałem, że jestem Rudy.

Rudy? Nie, Klade, jesteś jasny i ciemny...

Gorącymi palcami obwiodła jego włosy, usta, mokre od potu policzki. Z zaciekawieniem obrysowała uszy. Usłyszał własny basowy śmiech.

- Nie, Rudy, kiedyś tak myślałem... Trudno to wytłumaczyć...

Ale **półprzejrzyste** jak mgła palce badały **dalej**. Świergotały świerszcze, blaszany dach promieniował ciepłem, Klade czuł jednak zimno, smutek i ciepło jednocześnie. Przypomniały mu się czasy, kiedy Ida go strzygła. Wtedy tak samo mu się wydawało, że pieśń skupia się na nim - teraz natomiast czuł coś jeszcze, coś silniejszego. Cierpko-miodowy posmak słodkogorza w ustach, napięcie w kroczu. Jeszcze raz się zaśmiał, tym razem wysokim głosem. Musiał się odsunąć.

Przepraszam...

- Nie, Fay, nie przepraszaj. To przeze mnie. Przez mój głos. Ja też się zmieniam.

Ale mam pomysł.

- Tak? - Głos mu zadrżał. - Jaki?

Klade, będziesz moim lustrem.

Jeszcze raz wyciągnęła dłoń ku niemu, a z oczu Klade'a zniknął podobny ropusze stwór kucający przed nim w oświetlonej księżycem głębi cuchnącego legowiska. Zastąpiła go złoto obramowana, o wiele **jaskrawsza** i realniejsza niż cokolwiek dotąd widzianego młoda Tamtejsza - z długimi puklami hebanowych włosów, które czesała srebrnym grzebieniem - podśpiewując uśmiechniętymi tajemniczo czerwonymi ustami, rozbawionymi beztroską głupotą tego świata. Nagie ramiona. Odblask ognia na wypukłości piersi. Może miała coś na sobie poniżej krawędzi lustra, a może nie. I tak była ideałem, stwierdził Klade.

Gorący odór i bałagan budy na skraju lasu.

Czyli Fay się cofnęła.

Taka byłam.

Silus wyraził zdumienie, kiedy Klade się uparł, że chce jeszcze raz **pojechać** Tam. ***Myślałem, że już cię nie interesuje...*** Klade wyjaśnił jednak, co chce zobaczyć, i Silus przestał się dziwić, choć nadal był niechętny.

- Czytałeś w gazetach. Nie wiesz, że Bristol nie jest teraz bezpieczny?
- Mieszka w nim pół miliona ludzi. Jak niebezpiecznie może tam być?
- Nawet nie jestem pewien, że to miejsce, z którego cię wzięliśmy, nadal istnieje. Ani że będziemy tam mile widziani.
- Ale przecież zawsze mi powtarzałeś, że to ważne dla Wybrańców zrozumieć, kim są.

Na to Silus pochylił głowę, choć wcale pomysłu nie zaaprobował. W jego partii pieśni pojawiła się milcząca rezygnacja, znużenie. Zgodził się jednak. Skóra Idy w tym upale wyschła i zeszywniała jak łuski szyszek, tak że Klade, gdy Rolnicy przyprowadzili na dziedziniec konie i pieczołowicie umyty furgon, czuł jej ból aż z Wielkiego Domu. Wyrósł z peleryny, w której chodził kiedyś, a nowa drapała i dziwnie się w niej czuł. Dlaczego w ogóle musi się ukrywać, skoro jest **Klade'em**, panuje upał, jest za gorąco na te grube odzienie i trudno nawet oddychać?

Zapach skóry i koni. Gorąca smoła drogi. Powietrze było mętne nawet nad pozbawionymi pieśni polami, a w miarę zbliżania się do miasta zaczynało wirować ciemnym i cierpkim posmakiem przemysłu. Dzisiaj Bristol naprawdę miał bezbarwny kolor jak z gazety. Nieustająca żalosna pieśń Silusa też była częścią wielkiego miasta, snując się jak rynsztoki i obwisłe sznury z praniem. Słońce pociemniało, zapachniało jakby palonymi włosami. Przebiegli krzyczący ludzie, załomotały i zakołysały się burty wozu. Pośrodku ulicy, gdzie wił się dym, stali ludzie w mundurach.

- Stać! Kto **jedzie?! Duchy!** Przyjacielu, naprawdę powinienes wracać. Nie odpowiadamy za tych szaleńców.

Silus jednak nie ustąpił. Zerknąwszy na **Klade'a**, rozstąpili się wokół barykady, szarpnięty przez konie wóz podskoczył na rozbitym szkłe i porzuconych transparentach. W bocznej ulicy płonęło parę budynków, a na słupie latarni dyndał ktoś powieszony za szyję. Dziś pieśń miasta była mroczna i bezkształtna.

Podjechali pod górę w spokojniejsze rejony, gdzie niespodziewanie wyszło słońce. W dole widzieli ogrody i spowity dymami Bristol.

- **To** tutaj, Klade. - Silus otarł wilgotne usta wyglądające jak otwarta rana. - Miejsce, które podobno chciałeś zobaczyć.

Konie zachowywały się teraz spokojniej, choć uczucia Silusa były zaraźliwe, nawet kiedy bardzo starał się je ukryć. Teraz się bał - Klade widział to, kiedy zsiadali. Przecież tutaj było tak spokojnie. Długi mur, zza którego wystawały gałęzie krzewów różanych, porzewiała brama z kutego żelaza, ze znakiem, którego skręcony metal i parę **uwięzłych** w nim liści mówiły: ZAKŁAD ŚWIĘTEGO ALPHEGE'A DLA KOBIET CECHOWYCH W OPRESJI.

- Nigdy go nie widziałeś w gazetach, Klade, bo to nie tego typu dom.

Ścieżka pozarastała lawendą i łożą, okna były zabite deskami. Nigdy wcześniej nie zwrócił uwagi, że brak pieśni Tam może mieć różne

klimaty - to miejsce mówiło, że od dawna jest opustoszałe. Brama zaś była zamknięta łańcuchem i urządzeniem, które, jak wiedział Klade, poraziłoby go przy próbie otwarcia. Cokolwiek tu było, przestało działać wiele lat temu.

– Nie wiedziałeś, że jest zamknięte?

- Nie utrzymywaliśmy kontaktu. Klade, taką mieliśmy umowę.

– To wygodne.

– **To** nie tak, Klade. Dziewczyny przychodziły do **Alfiego**...

- Alfiego?

- Tak się na to kiedyś mówiło. Dziewczyny, kobiety, przychodziły tutaj, kiedy się spodziewały dziecka, a wiedziały, że nie będą mogły go wychować. Nie wyobrażasz sobie, jak Tamtejsi potrafią uprzykrzyć życie komuś, kto ma dziecko poza małżeństwem. Zwykle adoptowały je tak zwane dobre rodziny. A ich pochodzenie, tak samo jak w twoim wypadku, utrzymywano w ścisłej tajemnicy. Nie było w tym miejscu nic nagannego, przynajmniej w ogólnej opinii.

- Moja matka przyszła **tutaj**, żeby mnie urodzić? Jak się nazywała?

- Nie wiem, Klade. Właśnie po to był Alfie, żeby dziecko mogło zacząć od nowa. - Mieć czystą kartę. - Wydaje mi się, że była pokojówką w posiadłości Invercombe, ale nie jestem do końca pewien. Natomiast twój ojciec był z pewnością kimś wysoko postawionym w cechu.

– I porzucili mnie?

- Nie wiem. To całkiem możliwe, że oboje myślą, że umarłeś, o ile w ogóle wiedzą o twoim istnieniu... *Alfie to miejsce tajemnic, Klade.*

- A ja jestem jedną z nich?

Chyba można tak powiedzieć.

Za domem chropowata niecka Bristolu unosiła się i opadała w kłębach dymu. Tak daleko mu było do miasta ze snów Fay.

- Dawno temu, Klade, coś się zdarzyło między mną a pewną kobietą. **Arcycechmistrzynią**. Nigdy nie powinienem... nie powinienem być pozwolić sobie na romans z nią. Ale to zrobiłem. Robiłem różne złe rzeczy. Zdradzałem ludzi, którzy mi ufali i na mnie polegali. Przemiana w Wybrańca dużo zmienia, ale żalu zmienić nie potrafi. Więc kiedy Alice Meynell jeszcze raz przyszła do mnie, do nas, do Einfell, odkryłem, że mimo wszystkiego, co mi zrobiła, nadal jestem jej dłużnikiem.

Ta kobieta, Alice Meynell, w spojrzeniu Silusa obdarzyła Klade'a uśmiechem wtajemniczonej. Oczy miała jednocześnie intensywnie błękitne i bezbarwne.

- Poprosiła, Klade, żebyśmy cię adoptowali. Chyba jesteś dzieckiem jej syna, Ralpa, który przez wiele lat chorował. Tak naprawdę nie mieliśmy wyboru. Wybrańcy nie są bogaci, a jej darowizna była hojna. Bo wiesz, Klade, wysocy cechem też są na swój sposób Wybrańcami i nie da się z nimi walczyć...

Klade kiwnął głową. Świat, z którego pochodził, był jak to miasto, drażniące i palące gardło. Był **zbrązowiałą** gazetą, był niepisаныmi rzeczami ryjącymi pod powierzchnią stronic, jak brzydkie słowa, których nauczył się nie myśleć. Niechciane dziecko. Bękart. Głupi - czegoż się spodziewał? Wybrańcy są tak samo ślepi jak Tamejsi.

Przepraszam, Klade. Nie powinienem...

Wsiedli z powrotem do wozu i ruszyli przez Bristol. Palila się jedna z cukrowni, Klade miał sucho w gardle, piekły go oczy.

-Tamejsi mówią, że kradniecie im dzieci - rzekł w końcu. - Zawsze myślałem, że to nieprawda. A teraz co mam myśleć?

Wróciwszy do Einfell, Klade ciężko usiadł w gorącym pyle szopy. Pele-ryna dalej cuchnęła bristolskimi pożarami. Zrzucił ją i patrzył na pudła. Czytał ich uspokajające opowieści - adresy fabryk, medale z konkursów - eksperymentując z różnymi sposobami opisanja swej sytuacji, aż sprowadził ją do najgorszego sedna. ***Klade, jesteś niechcianym dzieckiem bezimiennej pokojówki. Spłodził cię jakiś cechmistrz, który pewnie nawet nie wie, że się urodziłeś.*** Przez wszystkie te lata byłoby o wiele mądrzej zaakceptować ostrożność Silusa. W Einfell nie istniały kłamstwa, ale prawdy też nie było. Koty kręciły się wokół niego, mruczały. Głaszcząc je w roztargnieniu, poczuł, jak zatapiają w nim pazury.

Sięgnął po trzymany pod ręką otwieracz do puszek i zrobił trójkątne otwory w wieczku ***Wiśniowej Pocięhy***. Płyn był słonawy i ciepły, jak kamyki na dnie wyschniętego strumienia, aż wreszcie dotarła słodycz, rozlewając się po zębach i języku. Przeciągnął palcem po obrzeżu puszeki i podsunął go najbliższemu niedożywionemu kociakowi, który zlizzał wszystko dokładnymi, szorstkimi, łaskotliwymi pociągnięciami języczka. Próbował zapamiętać wymienione przez Silusa nazwiska. Alice... chyba Meynell? To oznacza, że jest jego babką, choć Silus wyrażał się bardzo wymijająco, jakby się obawiał, że rozwodząc się nad tym tematem, wypaple mu coś jeszcze. Kobieta wysokocechowa; jedna z twarzy, które widuje

się na stronach Kronik Towarzyskich. Alice Meynell. Brzmiało niemal znajomo. Ten uśmiech, ta twarz, syn o imieniu, zdaje się, Ralph, który prawdopodobnie mieszkał w jakimś Invercombe i zapłodnił bezimienną pokojówkę. Klade znalazł puszkę *Dojrzałej Maliny*, a kiedy ją pił, kociaki zaroily się wokół niego.

Już wcześniej to zauważył - jedną z przyjemnych sprzeczności Słodycy był fakt, że po wypiciu miało się jeszcze większe pragnienie. Zawsze był zbyt oszczędny, by ulec tej pokusie, ale dziś, w to późne, upalne popołudnie był lekkomyślny. Jasne wieczka puszek błyszcząły chłodno. Nakłuwiał je i unosił do ust. Wargi mu się lepily. Beknął. Futrzanie ciepłe koty tuliły się do niego. Tak. On był **Klade'em**, on był pieśnią. W końcu, opróżnwszy wszystkie puszki, wytoczył się z szopy z rozpalonym gardłem. Niebo było koloru *Porzeczkowego Snu*, z chmurami barwy *Musującej Cytryny* rozsianymi wokół zachodzącego słońca. Ruszył Ślepą Drogą. Był pieśnią, był Słodyczą, był światłem. Był samym słodkogorzem. Pogwizdywałyby, gdyby usta mu się tak nie kleiły. Przeszedł przez pole ostu, nad którym powietrzne labirynty kreśliły owady i jaskółki. Zapukał, *tam-ti-tam*, w fałistą blachę domku Fay, potem w kucki wśliznął się do środka.

Jak zawsze zobaczył ją tam, gdzie gęstniał i ciemniał połyskliwy zmierzch.

- Byłem **Tam**, Fay. Próbowałem się dowiedzieć, skąd się wziąłem.

Poruszyła się, zaszurała.

- Byłem w miejscu, które Silus nazywa Bristolem. Chociaż o wiele bardziej wolę to, gdzie ty mnie zabierasz.

I skąd się wziąłeś, Klade?

- Zdaje się, że nikomu się nie chce poznać całej historii o mnie. Albo za bardzo się wstydzą. Wzięli mnie, jako niemowlę, z jakiegoś Alfiego.

Alfiego...

- Słyszałaś o tym?

Nauczycielki w szkole mówiły, że trafimy tam, jak nie będziemy grzeczne. Ale nie wierzyłam, że to istnieje naprawdę. Tak jak nie bardzo wierzyłam w Einfell czy Hades...

- No i proszę bardzo.

Przykro mi, Klade.

- Nie. - Pokręcił głową. Pieprzony podrzutek i goblin. - Niech ci nie będzie przykro.

Wiesz, Klade, ja też myślałam. Pamiętam coraz więcej i więcej z czasów, zanim się odmieniłam.

Dach smażył się w słońcu przez cały dzień. Teraz, stygnąc, trzeszczał i skrzypiał, wydając odgłosy podobne do nurkujących nad polem ostu jaskółek oknówek.

Pokazać ci?

Spragniony Bristolu ładniejszego niż widziany dzisiaj Klade pozwolił Fay dotknąć się wilgotnymi koniuszkami jej wirowych palców i otworzył się na jej pieśń.

Czuję, Klade, że coś jest z tobą inaczej. I nie tylko twój sposób myślenia.

– Bo napiłem się Słodyczy.

Aaa, Słodycz - ja też pamiętam.

Pamiętała jeszcze **cętkowany** połysk pokoju, w którym mieszkała i spała, gdzie raz po raz czesała hebanowe włosy. Przez te długie godziny przesuwania po nich srebrnej rączki grzebienia, jej skóra nabrała dodatkowej warstwy wrażliwości. Czowała przeskakujące iskry, wiszące w powietrzu strzelające fale niespiesznego światła. Lubiła sypialnię, którą urządziła po swojemu dzięki wielu drobiazgom. Obrazki, które kupowała, spacerując po targach, gdy tylko coś się jej spodobało. Egipt czy **Thule**, inne krainy, inne Wiek. Lustro o sfazowanych krawędziach mocno świeciło, odbijając abażur z frędzlami, że skojarzyło się **Klade'owi** z **fotografiami** z Miejsca Spotkań. Teraz jednak widział tylko czerwień ust Fay, jej lśniąca piersi i włosy.

- Jesteś piękna, wiesz?

Fay potrząsnęła ciemną, połyskującą czupryną, ale nie przecząco. Było ciemno, lecz nadal upalnie, a najciemniej i najgoręcej było w kryjówce Fay na skraju lasu w Einfell. Obraz z lustra - łagodnie oświetlone włosy i pokój - zniknął, gdy cofnęły się ręce odmienionego stwora, który siedział tu wraz z nim.

Przepraszam, Klade, nie pamiętam nic więcej, nawet do jakiego cechu należałam. Głupota.

- Fay, to był po prostu wypadek. W najgorszym razie zła ocena sytuacji. Trzeba pamiętać, że stąd się biorą Wybrańcy. To może się przydarzyć każdemu.

Ale zdarzyło się mnie, prawda? Nie rozumiesz. Nigdy nie zrozumiesz.

Teraz czuł ją tylko jako oddech, sam też oddychał ciężko. W ustach ciągle miał posmak Słodyczy i pudrowej miękkości dawnego pokoju Fay. Pieśń brzmiała w nim teraz - tak mocno jeszcze nigdy jej nie czuł. Ale się zmieniła. Zmieniała się i łączyła, rozpościerając tajemnicę jak bezpowietrzny powiew na jego spoconych rękach i nogach. Pieśń, pragnienie

poczucia, dotknięcia, poznania, zrozumienia. Mignięcia Fay, dąsającej się, odwracającej. Uśmiech jej czerwonych ust ukazujący się w lustrze.

Klade się poruszył. Czuł się jak wtedy, gdy Ida strzygła mu włosy, gdy czeladnicy próbowali zrzucić go z zapory w Clifton, gdy w Miejscu Spotkań podnosił ciężkie okowy i zakładał je sobie na nogi i ręce. A także jak wtedy, gdy długo patrzył w reklamy Damskiej Galanterii na końcowych stronach „**Evening** Telegraph”, z napiętą Tkaniną o delikatnych szwach skrywającą tajemnice ciała. Jak wtedy, gdy pocierał się sam, a to, co zeń wylatywało, przez chwilę wydawało się najczystszy eterem; potem zbierało się, słone i lepkie bardziej niż Słodycz w zagłębieniu dłoni.

- Fay. - Tym razem on wyciągnął rękę. - Proszę, pokaz **mi...**

Przysunął się. Spłoszona Fay otarła się o niego rękami. Schwycił je.

Nie...!

- Nic nie rozumiesz.

Objął drżące ciało, wyobrażając sobie jedną Fay, znajdując inną, a potem jeszcze inną, płataninę kończyn, stawiającą opór, który był zdecydowany pokonać. Widział to u zwierząt, które trzymali Rolnicy. Widział koty, kociaki i przeczytał te skąpe wzmianki o potrzebach ciała, jakie można było znaleźć w gazetach. Dotknął wypukłości, wklęsłości.

Fay miotła się, walczyła. Jej pieśń dźwięczała mu w głowie gniewnym strumieniem. Mógł ją znieść tylko dzięki otępieniu Słodyczą. Gdyby nie ten skwar, ta ciemność, może by przestał. Ale nie mógł. Nie potrafił. Cofnęła się przed nim. Umknęła. Dach zawibrował parzącym metalicznym podmuchem.

Fay, prawie naga, kuliła się w kącie. Lśniła słabo jak przesłonięty chmurami księżyc. Była Wybrańcem, a on nie, jej oczy były oprawione w czysty strach. Klade dyszał, w głowie mu pulsowało, coś lepszego pociekło po brzuchu.

- Strasznie cię przepraszam, Fay. - Przysunął się, ale powietrze rozdarło jej przerażenie, przegryzając się przez ostatni posmak Słodyczy. Bez sensu zasłaniając uszy, wygramolił się z kryjóWKi, lawirując między śmieciami, i uciekł.

*

Przez resztę nocy tarzał się w leśnym runie, kalecząc ciało cierniami i kolcami. W pewnym momencie zaczęło padać. Zadarł głowę i łapał

ciężkie krople do ust. Niech pada, niech deszcz obmyje go całego. Gdzieś z daleka, przez mrok, przez świt, dobiegało rozpaczliwe wołanie - głos Silusa i śpiew Idy.

Deszcz nie trwał długo. Gdy ranek wyzbywał się szarości, Klade zauważył, że znów stoi na skraju pola ostów. Deszczówka zebrała się lśniącoymi brudami w falistych zagłębieniach dachu zbudowanej dla Fay kryjówki. Zajrzał do środka. Nikogo. Schowała się głęboko w lesie, wśród innych Ludzi-Cieni. Może to było dla niej odpowiednie miejsce?

Ostrożnie omijając Wielki Dom i dźwięczące, radosne okrzyki **Stal-**mistrzów, powędrował z powrotem skrajem Ślepej Drogi. Nigdy nie czuł się tak oddalony od pieśni. Doszedł do punktu, od którego zaczynała się ziemia Tam, gdzie przewody **zszywały** wzgórza ze sobą tuż przy ognio-**cierniowym** żywopłocie. Gdzie powinienem być? Tam czy Tutaj? Może jest dokładnie jak ten płot, kolczasty, niedbały, niszczący. Zastanowił się, czy nie wleźć na niego, **rozkrwawiając** się ciach, kurwa, ciach na kolcach, aż całe ciało będzie miał we Znaki. **Żółto-żółto-zielone** wzgórza wibrowały. Potem przeleciało coś jak fala, jak wstrząs. Bezgłośnym grzmotem z zachodu na wschód błysnęło w liniach telefonicznych, buzując siłą, eterem i elektrycznością, kładąc zboże na polu.

3

W gorącym słońcu tego samego dnia, znad bruków i dachów magazynów Tidesmeet unosiło się powietrze i opadało z nieba, żeby wirować i mętnieć wokół iglicy Giełdy Dockland. Gdzieś tam wiatrosternik wywoływał wiaterek, ale wychodził mu tylko duszny powiew z głębi pieca. Była **półdziela**, sto czternasty rok Wieku Światła, choć ludzie już dawno przestali liczyć, ciężkie od wiadomości linie telefoniczne obwisały - wydawało się, że czas będzie wisiał tak bez końca, że słońce nie może ruszyć się z miejsca, że zegar świata wreszcie się rozkręcił i zatrzymał. Wtem coś się **stało**. Najpierw przeszło przez Westerlies. W zoo smoki zatrzepotały w klatkach, zatrąbiły słonie, wznecając kurz. Obijający się na Hyde i na **Wagstaffe Mall** dorożkarze pogasili papierosy i zerknęli na niebo, jakby z nadzieją na deszcz. W Goldsmiths' Hall maszyny liczące mające doglądać niedomagającej angielskiej gospodarki, niespodziewanie przyspieszyły wśród pozbawionego tchu skwaru. Nadchodziło coś wielkiego.

Cokolwiek to było, szło ku Tidesmeet. Linie telefoniczne pęczniały ciemnością. Kable zasilające wzdychały. Kto akurat patrzył w górę, zobaczył, że wiją się jak miotane niewidzialną burzą. Unosiła je fala idąca od Giełdy Dockland. Ziemia się zatrzęsła, Londyn pociemniał, wypływając ogromny impuls żyłkowanego błyskawicami mroku. Po potężnym uderzeniu dobiegł dźwięk kruszenia się nadwerężonych murów, jęk stali, aż cała zakotwiczona w budynku giełdy misterna sieć pofrunęła do góry. Napięte kable unosiły się dalej, odrywając się ze słupów na mile wokół.

W momencie uderzenia zakłęcia Alice Meynell siedziała pochłonięta pracą w swym gabinecie na samej górze. Sierpniowy upał zmusił ją do pewnych ustępstw w elegancji - miała na sobie bluzkę z krótkim rękawem, zdjęła buty i wachlowała się plikiem akt, który powinna czytać. Przez cały ranek dekoncentrowała ją świadomość, że powinna zachowywać się zupełnie normalnie i że, jak zawsze, pewne papiery wymagają przejrzania. Potem będą potrzebowały jeszcze podpisu Ralpha, jak zawsze przez ostatnie dziewięć lat, choć był bardzo niezdecydowanym arcycechmistrzem. Miała kiedyś nadzieję, że immatrykulacja go zmieni. Potem - że małżeństwo. I dzieci. Ale nie zmieniły, nie bardziej niż Invercombe czy Highclare. Wciąż oczekiwał, że ona naprowadzi sprawy na właściwy tor. Rozczarował ją, bo tak bardzo przypominał biednego Toma z jego niepotrzebnymi obawami; ale z drugiej strony to jej odpowiadało.

Przez otwarte drzwi balkonowe wpadał dym i zgiełk portowych nabrzeży. To kompletny absurd — akurat teraz tutaj siedzieć. Wiedziała jednak z doświadczenia, że oko cyklonu często jest najbezpieczniejszą przystanią. I wtedy to przyszło potężną falą. Obrazy spadały ze ścian, kości jej drżały. Była pewna, że cały gmach uniósł się w powietrzu, jak sylwestrowa rakietta. Drzwi od balkonu załopotwały, po czym przestały istnieć razem z balkonem. Potem poczuła spadającą stal i beton. Zakłęcie, które przywołała, było wymierzone w kamień węgielny zatopiony w wątlach fundamentach giełdy, położonych w oślizłym londyńskim błocie dwa Wieki temu. Kiedy się rozpadł, cała ogromna budowla uświadomiła sobie wstrząsający fakt, że wiążą ją teraz tylko zwyczajne prawa fizyki - tarcie, ciężenie, wytrzymałość na rozciąganie - i że są dalece niewystarczające.

W gabinecie zawaliła się połowa sufitu. Alice zbiegła piętro niżej, gdzie zastała swój osobisty sztab walczący z papierową burzą. Nie mieli oczywiście pojęcia, co się dzieje i czy tylko w tym pokoju, czy na tym piętrze, czy może w całym Londynie - ona jednak wiedziała z planów gmachu, że główna klatka schodowa jest już zablokowana, i zawołała, że wszyscy

mają iść za nią awaryjnymi schodami wijącymi się ciasną spiralą w samym sercu **giełdy**. Budynek **stęknął**. Mijająca ich winda **zaturkotała** jak pociąg pospieszny. Piętra zawały się teraz jedno na drugie. Wyobrażała to sobie rozmaicie, ale na pewno nie tak.

Ludzie z całego Easterlies i Northcentral już się zbierali, by podziwiać ginącą giełdę. Płonęła jaśniej niż Wieża **Hallam**, a w obecnej napiętej atmosferze, po bombach w koszach na śmieci na Great **Aldgate** Station, po paru głośnych porwaniach mało kto wątpił, że winni są zachodni terroryści. Rozbrzmiały dzwony i syreny straży pożarnej. Sikawki wypłuły strugi wody, bezużytecznie rozpylanej po paru pierwszych piętrach dymiącego gmaszyska. Wydawało się, że każdy, kto mógł uciec, już to uczynił - dzięki Najstarszemu, była półdziela - gdy ukazała się arcycechmistrzynie Alice Meynell, a za nią zaskakująco długi szereg ludzi. Reporterzy byli już na posterunku, dym i pył rozdarły błyski.

Dwie godziny później, w ciemności dymów, Giełda Dockland przechyliła się, wyginając pośrodku, a potem przekręcając jak płonąca buława. W końcu upadła w stronę nabrzeża, miażdżąc magazyny, statki i pięknie, wśród białych eksplozji pary, wpadając kaskadą do Tamizy.

Alice nie oglądała ostatniego aktu tego, co ludzie już nazwali Upadkiem. Po paru wywiadach udało jej się niepostrzeżenie wycofać do miejskiej rezydencji, a tam pokuśtykać do łóżka. To prawda, co mówią o szoku — że dopiero potem czuje się ból. Ledwo mogła stać, a skóra na obu rękach bolała ją i była dziwnie sztywna, kiedy polewała ją wodą z lodem. Wieczorem, kiedy przyszli Ralph i Helen z dziećmi, miała lekką gorączkę, a wierzchnia warstwa skóry zaczęła schodzić od ramion po dłonie. Stopy wyglądały tak samo. W głowie dudniło. W głębi duszy jednak była niezmiernie zadowolona.

— Mamo, powinnaś pójść do lekarza - powiedział Ralph, całując ją w policzek. Helen, o łagodnym lawendowym oddechu, też ją pocałowała. Potem przyszła mała Flora i tak mocno przytuliła się do jej lewej ręki, że Alice musiała powstrzymać się od krzyku.

— Wszystko w porządku... To tylko lekki szok. Czy już wiadomo mniej więcej, ilu ludzi zginęło?

Ralph wrzuszył z zakłopotaniem ramionami. Helen wzięła Gussiego z rąk niańki i wyjęła z kocyków, żeby go pokazać Alice, Flora zaś

krażyła po sypialni, z nudów szperając między rzeczami. Alice zadbała, żeby w momencie uderzenia zaklęcia wszyscy byli w bezpiecznym miejscu - w tym kunsztownym małym domeczku, na który uparła się Helen, bo stał w połowie drogi między sklepami Oxford Row i kawiarniami Hyde.

- Wszyscy mówią - powiedziała Helen, kołysząc Gussiego - że to zrobili ci przekłeci szaleńcy z Zachodu.

- Nie należy wyciągać pochopnych wniosków - rzekł Ralph, który nigdy nie wyciągał pochopnych wniosków na żaden temat. W tym bezbarwnym pokoju wyglądał jak duch Toma. Węższy w ramionach, chyba trochę przystojniejszy, ale jednak. Alice westchnęła. Skóra swędziała ją i mrowiła.

- Nie wysłedzili, skąd przyszło zaklęcie?

- W przybliżeniu od Reading i Newbury. Z Zachodu, choć wątpię, żeby udało się to sprecyzować. Nie mogę uwierzyć, że zrobili coś takiego. Żeby tak bezdusznie...

Ralph machnął ręką. Jego pobudzenie, uświadomiła sobie, nie było spowodowane tylko okropną katastrofą. Pewnie był dojmująco świadom, że ludzie osądzą go po tym, jak teraz postąpi, zwłaszcza jeśli matka będzie chora. Nadal co wieczór wracał z pracy i godzinę poświęcał na badania jakiejś nikomu nieznannej rośliny. Helen chyba nie miała nic przeciw; Alice podejrzewała, że po tylu latach nie mają sobie wiele do powiedzenia - w małżeństwie ludzie są zwykle bardzo samotni. „Czy świat naprawdę chce pozbawić mnie jedynej rzeczy, która mnie bawi i **interesuje!**” - wykrzyknął z nieoczekiwaną gwałtownością, kiedy poruszyła ten temat.

Naprawdę była zmęczona. Już najwyższy czas pożegnać się z synem i wnukami.

- To nie może tak zostać, prawda? - zapytał, kiedy Helen z Gussiem i Flora już wyszły. - I nie chodzi mi o to, że trzeba postawić nowy dom cechowy. Nic już nie będzie takie jak **kiedys**...

Pocałował ją i wyszedł. Alice położyła się, obolała i znużona. Lecz wydawało się jej, że Ralph jakąś cząstką duszy pozostał tu z nią. Co to takiego? Jakiś naprawdę nowy nastrój... Uśmiechnęła się, zrozumiałwszy. To nie tylko ożywienie, które przyniósł dziś ze sobą - to wręcz ekscytacja. Przecież ciągle się skarżył, jak nudne są jego codzienne obowiązki. Ale dzisiaj, jutro i pojutrze nikt nie będzie już wątpił w wagę jego roli. Londyn po Upadku znalazł się w chaosie. Tak, a Ralph po raz pierwszy,

odkąd pokonał prześladowając go przez całe dzieciństwo chorobę, chciał walczyć. Może, przyparty do muru, okaże się naprawdę jej synem - bardziej niż czasami chciała mu to przyznać.

Przez całą noc aż po jasny od łuny świt, przez bolesny następny dzień Alice rozpamiętywała wszystko, co doprowadziło ją w ten czas, w to miejsce. Czuła, że gdyby miała wybór, za drugim razem zaczęłaby zupełnie inaczej. Ale była tutaj. Pomiędzy sporadycznymi, podgorączkowymi myślami o lokalizacji i architekturze nowego Wielkiego Domu Telegrafistów - który miał zająć sporą parcelę przy **Wagstaffe Mall**, najlepiej w zachodniej pierzei, tak aby jego lśniące trójkątne frontony chwyciły słońce każdego ranka - zdumiewała się po prostu, jak daleko to wszystko zaszło.

Od czego to się zaczęło? - zastanawiała się. Może od tych pompacyjnych formularzy na bristolskiej poczcie. Albo od konieczności oczekiwania w cukierni, jakby była byle kim. A może naprawdę moralściści mieli rację, może winne było to wstrętne zachodnie, kolonialne niewolnictwo. Nie znienawidziła Zachodu, ale w głębi serca od dawna uważała jego **zawikłaną** hipokryzję i zaniedbanie za najważniejszą z przeszkód w rozwoju swego cechu - wschodniego do szpiku kości. A źródłem, tak jak wielu innych rzeczy, było Invercombe. Przyjazd o szarym świącie, Ralph siedzący obok w samochodzie, **puls** jego oddechu na szybie, to słabnący, to się nasilający. Poczucie, że dom na nich czekał; czekał na nią. Potem chwila, zaraz po przyjeździe, kiedy dostrzegła obwisłą skórę na swym podbródku; świadomość, że się starzeje. Spotkanie tej nadbrzeżnej zbieraczki i wszystko, co z tego wynikło. Tak, Invercombe było ośrodkiem zdarzeń, na długo, nim zaczęła się zastanawiać, gdzie znaleźć wystarczająco obfite źródło eteru do wytworzenia zakłącia mogącego zniszczyć Giełdę Dockland. Wróciła więc, z początku nie fizycznie, i zbadała rozbuchaną chwastami część ogrodu oddzieloną barierami i znakami ostrzegawczymi, które sama kazała tam postawić. Posiadłość należała w końcu do jej cechu, a ludzie, których tam wysłała, robili to co do nich należy - starali się wydobyć i odzyskać zanieczyszczony eter, który przeciekł pod fundamenty Invercombe. Kilku ucierpiało przy tej niebezpiecznej robocie. Oczywiście wszelkimi dostępnymi prawnymi i innymi środkami walczyła, by prawa do uratowanego mienia w całości

przypadły Cechowi Telegrafistów. Niemniej, tak jak to bywało z wieloma drobnymi przedsięwzięciami, dopilnowywała ich niemal machinalnie, zachowując sobie różne opeje, ale ich nie wykorzystując. W końcu zaczęła się zastanawiać, jak by tu przyspieszyć frustrująco powolny dryf kraju ku konfliktowi, który - była pewna - okaże się niesłuchanie korzystny dla jej cechu.

Nakazała przerwać prace przy oczyszczaniu fundamentów z naeteryzowanych szczątków i zwolnić ostatnie osoby ze szkieletowej służby. Parę pracokresów potem, gdy samotnie przyjechała tam samochodem, dom jednak nie był całkiem opuszczony. Nie zaskoczyło jej to bardziej niż przecieki w dachu i braki w umeblowaniu. Już o tym wiedziała. Czuła to we własnych członkach. Nawet jeśli nie liczyć drażniącej obecności uśpionego wiatrosteru czy szeptów, jakie zwidływały jej się pośród wybijanej dzikości ogrodu, rozumiała, tak jak szamani tańczący niegdyś na skrwawionych kamieniach Durnock Head, że w tym miejscu kryje się moc. A po co komu moc, jeśli nie zamierza jej użyć?

W związku z owym londyńskim incydemtntem pozwoliła sobie na chłodną ziołową kąpiel, zjadła pół bułki i odrobinę zupy z rukwi wodnej. Na ulicach odbywały się lincze; ofiarą mógł być każdy z zachodnim akcentem, z zachodnim nazwiskiem, ale także Hiszpańczyk. Powinny towarzyszyć temu aresztowania, ale zachodnie tak zwane organa dalej **bajdurzyły** coś o uczciwym sądzie i braku porządnycy dowodów. Trudno o bardziej oburzające nastawienie - i w bristolskim porcie zaraz podpalono statki zarejestrowane w Londynie.

Zamknawszy drzwi pokoju, odesławszy pokojówki, Alice nieco gruntowniej zajęła się własną kuracją. Zajrzała do kuferka, a kiedy przewracała stronicie notatników, palcami prawej dłoni bezmyślnie skubała miękknącą bliznę na lewym nadgarstku. Potrzebowała środków zmiękczających cerę - dziesięć czy piętnaście lat temu było to nie do pomyślenia; poza tym na pewno przyjdzie jej jeszcze zapłacić wyglądem za Upadek Giełdy Dockland. Zwykle włączyłaby gramofon, ale dziś pieśń już tu była - i Alice znów wróciła myślą do Invercombe, do szmeru wody na kamieniach, słonego powiewu nad piaskiem i mocy, która przemówiła do niej, kiedy była potrzebna... Nie ma co przeczyć, jej umysł też nie był już tak ostry jak kiedyś. Łatwiej się rozpraszała. Musiała drugi raz zajrzeć w rozpostarty notatnik, żeby dokończyć kadencję zaklęcia. Dziecko - tak, było tam małe dziecko. Dziwna umowa, istotnie, ale ten stwór był w połowie zrodzony z lędźwi jego syna i - z tej perspektywy to

czyste przewrażliwienie - nie zdołała zarządzić, aby go zabito, ani nawet tę dziewczynę. Marion Price - tak się nazywała - a po wyrazie zagubienia w myślach, jaki czasem dostrzegała na twarzy Ralpa, domyślała się, że pamięta ją nadal, i to nie z nienawiścią.

Już. Twarz gotowa. Alice zamruła. Zmarszczyła brwi. Wyglądała starzej. I dobrze - co powiedzieliby ludzie, gdyby w ogóle się nie zmieniła? Powolnymi, smutnymi ruchami przesunęła zwilżonymi eliksirem tamponikami waty po swoich biednych rękach. Przynajmniej dłonie wyszły z ognia bez szwanku. Takie wdzięczne, **takie** eleganckie. Tak, tak. Alice. Alice Meynell. Wszystko, czego dotykały te palce, było doskonałe. Przyglądała im się w bladym świetle, siedząc przed lustrem, z początku uśmiechnięta, dopóki obwódki oczu nie zaczęły się marszczyć w zdumieniu. To niemożliwe! Przez swoją dłoń zaczęła dostrzegać błyszczącą krawędź toaletki...

4

Na jesieni Marion zdecydowała, że pora popłynąć **kabinówką** Bewdley na dół rzeki. **Noll** przyjął to spokojnie, jak zwykle, i następnego ranka stał na pomoście z rękoma wbitymi w kieszenie białego fartucha, przyglądając się, jak odpływa. Pomachać mu się nie chciało. Z pomocą siostry Withers, pielęgniarki, poradzi sobie ze wszystkim. W końcu, zanim przyjechała, całkiem dobrze prowadził szpitalik sam - powtarzał jej to tyle razy, aż zaczynało jej się wydawać, że ma na myśli coś zupełnie innego. Zastanawiała się nawet, teraz, gdy budka roгатki przy moście przesłoniła dach szpitala z nadal lekko widocznym napisem „Merrow Pasze”, czy **Noll** spodziewa się, że ona wróci.

Miasto zostało w tyle, brzegi urosły, porosły lasem płynnie zmieniającym kolor z zielonego na bursztynowy i brązowy. Pracując i podróżując po Severn, najbardziej polubiła tę porę roku. Na łodzi nie było takiej jesieni jak tutaj, gdzie dym unoszący się zygzakiem znad kolejnego skupiska domków drwali łączył się z łukiem szarego nieba. Z samą rzeką - choć, co prawda, czasem niebezpieczną i kapryśną, kradnącą majątek i zabierającą życia - można się było zaprzyjaźnić; o Kanale Bristolskim czy otwartym morzu nie dawało się tak myśleć. Tak, stwierdziła, tak właśnie chce uczynić. Tutaj chcę być do końca swoich dni.

Dopłynęła do Stourport. Tu Severn spotykała się ze Stour i łączyła z kanałami wiodącymi do Dudley i Deritend, potem na północ ku Trentowi i Preston, a także na południe i zachód ku Tamizie i Londynowi. To miasto, najbardziej ze wszystkich, wyglądało jednocześnie na wschodnie i zachodnie; zamiast afiszy z hasłami „Nie dla niewolnictwa” czy „Równa prawa dla Zachodu” trzepocących wszędzie indziej, tutaj mury reklamowały **kinematografy** i potańcówki, zwykle rozrywki, które, była pewna, już niebawem wymrą. **Wykaraskawszy** się ze śluz, wpłynęła na płaską przestrzeń między polami i miasteczkami. To już Worcestershire. W porze obiadowej zacumowała w Worcester, pod patrzącą z wysokości wzgórze katedrą, i poszła coś zjeść. Żałowała, że nie pogadała z **Nollem**.

- Dostaliśmy list od kościelnego zarządu - powiedziała mu wczoraj wieczorem, gdy siedzieli na pomoście. - Przekazują odpowiedzialność za cały nasz szpital jakiejś komisji **nadzwyczajnej**.

- Nie możemy odmówić?

Pokręciła głową. **Noll** dalej palił papierosa. Udało mu się zachować taką samą rezerwę wobec ostatnich złych wieści, jak wobec kwestii praktycznych związanych z prowadzeniem szpitala.

- Ale wiesz co - odezwała się w końcu, gdy oboje wpatrzyli się w delikatnie szmerzącą rzekę - chyba wyjadę na parę dni i odwiedzę rodzinę.

Nieco rozgrzana kawałkiem zapiekanki i kuflem lekkiego piwa odpłynęła z Gloucester wśród lekkich holenderek, ciężkich kryp, kutrów i holowników ciągnących wszechobecne rzeczne barki o dwóch dziobach. Wspominała, jak poznała **Nolla**. Skaleczyła prawą dłoń o blachę kabestanu i mozolnie doszła do szpitala, krwawiąc przy tym zdumiewająco obficie spod zaolejonej szmaty. Wspominała ściągniętą, skupioną twarz Nolla, gdy zaciskał opaskę i zszywał krwawiące brzegi rany. Może to dla odwrócenia uwagi spytał, co robi i co robiła przedtem. Miała mu co opowiadać. Potem, jako że jej ręka nie nadawała się na razie do niczego, chętnie się odwdzięczyła, pomagając porządkować szpitalne papiery, co przeważnie oznaczało ich wyrzucenie, a potem doglądając innych pacjentów.

Polubiła tę pracę i przejmowała coraz więcej władzy. **Noll** był beznaziejny w zarządzaniu ludźmi, pieniędzmi, prawie wszystkim oprócz leczenia, do którego miał osobliwą **smykałkę**. Zorganizowała wysprzątanie

oddziałów, wyrzuciła stare materace, zadbała o porządne żywienie i żeby się nie marnowało. Szpital podlegał kościelnej misji, zorganizowanej przez kogoś, kto nabożnie zakładał, że wszyscy pracujący na angielskich rzekach dramatycznie potrzebują zbawienia - **Noll** natomiast otwarcie przyznawał, że nie wierzy w nic, a pociechę dają mu zasoby **szpitalnej** apteki. Marion też ich spróbowała, z ciekawości, i nie poczuła niczego poza mdłościami. Pewnej nocy **Noll** zaproponował, że może zrobić ten, jak to nazwał, oczywisty krok i prześpią się ze sobą. Wtedy udała, że jest wystarczająco odurzona, by się zgodzić. Pasowali do siebie - oboje tak samo samotni. A szpital prosperował.

Dłuższy odcinek drogi, ku Tewkesbury, zajął jej całe popołudnie. Mosty odpowiadały echem. Perszerony ciągnęły w przeciwną stronę. Nuciała cicho, utrzymując obroty silnika, zapaliła latarnie na dziobie i rufie. W zapadającym zmroku, pod mostem Króla Jana, na wysokości ujścia Avon, rzeka była najszersza, zmieniał się też zapach powietrza. Czasem aż tutaj docierały pływy morskie. Było już prawie ciemno, gdy podpychała łódź drągiem do kei. Na wodzie kołysały się mewy. Miasto wyglądało odświętnie, spodziewała się zobaczyć na rynku katarynki i karuzele, tymczasem zamiast nich przed zachwyconym tłumem maszerowali mężczyźni w workowatych mundurach. Niektórzy wymachiwali siekierami albo kijami, na których wciąż mieli miotły mające wymieść z Zachodu niechciane wpływy Londynu. Broń palną nieśli nieliczni.

Odbiła wcześniej następnego ranka. Było jeszcze bardziej szaro, a drzewa jeszcze bardziej poczerwieniały. Gdy dotarła do szerokich nabrzeży Gloucester, wyraźnie poczuła morze. Za pierwszym razem miasto wydało jej się najzupełniej lądowe, choć w jego kanały wpływały statki aż z **Thule**. Pochodziła z wybrzeża, więc myślała, że zna się na wodzie i łodziach, ale pływy na Severn były kapryśne i przychodziły z opóźnieniem. Ludzie znad rzeki byli jednak życzliwi, szczególnie kiedy musieli zerkać komuś pod czapkę, żeby ustalić, czy jest kobietą, czy mężczyzną, gdy ów przychodził szukać pracy.

Pracowała na łodziach bez pokładu. Pracowała na żelaznych i drewnianych barkach ze składanym masztem. Trudziła się razem ze służowymi i kanałowymi, z rodzinami i bez. Stała się rzeczczą dziewczyną - i nadal nią była, mimo czasu spędzonego w szpitalu. Na głębokim odcinku

z Gloucester do Sharpness nad jej kabinówką górowały barki mieszkalne i lichtugi, musiała pilnować, żeby nie wejść im w drogę. Potem woda rozlała się szerzej, rozpostarł się horyzont. Teraz trzeba było unikać mielizn i wypatrywać boi. Chmury nad klifami Chepstow przyniosły przelotne deszcze. Marion zauważyła, że twierdza została znacznie rozbudowana, a jej działa, teraz nowoczesne, grube, dziwoczarne lufy przypominające nozdrza potwora, strzegły Zachodu od tej strony. Potem odpływ pchał ją pod most na Severn, stale rosnący do niewiarygodnych rozmiarów. Ku Walii pędził pociąg na łeb, na szyję; w kroplach deszczu poczuła smak jego dymu. Potem, w klekocącej ciszy, dostrzegła strzegące mostu gargulce pełzające po podporach jak gąsienice po kalafiorze.

Robiąc ostry zwrot ku Avonmouth, zmarzła i przemokła, ale była z siebie dumna, że dotarła aż tak daleko. Ustał deszcz, spomiędzy wieżyc chmur zaświeciło słońce, a z kei nad ujściem uniosła się para. Tu właśnie, stwierdziła, morze naprawdę spotyka się z rzeką. Tu niskie, płaskie barki ciągnięte przez konie, kursujące w dół rzeki od Shrewsbury, cumowały obok masztów statków okrążających przylądek.

Kiedy po wyjściu z Alfiego pierwszy raz przyszła do Avonmouth, idąc wzdłuż Avon Cut, czytała wypisane kredą tablice oferujące nisko płatną pracę dla bezcechowych. Stąd, jeśli się nie wybrzydzało, można było trafić na morze albo w górę rzeki. Trochę pragnęła pożeglować na Wyspy Szczęśliwe, ale wreszcie skusiła ją myśl o podróży w głąb kraju, którego prawie nie знаła. Z perspektywy czasu rzadko żałowała tej decyzji. Na pewno nie teraz, wałęsając się po kejach. Dowiedziała się, że „Devon Lass” wypływa o wieczornym przyplwywie na Arawak i szuka marynarzy pokładowych. Mogła posłużyć się starą sztuczką i włożyć czapkę - może znów wzięliby ją za chłopaka - i na dobre opuścić ten rozradowany wojną kraj. W końcu jednak zapaliła latarnie na łodzi i popłynęła przez zmiersch do samego centrum Bristolu.

Uregulowawszy słoną opłatę portową, zaczęła przechadzać się po mostach. To miasto zawsze brało ją z zaskoczenia. Nagle okazało się, że nie jest późna noc, lecz dopiero początek obiecującego wieczoru, Bristol kipi życiem, a ona dryfuje po rzekach jego ulic, popychana to tu, to tam przez handlarzy i motłoch na Boreal Avenue. Minęła obstawiony rusztowaniami zamek i weszła na górę, pomiędzy domami średnich i niższych cechów. Ze ścian zwieszały się zachodnie plakaty werbunkowe, ale poza rym niewiele się zmieniło. Oczywiście jeśli nie liczyć Alfiego. Stanęła pod bramą, obmacała ciężki łańcuch. Zamknięte, jak pisała Denise.

Po **Clyst** i Invercombe pokoje **Alfiego** wydawały się ciasne, a reguły niesamowicie małostkowe. Ciężę traktowano tu jak chorobę, w powietrzu ciężko wisiała tęsknota za domem i poczucie winy. Towarzystwo pozostałych dziewczyn nie było chyba najgorsze, choć wszystkie znajdowały się w kiepskiej sytuacji - przychodziły, w oddzielnym skrzydle rodziły dzieci, odchodziły bez pożegnania. Podczas nielicznych wycieczek do miasta stale towarzyszyła im przyzwoitka, jakby miały uciec. Uciec? Dokąd? Gdy jej czas się zbliżał, to pytanie zaczęło ją obsesyjnie dręczyć, **podejrzliwie** patrzyła na podawaną późnym wieczorem herbatę i z zadowoleniem odkryła, że odkąd podlewa nią aspidistrę, śpi o wiele gorzej i zgrzyta zębami na modlitwach. Jak dotąd trzymała się warunków umowy z Alice Meynell, ale postanowiła, że dziecka w żadnym wypadku nie odda.

Nie miała pojęcia, czego się spodziewać po tym odosobnieniu. Dziewczyny sypały historiami jak z rękawa, choć należało podchodzić do nich z dystansem. Nie pomogła też mateczka, która odwiedziła ją pewnego łzawego razu, ani Denise. Marion nigdy nie czuła się bardziej samotna ani bardziej zdeterminowana - schowała sobie zawiniątko starych ubrań, żeby ukryć pod nimi śmieszny drelich Alfiego i owinąć dziecko, słuchała mistrzyni Pattison i starannie przysłuchiwała się zaklęciom wyszeptywanym przez nią przy zamykaniu drzwi. Potem przyszedł czas i nie dało się myśleć o niczym poza przetrwaniem kolejnej fali bólu. Walczyła jednak nie tylko o życie dziecka - walczyła ze wszystkim, co ją tu przywiodło, odpychała nawet nasączoną eliksirami gąbkę, którą mistrzyni Pattison chciała przytknąć jej do ust. A gdy wreszcie nastąpił koniec, była pewna, że mimo wyczerpania słyszy płacz dziecka. Zastanawiała się, jak zebrać siły, lecz ogarniała ją coraz większa słabość. Pokój zawirował - i oto pojawiła się mistrzyni Pattison, niosąca zważone i umyte dziecko. Marion od razu poznała, że coś jest nie tak.

Oparła dłonie na bramie Alfiego, a wokół niej wyrazistą halucynacją rozbłysnął tamten biały pokój. Zobaczyła martwe, sinobiałe stworzenie, które jej podsunęto, usłyszała głos mistrzyni Pattison. **Nie zaczęło oddychać. Bo Pan Nasz Najstarszy niektóre dzieci od razu chce zabrać z powrotem...** Jej świat runął w jednej chwili, mimo że dotąd nic nie było w stanie go zburzyć. Wyjęto jej z rąk zimnego, martwego noworodka, zapadła w gorączkowy sen. Trzy dni później, nie ujrawszy ponownie żadnej innej z dziewczyn, opuściła Alfiego, poszła przez miasto, a potem wzdłuż Avon Cut...

Odwróciła się i ruszyła w dół, skrajem pustych targowisk, po których spacerowała niegdyś z Ralphem. Szła do domu snów, gdzie pracowała Denise. Długo czekała na otwarcie drzwi - na wieczorny ruch jeszcze było za wcześnie. Znalazłszy się w środku, czuła, że kiedy ścisła się z Denise, śmierdzi rzeką, a z jej ubrań nadal paruje popołudniowy deszcz.

- Owen jest w Bristolu - powiedziała Denise. - Ale czemu nie powiedziałeś mi, że przyjdiesz? Nie znacie tam w szpitalu telegramów?

Poszły Silver Street ku Izbie Cechu Żeglarzy. Siostra się zmieniła, pomyślała Marion. Denise nigdy nie zadowalała się po prostu własną urodą - te kryzy, te **bufki**, ostatni krzyk zachodniej mody, były po prostu niesamowite - ale pod tym wszystkim zaczynała po prostu wyglądać trochę staro. Zadyszała się od samego spaceru, a pod powiewami perfum wydzielala charakterystyczną, **cierpko-kurzową** woń fajkowego dymu z domu snów. Marion przypomniała sobie, że siostra zaraz przekroczy trzydziestkę, co i ją niedługo czeka.

U Żeglarzy zadzwoniły do bramy i czekały, aż Owen ukaże się przed oszkloną przybudówką. I nie był to ten sam Owen - Marion zastanawiała się, czy poznałaby go na ulicy - pogrubionego przez mundur, z przeświecającą między włosami skórą głowy. Potem pojawiło się pytanie, gdzie marynarz, rzeczna dziewczyna i pani domu snów mogą zjeść razem. Wybrali gospodę na górcie Park Street, zadymioną, niezbyt zatłoczoną, z tandetną, blaszaną muzyką. Na ścianach powieszono, chyba dla dekoracji, siatki na krewetki, motyki poławiaczy trąbików, na wpół przegniły ster. Marion przyszło do głowy, że ludzie z wybrzeża i znad rzeki mają coś wspólnego - ich sposób na życie uznaje się teraz za dziwaczny.

- Mam nadal mówić, że jesteś pielęgniarką? - zapytała Denise.

- Pracowałam w szpitalu przez cztery lata.

Niezrażona siostra rzuciła jej spojrzenie mówiące „wszyscy wiedzą dlaczego”.

- Nie wiem, czemu nigdzie nie zagrzejesz miejsca. Na pewno mogłabyś coś robić dobrze, gdybyś dłużej na tym popracowała. Nie myśl, że u nas, w domach snów, jest lekko - dodała.

Owen grzebał w talerzu. Zdobna srebrnymi guzikami szarość jego munduru sternika rzucała się w oczy tutaj, w Bristolu, gdzie przynależność do jednego z Wysokich Cechów nie określała już, jak niegdyś, tożsamości człowieka.

- Dlaczego oni po prostu nie mogą się dogadać? - zastanawiała się Denise. - Tyle razy musiałam pomagać jakiemuś Mistrzowi Księgowemu

albo Starszemu Krawcowi wyśnić, że walczy o zwycięstwo Zachodu. Właściwie zaczynam myśleć, że sama wygrałam tę **wojnę...**

- A ja nie mogę uwierzyć, że można być dumnym z niewolnictwa - powiedział Owen.

- Tutaj nie używa się tego słowa - syknęła Denise.

- Nie wiesz, siostra, jak to naprawdę wygląda. Ciągłe statkami przywożą ludzi z Afryki. Tak, jasne, mówią, że to się już nie **odbywa**, ale to nieprawda. Wejdziesz na taki statek, a do końca życia nie tkniesz cukru.

- Oj, wątpię, czy to akurat...

- No a ty, Marion? - spytał Owen. - Co ty sądzisz?

- Nie zgadzam się z pańszczyzną, jeśli o to pytasz. Ale nie wyobrażam sobie, że cechy w Londynie po prostu zabronią go jakąś ustawą.

- Ale wiecie - odezwał się Owen, odkładając nóż i widelec obok niedokończonego dania - jutro jadę na wschód, do Londynu. Mam już przydział na inny **statek..** Przebudowali go na taki, jak to się mówi, eskortowiec. Z działami...

Zapadła długa cisza. Denise zgrzytnęła zębami.

- Nie mogłeś pójść gdzie **indziej?**

- Musiałem podjąć decyzję. Zostaję w Bristolu i albo **mustruję** na jakąś podobną jednostkę, albo ląduję w więzieniu. Ale **przecież...** - zaśmiał się ponuro - ...przecież nie zostałem **praworządcą.**

Gdy wyszli z gospody, znów padało. Denise, w rozterce, czy aby nie zniszczy sobie ubrania, spieszyła się do pracy. Zaproponowała co prawda, że przenocuje Marion na jednej z sof w domu snów, a Marion, jak sto razy przedtem, odmówiła. Przyglądali się więc z Owenem, jak siostra pędzi mokrą ulicą. Śmieli się. Trudno było się nie śmiać, patrząc na Denise. A potem poszli razem ku Izbie Żeglarzy.

- Tu też mogłabyś zostać, wiesz, Marion?

Pokręciła głową. Stali przed bramą.

- Mam kabinę na łodzi.

- No tak, my, żeglarze, zapominamy, że są też inne rodzaje łodzi.

- Owen, nie zapominaj.

- Nie. Nie zapomnę. - Spróbował się uśmiechnąć. - Będziesz się widzieć z mateczką?

- **Jutro** pewnie do niej zajrzę.

- Pozdrów ją ode mnie... - Zrobił gest, jakby chciał się odwrócić. - Muszę już lecieć.

Marion położyła dłoń na jego mokrych epoletach.

- Mówiłeś... no wiesz, o statkach handlarzy niewolników. Sam kiedyś na takim pływałeś, nie?

Zamrugął.

- Siostrzyczko, wiesz, jak dobrze płacili? - Poczuli, że wzrusza ramionami. — Idłatego teraz muszę coś zrobić. Spróbować jakoś zadośćuczynić.

- Nawet jeśli to oznacza, że przechodzisz na stronę Wschodu?

- Nawet. Wiem, że to brzmi źle, ale inaczej nie mogę.

- No to powodzenia.

— **Tobie** też...

Opustoszałe cukrownie Boltsa i **Kirtlingsa** cuchnęły mokrym pogorzeliśkiem. Podupadły Bristol wyzbył się słonecznego przepychu sprzed paru lat, ale tanie noclegi nadal były potrzebne, nic więc dziwnego, że Sunshine Lodge nadal działało. W hallu wciąż tak samo pachniało wilgotnymi chodnikami. A może to ta sama stara kobieta w tej samej siatce na włosach? Marion poprosiła o pokój **12A** i weszła po wąskich schodach. Łóżko stało odwrotnie. Nocny deszcz utworzył świeżą plamą na suficie. Przez ściany przeciekały głosy. Zastanawiała się, czy nie przestawić łóżka - jak rytualnego składnika zaklęcia; powtórzy je idealnie dokładnie i jeszcze raz stanie się Elizą Turner, ale Ralph pozostanie Ralphem i znów odbędzie się ta sama kłótnia. Łóżko przyjęło ją z cierpkim skrzyknięciem. Pokój poszarzał i zapadł się w ciemność.

Wyjazd z Invercombe w żadnym wypadku nie był wymarzoną radosną wyprawą. Przez parę ostatnich pracokresów Ralph się zmienił — czy raczej pokazał swój prawdziwy charakter — choć naiwnie sobie wyobrażała, że kiedy naprawdę wyjadą, między nimi znów będzie jak dawniej. Lecz on coraz częściej mówił o podróży na Wyspy Szczęśliwe jak o wycieczce, z której wróci po roku czy dwóch i po prostu podejmie na nowo swe cechowce życie. A co z nią? Co z jej dzieckiem? Był najwyższy czas mu o nim powiedzieć, choć powoli uświadamiała sobie, że wciąż to odkłada, gdyż boi się jego odejścia. A potem poszli do tego domu cechowego z kolumnami błyszczącymi jak pancerze owadów. Teraz Marion podejrzewała, że była to po prostu urocza, młodzieńcza buta - myśleć, że pierwsi odkryli adaptację środowiskową. Oczywiście, rozumiała teraz rozczarowanie Ralpha, ale zachowywał się tak, jakby liczyło się tylko udowodnienie jego teorii. Głowa puchła jej od pytań, wciąż czuła mdłości. Musiała przez

chwilę być sama, choć gramoląc się w dół po schodach, sądziła, że za parę minut wróci. Nadal przecież mieli złapać ten statek.

I znalazła się na ulicy, bez tchu, zapłakana. Statki porykiwały syrenami, jaskrawe afisze trzepotały na wietrze, a handlarze sprzedawali broszury z opowieściami o najlepszych trasach na podróże wozami przez alkaliczne pustynie Zachodniego **Thule**. Cukrownie wtedy pracowały jeszcze pełną parą, powietrze gęstniało od ich charakterystycznego, **cukierkowo-przypalonego** zapachu. Już nigdy nie będzie mogła poczuć tego zapachu, nie czując jednocześnie lekkiego dotknięcia na ramieniu i nie słysząc starannie wymawiającego słowa damskiego głosu.

- Przepraszam, czy to Marion Price?

Odwrociła się natychmiast. Arcycechmistrzynie Alice Meynell, ubrana w obcisłe boty, spódnicę, długi płaszcz, wszystko czarne. Marion myślała dotąd, że to jeden kolor, teraz zdała sobie sprawę, że może mieć różny połysk, faktury i odcienie.

- Cieszę się, że cię znalazłam. Tak, tak, wiem, że spieszysz się i niepokoisz o Ralpa, ale naprawdę nie powinnaś. Chodźmy, usiądźmy gdzieś, porozmawiajmy parę minut.

Mogła chyba odwrócić się i uciec, ale wyczuwała, że tej kobiecie nie da się sprzeciwić.

- Błada jesteś - powiedziała Alice Meynell, gdy usiadły w małej kafejce. - Wiesz, jako matka rozumiem, jak to jest męczące być w tym stanie.

Uśmiechnęła się do niej. Wiedziała chyba wszystko. Potem odsunęła na bok przyprawę i rozłożyła przed nią dzisiejszy „Bristol Morning **Post**”. Marion, minąwszy z Ralphem parę tablic przed kioskami, kojarzyła niewyraźnie jakieś „Aresztowania” i „Konfiskaty”, ale dopóki nie ujrzała tej pierwszej strony, nie zrozumiała, co to naprawdę znaczy.

— Przykro mi to mówić, ale i moje zaufanie do Invercombe zostało dotkliwie nadużyte.

Marion wiedziała, że wczoraj w nocy miała się odbyć jakaś dostawa, i niespecjalnie zaprzętała sobie tym głowę, ale nigdy nie słyszała o towarze takiej wartości, jak cały statek wyładowany eterem; musiała to być jakaś przeogromna zdrada, skoro **praworządcy** wykryli go podczas rozładunku, pod osłoną wiatrosterowej mgły w Clarence Cove.

- Obawiam się, Marion, że twój ojciec jest wśród aresztowanych. Wiatrosterownik Ayres zginął. Cała afera jest wyjątkowo żalonym przypadkiem tego, co wy tu na Zachodzie lubicie nazywać „drobnym importem”.

Może gdybym była w Invercombe i miała wszystko na oku, zdołałabym zapobiec tej lekkomyślnej eskapadzie...

- Mój ojciec. Mówiła pani...

- Aresztowano go, słyszałam też, że jest ranny. Invercombe, jak rozumiem, nie nadaje się już do zamieszkania. Takie marnotrawstwo - te piękne ogrody, tyle aresztowanych. Nie tylko twój ojciec; służba z Invercombe, ludzie z nabrzeża, a potem do góry przez kolejne rangi cechów, aż po Kupców-Pionierów, którzy chyba całą tę operację sfinansowali. I w tym właśnie sęk.

Marion, mimo że już tyle usłyszała, poczuła nagły chłód. Alice Meynell nadal była spokojna, a jej wzrok, zawsze baczny, stał się niemal hipnotyczny. Nikt, pomyślała Marion, gdy arcycechmistrzynie Telegrafistów tłumaczyła, co według niej powinno się teraz stać - nikt, ani matka, ani Ralph, nigdy nie patrzył jej dotąd tak uważnie w oczy.

Cissy Dunning znalazła się już w areszcie. Tak samo **Wilkins, Wyatt** i wiele pokojówek z Invercombe. Nawet jeśli się przekona prokuratorów, że nie byli zamieszani w wykorzystanie rezydencji do przemytu, będą mieli w swoich cechach kłopoty ze znalezieniem nowej pracy. W jeszcze gorszej sytuacji znalazł się nadbrzeżny ludek z **Clyst**. W końcu to oni rozpalali ogniska i stanowili załogę łodzi. Niestety, naznaczeni tą aferą będą wszyscy, nawet ci, którzy bezpośrednio nie brali w niej udziału. Na przykład brat Marion, dopiero co immatrykulowany w Cechu Żeglarzy, który słynie z surowości w takich sprawach. Zagrożona jest nawet jej siostra i jej plan zostania... Kim tam? Krawcową?

- Co pani mówi?

- Mówię, Marion, że sytuacja jest bardzo trudna. Użyję oczywiście swoich wpływów, aby wszystkich potraktowano jak najłagodniej. Trzeba wziąć pod uwagę Ralpa. Jest o wiele za bardzo w to wplątany. Ja oczywiście nie aprobuję przemytu, uważam jednak, że winą należy obciążać wyłącznie wysokich bristolskich **cechmistrzów** finansujących tę operację, jak i wiele innych wcześniej, nie zaś ludzi starających się po prostu zarobić na życie.

Marion, przejęta chłodem, skinęła głową.

- Czyli pani pomoże?

- Oczywiście. Ale spodziewam się czegoś w zamian. Zanim cokolwiek powiesz, przypomnę ci, po co jesteś w Bristolu i o waszym oszustwie. Fałszerstwo. Podawanie się za kogoś innego. Poza tym też wiedziałaś o tej dostawie, prawda? Niestety, nikt tu nie jest do końca niewinny, ale

najważniejsze, żeby Ralph mógł bez dalszej zwłoki pojechać do Highclare. Tak **wiec** zgódź się, że odtąd już nie masz nic z nim wspólnego.

- A jeśli się nie zgodzę?

Błękitne oczy przesłoniła mgiełka.

- Czy wyobrazasz sobie, że moglibyście nadal trwać w tym związku? Wiem, że tyle rzeczy naraz to dla ciebie za dużo, ale jeśli to cię uspokoi, dodam, że marzenia o ucieczce są typowe dla młodych ludzi. Nie udałoby się **wam** - nie wiem, jak sobie to wyobrażał mój świętej pamięci **mąż** Tom, robiąc ten zabawny zapis. Choć na pewno bawiliście się świetnie. - Uśmiechnęła się. - Nie jestem przecież potworem. Twoje dziecko jest w połowie z rodu Meynellów i nie pozwolę, żeby coś mu się stało.

- A skąd pani wie?

Alice się uśmiechnęła.

- Powiedzmy, że to intuicja. Szczerze mówiąc, moja droga, nie jesteś w stanie zagwarantować temu dziecku poziomu życia, na który zasługuje. Chciałabym, żebyś oddała je do adopcji.

- Prosi mnie pani, żebym się zrzekła ostatniego, co mi zostało.

- Proszę cię, żebyś była rozsądna. Niedaleko, tam pod górkę, mieści się zakład pod wezwaniem świętego Alphege'a, potocznie zwany „u Alfiego”. No, widzę, że słyszałaś o nim. Już zorganizowałam dla niego dodatkowe fundusze i zapewniam cię, że będziesz tam dobrze traktowana. Dziecko po urodzeniu trafi do dobrego domu, a ty będziesz mogła żyć dalej, jak tylko zechcesz. Tak samo, dodam, twój brat i siostra, oraz, na ile mi się to uda, mieszkańcy **Clyst** i służba z Invercombe. Aresztowania i przesłuchania ograniczą się do minimum. Twój ranny ojciec zostanie zwolniony ze względu na stan zdrowia. Daję ci słowo, że uczynię wszystko co w mojej mocy, by ucierpieli wyłącznie członkowie cechu Kupców-Pionierów i bristolscy **arcycehmiistrzowie**. A wątpię, żebyś szczególnie przejmowała się ich losem...

Marion się zastanowiła. To było dziwne: ta kobieta przetasowała jej życie jak talię kart, rozłożyła przed nią w nowym, strasznym układzie, a tymczasem ona odwzajemnia jej zimne, współczujące spojrzenie i debatuje, co da się ugrać, a co stracić.

- Co będzie, jeśli odmówię?

- Proszę, nie stawiaj mnie w takiej sytuacji.

Próbowała przypomnieć sobie, co wie o matce Ralpa. Wspomniała ów pierwszy raz, gdy zobaczyła ją na brzegu, szukającą pewnego konkretnego, choć całkiem bezużytecznego gatunku perły - nie wątpiła jednak,

że Alice Meynell miała ku temu powody. Z pewnością nie robiła niczego, co nie byłoby przemyślane. Ale czy naprawdę odmówi pomocy ludziom z **Clyst** i Invercombe tylko dlatego, że Marion nie zechce oddać dziecka? Patrzyła w te oczy bez dna, w błękit otwierający się ku bezkresnej, czarnej niż czerń otchłani i wiedziała, że nie może w to zwątpić.

- Cieszę się, że myślisz rozsądnie, Marion.

Czy naprawdę powiedziała „tak”? Alice Meynell zapłaciła za coś, co tam wypili, i już stały przed kawiarnią w słońcu, na wietrze. Zabrano jej całe życie i oddano powyginane w nowy, do niczego niepodobny kształt. Ruszyła pod górę do Świętego **Alphege’a** i już nic nigdy nie było takie samo.

Wcześniej rano zapłaciła rachunek w Sunshine Lodge i ruszyła w jaśniejące miasto, idąc skrótami przez dzielnice, gdzie mieszkali głównie Żydzi, potem **Kitajcy**, potem Irlandczycy, którzy uciekli przed głodem, wreszcie uwolnieni niewolnicy. Minąwszy tyle ruder, cieszyła się, że zaraz będzie żeglować swą łodzią po Avon Cut, da się prądowi wynieść przez słuzy na Kanał **Bristolski**.

Nigdy nie była w Portishead łodzią - nawigowanie po kanałach do rzadko używanej przystani pozwoliło jej zepchnąć inne myśli na dalszy plan. Sezon na letników już się skończył: kiedy szła zawianymi piaskiem tarasami ulic, w wielu oknach wisiały kartki „Wolne pokoje”. W końcu doszła do domu, w którym teraz wynajmowała pokój matka.

- Jest u siebie. - Kuzynka Penelopa wskazała schody rękoma oblepionymi mydłem.

Sprawdziwszy kilkoro identycznych drzwi, Marion zastała matkę siedzącą twarzą do okna we frontowej sypialni.

- Marion, prawda? - Mateczka, owinięta w dziurawy szal, palcami prawej dłoni bez przerwy obracała coś niewidocznego.

- Przypląnąłam z Bewdley. Wczoraj wieczorem widziałam się w Bristolu z Denise i Owenem. Wszystko u nich w porządku.

- Czyli Owen wypływa na jakimś statku, tak?

- Chyba właśnie dzisiaj rano.

- Więc mnie nie odwiedzi.

- Nie zajął w zeszły czwartek?

- A Denise to dobra dziewczyna. Przysłała mi te szale, podobno sama je zrobiła. Nie noszę ich, bo po co mi one? Ta z dołu zawsze ma oko na wszystkie moje rzeczy...

Marion uciekła wzrokiem za okno, przed którym, sądząc po wytartym linoleum, matka spędzała większość czasu. Za podwórzami wypełnionymi zapomnianym praniem, za kalenicami domów było widać trójkącik morza. Dłuższą chwilę posiedziała z mateczką, wpatrując się w nie. Pottrzymałaby ją za rękę, ale nerwowe dłonie były zbyt ruchliwe.

Później, w ponure popołudnie, zabrała matkę na spacer nad morze.

- Jeszcze, cholera, nie jeżdżę na wózku... - Mateczka odtrąciła wyciągniętą rękę.

Obeszły kamienne molo, gdzie kopolasta hala targowa, łuszcząca się z farby i najwyraźniej opuszczona, obiecywała *Weże z głębin*.

- Wzięli i je zabrali - poinformowała ją matka. - Potrzebne były do czegoś na wojnie.

Daleko, na kanale, uniósł się i opadł biały pióropusz. *Bum* - i kolejny.

- I tak cały czas. - Matka zachichotała. W palcach obracała coś błękitnego i lśniącego. - Koło tego stawku do puszczenia stateczków postawili nową baterię. I teraz się **wstrzeliwuje**.

Bum. Grzmot przetaczał się tam i z powrotem po kanale, gdy siedzieli na ławce i jadły rybę z frytkami. Mateczka jadła jedną ręką, bo drugą wciąż bez końca obracała ten szklany odłamek. Oderwawszy od gazety ostatnią frytkę, Marion spostrzegła uśmiechającą się do niej z zatłuszczonej kroniki towarzyskiej Alice Meynell. Zgniotła papier w kulkę i cisnęła do przepelnionego kosza.

W domu, stojąc w hallu i odrzucając nie do końca przekonujące zaproszenie kuzynki Penelope na herbatę, zdecydowała, że nadal może myśleć, iż matka, może nie do końca szczęśliwa, nie jest też bezbrzeżnie smutna. Przy pożegnaniu wzięła ją za rękę i zobaczyła, że całe wnętrze dłoni jest pokryte strupami od nieustannego obracania odłamka **bristolskiego** błękitnego szkła.

Odpłynąwszy z Portishead, odkryła, że kiedy myśli o dłoniach matki obracających to niebieskie szkiełko, sama przebiega palcami po **rumplu**. Obrażenia ojca po wybuchu „**Prozerpiny**” początkowo wydawały się niewielkie. Umieszczono go w maleńkim szpitaliku w Luttrell, by wyleczyć oparzenia i rany po paru odłamkach kadłuba; Alice Meynell najwyraźniej dotrzymała obietnicy, że nie zostanie oskarżony. Marion, gdy pierwszy raz pozwolono jej opuścić Alfiego, żeby go odwiedzić, poczuła coś w rodzaju autentycznej nadziei - odkąd pożegnała myśl o powrocie Ralpha. Tatko w żadnym razie nie winił wiatrosternika Ayresa za wysadzenie „Prozerpiny”. On zrobiłby to samo. Kwestia paru pracokresów, powtarzał bez końca, i **znowu** będzie pływać po kanale. Ale dziwna, ciemniejąca przejrzystość na jego dłoniach wyglądała coraz gorzej.

Marion jeszcze raz zdążyła go odwiedzić, wtedy jego skóra już posiniała i stała się krucha jak szkło butelki, za którym pulsowała krew. Nie mógł mówić, a niedbała pielęgniarka ułamała mu wszystkie palce jednej dłoni. Mówiło się trochę o zabraniu go do Einfell, choć miejsce to kojarzyło się z cechami i szaleństwem - tatko nawet w tym stanie nie zgodziłby się tam pójść. Zmarł dzień czy dwa **później**. Dosłownie pękło mu serce.

Pomimo zmienionych prądów, w Luttrell wciąż stało parę jednomaszynowych kutrów do połowy ryb, a nad brzegiem wisiały sieci - wyglądały jednak na nieruszane od dawna, a mury niegdysiejszej Akademii Żeglarskiej opływał wezbrany strumień. Marion podejrzewała, że Luttrell ucierpiało w konsekwencji upadku Invercombe, choć idąc od kamienistego pirsu, zauważyła, że w miejscu dawnej latarni morskiej stoi teraz bateria dział; może wojna odmieni los tego miejsca.

Nadbrzeżna droga nigdy nie była gładką arterią, teraz nikła, minąwszy kościół, który także wydawał się zaniedbany i opuszczony. Jak to się szybko zmienia! Lecz dźwięk, zapach falującej na wietrze wydmowej trawy były całkiem znajome. W miejscu, gdzie z zarysu brzegu wylaniały się pierwsze domki Clyst, Marion napotkała tablicę ostrzegawczą, pordzewiałą i dziobatą. Potem świszczący na wietrze płot. Kolejny znak, czerwone litery NIEBEZPIECZEŃSTWO. Ale szła dalej.

Wiatr się uspokoił, wygładzając zalewiska. Wieczór ciemniał, a ogrodzenia stawały się coraz bardziej uparte - prawie niewidoczny drut kolczasty szarpał ją za rękę i ubranie. Doszła do drewnianego mostku nad kanałkiem, w który kiedyś mogły wpływać łodzie. Tu było Clyst nie-Clyst, z ciemności bowiem, gdzie niegdyś falowały wydmy, wzywały obce nagie skały. Oczywiście, tu często się coś zmieniało, ale to było coś

więcej. Zmienione prądy, wywołane chaosem w Clarence Cove, zmiotły z powierzchni ziemi jej wspomnienia, jej dawne życie. Tu, za strumykiem, stały resztki chaty, w której się urodziła - zaledwie kupka kamieni z fundamentów przewracanych falami, które kiedyś, gdy była dzieckiem, zachlapywały okna tylko w najgorsze sztormy. Nic nie było takie samo.

Natomiast Durnock Head był teraz bardziej pusty; stała, na pewno stała teraz na skrawku brzegu, gdzie kiedyś zbierała sercówki po trzy szylingi za kubełek. Tutaj fale, które gdzie indziej zmiotły wszystko, równie kapryśnie pozostawiły bez zmian nawet najmniejsze skałki, między którymi poruszała się całkiem podświadomie. Ciężkie ciemnoniebieskie niebo pędziło w mrok. Poczowała mrowienie. Pogoda nigdy się tutaj tak szybko nie zmieniała; już dał się czuć posmak sztormu, soli i piorunów. Niebo rozdarła drabinka błyskawicy. Przez chwilę **wyraźnie** dostrzegła zarys Invercombe, rozbłysł wiatroster, zielnik załśnił zielenią, szereg drzew w arboretum rozwinął się ku winnicy, a potem jeszcze dalej do góry, opalizując w oczach, ku Durnock Head i Świątyni Wiatrów. Potem blask przygasał i dom cofnął się w skłębiony mrok.

Gdy wracała, nasilający się wiatr popychał ją do przodu. Minęła tablice, zasieki, zawalone domy, potem zatłoczony cmentarzyk przy kościele w Luttrell. Było całkiem ciemno. Sprawnie i szybko obliczyła czas, zużycie paliwa i pieniędzy. Zapaliła światła kabinówki i wymykając się z portu, miała nadzieję, że trzymając się głównego nurtu, wróci na kanał. Wokół lśniła oświetlona woda. W tym punkcie prąd rzeki i przyptywy prawie zachowywały równowagę - tutaj nietrudno było sobie wyobrazić, że łódeczka mogłaby łatwo popłynąć na drugą stronę Oceanu Borealnego, z dala od Anglii i nadchodzącej wojny. Jednak równie trudna będzie podróż w górę Severn, do Bewdley, do szpitala **Nolla**.

Tam kierowała się Marion, płynąc prosto pod siekającą deszcz.

5

Mijały miesiące. Mijały przyptywy i odpływy. Po czeluściach podziemi Invercombe kręciły się stworzenia w dziwnych strojach, z szybkami przed twarzą. Dla niektórych pielęgnowana przez ziemię pieśń stała się krzykiem. Furgony jeździły tam i z powrotem. A potem tego wszystkiego, z wyjątkiem pływów, zaczęło ubywać. W korytarzach, w ogrodach

wciąż były słyszalne pomruki i naszeptywania dawnych nadziei, dawnych żyjących tu istot, a dom śnił. W tych snach pojawiały się czasami statki, odległe horyzonty, białe łańcuchy górskie w chmurach i przekrwione wykrzykniki niezwykłych zakłęć. Czasem, jak ducha wśród innych duchów, wyczuwał sięgającą ku niemu obecność stworzenia, które podczas najcieplejszego lata zamieszkiwało w nim ze swym potomkiem. Nie, Invercombe wcale nie było samotne.

- Dzień dobry - powiedziała arcycechmistrzyni Alice Meynell, wróciwszy w cielesnej postaci, z wysiłkiem otwierając frontowe drzwi.

Invercombe nie odpowiedziało, ale nasłuchiwało i przyglądało się, jak ona zdejmuje pajęczyny i prostuje ten czy ów obrazek lub talerz na ścianie, lekko, ale nie tak lekko jak kiedyś poruszając się po pokojach. Potem weszła do budki telefonicznej i usiadła tam, jak wiele razy przedtem. Dom przyjmował ją z zadowoleniem, tak jak przyjmował wszystko - jego kamienie, przeciągi, kurtyny cienia i światła były gotowe wchłonąć ją pomiędzy inne wspomnienia, ale zakłęcie, które zaintonowała, rozwinęło się w coś tak skomplikowanego, że nawet Invercombe zdjął osobliwy podziw. Wydawało się, że i słońce, i księżyc zdrzały na niebie. Fale boleśnie się zatrzymały, podobnie moc eteru, a daleki Upadek był zaledwie leciutkim wydechem w porównaniu z mocą, która nadal przepełniała ziemię.

Jakże szybko rozśpiewały się telefony, mimo że jeszcze nie dokonało się zniszczenie! Dla Londynu i Wschodu problemem było niewolnictwo. Dla Zachodu - samostanowienie i wolny handel. I jeszcze pieniądze, rzeczywista władza nad koloniami oraz zawiła płatanina **firmowych** i cechowych interesów. We Francji, w Saksonii, w Hiszpanii rozgrywały się takie same lub podobne konflikty - owoce długiego Wieku wzrostu i obfitości, która teraz zaczynała więdnąć - i tak jak wieki temu, Anglia była dla nich wygodną areną do ich rozstrzygnięcia. Spadł import cukru z Wysp Szczęśliwych wskutek paru lat kiepskich zbiorów, pojawienia się jakiegoś szkodnika, a także w związku z rozwojem produktu zwanego **słodkogerzem**, paląco słodkiego, ale osobliwie przepysznego, kiedy tylko przewyciężyło się początkowy niesmak. **Słodkogórz** rósł jak chwast nawet na najpodlejszej wschodniej glebie. Bristol i Gloucester zaczęły ogarniać bunt, zamieszki, lokauty i strajki okupacyjne. Na pełnym morzu panoszyli się piraci. Dochodziło do masowych aresztowań, wybuchały strzelaniny, gdy wprowadzono godzinę policyjną. Zubożali ludzie Zachodu poczuli, że sami są niewolnikami. W końcu niewolni mieli gwarancję

zatrudnienia i dachu nad głową; ciepłe i proste życie. Protesty się nasilały. Dzieliły się rodziny. Wybuchaly pożary i bomby.

Angielska wojna secesyjna, tak jak konflikt sprzed wielu stuleci, rozpoczęła się od z pozoru nieplanowanych potyczek. Posiłki wezwane ze Wschodu, by uwolnić Swindon z rąk tak zwanych szabrowników, zbuntowały się i wzmocniły obronę miasta. Zdominowana przez Zachód flota wojenna blokowała port w Hastings, dopóki z miejscowego więzienia nie zwolniono cukrowników, którzy splądrowali i podpalili przetwórnice **słodkogarza**. Starsze, bardziej siwe wschodnie głowy zalecały umiar, ale wprowadzono ustawę zakazującą tego, co na Zachodzie nazywano pańszczyzną, na Wschodzie zaś niewolnictwem, choć Bristol ostrzegał, że spowoduje to całkowity rozłam. Nawet to byłoby może jeszcze do przyjęcia, ale - skutek machinacji, które mogłaby wyjaśnić jedna tylko Alice Meynell - ustawa mówiła też, że wszystkie produkty wytworzone przy użyciu takiej siły roboczej podlegają konfiskacie przez Wielkie Cechy. Innymi słowy, wezwano Zachód do bezwarunkowej kapitulacji i Zachód odmówił. Jego wojska już się nie buntowały, lecz zmotywowane do walki i zasilone szeregami bezrobotnych i rozczarowanych, a także tych, którzy nadal wyobrażali sobie, że cała operacja będzie popołudniowym piknikiem, ruszyli na Londyn - z początku nazywano to Zbrojną Demonstracją. Zamierzali tylko opanować domy Wielkich Cechów i zniszczyć osławioną Ustawę o **pańszczyźnie; utrzcć** Wschodowi nosa - do krwi. Londyn, bardziej niżby należało zaskoczony tą nagłą agresją, pod Oksfordem wystawił jej naprzeciw pospiesznie zmobilizowane siły, które łatwo rozgromiono. Po kolejnych klęskach Wschodu pod Watford, a także Peterborough, gdy Yorkshire wzięło, podobno z czystego oportunistycznego, stronę Zachodu i ruszyło na południe, cała Anglia stoczyła się w otchłań niekończącej się, krwawej wojny secesyjnej.

O ile **przywódcy** Wschodu pozostali w cieniu - tak się o nich tylko mówiło, sami bowiem znakomicie umieli zachować porządek, rozsądek i ciągłość działań - o tyle na Zachodzie na czoło wysunął się starszy mistrz Cheney, czerwony na twarzy grand starej daty, przez lata więziony za tak zwane uczestnictwo w przemyśle eteru, w czym nie widział nic złego żaden zachodniak z krwi i kości. Sapiący, podagryczny, odziany w tweedy, z białymi bokobrodami i siwymi włosami, znakomicie prezentował się na afiszach i był świetnym figurantem, podczas gdy bracia **Pike'owie**, ojciec których popełnił samobójstwo po rujnującym sporze o kontrakt budowlany z Telegrafistami, byli energiczni, elokwentni i świetnie

zorganizowani. Wyglądało na to, że Zachód ma także lepsze piosenki, nawet lepszych żołnierzy - a twierdzono też, nie bez pewnych podstaw, że i krajobrazy. Bóg Najstarszy walczył oczywiście po obu stronach.

Invercombe, choć dawno ufortyfikowane, szybko skreślono z map zachodnich strategów, jako nieprzydatne, bo zbyt bezbronne wobec nowoczesnej artylerii. A zresztą czyż nie było opuszczone i zrujnowane? I raz jeszcze popadło w zapomnienie, a nieliczni tubylcy trzymali się odeń z daleka. Dom i ziemia wpadły z powrotem w utarte koleiny snów. Potrafiły jednak nasłuchiwać. Gdy sieć linii telefonicznych, jednoczących niegdyś całą Anglię, rozpruto i rozdzielono, tworząc **krwiobieg** łączności wojskowej Zachodu, Invercombe przeżywało wszystkie te masakry tak jak wcześniejsze użyźniające glebę śmierci. Nie czuło wprawdzie bólu i niczym się nie przejmowało. Może jednak doszło do wniosku, że rozumie, gdyż te ruchliwe stworzenia zabijały siebie równie chętnie jak inne gatunki i tak było zawsze, od czasów gdy na Durnock Head składano krwawe ofiary.

Wojna to śmierć. Wojna to pieśń — szaleńcze bębnienie. Wojna pojawiała się i znikła jak **puls** kapryśnego przyptywu. Wojna wysąla wszystko, ciała, metal i drewno, i wypływała w posiekanych kawałkach. W ropiejących lazaretach przed nieprzygotowanymi i źle zorganizowanymi **cechmistrzami** i kobietami z lekarskich cechów leżało posiekane i poparzone mięso armatnie. Umysły wielu z nich szybko stały się **kolejnymi** ofiarami wojny, reszta schroniła się w nerwowy dygot albo bezsenny cynizm, nauczyła się nosić maski oraz szlochać i dyskretnie wymiotować pod koniec dyżuru.

Wydawałoby się, że to zupełnie nieprawdopodobne, by akurat tam pojawił się symbol nadziei, ale na Zachodzie tak się właśnie stało. Ranni żołnierze, ci, którzy przetrwali, albo ci, którzy w przedśmiertnych drgawkach coś wykrzykiwali, mówili o pewnej istocie, tak dobrej, mądrej, troskliwej i pięknej, że omal nie wydawała się kobietą, a co dopiero skromną pielęgniarką. Także cechy - Pierwszy i Drugi Rząd Farmaceutów, ludzie z Niższego, Średniego i Wyższego Cechu Aptekarzy oraz niebywała różnorodność Pigularzy, Sióstr, Medyków, Higienistek i Pielęgniarek trudniących się zawodowo uzdrawianiem - wszyscy słyszeli jeden uporczywy głos nawołujący do zjednoczenia się i zorganizowania, na który trudno było, mimo najszczerzej niechęci, pozostać głuchym. Ta sanitariuszka zaczęła nawet samego starszego mistrza Cheneya podczas męczącej wizytacji w **gloucesterskich** szpitalach. Przy innej okazji - obu

braci **Pike'ów**. Wtedy jednak jej imię i nazwisko były znane wszystkim, obrosły mitami i spekulacjami. Nazywała się... Marion Price.

Świadomie wspierana przez **Kupców-Pionierów**, którzy w swych wyprawach aż za dobrze poznali ogłupiający wpływ sztywnych cechowych procedur, pojawiała się w gorączkowych majaczeniach i na pierwszych stronach dzienników. Pisano o niej piosenki. Wydawano broszury. A kiedy szpitale nadal nie radziły sobie z zalewem chorób i rannych, bez większego trudu produkowanych na wojnie, Marion Price otrzymała wolną rękę. Czasem trudno było, jak z przykrością przekonywali się jej przeciwnicy, oddzielić samą kobietę od otaczającej ją mgiełki uwielbienia i mitu. Na tym częściowo polegała jej siła. Medaliki z Marion Price, posążki Marion Price. Inne strudzone pielęgniarki, których rąk kurczowo chwytali się umierający mężczyźni, zapewniały, że tak, tak, to ona we własnej osobie. Nawet kiedy z wściekłością waliła pięścią w stół z cedru kamiennego w jakiejś **bristolskiej** izbie cechowej, jej duch unosił się uzdrawiającym powiewem nad cuchnącymi, **poskrzypującymi** łózkami. Już sam dźwięk jej imienia stał się pocieszeniem, a potem okrzykiem wojennym: Ma-ri-on. Wspierał w marszu znużone buciory, nadawał rytm pokasływaniu armat. Wypełniał druty telefoniczne, rozbrzmiewał na starych plakatach niesionych wiatrem ku Invercombe, gdzie zawisały na złotokapie, a dom słuchał. Kiedy ku jego granicom podkradły się z Einfell inne stworzenia, powierzchnia jeziora ze słoną wodą załśniła szarym wspomnieniem minionych letnich dni.

CZEŚĆ III

1

Przez cały boży dzień gadały karabiny, wieczorem jakby trochę ucichły. Nad moczarami, zanieczyszczonymi teraz krwią, drewnem i użytym żelazem, wzdychał wiatr, a Ralph wałęsał się pomiędzy zdychającymi zwierzętami i wielkimi, martwymi machinami. Osiadły tu czarne stada wron, przez osratnie pracokresy podążające za jego armią. Wdychał odór śmierci, spalonej gumy i kordytu. Buty mlaskały w tęczowych od oleju kałużach i błocie. Zastanawiał się, czy tak właśnie smakuje zwycięstwo.

– Panie generale?

Czterej przybocznicy z elitarnego oddziału, którzy trzymali się z tyłu, rozumiejąc nastrój generała, choć nadal obawiając się groźnych szczęk min hakowych czy ostatnich pocisków umierającego snajpera, podskoczyli, usłyszawszy ten głos. Unieśli karabiny. Ale to tylko był żołnierz któryś z nowych wschodnich pułków, sformowanych na letnią kampanię. Cholewki majtały mu się wokół nagich kostek, gdy kuściwał przez zniszczone wybuchami tory, o które toczyła się ta bitwa. Dzieciak jeszcze.

- Znaleźliście? – Ralph od razu zrozumiał, co chłopak mówi, ale w tym miejscu, w tym czasie musiał rozważyć każdą swoją reakcję. Może i Bóg Najstarszy nie patrzy (Ralph zaczynał podejrzewać, że staruszek parę lat temu odwrócił wzrok), ale za to jego ludzie tak.

– Tak, tak! Marion Price...

Uświadomił sobie ucisk bólu głowy, od dawna odwlekanego, a teraz pełną parą przez czaszkę. Rozkazując podliczenie strat, przesłuchanie jeńców i rozbicie obozu, powtórzył niezmiennie polecenie rozglądania się za nią. Właściwie tylko dla porządku - tak przynajmniej sądził, chociaż przecucie podpowiadało mu teraz coś innego. Opadającym ruchem ręki powstrzymał żołnierzy i podszedł do rekruta.

- Czyli ją złapali? – Bo przecież myśl przemknęła szybciej niż słowa, mogła już nie żyć.

Żołnierz kiwnął głową, potem oddał mu spóźniony salut. Przez ramię miał przewieszony pas z nabojami, ale pusty, i na oko nie posiadał żadnej broni. Ralph, sam nieuzbrojony i z gołą głową, miał powody

zazdrościć przybocznym pancerni z niebieskoszarej żywością, który nawet porzucił, poobijany i pokrwawiony, skrywał nieco ich zmęczenie. Czy wszystko z nią...? Zakręciło mu się w głowie. Zaczekaj. Nie okazuj słabości. Nigdy się nie spiesz, a już zwłaszcza w chwilach kiedy trzeba. Przypadkowe odruchy to zwierzęcy luksus prostego żołnierza - albo tych cholernych ptaszysk. Jeszcze jeden bezmyślny krok i wpadasz do własnego grobu.

– Dobrze jest pilnowana?

– Nie wiem... panie generale.

– Zaprowadź mnie do niej. – Machnął na przybocznych. - A wy zjedzcie coś i odpocznijcie.

– Ale, panie generale...?

Lecz żołnierz kuśtykał już wzdłuż torów.

– Skąd jesteś? – zapytał Ralph, idąc za nim.

Chłopak machnął w stronę rozbłyskującego ogniem smogu.

– Z Shenstone, tylko że nikt nie wie, gdzie to jest, i wszyscy to źle wymawiają.

- A gdzie to jest?

Wzruszył ramionami.

– Tato jeździli kiedyś do Stafford. Ale dawno...

Ralph domyślał się więc, że to jakaś zabita deskami wioska w Anglii Środkowej. Miejsce, w którym można przeżyć życie, nie wyściubiając nosa poza najbliższy kościół i pub. Zastanawiał się, czy Shenstone nadal stoi, czy chłopak zdoła do niego wrócić. Czy jego rodzina przeżyje, czy będzie stać ich dom.

– Czemu poszedłeś do wojska?

– Chyba tak jak wszyscy. – W skrzywieniu bladej twarzy chłopca Ralph domyślił się zaskoczenia, że akurat on zadaje tak oczywiste pytanie. - Żeby walczyć o wolność, o przyzwoitość.

W głównym obozie, który po uciszeniu wielkiej baterii Zachodu przeniesiono z pobliskiego Droitwich, na stryszku farmy odnaleziono ukryte beczki cydru, więc wszędzie rozlegały się rubasznie wulgarne piosenki i przekleństwa. Przed bitwą nie do pomyślenia. Tym razem, co nie było regułą, niewątpliwie odnieśli zwycięstwo, ponosząc minimalne straty. Końcowa stacja magistrali przecinającej Anglię Środkową padła zdumiewająco łatwo. Niedobitki zachodniej Trzeciej Armii, która i tak była już papierowym tygrysem, zapewne rozpierzchły się w nieładzie, ze zniszczonym morale, infrastrukturą i większością artylerii.

Dym i kuchenne zapachy łaskotały zmysły Ralpa przechadzającego się po skraju obozowiska. Oświetlone ogniem twarze, ustawione w kozły karabiny, zrzucone na kupę napierśniki jak kopulujące żółwie, kaprale śpiewający razem z szeregowcami stare, awanturnicze piosenki rodem z wodewilów i kinematografów. Szepty, poszturchiwania, że przechodzi generał, skwierczące mięso, sypiące się iskry. „Baaaacz...” - ale jego już nie było. To nie wieczór na robienie porządku w sortach i broni, na znuzone salutowanie, które będzie musiał odwzajemnić. To nie czas na patrzenie naprzód czy na wspominki. Wiedzieli, że wszystko się rozstrzygnie o świcie.

- Tylko ostrożnie, panie generale - szepnął rekrut. - Wie pan, co mówią...

- A co mówią?

- Że to czarownica.

- Bzdury! Jest tylko cechmistrzynią, a i to nie do końca. Dlatego ludzie Zachodu tak ją... - powstrzymał się od użycia słowa „uwielbiają” - ...tak dobrze o niej myślą. - *Ma-ri-on. Ma-ri-on*. Trzy sylaby imienia zmieniły się w skandowanie z przytupem, okrzyk bojowy. A dla jego uszu brzmiało to tak łagodnie...

Tutaj, przygarbione w mroku, kryły się ich główne działa. Spod plandek wystawały senne ryje, jakby ogromnych stalowych kretów. Cały dzień snuły się dymy, rzucano zaklęcia, tak że teraz ziemię przenikała mętna mgła. Mistrzowie artylerzyści, pielęgnujący czarny jak smoła dziwożar tych upiornych paszczek, mieli, jak kochankowie, tajemne określenia na poszczególne typy amunicji, słowa wyszeptywane w zgiełku i mroku bitwy, których nie zdradziliby nawet na torturach. Teraz jednak było tu cicho, jak tylko może być cicho w wojskowym obozie, całkiem jakby armaty swym całodziennym grzmotem wybiły w substancji wieczoru wypełniony ciszą krater.

- Myśli pan, panie generale, że po wszystkim postawi się ją przed sądem za zdradę, tak jak innych? - zapytał żołnierz.

Ralphowi nie chciało się odpowiadać. Nawet teraz, gdy skończyła się potyczka, którą pewnie kiedyś nazwą bitwą pod Droitwich, gdy wyglądało, że rzeczywiście zwycięzcy doczekają pokoju, nie cierpiał spekulować o końcu wojny. Spod jakiegoś rozbitego budynku uwolniły się z klatek i z łańcuchów pozeracze — dziwaczne stworzenia o ogromnych pazurach i niemożliwie zginających się kończynach. Teraz, wśród odgłosów rozdzierania, darcia i mlaskania, ucztowały na własnych pobratymcach.

Zwycięzca bierze wszystko. Jeden, **gadziokształtny**, choć rogaty jak byk, dwukrotnie **wyższy** od człowieka, zmierzył Ralpha czerwonym spojrzeniem. Paszczę **miał unurzaną** we wnętrzościach leżącego przed nim w klatce gargulca. Chyba nie zamierzał się z nikim dzielić.

Później Ralph minął namioty szpitala polowego, gdzie odgłosy i zapachy sugerowały, że bitwa trwa nadal - choć milczą działa i karabiny. Wyziewy, które się tu **unosily**, były za **gęste**, by rozproszył je muskający moczary wietrzyk. Zapach kordytu, błota i płytkich latryn został pokonany przez ból, pot i pierwszą, ostrą nutę gnijącego mięsa, która za parę dni tak się nasili, że nie rozwieje jej żadne zakłęcie. Muchy, jak wrony, pojawiły się znikąd. Tu zaś leżały ciała już martwych, zwalone w niechlujne rzędy, czekające do jutra na księży i ostatnią rewizję. Ralph miał wrażenie, że prowadzą go kolejno przez wszystkie okropności wojny.

Zbocze doliny Salwarpe uniosło się na przywitanie. W porytym kraterami księżycowo-błotnym krajobrazie - ostrzał był tu najcięższy - w krwawym blasku zachodzącego słońca lśniły prawie nienaruszone torry kolejowe. Zadaszony peron, jakimś cudem ocalały z zawieruchy, przedstawiał się jako DROITWICH JUNCTION. Stojący na nim automat z czekoladą był podziurawiony kulami i splądrowany. Za torami garbiła się przysadzista hala lokomotywowni z blachy falistej.

- To tutaj... - Rekrut wskazał wejście. - Tam ją trzymają... - Lecz nie był pewny. Weszli do ciepłego, mrocznego wnętrza, gdzie wciąż było czuć kojarzący się z solidnością zapach oleju i stali.

- ...czność! - Żołnierze Wschodu unieśli karabiny na ramiona. Wyglądali na czujnych, nerwowych i wystraszonych.

Ralph odchrząknął.

- Czy wszystko w porządku?

Kapral, nieduży facecik z jednym ślepym okiem i rozmazaną na bluzie krwią, najpewniej cudzą, wyszczerzył zęby w uśmiechu i zasalutował.

- Jak najbardziej, panie generale!

- Szeregowy przekazał mi wiadomość, wiem, że to brzmi absurdalnie... - Ralph zachichotał. Teraz to rzeczywiście tak zabrzmiało. - Że schwytaliście Marion Price.

- Jest tam, w kanale.

- W kanale?

Pauza. Zadzwończyła łańcuchy.

- Stalmistrzowie używali go, żeby zajrzeć pod lokomotywę od spodu. Wyglądało, że to najlepsze miejsce dla niej. No i pomyśleliśmy...

– Tak, tak. Na pewno wybraliście najlepsze miejsce.

Ralph nie miał już najlepszego pojęcia, czego się spodziewać. W końcu długo oczekiwane mogło przyjść właśnie tak. W najbardziej niespodziewanym miejscu, w najgorszy możliwy sposób. Ale co robiłaby tutaj Marion? Przecież Zachód zawsze trzymał ją z daleka od frontu... Stanęli prawie na krawędzi kanału, dołu między szynami. Miał cztery metry głębokości, jeśli nie więcej, na bliższym końcu betonowej podłogi połyskiwała zaolejona woda. Wydawało się, że nikogo tam nie ma. Ralph poczuł, jak kleszcze bólu głowy ściskają mu oczy. To jakiś żart? Zawsze, chwając kogoś, czy mieszając z błotem, w chwilach olśnienia i nieobliczalnego gniewu, spodziewał się, że zaraz pozbawią go władzy. Całkiem jak kiedyś we śnie. Był dzieckiem, nagim albo w pizamce. *Skarbie, chyba powinieneś już się położyć.* Cały świat naśmiewał się z niego, a żołnierze traktowali jak głupka. Ale...

Coś, co wyglądało na kupkę worków w kącie, nagle uniosło głowę. Oczy miało puste, rozpalone gorączką. Włosy pozlepiane w strąki, szczerbaty, czarny uśmiech. Ta nieszczęsna istota zaczęła śpiewać, powoli, zaciągając z zachodnim akcentem i patrząc wprost na niego. Głos, łamiący się, niepasujący do tego drobnego ciała i chudej twarzyczki, odbijał się echem w kamiennej studni, wprawiając w dygot martwą maszynię i łańcuchy. Patrzyła mu w oczy, odwijając się ze szmat, aż stanęła, z rozpostartymi rękoma, na nóżkach cienkich jak wyciory. Jej niesamowity strój składał się ze wstęg pozszywanych, wypatroszonych owadów. Była chuda, obdarta, lecz jej zdarty głos miał wielką moc słów Boga Najstarszego i niezachwianej pewności zwycięstwa.

Kiedy Ralph się odwrócił, głos nabrał kraczącego, drwiącego tonu. Potem złagodniał, nasilił się... i zmienił w gruchającą kołysankę bez słów. Ralph zauważył, że żołnierze wykonują tajemne gesty. Kręcąc głową, poczuł, jak jeżą mu się włoski na karku.

– To nie ona, w żadnym wypadku... To po prostu jedna z tych... po-bojowniczek. Ranna w głowę. Może zginął jej ukochany, a może syn. A może po prostu napiła się za dużo hymnicznego wina. - Wzruszył ramionami. Oblał go zimny pot.

- Więc co mamy z nią zrobić? – zapytał jednooki kapral w zakrwawionej bluzie.

– Wypuście jutro rano. Wsadźcie na jakiś furgon i wywieźcie gdzieś daleko, żeby już nam nie przeszkadzała. A tymczasem macie nic jej nie zrobić. Zrozumiano?

Uśmiech kaprała był nieprzenikniony. *Ma-ri-on, Ma-ri-on* dudniło Ralphowi w głowie. Zajrzał z powrotem do kanału. Wyglądała jak wcielenie obłądu tej wojny. Trudno było sobie wyobrazić, by mogła istnieć przed jej rozpoczęciem, choć jednocześnie miał dziwne wrażenie, że coś w niej... Wyciągnęła pajęczą rączkę.

— Ty... — odezwała się pół szeptem, pół skrzekiem. — Ty tam byłeś. Pamiętasz, tamtego lata w Invercombe. Znałeś ją. To ty. Jesteś...

Cięnięty odłamek metalu odbił się od jej boku, zawył, skuliła się, tarzając z jękiem po betonie. Któryś z szeregowców śmiał się i celował.

- Dość tego! Mówiłem: macie nic jej nie zrobić.

Ralph odwrócił się, cierpła mu skóra, nie był pewien, co usłyszał, co zobaczył. W końcu wojna aż ocieka strachem i zabobonami - a on ma być ponad to, myśleć klarownie i logicznie, jak przystało na dowódcę. Zbocz z tej ścieżki, a spadniesz tak nisko, tak daleko, że lepiej o tym nie myśleć. Ona naprawdę powiedziała „Invercombe”? Na pewno nie. Nie, po prostu zmęczenie daje mu się we znaki. Kiepskie wrażenie zrobił na tych żołnierzach, których już nie zobaczy, dopóki nie pośle ich na śmierć; polecił szeregowemu, który go tu przyprowadził, żeby trochę odpoczął, i wyszedł.

Odór nadal wisiał w powietrzu, ale dym nieco się przerzedził. Smród wojny — gówna i pożaru, ze słoną nutą kordytu. A także psującego się mięsa i wszechobecnej wilgoci, która nie znikala nawet w tak ciepłe dni jak dzisiaj. Chcąc skupić myśli na bieżących sprawach, w drodze powrotnej zajrzał do namiotów sztabu. Dźwięknął telefon, jego lustro się rozjaśniło, potem ściemniało przepraszając, a unoszące się znad stołów z mapami twarze zupełnie je zignorowały. Oficerowie sztabowi pracowali nad pytaniami i alternatywami, które przedstawią swemu generałowi jutro o świcie. Posunięcia, które muszą zaowocować tym liczniejszymi ofiarami, im większe będzie zwycięstwo - wiedział jednak, że trzeba maksymalnie wykorzystać przewagę taktyczną, na ile pozwolą zmęczone oddziały i napięte do granic możliwości linie zaopatrzenia.

Na mapach po raz pierwszy wytyczono, daleko poza teren, na którym planowano dzisiejszą bitwę, zieloną, zawiłą i ciepłą drogę naprzód, do opanowania całej zachodniej Anglii. Czarne kleszcze bólu głowy znów poruszyły się za oczyma Ralpa, ogromne i rzeczywiste jak skorek, którego jako dziecko widział w powiększeniu, w kartonowej tubie kalejdoskopu. Śmierć traktował wtedy jak dobrego znajomego, wiecznie kryjącego się w pobliskim cieniu, wypełniającego mroczne resztki każdego dnia.

Ten mały, niewinny owad, wijący się i drgający w tęczy kolorów z okna izby chorych, na trwale wpisał się w jego deliria, które przypomniały mu się i dziś, jako powidok owej odzianej w robactwo kobiety. Zachwiał się i oparł o niepewny brzeg stołu z mapami.

- Wszystko w porządku, panie generale?

Zakaszłał, przełknął, skinął głową i znów wbił wzrok w mapę. Płatanina dróg, granic i rzek. Zakola rzek Wye, Avon i najszerszej z nich –Severn; piękny, typowo angielski krajobraz, schwycony w szpony zniszczenia przez wojnę, przez obce siły niewiedzy, chciwości i dewocji. Rzeki spotykają się, rosną, w pewnym nieokreślonym miejscu woda robi się słonawa i zaczyna poddawać humorom księżycy, a potem krajobraz rozpościera ręce, by przywitać ocean. Sycił wzrok spokojem wśród widoków, o których tak często myślał, ale nie ważył się potraktować ich jako terenu do zdobycia - tak, wiedział, że powinno się mówić „wyzwolenia” - mimo że właśnie tak mówiła strategia. Może jednak po dzisiejszym zwycięstwie trzeba zacząć wyobrażać sobie, że da się to skutecznie zrobić, zorganizować tak wielki pokaz umiejętności i siły, że Zachód podda się i zakończy tę straszną wojnę. Jasne, miło byłoby tak właśnie myśleć.

Pozwolił sobie dotknąć palcami świeżego druku mapy. Bristol. Most na Severn. Dalekie wzgórza Walii, na które lata temu spoglądał przez zaparowaną szybę auta, jadąc w miejsce, gdzie miał spędzić najszczęśliwsze i najsmutniejsze lato swojego życia. Wspomnił gryzące koce, pomruk silnika i brudną szyję szofera. Ze wszystkich miejsc w Europie, gdzie zawędrowali z matką w poszukiwaniu uzdrowienia, zachodnia Anglia wydawała mu się najodleglejsza. I nadal tak było. Invercombe. O, tu leży, nazwa na mapie, jak każda inna.

Wyprostował się i kiwnął głową, żeby uciszyć oficera, który opowiadał mu, że potrzeba więcej węgla. Wśród ostrożnych spojrzeń wyszedł na zewnątrz i powędrował przez mrok. W jego namiocie ledwo mieściły się kuter i pryzca. Celowo – to miało być ostatnie schronienie, gdzie nie mógł wejść nikt inny. Wciąż słyszał niesione wiatrem głosy swych ludzi. Znudzili im się już sprośności i cicho podśpiewywali. Był tak wyczerpany, że rytm przywodził mu na myśl pieśń tej wariatki w stroju ze zdechłych owadów. To jakiś hymn? Nowa patriotyczna piosenka? Pomyślał, że świetnie byłoby, jakby jutro wywieźli go furgonem i pozostawili gdzieś daleko w szczerym polu, z dala od całego tego błota i chaosu. Potem przypomniał sobie uśmiechniętego od ucha do ucha krwawego kaprała.

Garbiąc się, unióś wienko kufra, odsunął ubrania i listy. Wilgotno. Jak wszędzie. Miał tu swój stary płócienny wór. Wyciągnął sznur z porrdzewiałych oczek. W środku znajdowała się bezładna sterta notesów i kart perforowanych z maszyny obliczeniowej, bo gumki, które niegdys spinały je w eleganckie pakiety, popękały, zmieniając się w kruche robaki. *Ma-ri-on, Ma-ri-on*. W głowie wciąż polatywały mu szalone, fa-liste sylwetki. Czemu, u licha, ktoś wziął za Marion Price to dziwaczne stworzenie w kanale lokomotywowni? I czy ona naprawdę powiedziała „Invercombe”? Z kufra unióś się, pomiędzy wszystkimi okolicznymi wojskowymi odorami, zastały zapach soli. W szwach okładek starych notatników, między słowami i rysunkami, którymi Ralph kiedyś chciał opisać i wytłumaczyć świat, wciąż połyskiwał piasek. Generał ujął w palce kilka drogocennych ziarenek, obrócił. Poczul nadbrzeżne światło słońca. Pomyślał o utraconych dniach. Utraconej miłości. Utraconym dziecku. I uśmiechnął się mimo wszystko.

2

Co to była za piosenka? Jak ona szła? Klade uwielbiał zmieszane głosy, tupot-szurgot buciorów i grzmot-łaskot kół, po którym zapadała cisza, rozdzierana potem głosami dział, ale jeden fragment piosenki cały czas mu umykał. Po wygranej lub przegranej bitwie głosy żołnierzy łączyły się unisono wokół ognisk, popiół polatywał na wietrze, a ich głosy rosły i potężniały, wspomagane wyciem pożeraczy w klatkach, jękami rannych w podłużnych namiotach i głosami pobojoowników. Głosy były pogodne i smutne zarazem. Odważne i pełne strachu.

*Drzewa rosna pod niebo,
Zieleni się leśne ziele,
Przeżyliśmy z ukochanym
Zimowych nocy wiele.
Mój zuch jest młody, lecz jeszcze urosnie...*

Te słowa Klade znał na pamięć i zawsze przepelniały go wspaniałym smutkiem, sprawiającym, że zapominał o bólu i głodzie. Jednakże pozostałych zwrotek nie potrafił zapamiętać, choć wiedział, że są jeszcze

smutniejsze, podzielał ten smutek, ale zupełnie nie rozumiał, dlaczego ze wszystkich najsmutniejszy jest fakt, że Zuch jest młody i że jeszcze rośnie - przecież to coś dobrego. Tylko że ta piosenka była o wojnie, o tej wojnie, czy o wojnie w ogóle - a Klade wiedział, że takie piosenki są smutne z natury rzeczy, o ile nie są o Marion Price, sprośne, gniewne albo całkiem nonsensowne.

Zachodnia Pierwsza Armia była ogromnym potworem. Ciągnęła się na kilometry drogami, pomiędzy żywopłotami, w ciszy przedświt, nieopodal miejscowości Droitwich w Worcestershire. Oddychała, szczekała bronią, cuchnęła. Klade nie miał złudzeń, że pobojoznicy, jak on, zupełnie się dla niej nie liczą, są kleszczami na grzbiecie zwierza - zachodniej Pierwszej Armii, rozgniatanymi z ponurym uśmiechem, tak jak on robił z insektami we własnych włosach i ubraniu. A zwierz ów był teraz szczególnie ożywiony w swym nużącym cyklu marszu i oczekiwania. To powoli, to szybko podchodził ku niemu inny stwór - armia Wschodu. Wydawało się przesądzone, że oba potwory zetną się tutaj, pomiędzy polami, kamieniami i błyszczącymi, drogocennymi szynami linii łączącej Portsmouth z Preston, choć Klade nie sądził, aby teraz pociągi często jeździły tą trasą.

Poruszył się, czując na twarzy rosę. Wciąż było ciemno, słyszał jednak poruszenia słończonych w tym miejscu innych pobojozników. Gdzieś grzmotnął karabin, ale po tej uwerturze nic nie nastąpiło i Klade znów się poddał zmęczeniu. Zbliżała się bitwa, a jemu tak chciało się spać. Chciałby też przypomnieć sobie, jak to było naprawdę z tym rośnięciem Zucha... Wspomnił dygot, jaki wiele lat temu przeszedł po słupach telegraficznych, gdy stał przy ogrodzeniu Einfell, a Fay odeszła do Ludzi-Cieni. Wspomnił obrazki, które zaraz potem pojawiły się w gazetach - przewracający się, płonący ogromny budynek. Wspomnił też, że wskutek tak zwanych przejściowych trudności gazety zaczęto wydawać na dużo gorszym papierze, że krajobraz Anglii zaczął się rozpadać na części, jak jego wyświechtane mapy. Lecz on wiedział, że jest z Zachodu, bo tam leży Einfell. Silus ostrzegł go zresztą, że lepiej nie mówić nic innego.

Na niebo przesączała się pierwsza nuta szarości, przywodząc na myśl wspomnienia letniego dnia w Einfell, kiedy przyjechały furgony. Zapasy kończyły się, więc zżerany głodem Klade wyskoczył na porytą koleinami drogę, spodziewając się obfitego transportu *Wiśniowej Pocięchy* czy *Porzeczkowego Snu* i z rozczarowaniem ujrzał wysiadających z nich mężczyzn z karabinami, ubranych jak żołnierze, choć wyglądali, o ile umiał

wówczas ocenić uczucia i zachowanie Tamtejszych, na równie spłoszonych i nerwowych, jak nieprzyjeżdżający już dostawcy w rodzaju Abnera Rudyego.

- Wszystko w porządku - powiedział, podchodząc do nich. - Ja naprawdę nie jestem...

Oni jednak już unosili karabiny i odwracali się do Silusa, a jeden, w mundurze udekorowanym największą liczbą błyskotek, zaczął coś bardzo głośno wykrzykiwać. Pieśń się wzburzyła, las rozbrzmiał zagubionymi głosami Ludzi-Cieni, Stalmistrzowie zawyli przy kowadle, a ptaki Pana Wrony wzbily się gęstym obłokiem. Rozwibrowane wzburzenie przepełniło nawet Silusa, Klade czuł to i widział.

- To niemożliwe! - krzyczał Silus niewyraźnie. - Nie mogę pozwolić...

Lecz żołnierz pokręcił głową. Chcieli chyba, żeby wszyscy Wybrańcy weszli do ciepłego, pachnącego metalem wnętrza jednego z furgonów.

- A ten, o? - zapytał inny żołnierz, obwąchując Klade'a lufą karabinu. - Co to, u licha, za jeden?

Silus stanął obok.

- Nikt. Przypadkiem się u nas znalazł. Nie można go samego zostawić...

- Synu, pokaż rękę.

Klade się zawahał. Chwycili go.

- No nie, on też ma jechać.

- Ale...

Dziś nie był jednak dzień na „ale”. Popchnięty końcem karabinu Klade zauważył, że spod brązów i zieleni furgonu wyziera niestaranie zamalowany napis. Może to dawny wóz Rudy’ego - na tę myśl niemal się ucieszył. Potem z Wielkiego Domu przywleczono Idę, żołnierze prawie ją nieśli; Pan Wrona stracił część piór. Stalmistrzowie musieli zostawić wszystkie narzędzia, poza dłońmi. Ostatni przyszedł Kwiat, delikatnie gubiąc płatki i szlochając.

- To już wszyscy?

Niebawem tak było, jeśli nie liczyć Ludzi-Cieni, którzy wpadli w furję. Paru żołnierzy wysłano do lasu, choć pieśń i tutaj była tak przenikliwa, że musieli słyszeć ją nawet ci na podwórzu. Wrócili z opuszczoną bronią, kręcąc głowami.

- Panie sierzancie, nie da rady, tam tylko jakieś szmaty-duchy. Ciary chodzą gorsze niż od tej bandy tutaj...

Do furgonu wepchnięto pozostałych Wybrańców. Po krótkim sporze wsiadło jeszcze dwóch żołnierzy, czule gładzących metalowy ból karabinów. Klade siedział blisko nich, wdychał przesycony strachem oddech i chciał pytać o wojnę. Sam śledził ją dokładnie, jak tylko mógł na podstawie przypadkowych gazet znajdujących na kołcach ogradzającego Einfell ogniociernia. Cieszył się zwycięstwami pod Bicester i Swindon, a potem, że wojska Yorkshire dołączyły do nich pod Grantham. Nawet on, ze swoją dość, prawdę mówiąc, ograniczoną wiedzą wojskową, widział na strzępach drogocennych map, że po odcięciu Londynu od Preston Wschód nie ma żadnych szans. Zachodnie armaty już prawie sięgały tak zwanej stolicy. Do świąt będzie po wszystkim, Klade cieszył się, że powróci normalność i Słodycz. Ale te święta miały być dwa lata temu.

- Zachodniak, tak? - zapytał żołnierz, obejrawszy Klade'a od stóp do głów.

Klade potwierdził z zapalem, lecz żołnierz plunął mu między nogi. Furgon, pełen mdłości i pieśni, przywiózł jeńców na podwórze, gdzie ich wyładowano i kazano przestać, do cholery, wyć i mamrotać, i ustawić się w szereg. Coś dziwnie zadzwoniło – Klade przez chwilę myślał, że żołnierze zabrali ze sobą stare żelastwo z Miejsca Spotkań, ale te łańcuchy były nowe i błyszczące. Tamtejsi w brązowych płaszczach mieli problem z włożeniem w nie dziwacznie ukształtowanych kończyn wybrańców.

W odróżnieniu od tych z Miejsca Spotkań, nowe kajdany pasowały na Klade'a jak ulał. Silus, zraniony niewbitym do końca nitem, znów bełkotał prośby o uwolnienie. Zabrali go, krzyczącego, plującego i krwawiącego. Niebawem na dziedzińcu został tylko Klade i Ida. Choć jemu wydawała się piękna, wiedział, że przez te bruzdy na twarzy i sposób mówienia bez używania ust Tamtejsi boją się jej bardziej niż większości Wybrańców. A przywlekli ją tutaj bez peleryny, którą zwykle nosiła.

On jest ze mną, powiedziała tylko, nadstawiając do zakucia czarne konary rąk, i choć wiele razy mogli ich rozdzielić, przez następne pracokresy jakby zaakceptowali tę nierozłączność, wożąc ich z miejsca na miejsce w budach samochodów, wagonów, furgonów i ciężarówek.

Powinniśmy się domyślić, że tak będzie – z tymi kajdanami... Uniosta wychudła, drżące dłonie. W istocie jednak łańcuchy dawno z nich spadły. *Zawsze tak traktowano takich jak my. Potem napiętnują nas krzyżem z literą C...* Klade widział w starych gablotach te narzędzia i zdawał sobie sprawę, do czego służą, lecz to się wcale nie stało – przez nieskończone podróże, tłoczne noce i niezliczone godziny w fabrykach powtarzał jej,

że nie jest tak źle, a niedługo jeszcze się poprawi, kiedy przyjdą święta, Zachód wygra wojnę i wróci do Einfeld.

Z niesmakiem czytał wiadomości o bitwie pod Royston, którą nawet „Bristol Morning Post” nazwał „znaczącym niepowodzeniem”, potem o Drugim Oblężeniu Oksfordu i niekończących się potyczkach na przechodzącym z rąk do rąk kluczowym terenie pomiędzy Leeds a Yorkiem. Mapy były na wagę złota –gdyby strażnicy zobaczyli, zabraliby je natychmiast, Klade był bowiem *wścibskimświrem-odmienicem*. Ale zapamiętał sobie, jak wygląda kraj, i wiedział, że wojska, które połączyły się pod Grantham z armią Yorkshire, zostały rozdzielone, a ich mściwe działa nie sięgały już Londynu.

I wojna, i ich podróże nabrały niespokojnego rytmu. Nigdy na dobre nie ustawały, nigdy się na dobre nie rozkręcały. Ani całkowita klęska, ani bezsporne zwycięstwo. Zawsze zajęci, zawsze na coś czekają. Wyzwiska. Zimne pomyje. Nie ma Słodyczy, i jak się boleśnie przekonał, strażnicy wścickają się, gdy tylko się o niej wspomni. Idę, bezdźwięcznie wzdychającą, zgrzytającą kośćmi, krwawiącą ze splekanej skóry, często musieli nieść do kolejnego biura czy fabryki. Coraz częściej spadało to na niego, bo przy nim najmniej jęczała i oponowała. *Hopla... No, jedziemy..*. Potem betonowa podłoga. Wyciągnięte blaszanki z wodą. Dla Idy i Klade'a tak wyglądał Zachodni Wysilek Wojenny.

Nie miał pojęcia, że Ida, zanim się odmieniła, pracowała w cukrowniach – a zwykle zabierano ich do takich właśnie fabryk. Ogromne silosy z łuszczącymi się nazwami - Bolts i Kirtlings w Bristolu, Fripp & Eddington gdzie indziej. Choć już nie produkowano tam cukru, w powietrzu wciąż unosił się lepki zapach; delikatna słodycz mieszała się ze słono-gorzkiem posmakiem nowych procesów chemicznych, tak że Klade owi dojmująco kojarzyła się ze Słodyczą. Trzcina cukrowa, którą udało się przeszwarować przez francuskie blokady, była zbyt cenna, by marnować ją na prozaiczne jedzenie. Równie poszukiwanej bawełny też nie zużywano już na banalne ubrania. Oba surowce, podobnie jak drzewną pulpę, opiłki z kopalni i wykwitły ze ścian stajni pochłaniał teraz najważniejszy z przemysłów – produkcja materiałów wybuchowych. Obowiązkiem Idy zaś było śpiewać do bulgocących, kipiących, wrzących kadzi, kłaść zniszczone dłonie na ich gorących kołnierzach, uchylać się przed wirującymi bloczkami, słuchać ich bezmózgiej pieśni oraz uczyć je, a także ich panów, jak produkować bardziej wydajnie. Fabryki z połamanymi kołami i zapchanymi rynnami zsypowymi w niczym nie

przypominały eleganckich rycin, którym Klade przyglądał się kiedyś na gazetowych reklamach. A czasem –ponieważ były po brzegi pełne materiałów wybuchowych (to były najgorsze ze wszystkich wizyt) –po prostu wylatywały w powietrze i musieli z Idą przekopywać ruiny, poszukując wśród ludzkich szczątków drogocennych amuletów i tabliczek zaklęć.

Stan Idy się nie poprawiał, więc strażnicy coraz częściej irytowali się jej powolnością i śliską od krwi skórą przypominającą przypalone krówki. Powiedziała Klade'owi, że zawsze nienawidziła swej pracy w Cechu Cukierników i wróciła do niej dopiero, kiedy Terry poszedł do szkoły, bo potrzebowali ze Stanem pieniędzy. Teraz pieniądze, jak wszystko inne, nie miały znaczenia, a jej pieśni, nawet gdy bardzo się starała, coraz słabiej wpływały na maszyny; coraz bardziej przenikał ją ból. Któregoś ranka, w ciemnej szopie, której drzwi strażnicy zaparli wałem do trawy, Klade się ocknęła. Minęło kolejne Boże Narodzenie, znów była wiosna, a Zachód miał jeszcze dalej do zwycięstwa niż przedtem –denerwujące, zważywszy że i on, i Ida, i wszyscy włożyli w to tyle pracy. Słuchał śpiewu ptaków i cieszył się, że w rękach i nogach nie odbijają mu się echem duchy cierpienia Idy. Miał nadzieję, że furgon czy wóz, którym dziś pojedą, będzie miał okna i siedzenia. Miał nadzieję, że na śniadanie dadzą im oprócz wody jedzenie, a na obiad będzie coś lepszego niż stęchłe pomyje. Lecz pieśń naprawdę się zmieniła. Choć słabiutka, brzmiała ożywczym powiewem wolności. Podpełzł ku Idzie wśród odłamków rozbitych garnków, aby podzielić się z nią tą wiadomością. Siedziała niewygodnie oparta o wiązkę grabi; Klade, zdumiony jej bezpieczeńnością sztywnością, szturchał ją chwilę i potrząsał, aż uświadomił sobie, że umarła.

Wiedział, że za godzinę przyjdą strażnicy i zaczną ich popychać i krzyzczyć. I będą kłopoty – zawsze się wściekali, kiedy coś się psuło. A co się stanie, kiedy znajdą Idę? Zniszczona twarz Idy była skierowana wprost ku niemu, gdy gramolił się pomiędzy kupami starych leżaków i umysł wypełniły mu praktyczne, beznamiętne rozmyślenia –i zaczął napierać na drzwi. Szczelina rozwierała się powoli, wpuszczając światło i śpiew ptaków. Klade pchał dalej. Wtem drzwi stanęły otworem. Klade wyszedł. Klade biegł. Klade uciekł.

W Droitwich słońce stało wysoko, światło i hałas splatały się w pajęczynę, a Klade chował się pod żywoptem; po wąskim zboczcu zszedł

zachodni żołnierz, odganiając kopniakami licznych pobojozników, krzycząc, żeby się stąd natychmiast wynosili. Wołał jednak trochę bez przekonania, a działa już do siebie gadały. Coś zagwizdało, zapachniało dymem, a potem świeżą ziemią. Klade zaraz odkrył, że jest sam, a wokół rozpętała się na całego pieśń wojny, zapachami, zakłęciami i dymem. Nieopodal gorąca para unosiła się nad lejem, którego krawędzie świeciły od resztek żaru i eteru, a on zastanawiał się, czemu po ucieczce z tamtej szopy, od zwłok Idy, ciągnęło go ku takim scenom. Może, przypuszczał, sprawiała to bitewna pieśń. Może słodko-gorzki zapach materiałów wybuchowych. Wabiły go pobojoznicy, niemal opuszczone miasta ze spiżarniami i sklepami, w których czasem jeszcze udawało się znaleźć puszkę Słodocy i rozłupać ją odłamkiem pocisku lub kamieniem. Tak właśnie trafił na pierwszych pobojozników, uczujących na cmentarzu i raczących się hymnicznym winem. Nie przeszkadzało im, że sepleni i ma dziwaczny akcent. Zaśmiali się, gdy powiedział, że jest Wybrańcem i pochodzi z Einfell, nawet kiedy pokazał im swój pozbawiony Znak lewy przegub. Podsunęli mu krążący między nimi pełen po brzegi czerwony kielich. Głowę Klade'a wypełniły wizje i pieśń. Nawet później, gdy obolały wymiotował, nie żałował, że do nich dołączył – że wspólnie z nimi należy do nigdzie nienależących.

Pobojoznicy naprawdę nie żywili się ciałami poległych po bitwie, jak się mówiło, ani ich nie okaleczali – albo robili to nieliczni. Okradali zwłoki, to prawda, a niektórzy podawali się za syna samego Boga Najstarszego, który po raz drugi zstąpił na Ziemię, lub za Marion Price, umiejącą uzdrawiać dotykiem. Sporo, może i większość stanowiły żony lub matki poszukujące bez końca mężów i synów. Trafiali się nawet Wybrańcy - Klade rozpoznawał objawy, choć oni sami zwykle ich nie rozpoznawali i umierali lub znikali, zanim proces przemiany na dobre się skończył.

Bum, bum!

Klade przykucnął. Wokół zagwizdało. Wszędzie było pełno dymu, ludzie padli na wznak w bitewnym błocie. Może puszcza gaz widmowy. Żołnierze strasznie się go bali, Klade zaś nawet lubił sprowadzany przezeń zmieniony ogląd świata. Przetoczył się potwór – dwukrotnie wyższy od człowieka pożeracz, wyjący, zębaty. Coś czknęło dymem –mina –i po pożeraczu została tylko kupa mięsa.

– Uważaj, uważaj, uważaj, no...

Co miał zrobić – spojrzął w tamtym kierunku. Podbiegła ku niemu truchcikiem pobojozniczka w pstrokatym, szeleszczącym ubraniu. Wydała mu się trochę znajoma, więc pozwolił się ciągnąć.

– Uważaj, zastrzelą cię zaraz.

Wciągnęła go w bardziej osłonięte miejsce. Klade wyjrzał przez na wół zasypany otwór w niskim murze. Coś świsnęło ponad nimi. drzewo wleciało do góry, sycząc i kipiąc sokiem. Gałęzie się zapaliły.

– Zaczekamy tu, dobra? Nie będziemy ryzykować bez potrzeby...

Klade nie był tego taki pewien, ale nie chciało mu się oponować. To niechcenie było częścią bitewnej pieśni. Tak jak z tym Zuchem –zapominał zwrotkę, kiedy jej nie słyszał. Pobojownicza usiadła na ziemi. W ostrym świetle płonącego drzewa jej ubiór zapierał dech w piersiach – szarawe łachmany udekorowała najrozmaitszymi owadami, od łusczek pluskiew po gigantyczne, barwne, pobrząkujące skorupy smoczowszy pieniających się w namiotach z bronią i amunicją. Niektóre nawet mogły być jeszcze żywe, domyślał się Klade - w dogasającym blasku ognia wydawało się bowiem, że cały czas się ruszają.

- Niezła bitwa, co? Największa, jaką widzieliśmy. - Kobieta, Pani Chrząszcz (przypomniał sobie teraz) mrugnęła do niego oczyma obrysowanymi zmęczeniem i dymem. - Jak myślisz, kto wygra?

Wzruszył ramionami.

– Chyba wygraliśmy, my, znaczy Zachód...

Kiwnął głową. Wiedział, że brzmi to nielojalnie, ale gadki o wojnie zaczęły go nużyć, a poza tym gdzieś był kolejny pożeracz, zbyt blisko, by czuć się bezpiecznie.

Pani Chrząszcz nachyliła się ku niemu. Zagrzebała w swym owadzim woalu i znalazła wystrzępiony wycinek z gazety. Zdjęcie znajomej osoby – dokładnie w tej chwili armaty wykrzyczały jej imię. *MARRION*.

- Wiesz, znałam ją, naprawdę –szepnęła, gdy w ziemię uderzył kolejny pocisk. –Dawno temu, kiedy była jeszcze dzieckiem...

Pożeracz przeszedł obok. Z ust Pani Chrząszcz dalej wysypywały się słowa jak lawina kamyków, ale Klade wciąż czuł, że nadciąga coś złego. Przekrzykując ggiełek bitwy, opowiadała mu, że kiedyś mieszkła w miasteczku Luttrell i odbywała obowiązkowe wizyty towarzyskie z mężem, lekarzem, aż któreś lato uświetnił przyjazd do pobliskiej eleganckiej rezydencji ważnej arcycechmistrzyni z chorym synem. Dom nazywał się Invercombe, a okolica była tak skończenie piękna, że Pani Chrząszcz żałowała, że nie odwiedzała jej częściej, kiedy miała możliwość.

Pieśń bitwy ścichła wokół nich, choć wszędzie szalała. Znaleźli się w jej martwym, milczącym sercu. Teraz, skradając się bladymi mackami,

pogłębiając bruzdy w błocie, wyjaskrawiając barwy świata, przyszedł gaz widmowy.

– Posłuchaj mnie, bo ciągle zapominam, nie powiedziałam ci jeszcze, że Marion Price miała swoją teorię. Taki inny sposób patrzenia na świat, że wszystko składa się do kupy. Nawet ta bitwa teraz i te... - Pani Chrząszcz zaszeleściła owadzią peleryną; pod wpływem widmowego gazu wydawało się Klade'owi, że cała świergocze i pelza. - Niech no tylko sobie przypomnę. Jak to szło...? –Przechyliła głowę. –Chodziło o życie i o śmierć, że jedno jest równie ważne jak drugie, że razem spleatają się w doskonały wzór...

I Klade, i Pani Chrząszcz stawali się coraz mniej komunikatywni - wokół żarzył się widmowy gaz, a bitwa toczyła się w najlepsze. Powiedziała, że na początku wojny oddelegowano ją z mężem do opatrywania rannych, co wydało jej się zajęciem ciekawym i interesującym, pasjonowała się bowiem owadami, a nigdzie nie spotkała tyłu ich odmian i gatunków – czerwi, robaków, much, wszy, skorpionów, os, pcheł, smoczowszy i chrząszczy. Najwyraźniej, w przeciwieństwie do ludzi, wojna im służyła.

Ciężkie działa już zamilkły, pozostawiając tylko terkot lekkiej broni, sporadyczne łupnięcia granatów, krzyki rannych. Wszystko wskazywało, że bitwa się kończy, że wymiatane są już niedobitki nieprzyjaciela. Pozostaje tylko pytanie, kto wygrał, pomyślał Klade. A Pani Chrząszcz bez przerwy mamrotała o swym dawnym utraconym życiu.

Bum! Krzyki i głosy żołnierzy. Klade wyjrzał zza resztek muru. Gaz widmowy się rozwiął, ale wciąż trudno było określić, które elementy widzianej sceny są prawdziwe, a które są tylko okropną wizją. Niedaleko leżała głowa, a coś przypominającego skorpiona skubało strzępy mięsa przy szyi. Muchy, potężne czarne roje, które pojawiały się znikąd pod koniec każdej bitwy, zaćmiewały resztki światła.

Bum!

Pani Chrząszcz zachichotała.

– Mówiłam, że wygrają wschodniacy, nie? Chociaż my się im nie spodobamy. Ale zaraz, może to im pokażę... - Znów wyciągnęła tę postrzępioną fotografię z gazety. –Może powiem im, że znam Marion Price...

– Każdy tak mówi.

- Ale ja naprawdę ją znałam. Czemu nie słuchałeś? Poznałam ją w tym przepięknym domu, Invercombe. Na pewno o nim słyszałeś. Nad Kanałem Bristolskim, niedaleko Einfell. No, czyli słyszałeś. Tyle się mówi

o tych, no... duchach-odmieńcach, chochlikach... Marion Price wtedy była zwykłą pokojówką, ale bardzo ładną. No i była z tym nieszczęsnym, chorym paniczem –wspominałam o nim? Nie był to zły człowiek, nie. Prowadzali się razem, że tak powiem. Słyszałam nawet, że ona była z nim przy nadziei.

– Przy nadziei?

- No wiesz. - Pani Chrząszcz narysowała wypukłość nad obszytym ókami brzuchem. –Chociaż wtedy już się działo, no i dzieje się źle do dzisiaj. Wątpię, czy biedaczka w ogóle przeżyła. Ale jak on się nazywał? Aha, i była jeszcze jego matka...

Klade jednak zgarbił się i prawie jej nie słuchał, nagle rozdygotany w tym zrujnowanym ziemno-ceglanym schronieniu. Opowiadania pobojowników należało brać z dystansem, nawet kiedy dotyczyły dnia wczorajszego, cóż dopiero zdarzeń sprzed wielu lat, ale jednak, słysząc zbliżający się tupot butów i wystrzały zwycięskich żołnierzy Wschodu, czuł, że w Pani Chrząszcz, w jej opowieściach, w jej szeleszczącym, poruszającym się ubraniu kryje się jakaś głęboka prawda. Pokojówka, wysoko urodzony chłopak –i posiadłość niedaleko Einfell. Nawet ta nazwa, Inver-coştam. Czy Silus też jej nie wspominał?

- Powiedz mi jeszcze raz –szepnął. –Czy to naprawdę było w...

Wtem otwory pomiędzy cegłami zasłoniły buciory i karabiny.

- Wstawać. - Najwyższy stopniem wschodniak, z jednym martwym okiem i zakrwawionym przodem bluzy, którą obsiadły muchy, uśmiechnął się do nich z góry. — Całkiem nieźle wyszło na koniec, nie? –Żołnierze zachichotali, jeden zarepetował karabin, ale wtedy Pani Chrząszcz zerwała się i zatrzepotała rękawami.

- Słuchajcie, słuchajcie...

Wyszeptała coś jeszcze i wokół zaroilo się od much. Ich chmura była przez chwilę tak gęsta, że Klade nic nie widział i nie mógł oddychać.

– Nie wiecie, kim ja jestem! - wykrzyknęła Pani Chrząszcz wśród brzęczenia, a żołnierze się cofnęli. –Jestem Marion Price, wy głupcy! Nie widzicie? - Po czym, wciąż okolona paciorkami much plujek, zaczęła śpiewać głosem tak intensywnym i pięknym, że nawet Klade przez chwilę jej wierzył.

Wirując piruetem wśród połysku owadów, wyglądała wspaniale. W upalnym zachodzącym słońcu, rozświetlającym wielospadowe dachy i tory pobliskiego dworca, mogła być zbawczynią albo nemezis. Żołnierze niepewnie popatrzyli po sobie.

- Kłamie, nie?

- Pewnie, że tak...

Opuścili jednak broń i odwrócili się do kaprała, a Pani Chrząszcz, kołyszając się, z uniesionymi rękoma, wciąż śpiewała.

- Chyba można by ją zatrzymać. Wsadźcie ją do lokomotywowni, potem się ją przesłucha. Niech posiedzi przynajmniej do rana.

- Ale jak pan myśli?

- Trochę za stara jak na nią...

- No to niech sobie trochę pomarznie.

- A on?

Ktoś jeszcze raz zarepetował karabin, Klade wpatrzył się w jego wyłot - dziurę w rzeczywistości.

- Leć! - wrzasnęła Pani Chrząszcz. Klade zaczął wdzierać się na zbocze, a skóra na plecach cierpła mu w oczekiwaniu na gorące uderzenia pocisków. Lecz nie nastąpiły.

I już go nie było.

Zuch uciekł.

3

Po zwycięstwie pod Droitwich armia przez miesiąc nieustannie parła naprzód. Oficerom Ralpa, a nawet jemu samemu w chwilach lepszego humoru, gdy spokojnie maszerowali wijącymi się drogami i zajmowali niestawiające oporu, często prawie wyludnione miasteczka, naprawdę wydawało się, że Zachód tchórzliwie się wycofuje. A kiedy podeszli pod Hereford, zdradziła ich nawet pogoda: dotąd łagodna, ciepła i sucha, eksplodowała rzęsimym deszczem, właśnie kiedy umacniali swe wysunięte pozycje. Grzmotom i błyskawicom akompaniował gwizd i huk zachodniej artylerii.

Bezsensowny pat pochłaniał cenny pracokres za pracokresem, na błotnistych drogach i uszkodzonych liniach kolejowych idących ku nowemu frontowi z podobno bezpiecznej Anglii Środkowej tracono kolejne oddziały, drogocenne zapasy i sprzęt. Ralph od początku klócił się, że jego siły są niewystarczające, by należycie utrzymać linie zaopatrzenia, ale Londyn wciąż zapewniał go, że hrabstwa **Worcestershire** i Salop są całkowicie poskromione - dopóki nie pojawiły się pierwsze sabotaże.

Dokonywane nie przez żołnierzy w porządnym mundurach, z klarowną strukturą dowodzenia i szarżami, lecz przez obdarte grupki uzbrojone w kradzioną broń i zaopatrujące się rabunkiem, często złożone z kobiet i dzieci. Chcąc nie chcąc, podziwiał zręczność, z jaką Zachód zareagował na letnią klęskę - wycofać się, **wycofać**, aż linie zaopatrzenia szturmującego nieprzyjaciela rozciągnął się do granic możliwości, po czym rękami własnych głodujących obywateli uderzył nań od tyłu. Samo Hereford nie wydawało się już wartą walki zdobyczą, lecz raczej usypanym z gruzu symbolem próżności Wschodu i przebiegłości Zachodu. A jego mieszkańcy nadal odrzucali propozycję azylu w zamian za kapitulację.

Przynajmniej pogoda poprawiła się w końcu, zniknęła mgła osłaniająca wyjazd Ralpa z Kwatery Zwiadu, zaświeciło niewinne jesienne słońce, połatane tory niosły generała nierównym tempem przez niewinnie wyglądający krajobraz do Londynu. Wzburzone morza wzgórz, stare kamienne zwieńczenia opuszczonych destylarni eteru, naśladujące druidzkie kamienie, które z pewnością stały tam przed nimi. Czujni kolejni strażnicy czekający na kolejny wybuch lub niszczycielskie zaklęcie, dodatkowo podenerwowani ostatnią historią o zatrutych jabłkach podrzuconych w sadzie. Ralph nie miał pojęcia, prawda to czy nie, ale sprawy ewidentnie zaszły tak daleko, że to rozróżnienie niespecjalnie się liczyło. Potężnie **opancerzony** pociąg, minawszy świeżo umocniony zamek w Warwick, wreszcie nabrał szybkości. Generał, **dźgnięty** wyrzutem sumienia, że bezproduktywnie gapi się przez okno, wrócił do studiowania rozłożonych na siedzeniach dokumentów i map.

Elegancko wypisany na maszynie raport usiłował zająć się niezrozumiałą kwestią zachodniego morale. Z jednej strony, niezaprzeczalny był wszechogarniający pesymizm. Lecz kapitulacja to zupełnie inna sprawa - mieli poczucie, że jeśli tylko się utrzymają, Londyn i Wysokie Cechy nadal będą **skłonne** ustąpić wobec ich żądań terytorialnych, prawnych i handlowych. Pokładali też niemal **religijną** nadzieję w swej wychwalanej pod niebiosa nowej broni. W gruncie rzeczy, pomyślał Ralph, stracili zbyt wiele, by przyznać, że nie miało to sensu, co oznacza, że naprawdę trzeba będzie rzucić do ataku boczne armie - okrążyć Bristol, odciąć Bath, Gloucester i Swindon; do tej pory miał to za **logistyczno-planistyczne** wprawki. Najpierw jednak trzeba zdobyć Hereford.

Podstawił pod migocący klin światła końcówkę maszynopisu, poświęconą, jak to w nim określono, „niepokojącemu uwielbieniu” niższych stopniem żołnierzy dla Marion Price. W raporcie była mowa o micie,

a nie osobie z krwi i kości — sam widział, że ostatnio rzadko pojawia się w zachodniej prasie. Najprawdopodobniej faktyczne uczynki kogoś realnego wchodziłyby w parady opowieściom, mitom, medalikom, choć pojawiły się też pogłoski, że Marion Price nie posiada już błogosławieństwa głównych decydentów z cechu Kupców-Pionierów. A może nawet zaraziła się którąś z chorób pieniących się w przepelnionych zachodnich szpitalach, może została zabita albo pojmana podczas któregoś z legendarnych wypadów na front - mimo licznych meldunków nie natrafiono jednak na żaden bezsporny ślad.

Rozparł się w fotelu, wspominając ów wieczór po zwycięstwie pod Droitwich i zaćmienie umysłu, pod wpływem którego uwierzył w meldunek tego obdartusa. Pociąg się zakołysał, zmęczenie ogarnęło Ralpha bezbolesną szarą falą. Kartki wypadły mu z palców. Chmury, wzgórza, owce, pola, cały pęd tej podróży zawirowały mu przed oczyma i nagle, gdy się ocknął, gdy rozum dźgnęły wszystkie zaległe sprawy, pociąg już wtaczał się z sapaniem na Great Aldgate Station w Londynie. Generał wstał i zaczął zbierać rozsypane papiery - w tej samej chwili przez drzwi wetknął głowę adiutant, a pociąg szarpnął ostatni raz i stanął. I już Ralph wysiadał w słońce, pomiędzy gołębiami i obłoki pary, z pieczeniem w gardle, zeszywniałą twarzą, zdrętwiałym lewym ramieniem. Były dzieciaki, była Helen, wszystko za szybkie i zbyt rozmazane.

- Ty naprawdę musisz nauczyć się odprężyć - powiedziała Helen przez drzwi łazienki, wieczorem, gdy szykowali się do spania. - My też mamy tutaj własne kłopoty i wyrzeczenia. Ale tylko śmiejemy się z nich i niczym nie przejmujemy.

W obszernej, wykafelkowanej łazience, ubrany w miękki szlafrok, Ralph otworzył etui z przyborami do golenia, naostrzył na pasku brzytwę z zaskorupiałą pianą na brylancie w rączce, namydlił twarz i przesunął ostrzem po szczecinie na policzkach. Potem obmył twarz, rozkoszując się ciepłym zapomnieniem wody, choć na ogromnym białym ręczniku, którym się wytarł, pozostały różowe smugi. Westchnął, a wymizerowany człowiek w lustrze odpowiedział tym samym. Golenie nigdy mu nie wychodziło.

- Tu się ciągle mówi o Droitwich. To bardziej twoja zasługa, niż ci się wydaje. - Helen mówiła coraz wolniej, zbliżając się do szpary uchylonych

drzwi łazienki. - Wszyscy mówią, że mój mąż to genialny wojskowy. Ale dla ciebie to po prostu praca, tak? Nawet tu w Londynie trudno myśleć o czymkolwiek oprócz wojny...

Jej głos ucichł, choć Ralph, stojąc przed lustrem, przyglądając się ściekającym po szyi dwóm strumyczkom krwi, wiedział, że nigdzie nie poszła.

Odchrząknął.

- Wyjdę za minutę.

Obmył się, zgasił światło i przeszedł przez rozległą sypialnię.

- Nie mogę się doczekać, kochanie, kiedy to się skończy.

- Ja tak samo.

- Strasznie mi ciebie brakowało. Strasznie.

Podparta na łokciu, nachyliła się ku niemu. W tym mieście nigdy nie było naprawdę ciemno. Pomimo aksamitnych zasłon, do środka przesączała się londyńska powódź elektryczności, srebrzyście połyskując na jej policzku, ramionach, pięknie i modnie przystrzyżonych na pazia włosach. Gdy oddychała, słyszał szelest skóry ocierającej się o jedwab. A gdzieś dalej - uliczny zgiewk.

- Mój ty bohaterze. - Dotknęła jego brody, tuż obok blizny, pobawiła się górnym guzikiem piżamy, zesłała niżej. - Dzieciaki są takie z ciebie dumne, choć wiem, że nie zawsze umieją to okazać.

- Wiem, że nie jest im łatwo. Powinienem więcej czasu...

Zatrzepotały mu przed oczyma nietoperzowe skrzydła nocy. Od dawna krążyły pogłoski, że Zachód chce wyhodować jakieś takie stworzenie. Nie do końca w to wierzył, ale meldunki przeczytane w pociągu sugerowały, że oddział zwiadowczy napotkał je pod Slough. Nokturny. Jak ćmy, jak nietoperze, samobójczo ciągnęły do ciepła. Wpadały do wlotów powietrza i chłodnic silników, a że skrzydła miały wypełnione kwasem, powodowały ogromne szkody. Wabiły je także ludzkie twarze.

Oczy Helen trochę za mocno lśniły. Zmieniła pozycję na poduszce, tak że widział tylko bladą zarys jej policzka. Zsunęła ramiączko nocnej koszuli i nadstawiła mu pierś. Przywarł do niej, owładnięty nagłą żądzą.

Rano na poduszce była krew —dziwnie dużo, zważywszy że to tylko zacięcie przy goleniu. Wyglądała jak dowód rzeczowy zbrodni, choć Helen, poprawiająca przed lustrem swą i tak oczywistą urodę, była zaledwie robawiona. Może, pomyślał Ralph, wbijając się w mundur, kobiety mają do niej całkiem inny stosunek. W końcu co miesiąc trochę jej tracą. Zamarł w trakcie wciągania spodni, tknięty wspomnieniem i wyrzutem sumienia. Kobiety krwawią, ale Marion nie krwawiła przez trzy letnie miesiące, kiedy byli kochankami. Tyle gadali o nauce, miłości, naturze, wydawało mu się, że ma obsesję na punkcie jej ciała, a nie zauważył, nie wiedział, że jest w ciąży. Dopiero gdy wpadł w wir tej przeklętej wojny, a wtedy było już za późno.

Ruch uliczny tłumiała mgła; kiedy szedł wstęgowatymi chodnikami, wielkie budowle dryfowały swym rozmazanym ogromem razem z nim. Musiał skupić się na odnajdywaniu drogi, a w pewnym momencie nawet kawałek wrócić i ustąpić przed zawziętym tramwajem. Dotarwszy do podstawy spowitego w szarość łuku triumfalnego Domu Wysokich Cechów, był bez tchu. Prawie się spóźnił. Żałował, że nie wezwał samochodu i nie oszczędził sobie tego wysiłku.

Oficerowie sztabowi, jeszcze młodszy od tych, którzy służyli mu na froncie, przywitali go na chłodnych mozaikach i poprowadzili na górę schodami. Mijały ich pokojówki z parującą herbatą. Z balkonu nad wielką aulą spojrzął na gigantyczną mapę. Ziemia była na niej zielona i płaska jak zarośnięty rzęsą staw. Miasta były ponumerowanymi punktami. Po tej martwej powierzchni żeglowały armie i floty Wschodu i Zachodu, popychane tyczkami przez urodziwych akolitów. Ruchy dyktowały im wypełzające z przeciwległej ściany papierowe taśmy. Zza nich przez ogromne drzwi dobiegał morsko-kamienisty szum maszyn obliczeniowych rozwikłujących wiadomości z frontu.

Jak było do przewidzenia, sala spotkań też była ogromna, choć aule w okalających gmachach domach poszczególnych cechów przy Wagstaffe Mail przerastały ją pod każdym względem. Cechy bowiem, mimo że tu od wielu Wieków trzymały się nad rządzeniem Anglią, zawsze wołały przyćmić się nawzajem, niż współpracować. Ralph, odsuwając ze zgrzytem krzesło, zasiadł przy najdalszym końcu stołu, a za nim zamknęły się złote wrota, przez które przeszedłby średniej wielkości transatlantyk. Pomyślał, że w kamieniu kolumn wyczuwa się jakąś niedbałość, jakieś rozmazanie wśród ogromnych obrazów. Żadna z tych rzeczy nie była najlepsza - bo wtedy by się tu nie znalazły. Być może, stwierdził, pozbywając się z gardła

piaszczystej suchości, skoro już zauważam takie rzeczy, przyzwyczajam się do Londynu na nowo.

W blacie stołu odbijały się twarze mężczyzn i ordery. Słuchali go, kiwając głowami, mrugając, delikatnie poruszając palcami. Chciał jak najszybciej mieć to za sobą. Faktycznie, pogoda była ostatnio nie najlepsza, ale mobilność nie powinna stanowić problemu dla dywizji zaprawionych w bojach podczas kiepskiej pogody typowego angielskiego lata. Kolejowa infrastruktura wreszcie działa, od przejścia kolejowego przyczółka w Drotwich, gdzie przez chwilę wydawało im się, że schwytali Marion Price. Byli „gotowi”. Byli „zwarci”. Już „dobrali się im do tyłka”. Choć zdawał sobie sprawę, że te zwroty są same w sobie śmiechu warte, używał ich, nie dlatego że w nie wierzył, lecz dlatego że wiedział, że Najwyższe Dowództwo właśnie to chce usłyszeć. Potem przerwał, a w uszach mu zadzwoniło. Czy naprawdę wspomniał o Marion Price? Jeśli tak, głupio zrobił. Z trudem przetrwał swe wystąpienie, a potem jeszcze parę pytań, które arcycechmistrzowie z Najwyższego Dowództwa uznali za warte zadania. Zabrał się stamtąd, zabrał swe papiery, swe plany. Wyszedł z sali, a kiedy dotarł na zewnątrz, zdumiał się, że mgła zniknęła i przygrzewa słońce.

Po południu wybrali się z Helen i dziećmi do parku westminsterskiego. Błękitne niebo, stanowiące monumentalne tło dla murów miasta, ciemniało ponad bursztynowymi liśćmi w oszałamiających smagnięciach światłem wieży Hallam, gdy szli eleganckimi ulicami Hyde. Właśnie o to walczyliśmy, powiedział sobie Ralph. Moi ludzie także o to – albo o przywilej mieszkania na Easterlies, gdzie mogą wstawać przed świtem, żeby zawozić towary pod tylne wejścia domów.

Zielone wzgórze parku okalało wysokie ogrodzenie. W trudnych przedwojennych latach nastąpiło tu parę zamachów bombowych i innych okropności, więc teraz żołnierze Pułku Essex przeszukiwali każdego wchodzącego. Klekocąc obrotową bramką, Ralph spodziewał się salutu, przypomniał sobie jednak, że jest w cywilu. Ścieżki wiły się stromo pod górę wśród niezwykłego listowia, Flora i August popędzili naprzód. Ogrody były tak olbrzymie, że pomimo tłumów Helen i Ralph szybko znaleźli się sami. Stąd, ponad wałami, roztaczał się widok na szarą pułapkę Krańca Świata, po szerokiej oleistej rzece kursowały tam i z powrotem holowniki, a na kominach powiewały długie flagi. Ralph wbrew sobie

myślał o krzywych strzału, jakie otwierałaby przed artylerią taka pozycja. Najlepiej byłoby zająć Wielki Park Westminster szturmem z zaskoczenia od strony Tamizy. A te niekończące się zakręty ścieżek i grotty tworzą idealne pozycję na ogień zaporowy karabinów maszynowych.

Stwierdził, kradnąc spojrzenia, udając, że przygląda się jakiemuś szczególnie pięknemu kwiatowi, że Helen nadal wygląda jak ta wysoka blondynka o chłodnej urodzie, która kiedyś tak go zauroczyła. A fakt, że ich związek odpowiadał obu cechom - i że stanowią, jak każdy przyznaje, bardzo atrakcyjną parę - był tylko miłym dodatkiem. Wtedy była gotowa nawet pasjonować się razem z nim przyrodą, choć teraz, gdy pokazywał jakąś osobliwą lub wyjątkową roślinę, uśmiechała się tylko z ledwie skrywanym znudzeniem.

Szli pod górę. Tu nie trzeba było wiatrosteru; park został tak zaprojektowany, by o każdej porze roku coś kwitło. Elegancka biała kora z Kitaju, potężne czerwone pnie z Thule. Pnącza i liany z Afryki. Ralph, mimo swych odruchów botanika, czuł się, jakby spacerował pod ogromnym szklanym kloszem - było tu nawet tak samo duszno. Potem weszli na zalane słońcem ścieżki inspirowane Wyspami Szczęśliwymi i tutaj już trudniej było w nie uwierzyć. Znaleźli się zbyt wysoko, zbyt osłonięci roślinnością dżungli, a powietrze pachniało zielenią. Palmy, imbir, pieprz i mirt. Tu mógł nawet poczuć u swego boku obecność innej kobiety - lecz zabronił sobie o tym myśleć. Ostatnio zbyt często wspominał przeszłość. Chwile spędzane z rodziną są zbyt cenne, żeby je marnować.

Doszli na szczyt, gdzie już czekali Flora i August; odwrócona misa nieba pulsowała przenikliwym światłem, a Londyn w dole był maleńki. Kosze na śmieci, rodzinne grupki, kopiący piłkę chłopcy — wszystko jakby dryfowało, pozbawione oparcia.

Wieczorem, całując dzieci na dobranoc, Ralph wspomniął ojca. Obiecał sobie, że w takich sytuacjach będzie inny niż Tom Meynell, ale sam takt istnienia takiej obietnicy oraz próby jej realizacji przez wkraczanie w przepełnione nadmiarem zabawek grotty ich sypialń, kaplice dzieciństwa, w których Flora siedziała i czytała, a Gussie już leżał przy zgaszonym świetle, wykluczały, że kiedykolwiek się ona spełni. Problem tkwił w nim — duży człowiek, zmęczony dniem, zakrada się ze schodów i siada na brzegu twojego łóżka, a ty leżysz i pragniesz tylko, żeby sobie poszedł

razem z całym swoim światem. Pytania, które powtarzał sobie w myśli, a teraz żałował tego, wiedząc, że dzieci wiedzą. Ow czysty, słodki zapach dzieciństwa. Najgorsze zaś, że częścią - ba, większością - swego umysłu pragnął meldunków, z którymi w hallu czekał już na jego podpis wojskowy kurier.

— Niedługo święta, prawda? — Pazurami czerwonych strzałek rysowały mu się w głowie szturmy i manewry oskrzydłające. - Jak myślisz, co ci przyniesie Król Głupców? - Z kątów wylewał się mrok, dławiąc mu oddech. Źle ocenił odległość i całując dziecko w policzek, uderzył kością o kość. Szkoda, że nie ogolił się jeszcze raz, ale pewnie znów by się pozacinał.

Zbiegi pospiesznie na dół, po czym wniósł żółtobrazowe teczki do mało używanego gabinetu. Biurko należało kiedyś do ojca, siadywał przy nim, gdy Ralpha, ku jego wielkiej udręce, posyłano tam, aby powiedział dobranoc, dzień dobry lub do widzenia - a miał wtedy niewiele więcej lat niż Flora teraz. Sporo innych mebli także pochodziło stamtąd. Kazał je zabrać, gdy matka sprzedawała dom, chcąc w pewnym sensie uczcić jego pamięć. Okazało się jednak, że odtwarzając pokój, którego tak nie nawidził, dokuczył sam sobie. Wzdychając, otworzył meldunki i zabrał się do pracy, ale myśli o Wyspach Szczęśliwych, białych lub czarnych plażach, intensywnie błękitnym i przejrzystym morzu, wracały uporczywie. Rzadko wątpił w prawdziwość adaptacji środowiskowej, ale z perspektywy czasu zaczął inaczej na nią patrzeć. To, co kiedyś było piękną paradą, kipiącą życiem dzielącym się, by pączkować jeszcze bardziej niezwykłymi formami przystosowania i złożoności, teraz za bardzo przypominało komentarz dotyczący bieżących wydarzeń końca Wieku. Czymże w końcu jest wojna, jeśli nie trochę bardziej zorganizowanym sposobem na wyeliminowanie słabszych przez silniejszych? Jakie istoty prosperują, gdy wszystko jest zorientowane na egoizm? Wszyscy powinniśmy być potworami, myślał czasem. O ile już nimi nie jesteśmy.

Te nietoperze, nokturny, nie wydawały się poważnym militarnym zagrożeniem, powstawał jednak kolejny upiorny mit, budzący strach w żołnierzach, kolejny wyłom w ich morale. Potem szły meldunki o jakimś dotąd nieznanym, a szybko rosnącym pnączu blokującym drogi idącym w awangardzie oddziałom. Wyglądało na to, że zapędzony w kozi róg Zachód zaczynał rozwijać się jak groźny wąż. Ralph przejrzał doniesienia z północnego morskiego frontu. Chyba działo się tam o wiele lepiej niż tutaj. Marynarka wojenna nigdy specjalnie go nie obchodziła, ale dziś

wydruki rozwijane pod wachlarzem biurkowej lampy przypomniały mu, jak blisko już do zwycięstwa. Rok temu Morze Północne było kłębowiskiem potyczek i **wraków**. teraz wystarczyło trałować miny i od czasu do czasu zastrzelić samotnego delfina bojowego.

W oczy rzuciło mu się jakieś nazwisko. Okręt straży przybrzeżnej „Spokój piekiel”, pod dowództwem kapitana Owena **Price’a**, cumował obecnie w Londynie w celu dokonania drobnych napraw. Ralphowi przyszło na myśl, czy nie dlatego wziął się do tych papierów. Przecież nie ma jak podrażniona rana, skubany bez końca strup. A może po prostu chciał **znaleźć** sobie w mieście coś do roboty, żeby oczyścić myśli i odzyskać poczucie celu, kiedy wróci pod ziejącą dziurę Hereford z nowymi rozkazami, posiłkami i funduszami wydartymi Najwyższemu Dowództwu z gardła. Odłożył teczkę, pogasił światła w gabinecie, zamknął drzwi na klucz, zszedł po schodach.

- Wszystko dobrze?

Podskoczył na dźwięk głosu Helen z **półpiętra**.

- Coś mi wypadło! - zawołał do niej, już z dłonią na klamce **frontowych** drzwi. - Długo nie potrwa, jeśli coś planujesz...

- Myślałam...

- Tak?

- Nieważne, kochanie. - Wyglądała wspaniale w niebieskiej sukni i diamentach. Na pewno zaplanowała wyjście, może na kolację, na spotkanie-niespodziankę albo do kina na okropny patriotyczny film.

- Dużo czasu mi nie zajmie. Może...

- Nie. - Machnęła ręką. - Idź i załatw, co masz załatwić.

Tylko że kiedy patrzył na nią, wydało mu się, że odczuła ulgę.

Londyn okrywał już zmierzch. Nadciągała zima i wszystkie z nią związane problemy logistyczne. Lecz to miasto właśnie przy świetle latarni wydawało się bardziej sobą – bez zastanowienia odnajdywał drogę na północny wschód, do portu. Wzdłuż **Wagstaffe Mall**, mijając domy Wysokich Cechów, teatry na Strandzie. Izba Złotników była rozgwieżdżonym łukiem okien; park westminsterski - piramidą światła po drugiej stronie. Mijali go ludzie. Kobiety w etolach i bogatej biżuterii, mężczyźni gładcy jak dopiero co wywołane zdjęcia, lśniący czarno-biali. Musiał zerknąć po sobie, w co jest ubrany - popołudniowa koszula i marynarka. Dotarłszy na **Tidesmeet**, nieco zmarzł, a że zapomniał wziąć dowód tożsamości, musiał pogodzić się z **parominutowym** wypytywaniem przez strażników przy Collis Gate. W końcu go wpuścili.

Portowi wojna najwyraźniej służyła. Wiało od wiatrosterów. Wzdłuż nabrzeży pojękiwały statki. Ale kontur horyzontu wciąż wydawał się Ralphowi dziwny - aż przypomniał sobie Upadek, zawalenie się wieży jego cechu. Dotarłszy pomiędzy keje, znalazł kapitańską kantynę, podał strażnikowi swe nazwisko i stopień i czekał, aż w drzwiach pojawi Owen Price. Idąc mu na spotkanie, zauważył, że dygoce.

- A, to ty.

~ Dowiedziałem się, że jesteś w porcie. Pomyślałem, że może znajdziesz czas na jednego. Ale jeśli nie, to oczywiście...

Owen Price, ukształtowany przez tyle lat pokoju i wojny, wzruszył potężnymi ramionami w mundurze, który chyba kiedyś nosił ktoś inny, po czym ruszyli zgodnym krokiem i prawie się nie odzywając, zniknęli między magazynami. W zasadzie nigdy nie udawali przyjaźni, ale w tych sporadycznych spotkaniach było coś istotnego –poczucie, że obaj zasługują na własne towarzystwo, z nieodłącznymi przypomnieniami o tym, co ich w życiu ominęło, i o nie do końca zrozumianych zdradach. Za pierwszym razem Ralph przypadkowo natrafił na jego nazwisko pomiędzy innymi na jakiejś liście, zaraz na początku wojny. Gdy dostrzegł „Price”, rozbłyły mu oczy. Choć podczas owego straconego lata w Invercombe wcale Owena dobrze nie poznał, pamiętał, że uczy się na sternika - z tego, co mówiła Marion, nic szło mu za dobrze - a ten sam zawód, nazwisko i imię to już zbyt duży zbieg okoliczności. Wtedy jeszcze Wschód nie zorientował się w pokrewieństwie Owena z Marion –właściwie Marion jeszcze nie zdobyła sławy, choć Ralph nadal czuł się nieco odpowiedzialny za rozgłos, jaki spadł na Owena, za późniejsze aresztowanie, oskarżenie o szpiegostwo. To wszystko niespecjalnie ociepliło stosunki między nimi. Lecz Owen Price równie mało jak Ralph nadawał się do sesji zdjęciowych i pustych przemówień, więc szybko skryła go z powrotem anonimowość morskiej rutyny.

Doszli do tawerny obok starej fabryki lin, odwiedzanej wyłącznie przez marynarzy, potężnych mężczyzn o ogorzałych twarzach, z muskularnymi ramionami błękitnymi od tatuaży i znaków główni. Ralph wyraźnie tu nie pasował, choć starał się przejąć inicjatywę, zamawiając u ponurego barmana dwa piwa, a potem z zadowoleniem skrył się razem z Owenem w małej wnęce.

Rozmowa o postępach wojny była nieunikniona –obaj udawali optymizm, u obu wyraźnie nieszczery. Owen dopił już piwo, a następne dwa, zamówione machnięciem ręki, przyniesiono z popitką. Ralph obserwował

brata Marion wychylającego tani alkohol sprzedawany w tych czasach jako brandy, przynajmniej po tej stronie frontu. Jeszcze jedna szklaneczka i leciutkie drżenie, które zauważył w jego dłoniach, niemal całkiem zniknęło. Oczywiście wśród tych ludzi picie było równie powszechne jak oddychanie i przeklinanie, ale po czerwonych żyłkach na policzkach i w oczach Owena oraz obrzękniętej twarzy widać było, że popija więcej niż inni i znacznie gorzej to znosi.

Ralph nie potrafił mu dotrzymywać kroku, więc kufle gromadziły się na stoliku, aż wreszcie Owen zaczął zamawiać wyłącznie dla siebie. I tak obaj byli pijani, kiedy rozmowa, jak zawsze, skupiła się na przeszłości i Marion.

- Niezły numer, co? – mruknął Owen wyraźnie wojowniczym tonem. – Tyle lat już mógłbyś być tatusiem, gdyby dziecko nie zmarło przy porodzie.

Ralph przesunął wilgotny kufel, z którego udawał, że pije, i skinął głową. Przynajmniej co do tego mogli się zgodzić w zupełności. Musiał przyznać, że przeżył szok, kiedy się dowiedział od Owena, że Marion była w ciąży. Dalej przeżywał. Pewnie nigdy nie przestanie.

- Nic mi nie powiedziała.

- Taka już jest Marion. A ty dalej myślisz, że nie zabrała forsę twojego ojca?

Ralph pokręcił głową.

- Na pewno nie.

- Cztery i pół tysiąca funtów. - Owen gwizdnął. - A może trzeba jej było je zabrać. Może wszyscy byśmy spieprzyli gdzieś na Wyspy Szczęśliwe i tatko nie musiałby już brać udziału w tamtej dostawie. Może wtedy nie siedzielibyśmy tutaj jak głupki i nie żalowali, że wszystko tak się potoczyło.

- Przepraszam, Owen.

- Przepraszając się możesz. – Dotąd zadowoloną twarz Owena wykrzywił gniew. - Przez twoich cholernych poborców akcyzy zginął mój ojciec.

Ralph nie wiedział, po co dręczy się tymi spotkaniami. Otwarta rana dalej go piekła.

- Może jednak miałaś od niej jakieś wieści? – zapytał. Zawsze pytał, nie umiał się powstrzymać.

- Cooo? Ze niby napisała list, a on do mnie dotar!? Pomyśleliby, że to jakiś szyfr, albo zaklęcie, klęska całego cholernego Wschodu. Na litość boską, nawet mnie nie wierzą na tyle, żebym mógł do niej pisać!

Ralph pomyślał, że Owen Price nie jest agresywny, jedynie mocno rozżalony. A naprzeciwko miał jego, generała sił Wschodu, człowieka, który zapłodnił Marion, uciekiniera z Invercombe - kogoś, kogo w zasadzie mógł uznać za przyczynę swych nieszczęść. Ale może właśnie o to chodzi, może to coś w rodzaju przysługi. Lata temu, w pierwszej chwili przebudzenia po powrocie do pokoju w Sunshine Lodge, Ralph dopuścił do siebie myśl, że Marion i rodzina Price'ów właśnie uciekają na Wyspy Szczęśliwe z pieniędzmi jego ojca. Naprawdę jednak zaakceptował wszystkie wymyślone przez matkę usprawiedliwienia, że to dla jego bezpieczeństwa, bo ma obowiązek pozostać Ralphem Meynellem, arcycechemistrzem-elektem Cechu Telegrafistów. A potem, za szybko, by mógł cokolwiek pomyśleć, zaczęło się życie w Highclare, z którym poradził sobie świetnie, tak jak przewidywała matka, a zniechęcił je bardziej, niż sobie kiedykolwiek wyobrażał. Potem sprostał kolejnym wyzwaniom. Został arcycechemistrzem, mężem i ojcem. A później ten przekłety konflikt. Wojna zniekształcała czas i ludzkie tożsamości, tak że ponowne ukazanie się Marion Price w jej pełnym skaz przyzmacie, z twarzą odmieinioną przez zachodnie gazety, ale i tak doskonale rozpoznawalną, niezbyt go zaskoczyło. Nawet prawda, którą usłyszał z ust Owena, o jej ciąży i urodzeniu martwego dziecka, na swój smutny sposób miała sens. Może na czas działań zbrojnych wyłączono zdumienie.

Dym kłębił się wśród wirujących awanturniczo resztek powietrza w tawernie - to podpici marynarze popisywali się wywoływaniem zefirków. Ralph poczuł się oddalony od tego miejsca i od samego siebie. Gardło mu się zacisnęło. Z braku czegoś lepszego pociągnął długi łyk piwa. Nie pomogło. Wróciło, gulgocąc, z powrotem. Prychnął, zakaszłał, otarł usta.

- Na twoim miejscu bym jej nie tykał... - Owen wskazał brodą jaskrawe strzępki tańczące w jednej z licznych szklanic Ralpha. - Tam jest krew.

Potem stali na zewnątrz w przenikliwym zimnie, Owen opowiadał o swej służbie na „Spokoju piekiel”, byle jak dozbrojonym trawlerze polującym na niedobitki zachodnich delfinów, porzewiałych, z pokrwawionymi nitami i odpadającymi blachami pancerza. Zawsze były bardziej bronią propagandową niż rzeczywistym zagrożeniem dla statków, a teraz ich materiały wybuchowe przeważnie zamokły. Lekka praca, o ile nie dopuszcza się do siebie myśli, że te rozkładające się stwory są czującymi istotami.

- A dlaczego postanowiłeś walczyć za Wschód? - Ralph musiał zapytać, nim się pożegnali.

Owen Price przyjrzał mu się z niemal taką samą niechęcią, jak przy ich pierwszym spotkaniu.

–Skoro musisz o to pytać – powiedział – to czemu u licha sam walczysz po stronie Wschodu?

Następnego dnia Ralph jadł śniadanie z Helen. Dzieciaki już zabrano.

– Udała się? – zapytał.

– Co? – Odstawiła sok cytrynowy.

– No, impreza, na którą wychodziłaś wczoraj wieczorem.

– A, to... nic szczególnego. A ty, kochanie, strasznie jesteś zmęczony. Wiesz co, świat poradzi sobie bez ciebie. O której wróciłeś?

– Nie pamiętam. Prześpię się trochę po południu, w pociągu na front.

– Czyli tam jedziesz dzisiaj. Po południu?

– Przecież ci mówiłem.

Helen, odgryzając dziwnie duży kęs grzanki, machnęła ręką.

– To już prawie koniec, naprawdę – powiedział parę minut później, gdy stali w korytarzu.

– Koniec czego? – Jej głos brzmiał nerwowo.

– Koniec wojny. Wszystko na to wskazuje.

Helen przyjrzała się mu, piękna jak zawsze, choćby z rozczochanymi od snu włosami i nieumalowaną twarzą. A nawet piękniejsza. Czy kobiety naprawdę myślą, że ze wszystkimi tymi malunkami i ozdóbkami bardziej się podobają mężczyznom? Miała na sobie podomkę i chyba niewiele pod spodem. Co dziwne, lekko pachniała papierosami, choć żadne z nich nie paliło. Zapragnął przywrzeć do niej, pozbyć się tej jedwabistej tkaniny i zapomnieć o wszystkim poza najbliższą z bliskości, jaka dana jest człowiekowi. Lecz kiedy całowała go w policzek, usta miała chłodne. Potem ściągnęła pasek szlafrocza i szybko odeszła.

Ich wielka miejska rezydencja przeszła w ręce cechu, więc matka mieszkała teraz w eleganckim szeregowym domu w dyskretnym zaułku niedaleko głównych arterii Hyde. Zawsze obiecywała Ralphowi, że wycofa się w takie właśnie miejsce, choć oczywiście z niczego się nie wycofała.

Przywitała go w wykafelkowanym przedpokoju i poprowadziła przez kolejne pokoje. Ralph zauważał nieliczne, acz kunsztowne meble, kontrastujące barwą z wszechobecnym poczuciem celu i władzy. A także najnowszy model budki telefonicznej; była tu również końcówka maszyny obliczeniowej, tak nowoczesnej, że Ralph nie miał pojęcia, jak jej używać.

- Aż dziw, że w ogóle stąd wychodzisz, żeby coś załatwić...

- Muszę dawać przykład. — Uśmiechnęła się. — Może usiądziemy na powietrzu?

Usadowili się na tarasie, w ratanowych fotelach z pawimi obiciami. Spojrzał w górę i dostrzegł, że cały taras jest zamknięty szkłem.

— Latem je odsuwam, ale ostatnio zrobiło się o wiele zimniej, a większość tych kwiatów nie przetrzymałaby chłódów. W końcu to nie park westminsterski.

- Byliśmy tam wczoraj z Helen. I z dzie... znaczy, z Florą i Gussiem.

Pochyliła się nad stolikiem ze szklanym blatem, podniosła srebrny imbryk.

— Kawy?

— Tylko jeśli nie ma w niej słodkogorza.

— Skarbie, zachowujesz się niczym stary malkontent! Jak myślisz, dzięki czemu ta namiastka w ogóle daje się przełknąć?

Nalała filiżankę i podsunęła mu, choć zauważył, że sama nie pila. Łyknął odrobinę z obowiązku, poczuł, jak po obolałych kościach rozchodzi się cierpkie ciepło. Spozstrzegł, że matka, jak zawsze osratnio, nosi cienkie jedwabne rękawiczki. Twarz miała niezwykle gładką, włosy ułożone idealnie, jak rzeźba. Tak doskonale piękna, że nie może sobie pozwolić na żadną, choćby najdrobniejszą skazę. Nawet tu i teraz, wobec własnego syna. Przez chwilę było mu jej żal.

- I jak się potoczyło twoje wczorajsze spotkanie z Najwyższym Dowództwem?

— Może ty mi powiesz? — Odstawił filiżankę. — Na pewno słyszałaś o wiele więcej niż ja.

- O... — Wydała się zaskoczona, choć zaledwie przez okamgnienie. - No cóż, rzeczywiście, miałam uszy otwarte. W skrócie, skarbie, mamy gorące głowy i kunktatorów. Połowa Najwyższego Dowództwa skłania się ku temu, że koniec wojny jest tak bliski, że nie trzeba już za bardzo się starać ani inwestować, a Hereford jest kwestią drugorzędną i nie ma większego znaczenia. Druga połowa, choć szczerze mówiąc, na ogół z głupiej bezwładności, chce, żeby mozolnie tłuc się dalej.

– Zaraz mi powiesz, że oni zrezygnują z dalszej walki, teraz, kiedy mamy wielką szansę na bezapelacyjne zwycięstwo?

– Ale od czasu tego wymachiwania szabelką sprzed kilku lat wszystko naprawdę się rozpełzło. Po tym, jak tak dobrze sprawiłeś się pod Droitwich, cała letnia kampania skończyła się trochę rozczarowująco.

Patrzyła na syna przez chwilę. Ralph mimo woli dostrzegł w tym spojrzeniu łagodny wyrzut. Poczul absurdalne wyrzuty sumienia - nie za sam przebieg wojny, ale za to, że jest tylko kompetentny i pracowity, a nie wielki i legendarny; Zachód miał taką postać, Wschodowi wyraźnie jej brakowało.

– Poza tym rosną podatki, są straty w kluczowym personelu, inflacja stanowisk, mieszanie się cechów... wszystko to kosztuje więcej, niż biedactwa się spodziewały.

– Czyli chodzi o pieniądze?

– Przecież wiesz – westchnęła - jakie niezdecydowane potrafią być Wysokie Cechy.

Poczul nieprzyjemne gorąco. Stłumił kaszel.

– Chodzi po prostu o kroki niezbędne, żeby szybko zakończyć wojnę.

- Oczywiście... Skarbie, ale ty wyglądasz tak mizernie, zmęczony jesteś. Obawiam się...

– Wczoraj wieczorem widziałem się z Owenem Price'em. Dalej jest sternikiem na Morzu Północnym.

– No cóż, dobrze, że w ogóle ktoś z tej rodziny walczy jak przystało o wyzwolenie niewolników...

– Nie w tym rzecz. Ale masz rację, to porządny człowiek, choć on o mnie wcale tak nie myśli.

– Hmm... – Przyglądała się swym palcom, wyglądała na nich nieskazitelny jedwab; dopiero potem spojrzała znów na niego. - Dziwną porę sobie wybrałeś na rozdrapywanie starych ran. Choć wcale mnie nie dziwi, że zachowali dla ciebie odrobinę ciepłych uczuć. Czy on ma w ogóle pojęcie, gdzie się podziewa ta nadbrzeżna dziewczka, jego siostra?

Ralph pokręcił głową.

– Jeśli w ogóle są jakieś próby kontaktu czy listy, cenzorzy przechwytyją je dużo wcześniej. Poza tym nie nazywaj jej tak. Była dla mnie bardzo ważna, trzeba o tym pamiętać.

– No wiesz, może ona nie żyje. To wyjaśniałoby te... – szukała słowa – niejednoznaczną wymowę dzisiejszych meldunków. No i te nonsensowne pogłoski o jej schwyтaniu! Ale mam przecucie, że na jej śmierci –bo

oczywiście zrobiono by z niej męczennicę - bardziej skorzystałby Zachód niż my. Tak więc lepiej dla przebiegu wojny, jeśli pozostanie wśród żywych, odgrywając swoją drobną rolę w zachodnich szpitalach, bo pewnie tam można ją znaleźć.

- Czemu znów wracasz do wojny?
- Przecież wojna jest najważniejsza.
- Ale nie w tej chwili.
- A co byś chciał, żebym powiedziała?

Siedziała jak zastygła. Tak nieruchomo, że przez chwilę pomyślał, że to jakieś zakłócenie na linii telefonicznej, dopóki nie przypomniał sobie, że naprawdę tu z nią siedzi.

- Chcę, żebyś jeszcze raz powiedziała mi wszystko, co wiesz.

Westchnęła.

- Wiedziałam, że Marion zaszła w ciążę. Pomogłam nawet znaleźć dla niej miejsce w schronisku dla takich kobiet. No i naprawdę, na ile mogłam, starałam się pomóc całej jej rodzinie. Ojca nigdy nie aresztowano. A zmarł na skutek umyślnego zniszczenia tego statku z eterem przez wiatrostermika Ayresa... cóż, za to nie powinniśmy się winić. Już ci to wszystko mówiłam.

- Ale dopiero, gdy sam się dowiedziałem. -- Rozumiał teraz, że przez pół życia uciekał przed prawdą o Marion i Invercombe, całkiem jakby matka rzuciła nań jakieś zaklęcie.

- Przecież nigdy byś się nie dowiedział, gdybyś, u licha, nie spotkał jej brata. I myślisz, że lepiej ci z tym? Myślisz, że oddałabym ci nie wiadomo jaką przysługę, obciążając cię tym brzemieniem, żebyś dźwigał je przez całe Highclare i resztę dorosłego życia? Zapominasz, że byłeś słaby. Tyle co wyzdrowiałeś. Chciałam cię ochronić.

Kiwnął głową.

-- Co stało się z pieniędzmi?

- Nie mam pojęcia, tak samo jak ty. A jak byś wolał załatwić tę sprawę? Wszczęć śledztwo? Twój ojciec był przed śmiercią w osobliwym stanie. Kto wie, dlaczego dał ci te pieniądze i w jaki partacki sposób je przekazał. A Wędy, zniekształcenia, utrata danych się zdarzają. Akurat tobie chyba nie trzeba tego przypominać.

-- A jak mnie znalazłaś w hotelu?

- Oj, Ralph, ile razy mam ci tłumaczyć? Zniknąłeś i zaczęłam cię szukać. A że ta dziewczyna... Marion też zaginęła, wydawało się prawdopodobne, że gdzieś uciekliście, najprawdopodobniej do Bristolu. Potem doktorowa

Hoot –pamiętasz ją? –po prostu powiedziała mi, że spotkała się z wami w mieście. Przykro mi cię rozczarować, ale wcale nie było trudno was znaleźć. Sprawdziłam w cechowych bibliotekach - w tej z owadami, gdzie przedstawiłeś się fałszywym nazwiskiem, i powiedzieli mi, gdzie mieszkacie i że wybieracie się na Wyspy Szczęśliwe. Ralph, ludzie zwracali na was uwagę. Gdziekolwiek byście poszli, z Marion Price stanowiliście bardzo urodziwą, rzucającą się w oczy parę...

Mógł pytać dalej, ale matka miała rację: już przez to przechodzili, nie wątpił też, że miała w zanadru rozsądne wytłumaczenia, które mogłyby poskładać w całość luźne elementy jego przeszłości. Zawsze miała. Zresztą działać się to dawno temu i ta całość byłaby tylko niepotrzebnym przywoływaniem demonów przeszłości. Tylko że on już matce nie wierzył.

– Skarbie, zapomnij lepiej o tym nieszczęsnym romansie. Wiem, że cierpiałeś. Rozumiem. Ale właśnie dlatego musisz to sobie odpuścić. Wyobraź sobie, co by było, gdyby teraz się rozniosło, że ktoś na twoim stanowisku miał romans z Marion Price, nieważne, jak dawno temu, nieważne, ile miałeś wtedy lat. Musisz też pamiętać o biednej Helen i dzieciach... Pomyśl tylko, jak by się poczuły...

To sugestia, groźba czy rozsądne ostrzeżenie? Nie wiedział –tak jak w innych sprawach, w które była zamieszana matka: dziwnych zdarzeniach, zagadkowych śmierciach, zbiegach okoliczności.

– Wyglądasz niezdrowo - powiedziała w końcu, bo milczał przez dłuższą chwilę. - Niezbyt jestem zachwycona, że w takim stanie znów jedziesz na front, zwłaszcza z tymi nowymi zadaniami.

Krew. Coś z krwią. Wczorajsze zacięcie przy gołeniu. Krew na poduszce, wieczorem w kuflu piwa. I wojna. Wszędzie krew.

– Ralph? Słyszysz mnie? Naprawdę nie możesz jechać w takim stanie. Powinieneś wezwać lekarza. Coś jest z tobą nie tak.

4

Jesień przychodziła falami, targając drzewa, podnosząc gonty na domach. Klade chciał uciec przed wojną, ale trudno było znaleźć wytchnienie, jak w zeszłych latach, gdy letnie kampanie przygasały, w miarę jak wydłużała się noc. Wtedy bywało, że strażnicy dawali im z Idą wolne

i prawie ich nie skuwali, a sami szli zbierać coś na opuszczonych polach albo pić, teraz jednak ona **umarta**, on **uciekał**, a zresztą ten rok **różnił** się od poprzednich pod każdym względem. *Bum, bum, bum, Ma-ri-on*, robiły działa i buciory piechoty goniącej go w snach i na jawie, dzień za dniem, gdy szedł, potykając się pod wiatr, w kierunku południowo-zachodnim - przynajmniej taką miał nadzieję.

Dawno nauczył się trzymać twarz w ukryciu, głowę pochyloną, żeby uniknąć krzyków i poszturchiwań ciekawskich Tamtejszych, ale tę lekcję trzeba było powtarzać bez końca. Rolnicy, którzy nadal hodowali zboże i zwierzęta, **lecz** nigdy im nie śpiewali, jak niegdyś prawdziwi Rolnicy, mieli teraz karabiny jak żołnierze; podobnie ludzie w domach, do których w chwilach głodu i desperacji wabiły go dolatujące z okien zapachy. Mali Tamtejsi, rozbiegani jak króliki, rzucali kamieniami. Klade zbierał kamienie, które odbiły się od niego, i wtykał do ust, żeby poczuć surowy smak ziemi. To odstraszało małych Tamtejszych lepiej niż ciskanie kamieniami w odpowiedzi.

Najsmaczniejsze jednak były jagody, przecież już nastąpiła jesień. Zwiszały z krzaków jaskrawe jak krople krwi, które często widywał na pobojo-wiskach ozdabiające ich osmołonych krewniaków. Bił się o nie z ptakami. Wydłubywał robaki i zjadał na drugie danie, choć wiedział, że to nie po kolei, że mięso je się przed słodyczami. Niedobrze było jednak myśleć o Słodyczy, choć często mu się to zdarzało. Słodycz była jak Dom. Słodycz była jak światła mijanych domów, których teraz unikał. Czysta, żółta, niemigocąca. Słodycz była jak Einfeld i Inver-cośćtam.

Pobojoownicy, kiedy jeszcze szedł z nimi, często mówili o Domu albo płakali, albo jęczeli - na jedno wychodziło. Gdyby zapytali, odparłby, że on nie ma Domu i nie chce mieć, skoro tylko się za nim płacze. Tak samo jak z Ukochanymi, chociaż tego określenia nadal nie rozumiał. Pojął już jednak, o co chodzi z tym Domem. Pojął nawet, dlaczego Tamtejsi są z jego powodu - z ich powodu, bo domów było więcej niż jeden - tacy smutni. Sam czuł smutek, myśląc o tym. Może nie do końca smutek, gdyż wewnątrz kryło się szczęście, jak woda w zamrożonej rzece albo czekający na wypuszczenie sekret w pudełeczku. Jego Domem było oczywiście Einfeld, teraz, gdy zrozumiał, stało się to jasne jak słońce; miał wiele powodów, aby wracać ku niemu oraz Inver-cośćtam, choć śpiąc w opuszczonych stodołach, omijając miasta i odnajdując drogi, które prowadziły do celu, po tamtej stronie żywoptotów, w kierunku południowo-zachodnim, zatracił już rachubę dni.

Dom bowiem to miejsce, gdzie przeżywa się tak zwane dzieciństwo i całe odtajane, wyjmowane z pudełeczka szczęście, jakie się z nim wiąże. Dom to miejsce, gdzie Ida nadal żyje, gdzie znów można przebywać z Rolnikami, Stalmistrzami, Silusem, a nawet Fay. Logika podpowiadała, że oni, o ile w ogóle żyją, najprawdopodobniej pracują tak jak on dla Wysiłku Wojennego, ale reszta umysłu, wzmocniana głodem i zmęczeniem, nie była taka pewna. Klade odkrył, że w tym stanie wspomnienia nie są tylko wspomnieniami. Mógł rozmawiać z Idą, kiedy tylko zechciał, a jej obecność była tak dyskretna i już nie promieniowała bólem, że tym lepszą była towarzyszką, w dodatku nie musiał już jej nieść.

Szedł tedy do domu, a gdy odważał się pytać o drogę, ludzie czynili znaki i często obrzucali go przekleństwami, co uznawał za dobry omen. Dom, odkąd go opuścił, urósł, nie tylko od wspomnień. Bo o ile nie zmieniły się mapy - w dni kiedy siekł deszcz, słońca nie było wcale, a zimny wiatr zmieniał się zbyt kapryśnie, by wskazywać drogę, wydawało mu się to całkiem prawdopodobne - o ile więc się nie zmieniły, Dom leżał blisko innego miejsca, zwanego Inver-cośtam, a w Inver-cośtam była kiedyś pokojówka, która urodziła dziecko. W tym miejscu myśli często się plątały i przeczyły sobie nawzajem. Może najadł się za dużo czerwi. Może zamieniał się w Panią Chrząszcz. Ale była jeszcze historia opowiedziana przez Silusa, czy może jakaś jej odmiana - jak z tą piosenką o Zuchu, która zawsze jest taka sama, choć ma wiele wersji i zwrotek. Przecież ona też jest o Domu, o tym, że Zuch wraca, a smutne i radosne zarazem jest to, że leży nie pod dachem, ale pod drzewem. Lecz myśli Klade'a błądziły samopas; wiedział, że to nie służy ani im, ani jemu.

Tak. *Nie*. Posłuchaj. *Zobacz*. Był już prawie pewien. W Inver-cośtam dziewczyna czy kobieta, która niegdyś była pokojówką, urodziła dziecko - tak jak kiedyś kotka w Domu, w Nowej Szopie - a to dziecko to on. Czyż nie tak, co do słowa, powiedział mu Silus, kiedy stali przed tym budynkiem w Bristolu, jeszcze nim się zaczął Wysilek Wojenny? Tu jednak w skłębionym wirze myśli Klade'a pojawiała się jeszcze bardziej zdumiewająca kwestia: mianowicie ta dziewczyna-kobieta, niegdyjsza pokojówka, była na obrazku w gazecie, który pokazała mu Pani Chrząszcz, zanim żołnierze zabrali ją i zrobili z nią te rzeczy, które żołnierze robią z kobietami, a ten obrazek przedstawiał Marion Price. Wtedy wszystko stało się jasne - tak czasem myślał Klade. Potem zagrzmiał wiatr, na szpalerze krzewów zatrzepotały krople krwi i robaki, a odległe działa i bazygrofy na ścianach opuszczonych domów także wykrzykiwały jej imię.

Ma-ri-on. W takich chwilach wszystko doskonale składało się w całość, już na pewno nigdy tego nie zapomni. I nagle wszystko mu umykało, jak woda przesączająca się przez palce spod wykrzywionej twarzy patrzącej nań z powierzchni kałuży, z której pił wodę. Parł jednak dalej.

Coraz bardziej południowo i zachodnio. Był coraz bliżej. Zachodzące słońce czerwieniało jak jagoda, którą pragnąłby zerwać robaczywymi dłońmi. Drogowskazy, a raczej ich resztki, czasem budziły echa miejscowości, które mijali z Silusem, kiedy jechali wozem załatwiać sprawy. Nie - Bristol nie. Bristolu lepiej unikać, bo tam Wysięk Wojenny i Wy Cholerne Odmieńce, Niech Was Szlag. Ale może Luttrell, może i Hockton - wietrzyk, światło dzienne zmieniało już smak i zapach. Klade nie miał wprawdzie pojęcia o morzach i kanałach, ale wiedział, że leżą blisko Einfell, bo było w nim pełno mew - a te ptaki właśnie się pojawiły na niebie, jak zawsze z kroplą świeżej krwi na dziobach, jakby podjadały słońce. A potem już nie miał wątpliwości. Śpiewały doń nawet zakręty dróg, choć żywopłoty oszalały. Stacyjka, mimo że pusta, opuszczona, nazywała się Einfell. Potem płoty, żywopłoty z ogniociernia, całkiem jakby był Tamtejszym, a nie jakimś Cholernym Trollem i Odmieńcem, jakby to ukochane miejsce, które już naprawdę widział ponad rdzą i bluszczem ogrodzenia, nie chciało go do siebie wpuścić. Wzniesione tu zaskakujące zapory z ostrymi, metalowymi, atakującymi go kolcami okazały się niemal niemożliwe do przejścia, lecz Klade to Klade, a Dom to Dom. A Dom to Słodycz; spadał więc po drugiej stronie, posiniaczony i podrapany. Dom był dlań wszystkim. Dom. Tutaj.

Coś jednak się zmieniło. Roślinność zdziczała, było zarazem głośniejsze i ciszej niż we wspomnieniach, które teraz, gdy najbardziej ich potrzebował, zapadły się gdzieś głęboko. Kuśtykał Ślepą Drogą, był wietrzny wieczór, a wokół wirowały tylko liście, nic więcej. Ani jednego cienia, ani ducha. Z wysiłkiem otworzył drzwi Wielkiego Domu. Rozdarł przegniłą od wilgoci poduszkę, na której powinna spoczywać głowa Silusa, przebił pięścią pozbawioną pieśni szybę dzielącą go od Ogrodu i Lasu. Wielki Dom trzeszczał i skarżył się szeptem, miotany burzą jego gniewu, ale był tu tylko kurz, powietrze i zagrzybione drewno. Nawet w Ogrodzie, gdzie Klade niegdyś bawił się i śmiał, Nieprzebyty Strumień zdradził go i schował się w błocie. Nawet kamyki smakowały inaczej, a zamiast wody można było pić własną krew ciekącą spomiędzy odłamków szkła.

Ale zawsze pozostawali jeszcze Ludzie-Cienie, choć ich pieśń, niegdyś dźwięczna, zmieniała się tylko w strzępki szeptu. Z rozpostartymi rękoma,

zaczepiając się o kolczasty mrok, wszedł do ciernistego lasu. Nie bał się już Łowczego ani mistrza Kosiarza - byli dlań jak opłakiwani przez pobożników Ukochani. Teraz on też płakał. Nie bał się ich. Nie nienawidził ich, lecz kochał. Pędząc przez bezludny mrok, wyjąc do szyszczącego zeń księżycy, bał się tylko Klade'a, tylko Klade'a nienawidził. Fay - gdzie jest Fay? - czy nie przyniesie mu przebaczenia za tę straszną zbrodnię, że jest Klade'em? Poczuli się uwięzieni we własnej głowie. Więzień własnego gniewu. Niemniej czas mijał jak zawsze, choć nie dawał ucieczki. Noc pozostawiła wśród dziwacznie udekorowanych drzew niechętnie znikające strzępki, razem z paroma obłoczkami mgły - nawet one, desperacko poszturchiwane palcami, nie chciały zostać z Klade'em. Nastął więc ranek jakich wiele - a to nie żadne Einfeld, to miejsce, jakich wiele. Klade kołysał się i słuchał śpiewu ptaka brzmiącego zimowo i drwiąco w pozbawionej pieśni ciszy. Pozbawionej, lecz nie całkiem. Co ciekawe, najsilniej przyzywała go murowana szopa, do której nigdy dotąd nie zająztał. W przypiływie obłędu wydało mu się nawet, że w środku przylapał Łowczego, okazało się jednak, że to tylko jakieś jego odbicie migocące w lustrze. *W Einfeld nie mamy luster*, napomniał go dawny głos Silusa; Klade czym prędzej opuścił budynek, żeby ten potworny stwór nie zdążył go dopaść.

Łaził między drzewami aż do rana, gdy spojrzęło nań chłodne słońce. I tyle zostało z Einfeld. Z Wysiłku Wojennego. Z Idy, Silusa, Marion Price i Pani Chrząszcz. Wciąż jednak miał poczucie, że pieśń całkiem nie zniknęła. Zaraz - czyż Pani Chrząszcz nie powiedziała, bełkocząc od widmowego gazu, wśród obłądnych wizji, że Einfeld jest bardzo blisko Inver-cośtam, tak blisko, że prawie można je dojrzeć i poczuć, i że to Inver-cośtam poniekąd też jest Domem? Ruszył więc drogą przecinającą poszarzałą, zeschniętą łąkę okalającą Miejsce Spotkań, gdzie nie odbywały się żadne spotkania. Przeszedł przez rozdziawioną żelazną bramę od frontu. I znów był Tam - a może przez cały czas.

/I teraz którądy? Oto jest pytanie. Pozwolił stopom prowadzić się przez opustoszałe, ciche alejki. Niebo się zachmurzyło. Słyszał własny, chropawy oddech. Było tu całkiem jak w jakimś pomieszczeniu. I cieplej. Chyba jest u celu. Zuch wraca do domu - mógł położyć się pod każdym z tych drzew, w odróżnieniu od mijanych wcześniej, dopiero wchodzących w jesień. I znów były jagody, a potem tablice mówiące mu NIEBEZPIECZEŃSTWO i WSTĘP WZBRONIONY, ale kto by ich słuchał? Chętnie położyłby się tutaj, żeby odpocząć wśród korzeni. Lecz już biegi,

stopy same go nosły. Jęknął, a ten odgłos wrócił doń pieśnią. Przekrzywił głowę, prawie się zatrzymał, tuż-tuż, a wciąż niedowierzający – bo jak można znaleźć Dom w miejscu, w którym się nigdy nie było?

Wzgórza jak rozkładające się stronicze książki. Na ich plecach jeszcze większe wzgórze, a na nim wyrasta jakaś świątynia. Niebo się przejaśniło. Naprawdę było cieplej, na drzewach jeszcze niewiele czerwieni. Kolejna chwila wątpliwości: zaczął się zastanawiać, czy aby przez ostatnie dni się nie cofał. Lecz ów cypel nadal rośnie, więc naprawdę się do niego zbliżał, a na tym cyplu, po lewej, stoi maleńki zameczek, cały z wieżyczek i iglic, jak dla wrózek, gdyby oczywiście wróżki istniały. Stróżówka przy bramie, potem porośnięty kępami traw podjazd skręcający w dół w dolinę. Dłonie i stopy Klade'a znów wspiwały się na płoty, łańcuchy, a stok prowadził je dalej w dół. Coś połyskiwało jak mosiężna łysina olbrzyma, lśniły okna, kwiaty jeszcze nie wiodły, unosiły się obficie nad intensywną zielenią. Wszystko, co dotąd myślał o Domu, potwierdzało się i negowało jednocześnie - zaczął bowiem myśleć, że Dom jest czymś innym dla każdego - a tu jednak był Dom dla wszystkich. Wabił go przepotęzną pieśnią z daleka. Było światło i była Słodycz - bo to przecież ten zapach...

Stopy Klade'a odbiły ze ścieżki i sfrunęły po schodkach. Czuł ucisk słońca. Wilgotna trawa wiła się pod dłońmi, łaskotała w policzki. Wylądował w sadzie, gdzie ocalało ciepło, za którym tęsknił przez ostatnie dni. Cienie drzew padały na niego zygzakami, a zwisające z nich owoce, większe od jabłek, były zielone, pomarańczowe, jaskrawożółte, ich barwy* grzmiały mu w głowie pieśnią rozkoszy. Wyprostował się, wyciągnął i sięgnął po najbliższy owoc. Nigdy czegoś takiego nie widział - a potem zdał sobie sprawę, że jednak tak. Jajowaty, z małymi wypukłościami na obu końcach, widział go, a jakże, milion razy, tak, na puszkach *Musującej Cytryny*. Rozpoznał także, drapiąc paznokciami woskowaną skórkę, ten sam słodko-gorzki aromat. Przegryzł się przez twarde, przez włókniste, w środku jego spękane usta znalazły tak ostrą, przepyszną rozkosz, że wydał dławiący jęk zachwytu.

Jadł, jadł, aż się nasycił i padł na ziemię w kleistym zdumieniu, zagłębiając w niej dłonie. Światło dalej igrało wokół - uniośł powieki i poczuł, jak zmienia się pieśń, wypełnia czymś poza falowaniem gałęzi. W cieniach-niecieniach ruszało się coś jak zawile zygzaki. Czknął kwaśno, usiadł i poczuł, że uśmiecha się od ucha do ucha. Pieśń słyszał blisko jak nigdy. Tu mieszkali Ludzie-Cienie, których tak mu w Einfell brakowało - tu

nawet Wybrańcy byli odmienieni. Prawie ich nie widział, ale ogarniała go ich pieśń. Tu mieszkał mistrz Kosiarz, który już nie musiał kosić. Tu mieszkali Rolnicy, którzy już nie musieli uprawiać roli. Łowczy, którego już nikt nie łowił. A on, Zuch, wreszcie znalazł swój Dom.

5

W kłębiącym się zgiełku wiatru i strzałów z lekkiej broni Ralph próbował obserwować przez lornetkę dziobate mury Hereford. Wyszeptał odpowiednio zakłęcie i tandetne soczewki wyostrzyły się, udając precyzyjnie wyszlifowane szkło. W pole widzenia wpłynęło zamglone deszczem miasto. Odkąd wrócił, minął pracokres – jeden bezsenny ciąg niekończących się problemów i podejmowanych decyzji, w trakcie którego legła w gruzach spora część składających się na to miasto podwórek, warsztatów i domów mieszkalnych. Ale i tak stawiało opór; nie odważył się na bezpośredni szturm, wiedząc, jaka odbędzie się rzeźnia.

Podświadomie wyczuł czyjeś poruszenie. Człowiek bez hełmu, przysiadł za wyszczerbionymi blankami, jakby podziwiał widok. Uśmiechnięty, nieogolony, odwzajemnił spojrzenie Ralph'a. Zachodni żołnierz. Osadzone blisko siebie, zapadnięte oczy. Jak dziecinna zabawa - kto pierwszy odwróci wzrok? Wtem rozbryzg mięsa i kości - ktoś odstrzelił mu czubek czaszki.

Generał zdjął lornetkę z szyi i podał ją dyżurnemu kapitanowi, po czym zszedł po śliskich kładkach z desek, wijących się po przeciwnym do miasta stoku wzgórza. Gdzie dwa miesiące temu było pole, teraz w zdeptanym, zniszczonym zbożu rozciągał się obóz, który mimo wszystko pod wieloma względami był szczytowym osiągnięciem technologicznym schyłku Wieku. Wczoraj wieczorem Ralph obserwował przygotowania do wypuszczenia ostatniej salwy smoków obłąńczących. Wcale nie były to smoki, czyli stworzenia wykorzystywane przez bogaczy do polowań, choć też potrafiły, w pewnym sensie, ziać ogniem. Czerwonookie, trzepocące skrzydłami, sapiące, na uwieży, połyły się naftą z beczek. Podsunęto pochodnię, by się zapaliły, po czym wypuszczono je wśród łopotu i tłustego dymu. Poleciały nad miasto jak wielkie papierowe lampiony i rzygając płomieniami, gdy ich wnętrzości wybuchały żarem,

szukały celów wdrukowanych w ich maleńkie mózdzki. Wyglądało to przerażająco i pięknie.

Zakaszła i składając we dwoje wielką chustkę, żeby ukryć krew, przeszedł przez lśniące morze błota ku zagrodzie, gdzie na wieczorną odprawę zebrało się dowództwo. Oddano mu salutę.

— Panie generale, chcielibyśmy pokazać panu parę rzeczy. Zdobyta broń...

Ralph zauważył, że deszcz, który siekł go w twarz na mijanych zrujnowanych dziedzińcach, powoli miesza się ze śniegiem. Pięknie wirował wokół łukowych lamp, które ustawiono wokół czegoś w rodzaju postumentu. Nachylił się nad nim i wspomniął ów dawny poranek, gdy spacerowali z Helen po parku westminsterskim, przystając, aby podziwiać ten czy inny okaz cechowej pomysłowości.

- Pan nie podchodzi za blisko. Może plunąć.

Nokturn przypominał zniekształconego nietoperza, cuchnął zgnilizną i siarką. Przywarł do skorodowanych tytanowych prętów, wyciekał zeń zagadkowym sposobem umieszczony w ciele kwas. Miał w sobie najwięcej zakłęb ze wszystkich skonstruowanych przez człowieka stworzeń, jakie Ralph w życiu widział.

- Dlaczego one nie atakują zachodniego sprzętu i żołnierzy?

- Prawdopodobnie atakują. Wycofując się, zachodnie wojsko zostawia je za sobą w cienkich drucianych klatkach, a one przeżerają je kwasem i się uwalniają.

Sprytne: broń, która najlepiej sprawdza się podczas odwrotu. Podobnie jak śnieć żelazna, korodująca, pokrywająca bąblami każdy metal, z którym się zetknęła, miny odliczające przed wybuchem konkretną liczbę kroków albo reagujące na siłę konkretnego zakłęcia, czy śliniace się zębate i pazurzaste potwory, które znajdowali w podziemiach. Nawet kiedy rozpocznie się szturm, nawet kiedy okaże się skuteczny, utrzymanie Hereford będzie koszmarem. Ralph kaszlnął. Zauważył, że dłonie ma całe czerwone.

- Wszystko w porządku, panie generale? — Wyczuł, że wokół gromadzą się twarze oficerów, lśniąca od marznącej mżawki i zakapturzone. — Trochę się martwimy...

- Martwcie się lepiej o wynik bitwy - odburknął.

Gdy odprawa wreszcie się zakończyła, cisnął bluzę na krzesło w sypialni urządzonej w tym wiejskim domu. Przekłęty nokturn, czerń trzepocząca gdzieś za oczyma. Zadygotał, zabolalo go, ale do snu nie mógł się zmusić, poza tym miał jeszcze coś do przejrzania. Były oczywiście teczki, wydruki, liczykamylki - masa nieprzetworzonego materiału wywiadowczego - ale pat pod Hereford sprawił, że je zaniedbał. Od powrotu z Londynu kompulsywnie zajął się odkrywaniem prawdziwych dziejów arcycechmistrzynie Alice Meynell. Wiedział już, że matka nie wywodzi się, jak twierdziła, z wysokocechowych rodów; wiedział także, że na jej przeciwników spadały zagadkowe nieszczęścia. Oczywiście miała szczęście. Była zręczną manipulatką. I nie zawsze mówiła całą prawdę. Pod wieloma względami był zawsze w jej władzy. Lecz teraz, jak wówczas, gdy rysowała mu się idea adaptacji środowiskowej, wyczuwał, że jest bliski wielkiego odkrycia.

Zobaczył zabłąkany liczykamyl toczący się wesolutko we wgłębienie materaca, na którym siedział. Schwycił go wciąż czerwonymi od krwi paznokciami. Kompendium przesłuchań zachodnich jeńców - przelane w naeteryzowany kamień szelakowe nagrania. Gdy znużona świadomość już miała wyśliznąć się z sypialni, jego uwagę przykuł pewien zapis, o tyle **niezwykły**, że jeńiec był odmieńcem. Przedstawili go jako Silusa Bellingsona; podobno miał dostęp do potencjalnie przydatnych informacji o zachodniej sieci energetycznej - tak twierdzili przesłuchujący...

Po odmowie nastąpiło nieludzkie wycie, a potem, gdy brzęczenie ucichło, osobliwy trzaskający śmiech. Ralph nie był w stanie wyobrazić sobie, co ta istota musi cierpieć ani jak wygląda.

- W tym rotorze nie kontaktuje jeden styk... - zasyczał jeńiec. - Musicie go przylutować. Mówiłem wam, do takich właśnie rzeczy mnie zatrudniali na Zachodzie. Tak samo jak przedtem, zanim mnie... Zanim ona... Myślicie, że nie znam się na elektryczności...

Buczenie się wzmogło. Powróciło wycie.

-- I co, jak jeszcze mnie ukarzenie? --Odgłos spluwania. -- Ale poczekajcie. Coś wam powiem. O waszej szlachetnej arcycechmistrzynie. Niech pan nie dotyka tej tarczy. Nie, nie o to chodzi. Bo wiecie, kiedyś ją kochałem...

Nagranie potrzaskiwało dalej, choć znaczenia militarnego już nie miało.

- Przyjechała do Londynu. Była najpiękniejszą istotą, jaką w życiu widziałem. Z żoną mi się... nie, w sumie nawet nie muszę się tłumaczyć. Alice była drwiąca, promienna, zalotna, a poza tym potrzebowała

mnie, bo widzicie, panowie, miałem wtedy sporą władzę. Władzę jak Wschód długi i szeroki. I zostaliśmy kochankami, ja i Alice Smart - tak się wtedy nazywała. Oczywiście wiedziałem, że jest niebezpieczna. Ale jednocześnie nie zdawałem sobie z tego sprawy. A może właśnie to mi się podobało. Ma taki wpływ, wiecie, panowie... że potem już nie ma pewności, co się wie, a czego nie... Potem obiektem jej względów stał się miody telegrafista, arcycechowy, najlepsza partia sezonu. Dałem jej wszystko, czego chciała, więc nie **byłem** już potrzebny. No i stało się, Alice **zabrała** mi dawne życie, zostawiła mnie w takim stanie. To chyba jej znak rozpoznawczy – osoby, które chce zniszczyć, z pozoru same ściągają na siebie nieszczęście. To nawet jest prawda. W końcu wszyscy jesteśmy **ludźmi**, jesteśmy brudni - tak, nawet my, odmieńcy - a Alice, Alice, Alice Meynell unosi się ponad tym wszystkim. Tak, panowie, to wyłącznie moja wina, nie jej, że jestem tutaj, że tak wyglądam –i dlatego zasługuję na karę...

Coś potężnie zabrzączało i resztę nagrania pochłonęły wrzaski przesłuchiwanego.

Rano Ralph wytarł z twarzy zakrzepłą krew, poprawił bluzę i, niezdolny zmierzyć się ze śniadaniem, poszedł prosto na przegląd wojska. Idąc zdobytą peryferyjną ulicą, zdumiewał się rozmiarem zniszczeń spowodowanych przez własny ostrzał, a także zastawionymi przez wroga pułapkami i zasadzkami. Wypalony ślad zdychającego smoka obłączniczego **kończył** się szerniałą grudą mięsa i piór. Nad ruinami dachów przetoczył się pylisty grzmot. Mógł to być wybuch kolejnej miny, ale najprawdopodobniej saper detonował kolejny niewybuch –było ich wiele, może przez kiepską jakość, a może przez jakieś zachodnie zakłęcie ochronne. Wydawało się, że i Zachód, i Wschód bezwiednie **połączyły** wysiłki, a ich sens i ewentualny cel dawno zatracono wśród krwi, dymu, gruzu i retoryki.

Wzywając półgąsienicowiec, którym zamierzał pojechać na południowy odcinek frontu, poczuł mroźny powiew. Jeden z oficerów odchrząknął.

- **Niepokoiliśmy** się, panie generale, o stan pana zdrowia. Upoważniono nas do...

Nadjechał jednak transporter, Ralph wspiął się do środka, zrujnowane miasto zostało w tyle, zastąpione przez przysadziste, brązowe, błotniste wzgórza. Przedwczesny szturm oskrzydający nie doprowadził do

okrażenia, a większość wraków pozostawionych przez uchodźców wzdłuż szlaku była cywilna. Wszędzie walały się pogubione podczas ucieczki taczki i szafy. Później pojawiły się też kości i krew; porzucano tu opóźniające ewakuację perszerony i krowy. Wschodnie oddziały strzelały bez namysłu do bezpańskiego bydła, gdyż obawiano się bomb skrytych w ich wygłodzonych brzuchach. Jedna z nielicznych zalet: brak much, bo było już dla nich za zimno –choć kruki żerowały wszędzie, myląc wzrok trzepotaniem czarnych skrzydeł.

Błękitne niebo było podszyte czernią, a chmury - jakże szybko się formowały –pływały z południowego zachodu jak dym. Teren coraz bardziej się fałdował. Wszędzie było pełno wraków pojazdów. Rżały perszerony. Ludzie stali wokół, pilnując tyłów, coraz bardziej podenerwowani ciszą, bo spodziewali się kolejnego ataku. Ralph wysiadł z transportera w miejscu, gdzie drogę przegradzał olbrzymi, postrzępiony żywoptł. Dowódca zasalutował.

– To jest ten nocogród?

– Cały tydzień z nim walczyliśmy, panie generale. Jakby rozplątywać wielką kulę drutu kolczastego...

Ludzie w pełnych płytowych pancerzach ciężki potężnymi nożycami do drutu napięte jak sprężyny purpurowe łodygi zbrojne w dubeltowe kolce.

– Próbowaliście ogniem?

– Tylko go wzmacnia. Przejdziemy, oczywiście, ale nieprędko.

– Od tyłu nikt nie atakuje?

- Nikt, panie generale. Ciekawe, co oni tam szykują...

Na prawo, otoczona czerwonymi flagami po rozminowaniu, stała mała centralka telefoniczna, a przed nią rozpakowywało się dwóch saperów, w cywilu telegrafistów, przygotowujących się do ponownego połączenia sieci z Londynem. W powietrzu unosiło się parę pierwszych płatków śniegu, wielkich i białych jak gęsi puch; Ralph powiedział saperom, że popilnuje ich sprzętu, kiedy pójdą na herbatę. Trochę skonsternowani, zasalutowali i pobiegli do namiotu z piecykiem.

W przysadzistej ceglanej szopie zostawili na gołym klepisku otwartą skrzynkę z aparatem testowym. Obok, świeżo naładowany i odnowiony, leżał gruby jak ramię splot naeteryzowanej stali i miedzi, którym informacje już niedługo popłyną na Wschód. Przyglądając się skrzynce, Ralph zauważył, że brakuje w niej korbki, jaką miały podobne urządzenia w Highclare. Poza tym z mechanicznego punktu widzenia była to

całkiem prosta konstrukcja, choć niesamowicie złożona pod względem magii. Martwy zachodni koniec kabla, który telegrafści mieli zamiar zniszczyć, przypiął do zacisków. Oczyszczył płuca i wionąc szronem oddechu, odśpiewał zaklęcie aktywujące. Od czasu Upadku w całej wschodniej sieci zainstalowano potężne bramki zabezpieczające, mające uniemożliwić połączenia z Zachodem, jednak sygnał nośny wciąż był niezbędny do działania całego systemu. Dotknął bliźniaczych łączników na wierzchu skrzynki. Świat zafalował. Telegrafści z powołania przeważnie gardzili lustrami i śpiewali jak ich ojcowie, stojąc z ręką na głównej. Ralphowi udało się niepokojąco łatwo – z ulgą opuścił obolałe ciało i upodobił się do czystego zapisu informacyjnego, najbardziej jak tylko odważyłby się rozsądny telegrafista. Poświst i poszept informacji zaraz zaniósł go w sieć Bristolu, gdzie skierował się ku największej, najęstszej zbitce danych, prawdziwemu wirowi, wybuchającemu wulkanowi. To na pewno było Najwyższe Dowództwo Kupców-Pionierów.

Telefon zadzwęczał. Ralph widział, jak żołnierz Zachodu, w mundurze całkiem przypominającym jego własny, wstał znad biurka i udsadził się przed lustrem. Był szybki – nie jakiś emerytowany ramol. To dobrze. Chyba poznali się na jakimś przyjęciu czy spotkaniu w Londynie, Bristolu czy Dudley, wiele lat przed wojną...

– Jestem arcycechmistrz Ralph Meynell. Dowodzę Drugim Wschodnim Batalionem Sil Prawomyślnych.

Zachodni generał drgnął zdumiony.

– Dlaczego pan do mnie dzwoni?

– Chcę porozmawiać o pokoju.

Zachodni generał, trzeba mu przyznać, zachował opanowanie. Zasznurował usta. Potem świat boleśnie się zakółysał. Ralph odzyskał przytomność. Leżał na wznak na zimnym klepisku centrali telefonicznej, a żołnierze Wschodu w pełnych pancerzach stali nad nim, zasłaniając światło.

Poprowadzono go z powrotem do transportera, gdzie czekał już zastępca głównodowodzącego Arundel, prostoduszny, opryskliwy eks-Sawant o rudym wąsiku. Konwój, jeden pojazd półgąsienicowy przed nimi i jeden za, wycofywał się rozmokłą drogą ku Hereford. Śnieg prószył teraz mocniej, pierwsza zimowa biel sypała się tak intensywnie, że ciemna ziemia jakby wychodziła jej naprzeciw.

– Częstuj się. – Arundel podał mu kieliszek alkoholu nalanego z manierki. Ralph starał się utrzymać go w krnąbrnych dłoniach,

podskakujących i trzęsących się razem z transporterem. Trunek palił gardło. – Chyba uda się nam wysłać cię pociągiem do Londynu, jeśli nie napada więcej tego przeklętego śniegu.

– Jestem zdrajcą. Nie zasługuję na takie traktowanie.

- Meynell, jesteś chory. – Arundel wziął z powrotem manierkę, zastanowił się, czy nie łyknąć, po czym zerknął na Ralpha, zakorkował ją i zapalił cygaro. - Co powiedziałeś zachodniakom?

Ralph nie miał powodu, żeby czuć do Arundela niechęć. Opowiedział więc najlepiej, jak umiał, o okolicznościach swojego telefonu.

– I tylko tyle mu powiedziałeś? – Arundel splunął za burtę transportera i otarł wąsy. – Że chcesz pokoju oraz swoje nazwisko i stopień?

– Coś mi przerwało.

– Człowieku, to nie twoje zadanie przynosić pokój. Ani żadnego z nas.

- Ale mam już potąd przynoszenia wojny.

– Meynell, posłuchaj: ewidentnie źle się czujesz, jesteś zestresowany. Dziś tak się beznadziejnie wygłupiłeś, że ludzie zbędało śmiechem. Opowiesz w Londynie to samo co mnie i dadzą ci tylko parę pracokresów urlopu. Wrócisz do tej zapadłej dziury, Hereford, zanim ją na dobre zdobędziemy.

– Skoro tak, to może lepiej powiem coś innego.

Obaj się zaśmiali. Na wojnie czasem trudno było się nie śmiać. Śnieg wirował. Zdradziecki krajobraz łagodniał i się oddalał. Był piękny jak marzenie. Półgąsienicowiec przed nimi przechylił się, sapał i bezradnie miał gąsienicami, zawisłszy w głębszej koleinie. Musieli się zatrzymać.

Arundel zaklął i zdusił cygaro.

– Czemu wy wszyscy...

Zaczął się podnosić. W rozmazanej bieli coś trzasnęło, a on chrapnął i zwałił się w tył, na wpół przyciskając Ralpha swym potężnym ciężarem. Wylewało się zeń ciepło. Ralph, choć wiele już przeżył i widział, dopiero po dłuższej chwili zszokowany zdał sobie sprawę, że to krew i moc.

Żołnierze z dwóch pozostałych transporterów już się wysypywali, gdy powietrze rozdarły strzały i wrzaski. Ralph wreszcie uwolnił się spod Arundela i także wysiadł. Pociski grzmociły wokół, z jękiem odbijały się od płyt pancerza. Płatki śniegu wirowały wśród dymu i pomarańczowych rozbłysków. Nie miał pojęcia, co się dzieje; atakować mogli ich równie dobrze zdeorientowani podłą widocznością żołnierze Wschodu, jak i Zachodu. Odtoczył się od transporterów, wpadł do rowu na poboczu

drogi, kaszłał i wymiotował. Gdy doszedł do siebie, poczołgał się przez brudną wodę.

Ściany rowu piętrzyły się nad nim. Z tyłu wciąż dobiegały krzyki i strzały, przed sobą widział tylko ciemność i biel. Nie mógł powstrzymać uporczywie powracającej głupiej myśli, że tak wczesny atak zimy narobi im bigosu w zaopatrzeniu. Potem, mimo że oczywiście był już zdrącą, zaczął się zastanawiać, czy zdoła dotrzeć do następnego posturunku i podnieść alarm. Na czworakach, zatrzymując się od czasu do czasu, by wykaszleć i zwymiotować cienkie nitki jaskrawej krwi, pełzł przez zamarzające błoto. Strzały prawie ucichły. Przed nim pojawiła się jakaś sylwetka. Coś nuciła.

Swój czy wróg? Wschód czy Zachód? Wszystkie standardowe pytania wydawały się nieistotne. W końcu kimże jest teraz? Powinien jednak zatrzymać się, zastanowić. Przecież jeden nierozważny krok — w tym wypadku na czworakach — i wpadasz do własnego grobu. Mimo wszystko pełzł dalej, choć istota wyglądała osobliwie, a jej głos dziwnie drżał. Co najdziwniejsze, znał ten głos, tę sylwetkę, tę pieśń.

— Patrzcie no, patrzcie. Nadchodzi...

Przestała nucić i stanęła w rozkroku, żeby wziąć go w swe owadzie ramiona.

6

Każdego ranka, budząc się, Marion pozwalała sobie na chwilę luksusu, polegającego na tym, że nie wiedziała, gdzie jest. A tym przyjemniejsza była świadomość, że to naprawdę luksus, że czeka już wiele ważnych lub mniej ważnych zadań, których wykonanie lub niewykonanie będzie mieć dobre lub straszne skutki. Najpierw woda — chłodna, lśniąca, bulgocąca — pędziła ku niej. Zamoczyła jej nogi i ogarnęła wszystkie zmysły słonym krzykiem mew. A potem, też błyskawicznie, pojawił się chichot fal. Rozkoszne ciepło niesło ją pośród przepięknych ogrodów, do wysokiego pokoju z jednym spadzistym oknem i chłodnym łóżkiem. Tak, było wcześniej, ale słońce już przekradało się ponad progiem, padając na bielone ściany. Delikatnie pachniało bielidłem i było nieprzyzwoicie, nieodwołalnie, niewątpliwie i niesamowicie czyste. Tak, tak, tyle miała robory.

Myśląc o polerowaniu mosiądzu, o czyszczeniu rusztów z popiołu, Marion otworzyła oczy. Choć wiedziała, że to naprawdę nie jest Inver-combe, ciemnawy pokoik niezbyt różnił się od tego, w którym niegdyś spała. Ubrała się. Wpół do szóstej i ziąb. Zeszła długimi głównymi schodami, minęła ciemne gabinety i przyjęła meldunek od siostry przełożonej. Noc minęła spokojnie - mało zgonów, mało przyjęć. Nie trzeba było jej budzić do żadnych nagłych wypadków.

- I to wszystko?

Siostra kiwnęła niepewnie głową.

- Coś jeszcze?

- Tak sobie myślałam... wie pani, co ludzie mówią?

- Co znowu? - Marion już poczuła się zmęczona. - Przepraszam, siostrze. Chciałam powiedzieć...

- Nie, nie, w porządku. Tylko z frontu dochodzą pogłoski, że Hereford padło...

Marion zeszła kolejnymi schodami i obeszła najważniejsze oddziały. Cirencester College zaledwie trzy lata temu był szkołą Zjednoczonych Cechów Inżynierów, ale jako wojskowy lazaret sprawdzał się znakomicie. Sypialń, z przepierzeniami co cztery łóżka, nie trzeba było przebudowywać. Nieustające zimno, odbijające się echem kroki i głosy - nawet stłumione uczucie osamotnienia - cechowały to miejsce na długo przed rekwizycją. Możliwe, że nauczyciele tak samo potajemnie popijali, jak teraz pielęgniarki.

Ranni zdążyli się przyzwyczaić do jej obecności, ale i tak, gdy wchodziła na oddział, rozlegały się krzyki i jęki. *Lup-lup-lupten* okropny zaśpiew w rytm jej imienia wystukiwany miskami. Poszczególni pacjenci cichli, kiedy do nich podchodziła, ale te trzy cholerne uderzenia rozbrzmiewały po całym szpitalu. *Ma-ri-on*. Nie chodziło o nią - nie chodziło o nic - ale ona była przyczyną, więc jaki miało sens krzyczenie i wściekanie się na oddziałowe i pielęgniarki? Jedyne wyjściem byłoby zaprzestać tych wizytacji. Ale wtedy jak by pracowała?

Na oddziałach leczenia oparzeń unosiły się z poduszek okaleczone głowy. Zniekształcone ręce wyciągały się do niej po dotyk - podobno uzdrawiający. Słyszac ich zdławione szepty, zastanawiała się: Kim ja jestem? Zmęczoną, drażliwą kobietą, ze wszystkich sił starającą się nie wstrząsać od odoru spalonego mięsa, czy troskliwym aniołem, którego sobie wyobrażają? A o rzekomej klęsce pod Hereford mówiło się już wszędzie. Zależy kogo się słuchało, wojska Zachodu wycofywały się, przegrupowywały,

koncentrowały... Personel, ziewając, szykował się na kolejną nieprzespaną, pracowitą noc, ale większa lala rannych się nie pojawiła. Tylko rutynowa kapanina: wypadki, nerwica frontowa, syfilis, zatrucia pokarmowe. Zaniepokojona Marion skierowała się korytarzami ku wyjściu.

Lata temu, kiedy nie miała jeszcze ochrony i amuletów, sama pospieszyłaby prosto pod **Hereford**. A przynajmniej przydałaby się tutaj podczas selekcji, pomagając obsłużyć przybywające wozy i wózki. Teraz wiedziała, że system, który narzuciła temu i większości pozostałych zachodnich szpitali, działa lepiej, kiedy jej nie ma. Gdy była w pobliżu, palce myliły się z zakłopotania. Miski-nerki leciały z rąk. Żołnierze próbowali odkleić się od przesiąkniętych krwią noszy, żeby jej dotknąć. *Ma-ri-on. Ma-ri-on.* W życiu by tego nie chciała. A nigdy nie była na tyle próżna, by wyobrazić sobie, że musi mieć na wszystko oko, by działało należycie. Ale przecież nie mogła tu beczynnienie siedzieć. Weszła do głównego biura i oznajmiła, że jedzie do Bristolu – czy ktoś mógłby sprawdzić, o której są pociągi?

Na dworcu rodziny żołnierzy tłoczyły się w oczekiwaniu na nienadchodzące wieści. Panował kompletny chaos, a Marion powiększyła go jeszcze samą swoją obecnością, przepychając się wśród błagalnych dłoni i twarzy do zarezerwowanego dla niej wagonu. Czasem dobrze jest być Marion Price, pomyślała. Miała dla siebie cały przedział i mogła poczytać gazety w spokoju przerywanym tylko przez strażników, którzy, jaskając się, prosili o autograf dla córek, żon, matek...

W gazetach oczywiście pisano o Hereford, ale tylko zwykle bzdury; *Mężny Zachód stawia zaciekle opór* i *Odwraca się los* - na pierwszych stronach dominowały doniesienia o zatopieniu francuskiego okrętu, co rzekomo znamionowało poluzowanie blokady. Marion odsunęła prasę na bok. Próbowwała przypomnieć sobie upajającą atmosferę pierwszego szturm, czasu, gdy Londyn wydawał się w zasięgu ręki – pragnęła kłęski Wschodu jak każdy zachodniak, choć z całkowicie egoistycznych powodów. Potem, mimo ciągłych porażek, cały czas wydawało się, że tuż-tuż jest jakaś kolejna broń, kolejne przymierze, kolejna szansa na pokój lub zwycięstwo. Lecz wojna szalała od trzech lat i padło nawet Hereford. Marion odwróciła się od migającego za oknem krajobrazu. Trafiała wzrokiem na krótką szpalnę z reportażem. *Sily dowodzone najprawdopodobniej przez*

generala Meynella... Wojna była jak gorączka – koszmar rządzony własną, wewnętrzną logiką, przepleciony przeblyskami dawnych wspomnień.

Marion nigdy nie starała się śledzić postępów Ralpha, ale on, tak jak jego matka, pojawiał się wszędzie, w każdej gazecie, którą wzięła przez te lata do rąk, znajdowała jego czy jej nazwisko na długiej liście Cechowych Wydarzeń. Przeważnie było wypisane tak drobnym drukiem, że mało kto by je zauważył, ale jej nie umykało nigdy. Dawny gniew, pielęgnowany w zakładzie Alfiego, gdzie urodziła i straciła dziecko, wciąż żywy w latach spędzonych na rzece i z **Nollem**, już wygasł, a może przynajmniej skanalizowała go w energię, którą angażowała we wszystkie swe bitwy z głupotą, indolencją i uprzedzeniami. Coś takiego odbędzie się i dzisiaj w Bristolu.

Przez lata przyzwyczała się do tego miasta, choć każdy przyjazd zabarwiała wspomnienie: jazda z Ralphem rozklekotanym pociągiem z Luttrell, zgiełk i hałas nagrzanego upałem dworca Templemeads –wspaniała ucieczka w roli Elizy Turner. Dzisiaj jednak, gdy pociąg zwalniał, a pod gęstniejącym szarym niebem przybywało srebrnych pasemek torów, mogła być tylko Marion Price; pomyślała o bliskości żołnierzy Wschodu, o ich przemarszu doliną Wye spod **Hereford**, który przetnie Zachodowi ostatnią arterię. Wtedy, wykluczysz cuda, w które już nie wierzyła, Zachód czeka wyłącznie klęska.

Dzień upłynął jej na kłótniach w bristolskich domach cechowych. Od dawna знаła starszego mistrza Cheney'a jako człowieka, nie postać z plakatu: zestarzawszy się, wiele lat temu stał się niezdolny znosić presję codziennych decyzji dotyczących losów wojny; mógł jej zaofiarować jedynie współczucie i filiżankę herbaty. Nawet jeden z braci **Pike**, choć poza nią wiedzieli to nieliczni, przeżył załamanie nerwowe. Odnosiła wrażenie, że w hierarchii sztabu przetrwali i dobrze się mają tylko osobnicy cieszący się najslabszym kontaktem z rzeczywistością. Zresztą, jakże mogło być inaczej, skoro rzeczywistość tak wygląda?

Starsi mistrzowie, którym stawiała czoło, mówili o **Hereford** tak samo ogólnikowo jak gazety. A może po prostu tyle samo wiedzieli. Natomiast dla Marion wszystko stawało się jasne. Nie, w żadnym razie nie namawiała do kapitulacji, ale powinno się natychmiast w zorganizowany sposób ewakuować parę szpitali z okolic **Ross** i **Monmouth**. Alternatywa to zator, w którym ranni będą umierali na podskakujących wozach

pośród wycofujących się żołnierzy i cywili, a potem całkowite załamanie infrastruktury medycznej, budowanej przez nią z takim trudem. Wysłuchiowano jej w przytłaczających przepychach salach, proponowano kawę ze śmietanką i drobnym, wilgotnym cukrem - w tych czasach towarem nie do zdobycia; była zbyt zmęczona i głodna, by odmawiać. Na zewnątrz wielkie płatki śniegu muskały szyby bezgłośnymi palcami. Wczesne opady, pierwsze w tym roku - memento, że nadciąga zima i że ta straszna wojna będzie jeszcze gorsza. W tych samych salach Marion odnosiła swe najważniejsze zwycięstwa, walcząc z absurdalnie wąską specjalizacją cechów medycznych, lecz teraz czuła się bezradna, zagubiona...

- Sprawa jest taka, pani Price: jeśli zaczniemy opróżniać szpitale na tyłach Hereford, które, nawiasem mówiąc, cały czas dzielnie się broni, zostanie to zinterpretowane jako klęska. Co sobie pomyślą nasi chłopcy, kiedy się dowiedzą, że Marion Price związa działalność na ich tyłach, właśnie kiedy najbardziej jej potrzebują? Niemniej rozumiemy i podziwiamy pani zmysł praktyczny. Może ciasteczko?

- A jeśli i tak wydam polecenie ewakuacji szpitali?

- Mamy wojnę, pani Price. Tb byłaby zdrada... nawet zważywszy na pani pozycję.

Wieczorem w Bristolu urządzano wielki bal. Może nie do końca na jej cześć - Marion miała bowiem wrażenie, że wielkie bale urządzi się tu prawie co wieczór - ale oczekiwano, że się na nim pokaże; zresztą i tak nie miała już powrotnego pociągu do Cirencester. Czuła się uwięziona, ale przynajmniej mogła zobaczyć się z Nollem; istniała też pewna szansa, że tutaj zdziała więcej, niż onieśmielając pielęgniarki w szpitalu.

Gdy wchodziła do sal cechów lekarskich na placu tuż obok Horsefair, pod kamienne zwoje z tajemnymi dogmatami, strażnicy salutowali i wytrzeszczali oczy. Zeszła schodami do biało wykafelkowanych katakumb, których zapach zawsze kojarzył jej się ze sklepem mięsny. Nie mogła pozwolić sobie na zbytnią wrażliwość, ale w odróżnieniu od Nolla w poplamionym białym kitlu, z białawym uśmiechem, bladą twarzą, zdecydowanie wolała pracować wśród żywych.

- Słyszałem, że przyjechałaś i znów wkładasz kij w mrowisko. - Wziął ją w formaldehydowe objęcia. - Wyglądasz na zmęczoną.

- Słyszałeś o Hereford?

Oparł się o marmurową płytę, zapalił papierosa i wzruszył ramionami.

- Kolejna porcja zwłok.

- Nie jesteś aż takim cynikiem.

- Muszę być.

- Przegrywamy wojnę.

Wypuścił kłęb dymu i jeszcze raz wzruszył ramionami.

- Nie ma sensu wdawać się w bitwy, których nie możemy wygrać - ciągnęła. - Już latem trzeba było błagać o pokój. Dość ludzi zginęło...

- Marion, już to mówiłaś. Zobacz. - Uśmiechnął się, zamachał dłońmi. - Coś ci pokażę.

Sine dłonie i stopy, jak to u zmarłych. Gdy Noll pokazywał jej postępy, jakie poczynił, poszerzając wiedzę swego cechu o funkcjonowaniu ludzkiego serca, przypomniała sobie, jak cierpiał i skarżył się, że jest ograniczany, kiedy pracowali razem w Bewdley. A teraz, w tej zimnej pracowni miała przed sobą spokojniejszego, miłszego Nolla, mogącego robić, co mu się podoba. Wojna mu służyła. Posłużyła też Marion Price - na pewno jej to powie. Lecz ona nie zrobiła nic nadzwyczajnego. Zawsze uważała, że leczenie to w zasadzie kwestia zdrowego rozsądku - trzeba mieć czyste prześcieradła, umyte podłogi, dość bandażu i koców oraz przestrzegać podstawowych zasad higieny, a reszta właściwie dzieje się sama. Nigdy nie planowała wygłaszać przemówień ani prawiekazań starszym mistrzom przyjeżdżających eleganckimi, długimi autami, by zerknąć na martwych i umierających. Chociaż, prawda, nikt jej nie zmuszał do udzielania pierwszych wywiadów, ani pisania owych homilii o „Aspektach opieki zdrowotnej”, które wznawiano już osiem razy.

Noll zawsze trzymał się w cieniu. Nawet ta pracownia, mimo całego naukowego rygoru, była sekretna, podziemna - taki azyl. Pokazał Marion słoje wypełnione wspaniale lepkiemi odmianami pasożyta, którego ekstrahował ze zwłok i preparował, śledząc, jak rośnie i przystosowuje się, pokolenie za pokoleniem - słabsze osobniki szły w zapomnienie, silniejsze przekazywały dalej swoją spuściznę.

- Wojna to zmienione środowisko - wyjaśnił, stawiając słój, w którym kołysało się, jakby nadal pływało, coś wielkiego, białego, z licznymi rogami. - Muszą więc pojawić się nowe odmiany.

- Zaraz mi powiesz, że wojna jest dobra.

- Sądzę, że jest nieunikniona i konieczna. Teraz, gdy my, ludzie, na ogół unikamy naturalnych katastrof, musimy tworzyć sobie sztuczne. - Zaśmiał się. Wyglądał na naprawdę szczęśliwego. - Pomyśl tylko, jaki

postęp dokonał się przez parę krótkich lat, przecież w innym razie cechy by czegoś takiego nie osiągnęły...

Zabrał ją do swego mieszkania, eleganckiego i stylowego na ów zimny, abstrakcyjny, nowoczesny sposób. Rozebrał się, cały czas opowiadając, gdzie doprowadziły go własne myśli i idee. Może spodziewał się, że ona zrobi to samo; lecz kiedy położył jej dłoń na ramieniu, uśmiechnęła się i opanowała wzdrygnięcie.

- Wiesz co...

— Nie ma sprawy.

Skubnął ją w policzek, a potem, pogwizdując, zapalając papierosa, zaczął wkładać eleganckie wieczorowe ubranie. Dawniej był ponury - teraz, gdy spełniały się jego najczarniejsze przewidywania, promieniał jak jaskrawa kamizelka, którą właśnie zapinał.

Spojrzała po sobie - jej ubranie było celową mieszanką codziennego stroju roboczego różnych cechów opiekujących się chorymi; mało gustowną oznaką równości.

- Tak przecież nigdzie nie pójde.

— Jeśli tylko pojawisz się w czymś innym, Marion, wszyscy będą rozczarowani. Zresztą, przecież ci odpowiada to, że się wyróżniasz? — Pachnący nikotyną i ambłą Noll ucałował ją w policzek. - Według mnie wyglądasz wspaniale, Marion. Jak my wszyscy.

Źle oceniła Nolla - jego strój wydawał się powściągliwy na tle bogatych ludzi z Bristolu, sunących w powozach po Boreal Avenue wśród nieustannie prószonego śniegu - wciąż nie mogła dojść, co złego jest w eleganckim stroju. Kobiety nosiły sinoblady makijaż, jakby w hołdzie dla trupów Nolla. A może to przez mróz. I - tak, tak, pisały o tym popołudniówki - Marion Price wróciła do Bristolu, żeby wszystko postawić do pionu! Rozszepcane szeregi wachlarzy i twarzy zbierały się pod lampionami w skrzącym się powietrzu. Odbierała dygnięcia, słuchała mroźnego klekotu spontanicznych owacji.

W dławiącym blasku wielkiej sali, w górze pienili się marmurowe zbcza z balkonami. Niebawem, gdy tylko przestanie padać, odbędzie

się pokaz fajerwerków. Na pewno będą napoje. Ale niedługo, nawet jeśli Hereford jeszcze nie padło, ten przepiękny pałac znajdzie się w zasięgu armat Wschodu, po czym jedna lub druga strona tego rozdętego konfliktu aresztuje Marion za przewinienia, których żyjąca w cieniu jej legendy kobieta z krwi i kości najprawdopodobniej w ogóle nie dokonała. Lecz już zaczęły się tańce. Obfitość jedzenia, jak zawsze, przynajmniej u tych uprzywilejowanych. Patrzcie no, kelnerzy i kelnerki poczernili twarze, żeby upamiętnić niewolnych z Wysp Szczęśliwych, równie zawzięcie jak bristolczycy bijących się o wolność, której nigdy nie posiadali!

– *Entre nous*, tego, co ostatnio mówiłaś o przegrywaniu wojny, lepiej tutaj nie powtarzaj – mruknął Noll, wprowadzając ją do środka.

Balkony jakby się osuwały i kołysały do rytmu muzyki, wtaczały się i wytaczały grupy tancerzy. Marion zauważyła, że butelki nie mają etykiet. Ktoś zaśmiał się i dotknął nosa. Jakby cały Bristol rozkoszował się nielegalnym dreszczykiem drobnego importu i przedstawianiu się przez blokady, choć pod powierzchowną radością, idiotycznym skomplikowaniem tańców i dziwnym zawodzeniem orkiestry **przepływała** nieco trzeźwiejsza fala. Wśród noszonych przez mężczyzn medali, u kobiet w ramach mimikry naśladowanych broszkami, było widać wysadzone diamentami portreciki synów, braci i mężów straconych podczas niedawnej kampanii lub epidemii. Otrzyj się o nie, próbując wyrwać się z rozgadanej grupki, a przemówią do ciebie drogocenne wspomnienia i głosy.

Zmagając się z tymi nurtami, z uśmiechniętymi bądź zdesperowanymi twarzami, Marion spotkała kobietę o drobnej figurze, w sukni w czerwone i srebrne paski, z koronkową krezą wokół szyi.

– Marion... – Denise przełknęła ostatni kęs cukrowego łakocia. – Świetnie wyglądasz.

– Ty też...

Denise oblizła czubki palców.

- Przychodzę na te imprezy tylko dla dobra interesu. Marzenia o zwycięstwie, sny o kłęsce, o powrocie ukochanego w czymś innym niż drewniana skrzynka - wyobrażasz sobie. Domy snów są popularne jak nigdy...

– Z rana mówiło się, że Hereford padło.

- Nie wierzę. To przecież ostatni bastion Zachodu i w ogóle, czyż nie? Ja z kolei słyszałam, jak ktoś mówił, że w zasadzce zabito dowódcę Wschodu, a to jest oczywista dobra wiadomość.

- Kto to był?

— Ten tam, w złoto-błękitnym ubraniu obok tej grubej w... aaa, chodzi ci o wschodniaka! Nie mam zielonego pojęcia, Marion. Przecież wszyscy są tacy sami. Obchodzą ich tylko lupy, krew i dziewice...

Chyba szykowano się do przemówień; Marion rozpoznawała objawy. Najpewniej poproszą ją o wygłoszenie paru słów, których nigdy nie przygotowywała, ale i tak jakoś jej wychodziły. Wzmocniony głos z antresoli już wabił sunących po lśniącej pochyłości podłogi ludzi w miejsce, gdzie pokazywano w klatkach jakieś nowo wyhodowane okropieństwa. Coś w rodzaju nietoperza, lecz czarnego jak noc, trzepocącego, skrzeczącego i obnażającego ociekające kwasem zęby.

— Może wymkniemy się na siku? - szepnęła Denise.

W toalecie, cichej, jasnej i na szczęście pustej, zaprosiła Marion do kabiny, większej niż ich dawny domeczek rodzinny, po czym z szelestem opadła na klapę muszli.

— Tu jest znacznie lepiej.

Marion nie mogła się nie zgodzić.

- Miałaś ostatnio jakieś wieści od Owena? - zapytała Denise, grzebiąc w torebce.

Pokręciła głową.

- Wiesz, jak wygląda korespondencja ze Wschodem. Pewnie dalej polawia miny i poluje na nasze biedne delfiny gdzieś na Morzu Północnym. Ale o niego się jakoś specjalnie nie martwię, nasz Owen zawsze spada na cztery łapy, nawet jeśli wojuje po wschodniej stronie, nie? Tylko nie mogą uwierzyć, że macza palce w tych wszystkich okropnościach.

- A mateczkę widziałaś?

- Ostatnio nie. — Denise rozkładała sobie na podołku srebrno-szklaną strzykawkę, dużo lepszej jakości niż tępe narzędzia, z którymi borykały się pielęgniarki na froncie. - Ale całkiem nieźle jej się żyje - ciągnęła. - W Portishead nigdy się tyle nie działo. A kuzynka Penelope nic, tylko zgarnia pieniądze, wiesz, wszyscy ci oficerowie artylerii, pokrewieństwo z Marion Price, i jeszcze jej matka we własnej osobie w roli stałego eksponatu... - Energicznie nacisnęła tłoczek i pstryknęła w igłę, by się pozbyć pęcherzyków powietrza. - Dla niej pokój byłby nieszczęściem. Nie zwracaj na mnie uwagi...

Rozpięła srebrną bransoletkę na lewym przegubie i wbiła igłę w swój Znak. Ze ściśle medycznego punktu widzenia był to katastrofalny wybór miejsca na zastrzyk — pozostałości eteru w bliźnie zaneczyściłyby każdy

zwykły lek - jednak zakłęcie, które sobie wstrzykiwała, było tak silne, że połyskiwało ciemnością na tle białych kafelków i gdy wyciągała igłę, już zbierało jej się w oczach. - Jak chcesz, częstuj się. Akurat w tym masz wprawę.

Marion nieraz widywała Nolla w podobnej sytuacji. Pokręciła głową.

Denise, opierając się o rezerwuar, uśmiechnęła się z rozmarzeniem.

- No. I o to chodziło. Mówiłam, że większość ludzi nieźle sobie radzi na tej wojnie. A zresztą, nawet jeśli przegramy, też będziemy chcieli mieć sny. Zatem nie będzie źle, prawda? - Kiedy mówiła, jej górna sztuczna szczeka postukiwała o dolne zęby. Uśmiech, coraz szerszy, coraz bardziej się przekrzywił. - Każdy ma swoje miejsce, nie? Nawet właścicielki domów snów potrzebują jakichś snów. Ja na przykład lubię wracać do tamtej nocy świętojańskiej, wiesz której. Byłam królową balu, obsypali mnie kwieciami pod tym pięknym domem, gdzie wtedy pracowałam. Pogoda była piękna, wszyscy chłopcy zabijali się o mnie. A ja mówiłam „nie, nie, nie”... Jechałam do Bristolu, żeby się uczyć na krawcową. Ty, Marion, też na pewno coś takiego masz. Wszyscy mają. Ale w życiu nie ma tego złego... Popatrz na mateczkę. Albo na Owena. Na biednego tatusia... i Sally. I na siebie, Marion Price. Popatrz tylko na siebie... - Zachichotała, wpatrzona w dal. - Nie masz powodu się smuć. Nawet to dziecko...

- Jakie dziecko?

Denise znów się zaśmiała.

- Twoje dziecko, głupia. Tak jak mówię. Zawsze wszystko dobrze się kończy.

- Denise, moje dziecko umarło!

- Naprawdę? Zdziwiłabyś się, czego się można dowiedzieć ze snów śniących. U Alfiego nie było aż tak źle, sama tak mówiłaś, prawda? Jasne, oddawali dzieci, ale zawsze w dobre ręce. Niedawno była u mnie jedna pani cechowa. Też nieźle jej się wiedzie. Myślała, że jej dziecko zmarło, jak twoje. Ale potem...

Marion kucnęła obok, ścisnęła ją za ramię.

- Co potem, Denise?

- Dla nich wygodniej, kiedy dziewczyny myślą, że dziecko umarło. Mają spokój. Szczególnie z tymi, co sprawiają kłopoty, jak na przykład ty, siostra. Nie szukają, nie szperają, nie robią awantur. Wychodzą i żyją sobie jak przedtem.

- Ale ja widziałam.

— Ha! Rzeczywiście? Zmęczona, otumaniona. Słyszałam, że u Alfiego mają takie ustrojstwo. Jak manekin krawiecki, tylko że w kształcie noworodka. Parę minetek, drobne zakłęcie... Rozumiesz...?

W narkotycznej błogości osunęła się i upadłaby, gdyby siostra jej nie złapała.

- Wychodzę na trochę - powiedziała Marion. — Rozumiesz?

Denise kiwnęła głową i sapnęła, przewracając oczyma. Opuściła powieki.

W kabinie i całej łazience było pusto, ale kiedy zakończą się przemówienia, wszyscy się tu zwałą. Marion, podkaszując spódnicę, wgramoliła się ponad cicho pochrapującą Denise na rezerwar. Do okna miała jeszcze trochę, na szczęście ścianę ozdabiał wystający ornament z muszli i fal, coś w rodzaju półeczki. Stając na nim, mogła się podciągnąć. I tak uczyniła, z wysiłkiem, z trudem, przeganiając z myśli absurdalny obraz wielkiej Marion Price, którą znajdują leżącą na wznak w toalecie obok oszołomionej narkotykami siostry.

W okienku ledwo się mieściła i mogła w nie wejść tylko głową naprzód. Na szczęście, a może na nieszczęście, w ciemności bezpośrednio pod nim stał wypełniony śmieciami pojemnik. Przecisnęła się przez otwór, zawirowała, spadła w cuchnące fale i ruchem pływaka wydostała się z nich, lądując na bruku nieoświetlonego zaułka.

Łapiąc oddech i strzepując z siebie co większe kawałki gnijących warzyw, ruszyła ku ulicznemu zgiełkowi. Światła tramwajów i druty trakcji migotały wśród wolno opadających płatków śniegu. Ludzi było niewiele; zapewne po wspinaczce do okna i bliskim spotkaniu ze śmietnikiem trzeba by się długo przyglądać, żeby rozpoznać w niej Marion Price. Wzdłuż bielejących murów przebudowanego zamku doszła do domów na Greyshot Street, gdzie nad delikatnymi łukami balkonowych poręczy połyskiwały zapalające się o tej porze kwiaty nocy. Bramę Alfiego wciąż spinał łańcuch, a na mur, mimo że chropowaty, było dużo trudniej wejść niż na ścianę w toalecie. Stoczyła się na grządki łożyny i lawendy, które mistrzyni Pattison kazała pielęgnować dziewczynom. Wstała i otrzepała się ze śniegu.

Dom nie miał żadnych wybitych okien, spadło zaledwie kilka dachówek. To absurd, że taki lokal jest opuszczony — tyle przecież potrzeba miejsc noclegowych. Frontowe drzwi były zamknięte, pamiętała jednak zakłęcie, którego nauczyła się potajemnie z szeptów mistrzyni Pattison. Otworzyły się z wilgotnym zgrzytem. W środku było ciemno, drogę przez

hall znała jednak na pamięć i po chwili już stanęła przed zakazanymi drzwiami prowadzącymi do porodówki. Każdą z dziewczyn wpuszczano tutaj tylko raz - nawet teraz dziwnie było wyszeptywać zakłęcie otwierające i wchodzić w korytarz, gdzie tace i narzędzia, a nawet prześcieradła leżały jak kiedyś. W miękkim blasku śniegu było widać pajęczyny fałujące na ramach ze zdjęciami dzieci i dobroczyńców. Czowała się bardzo nieswojo.

Dotarła do czegoś w rodzaju schowka czy umywalni. Półki, zastawione słojami z tracącymi moc lekarstwami, połyskiwały lodem maszynowym. Nie znalazła tu nic niespodziewanego i po chwili do przeszukania została tylko przestrzeń pod zlewem, za zasłonką. Coś tajnego, problematycznego na pewno byłoby lepiej schowane. A więc dlaczego mrowią ją palce, gdy sięga ku tym zużyтым bawełnianym fałdom? Dlaczego wali jej serce?

Leżała tam stara, mocno wyleniała szczotka ryżowa, zbrylone, stwardniałe torebki z Uniwersalnym Proszkiem Czyszczącym Scotta, ale także manekin - wykonana niechlujnie lalka wielkości noworodka. Marion podniosła ją. Oczy miała po prostu ze szklanych bryłek, a ciało i kończyny wiotkie, szmaciane, ale obmacując ją, Marion poczuła kolczaste, zagadkowe bryłki czegoś magicznego w środku. Gdy chuchnęła na nią i pokołysała, oczy rozjarzyły się słabiutko, choć nie miała pojęcia, co za zakłęcie mogłoby ożywić lalkę na tyle, żeby wydawała się martwym niemowlęciem.

Wróciła do hallu i weszła do salonu, który także był zakazany. Wcześniej nie wpadła na pomysł zapalenia świateł i zamrugała, gdy żółtawy blask zetknął się z bielą za oknami. Elegancko ustawione fotele, szeroki, szaroczarny kominek. Tutaj przekazywano niemowlęta paniom cechowym; trudno było nie poczuć zastałego klimatu pragnienia i straty. Wziąwszy z paleniska pogrzebacz, rozbiła w drzazgi zamknięty na klucz sekretarzyk w rogu. Jego szuflady były pełne dokumentów. Przerzucając ułożone alfabetycznie karty, pomyślała ponuro: Ani tu, ani w zachodnich szpitalach nikt nigdy tego nie czyta. Tak, kojarzyła niektóre z nazwisk. Marion Price. Wyjęła kwestionariusz, rozpoznała **bazgroły** Nell Pattison, lecz reszta dokumentu była wypełniona bardziej płynnym pismem. Ptaszek w kratce „chłopiec”. Miałby teraz siedemnaście lat. Prawie dorosły. Jaki adres? - zastanawiała się Marion. Który dom? Która szkoła? Jakie życie? Jaka miłość? Jakie obawy? Jakie pociechy? Jakie nadzieje? Jaki cech? Pismo wyglądało na męskie. Silus i jakieś nieczytelne

nazwisko. Prześledziła zawijasy podpisu. Bellingham? Bellington? Hel-
lingson? A potem, w oddzielnej rubryczce, adres: czytelniejszy, drukowa-
nymi literami. Lecz przez dłuższą chwilę była przekonana, że przeczyta-
ła źle.

Einfell.

7

Gromadzili się pierścieniami w blasku ognia pośród zimna. Twarze
i nietwarze, oczy i nieoczy. Ranni i różnokształtnie cali. Mający uszy
słuchali pieśni uszami, niemający - innymi sposobami. Pani Chrząszcz
zakołysała się i zaśpiewała. Pani Chrząszcz krzyknęła i uderzyła pięścią
o pięść.

– Nie słyszycie? – powiedziała, a powietrze przed nią nabrało kształ-
tów. - Nie czujecie tego w powietrzu...?

Nadchodzą! - zgodzili się pozostali; okrzyk powtórzyły wszystkie usta,
a uszłe drzewa w ciemności i gęstniejący nocogród westchnęły i zatrze-
potały ku czci.

I nadeszli w żałobnym mroku. W świetle jak całun zatrzymali się, skry-
li lub zaryli w ziemi. Dzień za dniem, chwila za chwilą, krok za krokiem
przez nieskończoną zimę o stu twarzach. Czołgając się, ręka za ręką, noga
za nogą, po śniegu, po błocie, nadsciągali pobojuwnicy.

– Słuchajcie, czy nie słyszycie pieśni drzew? Słuchajcie! Wzywa nas
najpiękniejsze z miejsc. Nie, nawet nie Einfell, to trochę dalej. Wyobraź-
cie sobie... wyobraźcie sobie lato z waszych marzeń. Zapomnijcie o życiu.
Nie, nie! Słuchajcie, słuchajcie. Marzenia. Wyobraźcie sobie... - Wiatr się
nasilał, unosił z ziemi opadły śnieg, miotał bielą nad czarną glebą, płatki
skrzyły się na tle czarnego nieba. – Pomyślcie o zapachu trawy, czerwo-
nym połysku owoców. Wiatr, woda, światło, powietrze, przepiękny blask
słońca rozsiany jak siano z siennika w chłodnych, cienistych korytarzach.
Słuchajcie. Wyobraźcie sobie...

Tu słowa stały się niewypowiedziane, a ogień grzejący twarze, mróz
ziębiący plecy i kształt tego stojącego obok, z twarzą z potpourri, zasu-
szonych na wiór, pozbawionych zapachu płatków - wszystko to zapłto-
nęło i rozbrzmiało tchnieniem pieśni. Jakże tańczył śnieg, jakże się śmiał
i igrał! Przez ogrodowe pergole, coraz dalej tunelem mroku, ku miejscu,

które zawsze znali. Ralph ocknął się i zachichotał, rozweselony ciepłym światłem i przepyszny powiewem płatków śniegu. Tak, tak, słuchajcie! Uniósł głowę i przyłączył się do pieśni – łamiącym się głosem, sapiąc, dygocąc.

Pobojownicy zgromadzili się wokół Hereford, jak zawsze zwabieni zapachem bitwy, choć jej pole było udekorowane śniegiem. Nie, to nie są ani terroryści, ani partyzanci, ani bojownicy o wolność, ani wschodniacy, ani zachodniacy – szeptała mu do ucha Pani Chrząszcz, ciągnąc go i popychając pomiędzy zasypanymi śniegiem flagami znaczącymi rozminowane przejście, pod zrujnowany mur, gdzie czekała grupa innych, w tak samo zwariowanych strojach jak ona. Nie są obłąkani ani normalni, ani rozumni, ani wprowadzeni w błąd – takie rozróżnienia są głupie i bezsensowne. Nic z tych rzeczy, są po prostu pobojownikami, owocami bitwy, a ona ich prowadzi; drobna, kłótniwa kobietka popędza ich, wśród jęków i pomruków.

Po pierwszym zachodzie słońca, gdy oddalali się od armii, której już chyba nie mógł nazywać swoją, Ralph poznał, że kierują się mniej więcej na południowy zachód. Stracił czucie w twarzy i kończynach. Dysząc, niemal tonąc w zaspach śniegu, poczuł, jak szorstkie, niecierpliwe dłonie Pani Chrząszcz wyciągają go na powierzchnię.

– Mistrzu Meynell, kto jak kto, ale pan nie może się poddać...

Przy ogniu znikaly śpiewy i zaśpiewy, zastąpione dochodzącym z mroku chórem pochrapywań i chrząknięć – zadziwiająco zwyczajnych odgłosów po całym dniu jęków i krzyków. Ile już minęło dni? Prawie umyślnym aktem zapomnienia stracił rachubę. Stracił kontakt z rzeczywistością, nie miał pojęcia, czy jest zakładnikiem, więźniem, dezerterskim jeńcem wojennym. Pani Chrząszcz wiele razy powtarzała tej bandzie obdartusów, że takie rozróżnienia straciły sens. Wszyscy są po prostu pobojownikami. I z dnia na dzień, z nocy na noc, z mili na milę było ich coraz więcej. Nie tylko zniechęconych żołnierzy Wschodu i Zachodu, których Pani Chrząszcz niewiadomym sposobem przekonała do zorganizowania tej zasadzki, lecz i cywilów (o ile na wojnie w ogóle można mówić o prawdziwych cywilach) – mężczyzn, kobiet, dzieci, a także innych stworzeń. Nieopodal kucał pożeracz, chowając pazury mrówkojada pod włochatymi udami, podobny do mastiffa pysk miał łagodny i zaśliniony. Obok

spał psotwór, z lśniącym bokiem przysmażonym przez wybuch, ale spokojny jak szczeniak i wyraźnie nieświadom bólu. W obu przypadkach, podejrzewał Ralph, polecenie zabijania albo źle wdrukowano, albo zostało zapomniane podczas bitwy. No i jeszcze ten stwór z płatków kwiatów... Ralph zakaszał i otarł usta. Majaki i halucynacje stawały się bardziej przekonujące niż rzeczywistość.

—Tu pan jest... - zagaiła Pani Chrząszcz, przysiadając obok. Ralph nie miał pojęcia, skąd o tej porze roku wytrzasnęła robaczki świętojańskie, ale wyglądała, jakby się delikatnie żarzyła. Może po prostu przyzdobiła się węgielkami. —Już niedaleko, co?

- Pani naprawdę myśli, że dojdziemy do Invercombe?

- Hm... byłam tam tyle razy. Tak jak pan, mistrzu Meynell. Bo inaczej czemu bylibyśmy tak podobni?

Natężywszy wzrok —albo zamknąwszy oczy, co było o wiele łatwiejsze - czasem udawało mu się dostrzec w niej tę sztywną kobietę, którą kiedyś podejmowali kolacją w Invercombe, a potem spotkali z Marion w Hotwells, choć to wrażenie, jak wszystko, pojawiała się i zniknęło. Nic dziwnego, że w lokomotywowni w Droitwich nie poznał doktorowej Foot. Z jej ust wypełzło coś małego z czarnym grzbietem. Zgarnęła to z policzka, zamknęła w dłoni i wypuściła w ciemność. Jeśli wierzyć historii opowiedanej przez nią, upiększanej, koloryzowanej i rozwijanej zależnie od jej nastroju i humoru pobożników, uwolniono ją w jakiejś opuszczonej wiosce, skąd doszła u schyłku lata do Invercombe. Nie wiadomo, co się stało - może tam, może na wojnie, a może jego żołnierze coś jej zrobili - w każdym razie jej obłąd się zogniskował, nabrał jakiejś delirycznej pewności i zdołała ich pociągnąć za sobą.

- Dlaczego podawała się pani za Marion Price, kiedy aresztowali panią moi ludzie?

- A przyszedłby pan do mnie? Zresztą, Marion jest tutaj, jest wszędzie. Niech pan posłucha! - Przekrzywiła głowę. —Słychać ją w grzmocie dział?

W zasięgu słuchu nie strzelały wprawdzie żadne działa, ale Ralph wiedział, o co jej chodzi, ostatnio zauważył zresztą, że przeważnie wie, do czego zmierza Pani Chrząszcz; już przestało go to nawet niepokoić. Bo Ma-ri-on była wszędzie, nawet w tych pomrukach i chrapaniu. Tak samo jak upragnione miejsce letniego wytchnienia, Invercombe. W pomieszanych wspomnieniach i marzeniach bywał tam wiele razy. Kaszlnął i obejrzał dłonie, ale były tak brudne, że nie dostrzegłby na

nich świeżej krwi. Nie miało to zresztą znaczenia. Szli ku Invercombe. Cokolwiek ich tam czekało, nie wyobrażał sobie lepszego miejsca, żeby umrzeć.

8

O nowym Domu Wielkiego Cechu Telegrafistów można było powiedzieć, że stoi frontem na wschód i zachód jednocześnie, gdyż wschodzące i zachodzące słońce prześwitywało przezeń na wylot. Ustawiona pośrodku Wagstaffe Mall budowla wyglądała, jakby wisiała na drutach; myliła wzrok, załamując odbicia Londynu w wielkich skośnych płaszczyznach szkła. Często było w nich widać wieżę Hallam, tańczącą igłę. Albo misterną, zniekształconą, potężną piramidę Wielkiego Parku Westminster. Dom uwzględniał każdy z ostatnio wydanych przewodników po Londynie. Zderzały się z nim ptaki, bo myliły szkło z niebem.

Dla Alice stał się uosobieniem jej wszystkich cechowych ambicji. Był bezsprzecznie nowoczesny, krystalicznie przezroczysty, a jednak solidnie zbudowany, choć wojna nastąpiła w nieodpowiednim momencie – wiele umów na prace wykończeniowe pozostało niezrealizowanych. Wnętrza z nieudaną aranżacją, wykorzystywane niezgodnie z projektem, stanowiły pomnik ku czci potrzeb wojennych.

Wyszła na balkon swego gabinetu; minął zaledwie pracokres od informacji o dziwnym aresztowaniu i jeszcze dziwniejszym zniknięciu Ralphi, nie miała więc nastroju na wymianę zwyczajowych uprzejmości z personelem. Balkon był odlany w całości z ukształtowanego zakłębieniami szkła na kryształowych włóknach. Londyn pod jej stopami miał barwę niebieską, szarą i złotą. Małe autka przesuwają się po Wagstaffe Mall. Drzewa wyglądały jak płomienne pióra feniksa. Dawno temu, gdy nazywała się Alice Bowdly-Smart i mieszkała w domku ciotki przy wodospadzie, pragnęła takiej chwili - teraz jednak codzienne troski arcycechmistrzyni przeważnie ją zużyły.

Westchnęła, wydychając obłoczek pary. Oparłaby się o zimną poręcz, gdyby szkło nie było takie ostre. O jedenastej miała spotkanie z Najwyższym Dowództwem, na pewno będzie musiała odpowiedzieć na wiele pytań. Życie jest tak ponuro niesprawiedliwe. Nawet matczyzna udręka na myśl, że jedyny syn błąka się gdzieś po pobojowiskach, chory i bezbronny,

wydawała się ledwo cieniem dawnych uczuć. Także słońce i to przepiękne miasto nie poruszały już jej z taką siłą jak kiedyś. Kości bolały. W głowie roilo się od nie do końca ukształtowanych myśli i uczuć. Uroda blakła. Oczywiście, nadal mówiono o niej „niezwykła”, „urocza”, „elegancka” oraz - tego najbardziej nienawdziła – że „niezwykle dobrze się trzyma”. Ale porównywano ją z harpiami i opuchłymi potworami, które błędnie wyobrażały sobie, że mają tyle lat co ona, nie zaś z roześmianymi dziewczynami.

Poczuła ból w dłoniach, uniosła je z kryształowej balustrady i spostrzegła, że całe są pokrwawione. Zaledwie drobne zadrapania, ale eliksiry i podkłady, którymi tak starannie pokrywała teraz całe ciało, rozmasowały się i popłynęły. Podsunęła obnażoną skórę pod jasne światło dzienne. Wcale nie przypominała już ciała, raczej na wpół roztopiony lód; późnojesienne słońce było tak silne, że widziała nawet kości. Wyglądały całkiem nieźle jak na ból, który ostatnimi czasy powodowały, choć i przez nie zaczynało delikatnie przeświecać światło.

Nie przypominało to w niczym natychmiastowej przemiany, jaką spowodowała w Battersea u biednego Silusa – jak on miał na nazwisko? - lecz kumulacyjne zatrucie eterem; według licznych książek, które przestudiowała, co najmniej równie częste jak jednorazowe, w wyniku wypadku. Sądziła, że przyczyną są przede wszystkim lata rzucanych nad kuferkiem zaklęć, może także Invercombe i dokonywane tamtego lata co śmielsze eksperymenty z odcieleśnieniem oraz reperkusje Upadku, który omal jej nie zabił.

Długo dumiała nad starymi księgami przedstawiającymi odmienionych jako potwory, wiedźmy, chochliki i demony. Wtedy palono ich lub wypędzano. Później piętnowano, zakuwano w łańcuchy i wykorzystywano niezwykłą biegłość w sztuce zaklęć, jaką niekiedy posiadali. Najwyraźniej tak samo działo się podczas tej wojny, zwłaszcza na Zachodzie, obdarzonym gotowymi zasobami z Einfell. Jeszcze ciekawsze były barwne historie i mity narosłe wokół losów niektórych odmieńców. Na przykład Złotobiała, która podobno poprowadziła biednych i zubożałych pod same bramy Londynu podczas Wojen Zjednoczeniowych, a potem została zdradzona i spalona na stosie.

Pora spotkania z Najwyższym Dowództwem zbliżała się nieubłaganie, a Alice wiedziała, że musi znowu się umalować. Zabawnie byłoby, naprawdę, któregoś dnia wbiec na naradę bez pełnego makijażu. Naturalnie, nigdy nie wyobrażała sobie, że popadnie w starcze dzieciństwo.

Obserwując niemal całkiem wyblakły Znak na przegubie, zastanawiała się czasem, czy jej życie potoczy się gorzej, jeśli zostanie **odmieńcem**, Wybraną. Była pewna, że zaczyna już doświadczać ewentualnych przewag tego nowego stanu. Słuch wprawdzie słabł, ale czasem słyszała coś, co ludzie sobie tylko pomyśleli – sądząc po zdumieniu, z jakim reagowali. Oczywiście, jej reputacja osoby przenikliwej tylko na tym zyskiwała. A do tego jeszcze parcie zakłęb. Eter, to miasto, wszyscy jego mieszkańcy i wijące się na zachód linie telefoniczne jej cechu jakby przyzywały ją niewysłowioną pieśnią.

W ten nietypowo pogodny listopadowy ranek arcycechmistrzynie przyszła na spotkanie z Najwyższym Dowództwem o wiele bardziej opanowana, energiczna i zadowolona, niż ktokolwiek się spodziewał. Ostatnio przeczuwali, że nie jest już tą niezwykle uzdolnioną kobietą o dojrzałej urodzie, podziwianą i sekretnie pożądaną przez każdego, lecz wszystkie wątpliwości rozwiało zaczepne spojrzenie błękitnych oczu i uśmiech, którym omiotła sałę. Nawet smutna sprawa z jej synem - z jakim taktem to przyjęła! - raczej ją wzmocniła niż osłabiła. Niemniej nawet teraz po jej propozycjach **nastąpiłyby** pytania i szept. Nikt oczywiście nie **wątpił** w jej kompetencje - zbyt wiele każdy z osobna jej zawdzięczał – **chodziło** jednak o praktyczne konsekwencje dla **bezpieczeństwa** kraju, o przestrzeganie wojskowej hierarchii.

Lecz przez okna świeciło słońce, a Alice Meynell promieniała. Nawet cynicy, czyli większość osób siedzących przy tym długim stole, poczuli wzruszenie. Mieli już po uszy tej wojny, śmierci i zniszczenia, w głębi duszy powątpiewając, czy kwestia wolnego handlu, podatków, niewolnictwa i lokalnych wpływów jest w ogóle warta ponoszonych ofiar. Obawiali się też, że lud zaprotestuje przeciwko dalszemu prowadzeniu wojny, jeżeli nie skończy się ona o wiele szybciej i korzystniej, niż wydawało się to teraz możliwe, a ten protest zmusi ich do odejścia. I oto stanęła przed nimi arcycechmistrzynie Alice Meynell, która proponowała, że sama pojedzie na Zachód i zdobędzie albo zniszczy Hereford, tę ciągle otwartą ranę. Kiedy uniosła ręce i jej włosy **opadły** srebrnymi puklami, a światło, cała jej postać i wszystko, co ją otaczało, unosiło się tylko na fali czystej nadziei i ambicji, taką właśnie prawdę im objawiła - prawdę, o której zapomnieli nękanymi latami wojny podjazdowej.

9

Nadchodził świt, powoli rozjaśniając szarością czerń nocy. Było przenikliwie zimno, ogień dogasał. Ralph owinał się ciasniej butwiejącym kocem. Drżał od gorączki, a w błędnym świetle ognia, w dymie, świat drżał razem z nim. Zadygotał i znów kaszlnął. Wiatr się wzmógł, unosząc z czarnej ziemi śnieg, płatki skrzące się na tle czarnego nieba. Pani Chrząszcz wstała.

- Uwaga, słuchajcie... Słuchajcie wszyscy... – Kołysała się, pełzały po niej panczerzyki. – Nadchodzi, nie słyszycie? Nadchodzi...

Głowy, które były głowami, kiwnęły. Uszy, które były uszami, nasłuchiwały i słyszały. Wiatr zawył jak psotwór.

– Marion Price, tak, tak, znałam ją kiedyś. Znałam taką, jaka była i jaka będzie. Już wtedy wiedziałam, że ona poprowadzi nas do ostatecznej bitwy. Nie będzie Clerkenwell. Nie będzie Boadycei ani Złotobiałej. Nie będzie Londynu ani Bristolu. Ani Wschodu i Zachodu. Marion Price należy do przeszłości, ale jest także przed nami, w przyszłości. Poprowadzi nas do świata, gdzie nie ma zimna i pragnienia. Tak, tak. Byłam tam, za Einfell, w Invercombe. Zobaczyłam i uwierzyłam. I posłuchajcie, czy nie słyszycie armat?

Bum-ba-bum.

Ma-ri-on...

Nad obozem pobożników wstawał kolejny ranek. Człowiek, który był księdzem, a przynajmniej skombinował sobie odpowiednią szatę, szedł przez tłum dziwadła. Niósł ogrzaną w popiele ogniska łuskę artyleryjską. Ralph musiał mocno wysilić wolę, żeby wziąć ją w rękę, lecz wspaniale umagiczniony mosiądz był chłodny w dotyku. A może, pomyślał, wpatrując się w parującą, kipiącą zawartość, może ma już całkiem martwą skórę na dłoniach. Ciemny wir wina hymnicznego w łusce przetykały jaśniejsze pasemka widmowego gazu. Przechylił ją, wypił łyk i kapłan zaraz podał łuskę następnemu penitentowi.

Już prawie przyzwyczał się do tych rytuałów i wiedział, co będzie dalej. Najpierw krew, potem ciało. Wielki kawał mięsa ociekającego tłuszczem – nie przypominał sobie, by widział, jak się piecze nad ogniem. Podano mu coś w rodzaju szynki, lecz większego i tłustszego nawet od

ogromnych, bursztynowych od miodu połci ze śniadaniowych bufetów rezydencji w Walcote. Rozchwierutane zęby gorliwie przeżuwały przepyszne ściegna. Soki spływały po brodzie. Częścią umysłu myślał, że nigdy nie jadł czegoś tak smakowitego, częścią zaś rejestrował, że dławi się, z trudem przełyka i widzi, że porcje innych pobojozników przypominają poczerńiałe od starości i mrozu wstrętne ochłapy. Jednakże po hymnicznym winie wysłuchane są wszelkie modlitwy, Ralph jadł więc, pił i wierzył.

Przypomniały mu się inne śniadania – z kawą i czekoladowymi lako-
ciami, które lubiła Helen, dopóki nie postanowiła, z obawy przed uty-
ciem, pić tylko soku cytrynowego albo gorącej wody. Wspominał pienne
spirale pary i aromatów wypełniające chłodne, poranne milczenie, gdy
oboje studiowali oddzielne poranne gazety. Słyszał szcęk łyżek o zdobną
w monogramy porcelanę. Nad polem bitwy z obrusa, z kryształowymi
umocnieniami przypraw, widział, że dziś dzieci jedzą razem z nimi. Stuk-
nął mocniej łyżką, w nadziei że zwróci ich uwagę. Niejasno przeczuwał,
że umiera i powinien je wcześniej przeprosić.

Pani Chrząszcz potrząsnęła nim.

- Nie, nie. Nie umierasz, nie śpisz. Posłuchaj mnie, posłuchaj... Byłam
w Invercombe, gdzie wezwał mnie grom. Jest w ciemności, ale poza nią...
Ach, poza nią... - Jej oczy zbiegły. – Poza nią... ona nas poprowadzi...
nadstaw ucha...

Ralph nasłuchiwał. Czy to grzmot? Czy to wiatr? Czy to armaty?

Ma-ri-on.

Niebawem trzeba będzie iść dalej – a jemu było wszystko jedno, gdzie
jest. Z wysiłkiem uniósł się sprzed gasnącego ognia. Chwiał się z głodu,
zmęczenia, gorączki i braku snu. Wierzył Pani Chrząszcz, gdy mówiła
o Marion Price, tak samo jak gdy opowiadała o dawnych, mitycznych
czasach, o innym Einfell, o obdarłej armii Złotobiałej.

Kuśtykał między uschniętymi drzewami i ciałami śpiących. Pobojo-
znicy utworzyli wielki pochód, byli w nim bezpieczni dzięki swej liczeb-
ności i obłudowi. Rośli w siłę każdego dnia, dołączało do nich coraz
więcej żołnierzy, co rano odprawiających znajome rytuały: szcęk pasów
i karabinów, zgrzyt saperek; drapanie się w głowę; przekleństwo-chark-
nięcie-splunięcie. Ci dezserterzy ze Wschodu i Zachodu tak pasowali do
siebie, jakby spędzili razem całe życie. Ralph zastanawiał się, czy ktoś
go poznaje, ale powątpiewał - bez munduru, z zapadniętymi oczyma
i brodą?

– Ralph Meynell?

Zatrzymał się i odwrócił. Na ziemi siedział ni to cywil, ni to wojskowy. Miał czapkę, obszerny Szary płaszcz, a buty, czy ich resztki, leżały obok bosych stóp. Ze smutkiem masował pokryte pęcherzami i odmrożone palce. Co bardzo dziwne, to właśnie dzięki tym palcom u nóg, a w szczególności ich wygięciu ku górze, Ralph domyślił się, kogo ma przed sobą. Ale przecież Pani Chrząszcz powtarzała to od dawna. Gdzie by znalazł Marion Price, jak nie tu, wśród pobożników?

10

Prąd był wyłączony, i to dawno, a elegancki dom, mieszanina stylów i Wieków, zarekwirowany na Kwaterę Główną Pierwszej i Drugiej Armii Wschodniej, a potem w parę pracokresów przejęty niemal na własność przez nieprzebierającą w środkach Alice, był przesiąknięty chłodem. Psuły się zaklęcia, rzucone niegdyś, aby podtrzymywać tynk spieniony w ekstrawaganckie wzory na sufitach. Co noc było słycać armatnie strzały kolejnych odpadających sztukaterii. Meble ocalałe w opuszczonych pokojach były spaczony i niestabilne. Instalacja wodna zawiodła, zastąpiona szlauchami, wiadrami i pionowymi rurami. W dywanach chłupotało. Ze ścian łuszczyły się jedwabne tapety. Podczas poprzednich wizyt na froncie Alice uświadamiała sobie szarą, ponurą wojskową praktyczność, ale mieszkanie wśród czegoś takiego było nie do zniesienia.

Wstała z polówki rozłożonej w gruzłowatym cieniu ogromnego, czerwonego łoża z baldachimem, zbyt wilgotnego, by zeń korzystać. Skrzywiona czekała, aż przestanie jej się kręcić w głowie. Powietrze wokół szemrało. Wilgoć jak tropikalne pnącza pięła się po ścianach, wnikając szarością w złączenia kamienia, drewna i gipsu. Jak cień, jak potargany zgęstek ziarnistego światła, Alice przeszła po nieregularnie pokrytej dywanami podłodze. Ze skrzypnięciem, zacięciem, otworzył się kuferek. Słoiczki tkwiły w miejscach, w które nie bardzo pasowały, zamykane przez zaskorupiałe, zawiadacko przekrzywione wieczka. Stronice notesu i wycinki wypadły, zaścielając dno kuferka jak liście żółkłe podczas jej osobistej jesieni. Któregoś dnia, obiecywała sobie, wszystko to uporządkuje. W istocie jednak polubiła ten luźny, sypki i podzwaniający nieład. Wszystko to było jej, cały wirujący świat, a pośrodku niego gwiazda,

wokół której orbitowało - mały, lśniący kielich z eterem. Pojaśniał jeszcze bardziej, kiedy go wyjęła. W głowie szumiało coraz bardziej. Przesycała ją pieśń eteru. Niemal z zalem postawiła kielich na toalecie i zaczęła wygrzebywać inne preparaty i proszki potrzebne do napełnienia małej retorty. Zapaliła zapalstkę, a od niej spirytusowy palnik. Zatrzepotał jak czarna szmatka na tle stałego blasku eteru. Uniosła wieko milczącej, lakierowanej skrzynki gramofonu, przesunęła ramię na środek płyty. Końcami palców zakreśliła talerzem. Delikatny warkot. Pokręciła wstecz. Cichy zgiełk głosów, kolejna piosenka...

Godzinę później arcycechmistrzynie-głównodowodząca Alice Meynell wyszła na wilgotny korytarz. Wojskowy styl życia ma pewne zalety, pomyślała, wchodząc do sali odpraw. Na przykład jawna bliskość śmierci; tu się bezkompromisowo przyznaje, że jest ona niezbędną ofiarą, którą niektórzy muszą ponieść. Tutaj zabijanie ludzi było łatwiejsze niż utrzymanie ich przy życiu. Wysłuchiwała nużących meldunków dowódców dywizji albo ich zastępców, przeczytała wydruki i zapoznała się z suchymi wnętrzami liczykami. Przytknęła usta do kubka z fatalną kawą.

Ma dwa różne koleczki...

Krzywo się uczesała...

Czemu znowu o to pyta, przecież wczoraj jej mówiliśmy...?

Patrzcie, jak jej się trzęsą ręce w tych rękawiczkach...

To tylko delikatne powiewy trzymany w ryzach myśli tych kwaśno pachnących mężczyzn rozwijających mapy i omawiających szczegóły pozycji – nie powinna się tym przejmować, dopóki się jej boją. Wyszła. W dwóch parach rękawiczek, w kapeluszu, pod kocem, pojechała na przegląd wojska, boleśnie podskakując na wybojach i lejach od min. Szkoda, że tytuł arcycechmistrzynie nie nadawał się na zaśpiew równie znakomicie jak miano owej nadbrzeżnej zbieraczki, która ostatnio wykonała sprytny ruch: zniknęła, a tym samym uwolniła się od kłopotliwych kwestii realności. Nie, to całkiem nie przypominało świata zarzających się błogo linii telefonicznych i bezkresnych pól słodkogorza - a dotąd wyobrażała sobie, że właśnie coś takiego tworzy. Lecz dla niej Anglia zawsze była przedsięwzięciem w toku. Już niebawem wszystko się zmieni.

Po chaotycznych zatorach na błotnistych, na wpół zamrożonych drogach, po chaosie toczących się prac budowlanych, znalazła się na zachodniej granicy obszaru kontrolowanego przez Wschód. Tutaj czekały ciężkie działa, karmiono pożeracze, amunicja szczyrzyła stalowe czubki i niebezpieczna była nawet ziemia, lecz czuło się radość różnych szans

i wielkiego ryzyka. **Czuło się** tu nawet cel - jak mało gdzie na **wojnie**. Była prowadzona wąskimi kładkami do namiotów i prowizorycznych schronów, przemawiając do zgromadzonych mężczyzn, a wokół wibrowały tęczne strugi zakłęb wszystkich **naeteryzowanych** urządzeń. Szepotały do niej, delikatnie zawodząc.

Wieczorem w domu wciąż nie było prądu. Gdy zgarbiona szła do swego pokoju, **osaczały** ją cienie. Otworzyła kuferek i rozebrała się w gwiezdny blasku kielicha z eterem. Kiedy zdjęła kolczyki nie do pary, łańcuszek z leżką Jackie Brumby, cieniutką **srebrną** bransoletkę Cheryl Kettlethorpe oraz zdobiony srebrną nitką guzik z koszuli, którą miał na sobie Tom w noc śmierci, zdjęła pokrywę z kielicha i wtarła odrobinę eteru w nadgarstek, gdzie niegdyś miała Znak. Potem w drugi, w dłoń, szyję, na czubek języka, trochę więcej za każdym uchem, aż poczuła buzowanie krwi. W dziwoblasku podskoczył ogromny, czerwony **cień** łoża z baldachimem. Uśmiechnięta, rozpromieniona, nucąc, wróciła do kuferka, wyciągnęła czarne dziwojasne kartki z najpotężniejszym zakłębem i tańczyła z nimi, świecącymi, wyslizgującymi się, opadającymi. Wtem zmieniło się światło. Wreszcie włączyli elektryczność, choć samotna żarówka była bledsza niż dzisiejsze słońce i równie zbędna. Alice zgasła ją jednym rzuconym od niechcenia spojrzeniem. Z przeciągłym, powolnym jękiem ożył **gramofon**. Jego pieśń nie umywała się do piękna tej, która już w niej brzmiała, ale pozwoliła mu grać, aż igła zatrzeszczała i ześliznęła się w **zapętlony** rowek. To już lepiej. Muzyka, szum i trzask. Przyptyły i odpływy światła. Czyjś potężny oddech. Oceany, grotty. Odnalezione utracone lato. Tak, Invercombe, czy co tam leży poza nim. Alice Meynell ułożyła się wśród swych cieni, w pościeli zakłęb i z uśmiechem zapadła w sen.

11

Pochód, gromada, długi wąż przygarbionych pleców, czapek i głów, wśród których przewijały się teraz także najrozmaitsze furgony, taczki i wózki oraz perszerony i kuce w różnych stadiach zagłodzenia, wił się aż po horyzont Zachodu. Buchając parą, cuchnąc, dzieli się na rozpyskowane grupki i pełne zdziwienia powitania. Nad nim tańczyły flagi, transparenty, szmaty i tyczki. Spontanicznie wybuchał płacz albo pieśń. Na czele przeważnie truchtała Pani Chrząszcz, przyzywając i wabiąc, coraz

bardziej podekscytowana – tak, tak, patrzcie, to już blisko, tędy. Jakiś fragment jej jaźni albo osoby, którą niegdyś była, naprawdę rozpoznawał te drogi.

Śnieg zniknął, ale ziąb się nasilił. Każdy krok na popękany młocie odbijał się echem, turkot kół niósł się echem ponad żywoptotami. Wędrowali przez zwiędły, zimowy świat, przede wszystkim jako żywoł dźwięku.

Bum-ba-bum...

Ma-ri-on...

Do pobożników dołączyli po drodze muzycy, czy raczej ludzie, którym wydawało się, że umieją grać - i teraz każdą z powtarzanych sylab akcentowało dęcie w trąby, pisk i łomot bębnow. Dawało to hipnotyczny efekt, zwłaszcza że pochód tak się już rozciągnął, że rytm łamał się wzdłuż niego, a wciąż odbijał echem i pogłosami. Muzyka dominowała nad procesją bardziej niż piskliwe wrzaski Pani Chrzyszcz, bardziej niż poszczególne dźwięki, z odległości zlewające się w groźne dudnienie, jakie towarzyszy trzęsieniu ziemi.

Kobieta, która nazywała się tak samo jak ten dźwięk, miała obcięte byle jak i krótko włosy, a na nich grubą filcową czapkę. Nosiała workowate spodnie przewiązane w pasie, zniszczone buty, które ją obcierały, i rozdarty płaszcz. Za mało, by ogrzać ją nawet w gęstym tłumie pochodu; oddałaby wszystko, czego nie miała, za parę porządných rękawiczek; ten ubiór sprawiał jednak, że przeważnie brano ją za mężczyznę, a jeśli ktoś odezwał się do niej i odpowiedziała, to za chłopaka. Pragnęła tylko świętego spokoju.

Szedł z nią teraz Ralph Meynell, niechlujny brodaczk-kaleka; żadne nie było szczególnie zaskoczone spotkaniem – podejrzewała, że to kolejny składnik szaleństwa tej wojny i tego marszu, a może po prostu oznaka zmęczenia. W końcu marsz pobożników dniem i nocą rozbrzmiewał uczuciem utraty, ponownymi spotkaniami, odnowioną bądź zapomnianą miłością czy nienawiścią...

–Sporo widziałam, odkąd uciekłam z Bristolu - powiedziała mu. - Przedtem mogłam udawać, że istnieje porządek. Mogłam udawać, że jest cel, jest nadzieja w ratowaniu życia.

– Ta wojna... – Ralph zasłonił dłonią usta. Pomrukujące, trąbiące, tupiące tłumy przepychały się wokół nich, gdy zanosił się spazmami kaszlu, a Marion czekała obok, aż mu przejdzie. Wiele razy widywała u gruźlików to ożywienie i wiedziała, że zwykle poprzedza ostatni kryzys. - Jest

jak narkotyk, jak nałóg - dokończył wreszcie. - Myślałem, że do świąt ją zakończę. A przynajmniej zdobędę Hereford. Ale powodowałem tylko ofiary, coraz więcej ofiar...

Kaszel się uspokoił. Ralph wciąż nosił resztki munduru wysokiego stopniem wschodniego oficera, ale nikt tu nie brał tego za oznakę jego prawdziwej tożsamości - tak jak nikt nie wpadł na to, że przygarbiona postać obok, nie wiadomo, kobieta czy mężczyzna, to Marion Price.

- Dlaczego wyjechałeś spod Hereford? - zapytała, gdy ruszyli dalej. - Zdezertrowałeś? Co tam właściwie zrobiłeś?

- Zostałem aresztowany. Próbowałem nawiązać kontakt z Zachodem, łącząc nasze i ich kable telefoniczne. Myślałem, że uda mi się porozmawiać z nimi o pokoju.

Marion prawie się uśmiechnęła. Może ten kuśtykający obok inwalida rzeczywiście jest dawnym Ralphem Meynellem. Nadal idealista - jeszcze wyobraża sobie, że światem rządzi rozum i logika.

- A potem?

Zakasał jeszcze raz.

- Wpadłem w zasadzkę. Zdaje się, że Pani Chrzęszcz chciała mnie mieć tak bardzo, jak ciebie.

- Ale po co?

- Ja myślę, że ona naprawdę pamięta nas z Invercombe. W poprzednim życiu była damą cechową, nazywała się Foot. Spotykaliśmy się z nią w Hotwells. Pamiętasz? Wtedy, gdy pojechaliśmy do Bristolu.

Marion skinęła głową. Przedtem nie mogła sobie wyobrazić, aby ktoś mógł tak bardzo się zmienić. Teraz jednak jej relacja, skonfrontowana z opowieścią Ralpa...

- Wszystko wiąże się z Invercombe - westchnęła.

- Wszystko tam prowadzi.

- Ale dlaczego? Dlaczego my?

- My to drobiazg. Chodzi o to wszystko. -Obwiodł gestem pobojowników wokół.

- Przecież to szaleństwo.

- Marion, ty idziesz z nami. -Wypowiadając jej imię, ściszył głos, choć wątpił, że ktokolwiek usłyszy jego rżenie w tym tupiącym, wrzeszczącym stadzie. - Czyli też jesteś szalona.

Szli teraz przez okolicę, której los oszczędził wojennych zniszczeń. Pozostali w domach mieszkańcy obserwowali ich nieufnie z okien na piętrach albo zza uchylonych drzwi, a nieliczni żołnierze i policja,

wykonawszy **oczywistą** kalkulację liczebności, znikali, **słyszac** nadchodzący tłum. A jednak tupocący, parujący, dmący w dudy, trzęsący ziemią pochód niczego nie płałdował. Na czele rozlegały się ponagląjące okrzyki Pani Chrząszcz: „Nie, nie, to nie tutaj! Uwaga! Idziemy **dalej...**”. Mijali bramy gospodarstw, skrzynki pocztowe, oznakowania szlaków. Dziwny to był widok, **procesja** pobożników idąca przez zwyczajny, zimowy krajobraz Zachodu, jak dwie odrębne rzeczywistości. Pociągali za sobą ciekawskich, ujadające psy, dzieci, wariatów. Niektórzy zostawali w tyle bądź znikali. O wiele więcej przyłączało się do rozdygotanego marszu.

Ma-ri-on...

Bum-ba-bum...

Marion zastanawiała się, jak długo przetrwa to niewyraźne poczucie porządku. Kiedy do głosu dojdzie głód i niezadowolenie? W następnym miasteczku, w **następnej** wsi, przy kolejnym gospodarstwie? A gdy przekroczą tę granicę, co pozostanie z rozumu? Jej obawy **budziła** też coraz większą liczbą garnących się do pochodu dezertów. Wiadomość o marszu na pewno już przemknęła po liniach telefonicznych odcinających się czernią na tle **pól**. To tylko kwestia czasu, kiedy nadejdzie regularna armia i krwawo ich rozpędzi. Sytuacja była beznadziejna, a jednak Marion szła do Einfeld i Invercombe w rytm swego **ukradzionego** imienia, licząc na odnalezienie utraconego syna. Pewnie Ralph miał rację: sama też trochę zwariowała...

Coraz wcześniej zapadał zmierzch. Zapalono pochodnie z uschłych gałęzi. Wśród polatujących iskier i coraz **głośniejszego** skandowania wydało się jej, że ponad falującymi wzgórzami widzi coraz dalej i dalej. Co to za światło na krańcu horyzontu? W blasku płomieni **zamigotał** drogowskaz, była pewna, że **dostzegła** znajomą nazwę. Wprawdzie sama nie była w Edingale, ale czy tatko nie **kupił** kiedyś świni od **człowieka** stamtąd?

Pobożnicy zeszli z drogi. Na przetykanym zagajnikami pastwisku rozpalono ogniska. Idące w marszu co dziwniejsze stwory, te, które kryły się przed dziennym światłem, wychynęły nieśmiało z ukrycia, by przycupnąć przed rozśpiewanym ogniem. Mieli niewiele jedzenia i prawie wcale wody. Pomimo okrzyków zachęty ze strony Pani Chrząszcz, rozległy się pomruki niezadowolenia. Rzeczywiście, gdzie jest manna? Gdzie

kolumny ognia i dymu? Gdzie to **szczęśliwe** miejsce zwane **Invercombe, Avalon, Raj, Eden, Eintell** czy jak mu **tam było**? Ale pieśń niosła ukojenie, a bliskość ciał innych i ogień **dawały** nieco osłony.

Znalazła Ralphowi parę brudnych kawałków chleba i kilka zakrętek wodnistego mleka. Czego nie zdołał zjeść, oddała skulonemu starcowi obok. Pozwoliła nawet sobie na odrobinę, bo też była osłabiona - od wyjazdu z Bristolu powoli zaczynała traktować tę skorupę Marion Price jak niedysyjszych pacjentów. Była dla niej dobra, ale chłodna. Żebranie, obcięcie włosów, zmiana ubrania, chodzenie po prośbie, sen i jedzenie na zimnie, pozbycie się resztek tożsamości - kiedy to wszystko się działo, patrzyła na siebie z beznamiętnym, klinicznym współczuciem. Stopniowo uświadomiła sobie, że Marion Price nigdy nie należała do jednego czasu ani jednego miejsca. Zawsze przejmowała czyjś cel, czyjąś tożsamość. Nadbrzeżna zbieraczka, pokojówka, skruszona przyszła matka, kobieta z rzecznej barki, pielęgniarka, zarządca szpitala, polityczny symbol, kochanka; żadna z tych postaci nie była naprawdę nią.

No i ta wojna. Armaty, szaleństwo, organizowane z radością okrucieństwa. Jak to się stało, że racja albo jej brak liczą się aż tak bardzo, że z błota sterczą kości, a z drzew zwisa skóra? Czego bronią ich armie? Stylu życia? Wyboru religii i jedzenia? Była przeciwna niewolnictwu, ale teraz wydawało jej się, że większość mieszkańców Anglii jest w ten czy **inny** sposób zniewolona. Od ucieczki z Bristolu i próby dotarcia do Einfell doświadczyła wojny, przy której nawet niehigieniczny chaos jej szpitali wydawał się porządkiem. Bum-ba-bum... Ma-ri-on... Jakby porzucona przez nią tożsamość Marion Price wrosła w ducha całego zniszczenia wokół, w miarę jak zbliżała się decydująca bitwa, a działa obu stron zaczęły wołać do niej szyderczo w swej odległej agresji. Jej imię wibrowało w powietrzu. Bazgrano je na ścianach. Znajdowała je **wydrapane** na sterczących żebrach trupa. Potem spotkała innych pobożników, których pochod urósł w siłę, a teraz dołączył do ich gigantycznej procesji, rozjazgotanej, rozkaszlanej, rozśpiewanej, rozmarzonej. Jeszcze później spotkała Ralpa Meynella, inwalidę.

- Wiesz, źle zrobiłem - powiedział, dygocąc pod kocem, który dla niego zdobyła. - Wtedy, kiedy coś ci powiedziałem i wybiegłaś z Sunshine Lodge.

- A co powiedziałeś?

Zaśmiał się z rzężeniem.

- Nie pamiętam. Ale nigdy nie dotarliśmy na Wyspy Szczęśliwe, prawda? Żadne z nas. Ani nie wymyśliliśmy lepszej nazwy dla adaptacji środowiskowej. Aha, **widziałem** się z Owenem. **Mówiłem** ci?

- Co u niego? On dalej...?

- Wszystko dobrze, na ile może być dobrze na wojnie. Nie robi nic specjalnie niebezpiecznego, ale jako brat Marion Price nie miał łatwo. - Z jego oczu **odpłynęła** mętna czerwień i blask. - Powiedział mi prawdę. Przedtem nie miałem pojęcia. Powiedział mi o dziecku, które zmarło...

W jednej chwili, jakby zapłonęła zapalka, rozgorzał w niej dawny gniew i niedowierzenie.

- **Tvoja** matka wiedziała, wasza arcycechmistrzyni. To ona mnie przekonała, zebym poszła do **Świętego** Alphege'a. To ona przeszkodziła mi wtedy wrócić do ciebie.

- Teraz już wiem, Marion... Ale z rachunku, który założył ojciec, zniknęły pieniądze. Wiedziałaś o tym? Wszystkie...

- I myślałeś, że ja...?

Ralph kiwnął głową, zakaszłał.

- Nie wiedziałem co myśleć. Zapomnienie było jak klęska, a poza tym niektórych rzeczy nadal nie potrafię... Mojej matce pasowało, że nie mam o niczym pojęcia, że jestem ciemny...

- Tyle lat i ty nazywasz to ciemnością? Co ty wiesz o ciemności?

Ralph szedł dalej, nie odzywając się, wyczuła więc, że pomimo jego wysokiego stopnia, eleganckich domów, wschodniej ignorancji i wszystkiego, co przyniosła mu wojna, doświadczył w życiu czegoś naprawdę mrocznego, nawet jeśli było to coś, czemu i teraz ledwo zdołałby stawić czoło. Przestał dygotać, ale wciąż oddychał szybko, z rżeniem. Może tak jak wielu pacjentów, przy których czuwała, zaczynając czuć bliskość śmierci, prosił ją o rozgrzeszenie. Nie mogła mu tego dać. Dziewczyna, młoda kobieta, która mogła mu wybaczyć, dawno temu odeszła z tego świata, podobnie jak arogancki panicz. Temu nowemu Ralphowi należała się raczej prawda. Przychodziła najtrudniej, jak to prawda. I najtrudniej było skupić myśli na Einfell, mimo że tyle po nim wędrowała, ścigana zimowym frontem. Wspomnienia o kołysce, fałdkach na rączkach i nóżkach, pachnącym puszką włosów – wszystko, co starała się zapomnieć przez lata, odkąd odeszła z Bristolu i postanowiła iść w górę rzeki – wróciło owej nocy, gdy przeglądała kartotekę u Świętego Alphege'a. Jej dziecko nie umarło. Ale z tą świadomością **powracały** wszystkie dawne opowieści

o pozmienianych przez eter potworach. A potem tatko, błękitne szkiełko, blizny na palcach mateczki...

Myśląc o Ralphie trochę tak, jak niegdyś o pacjentach, zastanawiała się, czy jest wystarczająco silny, ciałem i duszą, by się nie załamać, kiedy się dowie od niej, kim jest ich syn. Przypominało to trochę decyzję, czy przemieścić kogoś do lepszego szpitala ze skuteczniejszym leczeniem, jeśli może go zabić sama podróż, czy mówić żołnierzowi, że wszyscy jego towarzysze nie żyją, albo że list, który wysłał do narzeczonej, wrócił z adnotacją „adresat nieznan”. Tylko że ten ból, o ile to w ogóle był ból, należał się tak samo jemu, jak jej. Może jest jeszcze nadzieja i *sens*? Bo jeśli się okaże, że nie, to chyba lepiej, by odeszli z Ralphem z tego świata.

- Ralph, posłuchaj... - zaczęła.

Zawsze myślała, o ile w ogóle wyobrażała sobie taką chwilę, że opowiadanie o tym będzie trudne, może wręcz niemożliwe. A jednak słowa po prostu płynęły. Dziecko, które utraciła, ale podobno przeżyło; o rodzinie, rzece, opuszczonej wsi Clyst, nadbrzeżnych marzeniach i... tak, cholera, także o Ralphie, o wszystkim, co zrobiła jego przeklęta matka, o wszystkim, co było pewne i pełne szczęścia tamtego lata, które jej umysł wciąż z idiotycznym uporem próbował zrekonstruować.

Spodziewała się wątpliwości i zdumienia, natomiast Ralph po prostu leżał obok i słuchał. Przynął się bliżej, poczuła pulsujące oddechem gorąco jego kości i ku własnej rozpaczycy zaczęła szlochać.

- Marion, któż to wie, co jest dobre, a co złe.

- Tak jak ta wojna. - Otarła twarz, potem uderzyła pięścią w ziemię. - Tak jak wszystko.

- Nie, nie o to mi chodzi. Nie słyszysz jej?

Pani Chrząszcz, emanując gorączkową energią o wiele mocniej niż Ralph, nadal skrzeczała jęklonie, wędrując pomiędzy pobojoownikami wśród nasilającego się, siekącego zimnem, wyjącego wiatru.

- Jutro dojdziemy do Einfell - szepnęła Marion. - Niedługo się do-
wiemy...

Rano było wietrznie i wilgotno. Nawet pośrodku zbitej gromadki pobojoowników w samym sercu pochodu Marion marzła jak nigdy. Po dziwnej normalności z wczoraj i przedwczoraj, teraz wszystkie napotykane domostwa były opuszczone. Wiatr świstał w żywoplotach, świat wydawał

się surowy, nietknięty. Krajobraz jednak, drogowskazy i słupki, kształt drzew, barwa i faktura ziemi, wszystko było jednoznacznie znajome. Już prawie wyczuwała bliskość morza. Tutaj drewniany palec wskazywał Einfell, pochód skręcił więc, choć wśród śpiewu rozległy się niespokojne pomruki, nasilające się, kiedy natrafili na długi, ciemny płot. Mimo tytuł opowieści o obdarłej armii Złotobiałej i pałacach snów, nawet pośród chaosu wojny mało kto chciałby odwiedzać to miejsce.

Potem droga całkiem zniknęła pośród rozległych zasieków z drutu kolczastego, ale Pani Chrząszcz, niezrażona i chyba nie całkiem pozbawiona rozumu, poprowadziła ich dookoła, na południowy zachód, aż doszli do otwartej bramy.

Drogi w Einfell były gęstwą poprzewracanych betonowych płyt. Pola i lasy pokrywało zimowe zapomnienie. Patrzcie no, przecież to tak jak wszędzie po wojnie! - wołali, maszerując przez opuszczoną przestrzeń pomiędzy paroma zapadniętymi, przechylonymi budynkami. Lecz Marion, zostawiwszy Ralpa, pobiegła naprzód i zdała sobie sprawę, że zapomnienie Einfell to coś o wiele głębszego. Czy w tym Wieku w ogóle ktoś tutaj mieszkał? Lecz na dużym domu było widać połąć jaśniejszego gontu, a brodząc w zmarzniętych pokrzywach, odkryła też drobne oznaki, że ktoś uprawiał tu ogródek. Chociaż drzwi frontowe istotnie wyglądały, jakby ostatnio wyłamały je gniewne dłonie. Obejrzała się, ale okrzyki najbliższych pobożników dobiegały jeszcze z daleka. Weszła do środka.

Czy to ta chwila, to miejsce? - zastanawiała się. Mogła zawołać, ale przerywana tylko skrzypieniem cisza przytłaczała, zresztą kto by jej tu w Einfell odpowiedział? Przeszła wyłożonym łupkiem korytarzem, światło ledwo go rozjaśniało przez brudne okna. Na kołku wisiał płaszcz, czy raczej peleryna, szara od pleśni, ale ciężka i obszerna, z kapturem, jakby służyła właścicielowi do ukrywania twarzy. Uniosła ją już miała włożyć, ale wyglądałoby to na kradzież czy inne naruszenie dóbr. Nie było wątpliwości, że mieszkali tu ludzie lub istoty bardzo do nich podobne. Noże kuchenne. Talerze na stole. Pordzewiałe nożyczki. Resztki jedzenia na patelni. Ktokolwiek to jednak był, wyjechał parę lat temu, sądząc po grubej warstwie kurzu, po łuszczącym się tynku. Za kolejnym oknem, którego kawałek ktoś kiedyś przetaił, było widać skrywający się w cieniu las nad brzegiem strumienia.

Na piętrze znalazła nieco więcej śladów niedawnego zamieszkiwania i nagle opuściła. Łóżka. Sterty starych gazet ułożono starannie, więc ktoś je przeglądał. Czego się spodziewała? Dziecka pod opieką potworów, a może potwora we własnej osobie? Od samego początku wojny naoglądała się skutków nadmiernej ekspozycji na eter – kończyły zmienione w stalowe płyty, rogate kostne narośle rozrywające krwawiącą skórę – ale tacy pacjenci zawsze umierali i trafiali się rzadko. Najcięższe przypadki zabijano, nim trafiły do namiotu sanitariuszy, szczególnie jeśli towarzysze sądzili, że mogą przeżyć. Tak mówili ludzie.

Pokonała ostatni fragment schodów i już słyszała wiatr grzechoczący luźnymi gontami oraz krzyki pobożników, szcęk i trzask, gdy badali resztę Einfeld. Sypialnia na poddaszu, oświetlona oknem z mnóstwem drobnych szybek. Stół, jeszcze jedno łóżko. Porozrzucane i ułożone w sterty gazety i czasopisma. Spod stóp coś się potoczyło. Podniosła pustą puszkę po niezawierającym cukru napoju zwanym Słodyczą. Pamiętała, że przed wojną coś takiego było przez krótki czas popularne na Wschodzie. Ani śladu zabawek, był jednak elementarz. Otworzył się sam na pierwszej stronie i słowie „pies”. Usiadła na łóżku. Przytknęła do twarzy szare prześcieradło, ale poczuła tylko zapach opuszczonego Einfeld. To tutaj; była tego pewna. Ale jeszcze większą pewność miała, że wszyscy tutejsi mieszkańcy dawno wyjechali, czy raczej zostali zabrani do pomocy w Wysiłku Wojennym, wojna bowiem brała wszystko.

Czas mijał. Dom poskrzypywał i trzeszczał. Za oknami delikatnie szeptał i nucił wiatr. Choć to absurdalna myśl u kobiety, która niegdyś była Marion Price, to wydało jej się, że dom stara się ją pocieszyć. W końcu nie tak strasznie się tu żyło. Czyż nie spędziła dzieciństwa na sianie wśród smrodu dymu i ryby? Wstała, powoli zeszła po schodach i wyszła z domu. Łata nieco nowszych gontów na dachu wyglądała śmiesznie i nie na miejscu.

W jednej z szop pobożnicy odkryli prawdziwy róg obfitości przedwojennych zapasów, na ogół dobrze zachowanych. Rozpalono ogniska, ludzie jedli, pili, pokrzykiwali. Wołali Marion do siebie, nie dlatego że wiedzieli czy dbali o to, kim jest, ale ponieważ po pracokresach wyrzeczcie wreszcie mieli się czym dzielić. Szła dalej. W nieco rzadszym zagajniku, na śnieżnej połaci polany stał biały budynek. Prawie współczesny

w kształcie, a wokół niego kłębili się chyba wszyscy pobojoownicy, którzy nie plądrowali szopy. Przez zbite okna wylatywały, bez powodu, po prostu dla zabawy, biurowe fotele i inne meble. Wewnątrz zastała jeszcze gorszy obraz zniszczenia. Wszędzie fruwały stare papiery. Za kontuarem recepcji i biurami, w czymś w rodzaju muzeum, pobojoownicy wesoło grzechotali kajdankami i wydawali ochy i achy nad starymi książkami oraz rycinami przedstawiającymi rozmaite typy odmieńców. Zniszczeniami w kolejnej sali bardziej się przejęła, tu bowiem znajdowały się pozostałości całkiem niezłe wyposażonego ambulatorium. Zadrgały jej nozdrza, podrażnione zapachem bezmyślnie powylewanych środków medycznych. Zagrały odruchy. Poczwała, że musi coś zrobić.

Niebawem miała coś w rodzaju grafiku. Wszystkie mogące się przydać leki kazała powstawić do pudełek i poowijać walającymi się starymi dokumentami. Chętnych do pomocy rozdysponowała do leczenia lżejszych obrażeń – bo pobojoownicy z definicji wszyscy byli ranni. Zrzuciła płaszcz i podwinęła rękawy. Zdjęła nawet czapkę. Ale mówiono o niej „Marion” nie częściej, niż przytrafiało się to w tych czasach każdemu znającemu się na robocie medykowi. Przecież prawdziwa Marion Price nie wyglądałaby na tak znużoną, a ludzie, którym wyciąga ciernie, nie krzyczeliby aż tak bardzo. Praca podnosiła jednak na duchu – nie było już ludzi, jedynie urazy i choroby, kwas pikrynowy na oparzenia, woda utleniona na zranienia, spirytus, jodyna i delikatny, pełen nadziei pobłask świeżych szwów. Do późnego popołudnia opatrzyła wszystkich potrzebujących, a wszystkie przydatne do leczenia materiały były przeładowane na wóz.

Ralph znalazła na tyłach budynku. Siedział na starym biurowym krześle i gapił się na posiwiałe drzewa.

– Tam nic nie ma – powiedziała, stawiając obok drugie krzesło. – I nikogo.

– Jesteś pewna, że to prawda? To, co ci powiedziała siostra, co widziałś w tym miejscu w Bristolu?

Zadygotała. Powinna była wziąć tę pelerynę. Ale na pewno znalazł ją już ktoś inny, bardziej potrzebujący. Pewnie plądrują już ten dom z połatanym dachem, jak wszystkie inne, a zresztą co ona właściwie tam znalazła?

– Marion, ludziom zdarza się zaginać w czasie wojny. Ty akurat nie musisz mi o tym przypominać. Lecz nic nie przepada na zawsze. Jeszcze nie przepadło. Nadal mam wrażenie, że idziemy gdzieś dalej.

- Do Invercombe?

– Dokładnie jak mówi Pani Chrząszcz. Einfell to tylko przystanek. To, że pomagaliś tym ludziom, też jest elementem naszej drogi, naszego losu.

Wzruszyła ramionami. Ralph wyglądał i mówił tak samo jak inni pobojoownicy. A właściwie o wiele gorzej od niektórych. Wszystko to były bzdury.

– Nikt mnie nie poznaje.

– Przecież na tym ci właśnie zależy?

Nabrała powietrza. Poczwała nagle wściekłość. Na to miejsce i na tego człowieka, na wszystkie te nonsensowne marzenia i śpiewy.

– Ja chce tylko wiedzieć, co stało się z moim synem, Ralph! Czy to, u licha, aż tak wiele?

Zostawiła go i odeszła ku skrywającym się w półmroku drzewom. Tam, gdzie były rzadsze, igrało jeszcze światło. Tutaj też było pełno śladów po niedawnych mieszkańcach. Zawijasy kory owinięte wokół drzew, dziwne konstrukcje z puszek, szmatek i naczyń. Kawalek ziemi wybrukowany talerzami. Wszystko butwiało i rdzewiało, ale zamrożnięte wstążki i kapsle pobrzękiwały jak dzwoneczki. Pokryte śniegiem drzewa lśniły niczym kandelabry.

Bum, bum, bum.

Krzyki i strzały niosły się z polany, gdzie rozłożyli się pobojoownicy. Marion obserwowała ich ze skraju lasu. Coś tam znaleźli? Kogoś? Nie – a tu kolejne dziwne połączenia codziennych przedmiotów. Kwiatowe wzorki z kółek zębatych, treliasz z fortepianowych klawiszy. Między drzewami rozpięto starą sieć rybacką przetykaną gumowymi smoczkami z butelek dla niemowląt, niedbałym wigwamem starego drewna nakarmiono ogień, Pani Chrząszcz trzepotała opalizującymi skrzydłami, a inni pobojoownicy dokazywali i strzelali w powietrze z karabinów.

Na przeciwnym skraju polany stał przysadzisty, murowany domek. Coś w rodzaju stacji przekaźnikowej – Marion rozpoznała wytłoczone na ceglach magiczne znaki Cechu Telegrafistów. Pochylona, przeszła przez wylamane drzwi, a pobojoownicy śpiewali coraz namiętniej. Mimo wilgoci wszystko było zdumiewająco dobrze zachowane, lustro telefonu połyskiwało, nawet stało przed nim krzesło. Blask ognia wlewał się przez drzwi, migotliwie zmieniając odbicie jej twarzy. Kiedy ostatni raz się przeglądała? Może u Nolla, a może jeszcze dawniej. Włosy znów odrastały, stercząc chaotycznymi kosmykami. Nie wyglądała tak źle jak Ralph, w żadnym wypadku, ale i tak...

Bum, bum, bum.

Ma-ri-on.

Na zewnątrz brzmiał zaśpiew, głośno jak nigdy. Rysy Marion Price, czy raczej przypominającej ją kobiety, zamigotały czerwono. Machina, mimo że ewidentnie była odłączonym od sieci zabytkiem, wabiła. Lecz Marion nigdy nie przepadała za lustrami, nawet najprostszymi. Nigdy nie dostrzegła w nich prawdziwej Marion Price. Teraz też nie. Nagle wydało jej się, że od zwierciadła odrywają się płatki jeszcze głębszej ciemności –przez chwilę zastanawiała się, czy telefon nadal działa i nawiązuje jakieś przypadkowe połączenie. Mrok jednak rozrósł się z odgłosem trzepotania i wybuchł wokół niej wrzaskliwą falą.

Wymachując rękami, wybiegła na zewnątrz wśród roztrzepanego roju. Strzępy ciemności wirowały wokół w świetle ogniska, pobojujnicy biegali, tarzali się i krzyczeli z nieznośnego bólu. Marion poczuła ukłucie w ramię i zobaczyła wstrętny, tępy ryjek pełznący ku jej twarzy. Zrzuciła to coś z siebie. Z piskiem, z jednym obwisłym, złamanym skrzydłem, wciąż usiłowało wbić w nią pazury, dopóki nie zdeptała go na śmierć. Tam, gdzie ślina nokturna zetknęła się ze skórą, już powstawały bąble.

Pozeracz, wreszcie wykazując instynkt walki, zawył, młócąc powietrze ogromnymi pazurami. Dezerterzy cofnęli się i zaczęli bezładnie strzelać.

- Hej! Uwaga! Słuchajcie!

Pani Chrząszcz wsunęła do ognia wiązkę gałązek, potem zamachała nimi nad głową, zakręciła, przywabiając okrzykami nokturny, które zakłębiły się wokół jak dym. Niektóre na niej usiadły. Inne odfrunęły. Wciąż jednak je przyzywała, wymachując iskrzącymi witkami, wciąż tańczyła wokół płomieni. Okropny widok - zakrywało ją coraz więcej skrzydeł. Na koniec przewróciła się w tył i pochłonęły ją płomienie, a ostatnie nokturny odleciały.

Ciało Pani Chrząszcz wyciągnięto z ognia. Po jej osobliwym ubraniu pełzały płomienie, wił się dym. Błyszczało tylko jedno oko, drugie było czarną dziurą.

- Cofnąć się! Zróbcie miejsce... - Marion kucnęła nad ciałem.

– To ty.

Marion pochyliła głowę, by mieć pewność, że dobrze słyszy. Szept rozbrzmiał głośniej:

– To ty. Jesteś Marion Price!

Marion się rozejrzała. Wokół ognia stali szerokim kręgiem prawie wszyscy pobojujnicy, którzy dotarli do Einfell. Na dźwięk jej imienia rozległy się szept, tłum zafalował gestami.

- Teraz cię pamiętam. — Osmalona skóra zaszeleściła wokół ręki Marion. - Powiedz mi...

— Tak, jestem Marion Price.

Wśród tłumu rozniósł się narastający pomruk.

- Ach... - Pani Chrząszcz, co niewiarygodne, uśmiechnęła się. — Wiedziałam, że przyjdiesz. A teraz... — Westchnęła. — Teraz słuchaj, słuchaj, słuchaj...

Marion nachyliła się niżej, ale Pani Chrząszcz już nic nie powiedziała.

Szczałki dawnej doktorowej Foot pochowali na tej polanie, na której zginęła, pod nierównym kopczykiem z kamieni, udekorowanym przedmiotami zebranymi przez pobożników po całym Einfell. Zaraz potem chmury pociemniały i spadł deszcz.

Może i dziwnie teraz na nią patrzyli, ale nie podważali jej poleceń. Wozy załadowano, zaprzężono. Ruszyły ku bramom Einfell. Ulewa jeszcze się wzmagała. Wreszcie Marion Price przyszła do pobożników w chwili największej potrzeby, tak jak wieszczyla Pani Chrząszcz. Widać jednak było, że nienawidzą tego deszczu. I ile jest jeszcze do Invercombe? Marion oceniała, że niecałe pięć mil; znalazła się zresztą na czele pochodu - nie miała wyjścia, musiała go prowadzić. *To ona... Patrzcie, te ręce... Ta twarz...* Ociekające wodą palce wyciągają się, by dotknąć. Oczy szukają, a potem unikają jej wzroku. Ta bezsensowna nadzieja. Ma-ri-on. Całkiem jak na oddziale leczenia oparzeń. Jak na tym balu w Bristolu. Właśnie przed tym uciekała. Lecz kiedy wśród mokrych, zdziczałych żywopłotów rozległy się bębny i śpiew, *zaszczałaty* zardzewiałe łańcuchy, zakłósały się tablice z zakazami, Marion, idącej na czele parującego, połyskliwego pochodu, wydało się, że nawet wiatr i deszcz skandują trzy sylaby jej imienia.

12

Ralph obserwował Marion przez cały ranek. Po śmierci Pani Chrząszcz została pobożnikom tylko ona, a ich liczba znacznie wzrosła. Wciąż przychodzili kolejni, brnąc przez błotniste pola z wózkami dziecięcymi i wlokąc wory z dobytkiem. Grupa z pewnością wystarczająco liczna,

żeby zwrócić uwagę, lecz mimo karabinów i bębnow niespecjalnie zdolna obronić się przed wojskiem Wschodu czy Zachodu.

Atramentowe chmury zmętniały, spuchły, odmieniły się. A potem z deszczu nagle wyłoniły się mury i stróżówka przy bramie Invercombe, lśniący miejscowy kamień zwieńczony dziko rozfalowanym zielskiem. Dłonie jakiegoś olbrzyma zdjęły bramę z zawiasów i odwróciły na bok. Pobojujownicy trzymali się z tyłu, bo ewidentnie było to miejsce, o którym mówiła im Pani Chrząszcz. Brama do lata - miejsce poza Einfell – nieopisanie piękne – gdzie plonie światło prawdy. Ale wiatr zawodził jeszcze głośniejsze, a oni z jękiem kulili się, przytrzymując porywane ku niebu kapelusze i parasole.

- Co za nonsens - powiedziała Marion do Ralpa wśród dygocącej, krążącej przed bramą ciżby. - Schronienie w Invercombe! Tu jest niebezpiecznie. Mój ojciec zmarł po tym, co się tu stało. Pewnie leży tu surowy eter...

- Marion, nikt nie ma pojęcia, jakie jest teraz Invercombe. Może Pani Chrząszcz naprawdę tutaj była, kto wie, co widziała...

Gdy pobojujownicy przepchali się wokół niego i tłum zaczął przelewać się przez bramę, Ralph stracił Marion z oczu. Niebawem zapadnie mokry zmierzch. Może w dolinie naprawdę znajdzie się lepsze schronienie, dumał, człapiąc wraz z innymi, zmarznięty i przemoknięty. Wierzby wzdłuż drogi wściekle gestykulowały. Na wietrze fruwały mokre liście. Mrużąc oczy, próbował dostrzec wiatroster, ale spod ociekających wodą brwi widział tylko szare cętki. Kiedy przyjechał tu po raz pierwszy, samochodem z matką, miał zbyt wysoką gorączkę, żeby przyjrzeć się drodze, a potem był zbyt zaabsorbowany innymi sprawami. Błysnęło, grzmotnęło, nawałnica się nasiliła.

Spojrzał na swe posiniałe ręce, potem na ubłocone ubranie. Wciąż było przenikliwie zimno, choć wiatr uderzał już mniej regularnie, figlarnie go atakując, a potem ze śmiechem oddalając się tanecznymi krokami. Znacznie łatwiej byłoby czołgać się przez te kałuże. Jeszcze łatwiej – położyć się w nich. Ralph wiedział jednak, że stratowaliby go pobojujownicy. Tylko dzięki tej świadomości szedł dalej. Dobrze, że chociaż burza cichła, a z nią wiatr i deszcz. Roześmiał się głośno na myśl, że może naprawdę znajdą tu schronienie. Doktorowa Foot, jak zawsze, miała rację. Drzewa chwiała się, połyskiwały od wody. Doszli do ostatniego zakrętu drogi

wijącej się przez dolinę Invercombe. Przed nimi, lśniąc zachodzącym słońcem na czystym skrawku nieba, stał wiatroster.

Tu znajdowała się południowa plantacja. Sady i gaj cytrusowy. Oczywiście, tu też była zima. Tu też zapadał zmierzch. Tu też wszystko się zmieniło. Ale to było to miejsce. Dom, choć nieoświetlony, jakby czekał na pobożników sunących falującą szarą masą po chwastach w stronę doliny. Wokół głównego dziedzińca, obok stajni stały kolejne tablice z zakazami wstępu i ostrzeżeniami, a wysypaną żwirem powierzchnię zajmowało kilka szop i machina eterowa. Ludzie kotłowali się wokół, pokazywali coś sobie, wykrzykiwali. Wieczór miał się ku końcowi. Ralph usłyszał głos Marion. Zasłaniała sobą zagrodzone łańcuchami drzwi frontowe, tłumacząc, że Invercombe nie jest bezpieczne, że nie wolno iść dalej, że pod fundamentami domu i jeszcze głębiej, w korytarzach prowadzących do zatoczki, nastąpił ogromny wyciek eteru. Mimo narzekań usłuchali - na razie. Dzisiaj może prześpią się w szopach. Atmosfera była jednak niepewna. Po co szli taki szmat drogi, jeśli to nie jest azyl obiecany przez Panią Chrząszcz? I jak ta kobieta, podająca się za Marion Price, może im teraz zabraniać wchodzenia do tego pięknego, eleganckiego domu? W zapadającej ciemności rozbrzmiał strzał. Rozeszła się pogłoska, że w ogrodach żyją dziwne zwierzęta, a może i potwory. Ludzie chwycili się za ręce. Ralph widywał w czasach przedwojennej zawieruchy, jak nadzieja ściera się z rozczarowaniem. Sytuacja szybko stawała się wtedy groźna.

— Ralph, nie możemy ich tam wpuścić! - krzyknęła Marion, gdy przepychał się do niej. - To twój cech postawił te tablice. Ty im powiedz...!

— Marion, oni nie będą mnie słuchać.

Kiwnęła głową, ale bardziej na znak rezygnacji niż zgody. Pobożnicy rozpalali ogniska z rzeczy wyniesionych z dziedzińca. Na wysokich ścianach Invercombe zatańczyły sylwetki i płomienie.

- Ralph, ja tam wejść. Kiedy opowiem im, jak tam jest, może mi uwierzą. W końcu całą tę robotę wykonano, żeby dom znów nadawał się do zamieszkania, czyż nie?

- Domem nikt się nie przejmował, chcieli tylko odzyskać surowy eter. Kto wie, ile go tam jeszcze zostało. - Drzwi już były lekko uchylone nad zabytkowym nadprożem. Miało się nawet wrażenie, że pośród brudu i kurzu słyhać szuranie kroków. - Marion, nie możesz tam iść. Dopiero co mówiłaś wszystkim, że to niebezpieczne.

- No to kto pójdzie?

Ralph powoli nabrał powietrza.

- Dom jest własnością mojego cechu. A zresztą popatrz na mnie. Co mam do stracenia?

W którejś szopie znaleziono latarkę z działającą baterią i żarówką. Były tam także plany konturowe, pokazujące znajome zarysy domu przykryte gęstymi wirami magii. Wokół tłoczyli się pełni dobrych chęci pobożownicy ze starymi dziennikami, listami obecności i przedwojennymi kalendarzami, a Ralph nie miał pojęcia, jak z nich skorzystać. Poczł jednak sympatię do poległych tutaj cechmistrzów. Ile eteru zostało? Dość, pomyślał, widząc wysunięty ku niemu, tańczący czarny przedmiot o sylwetce człowieka, żeby pracujący tam ludzie musieli wkładać gumowe kombinezony. Ubiór cuchnął, jakby noszono go przez wiele zmian, ale trzeba go włożyć, choćby na pokaz, a potem udźwignąć jeszcze brzemie przypominającego akwarium hełmu. Podpierający go mosiężny kołnierz wrzynał się w barki. Skośne szybki dawały fragmentaryczny obraz świata. Pochłaniacze też były stare. Każdy ciężki wdech zionął stęchlizną. Później któryś z pobożników, może cechmistrz używający niegdyś takich przyrządów, znalazł wśród splądrowanego sprzętu eteromierz. Kanciasty, radełkowany, ze szklaną szybką, wielkości mniej więcej dwóch paczek papierosów. Ralph chwycił go w rękawice i przypatrzył się pływającej w rtęci wskazówce. Leniwie się wychyliła i zatrzymała na niskim, bezpiecznym poziomie. Powrót do Invercombe wyobrażał sobie zupełnie inaczej, choć rzeczywiście przypominało to sen.

Pomajstrowawszy przy latarce, pozbawionymi czucia palcami odpiął ostatni łańcuch i pchnął drzwi do głównego hallu Invercombe. Mglisty krąg światła załśnił na zakurzonym parkiecie. Sufit wytrzymał, choć widać było zacieki. Ralph ruszył dalej, stąpając ciężko. Zatrzymał promień latarki na obrazach. Wiele wisiało do góry nogami. Na marmurowych toaletkach zamiast kitajskich waz stały słoje po przetworach i leżały muszle okładniczek. Cechowy humor, domyślił się. Dygocąc, bo w lepkich objęciach kombinezonu czuł na zmianę zimno i gorąco, poczłapał dalej.

Wszędzie drobne przemeblowania. Błyszawszy raz jeszcze latarką na sufit, zobaczył, że wszystkie żarówki wykręcono. Ale może to też etermistrzowie. Lepiej skupić się na realistycznych wnioskach, niż obawiać duchów i niepewności. Tam - biblioteka, choć jej dywan jest cały zasłany gnijącymi wodorostami, jakby morze niewiadomym sposobem podniosło

się aż tak wysoko. Tam - zachodni salon i sala pawia. Wszystko zdumiewająco nietknięte. Sprawdził eteromierz. Nadal nie pokazywał prawie nic. Może naprawdę ten dom będzie schronieniem dla pobożników.

Błysnął światłem w każdy z większych pokoiów na parterze, dostrzegł piękne fotele, w których niegdyś siadywał i chętnie usiadłby jeszcze raz. Przybyło kamyków i innego nadbrzeżnego śmiecia. Teraz miał do wyboru: pójść na górę lub na dół. Rozwazał trasy i możliwości. W głowie mu dudniło, brał szybkie, chciwe oddechy, bo tylko na takie **pozwalaly** mu płuca albo pochłaniacz kombinezonu. Wszystko wyglądało tak znajomo... Nie miał ochoty na zgłębianie podziemnych czeluści Invercombe, ale jeśli gdzieś kryło się zagrożenie, to na pewno właśnie tam. Powinien też sprawdzić prądnice. Tak, to miało sens.

Na lewo od salonu lawendowego zobaczył zielone drzwi dla służby. Przybito do nich czerwony trójkąt ostrzegawczy. Zszedł spiralnymi schodami. Kółko światła latarki tańczyło pod nim. W długim, łukowato sklepionym korytarzu, który w tamtą stronę prowadził do dawnego kantorka ochmistrzyni Dunning, oparł się o ścianę, żeby złapać oddech. *Jest jakaś szansa, że ona nadal tu będzie?* - szeptał wewnętrzny głos, którego nie chciał słuchać. Potem były rozmaite magazynki, spiżarnie i kolejne schody, tym razem węższe. Lśnienie wilgoci, a może lodu maszynowego, choć jeszcze za mało, by się obawiać. Zabawne, że tęskni za światłem, gdy powinien się modlić, żeby wszędzie panowała bezpieczna ciemność. Przyjrzał się latarce. Już przygasa? Potknął się na ostatnich stopniach i wylądował na wznak.

Kondygnacja techniczna. Gramoląc się na nogi, nawet w kokonie hełmu słyszał, że prądnice nadal pracują. Dudnienie czuł w kościach, a latarka, jakby zachęcona ich obecnością, zaświeciła jaśniej, wydobywając z mroku kable i czerwone burty. *Tak-tak-tak-tak-tak*. Przez własny oddech słyszał nawet ich pieśń. Wtem coś cyknęło. Wyobraziwszy sobie, że to kroki, zamarł, wstrzymał oddech. Ale i ten dźwięk był znajomy. Za ostatnią haftowaną maksymą - „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje” - kryła się maszyna obliczeniowa, nadal pracująca, napędzana resztkami prądu. Przyjrzał się jej ze zdumieniem. Ona, o wiele mniej zdumiona, wyglądała jakby się przyglądała jemu. Ruszył dalej. Kolejne czerwone trójkąty. Nigdy wcześniej nie zapuszczał się tak daleko w katakumby. Zamknięta sztabą metalowa brama prowadząca do łączących się z morzem grot była wylamana, tunel za nią jakby połykał blask latarki, a jednocześnie sam wyraźnie świecił, im dalej, tym mocniej. Eteromierz wskazywał wciąż

bezpiecznie, ale już coraz mniej. Ralph pośliznął się, złapał równowagę, chwytając się liny zawieszanej na wmurowanych w ścianę pordzewiałych kółkach. Sufit nad jego głową to opadał, to się unosił, lśniący wilgocią, kapiący, potem podniósł się wysoko - wielkie pomieszczenie wyłobione w skale przez morze. Mieniąca się mgiełka zaiskrzyła w świetle latarki. Wskazanie eteromierza rosło. Kto wie, jakie fale, jakie siły zniszczenia wywołano w Clarence Cove? Dalej nie należało już iść - stopnie były pokryte fosforyzującą zielono szumowiną. Ale Ralph, zaintrygowany tym dziwnym, oddychającym razem z morzem miejscem, nie czuł już zmęczenia.

Wyszedł na środek groty połączonej z zatoką Clarence Cove. Tutaj nie musiał patrzeć na eteromierz. Ciemność pulsowała żarem w rytm przyprływu. Wyłączył latarkę, dającą teraz tylko bezużyteczny snop czerni. Naeteryzowane morze świeciło dziwoblaskiem, opadało, wznosiło się, grzmiało i dudniało. Oddychał razem z morzem. Rozfaloną pianę gęsto przetykały pasma wodorostów, ciała dziwacznych ryb, fragmenty zatopionego statku i kawałki terakoty. Na ciemniejszym tle nocy wspinały się rusztowaniami, opierały na bojach i pływakach, pięły po skałach betonowymi słupami i stalowymi szynami, jakby próbowały uciec, konstrukcje, za pomocą których etermistrzowie usiłovali okiełznać to miejsce. Jednak nie udało im się - teraz niedobitki ich trudów porastały drwiące ornamenty kukułczego ziela. Morze śmiało się zębatymi, fioletowymi paszczami muszli małży, chlupotało fosforyzującymi pędami morszczyznu. Ucieszony, że nie na próżno znosi niewygody kombinezonu, odwrócił się ku schodom, lecz wtedy wydało mu się, że gdzieś daleko w grocie coś się poruszyło. Czy to oczy, czy kamyki wewnątrz meduzy? Co ci pobojoownicy naprawdę widzieli w ogrodach? Lecz szybki hełmu zaparowywały, a jemu już zaczynało się mącić w głowie.

Przechylając latarkę, aż jej światło z powrotem pojaśniało, trochę po omacku powracał z trzewi domu. Wydawało się, że wchodzenie trwa o wiele dłużej niż schodzenie. Kaszlnął, chrząknął. Miał ochotę zedrzyć z głowy ten przeklęty hełm i wreszcie odetchnąć, ale bezsensowne byłoby narażanie się teraz na kontakt z eterem, gdy do zbadania pozostało już tak niewiele. Kiedy gramolił się po schodach dla służby, wychodził przez zielone drzwi i pełzył ku głównym schodom, górującym ponad nim istną dywanową kaskadą, przed oczyma stały mu zapamiętałe pracujące prądnice, tykająca maszyna obliczeniowa, a także ta na wpół dostrzeżona twarz. Zakaszłał. Krew rozbryznęła się po okienku.

Jak za dawnych czasów, albo i gorzej. Wreszcie, pełznąca na czworakach, ze świadomością ledwo trzymającą się gasnącego promyczka latarki, dotarł na półpiętro. Chciał spojrzeć na eteromierz, ale zostawił go daleko u podnóża schodów. Nie znalazłby siły, żeby jeszcze raz tam zejść. Lecz przecież miał tylko udowodnić sobie i reszcie pobożników, że Invercombe jest bezpieczne. Potem będzie mógł odpocząć. Gramoląc się na parter, uderzył z brzękiem hełmem w ścianę. Zatrzymał się, ugiął pod jego ciężarem. Powracały dawne gorączkowe koszmary, ich tępa, bezrozumna logika, paląca świadomość konfliktów, które tylko on jeden potrafi rozwiązać. Wtem - rym razem był tego pewien jak własnego bolesnego oddechu - coś się przed nim poruszyło.

Ten sam korytarz, te same obrazy. Tak, bardziej zakurzone. I zniekształcone przez zachlapane krwią szybki hełmu. Niemniej na ścianach widać te same martwe natury w złotych ramach, choć obwieszone wodorostami i ozdobione starą skórką od cytryny, a potem odwrócone do góry nogami. Tak, wszystko tu jest jak dawniej - a przed nim ktoś idzie, wyprzedzając go o krok. Sylwetka skręciła tam, gdzie i on będzie musiał skręcić - wiedział, że tam znajdzie swój pokój, śnił o nim do tej pory. Nic się nie zmieniło. Nawet on. Szedł naprzód. Latarka przygasała, eteru też tutaj nie było, ale nocne niebo rozchmurzyło się na tyle, by przepuścić wschodzący księżyc, tańczący i podrygujący między okiennymi szprosami. Błyszczała komoda. Jego cień szedł po ścianach, a dom jakby poruszał się razem z nim. Całkiem jak wtedy, przed kolacją, kiedy wałęsał się po ogrodzie. Zrozumiał wówczas, jak to jest z duchami - widzi się je dopiero po fackie. W chwili obserwacji jest to po prostu rzeczywistość.

Zbliżając się do swojego dawnego pokoju, zachodził w głowę, czemu tak długo trzymał się logiki. Dlaczego miałby, po wszystkim, co się wydarzyło, spodziewać się, że będzie jeszcze rozumiał, o co chodzi w tym domu? I nie chodziło o bezpieczeństwo czy zagrożenie. Nie chodziło o te tłumy, o Panią Chrzęszcz, wojnę, czy nawet o Marion Price... Przed nim drzwi do pokoju zamknęły się z trzaskiem. Jego już za wiele - ale czego właściwie powinien oczekiwać? Czas biegi wstecz, rzucono tu zbyt wiele zakłęb, wezbrało zbyt wiele fał. Ralph ścisnął dłoń w pancernej rękawicy gałkę drzwi i obracał ją. Właściwie spodziewał się, że za nimi zastanie samego siebie, młodszego, leżącego w łóżku w szponach gorączki. Wszystko pasowało - ulotne poczucie sensu, gorąco, niespokojne pragnienie dotarcia do celu. Może wśród masy bezsensu da się znaleźć jądro logiki. Może to właśnie to.

Jego dawną sypialnię zalewało światło księżyca. Było tu mnóstwo okazów morskiego życia. Uśmiechnął się, zdawszy sobie sprawę, że kiedyś sam by je tu poprzynosił. Teraz skał i nadbrzeżnego śmiecia było o wiele więcej, porzucanych beładnie, co przywróciło im naturalną przypadkowość. Nawet przez hełm czuł odór gnijących wodorostów. W krtani mu świstało i pojękiwało. Upuścił niepotrzebną już latarkę. Przed nim, oświetlona słabym światłem, unosiła się widmowa twarz o sinych ustach.

- Ktoś ty? - usłyszał własny głos.

Twarz przekrzywiła się i dziwnie uśmiechnęła. Jeszcze dziwniejszy był takt, że jej rysy kojarzyły mu się z Marion czy jego własną twarzą w lustrze. Ale była zrobiona z kamyków czy rybich łusek - choć zaraz potem zauważył, że w rogach pokoju, na krańcach ograniczanego hełmem mętnego pola widzenia, poruszają się inne istoty, z pozoru nagie, choć pokryte zeschniętymi liśćmi, porzewiałą blachą albo nagą kością.

— Wiem, kim ty jesteś.

Wiem, kim ty jesteś... kim... jesteś... Słowa odbiły się echem w jego myślach. Ściany zawirowały oszalałająco. Stworzenia majaczące w pasmach księżycowego blasku mało go obchodziły, ale ktoś, kto przemawiał do niego, sepleniąc, był pod każdym względem ludzki. Wyciągnął rękę. Ralph poczuł, jak palec ugina podgumowaną tkaninę na jego piersi.

— Jesteś jednym z nas. Jesteś Nurkiem. A to są Ludzie-Cienie. To jest nasz dom.

To odmieńcy, pomyślał Ralph. A ja w tym kombinezonie, w hełmie z zakrwawioną szybką, pewnie wyglądam równie przerażająco jak oni.

Zdarł rękawice, szarpnął zaciski hełmu. Owiało go gęste, stęchłe, kocane powietrze.

- A ty kim jesteś? --zapytał resztką głosu.

— Jestem Klade - odparł chłopak. - Jestem Zuchem. Stworzyła mnie Marion Price. Wróciłem do Einfell, ale tam już nikogo nie było, więc przyszedłem tutaj. Jestem elementem Wysiłku Wojennego.

13

Mimo surowych zakazów Marion co odważniejsi albo bardziej lekomyślni pobojuownicy i tak powchodzili owej nocy do Invercombe. Jeden z nich, guzikarz z Penzance, znalazł Ralpha Meynella i razem z nim

chłopaka-dzikusa, Klade'a. Reszta pobojozników, dumna, mokra, obdarta i wyczerpana, stwierdziła, że skoro przeżyli, dom jest zupełnie bezpieczny. W końcu inaczej po co wędrowaliby aż tak daleko? I czyż nie jest tu całkiem tak, jak obiecywała Pani Chrząszcz?! - wykrzykiwali, zwiedzając z wytrzeszczonymi oczyma salony, sypialnie dla gości i przebogate kuchnie. Zapalono świece, latarnie, rozniecono ogień w kominkach. Zdjęto buty, w rozlewającym się świetle i ciepłe ze smutkiem oglądano i masowano stopy. Ci odmieńcy, potwory - jeśli coś tu im groziło, na pewno uciekło. I krzyżek na drogę. Kogo to zresztą obchodzi? Wszędzie widać było miny ludzi rozpoznających coś ze zdumieniem - przez całą noc aż do świtu pobojoznicy kręcili się po domu, myli twarze, znajdowali i natychmiast brudzili świeżą pościel, rozmawiali i śmiali się na wszelkie sposoby, których nie dopuszczała długa wędrówka, a kominy Invercombe zadymiały po raz pierwszy od niemal dwóch dziesięcioleci.

- Całkiem jak w domu!
 - Ty chyba nigdy nie mieszkałeś w takim pałacu!
 - A pamiętasz u naszego syna, w Nottingham?
 - My nie mieszkaliśmy w Nottingham.
 - A w ogóle to gdzie jesteście?
 - Popatrz, jakie wielkie krzesła!
 - Dałbym się pokroić za fajkę.
 - Słyszałam, że w tym pokoju, gdzie pełno książek, jest takie pudło.
- Nie, to chyba tam...
- Jak w jakimś cholernym labiryncie.
 - Wielkie te pokoje, co?
 - Wiesz co, mnie ten dom się śnił.
 - Ja to chyba jeszcze śnię.

Wszędzie nieustająca radosna paplanina. Rodziny z Tipton, narzeczeni z Bracebridge, samotni mężczyźni, nieobecni kochankowie i przygarbieni, artretyczni starcy, wszyscy zbratani i zjednoczeni. Marion odnosiła wrażenie, że jest częścią tego tłumu, kiedy sadzała przygarbionego Klade'a w dawnym kantorku ochmistrzyni Dunning na końcu niesympatycznie niskiego białego korytarza, udekorowanego szeregami zakazów i nakazów w ramkach. Miała nadzieję, że tam nikt jej nie przeszkodzi. Chłopak był płochliwy, nieufny i nieustannie się wiercił. Śmierdział, a po tym, jak się rozglądał i przekładał łokcie w trzeszczącym obrotowym krześle, widać było, że źle się czuje w ciasnych, zamkniętych pomieszczeniach. Układ pokoju nie dał jej wyboru, musiała zająć władcze miejsce po drugiej

stronie biurka. Wszystko wokół w świetle latarni - fasolkowaty przycisk do papieru i stary dziennik, nadal otwarty na dniu ich planowanej ucieczki - krzyczało przeszłością. Wybrała złe miejsce, pod każdym względem.

- Ralph, czyli ten człowiek, który cię znalazł, mówi, że chyba jesteś...
- A ty kim jesteś? – wysyczał przez obnażone zęby.

Zawahała się, choć pytanie wyglądało na proste. Z pewnością nie była postacią, której imię nadal wykrzykiwali i wystukiwali na garnkach szabrujący ten dom - i temu będzie musiała zaradzić, bo nikt tego za nią nie zrobi. Należało to jednak powiedzieć.

– Jestem Marion Price. I chyba jestem twoją...

- Nie! Niemożliwe...!

Musiała przyznać, że on nieco przypomina młodego Ralpha, choć niewykluczone, że podobieństwo wcale nie było silniejsze, niż widywała już wiele razy w naznaczonych cierpieniem twarzach.

- Przykro mi, ale to prawda. Po prostu ludzie trochę... źle sobie mnie wyobrażają.

Odsunął się od niej jak najdalej, wciąż ponuro sztywny, jak stal. Krzesło skrzypnęło. Ale przynajmniej nie próbował uciekać. I nie rzucał się na nią.

– Naprawdę wychowałeś się w Einfell?

Kiwnął głową. Nie wygląda na starego, ani młodego, pomyślała. W ogóle nie ma wieku. Tak jak ci żołnierze – ciała wyleczone, ale wciąż ranni. Tylko ta wojna mogła stworzyć kogoś takiego...

- Wiesz, Klade, gdzie się urodziłeś?

- To było... - oblizał usta; mówiąc, trochę się opluł – w miejscu, które nazywa się Święty Alphege. Kiedyś Silus zabrał mnie tam z pieśni i mi pokazał.

- Silus? Z pieśni?

– To był... - Machnął ręką. Gest, jak wszystko, co robił, był trochę nie taki. Jakby Klade nie do końca nauczył się być człowiekiem. Pewnie zresztą tak jest, pomyślała.

– Był?

– Wychował mnie, on i Ida.

Podpisy na papierach, które widziała u Świętego Alphege'a, chociaż nazwisk nie mogła sobie przypomnieć. Z nagłym przerażeniem zrozumiała, że Klade musiał patrzeć na świat przez tę samą żelazną bramę.

- Ida umarła - szepnął. – Silus... nie wiem, i ten człowiek, co powiedział, że jest moim ojcem, nie chce mi powiedzieć.

Ojcem? Który? Kiedy? Ralph czy któryś z odmieńców?

- Przykro mi.

Ile jeszcze razy będzie musiała to powtórzyć? Klade, z zaczerwienionymi oczyma, sterczącymi, brudnymi włosami, szeleszczącymi dłońmi, dziwnym głosem i imieniem, przypominał raczej dorosłą wersję lalki znalezionej u Alfiego pod zlewem niż dziecko, o jakim śniła.

- Nic o tobie nie wiedziałam, Klade. Gdybym wiedziała... Gdybym wiedziała, pojawiłabym się szybciej. Ale dowiedziałam się, że prawdopodobnie wysłano cię do Einfell. I trochę się przestraszyłam, że...

- Że co? —Jego dłonie prześliznęły się po błyszczącym czarnym metalu. Zasuwa odskoczyła z eterowym blaskiem. Wtem oczy mu rozbłysły. - Że będę wybrańcem, odmieńcem?

- Klade, ja nie wiedziałam.

- A jestem. - Palcami gwałtownie zadarł rękawy. Trzasnęły zetłate nitki. Wysunął nad biurko lewy przegub. - Patrz! Dotknij!

Po raz pierwszy dotykając ciała syna, czując jego gładkość i ciepło, wgłębienia skóry i kości, Marion wiedziała, że nie ma Znaku.

- To oznacza tylko, że...

- To oznacza, że jestem jak ten bękart Kwiat. Jak ten, kurwa, pozeracz tam przed domem. Jestem jak cholerny księżyc na niebie nad Inver-coś-tam. A teraz daj mi, kurwa, spokój.

Marion musiała sobie w życiu radzić z wieloma cierpiącymi pacjentami, wiedziała więc doskonale, kiedy usłuchać tej najprostszej z próśb. Powoli wstała, poruszając się możliwie najłagodniej, obeszła biurko i zostawiając drzwi półotwarte, wyszła. Zaraz ruszyła biegiem korytarzem, ku głównym salonom Invercombe. Nie wiedziała co myśleć. Nie wiedziała co czuć. Klade i paru innych odmieńców, którzy teraz uciekli z Invercombe, miało tu schronienie, azyl. A teraz - jak to wygląda?

Nadchodził szary świt, zgiełk ucichł, gdy przechodziła między ludźmi. Odwracali się za nią. Słyszała szepty, modlitwy —sytuacja nie była aż taka obca. Zarekwirowany dom, w którym trzeba zrobić porządek; a najbardziej trzeba kogoś, kto wszystkim pokieruje. Ogarnęło ją teraz poczucie, że jest tutaj —z powrotem w Invercombe; żyje, żyje jej syn, czuje moc tego domu, który sprowadził go do niej wezwaniem leniwym jak łapa przeciągającego się lwa. W końcu tyle tu było do zrobienia. Brudne okna. Przeciekające rury. Źle położone dachówki. Posągi do postawienia z powrotem na cokołach. Zatkane odpływy, brakujące zawory. Ogród całkiem zdziczał. Do tego wszędzie kurz. Połowa prześcieradeł i ręczników

już brudna. No i te absurdalne **morskie śmieci**. Niehigienicznie rozgrzebane **łóżka**. Bałagan. Brud. Trzeba go zwalczyć. Co powiedziałaaby Cissy Dunning? Zorganizować pracę, nadać priorytety. Zaprowadzić porządek i utrzymać go. Przecież ci ludzie sądzą, że ona jest Marion Price, chociaż Klade nie dowierza. Dzwoniąc obiadowym gongiem w hallu i wchodząc na krzesło, postanowiła, gdy wokół zbierali się ludzie, pokazać im wszystkim i światu, kim jest naprawdę.

14

W następnych dniach cechowi i cechowe powrócili do swych dawnych zajęć. Pracy w Invercombe wystarczyłoby dla batalionu zapomnianych **fachów**. Prawie każdy mógł się na coś przydać - od elektryków przez murarzy, kucharzy aż po pospolitych **pomywaczy**. Wybuchły spory o granice między cechami, które rozstrzygnąć mogła tylko Marion Price - a ona nie mogła być wszędzie, choć bardzo się starała. Praca jednak toczyła się dalej i dalej, a teraz jeszcze pewniejszym głosem wyśpiewywano jej imię.

Oczyszczono dymniki, rozpalono w piecach. Kotły napełniły się wodą i zaczęły przeciekać. Dom dudnił, poskrzypywał, parował; znaleziono żarówki, które rozjaśniły przenikliwym światłem pochmurny dzień, gdy prądnice oddelegowano z powrotem do zasilania domu. Wyprano i wybielono ubrania, wiszące potem jak kapiące listowie. A wszyscy gorączkowo krzątający się ludzie śpiewali - piorąc, wycierając, odkurzając, aż okna zaparowały popielatym nalotem. Klade szukał ukojenia w dzikich ogrodach, w ostrym smaku walających się wszędzie opadłych jabłek i gnijących cytryn, między przelotnymi deszczami. Pośrodku tego wszystkiego stał rozświetlony, luksusowy i hałaśliwy dom, a w nim Tamtejsi jedli, gadali, krzatali się, chodzili pod rękę, za rękę, usta w usta - to już nie był niegdysiejszy, zapraszający azyl. Po przybyciu pobojozników Ludzie-Cienie uciekli, pochowali się w najgłębszych grotach i kawernach **Inver-cośćam**, gdzie nawet on nie był w stanie dotrzeć. Wśród tych dotyków, okrzyków, posiłków, tańców, czyszczenia, polerowania, tłuczenia, narzekania, jedzenia, trwających przez cały boży dzień i noc, czuł się całkiem samotny. Zatkanby uszy, ale przed pieśnią Tamtejszych nie było ucieczki.

Trzeciego wieczoru planowano Tańce. Tamtejsi nazywali to Tańcami, choć według Klade'a, odkąd tu przyszli, nic tylko płąsali, tańczyli

i śpiewali do taktu poleceń tej kobiety, tej Marion Price. Za dużo tego było; znów musiał schronić się na zewnątrz, wyjść przez wielkie frontowe drzwi, gdzie warknął na niego uwiązany na straży psotwór. Klade odwarknął. Tak liczył na Inver-coştam, na azyl, Słodycz i Dom, ale teraz nic, nic, zupełnie nic nie było takie samo...

Głosy. Twarze w padającym z okien ostrym blasku. Ulegając dawnym odruchom, skulił się i schował.

– Czujesz, jakie tu jest powietrze?

- Takie ciepłe. Całkiem jakby znów wracała wiosna.

- Najlepszy cydr, jaki w życiu piłem.

- Ty byś nawet siki babci wypił, żeby tylko się urząnąć.

- Pewnie, że tak.

- Wiesz, co mówią - że faktycznie to nie ona tutaj mieszkała, ale jej siostra?

- W takim razie ona też mogła, co nie?

- Nie, nie. Marion Price wychowały gobliny w Einfell. Dlatego są tutaj i chowają się w ścianach...

Długa przerwa.

- Mówią, że do świąt będzie już po wszystkim.

– Czyli już zaraz, tak? - Kobięcy śmiech. Niski i perlisty.

Klade przyglądał się, jak Tamtejsi owijają się wokół siebie. A Śpiewy i Tańce trwały i nie było od nich ucieczki, nawet na zewnątrz, bo tu dwóch młodych Tamtejszych próbowało nakłonić pożeracza, żeby wytoczył im z piwnicy beczkę wina. Ujrzawszy go, na chwilę przestali się śmiać. Odszedł jeszcze dalej. Gdy zaczynał padać deszcz, znalazł spokojniejsze miejsce i skulił się w nim, wśród tykotu kropel. Ale przynajmniej nic nie słyszał z rozśpiewanego domu; nucił pod nosem, otwierał usta, krzyczał, pił chłodny deszcz stukający mu po głowie, pozwalał, by ogarnęły go strumienie prawdziwszej, głębszej pieśni.

Gdy kończyła się noc, chłód i głód zwały go z powrotem do domu. Spodziewał się bałaganu i smrodu, ale ci Tamtejsi, którzy nie tańcowali do późna, wstali o świcie i kiedy tylko pokoje przeszły pierwsze zmacone chmurami promienie światła, już wesoło, hałaśliwie czyścili, myli, zamiatali, polerowali i porządkowali. Poczul mrowienie na skórze. Zaszędziało go też w nosie, w miejscu, którego nie mógł dosięgnąć. Dobrze, że

choć Tamtejsi trochę się uciszali na jego widok –ale tylko na chwilę. Inver-cośtam lśniło i emanowało zgiełkiem jak melodią, której nie lubisz, ale nie możesz się jej pozbyć, a połysk wszystkich korytarzy i płaskich powierzchni raził mu oczy i umysł.

– Podaj tę szmatę.

– Całkiem po domowemu, nie?

Klade jednak nigdy nie widział niczego mniej Domowego niż obecne Inver-cośtam, kiedy ociekając deszczem, przesywany spojrzzeniami, które, jak wiedział, nazywają się „spode łba” - nawet kiedy wyśpiewywali imię jego rzekomej matki –połączył nogami po puszystych miękkich dywanach, pozbawionych już kojącej warstwy muszli i wodorostów. Dom, w miarę opanowywania go przez Tamtejszych, stawał się dla niego coraz bardziej obcy. Czy Tamtejsi rzeczywiście mieszkali w takich domach? Ile trzeba by mieć wzrostu, żeby potrzebować sufitu na takiej wysokości? No i te wszystkie pokoje do rozmawiania, jedzenia, spania. Studia do Studiowania. Bawialnie do Bawienia. A teraz szarżowała na niego szumiąca maszyna ciągnąca za sobą kabel jak ogon wielkoszczura, pilotowana przez kobietę w chustce i fartuchu, przyłączającą się swym nuceniem do hałasu. Wysłała z podłogi resztki drogocennego kurzu. Klade uciekł.

Olbrzymi stół w całym pustym pokoju lśnił ciemno jak powierzchnia jeziora w bezwietrzny dzień. Zaglądał już do tego pokoju? Trudno powiedzieć, wszystko tak się zmieniło, ale w połysku drewna przemknęło mu coś przypominające jego twarz. Kolejne twarze, a przynajmniej jakieś stworzenia w ciemnych łachmanach, poruszające się razem z nim, mignęły w niekończących się szeregach ram ze zdjęciami. Odbijały go nawet wytarte z pary okna. Kichnął. Zdjął nóż ze stojaka, gdzie połykiwał razem z mnóstwem innych, jak ławica wyłowionych ryb, czubkiem wyrył na stole coś, co nie błyszczy. I już. Uwielbiał ten zgrzytliwy dźwięk – wtem fragment światła oddzielił się od wymyślnego krzesła i podszedł ku niemu, poruszając się na elementach jego nóg. Trochę było to żywe, trochę rzeczywiste, a trochę nie, choć gdy Fay zbliżyła się jeszcze bardziej, Klade poczuł ten sam zapach co kiedyś –piękny, trochę kamienny, trochę wodny, a trochę mglisty. Musiał się uśmiechnąć, choć wiedział, że ona nie zrozumie.

– Nie byłem pewien, czy jeszcze zostałeś –powiedział.

Wcale nas nie szukałeś, Klade.

Wzruszył ramionami. Szukanie Ludzi-Cieni, jeśli nie chcieli dać się znaleźć, przypominało łapanie liści na wietrze. Omiótł wzrokiem Fay -

to, w co się zmieniała. Była wodnistym pobłyskiem, obłoczkiem szarości. Mocno się wpatrzywszy, można było sobie z grubsza wyobrazić świeżo odmienioną istotę, którą spotkał owego upalnego lata na skraju lasu w Einfell; lecz spotykając ją tutaj, od pierwszej chwili wiedział, że tamte chwile, złe i dobre, przypadły, jakby nigdy ich nie było. Tak to właśnie było z Cieniami. Sekunda przerwy była nieskończoną ucieczką. Nic nie trwało, nic nie pozostawało. Oczywiście, wciąż posiadali resztki swych dawnych ciał, ale pożywienie ich nie obchodziło, nie dbali też o ból. Rozpływali się i tyle. Czasami czuł się tak samo: gdy pierwszy raz biegi z nimi, u schyłku trzymającej się jeszcze w Inver-cośćam jesieni, gdy napychał sobie usta musującymi opadłymi owocami, od których wpierw robiło się przyjemnie, a potem rozboleła głowa. Był przecież Klade'em, a pieśń przypominała pieśń Einfell, którą słyszał, odkąd po raz pierwszy otworzył oczy. Tu była nieco bardziej gorzka, ale też słodsza, a Ludzie-Cienie umykali mu, choćby nie wiadomo jak zawzięcie ich gonił. Tylko w nocy, gdy się ochładzało, gdy szukał schronienia w domu obwieszonym teraz znakami i łańcuchami, podchodzili bliżej, tak blisko, że mogli karmić się jego snami. Napłynęły, pieśnią przyływu, wciąż obce mu odgłosy i zapachy morza, przesycając pokój i łóżko, w którym najczęściej spał, wspaniałym aromatem zgnilizny. Teraz wiedział, że właśnie dlatego Silus zawsze przestrzegał go przed towarzystwem Ludzi-Cieni. Nie przez to, kim byli, ale kim się przy nich stawało. Dom zaś szeptał wraz z nimi w mroku, w milczącym wyrzucanym przez fale pociemniałym drewnie, w krzątaninie rąk i nóg. Czasem myślał, że na tej ziemi nie mierzy się czasu dniami, nocami, pracokresami czy nawet porami roku — że jest tu czymś wiecznym, zbyt wolnym, jak na czas, a na jego tle wszyscy odmienieni i nieodmienieni pełzają jak mrówki, które niegdyś rozgniałał i pakował do ust, żeby przez chwilę poczuć na języku łaskotanie. I giną równie szybko jak one.

Wiedział także, że Ludzie-Cienie potrafią sprawić, że dostrzeżesz w nich właśnie to, co według nich chcesz dostrzec. Fay miała bowiem na sobie ubranie lub coś podobnego i wyglądała na przemoczoną na deszczu. Mimo to obraz Fay, którą niegdyś poznał, a pod spodem wizerunek młodej dziewczyny z Bristolu, którą pragnął widzieć, był i tak bardziej wyrazisty niż warze wszystkich Tamtejszych, co przyszli zniszczyć Inver-cośćam swoją czystością i hałasem. Patrzył, jak jej dłoń, spowita szarą siecią, posrebrzona jak księżyc, wędruje ku stołowi i długiej szramie wyciętej przez niego na blacie. Szepcząc najpiękniejsze, najintymniejsze słowa pieśni, kazała jej zniknąć.

I już.

- Przepraszam, Fay.

Za co? Przechyliła głowę w mieniącym się blasku, uważnie słuchając, ale chyba nie jego. *To się nie liczy. To tylko stół.*

- Za wtedy. Kiedy próbowałem...

- Aaaaa. - Prawdziwy dźwięk, a może to wiatr uderzył w szyby. *Zapomniałam...*

- Byłem wtedy młody. Nie wiedziałem... - Urwał, oblizał usta, zastanawiając się, czego mianowicie nie wiedział.

Nieważne, Klade. Nic nie jest ważne, tylko ci się wydaje. Dziwi mnie, że jeszcze tego nie wiesz.

- Bo wiesz, teraz jest tu pełno Tamejszych - poinformował ją, jakby to ją obchodziło.

Ten dzień, wtedy, co mówileś, Klade. Ten gorący dzień — jużgo pamiętam. Ja zawsze byłam taka jak teraz. Nie rozumiałam, że mój Bristol jest tylko pięknym snem.

Pamiętał takie rozmowy. Kręciły się mu w kółko w głowie, jak po zjedzeniu zgniłych, robaczywych jabłek. Ale trudno było im się oprzeć, tak samo jak jabłkom.

- Przecież ci mówiłem! Byłem w Bristolu, w fabrykach amunicji! To zupełnie nie to miasto, które mi pokazywałaś!

Śmiech Fay dźwięczał jak szkło. *Klade, ale to nie znaczy, że mój Bristol nie jest prawdziwy! Jest tym prawdziwszy, im dalej od niego się znajduję. A ten dom pomaga mi w tym — bo słucha. I uwielbiamę pieśń o burzliwych morzach.*

Na zewnątrz odkurzacz wciąż chrapał na dywanach, a mały, trochę gadzi, lekko pachnący morzem kształt, który przybrała Fay, wyciągnął ku niemu perłową kończynę przypominającą rękę.

Pamiętasz, Klade, jak się dotykaliśmy...

Choć był pewien, że Fay nic nie pamięta, przed oczyma stanęły mu jej lśniąca hebanowe włosy, w sypialni, w wysnionym Bristolu, pośród egipskich obrazków i nocnych odgłosów ruchu ulicznego. Szczotkuje je, czesze. Iskry, błyski światła. Lecz w abażur obok lustra były wplecione mewie pióra, słoiczki zastąpiły puste pochewki po rybiej ikrze, a światło falowało jak rój. Gdzieś daleko wciąż niewyraźnie pojękiwał odkurzacz.

Mogłabym być twoją podwodną kochanką, Klade. Twoją syreną...

Klade cofnęła się i pokręcił głową, aż zawirował pokój.

Fay, spokojniejsza, **podobniejsza** do siebie, po prostu nań patrzyła.

Klade, jesteś teraz słabszy. Prawie cię nie słyszę. Naprawdę się zmieniłeś, odkąd przyszli Tamtejsi. Kiedy mieliśmy dom dla siebie, myśleliśmy, że jesteś jednym z nas. Przykro mi to mówić, ale całkiem utraciłeś pieśń...

Wybrańcy, ci aż tak mocno Wybrani, byli ponad rozczarowanie czy żal. Klade wyczuł jednak smutek, może swój **własny**.

- Fay, nie mów, że ci przykro.

Mnie nigdy nie jest smutno.

- Smutno i przykro to nie to samo.

*To tylko słowa. Używasz zbyt **wielu**...*

- Ja nie...

Za późno było na poprawianie, już odchodziła przez lśniący wykwinty pokój, skrywała się za krzesłem, chowała w boazerii. Jakie to ma zresztą znaczenie, co myśli o nim Fay czy ktokolwiek inny? Wybrany, nie Wybrany, Tamtejszy - przede wszystkim jest Klade'em.

W domu ciągle trwała krzątanina. Porządkowano nawet ogrody, wesołą czerwienią **buchały** ogniska, w których palono chwasty.

- Boże Najstarszy! Nikt mi nie powiedział, że tu jesteś!

- Myślałem, że zgubiłem was w Cleeve...

Ciągle się dotykali. Dłońmi, ramionami, ustami.

- Klade?

Podskoczył, spodziewając się kolejnego Cienia. Ale kuśtykał ku niemu przez mokre kafle tarasu człowiek, który powiedział, że jest jego ojcem.

- Przedwcześnie się zestarzałem. — Machnął laską, którą się podpierał. — Ale **chciałbym** ci coś pokazać. A właściwie parę rzeczy...

Dom lśnił. Światła bębniły Klade'owi po oczach.

- A to nie jest nam tutaj potrzebne, prawda?

Sapiąc, z jedną ręką na główce laski, drugą, przezroczystą prawie jak u Fay, Ralph sięgnął po nóż. Klade zapomniał, że wciąż trzyma go w dłoni. Cofając się, poczuł, jak w gardle narasta mu warkot.

- Bo wiesz, Klade... - Bez brody ta twarz **była** surowsza, chudsza i szara. - Wprowadziliśmy parę zasad. Jedna z nich: nie wolno wnosić do domu broni ani noży. Jak się zastanowić, ma to sens, nie?

Klade uległ zimnym, nieugiętym palcom i wypuścił nóż. Bo co on tam wiedział?

Ten człowiek porusza! się powoli, choć Klade'owi, przyzwyczajonemu do podróży z nieszczęsną Ildą, zupełnie to nie przeszkadzało. W dół i w dół, schodami. W opadające ku głębini tunele, otwory z wiszącymi na drutach światłami, z przyjemnym zapachem wilgoci, ku któremu go prowadził, pomiędzy pauzami i rżeniami, postukując laseczką, opowiedział mu, jakie prace są prowadzone, żeby, jak to ujął, „przywrócić ten stary dom do życia”.

Koło szumiących prądnic we wnęce czaiła się wielka machina. On powiedział, że to maszyna obliczeniowa, duma jego cechu i wielu innych.

- ...I wiesz, Klade, to stary model, ale nadal bardzo sprytny. Umie pomyśleć tysiąc rzeczy szybciej niż człowiek jedną, choć oczywiście nie myśli samodzielnie.

Klade'owi, gdy maszyna szczyrzyła doń ceramiczne pokrętła, wydało się to nonsensem, jaki wymyślić może tylko Tamtejszy albo Człowiek-Cień. Przecież wiedział, co to takiego maszyna obliczeniowa. Dość się naczytał o nich w gazetach. Przyglądał się, jak ten człowiek, sapiąc, kuśtyka wokół warkoczącego urządzenia, i zastanawiał, czy on rzeczywiście jest jego ojcem i czy zadaniem ojców jest mówienie ci tego, co dawno wiesz.

- To jest szpinet, rodzaj klawiatury do wprowadzania danych. A tu wsuwa się karty perforowane. Mógłbyś spróbować, Klade. Ja siedziałem tu całymi godzinami, a byłem od ciebie młodszy. Miałem nadzieję, że ta machina pomieści i przetworzy wszystkie moje dane...

- Pani Chrząszcz mi opowiadała.

- Pani Chrząszcz? Ale ty, Klade, jej nie znałeś. Pewnie słyszałeś tę historię już tutaj...

Ruszyli dalej. W porównaniu z łoskotem prądnic, tu było zarazem ciszej i głośniejsze.

- Słyszysz? Prowadzi prosto do morza... Tutaj poszedłem... – machnął laską - ...kiedy wróciłem do domu. Widziałeś tych... tych, co przybyli z Einfell? Teraz się chyba pochowali, choć dalej są gdzieś w domu. Zdaje się, że mieszkają za boazeriami i tutaj, w tych grotach. Zabawna rzecz, że nikt się ich nie boi. Po prostu ich akceptują. Chyba na takiej zasadzie, jak tego psotwora i pożeracza. Wspaniale, Klade, że to się zmieniło, prawda? Ludzie nauczyli się tolerancji.

Klade kiwnął głową. Nigdy nie zapuszczał się tak głęboko w podziemi domu, o morzu wiedział niewiele, a teraz w dudniące puste przestrzenie wlewał się potężny, pienisty morski oddech.

- Tam w dole jest zatoczka Clarence Cove. Ale nie można iść dalej bez takiego ubrania, jakie wtedy nosiłem. - Opierając się o ścianę, chory człowiek ciężko łapał powietrze. - Tam dalej jest niebezpiecznie, mierzyłem eteroskopem... takim urządzeniem. Widzisz, tu, gdzie się obniża...

Powłókł się naprzód. Strop tunelu opadł ku ich głowom i pociemniał. A potem zrobiło się jasno. Znaleźli się w małej grocie oświetlonej otworem w zenicie. W grubo wyciosanej niszy, jak ołtarzyk (Klade widywał ołtarze w okradanych kościołach), stały dwie lśniące butle.

- A to... - chory człowiek, z oddechem świszczącym jak wiatr, podniósł jedną - ...to są kielichy z wydestylowanym eterem. Na pewno zostawili je tutaj etermistrzowie, którzy ekstrahowali i rektyfikowali eter z tego chaosu pod nami. Pewnie zapomnieli, choć warte są bardzo dużo... Wiesz coś o pieniądzach?

Klade pokręcił głową. Podobał mu się smak pensówek, które kiedyś znajdował, ale wiedział, że człowiek podający się za jego ojca ma na myśli coś innego. Eter też już widział - aż nadto, kiedy jeździł z Idą po fabrykach, gdzie kazali jej śpiewać do maszyn, gdy bomby się psuły. Żarzące się naczynie, kielich, miało w sobie pieśń, ale ostrą i szorstką, jak przeciągnięcie drutem po dachówce. Pojedyncza, metaliczna nuta. Stanowcza i jednocześnie niekontrolowana.

- Warte są mnóstwo pieniędzy. - Światło odbijało się w oczach tego człowieka, którego pierś falowała jak u ptaka. - Zdumiewające, że tu zostały. Widzisz, jak się żarzy? A teraz... popatrz! - Uniósł kielich ku otworowi u szczytu grotu. Oświetlony osobliwą falą, przez chwilę przypominał Człowieka-Cienia. Wtem światło się zmieniło, w ogóle przestało być światłem. Wokół rozlała się ciemność. - To się nazywa dziwoblask. Swoją drogą, Klade, nigdy nie otwieraj tych kielichów i w ogóle nie zbliżaj się do niczego, co zawiera surowy eter. Po to są te tablice ostrzegawcze, które widziałeś. Jeśli zetkniesz się z nim albo połkniesz zbyt dużo, wtedy możesz... rozumiesz, jest niebezpieczny. Nawet bardziej niż nóż czy karabin. Ale chciałem ci jeszcze powiedzieć... - Klade przyglądał się, jak chory mężczyzna z szacunkiem ustawia kielich w wilgotnej kamiennej wnęce. - Tak naprawdę, Klade, chciałem powiedzieć, że kiedy się stąd wydostaniesz, kiedy ta wojna się wreszcie skończy, znajdę dla ciebie porządną pracę z przyzwoitą zapłatą. Niezależnie, co się ze mną stanie, ty, Klade, wcale nie musisz żyć w takich warunkach jak dotychczas.

- Jako pobojoznik i Tamtejszy?

- Albo nawet jak wcześniej. Ani Marion, ani ja nie opuścilibyśmy cię, gdybyśmy tylko wiedzieli.

- Ale pieśń miałem wtedy lepszą.

W dziwoblasku eteru na twarzy chorego człowieka pojawiło się typowe dla Tamtejszych uczucie, irytacja.

- To akurat, Klade, nie ma znaczenia. Liczy się, że nie musisz już być samotny. Bo wiesz, Klade, ludzie troszczą się o siebie nawzajem, a ty jesteś dla mnie ważny.

Klade słuchał. Klade kiwał głową. Klade zastanawiał się, dlaczego ludzie, kiedy są zdenerwowani albo źli, o wiele częściej mówią „Klade”. Nawet Silus, tak robił w czasach Wielkiego Domu, w czasach kiedy nigdy nie czuł się samotny. A jednak żal mu było tego człowieka. Bardzo chorego człowieka. Postanowił więc zrobić coś, co wiele razy podpatrzył u Tamtejszych: rozpostarł ręce i podszedł do niego, chcąc Obejmować, Tańczyć i Śpiewać.

- Nie, nie, nie, nie... – Tamten, uciekając, w pośpiechu prawie zgubił łaskę. - Przepraszam, Klade - powiedział, prawie na kolanach. - Ta moja choroba. Nie powinienes się do mnie zbliżać. - Po czym zaczął kaszleć i wymiotować, a plwociny lśniły czerwono w dziwoświecie.

Klade sam trafił na górę przez dom. Krzyki, śpiewy, jak zawsze. Zapach jedzenia z kuchni. Zapach pary z pralni. Było ledwo południe, a ludzie już tańczyli-śpiewali-obejmowali-się-pracowali jak dzicy. Nie miał pojęcia, że Tamtejsi są tak niestrudzenie aktywni. Potem zaś poczuł inny zapach i poszedł za nim.

- Dotykała mnie. A ciebie?

- No pewnie. Bez dotykania się nie da.

- Pogadaliśmy chwilkę, jak z każdym innym...

- Ciebie też przydałoby się trochę przystrzyc, synu...

Ktoś poklepał po ramieniu Klade'a, który cofnął się i warknął.

Marion Price zamiatała podłogę małego pokoju, w którym znajdowało się jedno krzesło i wielki, jasno płonący kominek. Ze skupionym wyrazem twarzy machała miotłą tam i z powrotem. Przez dłuższą chwilę nie dostrzegą Klade'a, a gdy wreszcie go zauważyła, stała się nie okazywać, jak jest wstrząśnięta.

- A, jesteś...

- Byłem z nim.

- Z nim... z Ralphem. Dobrze, że cię znalazł. Jest zapracowany?

- Wszyscy są zapracowani.

- No pewnie. - Marion Price **oparła** podbródek na dłoniach podpartych kijem od miotły i spojrzała na Klade'a ciemnoniebieskimi oczyma. Wokół niej na podłodze, jak dziwojasny śnieg szemrały srebrne i czarne zasy włosów, w powietrzu unosił się zapach spalenizny. Zmieniły się też jej włosy, zwiślały prosto, dość długie i czyste, by lśnić odbitym **światłem** i zawijać się ku policzkom, gdy podnosiła szufelkę. Pomyślał o Fay. Kolejne zebrane porcje włosów **trzaskały** i iskrzyły, ciskane w ogień. - I co jeszcze robieś?

Wzruszył ramionami, wciąż na nią patrząc.

- No dobra, siadaj na krześle - powiedziała. - Trzeba cię ostrzyć, jak prawie każdego tutaj.

Klade, śniąc, wykonał polecenie. Chyba lubiła sadzać go na krzesłach. Nie wydawały się co prawda wygodne, ale nie przeszkadzało mu to. A teraz nawet za bardzo się nie bał, gdy się do niego przysuwała. Może zaczynał rozumieć, dlaczego Tamtejsi inaczej przy niej mówią i inaczej się zachowują.

- Wiem, Klade, że nasze życie było dotąd całkiem inne. Ale to już minęło. To przeszłość.

- Ida kiedyś mi śpiewała. - Rozwarł palce i złożył z powrotem. - **Obcinała** mi włosy.

- Mówiła do ciebie śpiewaniem? Była twoją op... znaczy, troszczyła się o ciebie w Einfell, prawda, Klade? Ta, co opowiadałeś, że byłeś z nią na wojnie i zginęła. Tak mi przykro, Klade...

nie przykro nigdy przykro ani smutno

- Pewnie za nią tęsknisz.

- **Tęsknię** za *Porzeczkowym Snem* i *WiśniowąPociechą*.

- To tylko napoje, prawda, Klade? - Coś zabrzęczało. **Podskoczył**. - Nie bój się. Siedź spokojnie, to tylko maszynka do strzyżenia... - Brzęczenie się nasiliło; kątem oka dostrzegł małą, gniewnie wyglądającą maszynę, nim zaryła się w jego włosach. - Ludzie przychodzą i chcą jeszcze raz. Dasz wiarę, jakby włosy trzeba było strzyć dwa razy!

- Myślą, że jesteś Marion Price.

Zachichotała.

- Wiesz co, Klade, już mi to wcale nie **przeszkadza**. Robię coś pożytecznego, więc co się mam przejmować?

Brzęczenie zbliżało się i oddalało jak wielki letni owad. Tak samo zbliżała się i oddalała Marion. Widział jej ręce odsłonięte do łokci, bo podwinęła rękawy. Tam jej skóra miała inny odcień bieli, z **bladobłękitnymi**

żyłkami biegnącymi prosto na jednym nadgarstku, na drugim zaś wijącymi się wokół szramy, którą mieli wszyscy Tamtejsi i nazywali Znakiem.

- Klade, tak się cieszę, że mogliście się z Ralphem poznać. Przez tyle lat oboje nie mieliśmy pojęcia...

- On też tak mówi.

Brzęczenie ucichło. Potem wróciło, ale trochę zmieniło rytm, Marion nachylała się nad nim i prostowała, owiewając go słodko-cierpkim zapachem spod pach.

- Jest bardzo chory, Klade. Między nami... nasze stosunki były skomplikowane, jeszcze zanim się urodziłeś. Jak ci to wytłumaczyć? Bardzo wiele kiedyś dla siebie znaczyliśmy.

- A teraz?

- Teraz jesteśmy innymi ludźmi. - Maszynka, ruchliwsza niż przedtem, zabrzęcała bliżej, wokół potylicy. - Co się stało, to się nie odstanie. Ale to prawdziwy cud, że wszyscy spotkaliśmy się tutaj, nie uważasz?

Ten mężczyzna Ralph i kobieta Marion Price zawsze robią taką pauzę, kiedy mówią o sobie nawzajem, pomyślał Klade. No i nie Ściskali się, nie Tańczyli i nie Śpiewali jak inni Tamtejsi, mimo że kiedyś, dawno, zanim go porzucili, podobno coś do siebie czuli. Lecz maszynka wciąż terkotała, włosy opadały mu na ramiona i zsuwały się, muskając dłonie. Istotnie, znalazł tu wiele rzeczy, za którymi tęsknił. Pieśń była w tej maszynie, była w mruczającej razem z nią kobiecie. Kiedy Marion Price nachylała się nad nim, widział ją tylko fragmentami. Ramię, policzek, w przelocie druga, pusta dłoń, zagarniająca mu włosy za ucho. Miękkie, biały dotyk bluzki, gdy przywierała do niego ciałem. Klade przypomniał sobie Idę, ciach-ciachającą w Wielkim Domu, złote pukle spadające na podłogę w poprzednim życiu. Był oszołomiony. Pragnął, żeby to trwało bez końca.

- Gotowe. - Marion Price cofnęła się i przekrzywiła głowę, w świetle kominka zobaczył jej twarz i pięknie opadające włosy. Teraz zauważył w nich maleńkie pasemka szarości, jak Ludzie-Cienie. - Ale to jeszcze nie wszystko. - Kiedy próbował wstać, położyła mu dłonie na ramionach. - Bo co z tym? - Poglądziła go palcami po twarzy. - Chyba nigdy się nie goliłeś, co?

Klade nasłuchiwał podzwaniania wody wlewanej do jakiegoś naczynia, potem poczuł na ramionach ciężar ręcznika, chłodnego, pachnącego czystością. I znów stanęła przed nim, niosąc parującą emaliowaną miseczkę z niebieskim brzegiem.

– Potrzyj to. I postaraj się nie trząść. – Omiotła dłonią stół, usiadła, zakręciwszy wielkim pędzlem, ubiła kłęb piany i zaczęła malować nią twarz Klade'a. Pachniała świeżą farbą i kwiatami, łaskotała i dostała mu się w pole widzenia, jak brzeg chmury. – Przechylił głowę. – Złapała go za podbródek, powiodła pędzlem w górę i w dół. – A teraz masz siedzieć całkiem nieruchomo...

Klade stwierdził, że zaczyna rozumieć tę świeżo odkrytą obsesję Tamtejszych na punkcie czystości. Przecież Marion robiła z nim to samo, co wcześniej z całym domem, całe to polerowanie-czyszczenie-zamiatanie-śpiewanie-nucenie-dotykane. Nic dziwnego, że ten dom wydawał się taki żywy. Nic dziwnego, że sam wydawał się sobie bardziej żywy. Wtem przeraził się – Marion wyciągnęła długi, ostry nóż.

– Tęgo nie wolno. Człowiek, co nazywa się Ralph, mówi, że...

- Siedź spokojnie...

Nóż zawisł w powietrzu, połyskując odbiciem jego własnych ust i nosa.

– Nie spinaj się tak. Powoli wypuść powietrze...

Miękkie pociągnięcie-posunięcie. Brzęknięcie o emalię. Nóż wrócił, Klade poczuł na twarzy chłodniejszy powiew, choć z nutką ogniowych iskerek i oddechu Marion Price.

– To mi zawsze przypomina rzeźbienie. Bardzo to lubiłam... - Wysunęła język. Ostrze wykonało ostatni zawijas. - Wtedy ludzie jeszcze pozwalali mi być po prostu pielęgniarką. Te chwile, Klade, są na wagę złota. Tu i teraz. Wojna się jeszcze nie skończyła. Nic właściwie się nie zmieniło. A ja nie jestem osobą, za którą ci ludzie mnie biorą, choć czasami bardzo tego żałuję...

Zupełnie inaczej, niezwykle, czuł teraz swoją twarz – domyślał się więc, że zabieg skończony, ale przez dłuższą chwilę, pulsując oddechami, patrzyli na siebie nawzajem, jakby oboje pragnęli, by to trwało w nieskończoność. Wreszcie Marion wzięła głęboki wdech.

- Teraz porządnie opłucz i wytrzyj twarz.

Ochlapał się pokrytą pianą wodą, otarł twarz. Miał wrażenie, że to twarz kogoś innego.

– A potem, Klade, naprawdę musisz porządnie się umyć. Łazienek jest do wyboru, do koloru. Później masz spalić te ubrania, wszystko jak leci. Nie dadzą się już doprać, a coś lepszego znajdzie się bez problemu. I masz użyć tego. – Włożyła mu w palce miękką gumową butelkę. - Posyp się tym proszkiem wszędzie, zwłaszcza w miejscach, gdzie

masz włosy. - Znów nachylała się nad nim, ale wzrok miała stanowczy i odległy jak ten chory człowiek, kiedy mówił, że nie wolno mieć noża ani karabinu. - Rozumiesz, Klade, co mówię? Posyp się wszędzie. Inaczej nigdy nie pozbędziesz się tego robactwa i strupów. - Jeszcze raz położyła mu dłoń na ramieniu. - No i ostatnia sprawa...

Coś uniosła. Ramkę od zdjęcia, nie, prawdziwe lustro, coś, co Klade przeważnie omijał. Przez chwilę pomyślał, że jest **Człowiekiem-Cieniem**, bo odbicie było niezwykle mgliste.

- Ech, ta para...

Kiedy Marion przeciągnęła z piskiem palcami po szkle, lustro pojaśniało. Klade ujrzał wyraźną, ostrą, wstrząśniętą i wychudzoną **twarz** Tamtejszego, o rysach trochę Marion, a trochę tamtego chorego człowieka.

15

Wszystko wydawało się tak zwyczajne, że aż dziwne. Marion przypuszczała, że jak wszyscy inni znajduje azyl w dawnych nawykach, w powrocie do rutyny. Mijał trzeci dzień, odkąd przyszli do Invercombe, i wrażenie snu jeszcze nie przyszło, choć sekundy nadal płynnie przechodziły jedna w drugą. Nakręcono wszystkie zegary, wahlwie odmierzające teraz godziny, co oznaczało, że cały dom cykał, bił i dzwonił, a wiatr nieustannej burzy pogwizdywał w kominach.

Azyłem było dla niej strzyżenie, opatrywanie drobnych zranień, tak jak dla innych doglądanie kotłów czy przecieranie zastawy, ale cała wojna upłynęła jej na wydawaniu poleceń, a poza tym nazywała się Marion Price i ludzie jej słuchali. Pogodziła się z faktem, że tej tożsamości się już nie pozbędzie. Ktoś zresztą musiał tutaj rządzić. A ponieważ pobojoownicy jakimś sposobem nabrali przekonania, że to ona, a nie Pani Chrząszcz ich tu doprowadziła, widzieli w niej także panią **dómu**. Pozwalali jej karmić się środkami **przeczyszczającymi**, które dawała im, żeby się pozbyli pasożytów, ale w ramach tego uroczystego zadęcia musiała także spać w najelegantszej sypialni i na srebrnym serwisie w zachodnim salonie jeść posiłki, których menu wcześniej zatwierdzała. W końcu, pomyślała, pozwalając sobie pastować buty i układać ubrania, ten dom jest pomyślany dla takich usług, a ci ludzie nie wyobrażają sobie, że nie wrócą do swych cechowych hierarchii. **Tylko** że to nie przetrwa długo.

Ralph także **cieszył** się dość wysokim statusem. Poniekąd sobie nań zasłużył, a plotki o ich dawnym wspólnym życiu tutaj zakradły się do mitologii Invercombe. Natomiast biednego **Klade'a**, nieuchwytnego i uciekającego, gdy się go już **znalazło**, nikt nie uznawał za ich syna. Oczywiście, Ralph nie rozpowiadał tego wokoło, ale tego wieczoru, gdy siedli z Marion do kolacji po przeciwnych stronach **długiego stołu**, duch obecności syna jakby **unosił** się pomiędzy nimi. Wazy **przynosiły** im kobiety w strojach pokojówek i mężczyźni ubrani jak lokaje. Zdarzały się wprawdzie niezręczności, czasem coś rozlano, Cissy Dunning na pewno **przewracała** oczyma, ale wykonywali swe zadanie z uwagą, co wzbudzało Marion, jedzenie zaś, jak zawsze w Invercombe, było przepyszne.

Ralph, daleki w świetle świec, **grzebał** w jedzeniu i marudził. Trudno było stwierdzić, czy właściwie coś je. Gdy unosił widelec do ust, ręce trzęsły mu się tak bardzo, że prawie wszystko spadało z powrotem. Potem odkładał sztućce ze szczeniakiem, jakby chciał zatuszować odgłos odkrzztuszenia w kolejną chusteczkę, które **zwijał** w kulkę i **gromadził** po kieszeniach. Marion najchętniej pokonałaby ten absurdalny dystans dzielącego ich śnieżnobiałego obrusa i **nakarmiła** go łyżką, ale się powstrzymywała. Ralph ani nikt inny niewiele mógł już zrobić - trzeba więc było pozwolić zachować mu godność. Twarz mu wychudła, zapadła się na kościach czaszki. Jego poszarzałe, poplamione dłonie, to chwytające, to upuszczające sztućce, były dłońmi starca. Lecz wzrok miał jasny, a uśmiechał się i reagował na jej słowa z szybkością, która czasem **przywodziła** jej na myśl dawnego Ralpha. Rozumował całkiem racjonalnie, mimo że zbyt dużo czasu **dłubał** przy maszynie obliczeniowej albo czytał książki w bibliotece.

Zabrano jedno danie. Przyniesiono kolejne. Było też wino ze świetnych piwnic Invercombe. To przynajmniej pił - choć czerwien wokół warg mogła być krwią z ropiejących **płuc**.

- Pokazałem dziś **Klade'owi** pozostałości eteru - powiedział, po raz kolejny otarłszy usta. - Rozmawialiśmy o życiu, jakie będzie mógł kiedyś prowadzić, w każdym razie ja mówiłem. Wydał mi się... - **Zachichotał** wilgotno. - Chyba słuchał mnie dla świętego spokoju Odebrałem mu nóż. Myślałem, że to niebezpieczne, że z nim chodzi.

- Ja też się z nim widziałam. Po raz pierwszy naprawdę do mnie przyszedł, to już coś. Pozwolił mi się ogolić i ostrzyć.

- Pewnie wygląda teraz **całkiem** inaczej.

- **Całkiem** jak ry.

Ralph **zaatakował** jedzenie.

- Ciekawe, nie? –powiedział w końcu. - Wszystko tak dobrze się zachowało. Cały czas trochę się zastanawiam, czy wskazania nie są błędne, czy wszyscy nie trujemy się tutaj eterem. - Zakaszał. Z widelca spadł mu konserwowy szparag. - Marion, martwię się o Klade'a.

- Jateż. Mało mówi, lecz nigdy to, czego się spodziewasz, zawsze trochę obok, ale kto wie, co przeszedł w życiu? Widać, że o tym mówić nie chce. A może mówi, tylko my nie rozumiemy...

- A może my powinniśmy i tak odbyć tę rozmowę?

- „I tak”?

- Gdybyśmy mieli... - Ralph znów zaczął szukać chusteczki, Marion czekała, aż przestanie. - Gdybyś ty i ja... Gdybyśmy mieli... –Nie mógł dokończyć.

- Chyba rozumiem, co masz na myśli - powiedziała w końcu. - Klade nie jest już w takim wieku, kiedy rodzice mogą mu zwracać uwagę, jak ma się zachowywać.

- Wynika z tego, że dzieci zawsze nas rozczarowują?

- Ralph, masz inne dzieci. –Odsunęła talerz. Chyba potraktowała go zbyt obcesowo. –Chodzi mi o to, że...

- Nie, Marion. –Ralph uniósł chudą dłoń. - Masz trochę racji. Ale jest na odwrót, to dzieci są rozczarowane rodzicami, a rodzice sami sobą jeszcze bardziej. W tym sęk... - Pospiesznie łyknął wina, powstrzymując kolejny atak kaszlu. - To właśnie najtrudniej znieść.

Pojawiło się i zniknęło kolejne jedzenie. Następną porcja wina, po której Ralph się rozpozogodził. Nawet z tej odległości, zza długiej płaszczyzny obrusa, czuła bijące od niego gorąco.

- Niesamowite, że ten dom zdołał zachować równowagę - mówił. – Pani Chrząszcz miała rację: on na nas czekał. A jeszcze adaptacja środowiskowa... Wiesz, w maszynie obliczeniowej nadal siedzą informacje, które do niej wprowadziliśmy. Skompletowały się tutaj wszystkie rozrzucone elementy naszego życia. Nie sądzisz, że mamy obowiązek w pełni wykorzystać tę szansę?

Marion kiwnęła głową, choć nie była pewna, jaką konkretnie szansę ma na myśli.

- Szczerze żałuję, że zostawiłem to wszystko i wyjechałem. Teraz wiem, że podjąłem błędną decyzję. A może i zawsze wiedziałem. Ale ta teoria mi została. Dane cały czas tam były. Nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy, że jesteśmy aż tak skrupulatni. Brakowało nam po prostu umiejętności, żeby odpowiednio poskładać dane. Tego akurat nauczyłem się w szkole,

której, nawiasem mówiąc, na ogół nienawidziłem. Nic się nie zmarnowało. Wiesz, kiedyś przestałem wierzyć w przeznaczenie. Teraz uwierzyłem z powrotem. I chcę, żebyś coś mi obiecała.

– Obiecała? - Wyobrazila sobie, że chodzi o Klade'a. Ralph miał dziwne pomysły, chciał uczynić ze swego syna zwykłego cechmistrza, a może i więcej niż zwykłego, zważywszy, że w jego oczach należał do rodu Meynellów.

- Hm... - Ralph, wyczuwając nieufność, obnażył w uśmiechu zrozumienia chwiejące się zęby i zanikające dziąsła. --Po prostu chciałbym, żebyś, wyjeżdżając z Invercombe, zabrała ze sobą jak najwięcej mojej pracy. Nie proszę cię o przenoszenie gór, Marion. Mam tylko wrażenie, że po wojnie świat będzie bardziej na nią otwarty.

– Postaram się. - Nie było sensu protestować, że przecież sam będzie mógł to zrobić; umierającym nie pomaga się kłamstwami. --Ale naprawdę nie mam pojęcia, co nas tam spotka. Ani jak długo to potrwa.

Płomyki świec się pochylały. Czują, że zbiera się na burzę. Ralph natomiast, podobnie jak te niby-pokojówki i pseudolokaje, niezręcznie szcękający kieliszkami i wyszczerbiający krawędzie talerzy, niezdarne uwijający się w niedopasowanych liberiach, całkiem chyba uwierzył w tę udawaną normalność.

– Bardzo żałuję, że nie mam siły spacerować po ogrodach i zejść nad morze, ale wszystkie informacje są tutaj. Jest biblioteka, są zapisy klimatyczne notowane automatycznie przez te wszystkie lata, a także prowadzone przez robotników, którzy tu przyjeżdżali. Pogoda zdecydowanie dziwnie się zachowywała. Przez ostatnie parę pracokresów właściwie robiło się cieplej.

– Ale nie da się cofnąć pór roku, prawda?

– Jeśli o to pytasz, to tak, można mieć lato po jesieni.

Gdzieś w domu zegar potrząsnął srebrzystymi dzwoneczkami.

– Tą moc, ten eter... - powiedziała Marion. - Co nim rządzi?

Ralph wzruszył chudymi jak wieszak na ubrania ramionami.

- Nie mam pojęcia. Chociaż...

- Chociaż co?

- Patrzyłem w te zapisy. Też siedzą w maszynie obliczeniowej, jakby coś w rodzaju cienia. Etermistrzowie nie wyjechali stąd ze względu na wojnę, ale dużo wcześniej. A potem nastąpił ten olbrzymi przypływ. Większość eteru, który na nowo wyrafinowali i rzekomo zostawili tutaj, nie notując tego w księgach, zniknęła porwana jedną falą. - Umilkł.

- No i....? Co się stało?

- Tb było...--Ralph nie kaszłał, ale ścisnął w dłoniach swą najświeższą chusteczkę. - To było w dniu Upadku. Kiedy zawałiła się Giełda Dockland.

- I nikt tego nie wysledził?

Ralph pokręcił głową.

~ Invercombe jest prywatną własnością mojego cechu. Wtedy nikogo już tu nie było. Żadnych świadków. A próby odzyskania pozostałego ete-ru uznano wtedy za zbyt kosztowne i niebezpieczne.

~ Kto uznał?

- Za najważniejsze decyzje dotyczące majątku Cechu Telegrafistów zawsze była odpowiedzialna moja matka. - Rozprostował chusteczkę palcami, a potem znów ją zmiął. - W aktach na ostatnim miejscu zawsze jest jej podpis...

Gdy posiłek się skończył, Ralph, chciał pójść za Marion, na piętro głównymi schodami, ale w pewnym momencie został w tyle, jakby zbierał energię, opierając się o krętą balustradę. Wiedziała, że on przepracuje całą noc, może zdrzemnie się obok maszyny liczącej. O ile w ogóle będzie spać. Sypialnia, w której spędził tamto utracone lato, wciąż nominalnie należała do niego, ale unikał jej nawet teraz, po wysprzątaniu morskiego śmiecia i wywietrzeniu.

W jej pokoju kominiek promieniował ciepłem na szerokie, równiutko zaścienione łóżko. Zasłony były zaciągnięte, choć opadały nie do końca równo - Marion miała chęć podejść i je poprawić. Kiedy wstała, zafalowały ku niej, poruszane chłodnymi palcami bryzy wiejącej znad Clarence Cove. W nocy zatoczka wciąż delikatnie się żarzyła. Całe Invercombe wydawało się zatrzymane w czasie, jak ten zegar o miedziocynkowych okuciach, kipiący od złotych ptaków, który tykał, choć wskazówki mu się nie poruszały. Marion o wiele szczęśliwsza była w służbówkach, gdzie spała niegdyś, lecz teraz zajęli je ludzie, którzy pełnili jej dawne role. A ten pokój rzeczywiście był elegancki.

W czasie wojny spłądrowano tyle wielkich rezydencji. Marion sama, z pełną wigoru radością, którą teraz pojmowała dużo lepiej, chodziła ich korytarzami, nakazując uprzątnięcie niehigienicznych gobelinów i gór bezsensownych mebli. Tu jednak czuła się jak w domu. Uniosła

lakierowane wieko gramofonu. Nigdy czegoś takiego nie miała. Uśmiechnęła się, obserwując ramię unoszące się i opadające z płynnością porządnej konstrukcji. Już i tak, choć nie miała pojęcia, jaka to płyta, nuciła pod nosem - igła jednak przeskakiwała po rowkach, wydobywając z nich przerywane trzaskami wycie. Nie wiadomo dlaczego płyta grała wstecz. Marion szybko ją wyłączyła.

Zdjęła ubranie, dorzuciła drewno do ognia, położyła się. Zastłony zafalowały. W głowie wciąż brzmiał jej dźwięk gramofonu, ale gdy złotawy zegar wreszcie wybił godzinę, wkomponował się gładko w jej sen.

Następnego ranka zbudziło ją podane na tacy śniadanie. Odsunięto już zastłony, słońce to chowało się, to wychodziło zza nawianych znad morza chmur. Padał deszcz. Była dziewiąta. Marion rzadko wstawiała aż tak późno; nalewając sobie trzecią filiżankę herbaty i zastanawiając nad kolejną grzanką, zachodziła w głowę dlaczego.

Invercombe właściwie zarządzało się samo, a drobne dylematy, które jej przedstawiano podczas obchodu, były raczej natury rytualnej. Zastwierdziła menu na obiad, przygotowane przez cechmistrza niegdyś prowadzącego herbaciarnię w Bath. Pochwaliła mistrza pralniczego z Saint Austell za białość prześcieradeł. Mówiła sobie, że powinna zinwentaryzować zapasy domu i zorganizować tu coś sensowniejszego. *Ma-ri-on*. Dźwięk, choć teraz dużo cichszy, raczej szepł na wargach niż krzyk na całe gardło, falował i szemrał w pełnych krzątaniny korytarzach. Wiszące na nich wyszywane złote myśli kucharek pod szybkami wyblakły nieregularnie, kojarzyły się teraz z tajemnymi zaklęciami.

Wszystkich już ostrzygła, więc nie miała wiele do roboty – postukiwanie szarpanego wiatrem okna zaprowadziło ją do pawiego salonu. Zamknęła je i zauważyła, że jeden z wiszących w szeregu na ścianie kitajskich talerzy jest przekrzywiony. Kiedy go wyprostowała, przekrzywił się któryś dalej. **Spróbowała** jeszcze raz. Przekreślił się jeszcze jeden, jakby były połączone niewidzialną nicią. Kręcąc **głową**, choć wcale nie bardzo zdziwiona, skierowała się do środkowego hallu, gdzie pod głównymi schodami ciemniała budka telefoniczna. Złapała się na wpatrywaniu w jej dzwonek - chyba jedyny w Invercombe, który jeszcze ani razu nie dzwonił.

Obciągnąwszy wyświechtany płaszcz, wyszła na zewnątrz. Rzeczywiście robiło się cieplej. Choć chmury wciąż się kłębiły, pasma słonecznego

blasku przemykały po górnym tarasie, między posągami, które zamarły w pół gestu, jakby przed chwilą wskoczyły na cokoly. Grzechotały wielkie makówki. Szeleściły łany suchej łązy i lawendy. Pomyślała o nieszczęsnym Ralphie; niedysiejszy poszukujący logiki chłopak stał się mężczyzną, i mówił, że jego przeznaczeniem jest udowodnienie teorii, która rozprawa się z istnieniem przeznaczenia. Trzasnęła błyskawica. Niebieski błysk, fala słońca, potem przetoczył się grzmot. Z jednej strony sady, z drugiej ogrodzone, pełne gazonów i kwietników ogrody. Marion chciałyby spotkać tu Klade'a, ale cały czas była sama. Stawy się na chwilę wygładziły, wypełniając odbiciem nieba, i znów zmarszczyły od kolejnego powiewu.

Kiedy się wspinała na Durnock Head, mijając drzewa w arboretum, przed nią rozpościerały się kolejne połacie ogrodu, jak tarasy wzburzonych wiatrem skalnych zalewisk. Czy to możliwe, że Alice Meynell naprawdę użyła pozostawionego w Invercombe eteru do rzucenia zaklęcia niszczącego jej własny dom cechowy? Przecież podczas katastrofy była w nim i o mały włos nie zginęła. Ale przeżyła, jej cech się wzmocnił – a całą tę wojnę można było właściwie uznać za konsekwencję Upadku. Mimo pogłosek ludzie nie uwierzą, że to wszystko uknuł cech, który najbardziej ucierpiał...

Wspięła się po schodkach do świątyni. Wiatr dudnił pod kopulastym, białym dachem. Szarpał kolumny kaskady harfy, potem wirował w nagłym przejaśnieniu ukazującym Kanał Bristolski. Wął się rozpościerała swe góry. Płynęło kilka statków. Dumnymi, ostro lśniącymi łukami przecinał wodę most na Severn. Marion niewiele obchodziły cuda architektury, serce zabolowało ją jednak na myśl, że podczas ostatecznego szturmowania któraś ze stron na pewno zniszczy tę zgrabną konstrukcję.

Bum, bum, bum. Wiatr, basowy acz przenikliwy, to głośny i porywisty, to cichy i spokojny, przemawiał do niej, gdy wyszła ze świątyni. Wabiło ją na brzeg, choć wiedziała, że w zachodnim salonie zaraz podadzą obiad. Wody zalewiska odpływowego chlupotały i gulgotały, gdy przechodziła przez furtkę, potem ruszyła przez pusty, wilgotny piasek, gdzie rozległymi, gładkimi płaszczyznami skrzącymi się srebrzystym światłem rozlewał się przyływ. Chodziła tędy przed wojną, a teraz nieustannie zmieniający się brzeg drwił z niej, udając, że jest taki sam. Takie same skały, zapachy, frędzle morszczyzny. Zdjęła buty, zanim to sobie uświadomiła. Gdy szła pomiędzy panczykami piaskówek i pustymi muszlami okładniczek, chłodny piasek wciskał się między palce jej stóp. Krewetki uciekały do kałuż; gdy pochylała się nad nimi, czuła, że naciąga sobie coś w krzyżu,

ale przyjemnie było zagłębić palce w piasku i wyłowić ząbkowaną muszlę sercówki. Albo ostrygi *cętkowanej*. Palcami otworzyła jedną, stworzenie w środku zabulgotało i sapnęło. Zrobiła to całkiem machinalnie i poczuła smutek, choć potem dostrzegła coś czerwonego pod lśniącym języczkiem i wyловиła to. Krwawa perła - bo to była *Cardiumglycimeris*, ostryga paciorkowa. Kiedyś udawało się, że to pieniądze albo klejnoty; słodczyce, jeśli bawiła się z nią Denise.

Adaptacja środowiskowa to rzeczywiście niezgrabna nazwa dla tak pięknego i surowego procesu. Opierał się na śmierci, nie dbał o nic poza reprodukcją i przetrwaniem, a jednak zdołał stworzyć ten brzeg, ten dom, ten świat. Żadne słowo, żadna fraza nie będą w stanie objąć czegoś tak brutalnego i wszechobecnego. Marion rozejrzała się i zanurzyła palce stopy w sięgającej coraz dalej wodzie. Wtem mignęła jej ludzka sylwetka. Poczula dreszcz na skórze. Czyż nie odgrywała właśnie chwili, kiedy podeszła do niej Alice Meynell? Ale ta sylwetka była drobniejsza, szybka i zwinna. I też się śmiała. Marion pobiegła ku niej. Widmo zmarłej siostry, Sally, rozplynęło się w wirze cienia i światła.

Dzień minął niepostrzeżenie, jak zawsze w Invercombe. Gdy wracała do doliny, słońce już zachodziło. Na górze w domu na pewno dawno stygnie herbata w eleganckim serwisie, a ona nawet nie spotkała Klade'a. Odwróciła się jednak od oświetlonych okien rezydencji i ruszyła ścieżką wijącą się między szemrzącymi jodłami, prowadzącą do wiatrosteru. Budynek delikatnie lśnił, potem, gdy słońce zeszło niżej, całkiem poszarzał.

Przekreśliła żelazną klamkę i po omacku szukała światła. Potężna energetyczna kolumna, trzon urzędnika, uniosła się przez kolejno rozświetlające się światłami poziomy galeryjek. Coś pracowicie mrucało, jak prądnice, jak maszyny obliczeniowe, szmer linii telefonicznych i brzęczenie żarówek, ale w trochę innej tonacji i brzmieniu - dźwięk tego Wieku, a może już następnego. Wskazówki drgały, obracały się pokręta. Wchodząc coraz wyżej, czuła nieodpartą pokusę pokręcenia paroma. Wyobraźcie sobie taką moc, skierować wiatry przeciwko nonsensom wojny...

Co to było?! Rozejrzała się. Pewnie to jej własne odbicie w ukośnej szybce wskaźnika. A może któryś z Ludzi-Cieni. Zaciśnęła palce na emanującej mechanicznym ciepłem, delikatnie radełkowanej gałce, historia jednak ani drgnęła. Taksamo kolej na. Wszystkie były zablokowane, unieruchomione.

Marion jednak spostrzegła, że potężna dźwignia, **służąca**, jak wiedziała, do regulacji ciśnienia atmosferycznego, przesuwana się gładkim ruchem ku górze. Kolejna, w powolnej, baletowej symetrii, powędrowała w dół. **Wiatroster** zaszumił. Po mosiądzu przemknął promyk światła. Czujnie, choć nadal zafascynowana, **wspięła** się do szemrzącej mosiężnej muszli.

Kiedy wyszła na zewnętrzny taras wiatrosteru, jej wzrok musiał się przez chwilę przyzwyczajać, choć nie było jeszcze **całkiem** ciemno. Lśnił Kanał Bristolski. Dalej, za doliną, falował krajobraz Zachodu. Trudno było uwierzyć, że jest prawie środek zimy; wiatr, który owiewał ją i gwizdał na balustradach, był wilgotny i ciepły. Niebo migotało. Może zanosi się na **powazniejszą** burzę? Ale przecież wiatroster Ayres chyba jej kiedyś mówił, że tu jest najbezpieczniej. Wpatrywała się w horyzont, zdumiona, jak daleko widzi. Tam resztki wioski Clyst, światełka Luttrell, potem Hockton. Prawie jakby leciała. A tam Einfell. A może i nie, bo to miejsce świeciło, tętniło życiem. Zamrugła, popatrzyła na północ, na wschód, z nadzieją że wzrok się przystosuje, wtedy zauważyła tam także ruch. Ogniska, drobniutkie **perłkowe** naszyjniki pociągów, blade latarnie namiotów. Dwie zbierające się armie, nic innego. **Słyszała** bębny, grzmoty **dział** powtarzane wesolutko przez burzę.

Uciekła na **dół** i z powrotem do domu. Cokolwiek się wydarzy, kiedy będą ich okrążyć, ludzie na pewno spodziewają się, że ona nimi pokieruje, a nie **miała** bladego pojęcia co robić. Rady Alpha, chorego i stojącego nie wiadomo po której stronie, były śmiechu warte, ale chciała z nim porozmawiać. Nagle rozdzwonił się dzwonek nad budką telefoniczną pod **głównymi** schodami.

Bez tchu, z niedowierzaniem, stanęła jak wryta. **Nienawidziła** tych urządzeń, ale wiedziała, że ktokolwiek dzwoni do Invercombe, odebrać musi ona, nikt inny. Otworzyła drzwi budki i usiadła.

- Marion. Wiedziałam, że cię tam zastanę.

Z drugiej strony lustra, piękna jak zawsze, uśmiechała się Alice Meynell.

16

W wirze spadało się bez końca, lecz Alice już nie bała się tej podróży. Spirale ciemności rozświetlały gwiazdy. Królestwa blasku.

Osiągnięcie tego ostatecznego wtajemniczenia było zwieńczeniem trudu całego życia. Teraz już wiedziała, że rodzice, kiedy utonęli, żeglowali ku niemu jachtem. Podobnie ciotka miotająca się pod szarą powierzchnią wody przy tym okropnym domu koło wodospadu. Lichfield, spacerzy nad Stow Pool z Cheryl Kettlethorpe, zapach gazu, wilgoci, kotów w ruderze, gdzie obie mieszkały, liczni cechmistrzowie, których ścisnęły udami, wszystko to stanowiło dalszy ciąg tej podróży. Potem Dudley, fortepiany, nuda niedzielnych popołudni spędzanych pod parasolami wokół zamku. Dalej Londyn, marzenie wciąż niespełnione, Silus, wreszcie Tom. Nawet kiedy została arcycechmistrzynią, wciąż podróżowała: życie i czas odpływały w tył, trawiąc ciało i kości, trawiąc i nadzieję, ale oszczędzając fundamentalną prawdę, czyli samą ideę podróży. Później podróże z Ralphem w wagonach kolejowych, kołyszących się nieprzerwanie przez gorączkową noc, jego niknące spojrzenie, które zawsze bała się odwzajemnić, teraz jednak zdawała sobie sprawę, że to tylko kolejny odcinek tunelu, za którym czeka wiedza.

A teraz dotarła do Einfell, nic już za sobą nie mając –wszystko czekało przed nią, w Invercombe, w zapadającym tam zmroku. Obrócenie zimowej kampanii na własną korzyść będzie nawet dla niej, doświadczonej intrygantki, nie lada zadaniem. Uruchomiła długie, groźby, przyrzeczenia usłone od tak długiego czasu, że ich adresaci na pewno już czuli się bezpiecznie. Naiwni! Pochlebstwami i argumentami nakłoniła Najwyższe Dowództwo w Londynie do nowego szturmu na pielęgowanej przez nich błyszczącej mapie, a potem do zrealizowania go z szybkością przeczącą wszystkim regułom wyznawanego przez nich planowania. Ale o to właśnie chodziło, taki był cel. Inaczej ta wojna przerodzi się w nieskończony taniec śmierci. Musiała im to uświadomić.

Wiedziała, że odniosła tylko częściowy sukces. Tak, dostała zgodę na błyskawiczny atak. Owszem, zbierała gratulacje za szybkość manewrowania jej batalionów, które, tak jak przewidywała, wzięły Zachód zaskoczenia. Lecz rozkazy, do których ją upoważniono, różniły się nieco od tych, jakie faktycznie wydała, a ta różnica stała się już tak duża, że nie dało się na nią przymykać oka. Skierowała do tego manewru o wiele więcej sił, niż było jej wolno, a potem nie złożyła raportu ani nie zadbała o utrzymanie linii zaopatrzenia, tak że Londyn cofnął nawet to niechętne poparcie. Oczywiście, gdyby udało jej się dojść do kanału, a potem skierować w górę rzeki, w stronę Bristolu, obwołano by ją Aniołem Wschodu. Wiedziała jednak, równie dobrze jak londyńscy arcycechmistrzowie,

że zlekceważyła istotne praktyczne aspekty, że niektóre straty w ludziach były bezsensowne i że jej czas się kończy, Zachód bowiem koncentruje przeciw niej o wiele liczniejsze siły. Lecz zbrojny atak traktowała jako ostateczność.

W ciągu ostatnich paru pracokresów wszystko złożyło się w całość. Ostatnio poddawała się przyciąganiu lustra telefonu z lekkomyślnością, której zawsze sobie odmawiała. A kiedy jej wojska pędziły obłąkańczo na południe i zachód, ona przelewała się przez czerń pośrodku własnych źrenic i leciała z eterem, pędząc przez światło i mrok. Widziała, jak jastrząb widzi swój teren łowiecki, że wszystkie konflikty i nieporozumienia w Europie i Thule zaostrzyły się w starcie angielskich nadziei i uprzedzeń, a potem spłotyły w wojnę. Meandrowały jak gniewne żyły po całym kraju, ale ich rdzeń, serce, nieustannie powiększająca się źrenica, ośrodek leżał przed nią, czekał na nią w słupach chmur otaczających Invercombe.

Żołnierze jeszcze wykonywali jej rozkazy, ale byli bliscy buntu. Doszli tak daleko tylko dlatego, że szaleńcze natarcie nierozzerwalnie ich z nią związało. To oraz bezmyślny szacunek dla tytułów i rang, nawet teraz przepajający cechy do szpiku kości. W ostatnich pracokresach Alice załatwiała wszystkie ważne sprawy przez telefon, żeby nie męczyć się spotkaniami twarzą w twarz. Czymże jest w końcu widzenie, jeśli nie grą przypadkowych założeń, złudzeń oraz światła? Tylko ona widzi autentyczną prawdę, leżącą daleko w głębi lustra, poza otchłanią oczu.

Owszem, opuszczenie Einfell przez jego mieszkańców trochę ją rozczarowało, liczyła bowiem, że jeszcze raz spotka te blade, niewidzialne istoty nazywane przez Silusa Ludźmi-Cieniami, z którymi czuła teraz pewną wspólnotę. Jednakże, po głębszym zastanowieniu, to miało sens: jej wojska posuwały się ostatnio śladem jakiegoś obdartego marszu, pozostawiającego po sobie smród dymu i odchodów, splądrowane i spalone budynki, nabazgrane na murach imię MARION. Oni też szli naprzód. Dla nich blade cienie Einfell też był tylko przystankiem, celem zaś Invercombe.

Odziana w pelerynę z kapturem, którą ostatnio polubiła, wlokąc starzejące się kości, które niedługo planowała porzucić, dotarła do leśnej polany; tutaj sprawy już w zasadzie miały się zgodnie z jej wolą i rozkazami, choć idący za nią mężczyźni z karabinami byli zdumieni i wstrząśnięci. Zobaczyła nawet górę świeżej ziemi, tam gdzie kazała coś odkopać. W oślizłych szczątkach okrytych kłębiącym się całunem insektów było

coś - jakiś ślad wspomnienia, rozpoznania - co nie dawało jej spokoju. Nie miało to jednak znaczenia. Sprowadziła aż tutaj swą osobistą, przenośną budkę telefoniczną, co więcej, nalegała na ochronę i utrzymanie łączącej ją ze Wschodem linii o maksymalnej przepustowości, jednocześnie zaniedbując zaopatrzenie w prozaiczną żywność i uzbrojenie - a teraz miała już o wiele lepszą alternatywę.

Ten mały ceglany budynek pamiętała z poprzednich wizyt w lasach Einfell. Kazała wokół niego rozbić obóz, a znalezione przez nią nieopodal talerze obiadowe ułożyć w ozdobny wzór na gołej ziemi. Kiedy rozpakowano jej rzeczy, nie musiała już się męczyć odgrywaniem roli arcycechmistrzynie i nastawiła gramofon na przepiękny poświst ostatniego, zapętlonego rowka. Zatańczyła do rytmu blasku w powietrzu, podnosząc i oglądając porozrzucane po jej azylu nadpalone, jakby ptasie truchła, potem zaś zabrała się do prostego zadania - ponownego naenergetyzowania budki. Ta przedpotopowa stacja łączyła się tylko z jednym miejscem. Na razie, bo wkrótce saperzy i telegrafści wykopią, rozwiną i pociągną kable na Wschód. Teraz jednak Invercombe wystarczy aż nadto.

Gdy lustro wreszcie zajaśniało, poczuła smutek i zdumienie, że przez tyle lat tak kłopotowała się swym wyglądem. Strząsnęła z głowy kaptur, zwinięta w kulkę rękawiczką starła resztki makijażu, przyjrzała się sobie uważniej. Zabiedzona. Sina, blada. Bardziej przypominała to, co ostatnio wykopali, niż dawną Alice Meynell. Rozluźniając delikatnie jakiś wewnętrzny nerw, co opanowała ostatnio niemal do doskonałości, potrafiła teraz widzieć na wskroś przez własne ciało. Zerknęła na swój poobijany kuferek i uśmiechnęła się. Istotnie, zbyt długo bawiła się kremami i eliksirami, przejmowała profilem podbródka. Żeby odmienić siebie, wystarczy tylko wysiłek nieśmiertelnej woli, nie trzeba kłopotać się niuansami zaklęć z notatnika. Już gdy przyglądała się sobie, napięte, przejrzyste ciało, które widziała w lustrze, stawało się mleczno-gładkie. Prawie pozabawione warg usta nabrzmiały, zmiękły, poczerwieśniały, potem rozchyliły się w delikatnym uśmiechu, odsłaniając doskonałe zęby i koniuszek figlarnego, wilgotnego języka. Kości policzkowe jak z obrazka. Podbródek jak skrzydła łabędzia. Włosy ani złote, ani srebrne, lecz w kolorze tego bez końca rafinowanego i poszukiwanego przez alchemików metalu. Zsunęła pelerynę jeszcze dalej. Uśmiechnęła się, gdy dłonie musnęły lśniąca zagłębienie między idealnymi piersiami. I proszę: oto Alice, Alice Meynell, chociaż wszelka uroda jest złudzeniem. Alice stała się trzaskiem gramofonu, pieśnią w westchnieniu umierającego kochanka, a jej oczy,

ich ciemny rdzeń, samo sedno jej piękna, nigdy, przenigdy się nie zmieniły. Przeniknęła przez nie. W czerń i głębiej.

Ach, Invercombe. Tak, Invercombe. Zdziwiałające, jak tu jest nadal pięknie. Kominy, drzewa, łąki. Potęga i tajemnica tego miejsca zawsze ją przyzywały, lecz ona nie zwracała uwagi na ten syreni śpiew, jak głupi Odyseusz uwiązany do masztu obowiązków arcycechmistrzynie. Owszem, stąd wywołała Upadek, ale zbyt długo trzymała się z daleka, przesadnie obawiając się otaczających ją głupków.

Śledziła ich. Czekwała, obserwowała. Odkrywała rzeczy, o których od dawna wiedziała. Z nagłym smutkiem i ulgą wypatrzyła wśród szeleszczących bibliotecznych stronic przygarbioną, wynędzniałą istotę, w którą zmienił się jej nieszczęsny syn. Tak jak podejrzewała, Ralph znajdował się wśród obdartej bandy, która szła przed nią do Invercombe. W zabłąkanych iskierkach światła i pieśni wyczuwała też szeptliwą obecność Ludzi-Cieni, których wabiło do Invercombe prawie to samo co ją. Słońce o zachodzie rzucało ostatnie blaski na ognisko przed domem. Szepczące wokół płomieni postacie wyglądały na dużo dziksze i groźniejsze od tych sprzątających i gotujących w domu. Niektóre nawet nie były ludzkie. Lecz jedna szczególnie przykuła wzrok Alice wijącej się pomiędzy strużkami dymu. Coś w jego twarzy... Coś w sposobie poruszania się. To musi być, to może być tylko... Alice, anioł płomienia, w którego wpatrywali się teraz niektórzy ze śpiewających wokół ognia, uśmiechnęła się. Oto zobaczyła dziecko spłodzone przez Ralpa z tą nadbrzeżną dziewczką. Potem w ogień uderzył wiatr. Cofnęła się z szelestem miecionych liści. Zawisnąwszy wyżej, dostrzegła kolejną sylwetkę idącą wśród falujących sosen do wiatrosteru.

Doprawdy osobliwe, że ta nadbrzeżna dziewczka, w której zawsze widziała rywalkę, teraz stanie się jej najważniejszym sprzymierzeńcem w realizowanych planach. A może nie aż tak dziwne. Alice mogła zniszczyć Marion Price na milion sposobów, ale zawsze się od tego powstrzymywała. Nazwijmy to instynktem albo przeznaczeniem, wszystko jedno. Obserwowała ją teraz, jak stoi na galerijce wiatrosteru. Nawet z niechlujnie obciętymi, przetykanymi szarością włosami, w brudnym płaszczu, coś w sobie miała - w sposobie poruszania, w spojrzeniu. Niektóre kobiety po pierwszych, łatwych zwycięstwach młodości potrafią osiągnąć kolejny, o wiele wyższy poziom piękna, naznaczony charakterem i życiowymi koniecznościami. To o wiele więcej niż tylko ładny wygląd i Marion Price właśnie to posiadała. Nieważne jej osiągnięcia w zarządzaniu szpitalami - ludzie szli

za nią i podziwiali ją właśnie dlatego. A ona nie zdawała sobie z tego sprawy, a może nie dbała o to. Lecz to także przydawało jej owego piękna...

Swego rodzaju podstęp wobec świata, stwierdziła Alice z pełnym urazy podziwem. Patrzcie na mnie, ale nie patrzcie. Słuchajcie, ale nie słuchajcie. Jak spacer po linie wysoko ponad przyziemnymi problemami życia. Widziała jednak, że w Invercombe Marion balansuje nad dużo głębszą przepaścią, że jest coraz bliższa upojenia swą rzeczywistością czy też przyszłą wielkością. Szczególnie dobrze było to widać, gdy tak stała i **przyglądała** się ciemniejszemu światu - jak księżna, cesarzowa, rywalka. Tak, Alice rozumiała, co ona czuje. Mogła nawet wysiłkiem woli odrobinę wzmocnić jej wzrok, by dokładniej widziała cały krajobraz Zachodu. Ach! Takie chwile ją zachwycaly. Cóż za moc! Cóż za władza! Pierwsze wspaniałe powiewy z uchylającej się bramy w następny Wiek. Wtem, zdezorientowana, zakołysała nagle liną, po której szła - Marion Price, mimo tych wychwalanych przez wszystkich mocy, zmieniła się w kłębek **lęków** i nadziei... i uciekła, pobiegła z powrotem do domu.

Alice ruszyła za nią. Zadzwoniwszy dzwonkiem budki telefonicznej, zogniskowała się w płaszczyźnie odległego lustra i odczekała, aż Marion Price usiądzie.

17

- Mam do ciebie prośbę.
- Spodziewa się pani, że się poddamy.
- Nie, absolutnie nie. Marion Price, potrzebuję twojej pomocy.

Marion spojrzała w dół, odwracając wzrok od niezwykle pięknej kobiety w lustrze. Niemal oczekiwała, że zamiast dźwigni wybieraka w wysięlanej skórą budce zobaczy kratkowaną serwetę bristolskiej herbaciarni, w której spotkały się ostatni raz. I miała to samo poczucie, że Alice Meynell od dawna potajemnie przekształca świat wokół niej w ogromną i wyrafinowaną pułapkę, która za chwilę ma się zatrzasnąć.

- Nie musisz mnie teraz usłuchać, moja droga - powiedziała swym miłym, melodyjnym głosem. - Nadal masz wybór. Ale zanim przerwiesz tę rozmowę, chyba powinnaś wiedzieć, o ile jeszcze nie wiesz, że w promieniu dziesięciu mil od Invercombe stoją już obie wrogie armie. Jeśli nic nie zrobisz, niebawem jedna czy druga zacznie was ostrzeliwać. Albo

spróbują wziąć Invercombe szturmem, albo podstępem. Albo wszystko to naraz... –Wzruszyła ramionami spowitymi w mgiełkę jakiejś tkaniny.

Marion widziała, że Alice Meynell jest w Einfell, w tej starej, murowanej budce, z której wyleciały nokturny. Sądząc po wiszących wokół niej rozpostartych kształtach, na skraju kręgu światła, ich nadpalone i sponiewierane truchła wciąż tam były. Powiesiła je chyba na ścianach, w dziwnym układzie, wśród innych rzeczy.

– Dobrze wiesz, Marion, że wśród bitewnej zawieruchy próżno szukać logiki i porządku. A więc gdy nadarza się szansa, trzeba wykorzystać ją w jednej chwili albo zostawić i przyglądać się, jak wojska ją tratują.

Serce Marion dudniło.

- Nie może pani oczekiwać, że stanę po stronie Wschodu. - Wciąż nie mogła uwierzyć, że rozmawia z Alice Meynell.

- W mojej propozycji nie chodzi o żadną krwawą jatkę ani bitwę. Chcę po prostu to wszystko zakończyć. A może poczekamy, aż moi albo zachodni kanonierzy, parę pól stąd, rozkręcą się przy strzelaniu? Na pewno nie muszę cię przekonywać, że Invercombe ma potencjalnie ogromne znaczenie strategiczne. Zwłaszcza kiedy ludzie uświadomią sobie, że to nie zniszczona jałowa ziemia, jak się wszystkim wydaje. Więc... Pośluszasz czy już skończymy?

- Proszę mówić dalej.

- Naprawdę, Marion, to, co chcę ci powiedzieć, w zasadzie już wiesz. Jeśli więc będę obrażać twoją inteligencję, proszę, okaż mi trochę cierpliwości... - Alice Meynell uśmiechnęła się, choć jej twarzy pozostała enigmatyczna.

Próbuje pochlebić po tym, jak dokonała tylu strasznych rzeczy? Nie, stwierdziła Marion. To wzajemne uznanie, z którego trudno się otrząsać. Nawet gdy odwróciła wzrok od lustra, czuła jej obecność.

- Invercombe – powiedziała Alice – wyzbyło się wprawdzie surowego eteru, jednak w energiach tego domu najwyraźniej zawiera się jeszcze spora jego ilość. Stąd wiatroster. Moim zdaniem, Marion, to miejsce od zawsze było magiczne. Może w głębi tej skały kryje się jakieś niewykorzystane źródło eteru. Albo nawet jakiś rozum. Ale to dygresja. Zapewne domyślasz się, widząc mnie tutaj, że linia prowadząca do Eintell nadal działa. Moi inżynierowie pracują nad nią i niedługo pociągną wzdłuż moich, co prawda słabych i rozciągniętych linii, podłączą ją do głównych sieci Wschodu. Druga linia wychodząca z centralki na skraju posiadłości prowadzi na Zachód. Wyobraź sobie przez chwilę, że na moment

spinamy łąca jednoczące całość Anglii. I co by się stało, gdybyśmy posłali moc Invercombe po tych liniach w obu kierunkach?

- Mówi pani o jakimś niszczycielskim zakłęciu.

- Owszem.

→ Jak to, które spowodowało Upadek.

Alice chyba na chwilę straciła opanowanie nad sobą.

→ To już historia. Istnieją...

- Po wszystkim, co pani zrobiła, chce pani, żebym oddała władzę nad moim... nad Invercombe, aby mogła pani wyrządzić jeszcze więcej szkód?

- Marion. - Twarz Alice Meynell emanowała autentycznym smutkiem. - Mogłybyśmy porozmawiać o wielu sprawach z przeszłości. Mój nieszczęsny syn, który zapewne jest tam z tobą, choć postanowiłaś to przemilczeć, jest jej niewolnikiem, tak jak wielu innych. Zawsze jednak, chcąc coś osiągnąć, postępował honorowo. I ty, jeśli zrobisz to, co proponuję teraz, postąpisz honorowo. Musimy działać. Nawet w Invercombe zegary czasem muszą chodzić. Zakłęcie, do którego chcę wykorzystać moc Invercombe, nie zniszczy ani jednego budynku - no może parę, które zawaliłyby się i tak, bo ledwo stoją. Ani nikogo nie zabije. Choć oczywiście ludzie i tak zginą - akurat ty doskonale to rozumiesz...

Pomyśl, Marion, o dwóch armiach naprzeciw siebie. Moje linie, szczerze przyznając, są rozciągnięte do granic możliwości. Jeśli mamy atakować, to już, zaraz, nim Zachód umocni siły i ściągnie posiłki. Oni z kolei wiedzą, że muszą zneutralizować nasz szturm. W każdym razie zaatakować muszą obie strony. Oczywiście, tak liczny kontratak osłabi ich siły na innych frontach. Moi tak zwani mistrzowie jeszcze mi za to nie podziękowali, ale dałam im okazję do podejścia pod Bristol od północy. Tak czy inaczej, najprawdopodobniej jutro nad całym teatrem wojennym zagrzmia działa. Przeleje się mnóstwo krwi, choć obie strony będą protestować, że kolejna jatka jest ostatnią rzeczą, jakiej pragną.

Ale zastanów się nad tym. Pomyśl, co by się stało, gdyby fala jednego zakłęcia zniszczyła wszystkie linie telefoniczne w Anglii. Główne maszyny obliczeniowe natychmiast zamrą. Parę chwil później ustaną dostawy elektryczności. Zatrzymają się tramwaje i pociągi. W wysokich budynkach windy utkną między piętrami. Wszędzie momentalnie zapanuje zimna, bezświetlna ciemność. Przesną pracować pompy. Niebawem zabraknie paliwa, wody i gazu. Ale to jeszcze nie wszystko. Celowniczy mojej artylerii, na przykład, ściągający dane o celach do liczykamiaków, stracą orientację. Zatrzyma się cały obieg elektryczności i informacji, będący smarem

nowoczesnej armii. Nie twierdzą, Marion, że armaty nadal by nie **strzelały**. Jednak żołnierze są przede wszystkim cechowymi - i gdyby ustał przepływ rozkazów, działałoby się to o wiele rzadziej. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Myli się pani – powiedziała Marion - **mówiąc**, że nikt nie zginie. Moje... wszystkie szpitale mają wiele systemów, które wymagają prądu, informacji i porządku... W miastach wybija ścieki. Zapanuje chaos.

- Ach, chaos! - Alice zaśmiała się radośnie. - **Całkiem** inaczej niż *te-raz*, prawda? Ale wierzysz, że coś takiego jest możliwe. To mnie cieszy. Dodam coś jeszcze. Nie tylko ty i ja mamy po dziurki w nosie tej wojny. Pomyśl o biednym Ralphie. Pomyśl o zwykłych żołnierzach i cywilach. A nawet o ludziach, którzy szli za tobą do Invercombe. Wszyscy szukają nowego przywódcy i nowej drogi. Czy inaczej skandowałiby twoje imię? Wielcy mistrzowie w londyńskich i bristolskich domach nie tylko wiedzą o tym rozczarowaniu - obawiają się go i je podziwiają. Oni też stracili ukochane osoby i inwestycje. Ich cechy się osłabiły. Stracili część władzy. To zakłęcie, mały akt zniszczenia, który proponuję, da im upragniony pretekst, żeby zmienić kurs ich dążeń. Przez parę pracokresów, kiedy nie da się prowadzić prawdziwej wojny, kiedy będzie trwać odbudowa sieci i systemów, jedynym wyjściem dla nich staną się rozmowy o pokoju.

Pokój - dziwne słowo jak na kształtne usta tej kreatury. Była jednak przekonująca i Marion nie wątpiła w jedno: właśnie Alice Meynell, nikt inny, jest w stanie coś takiego uczynić. Pozostawały jednak oczywiste pytania.

- Proszę mi powiedzieć, pani arcycechmistrzyni. Jeśli to **się** stanie, jak pani na tym skorzysta?

Alice ponownie się uśmiechnęła. Zgadzała się z nią, przyznawała jej rację. *Tak, my dwie możemy rozmawiać szczerze. Na tym świecie — wiem, Marion, że sądzisz to samo - pełno jest tępaków, bezmyślnych naśladowców i głupców.*

- Mój cech, Marion, ucierpiał na wojnie co najmniej tak mocno, jak wszystkie inne. Tu niszczenie, tam łatanie. Można rzucić to wszystko i zbudować od podstaw nową ogólną sieć. Ale to na marginesie. Marion, nie jestem już tą osobą co kiedyś. Pogodziłam się z faktem, że i ja muszę się odmienić. A skoro jestem, kim jestem, odmienić się musi także świat wokół mnie. Dla mnie ten szturm to postawienie wszystkiego na jedną kartę. W tym stanie nie mogę wrócić do Londynu. Zachód może w końcu wygrać, ale ci, którzy nalegali na zakończenie wojny, zostaną postawieni przed sądem. Będą procesy, **przesłuchania**. Zajrzą pod każdy kamień. Zresztą popatrz na mnie. Jak ja teraz wyglądam. Kim jestem... - Postać

w lustrze **chudła** w oczach. Alice Meynell **stała** się srebrzystym szkłem, igraszką światła i ciemności. Kimś prawie niematerialnym. - Nie mogę dalej żyć w tym stanie, Marion. Muszę się zmienić.

- Zdaje się, że chce pani wejść do Invercombe. Dlaczego **miałabym**...

— Ależ skąd. Wszystko to mogę zrealizować, nie ruszając się z Einfell, a ty z Invercombe. W końcu mamy Wiek Techniki. Samo przesłanie zakłącia jest stosunkowo proste. Sądzę, że Ralph, mimo choroby, spokojnie zdoła tego dopilnować. **Tak** jak **mówiłam**, niedługo powinniśmy mieć połączenie ze wschodnią siecią telefoniczną. Właściwie chyba już je wyczuwam. - Alice zadygotała. Ona albo szkło, w którym się kryła. - Wy musicie tylko z powrotem podłączyć Invercombe do zachodniej sieci, także centralkę, która jest na skraju posiadłości. Mogłabym ci dokładnie wyjaśnić, co w rym celu zrobić, ale jestem pewna, że Ralph doskonale nadaje się do tego zadania. Oczywiście, to praca telegrafisty i będzie musiał zdradzić parę cechowych tajemnic, ale w tej sytuacji nie należy się tym przejmować.

- Czyli **mamy** podłączyć Invercombe do zachodniej sieci telefonicznej, która potem zostanie zniszczona. A ja mam wierzyć pani zapewnieniom, że ta sama katastrofa obejmie i Wschód?

- **O** właśnie. Myślisz dokładnie jak ja... Całkiem jakby to był mój podstęp, żeby przyspieszyć zwycięstwo Wschodu! No i czemu **miałabyś** mi ufać, prawda? Ale może ufasz Ralphowi —przynajmniej na tyle, by mieć pewność, że nie zmieni tego w akt wojskowego sabotażu? Jest telegrafistką i rozpozna, do jakiej części angielskiej sieci telefonicznej będzie podłączony. Jeśli stwierdzi, że to prostacki podstęp, po prostu powstrzyma zakłącie. W każdym razie, Marion, nie oto mi chodzi. Mnie zależy na końcu tej wojny...

Gdzieś daleko wiał wiatr. Gdzieś daleko biły zegary Invercombe. Ale choć Alice Meynell wspominała o braku czasu, tutaj zatrzymywał się on bez wysiłku. Marion miała wiele wątpliwości —przede wszystkim wątpiła w czystość motywów arcycechmistrzyni. Ale w gruncie rzeczy wszystko sprowadzało się do tej decyzji. Mogła powiedzieć „tak”. Albo mogła powiedzieć „nie”.

- Ostatnia sprawa, **Marion**. Nie będę ci mówić o konsekwencjach niezrobienia tego kroku. Sama to sobie wykalkulujesz. Ale żeby to zakłącie zadziało - nie w sensie technicznym, cechowym czy politycznym - musi wydać się ludziom czymś więcej niż tylko potężną awarią prądu. W końcu takie awarie już dały się we znaki wszystkim Anglikom.

To zaklęcie musi być znaczące. Musi być czymś więcej. Nie będę cię zanudzać szczegółami frazy, jakiej wymaga, ale osobom postronnym, czyli w istocie nam wszystkim, wyda się ono trzema szybkimi akcentami. Trzema sylabami. Jednym słowem...

Ma-ri-on.

- Twoje imię, Marion, rozbrzmi w całej Anglii, w każdym kablu, każdej centrali, każdej maszynie. Ja jestem tylko arcycechmistrzynią. Ty jesteś legendą. Jeśli to ma się stać, jeśli ma zadziałać, musi się stać w twoim imieniu, Marion Price, albo wcale.

Dlaczego...

Ależ...

Tyle miała pytań, a teraz wszystkie zawodziły. Rozumowanie pani arcycechmistrzyni było przekonujące. Ten straszny ciężar, który Marion przyniosła ze sobą aż do Invercombe, a on rósł i rósł - bazgroły na murach, skandowanie, trzy sylaby armatniego huku, błagalnie złożone dłonie - wszystko to mogła zmienić w coś pożytecznego, uczyniwszy ten krok. Może nawet przy okazji dowie się, kim jest naprawdę.

Coś usłyszała. Skrzypnięcie, cyknięcie. Uświadomiła sobie, że po prostu z całych sił ścisła dźwignię wybieraka.

- Ile mamy czasu?

- Bardzo mało, dosłownie godziny. Z rana bitwa rozpocznie się na całego. Musisz dotrzeć do tej centrali. Tego nie mogę za ciebie zrobić, Marion. Nie mogę wzbudzać podejrzeń, robiąc jeszcze więcej niż do tej pory. Ale ty musisz pomówić z Ralphem. On też ma rolę do odegrania. Wyślij go do tej budki jak najszybciej.

- Jest ciężko chory.

- Ale jest żołnierzem, prawda? Jest synem swojej matki...

- Co mam mu powtórzyć?

- Powiedz mu... - Alice Meynell się zawahała. - Powiedz mu, że zaraz się okaże.

I lustro zmętniało. Marion ujrzała w nim tylko własne odbicie.

Pobojownicy już szemrali, bo zauważyli bliskość obu armii. Ralpa zastała przy długim białym stole w zachodnim salonie. Stygło przed nim pierwsze danie - zupa. Wydawał się jeszcze bledszy. Prawie jak Alice w chwili, gdy lustro ją zawodziło.

– Właśnie rozmawiałam przez telefon z twoją matką – powiedziała Marion.

To musiał być żart i Ralph spróbował się uśmiechnąć.

Marion, ostrożnie i spokojnie usiadła przy stole. Zaczęła tłumaczyć; nieudolnie nabierana zupa wracała do talerza, a gwar na wewnętrznym dziedzińcu narastał i narastał. Invercombe powoli ogarniała panika.

Ralph, trzeba mu przyznać, wysłuchał. Musiała przerywać tylko na spazmy kaszlu. Zrozumiał każde słowo.

- Wierzysz jej? - zapytał wreszcie.

Pokręciła głową.

– Zrobiła wiele strasznych rzeczy. Wszystko jest w niej nie tak. To nienaturalne, niemożliwe, żeby wcale się nie starzeć. Sądzę też, że ona jest najbardziej odpowiedzialna za tę cholerną wojnę.

Ralph popatrzył na nią zapadniętymi oczyma, a potem wskroś niej. O Alice Meynell wiedział o wiele więcej, niż był w stanie przyznać się przed samym sobą, a co dopiero przed nią. Niknął w oczach, oddech za oddechem, puls za pulsem. Marion mimo woli zastanawiała się samolubnie, czy on podoła temu zadaniu.

- Ralph, ona chciała ci coś przekazać. Takie zdanie: „Zaraz się okaże”.

Ralph uśmiechnął się. Powoli skinął głową.

– Kiedy podróżowaliśmy, ciągle to powtarzaliśmy, zastanawiając się, jak będzie w kolejnym miejscu... – Ślizgając się rękoma po obrusie, podzwaniając sztućcami, podniósł się z krzesła. Marion zauważyła na obrusie czerwone plamy, choć wino, którego nie tknęli, było białe. - Trzeba zaczynać...

- Żeby na nowo uaktywnić centralkę na skraju Invercombe i otworzyć połączenie na wschód, trzeba zrobić to i to - szeptał, położywszy na jej dłoniach swoje, zbyt słabe, by drżały, zbyt wątkie, by czuły zimno.

– To dziwne – powiedziała mu. – Ten niby-zameczek zawsze z oddali tak ładnie wyglądał, ale nigdy do niego nie zajrzeliśmy.

Dłonie nie puszczały.

– Nie możesz iść sama.

- Ale czemu zwracać uwagę na...

– Marion, nie rozumiesz. Obie armie wyślą tu zwiadowców, żeby znaleźć punkty oporu, rozpoznać układ terenu.

– Nie możemy walczyć, właśnie o to chodzi.

- Oni nie będą chcieli się angażować. Jeśli w ciemnościach natrafisz na zachodnich zwiadowców, musisz tylko parę razy strzelić. Wycofają się i wrócą do bazy. Tak to właśnie działa.

Ciało Ralpa było jednym zarem. Odległym i rozpalonym jak słońce. Tyle się mówi o chaosie bitewnym, a tu on tłumaczy to wszystko, jakby było dworskim tańcem.

– Marion, weź ze sobą paru dezertarów. To byli żołnierze, a za tobą pójdą choćby w ogień.

– Ale gdzie jest Klade...?

Zarzucono na ramię broń, przeliczono naboje; dezertarzy przemazzerowali po oświetlonym tarasie pod wysokimi, eleganckimi oknami Invercombe, błyskając twarzami i metalem, z psotworem biegnącym z przodu, a pozeraczem trzymającym się nieufnie z tyłu, jeżdżącym kryżę z parchatego futra. Inni pobojujownicy zebrali się na tarasie, wiwatowali, skandowali. Znajomym dysonansem rozbrzmiały dudy. Wokół Marion i Ralpa zrobiło się luźniej.

– Po czym poznasz, że tam dotarłam?

Zamigotała błyskawica.

– Poznam, gdy tylko sieci się połączą.

- A jeśli nic się nie stanie?

Uśmiechnął się.

– To nasza sytuacja się nie pogorszy.

Przetoczył się grzmot.

– Więc...

Ze świstem nadleciał pocisk, blaskiem wybuchu rozszepiając tarasowy ogród. Powietrze zeszywniało, a potem ustąpiło z sykiem; wokół zadzwoniły spadające odłamki, wciąż wirujące i naenergetyzowane eterem.

– To się musiało stać - powiedział Ralph spokojnie. Rośliny wokół iskrzyły i płonęły. - Może Wschód, ale raczej Zachód. Kanonierzy wstrzelują się, pokazują siłę. Linii telefonicznych nie zniszczą, one są zakopane. Biegnij...!

Marion razem z dezertarami zniknęła pośród nocy, a wtedy Ralph, który w życiu wysłał w mroczną niepewność wiele takich grup, pokuścił się do domu z resztą pobojujowników. Oczyściwszy zaschnięte gardło, poleciał

wszystkim wycofać się do pomieszczeń dla służby, gdzie będą bezpieczni od zbłąkanych pocisków. Nie spodziewał się wprawdzie poważniejszego ostrzału, ale chciał być sam.

Powłóczył nogami, przechodząc przez zachodni salon, gdzie już dawno dopaliły się świece z ich kolacji. W wewnętrznym hallu było pusto, świeciły elektryczne lampy; dobrze, że nie musiał iść nigdzie dalej, a zwłaszcza wspinać się po schodach. W głowie rozbrzmiewał mu własny oddech. Serce waliło. Czuł, że od domu oddziela go ściana, jak we śnie, bardziej nawet niż wtedy, gdy wchodził tu pierwszy raz, w akwariium nurkowego hełmu. Za chwilę znów porozmawia z matką.

To wydawało się zupełną niemożliwością, nie miał jednak ani odrobiny wątpliwości. Rozpoczął dzieło owego śnieżnego dnia pod Hereford. Dziś, tak czy inaczej, je zakończy, a sam skończy się wraz z nim – na dobre zakończy się też wojna.

Do budki jeszcze parę kroków. Tam ciało odpocznie, wysilać się będzie umysł. Dobrze, że nie strzelają. Jeszcze nie. Zastanawiał się, czy okłamał Marion co do intencji obu armii. Czy w gruncie rzeczy ma to znaczenie, jak bardzo naprawdę ją kocha, co się stało z biednym Klade'em, jak mało wszyscy mają do stracenia? Potem z mglistą błogością wspomniął Helen oraz Florę i Augusta, Gussiego, którzy zapewne prześpią to wszystko w cichnym zmroku Londynu. A z rana... z rana...

Zachwiał się. Uświadomił sobie, że nie jest sam. Z zakamarków Invercombe wyszły odmienione istoty, nazywane przez Klade'a Łudźmi-Cieniami. Srebrzyste, jasne, jak uniesiony w powietrze kurz, pachnące morzem, kamieniem i wiekowym drewnem, z szelestem i sykiem stąpające po dywanie, nie wydawały mu się już smutne ani straszne, lecz osobliwie piękne. Drzwi budki zostawił otwarte. Gdy wybierał numer, otaczała go ich obecność. Nawiązując połączenie z Einfell, wyzbył się bólu; głowę wypełniła mu pieśń.

18

Klade pędził, gonił Marion Price i jej Tamtejszych. Po niebie przetoczył się grzmot. Zapłonęły drzewa obdarte przez niekończącą się jesień. Sieknął wiatr. Ale on był Klade'em, był Zuchem, a tutaj toczyła się bitwa. Bitwa go nie powstrzyma.

Niebo znów rozdarła biała rana. Na umierającej ziemi rozplaszczyły się cienie. Buchnęło z niej światło, potem dym, potem spadła kaskada kamieni. Klade obejrzał się ku Inver-cośtam. Otoczone kolumnami światła i mroku, było teraz zwornikiem między niebem a ziemią. Było wojną, było burzą; biegł dalej, powietrze stawiało mu opór, a ziemia ustępowała spod stóp. Kolejny rozbłysk, rym razem gdzieś dalej; znów gorąca fala. Kryjąc się w krzakach, znalazł grupkę Tamejszych. Przekleństwa, szczęk karabinów.

— Nie strzelać! - rozległ się głos Marion Price. - Klade... - W ciszy pomiędzy gromem armat jej twarz była bledsza. Jak serce. Jak maska. — Wracaj, i to już.

Pokręcił głową.

- To niebezpieczne. - Jej dłoń na jego policzku. Tym razem się nie zdrygął.

- A gdzie jest bezpieczne? - zapytał.

Niektórzy z Tamejszych zachichotali. Widział uśmiech Marion Price.

— No dobra, zostań ze mną. Musimy iść dalej.

Nie miał pojęcia, dokąd idą, choć wiedział, że jak najszybciej i jak najciszej trzeba zrobić coś bardzo ważnego, co zakończy tę wojnę. Wiedział także, gdy działa wokół grzmiąły basowym Ma-ri-on, że trzeba zrobić wszystko, żeby ochronić Marion Price. A przed nimi, na łagodnym wzgórzu, wznosiły się jak zapraszająca dłoń piękne, krystaliczne, tęczowe wieżyczki.

Dziwaczna budowla ze szklanego kamienia jakby sunęła ku nim po zniszczonej ziemi. Już prawie. Pozostali Tamejsi omiatali zapadającą ciszę zimnymi czarnymi oczyma karabinów. Lecz budynek nie był zjawą mimo dziwaczego połysku - do wieżyczek prowadziła ścieżka. Były tam nawet drzwi, do których popędziła Marion Price, wyrwawszy się z ochronnego pierścienia Tamejszych. Klade pobiegł razem z nią. Dokładnie w tym momencie ciemność eksplodowała zamiecią pocisków.

Alice Meynell sięgnęła w głąb kufierka i szepecząc pozbawione już magii słowa, półprzejrystymi dłońmi wyciągnęła dziwaczne stronice. Zaśpiewały do niej ideogramy, białe zakrętasy naeteryzowanego atramentu, komety, krążące planety, wirujące gwiazdy. Takie poczucie, że coś,

co tworzysz, zawsze na ciebie czekało, że pragnienie wykonania czegoś zrobiło mały wyłom w substancji świata i możesz czerpać zeń jego doskonałość - towarzyszyło każdemu zakłębciu, choćby najpospolitszemu, rzucanemu przez ostrzącego nóż szlifierza. Ale tak silne nie było nigdy. Nie dało się porównać z mocą zawartą w zworniku największego z budynków ani siłą wiążącą Księżyc z Ziemią. Ani nawet ze stworzeniem całego wszechświata przez Boga Najstarszego we własnej osobie. Choć On akurat, wyobrażała sobie Alice, porządkując płatki opadającej ciemności zmysłami, których nie potrafiła już opisać, On musiał czuć się bardzo podobnie.

Nigdy nie była szczególnie skłonna do wątpliwości, ale teraz wszystko, czego dokonała w życiu, w porównaniu z chwilą obecną wydawało się pełne żalonych wahań. Telefon jest włączony? Oczywiście. Telefony, jak przyływy, pory roku, jak jej nieustające pragnienie zostania kimś więcej, nie dawały się wyłączać. Lecz lustro przed nią – zawieszone w czymś, co według zmysłu wzroku było starym, wilgotnym, murowanym budynkiem, choć dziwacznie udekorowanym, z jedną gołą żarówką – zaiskrzyło i zamigotało. Rozległ się lament bezpośrednio podlegających jej ludzi; zanadto się jej bali, by rozmawiać z nią osobiście, a resztką dawnej Alice Meynell rozprawiła się z ich pytaniami z werwą, która zdjęłaby dawną Alice podziwem. Zachodnie działa zaczęły ciskać pociski. Nie był to jeszcze pełen ostrzał, po prostu się wstrzeliwały, kalibrowały. Kazała odpowiedzieć ogniem z bocznych, wystawionych na wabia pozycji, nie ujawniając jeszcze milczących głównych dział. Zachód niewątpliwie robił tak samo. Właściwie, jeśli się nad tym zastanowić, w bitwie obie strony zachowują się identycznie. Znaczenie ma tylko to, kto wyobraża sobie, że wygrał. A niebawem i to przestanie się liczyć.

Nie miała powodu kłamać Marion Price. Naprawdę dokładnie zaplanowała skutki niszczącego zakłębcia, o którym jej opowiedziała. Cały Wschód, Zachód i wszystko dalej zatrzyma się jak owładnięte paralizem. Najprawdopodobniej wszyscy będą błagać o pokój. Anglia ponownie się zjednoczy. Stan, który zamierzała sprowadzić na kraj, nawet oceniany według innych standardów niż jej własne, pozostawiał wiele do życzenia. Dla niej jednak była to, jak zawsze, kwestia marginalna; trzeba udać, że się posiada odpowiednie karty, zależnie od pożądanego przebiegu gry. Zawsze kierowała się logiką. Owszem, czasem logika doprowadzała ją do klęsk i smutków - jak na przykład ta wojna albo spotkanie z chorym i zagubionym synem. Tak samo odczuwa to każda inna osoba. Lecz

wyjatkowością Alice, jej **własnym** kompasem, osobistym Invercombe, była umiejętność przenikania takich spraw, dostrzegania skrytych za nimi większych prawd.

A teraz przenikam nawet samą siebie, pomyślała, upozowując się w wyczekującej głębi lustra. Sytuacja może jest z. pozoru dziwna, ale droga przed nimi prosta i **wyraźna**. Po rzuceniu zaklęcia, które zaraz podyktuje Ralphowi, stanie się wszystko, co **obiecała** Marion. Ale nie tylko to. Ona, czy raczej istota, którą się stanie, zleje się z zaklęciem i jednym radosnym krokiem przeskoczy do sieci, urządzeń i maszyn obliczeniowych, na których polega ten wiek nowoczesności, a polegać będzie i następny. Stanie się nieśmiertelna, zmieni w czystą moc. Tym krajem będzie rządzić nowa Alice Meynell, jej kwintesencja. Oszałamiająca **perspektywa**. Była pewna, że o niczym nie zapomniła. Sięgnęła po raz ostatni do kuferka, użyła kremu, podkładu i nieco różu na swą blednącą twarz. Potem przypomniała sobie o **wyłożonej** zielonym aksamitem szkatułce, w której od dawna trzymała trofea swych drobnych zwycięstw. Guziki, brosze, szpile do kapeluszy, wisiorki teraz w większości **wydały** jej się anonimowe, ale i tak je **założyła**. Oto są okowy, które niedługo zrzucę, **pomyślała** z triumfalnym drgnieniem, ozdabiając szyję srebrnym **łańcuszkiem** z wisiorkiem w kształcie łezki.

Rozdzwonił się telefon. Po odgłosie poznała, że to z Invercombe, a po drugiej stronie siedzi Ralph. **Uśmiechnęła** się jak każda matka, zadowolona, że syn do niej dzwoni, że nie musi dzwonić do niego sama.

Ile czasu minęło, odkąd się z nią widział? Musiał wysilić umysł, żeby przypomnieć sobie, kiedy siedział z nią, w ostatnich ciepłych promieniach lata, w przeszklonym ogrodzie jej londyńskiego domu. Ta **myśl** go wyczerpała. Zastanawiał się, ile siebie tam pozostawił i co ona robi z widmem, którym się stał.

– Ralph. - Jak zawsze, patrzyła przez niego na wylot. Potem, tak jak za dawnych lat, poczuł, że niektóre z trapiących go bólów i wątpliwości zaczynają ustępować. - Mój skarbie. To już prawie wszystko.

– Ja... - Uświadomił sobie, że już nie da rady kaszleć. Ledwo **słyszał** własny głos, ale **wiedział**, że dociera do niej. –Ja się zmieniłem. Jestem innym człowiekiem.

- Po tej wojnie to chyba nic dziwnego?

W duchu wzruszył ramionami. Słowa, bardziej niż kiedykolwiek, wydawały się między nimi zbędne. Zauważył także, że postać, którą widział naprzeciwko siebie w lustrze, może dowolnie kształtować. Tak, rozumiał teraz, co myśli Marion o Alice Meynell. Potrafił nawet niewyraźnie dostrzec istotę sprowadzającą zemstę i chaos, którą w matce widzieli inni. Ale on ją kochał, tak jak jego ojciec. To najłatwiejsza, najbardziej naturalna rzecz na świecie.

– Co u Helen? Gussiego? Flory?

- Wszystko w porządku, Ralph. Przynajmniej było jeszcze niedawno, ale na pewno nadal mają się świetnie. Kiedy to skończymy, poczują się jeszcze lepiej.

Aleja się niepokoję. Ja nie przetrwam.

Ralph, nigdy nie wolno ci tak myśleć. Pamiętasz te długie podróże po Europie...

Powozy, foyer, kolacja na tacy...

Sięgnęła dłonią przez lustro i dotknęła go. Poczul świeży zapach posiłki i ból zniknął. Ludzie-Cienie byli tu razem z nim. Byli kartami niekończącej się książki. Światłem nad brzegiem morza. Szepcząc zaśpiewy, techniczne wskazania podziałek, przysłon, świadectwa uprawnień, zwiększając przepustowość łącza między Invercombe, Einfell, a otwartą na oścież siecią telefoniczną całego Wschodu, Ralph na nowo poczuł utraconą jedność z matką, bliskość z tym domem i wszystkimi jego zamysłami. Z rozkoszą przeciągnąłby tę chwilę w nieskończoność. Jednak częścią swej jaźni, być może tą samą, która kiedyś leżała w łóżku i walczyła z gorączką, podczas gdy reszta przemierzała kontynenty, poczuł wstrząs kolejnego pocisku armatniego. Wtem z pośpiechem, który poczuł nawet w tym błogim i odległym stanie, zaczęły bić wszystkie zegary Invercombe.

– To, Ralph, zakończ tę wojnę.

Światło rozlało się po ciemnych kartach zakłęb z jej kuferka. Przypominały Ralphowi nocne niebo, skrzącą się wodę, gdy słońce świeci tak jasno, że dołki między oślepiającymi falkami wydają się prawie czarne. Usłyszał ich śpiew. Poczul falę chłodu. Wdychał słony zapach. Otchłań otwierała się pod nim, bolały go płuca.

To, co teraz zrobimy...

W chwili wątpliwości otchłań skurczyła się do jaskrawego rozbłysku brodzika na Wzgórzach Latawcowych. Poczul słodko-gorzki smak chloru i soli.

Czy naprawdę...? Szczerz mówiąc, Ralph, nie wiem. Ale...

Uśmiech. Cichy śmiech. Dłonie. Chronią go. Unoszą.

—Zaraz się okaże...

Wyśpiewali zaklęcie razem, a Ludzie-Cienie śpiewali wraz z nimi.

Marion instynktownie pochyliła się, a Klade, wyraźnie przyzwyczajony do świstu pocisków, pochylił się razem z nią. **Przeczołgała** się ku zagłębieniu w trawie. Skulił się nawet pożeracz, wiedziony resztą instynktu albo pamięci. Tuż przed nimi, wśród skowytu i cichych, głuchych uderzeń, pociski rozrywały na strzępy bezradnego i niegroźnego psotwora. W powietrzu dzwoniło i świstało. Potem zapadła cisza.

Marion nabrała powietrza i zorientowała się, że leży w błotnistej kałuży. Od rozbłyskujących przed nią karabinów dzieliła ją tylko kępa ziemi i trawy, którą miała tuż przed twarzą— żałowała, że nic więcej. Naprawdę powinna tu czekać? Potem, gdy cisza się przedłużała, zaczęła się zastanawiać, czy żołnierze przed nimi nadal tam czekają, czy podkradają się bliżej. Może Ralph miał rację, może zobaczywszy ich, wycofali się. Ale czy dezserterzy nie mieli pierwsi otworzyć ognia? Nie uświadamiała sobie dotąd, ile niepewności powstaje w momencie, gdy ktoś zaczyna do ciebie strzelać.

Zagrzechotał grom. Po niebie przemknął kolejny rozbłysk, lodowatym blaskiem oświetlając zameczek, od którego dzieliło ich może sto kroków. Wtem kępki trawy przed nimi eksplodowały terkotem strzałów. Łuski dzwoniły wokół, ale Marion nie miała ochoty się ruszać. Bala się. To takie proste. Nie myśli się, ciało działa samo, uczucie strachu wypływa wprost z trzewi. Lecz ten strach był jej obcy. Ona przecież jest Marion Price. Nagle deszcz strzałów spadł prawie na ich kryjówkę, wzbijając kamienie i błoto; Marion poczuła ten sam odór strachu, dymu i błota, który przez tyle lat wojny zmywała z tak wielu ciał. Tak dobrze znany, lecz tutaj całkiem nowy. Choć grzmoty ucichły, a karabiny przestały strzelać, jej wzrok wyostrzył się niemal nadnaturalnie. Klade'a **widziała** wyraźniej niż kiedykolwiek w życiu. Dotknęła jego dłoni; uśmiechną się do niej. I on, i ci dezserterzy robili to dla niej. A zameczek był tuż przed nimi. Trzeba było tylko na nowo zebrać myśli.

Zrobiło się jasno—obie strony zaczęły strzelać. Dla świeżo uwrażliwionych oczu Marion tory pocisków były cienkimi liniami dziwoblasku; potrafiła rozróżniać ich kaliber, wyczuwała też większą siłę i poczucie celu,

jakim emanowali zachodni żołnierze znajdujący się pomiędzy nimi a zameczkiem. Ktoś coś krzyknął, w powietrze wzniosła się flara, zalewając ich powodzią białego światła, o wiele straszniejszego niż rozbłyśki dział. Skoncentrowali ogień na jednym z dezertarów, bardziej pechowym niż ona i Klade w dołku, do którego się wczołgali. Szarpany jak marionetka, obracał się, różowy, potem zbiełał, poczerwieniał i upadł, odmieniony nie do poznania, ale wciąż na wpół wyprostowany na strzaskanych kościach. Flara, wydłużając cienie, spadła z sykiem. Zaraz wystrzeliła kolejną. Sytuacja, jest beznadziejna, uświadomiła sobie nagle Marion.

Zerwała się, krzycząc do Klade'a, żeby się nie ruszał. Niesamowite uczucie, skakała, prawie frunęła nad błotnistymi kępami. Padła w miejscu, gdzie krył się martwy dezertar. Ślizgając się po mokrych szczątkach, namacała karabin. Zaraz wzbije się następna flara, ale tam kuli się pożeracz. Jeszcze jeden zryw, pobiegła, ogromny stwór warknął i wzdrygnął się, gdy zderzyła się z jego cuchnącą sierścią. Nawet w tej lśniącej ciemności wyraźnie widziała czerwień jego oczu, hakowatą krzywiznę czarnych pazurów. Poleciała kolejna flara, świat zbiełał, potem poczerńiał od ciemnych śladów pocisków. Ktoś zaczął wrzeszczeć, Marion pogładziła tłuste wżórkę na grzbiecie pożeracza. Wdychając jego odór, zamruczała uspokajająco. Nie miała już wątpliwości, że zachodnim żołnierzom rozkazano bronić zameczku. Przesunęła w dłoniach karabin, obmacując jego wgłębienia i wypukłości. Gdy tylko flara zgasła, dźgnęła łufą bok pożeracza. Stwór wstał z rykiem i chwiejnie pobiegł prosto na zameczek. Marion za nimi, trochę z boku, pochylając się, skacząc, prawie lecąc nad nierówną ziemią, a ogień karabinów koncentrował się rozbłyskami na pożeracz. Bryzgały zeń strugi krwi, ale pędził naprzód. Marion też pędziła, tuż obok, zygżakiem. Zameczek, widziany pod nowym kątem, rozpaczliwie się zbliżał.

Udawał zamek, ale jego blanki i ślepe strzelnice były zupełnie nieprzydatnymi ozdobami. Dlatego żołnierze musieli okopać się na zewnątrz. To stanowiło także ich słabość, oznaczało, że są odsłonięci i w zasadzie unieruchomieni. I nie zwracają uwagi, co się dzieje w środku. W każdym razie taką miała nadzieję. Pożeracz padł. Ulewa pocisków zmieniła się w przelotną mżawkę.

Zachodnich żołnierzy miała tuż po lewej stronie. Słyszała, jak szepczą do swoich karabinów. Wzbiła się kolejna flara, pozostało więc tylko biec. Zderzyła się z niewiarygodną rzeczywistością ruiny. Gdy po omacku pełza wokół niej w oślepiająco białym świetle, spod palców odłupywały

się kawałki cementu. Wtem, nagle i niespodziewanie, natrafiła na otwarte drzwi, wpadła przez nie, uderzając kolanami o mokry beton. Było tu ciemniej, ale nie całkiem ciemno - nawet gdy dopaliła się flara. Na górę prowadziły schody. Unosząc karabin, dysząc zgrzytliwie, jeszcze nie dowierzając, że naprawdę tu jest, zaczęła się po nich wspinać.

Gdy rozszerzyła się wąska spirala, zrobiło się jaśniej. Migotliwy żółty blask. I głośy. Brzmiały nerwowo, ale trudno było rozróżnić słowa; Marion nie wątpiła, że gdy ją zobaczą, strzelą bez namysłu, nawet jeśli podejście z zaskoczenia. Jeszcze raz obwiodła karabin palcami. Wyszepiała w myślach wszystkie modlitwy i zaklęcia, jakie słyszała w jękach i szepcach na oddziałach dla gorączkujących, a ceglany filar pośrodku schodów odchylił się, zakrzywiając w górę ku światłu. Kolejny krok i na pewno ją zobaczą. Ale ciągle szła.

Nagle znalazła się na skraju oświetlonego lampą pomieszczenia. Dwóch kuczających nad czymś mężczyzn obracało się ku niej. Na ich twarzach odmalowało się zdumienie, gdy unosiła karabin. Szczeknął i podskoczył jej w dłoniach. Hałas był potworny. Odrzuciło ich w rył, a ściana za nimi eksplodowała czerwonymi kleksami rozmazującymi się w długie smugi, kiedy się osuwali. Karabin zamilkł. Pomieszczenie się skurczyło. Przypomniawszy sobie, że ma znów oddychać, postąpiła naprzód. Co dziwne, ci ludzie nie nosili mundurów, nie mieli też broni. Przeszukawszy ich, stwierdziła, że mają przy sobie talizmany Zachodniego Oddziału Wielkiego Cechu Telegrafistów, a pochyłali się nad skrzynką z narzędziami. Próbowali unieruchomić tę centralkę; tego właśnie bronili zachodni żołnierze na zewnątrz. Co mówił Ralph? Chyba, że trudniej jest całkowicie wyłączyć taką stację niż uruchomić ją ponownie. Licząc, że to prawda, spróbowała się rozejrzeć.

Choć na zewnątrz grzechotały strzały, w ruinie było słycać basowy, stanowczy pomruk. Było tu jak w jakimś ciaśniejszym wiatrosterze. Niepokojąco blisko wyrwy w ścianie od rykoszetujących pocisków biegły główne przewody. Te grzybkowate pędy anodowanego mosiądzu to rejestry oktaw i odległości. A tu mamy nawet małą głównię, bo stacja jest bardzo starego typu. Wszystko różniło się drobnymi szczegółami od teoretycznego urządzenia, jakie starał się opisać jej Ralph, a jednak, uświadomiła sobie, gładząc palcami przewody i styki, w istocie było takie samo. Gdy zaczynała pracę, słyszała tylko nieustanny pomruk, potem nagłą falą poczuła bliskość Invercombe. A właściwie obecność. Było tutaj, wirowało, pętkliło się jak w nieskończonym gabinecie luster. Uśmiechnęła się.

Przypomniała sobie zakłęcie, ruchy, działania. A one przypomniały sobie ją. Powinna czuć niepokój, tymczasem była niesamowicie spokojna. Jedyne moment paniki nadszedł, gdy odkryła, że nie ma bezpiecznika, ostatniego elementu zwierającego obwód między Zachodem i Wschodem. Rozejrzała się, zauważając płaską realność miejsca, w którym się znalazła, nieustającą kanonadę, ociekające czerwienią ciała zachodnich telegrafistów, powoli zaczynające wydzielać zapach śmierci. Przysiadła, odwróciła ich, obmacała przesiąknięte krwią kieszenie, wyrzuciła portfel, zapalniczkę, wreszcie znalazła znajomy kawałek metalu. Wstawiła go, męską końcówką w **żeńską**, do odpowiedniego gniazda. Dźwięk we wnętrzu stacji się nasilił. Prawie gotowe.

Ze szczeliny w ścianie wystawała wielka dźwignia w kształcie litery T, O ceramicznej rękojeści, ostatecznie zwierająca obwód. Już ściskając ją dłońmi Marion poczuła ciężar, jednocześnie bardzo mechaniczny i wspólnie magiczny. Pociągnęła, umazane krwią palce ześliznęły się ze spękane-go białego szkliwa. Trudniej, niż się spodziewała. Otarła dłonie o płaszcz i naparła całym ciężarem. Dźwignia przez chwilę nie ustępowała, potem przesunęła się, poruszając coś ogromnego, ale doskonale wyważonego. Mechaniczny szcęk. Ton wypełniający maszynownię stopniowo stawał się coraz wyższy. Cofnęła się. Coś się zmieniło, to oczywiste, ale nie miała pojęcia co. Na zewnątrz też coś się zmieniło - **zamilkły strzały**.

Chyba wykonała zadanie, choć coraz bardziej cuchnęło tu śmiercią. Machinalnie ułożyła ciała mężczyzn na podłodze, jak postąpiłaby z każdym innymi zwłokami. Poprawiła cechowe odznaki, naciągnęła ubranie na najgorsze z ran. Zamknęła im oczy. Byli bardzo młodzi, zapewne dopiero podczas wojny zaczęli pracować w swym fachu. Jeden hodował wątki wąsik, drugi miał obgryzione paznokcie. Panowała cisza. Dezerterzy nie mieli już powodu stawiać zacieklego oporu, a Klade... nie, tak daleko nie mogła sięgać myślą. Jeszcze raz podniosła karabin. Teraz napawał ją obrzydzeniem. Jeśli poczeka jeszcze trochę, zachodni żołnierze na pewno przyjdą i dokończą dzieła. Nie miała jednak cierpliwości. Unosząc broń, zaczęła schodzić wąskimi spiralnymi schodkami.

Wciąż była noc, wzrok bardzo powoli przystosowywał się do ciemności. Kuśtykając po śliskiej ziemi, Marion odwróciła się, pociągnęła za spust, prawie nie celując, ale karabin wydobyl z siebie tylko bezradne **klik**. Wtem z mroku rzucił się ku niej stwór podobny do pożeracza. Skuliła się, zaraz go rozpoznała.

- Wygraliśmy - zaseplenił Klade.

Oprócz psotwora i pożeracza w bitwie, znanej potem jako „bitwa o ruiny”, zginęło czterech pobojozników. Nie przeżył żaden z pokonanych zachodnich żołnierzy - zmylonych chaotycznym szturmem dezertersów oraz ich dziką żądzą walki, choć Marion, kiedy odmaszerowywali w milczącą noc, odesłani jej zakazującą, uniesioną dłonią, wiedziała, że ma o nic nie pytać.

Ow dźwięk, zmiana tonu, prześladował ją równie uporczywie jak ofiary. Jak niemożliwa do uchwycenia zmiana tonacji w najdotkliwszym momencie pieśni. Czy wojna naprawdę się skończyła? Zrobili, co mieli zrobić? Nie miała pojęcia. Klade w chwili rzekomego zwycięstwa przycisnął ją do swego wielkiego, zaskakująco męskiego ciała, a ona odrzuciła karabin i chyba odwzajemniła uścisk. Ale w głowie miała pustkę. Poza wspomnieniem ustępującej dźwigni. Poza tą przeciągłą, nieskończoną nutą... Działa ucichły, nad ujściem rzeki niebo już blade - pierwszy zwiastun świtu. Z ciemności wydobył się niewyraźny zarys Durnock Head, potem domu i wiatrosteru. Invercombe powstawało od nowa, jak każdego dnia swego długiego istnienia.

Pytania, pytania, gdy dotarli do ogrodów, a z korytarzyków dla służby wysypali się wywabieni ciszą pobojoznicy, by ich przywitać. Marion jednak trzymała się z tyłu - nie szukali jej zresztą, przynajmniej na razie. Ten głos, ta pieśń... coś w niej było nie tak i nie dawało jej spokoju. Musiała ustalić, co to takiego. Potem wspomniała obietnicę Alice Meynell, że ta wiadomość, to niszczące zaklęcie, będzie brzmiała jak trzy uderzenia: *Ma-ri-on*. Nonsens, wyobrazić sobie coś takiego. I niewyobrażalna próżność. *Ma-ri-on*. Próbowała przypomnieć sobie ten dźwięk, lecz stłumiła go nieskończona nuta, którą wpuściła w linie telefoniczne. Obojętne, co zostało zniszczone dziś w nocy, Marion Price umarła, pomyślała, idąc tarasem do środkowego hallu.

Dom wydawał się pusty. Nie opustoszały, lecz wręcz opuszczony. Gdy butami nanosiła bioto na dywany, nie zadźwięczał, nie zadzwonił żaden zegar. Nawet kiedy okna zaczęły jaśnieć - wśród wieczornej zawieruchy nie zaciągnięto zasłon - nie drgnął choćby cień. Drzwi budki telefonicznej pod głównymi schodami były uchylone, Ralph nadal siedział w środku. Niemal się zdziwiła, znajdując go żywego, choć prawie bez przytomności opadł na dźwignię wybieraka. Razem z tłoczącymi się wokół niej ludźmi zajrzała w lustro. Było całkiem puste.

Ralph był gorący w dotyku, bezwładny i lekki.

- Chyba przestali strzelać — powiedziała, pomagając mu wyjść z budki, myśląc o młodych członkach jego cechu, których pozabijała.

Gdy dygotał, wtulony w nią, pomyślała, że obejmują się po raz pierwszy, odkąd zostawiła go w Sunshine Lodge. Trochę uświadamiała sobie, że równie jak on zawiniła w tym rozstaniu, a jedyną prawdziwą ofiarą jest Klade. Lecz występki, niedbalstwo, wojna, morderstwo, raz popełnione, nie dają się naprawić. Reszta to tylko uzalanie się nad sobą - to właśnie teraz czuła.

Ralph protestował słabo, ale kazała zanieść go do jego dawnego pokoju, a potem, nie mogąc znieść milczących, wyczekujących spojrzeń, wyszła na dwór. Nad ogrodami robiło się coraz jaśniej. Kaskadowe stawy mlaskały. Drzewa ożywały od góry, gałąź za gałęzią. Zeszła w dół ścieżką, przekroczyła pas sprężynującego trawnika i przysiadła przy stawie ze słoną wodą, która przeciekała łagodnie między jej palcami. Ciekawość kazała jej jednak znieruchomieć i przyjrzeć się własnemu odbiciu na wygładzającej się powierzchni. Wschodzące słońce rozpostarło na niebie czerwone proporce, na chwilę barwiąc czerwienią cały staw - właśnie w chwili gdy Marion zmywała z rąk krew. Nie poznawała swej twarzy odbitej w wodzie. Ruszyła dalej brzegiem.

Ralph mylił się: czas dawał się cofnąć. Marion pamiętała ten wiosenny dzień - znała jego odgłosy i zapachy, nagłość światła, tor lotu ptaków jak wzbijających się strzępków piany. Byłoby tak łatwo tutaj zostać. Albo iść sobie dalej, uciekać - wzdłuż brzegu lub w zapomnienie tal przyływu. Co ją powstrzymuje? Nawet do swego syna, Klade'a, czuła tylko stłumioną czulość połączoną z jeszcze bardziej przytępionym żalem. Nie należał do niej, ona nie należała do niego. Na kanale nie było żadnych statków, ale przynajmniej most na Severn wciąż stał, srebrząc się w świetle jak zawieszona w powietrzu firanka.

Marion była zbyt zmęczona, by schylać się po sercówki albo choćby zzuć zniszczone buty. Lecz światło raz jeszcze przyćmiło się i zogniskowało na znajomych skałach. I raz jeszcze pojawiła się tam postać, której przyjrzała się w spokoju, przyzwyczajona już do duchów. Nie, nie Sally. Nie Denise ani Owen, ani ojciec, ani mateczka, ani nawet zniekształcony obraz jej samej, choć obolała postawa widma miała w sobie coś znajomego. Gdy lawirowało między połyskującymi zalewiskami, przypominało raczej coś morskiego niż lądowego. Ożywiony wodorost. Coś zmytego z brzegu. Wyrzucone na brzeg drewno i strzępy żagla. Może zdychający głupek.

- Tak myślałam, że tutaj cię znajdę - mruknęła zjawą.

Dłoń zadrżała i zacisnęła się na wyrzuconym przez fale kij, pod luźną plamiastą skórą to tężały, to rozluźniały się ścięgna i kości. Twarz obwisła wokół pozbawionych warg ust, choć oczy w sinych worach miały jak zawsze zimny, niepokojący wyraz. To wciąż była Alice Meynell, mimo że wyglądała jak stara nadbrzeżna baba, która musi zbierać na plaży kawałki węgla.

- Pani jest odmieniona... - szepnęła zdumiona Marion.

Alice zaśmiała się. Rzadkie włosy oblepiały jej czaszkę.

- Nie ma jak dobry...

- Zakłęcie... wczoraj w nocy. Wie pani, co się stało?

Machnęła wolną od kostura dłoń.

- Nie słyszysz? Gdzie armaty? Gdzie okręty? Czemu nadal tutaj stoimy? Miałam cię za bystrą osobę, jak na nadbrzeżną dziewczkę, a nie za kogoś, kto nie dowierza własnym zmysłom. Ralph, żyje, prawda? Zresztą ten dom nie pozwoliłby mu umrzeć...

- I myśli pani, że wojna się skończyła?

- To nie takie proste, ale sądzę, że w Bristolu i Londynie już toczą się procesy zmierzające w tym kierunku. - Kolejny chichot. - A na pewno w rozspyce są moje wojska. - Znów rżenie. - Masz, co chciałaś. I nawet tego nie poznajesz, nawet nie wiesz co z rym zrobić. To takie typowe dla... - Gdy dobierała słowo, na jej haczykowatym nosie utworzyła się i rozbłysła kropla rosy. Potem porwał ją wiatr. - Dla nas, ludzi. Wszyscy jesteśmy tacy sami.

- Pani wiedziała, że ruina będzie broniona. Zginęli tam ludzie. Ja sama zabiłam... - Marion otarła twarz. Brzeg cofał się słonymi mackami. - Zabiłam dwóch ludzi. Z Zachodu, z pani cechu. Nawet nie mieli broni. A ja...

Wychudła dłoń chwyciła jej ramię, ścisnęła.

- Zrobiłaś co należało. Co innego mogłaś zrobić? Myślałaś, że da się zakończyć całą wojnę, nie przelewając ani trochę krwi? Uważasz, że w pozbawionych prądu miastach nikt nie ginie? Że armaty nie strzelają, bo ich tu nie słychać? Aby dotrzeć do lepszego, trzeba przejść przez najgorsze. Marion, nie rozumiesz tej oczywistości? Wszak twoje życie jest najlepszym przykładem.

- Ja starałam się robić to co najlepsze.

- Najlepsze! - parsknęła Alice, wędrując wzrokiem po lśniącem morskoczynie. - Mimo to latałaś wracających z frontu żołnierzy, tak jak inni

produkowali dla nich amunicję, żywność, żeby mogli ponownie stanąć do walki. Nie wydawało ci się, że jesteś tak samo winna jak ci, co strzelają? Wczoraj w nocy mogłaś przynajmniej na chwilę odłożyć na bok te wszystkie bzdurne usprawiedliwienia i zrobić coś dla siebie. Bo inaczej po co byś w ogóle wracała do tego domu? Po co byś pozwalała tej bandzie za sobą iść? Zrobiłaś to, bo tego chciałaś, Marion Price. Nawiasem mówiąc, przepraszam, że cała ta fala nie skandowała twojego imienia, jak chciałaś, ale zakłęcie okazało się silniejsze, niż myślałam. Ale ty chciałaś wiedzieć, jak to jest mieć moc, mieć władzę. Życie, śmierć... to, co masz zamiast serca, uwielbia się w tym babrać. Cała reszta to tylko scenografia. Ty chyba nawet nie potrafisz kochać, co? Nie, nie tak mocno, jak byś pragnęła. Nie tak, jak wyobrażasz sobie, że kocha ktoś w rodzaju mojego biednego Ralpha. Och, Marion, ja ci powiem, co znaczy miłość...

Miłość napędza wszystko na tym brzegu. Dzięki miłości ptaki krążą w powietrzu i wołają się nawzajem. Miłość to gwałcający żołnierz, to mąż, który wyrusza na wojnę, żeby zabijać innych mężów. Miłość to pszczoła i kwiat. Miłość to zdobycz, którą matka przynosi do gniazda. Miłość właśnie sprowadzała te smutne kobiety do Świętego Alphege'a. Miłość zatrzymywała twojego syna w Einfell. Można się domyślać, że przez miłość czuje się teraz tak zagubiony. Bo my miłością próbujemy nadać swemu życiu pozory sensu albo, gdy nie możemy go znaleźć, chcemy taki sam użytek zrobić ze smutku. Miłość, Marion, doprowadziła nas do wojny. Miłość do miejsc, do osób, do samego siebie, do rzeczy, do ich niezmienności. Miłość to ślepy odruch, Marion. Miłość to sztuczka, którą matka natura nakłania swe wytwory do kopulowania i bronięcia młodych. A ty i ja, Marion, mamy jakąś skazę - czujemy ją, ale nie potrafimy wyjaśnić - i wyobrażamy sobie, że jesteśmy na nią odporne. Ale wiesz co? Wcale nie jesteśmy.

Jak dobrze byłoby wznieść się ponad to, stać się czystą mocą i duchem! Tak, Marion, ja też tego pragnę. Zawładnąć tą bezrozumną siłą, na której zdefiniowanie poświęciliście z Ralphem całe tamto lato. Dlaczego — jak to nazywaliście? adaptacyjne przeznaczenie? - miałyby panować nad naszym życiem? Jako istoty rozumne powinniśmy już być ponad to? Wczoraj wieczorem, tak. Wczoraj wieczorem... - W ataku dreszczy, stąpając po lśniącem, miękkim od wody piasku, Alice omal nie upadła. — Byłam w pełni przekonana, że mam okazję stać się czymś innym. Planowałam, że to będzie ostatnia noc. Te ledwo widoczne postaci, które spotykałaś

w domu - najbledsi z odmieńców, najbliżsi czystemu zaklęciu, zniknęli dziś rano, prawda?

Marion milczała. Alice znów owładnęły skurcze; obnażyła nieliczne zęby.

– Tomogłam, to powinnam być ja. Jednego ci wczoraj nie powiedziałam: zaklęcie miało mnie też pochłonać. Zamierzałam przejść przez lustro i całkiem porzucić tę skorupę, którą przed sobą widzisz. Natomiast... stało się... wciąż tu jestem. To nie żaden wielki sekret! Jestem starą kobietą, wyglądałabym jeszcze gorzej, pacykując się kosmetykami i perfumami. Więc dlaczego nie być sobą? Cokolwiek miałam do wczorajszego wieczoru, głupio straciłam. Uciekło w lustro. I, co zabawne, Marion, jestem tak zmęczona, że nawet mnie to nie obeszło.

– Była pani jak Ludzie-Cienie?

– Odmieniona, na pewno. Wydawało mi się, że wystarczająco się odmieniłam. - Zawahała się, kiwnęła głową w namyśle. Połyskliwe fale przyplwy zbliżały się do nich. – Nie, nie to mnie powstrzymało. Ty w ogóle słuchasz? Przecież już ci to mówiłam. Byłam w pogotowiu, przed lustrem. Miałam wykonać skok, gdy tylko pociągniesz za dźwignię w centralce. Nie moja słabość mnie powstrzymała, lecz Ralph. - Urwała. Wykrzywiła twarz. Wreszcie wypluła to słowo: – Miłość. Wczoraj wieczorem trochę za długo się wahałam, Marion, niech Pan Bóg mi wybaczy, bo nie chciałam zostawić syna... Tyle lat temu, gdy najgorzej chorował, miałam takie pragnienie, takie życzenie. W myślach krzyczałam: Niechbym to była ja! Wczoraj wieczorem ta myśl powróciła. I już było za późno...

Błyszczące strzępki zwisające z żylastej szyi i uszu Alice, które Marion wzięła za krople piany albo odłamki muszelek, były, zauważyła teraz, drogocenną biżuterią.

- Może razem wejdziemy w tę lałę, Marion. A może zostaniemy tutaj. Fala i tak szybko nas zabierze. Słyszysz, jak syczy? Możesz mnie utopić albo ja utopię ciebie, to przecież wszystko jedno, która z nas przeżyje...

Wciąż ścisnęła ramię Marion, teraz jednak błagalnie wspierała się na nim. Trudno było nie odczuć także współczucia dla tej starej kobiety. Marion pokręciła głową.

– Dość już było śmierci.

- Nigdy nie jest dość śmierci, Marion. W rym właśnie sęk...

Kuśtykały w stronę lądu, Alice jedną drżącą ręką podpierającą się kitem, drugą uczipiona ramienia Marion. Przez chwilę wydawało się, że przyplwy je wyprzedzi, ale ich odbicia powoli małały w coraz płytszej

wodzie, potem zniknęły. Obie kobiety zaczęły się pięć ku furtce prowadzącej do ogrodów Invercombe.

19

Sygnal, który rozlał się po Wschodzie i Zachodzie, nie był falą, lecz raczej zmianą dźwięku. Zaledwie przesunięciem tonalnym, tak drobnym, jakby chodziło tylko o sam dźwięk – niemniej, rozchodząc się, sprawiał, że napotykanne przezeń maszyny i systemy głuchoły na zakłęcia zarządzających nimi cechmistrzów. Był nowym językiem, irytująco podobnym składnią do tego, który zastąpił, ale niesamowicie trudnym do zrozumienia i wymówienia.

Z telefonów sygnał przeniósł się, tak jak przewidywała Alice, na maszyny obliczeniowe, a z nich na systemy energetyczne, w końcu przenikając wszystkie pozostałe naeteryzowane urządzenia i materiały, czyli niemal wszystko. Przestały funkcjonować nawet z pozoru niezwiązane z sieciami łączności dziedziny współczesnego życia: nie tylko brakowało prądu, gazu, nie działały wodociągi, ale pieśń niesła się też przez powietrze, przechodziła z dłoni do dłoni, z pomieszanych myśli jednego cechmistrza do drugiego. Niebawem kryzys ogarnął i inne kraje – nawet wiatrostery statków na najdalszych morzach zaczynały zachowywać się niespokojnie, a potem, wywoławszy ostatni podmuch wiatru, całkiem milkły. Czy raczej zapadały w uśpienie, cechowi domyślali się bowiem, słysząc nieprzerwany pomruk i łoskot maszyn, że wciąż pracują. Przestały tylko ich słuchać.

Zdarzały się wypadki śmiertelne. Wybuchwały zamieszki. Zawały się budowle. Lecz pieśń była raczej nieustępliwa niż niszczycielska. Wieża Hallam nie upadła, ale zatrzymał się jej promień, wskazując światłem i mrokiem na Zachód. Ocalał także zikkurat Wielkiego Parku Westminster, most na Severn oraz bristolskie domy Kupców-Pionierów. Nie uległy zniszczeniu, tak jak kryjące się w nich maszyny – stały się po prostu niekomunikatywne.

W takich okolicznościach, gdy trzeba się było uciec do podróży konno lub w zaprzęgu, nawiązanie kontaktu między przywódcami Wysokich Cechów Wschodu i Zachodu potrwało dwa dni. Pisana komunikacja była wciąż trudna, spotkali się więc w Meriden, w połowie drogi.

Naturalnie, z początku rządziła obawa i urazy. Lecz ci ludzie dobrze się znali. W lepszych, przedwojennych czasach łączyły ich koligacje, kochanki, wagony kolejowe, plotki czy restauracyjne stoliki. Można więc było przewidzieć, że dygocąc z zimna w rozświetlonym świecami mroku opuszczonego domu, strzeżonego przez żołnierzy uzbrojonych, z braku karabinów, w uratowane z cechowych muzeów miecze, szybko skoncentrowali się nie na podziale łupów, ale na trosce, by w ogóle było cokolwiek dzielić.

Po długim pracokresie burz utrzymywała się na Zachodzie niezwykle ładna jak na tę porę roku pogoda. W Invercombe koło wodne zatrzymało się na swej osi, ale wiatroster wciąż przywoływał fale ciepła, tak silne, że na krótko zapanowało lato. Wbrew przewidywaniom Ralpa drzewa i krzewy nie przestały wypuszczać pączków, a trawa zieleniała po prostu w oczach. Mury się nagrzewały. Nawet cienie rzucane przez niskie, zimowe słońce wydawały się wyższe i wyraźniejsze.

Pobojownicy stracili wszelkie odruchy zachowania czystości, po otwieraniu okna, na trawnikach rozłożono na piknik dywany, potem zapomniane i wdeptane w ziemię. Na tarasy powyciągano ze śmiechem meble. Niebawem nad komodami rozkwitły róże, a zegary biły pośród malw. Nocą blaski i zapachy ogrodu wabiły o wiele bardziej niż nieoświetlony dom i wielu zaczęło spać na dworze. To znaczy, o ile w ogóle spali, gdyż nie tylko w Invercombe, ale w całej Anglii wszyscy oddawali się bezwstydnemu miłości - na chwilę straciły znaczenie wszystkie dawne podziały i animozje. Nocne powietrze było gęste od kwiatowego pyłku, szeptów, żywe od migających tu i ówdzie płatków lub ludzkich kończyn, rozśpiewane krzykami i westchnieniami.

Ralph namówił paru pobojowników, by pomogli mu wynieść łóżko do ogrodu, gdzie powietrze tchnęło niemal upałem. Poprosił, by ustawiono je nad stawem z morską wodą, gdzie wylądowała już sola z pawiego salonu. Położył się, spojrzął w niebo. Na wyszywanych w kwiaty poduszkach przysiadły przedwcześnie zbudzone ciepłem motyle, z gęstego dywanu trawy wypętały pnącza, a wokół igrały cienie falujących drzew. Invercombe oddychało, a on oddychał razem z nim. Wtem usłyszał kroki. Ich odgłos nasilał się i znikał powoli, a wątła świadomość razem z nim. Stwierdził, że to złudzenie, gdy spostrzegł drżący cień.

– Ralph...

I głos, i twarz wydały mu się niemal obce. Uśmiechnął się jednak. Wiedział, że musi tolerować tę mamrocącą staruszkę, w którą zmieniła się matka, choć nie potrafił jej do końca wybaczyć. Stara Alice stała się niebawem znaną w Invercombe postacią, wędrowała do domu i z powrotem, niosąc w trzęsących się rękach tace z posiłkami dla swego syna, albo **siedziała** i rozmawiała z nim, tak jak niegdyś, podczas wspólnych podróży po Europie - zresztą niewiele poza nimi pamiętała.

Wśród rozbuchanej zieleni dom wydawał się wilgotny i stary. Słychać było trzaski i łomoty, gdy bluszcz wcinął się w ściany, gdy osiadały stare deski i kamienie. Główne schody nie były już proste, a kiedy ze ścian podjejmowano gobeliny, żeby w gaju cytrusowym służyły kochankom za pościel, na ścianach **ukazały** się bąble odpadającego tynku. Marion chodziła po pustych pokojach albo godzinami przesiadywała w budce **telefonicznej**, której lustro nadal nic nie odbijało. Czuło się jednak, że jego wabiący mrok ma w sobie coś dziwnie żywego - jakby coś się w nim działo, tylko za szybko lub za wolno, by mogła to zauważyć. Ogrody mniej ją pociągały. Znudziło ją, że ciągle natyka się na splecione ciała. Wołała iść nad morze. Tutaj także na chwilę zapanowało lato, choć poza granicą dobrze znanych skał woda, po której brodziła, znienacka robiła się zimna, a Walia **rozpływała** się we mgle stojącej tuż za kręgiem ciepła.

Czwartego dnia rano, gdy pierwsze róże pogubiły już płatki, a łązy były obsypane kwieciami, spotkała Ralpa. Wstał i spacerował po ogrodzie, choć musiał się podpierać kijem. Wyglądał lepiej, ale starzał się tak szybko, że mógł iść w zawody z matką, coraz bardziej niedołączną i niekomunikatywną.

- O, Marion!

Jak dwoje gości na przyjęciu, myślących, że skądś się chyba znają, przez chwilę niezręcznie stali w blasku słońca. Udało się jej uśmiechnąć, mimo że zauważyła siwiznę na jego włosach oraz wyschłą, obwisłą twarz. To już nie był dawny Ralph; z gorzkim smutkiem uświadomiła sobie, że stoją na ścieżce tuż przy **ogniomakach**, wśród których niegdyś namiętnie się

kochali. Ruszyli dalej. Dziś ogród wydawał się dużo cichszy, zgodzili się, że chyba część pobojowników sobie poszła.

— Do Invercombe przyszedli nowi ludzie, wrócili też ci, co odeszli — powiedział Ralph. — Bo kto by się teraz przejmował cechowymi tablicami ostrzegawczymi? Przynoszą niewiarygodne plotki. Podobno wszystkie największe maszyny liczące dalej pracują, ale nikt nie ma nad nimi władzy. A wiesz, że pomiędzy Londynem i Bristolem działa coś w rodzaju prymitywnej poczty? Wiadomości dostarcza się konno, wozami lub na piechotę. Wyobrażasz sobie. Cofamy się o trzy Wieki!

— Ludzie nie mogą cały czas tylko tańczyć i się kochać.

— No nie mogą, prawda? I wiesz co, nadal nie mam bladego pojęcia, dobrze to czy źle. Może to bez sensu... - W zielonym cieniu iglastych drzew arboretum zwolnił kroku. — Może to bez sensu, Marion, ale wysłałem list do mojej żony, do Londynu. Jeden Najstarszy wie, czy on w ogóle tam dotrze, ale ja będę pisać i wysyłać, dopóki nie pojedę sam i nie zapytam Helen, czy pozwoli mi do niej wrócić.

— Niewiele cię tu teraz trzyma. Chyba że liczysz matkę, ale ją też zapewne ciągnie na Wschód.

— Nie o to mi chodzi, Marion. Chciałem tylko powiedzieć... po prostu chciałem powiedzieć, że bardzo cię kochałem. — Zaśmiał się. — No i już! - Zatrzymał się, obrócił, machając rękami do zielono oświetlonych drzew wokół. — Powiedziałem! I zobacz, nic a nic się na świecie nie zmieniło.

— To nieprawda — odparła Marion. — Ja cię też kochałam. Tylko że...

— Nigdy nie mogliśmy znaleźć na to słowa?

Bez namysłu objęli się, wydawało się, że nie inicjuje tego żadne z nich, że powoduje nimi ta chwila. Marion oparła głowę o ramię Ralpha. Nie czuła już dawnego dystansu, jak wobec pacjenta, lecz obudziło się w niej pożądanie. Pocałowali się, Ralph położył dłoń na jej prawej piersi. Ale nawet w tym przepięknym ogrodzie był to zaledwie duch ich dawnej namiętności i szybko się od siebie odsunęli.

— Czyli... wyjeżdżasz?

— Nie. — Ralph wzruszył ramionami. — To znaczy, jeszcze nie. Cechmistrz we mnie, ojciec i mąż, chce jak najszybciej wrócić do Londynu. Ale reszta sądzi, że ma coś jeszcze do zrobienia w Invercombe. Przecież stąd wysłano zakłęcie. Jak mówiłem, krążą na ten temat najdziwniejsze pogłoski. Zaczekam tu jeszcze parę dni, żeby odzyskać siły.

— A widziałeś Klade'a?

Ralph pokręcił głową; twarz mu na powrót poszarzała z niepokoju.

Marion trudno było znaleźć Klade'a z tego samego powodu, dla którego często był blisko –ponieważ obserwował ją i śledził. Po ogrodzie łazili półnaczy tak zwani pobojoownicy, więc bezpieczniej czuł się na skraju cichszych miejsc, gdzie przebywała ona; uspokajało go milczenie, gdy spacerowała po brzegu morza, jej zdumiony, nieobecny wzrok, kiedy potykał się, idąc za nią o zmroku do domu po oświetlonych kwiatami ścieżkach.

Czasem obserwował pobojoowników, przyglądał się ich zdyszanim, niezdatnym ruchom, słuchał wilgotnych pochrząkiwań. Mając tak blisko matkę, ojca oraz tę zniszczoną istotę, twierdzącą, że jest jego babką, Klade powtarzał sobie, że nie jest już sam. Ale czuł się samotny, zwłaszcza gdy Inver-cośtam zaczęło upodabniać się pewnymi zapachami i ogólnym nieładem do Einfell. Tęsknił za Idą. Tęsknił za Wielkim Domem i Stalmi-strzami. Tęsknił za Ludźmi-Cieniami. Tęsknił za ich pieśnią. Teraz została mu tylko Marion Price, bo byli do siebie bardzo podobni. Tą wędrującą ciekawością. Potrzebę samotności, którą szanował.

Idąc jej tropem, gdy bez zastanowienia kierowała się nad brzeg, obserwował, jak rozmawia z człowiekiem, który był jego ojcem. Szum drzew tłumił ich słowa, ale niebawem –Klade był pewien - wezwą go do siebie z cienia, gdzie się skrywa. I razem będą Śmiać się, Obejmować i Tańczyć na słońcu. Oni jednak przestali rozmawiać i złączyli usta, tak jak wszyscy. Klade przyglądał się rozczarowany, a mimo to posmutniał, gdy odsunęli się od siebie. Udręczony, wciąż kucał w tym samym miejscu, gdy Marion Price zbliżyła się doń, idąc wijącą się ścieżką.

- O... Klade. –Miała w oczach coś dziwnego. - Mógłbyś mi w czymś pomóc? — Uśmiechnęła się; widział, że takim uśmiechem obdarzała Tam-tejszych i pobojoowników, kiedy chciała, żeby coś zrobili. - Trochę ponure zajęcie, ale trzeba wykopać groby dla żołnierzy, którzy zginęli przy tym zameczku. Ze zwłokami nie będziesz musiał nic robić... - Jakby Klade nigdy nie widział zwłok. – Potrzebuję tylko pomocy przy wykopaniu dołów.

Przeszli razem wzdłuż grządek i po trawniku do stęchłej szopy, gdzie znalazła dwa szpadle. Klade, wbijając ostrą krawędź łopaty w ziemię Invercombe, myślał, że przygotowują się do pochowania całej wojny. Minęło południe. Dzień okazał się mniej upalny niż wczorajszy, ale od pracy robiło się ciepło. Gdy dół był już odpowiednio głęboki, Marion

Price, jej dłonie, ciepłe i śliskie od potu i ziemi, pomogły mu wyjść, potem Klade pomógł jej. Gdy oparła się o niego, chwycił ją w tali. Szum drzew się nasilił, niebo **pobłękitniało**. Pośród złotego popołudnia, w cieniu ośmiu rojących się od robaków przyzm ziemi, Klade zauważył, że letnie kwiaty już rozkwitły i niedługo umrą. Wbiwszy szpadel w ziemię, oparł na nim ręce i przyglądał się Marion wycinającej w darni zarys następnego grobu.

— Cieszę się, Klade, że to razem zrobiliśmy. To żadna odpłata, ale lepsze coś, niż nic... - Drzewa zaśpiewały. Jej bluzka pociemniała i opięła się od potu. Klade dobrze już wiedział, czym różni się jego ciało od ciała kobiety, i zdziwiło go, że bezrozumnie pragnie odkryć prawdziwą naturę ciała matki. — I... to straszne, co powiem, ale miałam siostrę, która zachorowała i bardzo szybko zmarła, kiedy byłam mała. I kiedy widzę Ralpha, to... zastanawiam się, czemu on został oszczędzony, a ona nie. — Zaśmiała się. Wyczuwając, gdzie skupiony jest jego wzrok, zapięła guziki bluzki. — Jakbym jeszcze chciała dopatrzeć się w świetle jakiegoś sensu.

— Nie ma.

Zmieniła pozycję.

- Klade, nie zwracaj uwagi na moje gadanie. Jesteś młody, zdrowy, masz mnóstwo czasu. Ralph na pewno pomoże ci zacząć nowe życie o wiele lepiej niż ja. Pamiętaj tylko, że ta staruszka nie jest taką bezradną starą kobietą, na jaką wygląda. Ona jest...

— Czemu się mnie boisz?

— Nie boję się. — Odgarnęła włosy do tyłu.

Gdy podchodził do niej wzdłuż grobów, zapach świeżej ziemi się nasilał.

— Klade, o co ci chodzi?

Ale się bała. Skoro mógł te rzeczy robić jego ojciec i inni pobożownicy, czemu nie Klade? Przecież kochał Marion Price. Tego akurat był pewien. A ona, jako jego matka, na pewno też go kocha? Wyciągnął do niej ręce. Cofnęła się, potknęła o upuszczony szpadel. Klade upadł razem z nią, świadom jej oporu, wiedział jednak dobrze, że jest duży, a ona mała, że kiedy chwyci ją za ramiona i wciśnie w aromatyczną jesienną darń, nigdzie mu nie ucieknie, dopóki nie zrobi z nią wszystkiego, co zechce. Ale ta cała miłość wyraźnie nie tak powinna się odbywać, bo Marion krzyczała, żeby ją puścił, odwracała się to w tę, to w tamtą stronę od jego poszukujących ust, potem grzmotnęła go łokciem w skroń. W głowie mu zawirowało, zobaczył wszystkie gwiazdy. Gdy odzyskał wzrok, widok tej

przerażonej kobiecej, z rozszerzonymi strachem oczyma, zmusił go do rozluźnienia uchwytu. Marion, kopiąc, wijąc się, to ustępując, to nasilając opór, wydostała się spod niego.

Posmutniały, wyczerpany, wtulając twarz w pachnącą ziemię, leżał i słuchał cichnącego tupotu jej oddalających się stóp. Jedna dłoń zsunęła mu się po bujnej trawie do wykopanego grobu, wydało mu się logiczne, że powinien stoczyć się tam cały. Był przecież Zuchem i otulała go miękka ziemia. Kiedy ochłodziło się i zapadł zmrok, zwinął się w kłębek. Potem rozpadał się deszcz.

Spadające z drzew liście oblepiały kamienne ścieżki i sływały rowkami do stawów, gdzie dołączały do kwiatowych płatków, nasion, gnijących owoców i zdechłych owadów – wytworów przyspieszonych pór roku w Invercombe. Tworzyły tamy, zatykały spusty, przez które przelewała się woda, tworząc okrągłe, połączone jak oczka koleczugi kałuże. W nich pacyły się i wiosłowały lwimi łapami szaty na ubrania, a drogocenne gobeliny sływały tęczkami kolorów.

Marion spędziła noc skulona, drząc na żelaznej galeryjce wiatrosteru. Wyglądała w nieoświetloną noc. Od czasu do czasu, gdy wiatr ryknął głośniejszy, a deszcz zaciął mocniej, czuła, jak budowla po raz kolejny niepokojąco się przesuwa. Pierwszy raz dotarła tu normalna pogoda, której nie sprowadziły żadne czary, lecz układ dominujących na wybrzeżu wiatrów. Na co jeszcze czeka Ralph? A może bez słowa pożegnania już wrócił do swej rodziny? I po co ona tak długo tu siedzi? Świat wokół, widziany z wysokości trzeszczącej, ociekającej wodą galeryjki, wciąż wydawał się pusty i niekształtny, a rzeka Riddle zaczęła się przelewać przez kanał młynowy. Wrócić do tego świata, to jak wejść do lustra. Jak rzucić się z tej wysokości.

Noc była długa. O świcie Marion dalej kulila się na gołym, mokrym żelazie, z posiniałymi dłońmi, szczękając zębami. Wśród ulewy, nagie drzewo za nagim drzewem, puste szare pole za pustym szarym polem, oczom ukazywał się powojenny, zimowy krajobraz Somerset. Początkowo wydawał się całkiem opustoszały, potem między czarnymi żywopłotami dostrzegła poruszające się żółte strużki. Dwa żółte światła. Nie migotały. Zerwała się na nogi i patrzyła, jak do Invercombe przedzierają się reflektory jedyne w Anglii działającego auta.

Koła o srebrnych szprychach zagrzechotały na mokrym żwirze, hamując przed frontowymi drzwiami Invercombe. Wycieraczki znieruchomiały, światła zamrugały i zgasły, ze środka wyskoczyło dwóch mężczyzn o wojskowej postawie. Nie nosili żadnych rozpoznawalnych mundurów. Podejrzliwie przyjrzeni się szlochającej rynnami fasadzie i nagim drzewom. Kiwnąwszy do siebie głowami, otworzyli tylne drzwi auta, wypuszczając kogoś w ciemnozielonej pelerynie. Postać odrzuciła w tył kaptur i rozejrzała się wokół otchłannymi zielonymi oczyma.

Silus nigdy wcześniej nie był w Invercombe, czuł jednak, że zna to miejsce aż za dobrze. Starając się nieudolnie zaprowadzić odrobinę porządku, podstawiono wiadra pod najgorsze przecieki i wycieki w głównym hallu, dawno się jednak przepełniły. Niedomknięte okna łomotały, a w powietrzu dominował zapach mokrego tynku i butwiejących dywanów. Było całkiem jak w Eintell, włącznie z poczuciem, że tyle rzeczy trzeba zrobić, ale zapewne nigdy się ich nie robi. Widział jednak, że ten dom nie choruje, lecz umiera. Z pieśni spajającego fundament zaklęcia pozostał zaledwie szept, który łatwo tłumili fale przyływu wpadające zrywami do tuneli w głębinach – a przecież tyle lat dom zdołał z nimi walczyć. Odeszli też Ludzie-Cienie.

Twarze również wydawały mu się znajome. Tak, to ten człowiek, który kiedyś omal tu nie umarł, potem, podczas niedawnej bezsensownej wojny objął dowództwo nad siłami Wschodu, a później jeszcze raz o mało co nie umarł. Teraz wydawał się dość pogodny, choć Silus widział, że choroba tak bardzo go osłabiła, że już długo nie pożyje. A to, naturalnie, dawna jego ukochana – matka Klade'a, sławna Marion Price. Trudno mu było uwierzyć, że naprawdę przed nim stoi przemoknięta, blada, z rozbieganymi, nieufnymi myślami. Widać, że wszystko rozegrało się tu w nawiązaniu do dawnych czasów, czasów gdy ta trzecia postać, nadchodząca teraz, przygarbiona, wsparta na postukującym kiju – powinien ją rozpoznać, ale nie potrafił – panowała nad jego pragnieniami tak dalece, że teraz zdawało się to niewiarygodne. Chciał zapytać Alice, Ralpha i Marion o Klade'a, który musiał być gdzieś niedaleko, ale się zawahał.

Miał ostatnio po uszy złych wiadomości. I cierpienia. A przede wszystkim wcale nie zamierzał się spieszyć.

Zaproponowano im zjedzenie posiłku, na pewno ostatniej wieczerzy tego domu, w powoli zawałającym się zachodnim salonie. Narodziwszy się, dwaj opiekunowie Silusa (jeden z ramienia bristolskich Kupców-Pionierów, drugi - z londyńskich Wysokich Cechów; obaj nie ufali sobie nawzajem o wiele bardziej niż jemu) wyrazili **zgodę**. Szpary w oknach zatknano opuchniętymi od wilgoci poduszkami, na końcach stołu, gdzie nie spadł jeszcze tynk, postawiono świece. Jedzenie z puszek, zimne, niepodgrzane, przełożono na talerze w geometryczne wzory, do picia podano dzbany deszczówki zaczerpnięte z przelewających się beczek, a Silusowi to odpowiadało - dokładnie tak żyli niegdyś z nieszczęsną Idą.

Wśród bębnienia deszczu i sztućców próbował się wytłumaczyć. Przed ludzką publicznością zawsze trudno mu to przychodziło, tu jednak miał niewiele do powiedzenia, nawet zważywszy, że musiał mówić ustami. Musiał powiedzieć o swoim tak zwanym powołaniu do zachodnich sił zbrojnych, o latach trudów i nużących podróży. **O** pojmaniu przez Wschód. Podwinął rękawy peleryny, żeby pokazać srebrzące się na rękach ślady po używanych podczas przesłuchań elektrodach. *Widzicie, ja też mam swój Znak*. Jemu wydawało się to znakomitym zabawnym żartem, ale nikt nigdy nawet się nie uśmiechnął, oni teraz też nie. Jak sądził, po prostu się go bali.

- A potem zawieziono mnie na Wschód. Nastąpiły miesiące pełne nudy. Mogłem śpiewać tylko samotnej żarówce oświetlającej moją małą celę. I przyszła noc zmiany w pieśni, w jednej chwili wszystko zgasło. Ludzie krzyczeli. Strażnicy nie panowali nad zamkami. Lecz ja pomyślałem, że to drobiazg zaledwie...

Ale i wielka rzecz. Uświadomił to sobie, gdy tylko wyprowadził swych strażników i współwięźniów w chaotyczną londyńską noc, nieoświetloną żadnymi oknami ani latarniami. Wiedział to i teraz. Nawet gdyby on i inni odmieńcy, Wybrańcy - jakkolwiek chcesz czy nie ich nazywać - wyszli, rozkrzyczani i mrugający, ze swych kryjówek, uwolnili się z zepsutych oków i zza niedziałających zamków i zaczęli w ramach odpłaty wyciszać tę pieśń, byłoby to zadanie na całe lata. Ale Silus, niegdyś człowiek u władzy, umiał ją dostrzec, gdy pchała mu się w odmienione dłonie i krok po kroku, szczebel za szczeblem, piął się w górę cechowych władz, w miarę jak miasto pogrążało się w otchłani zamieszek. Raz za razem tłumaczył, że

on i wszyscy inni Wybrańcy potrafią gwizdać, śpiewać, nucić, tańczyć do przesuniętej w tonacji pieśni jak do najpospolitszej śpiewki. Pokazywano mu unieruchomione osie. Kazał im się kręcić. W którymś z niższych domów cechowych, trochę nieśmiało, podsunęto mu małą prądnicę. Ona również ożyła. Jeszcze bardziej nieufnie zawieziono go do małej maszyny obliczeniowej w stacji przekaźnikowej jakiegoś pomniejszego cechu. Liczyła się dla nich znacznie bardziej, niż chcieli przyznać. Tym razem odmówił, dopóki nie spełniono rozmaitych warunków dotyczących traktowania innych Wybrańców. Owszem, cechmistrzowie mogli go zabić albo zakuć w tanie, nienaeteryzowane kajdany, ale co by przez to wskórali? On zaś nawiązał już kontakt z Ludźmi-Cieniami, którzy jakimś sposobem przestali istnieć cielesnie, przenosząc się w głąb oplatających Anglię sieci łącznościowych. Wybrańcy organizowali się powoli - tym razem nie będą ich wiązać żadne warunki poza tymi, które sami postawią. To tylko kwestia cierpliwości i czasu. A, i jeszcze paru innych postulatów.

—Choć raz, Alice, postąpiłem tak bezwzględnie, że przyklasnęłabyś mi i podziwiłaś. Ale jednocześnie cieszę się, że uczyniłem dokładnie to, co trzeba było...

Stara kobieta patrzyła nań tępo ponad stołem i Silus zdał sobie sprawę, że ona ledwo widzi, a słuch ma na tyle słaby, że przez hałas, jaki robi przy jedzeniu, pewnie nie słyszy jego seplenienia. Z ich dwojga Alice była o wiele bardziej odmieniona. Przypominała ten ciekący, kapiący dom; osłabłe, ginące zakłęcie. Wiedział, że niebawem będzie musiał zacząć działać, rozpocząć proces odblokowywania zamartej w pół nuty Anglii, tak jak obiecał cechom w Londynie i Bristolu. Ale nawet wtedy, nawet gdy koła na nowo się zakręca, gdy zaszumią prądnice, ich mistrzowie nie będą znali rządzących nimi zakłéc ani nie będą w stanie się ich nauczyć. Co do jednego był bowiem zdeterminowany - wyjaśnił z pełną szczerością. Od dzisiaj praca przy eterze pozostanie wyłącznie w rękach tych, którzy go dotykali i odeń ucierpieli. Wydaje się, oświadczył zmęczonym ludziom przy stole, że to uczciwa rekompensata.

Klade, kłębek błota, powstał z grobu, w którym leżał, i poczołgał się przez ogród w pierwszych przebłyskach zimowego świtu. Ostatnie spojrzenie na dom, powiedział sobie, i odchodzi. Invercombe i tak już było puste. Odeszła większość pobojozników, wygnana podłą pogodą

i perspektywą odmienionego świata, **przewróciły** się wszystkie kominy domu. Z ogromnym zdziwieniem zobaczył przed domem elegancką i poważną maszynę. Dotknął jej zroszonych kroplami chromów i skór, powąchał zionący ciepłą solą silnik, wsłuchał się w wąż, dziwną pieśń. Jak ta maszyna w ogóle tu dotarła? Przecież podobno nic nie działa?

Dostrzegł światło rozlewające się po płytach tarasu. Padało z zachodniego salonu. Przez deszcz słyszał głosy i czuł coś jeszcze. Coś utraconego. Coś znajomego. Obecność - i głos, który brzmiał jak bulgot w rynnie ponad nim, a jednak sprawił, że ukrył twarz w ubłoconych dłoniach. Poczłapał przez gąbczastą trawę i przykucnął w miejscu, gdzie deszcz bębnił po zwiędłych czarnych liściach parasolkowca. Stąd mógł zajrzeć w powybijane szyby przeszklonych drzwi, natomiast ci w środku nie mogli go zobaczyć ani wyczuć - nawet Silus, siedzący u szczytu stołu, gestykulujący... Klade wiedział już, że takie gesty oznaczają władzę.

Mógł kucnąć tu bez końca, mógł też zastukać w okno i poprosić, żeby go wpuszczono. Silus uśmiechnie się wężowo - po latach wróci do niego jego Zuch, który naprawdę urósł - lecz Klade rozumiał już, że w tej piosenke Zucha spotkał całkiem inny los. Zuch rósł, bo zakopano go w dole, takim, jakie kopali wczoraj z Marion, musiał więc tylko poczekać, aż nakarmią się nim robaki i korzenie. Znał gorsze rzeczy niż zmienić się w kwiaty i liście. Na przykład zmieniony wyraz oczu ludzi, kiedy go widzieli. Albo przerażone sapanie **wyrywającej** mu się Marion Price. Albo kiedy był z Silusem, a jednak jakby wcale z nim nie był. Tak samo jak nie całkiem był z Idą czy Fay, czy nawet ze Stalmistrzami, grzmocącymi metalowymi dłońmi i wyśpiewującymi wesołe piosenki. Tak jak nigdy nie był czyjś, nie przynależał do nikogo i niczego, w Einfell czy poza nim.

Bujne ogrody **rozmigotały** się drzewami, deszczem, głosami, blaskiem świec. Wychynawszy z plamy cienia, Klade okrążył dom i dotarł do trawnika, nad którym wciąż ociekało wodą zapomniane pranie. Wszedł do środka przez pomieszczenia dla służby, wymacał drogę pomiędzy porośniętymi pleśnią obrazami, po omacku trafił na schody i ruszył w dół.

Zrobiło się ciemno. Uszy wypełnił już nie szmer deszczu, lecz niższy, basowy jęk niespokojnej słonej wody od dawna falującej pod Invercombe. Na czworakach, potem na brzuchu Klade popętlzł po wibrującym kamieniu. Trudne to było i niebezpieczne. Ale się nie przejmował - te tunele niewiele dzieliło od zawalenia, a z nimi runie cały cypel, ogrody, dom. Jeszcze dzień, jeszcze parę godzin i będzie za późno. Przed oczyma zaczęły mu polatywać pierwsze cętki światła. Wydawało się więc, że idzie

mniej więcej w kierunku, jaki pokazał mu parę dni temu ojciec, choć kamienie poprzesuwały się i odpowiadały echem, którego zupełnie nie rozumiał. Przez chwilę śliskie sufity przed nim i za nim wyglądały, jakby się nieubłaganie zwierzały, i Klade pomyślał, że już tu zostanie, ale potem, przesunawszy się w bok, jakby pchnięty skurczem samej skały, wyładował niemal wyprostowany w kolejnym tunelu, popychany dalej światłem, szumem tal i słonym powietrzem.

Tu, w wyźłobionej w skale malej grocie, nic się nie zmieniło. Klade, obmyty, uwolniony od ubrania podczas walki z chwytliwymi skalami, spojrzął w niszę. Dwie szklane fiołki wciąż się żarzyły i pełgały. Pulsowały zgodnie z rytmem morza. Ojciec, pokazując mu je, mówił o potędze, o pieniądzech. Potem jeszcze coś o biciu i o mocnym kopaniu, o przyszłym życiu – już wtedy Klade wiedział, że nie będzie w stanie żyć w ten sposób. Uniósł buteleczkę. Poczł pulsujący ładunek światła, ryk pieśni. Tb był bowiem eter, sprowadzony tu z daleka jeszcze przed jego urodzeniem, kiedy Marion Price i Ralph Meynell przez chwilę myśleli, że się kochają, kiedy żalosa istota zwana teraz Starą Alice zrobiła coś, czego nikt nie umie jej wybaczyć. To był eter, ta chwila należała do niego.

Korek stawiał opór, potem ustąpił, fiołka przeppełniła się mrokiem i zaśpiewała do niego, gdy unosił ją do ust. W ostatnim ludzkim odruchu niepewności zdrząła mu dłoń. Potem się napił i nie widział już nic poza światłem, nie słyszał nic poza pieśnią.

20

W wiosenny poranek pierwszego roku nowego, jeszcze bezimienne-go Wieku Bristolskie Mogiłki wyglądały nadspodziewanie pięknie. Gdy Marion zbliżała się do co okazalszych pomników, nie odzywały się już do niej głosy i twarze pochowanych pod nimi osób, milczał także porzbijany na odłamki marmur na białej ścieżce. Wyblakły tchnięte niegdyś w kamień zaklęcia, a do ich odnowienia nikt się nie palił, ani Wybrańcy, ani rodziny, które niegdyś tak się na nie wykoszowały. Pomyślała jednak, że to nic złego - a w dole mrucał i dymił rojny od życia Bristol. Czas zostawić zmarłych, gdzie leżą; niech żywi wreszcie mogą żyć.

Mały pomniczek stał pośrodku pola, które, też zaniedbane, zmieniło się w gąszcz wysokiej trawy i kwiatów. Był z gładkiego czarnego marmuru,

niespecjalnie porządnie wyciętego czy wyrzeźbionego, gdyż kamieniarze, jak wszyscy inni, wciąż musieli na nowo uczyć się swego fachu.

*Tu spoczywają
Sally Price,
która żyła i umarła przed tym Wiekiem,
i jej ojciec
Bill Price, „Tatkó”, dumny człowiek z wybrzeża.*

Potem, mniejszym i jeszcze bardziej koślawym pismem:

*Tu leży także
Marion Price.*

Ścieżka wydeptana pomiędzy falującymi dzwonekami i makówkami świadczyła, że przychodzą tutaj też inni. Może dawni pobojoznicy, może żołnierze lub rzeczni żeglarze, których niegdyś Marion opatrywała, może ci, co przeczytali o niej w zachodnich gazetach i przynieśli jeden z tanich amulecików ozdobionych jej twarzą. Było ich na szczęście niewiele, więc mogła się nie bać, że ktoś ją tu spotka, a tym bardziej rozpozna, zresztą dziś mało kogo by to obeszło.

Wyprostowała się i rozejrzała po łące, w jaką zamienił się cmentarz. Zrozumiała, że wszystko rośnie tu tak bujnie, gdyż ziemię przekopywano wiele razy, by pomieścić ofiary wojny. W ostatnich latach angielska ziemia użyźniła się nad podziw, jak pewnie sardonicznie skomentowałby Noll, choć ta myśl nie wydała się jej już smutna, uszczypliwa ani nawet żartobliwa. Tak już ten świat się kręci.

Marion Price i ostatniej wojny, z którą zawsze ją kojarzono, ludzie mieli prawie tak dość, jak ona sama. Chętnie zapominali o okropnościach, o towarzyszącej im pieśni, chętnie wierzyli, że Marion Price zginęła podczas przesilenia, które doprowadziło do wymęczonego pokoju. Jej wspomnienia o tym, co się stało w Invercombe, też były chaotyczne, choć nie mogła zapomnieć krwi dwóch zabitych telegrafistów ani odmienionej tonacji pieśni. Teraz, gdy mówiło się o końcu wojny, nagła katastrofa energetyki i technologii wydawała się częścią nieuniknionego pokojowego dążenia. Wysokie Cechy Wschodu i Zachodu podobno już zimą delikatnie badały grunt, siły kontynentalnej Europy straciły zainteresowanie toczącą się na peryferiach bitwą, a perspektywa kolejnych lat

wojny wydawała się nie do zniesienia. Choć, napomniała się Marion, wtedy też wydawała się nie do zniesienia. A jednak trwała i trwała.

Powoli, związawszy z tyłu coraz dłuższe, przyprószone siwizną włosy, ruszyła w dół ledwie widocznej ścieżki ku chropowatemu miastu, a ciepła bryza rozwiewała jej luźną brązową sukienkę. Tej wiosny Bristol pachniał i brzmiał całkiem inaczej. Tramwaje bezużytecznie zwisały na swych martwych pałkach. Ralph pisał niedawno, że w Londynie zaprzęga się do nich konie, co wygląda jeszcze bardziej absurdalnie. Choć ich ruch, powolne zmartwychwstawanie świata, był także pocieszający. Jedzenia nadal brakowało i było podłe, ale chociaż dawało się je zdobyć, a wodociągi i kanalizacja, przynajmniej w miastach, już prawie działały przez parę godzin dziennie. Ludzie ciężko pracowali nad przywróceniem ich do życia.

Marion zeszła z dolnego skraju Mogitek i zagłębiła się w ulice Bristolu. Były chyba jeszcze bardziej rojne i gwarne niż przedtem. Trwała odbudowa. Niedołężnie stukotały nieliczne połatane i ponaprawiane maszyny, które udało się przekonać, by pracowały nierozpieszczane eterem. Liczne budynki otulały chwiejne rusztowania, bo ich konstrukcję trzeba było wypatroszyć aż po kamień węgielny. Wynoszono wiadra gruzu, palono ogniska, dymem i sadzą zasnuwające poranne powietrze. Wszędzie wrzała praca. Brakowało tylko dobrze znanego zawodzenia cechowych zaśpiewów - wciąż wierzyła, że to pociągnięcie dźwigni w ogrodowych ruinach w Invercombe zmieniło tę przenikającą wszystko tonację.

Minęła Dings. Nad Avon dalej krążyły mewy, targ na Upmeet kłębił się i cuchnął jak zawsze. Bristol to jednak Bristol - widziało się tu twarze we wszystkich odcieniach, słyszało wszelkie możliwe dialekty i niedowierzające przekleństwa na wieść o cenach z sufitu. Większość eleganckich flaszek z winem nie miała etykiet, co Marion zauważyła, gdy straganiarz poklepał się z porozumiewawczym uśmiechem po nosie. Ciekawa sprawa, czy niedomagające państwo też coś miało z tej prywatnej przedsiębiorczości — ale na Zachodzie chyba zawsze tak było. Tu w niedźwiedziej jamie jako atrakcję dnia wystawiano starego pożeracza z czasów wojny, po Sty parę wczesnych młodocianych prostytutek obnosiło swe wyeksponowane towary, a dalej, przy kei Saint Mary gęste maszty statków czekały na odpływ i zmianę wiatru, ich wiatrostery bowiem były bezsilne. Z gęstniejących wątych pasemkach chmur Marion wnioskowała, że po południu wiatr zmieni się na pomyślny.

Noll wciąż pracował w bristolskim szpitalu i wiedziała, że należą mu się odwiedziny, choć o wiele bardziej wołała pisać i otrzymywać listy,

niz spotykać się osobiście. **Lubiła** gąbczastą miękkość mięstego papieru z makulatury, czarny **jak** sadza atrament, powolną podróż każdej z kolejnych kopert, mglistą myśl, że list może w ogóle nie dotrzeć. Zabawne - po **wybujałej nieprzewidywalności** wojny, w tym dziwnym, nowym powojennym świecie, niepewność, do której i ona, i wielu innych Anglików już się **przyzwyczyliło**, zachowała swoje miejsce. Co więcej, „niepewność” należała do słów, którymi się bawił Noll, postanowiwszy niedawno doprowadzić do zaakceptowania przez społeczeństwo zapomnianej i odkurzonej teraz teorii adaptacji środowiskowej - choć Marion wydawało się, że te dwa słowa w nowym Wieku zostaną przypasowane do całkiem innego zjawiska. Pamiętała też dobrze, co powiedziała o miłości Alice w ostatniej sensownej rozmowie. Dręczyła ją niewygodna myśl, że arcycechmistrzynie uosabiała to, jacy staliby się ludzie, gdyby kierowali się w życiu wyłącznie siłami, które starali się kiedyś z Ralphem zdefiniować. Czegoś jednak jej zabrakło, zgubił się jakiś element równania, które rozrastało się i **ciemniało**, aż pozostała tylko zachłanność. Alice nieunikniony wydawał się finalny przeskok w świat czystej mocy i inteligencji maszyn obliczeniowych, Marion zaś sądziła, że nie do uniknięcia był śmiertelny skok ze szklanego balkonu jej trzeszczącego i chylącego się domu cechowego.

Alice Meynell, myślała Marion, skracając ku okazałym gmachom Boreal Avenue, brakowało ludzkiego ducha, który napędzał to miasto, mimo że przed tarasowym frontem Domu Kołodziejów nie grały już fontanny. Ten sam duch sprawiał, że Ralph i Noll czerpali przyjemność z korespondencji dotyczącej teorii, w ramach której nie dałoby się wytłumaczyć ich zawiązującej się przyjaźni. Dla Nolla bowiem, obecnie profesora zwyczajnego na nieśmiało zreorganizowanym bristolskim uniwersytecie, badanie życia było zawodem, dla Ralpha natomiast pozostało hobby, któremu, teraz i przedtem, nie był w stanie poświęcać dość czasu. To jednak Marion wydawało się słuszne - Ralph, często uznawany za pierwszego wyższego **cechmistrza** dążącego do pokoju, nadal kierował Wielkim Cechem **telegrafistów**, mimo że sieć telefoniczna nie działała. Niezaprzeczalnie ekwilibrystyka, jaką było utrzymanie łączności między niespodziewanie odległymi kawałkami Anglii, była ważna. Często pisał, że przyjedzie do Bristolu, ale podróż trwała teraz niemal dwa dni, a on obawiał się narażać zdrowie, nie chciał się też rozstawać z rodziną. Marion, odpisując, prosiła, żeby odpoczął, i powtarzała, że Flora i Gussie są ważniejsi od wszelkiej pracy.

Na przeciwnym końcu Boreal Avenue ponad dym i pył wznosił się budynek zwany niegdyś Domem Cechowym Kupców-Pionierów. Zawsze był niezwykły, ale teraz stał się po prostu niewiarygodny. Kamień koralowy, sześćdziesiąt lat temu zastygły w spienione zwoje i filigranowe zdobienia, na nowo zaczął rosnąć. Gmach był teraz zwieńczony, najeżony i obrośnięty nowymi wieżyczkami i opleciony olbrzymimi, niemal przejrzystymi żyłami, w nocy żarzył się i pulsował jak gigantyczne serce na tle oświetlonego tylko ogniem miasta. Niektórzy uważali, że oszalałmiąco zmienny kształt domu, nazywanego teraz Domem Wybrańców, jest złowrogi, Marion natomiast wydawał się piękny. Jeśli już z czymś się kojarzył, to z grubo porośniętą pąklami skałą. W Londynie podobną, choć pewnie zupełnie inną metamorfozę przeszedł pod wodzą Silusa stary zielony zikkurat Wielkiego Parku Westminster; Ralph twierdził, że stał się jeszcze niesamowitszy. Ale on był londyńczykiem, wiadomo było, że tak powie.

Ruchliwą niegdyś arterię przegradzały bariery, a patrolujący wzdłuż nich ludzie nosili bardzo rzadko spotykane w tym czasie działające karabiny. Tutaj, jak w wielu innych miastach, zdarzały się zamieszki. Ściany wokół pokrywały brzydkie słowa o chochlikach, skrztach, diabłach, Marion jednak zauważyła, że najbliższe jej zwoje budynku są całkowicie czyste - tu poczuła opór, który sprawił, że zawahałaby się, podchodząc bliżej, nawet gdyby nie stał tu strażnik z na wpeł uniesionym karabinem.

- To pani krewna? - zapytał, zerknąwszy na kawałek papieru, który mu pokazała.

Pokręciła głową.

- Priceów jest jak psów.

Przechodnie na Boreal Avenue przyspieszyli kroku albo poczynili znaki dawnych cechów, widząc, jak strażnik wzrusza ramionami i wpuszcza ją do Domu Wybrańców. Główny łuk budynku, wyrastający z dawnej konstrukcji, którą pamiętała z czasów, gdy przychodziła tu awanturować się przy kolejnej przerwie w dostawach środków medycznych, rozrósł się w przeczącą prawu grawitacji kamienną tęczę. Wybrańcy, pomyślała, wiedzą, jak nam, ludziom, zaimponować. Nie są tacy, jak uważamy, a przede wszystkim nie są głupi ani naiwni.

Zmieniło się światło. Miasto zblakło. Czy to jakiś kryształowy ptak poruszył się na niebie? Nie, to tylko jeden ze starych bristolskich tramwajów wiszący na szynie, która niegdyś prowadziła do tego budynku, czy

raczej wysadzana kamieniami ozdoba, w którą się zamienił. Ten tramwaj ponownie się poruszał z gładką celowością, choć Marion nie miała pojęcia dokąd, jak i dlaczego.

Znała już te odmienione halle. Za każdą wizytą były inne. Światło, kontury, kolory poruszały się nieustannie, tak jak tutejsi mieszkańcy - teraz, gdy znalazła się w środku, Dom Wybrańców naprawdę przypominał bijące serce, ona zaś szła jego imponującymi tętnicami. Widziała sylwetki, kształtne lub zniekształcone, choć było tu tyle szkła albo innych przesłon, że nie miała pewności. Raz potworna postać, którą dostrzegła czającą się naprzeciwko, zawahała się tak samo jak ona, po czym zauważyła, że to jej własne, zdeformowane odbicie. Minawszy wzniesienia i zakręty, jak w lunaparku, potem groty, całkiem jak naturalne, w których czasem niespodziewanie mignęły ślady dawnych izb cechowych - popiersia, portrety, wózek portiera - nagle znalazła się w pomieszczeniu, które ewidentnie niegdyś pełniło w Domu Kupców-Pionierów rolę sali konferencyjnej. Wspomniała te wyłożone boazerią ściany i bezradną frustrację, gdy ludzie po drugiej stronie stołu beznamyślnie odrzucali jej plany. Za oknem widziała prawie ten sam stary Bristol, choć główna wieża katedry trochę się przekrzywiła. Długi stół był zakurzony i pusty, deski zawilgły i spaczyły się, a parkiet luźno klapał pod nogami. Sądziła, że Klade wybrał to miejsce trochę dla otuchy, trochę dla wspomnień, trochę żeby przypomnieć o zmianie ról, możliwe też, że dla żartu i bez wątplenia z wielu innych powodów. Motywy Wybrańców nigdy nie pokrywają się z myślami zwykłych ludzi.

– Piękny ranek. Wiosna tutaj jest naprawdę...

...jest naprawdę...

Marion urwała. Za każdym razem, przychodząc tu, powtarzała sobie, że już przywykła do syna mówiącego swym prawie niezmiennym głosem i jednocześnie rozbrzmiewającego bezpośrednio w głowie. Było to zarazem obce i znajome – zawsze chwilę trzeba się było przyzwyczajać.

— To śmieszne — powiedziała - że pory roku zmieniają się co roku tak samo, a jednak nadal nas zaskakują.

Tacy już jesteście.

– Tak. - Uśmiechnęła się, rozluźniła nieco. – Jesteście. Wszyscy.

Jej oczy przyzwyczyły się do przyćmionego światła. Klade wciąż trochę przypominał tamtego chłopaka. To właśnie musiało być najtrudniejsze, pomyślała, dla rodzin, które odważnie odwiedzały swych odmienionych krewnych w Einfeld. To oraz świadomość, że wiedzą, co myślisz. Cera

Klade'a, tak ciemna, jak jasna u Silusa, wydawała się trochę wilgotnym od morza kamieniem, a trochę poszarzałą skórą nieufnego chłopca, którego po raz pierwszy spotkała przy ognisku u pobożników. Oczywiście, choć zapadły się, pogłębiły, poszerzyły, i dziś przywodziły na myśl Ralpa.

- A ty co porabiasz?

...porabiasz?

- To i owo - odparła. - Piszę listy.

Dowiadowałaś się, jak się nazywają ci dwaj telegrafści, którzy zginęli...?

- To też. - Ich rodziny posiadały teraz większą część pieniędzy zarobionych przez Marion bez kiwnięcia palcem na niegdys wychodzących w ogromnych nakładach broszurach noszących jej nazwisko. Nie mieli jednak pojęcia, skąd pochodzą te fundusze.

Przez chwilę gawędzili o rodzinie Priceów. Owen, jak zawsze odważny i pozbawiony uprzedzeń, odwiedził Dom Wybrańców w zeszły pracokres, a teraz wypłynął do Hiszpanii. Denise też tu przyszła, choć nie bez marudzenia i wahań. Potem stwierdziła nawet, że jej się tu podoba - kto jak kto, ale ona akurat była przyzwyczajona do wędrowania po cudzych snach i marzeniach. Natomiast mateczka, mieszkająca teraz w małym nadbrzeżnym domeczku w Luttrell, kupionym dla niej przez Marion, raz w życiu była w Bristolu, bardzo dawno - żeby zawieźć Sally na Mogiłki. Z jej zdrowiem mało prawdopodobne, by kiedykolwiek jeszcze wybrała się do miasta.

- A ty?

...ty?

Marion wzruszyła ramionami. Klade powoli, bez zmrużenia oka, kiwnęła skalistą twarzą. Do wielu nowych zalet przebywania z synem można było zaliczyć to, że nigdy nie musiała tłumaczyć mu, co czuje. Zawsze wiedział. A ona, po raz pierwszy w życiu, nie robiła nic - i właśnie o to chodziło. Ale nawet pomyślawszy o tym, poczuła ukłucie winy.

- Może to tylko wiosna.

- Wy, ludzie, jesteście tacy niecierpliwi... *Wystarczy wyjrzeć i popatrzeć na miasto...* Ale dokładnie o tym chciałem z tobą pogadać. W tak krótkim czasie tyle się stało. Cechy cały czas zasypują nas żądaniami, żeby naprawić to czy tamto, grożą albo straszą. Dopiero co wczoraj powiedzieli mi, że tama w Chiton pęka i może zginąć pięć tysięcy ludzi.

- Więc trzeba ich przenieść.

- Tak im powiedziałem. A osuszenie doliny też nie przekracza ludzkich możliwości, ale oni oczywiście chcą wszystko i od razu. Chcą, żeby

działały ich zaklęcia, chcą prądu, jakbyśmy go zabrali i mogli oddać z powrotem. To naturalna siła - jest tu cały czas. Czemu nie potrafią tego zrozumieć. Gdyby naprawdę wiedzieli, jak działają ich własne prądnice, to mogliby je naprawić albo odbudować i mieć prądu ile dusza zapagnie. Nie musieliby przychodzić do Wybrańców po prośbie...

– Ale oni wciąż będą przychodzić, i do ciebie, Klade, i do każdego z was.

– Dlatego właśnie chciałem z tobą porozmawiać. Powiem szczerze. Potrzebuję pomocy, pośrednika. Kogoś, kto umie postępować z cechami, kogo szanują i umieją z nim rozmawiać, a słowa nie więzną im w gardle. Kogoś, kto na miarę człowieka rozumie, jak to jest po obu stronach.

Czyli mnie?

– No a kogo? Wiem, wiem, Marion Price rzekomo umarła. Ale może powstać z martwych. To jeszcze przyda ci... świętości. Ludzie będą cię słuchać, jak nigdy nie posłuchają kogoś takiego jak ja.

Nie jestem Marion.

A kim?

Zbyt łatwo byłoby rzucić jakąś wymijającą odpowiedź, którą Klade zrozumiałaby o wiele lepiej niż ona. Mimo to odparła szczerze:

– Tego się chyba nigdy nie dowiem.

W jej głowie rozbrzmiała potężna fala śmiechu.

- Masz rację. *Nie sposób się nie zgodzić*... Może zresztą ta praca nie jest dla ciebie. Może należy dać szansę komuś innemu.

Jaka szkoda, że nie ma już Pani Chrzęszcz...

Ani pożeracza...

Ani psotworu...

Ani Idy, która była tak dla mnie droga...

- Kocham cię, Klade. Wiesz, prawda?

Poruszył się nieznacznie. Dotknęły jej ogromne, zmineralizowane dłonie, choć nadal były lekkie jak duch. Jej Zuch naprawdę urósł. *Ja też cię kocham.*

– To zdanie nigdy mi się nie znudzi.

- Mnie też.

W sali unosił się wilgotny, domowy zapach. Kojarzył się Marion trochę ze starą chatką w Cłyst, a trochę z ostatnimi dniami Invercombe.

– A więc... co planujesz teraz?

Teraz na Klade'a przyszła kolej zawahać się.

— Najpierw chyba musimy umocnić swoją pozycję. Nie cierpię tych wojskowych terminów, ale obawiam się, że w świecie ludzi zawsze będą odpowiednie. Ludzie nigdy nam nie zaufają, dla nich zawsze będziemy trochę złymi duchami, a trochę niechcianą odpowiedzią na modlitwę. Przecież nie my zniszczyliśmy stare cechy. Same to zrobiły, dzieląc się terytorialnie podczas wojny domowej. A odkąd ludzie się nauczyli, że ważniejsze od cechu są miasto i rodzina, nic nie mogło być takie samo. Ale przynajmniej teraz my, Wybrani, możemy powiedzieć, co jest nasze. Trochę postudiowałem. W zamknięciu poprzedniego Wieku też odegrało kluczową rolę jedno z nas - nazywała się Anna Winters. To ona ufundowała instytucję znaną później jako Einfell, gdzie się wychowałem. Mogła jednak zrobić o wiele więcej. Momentami w jej rękach znajdowała się równowaga sił, a ona zdecydowała się ją wypuścić. Nie chciała jednak pogodzić się z tym, kim była —a w ten sposób chyba nigdy nie osiągnie się szczęścia. Ja chociaż wybrałem świadomie i cieszę się z tego. Einfell nigdy nie był starą wioską ani krainą z bajki o skrzatach. Pani Chrząszcz miała rację. Miejsce, którego szukaliśmy, leżało jeszcze dalej niż Invercombe, a jego też przecież już nie ma...

— Niektórzy ten gmach nazywają „Einfell”.

— To tylko dom, jakich wiele. Prawda zawsze jest gdzie indziej. A prawdziwe Einfell to miejsce, do którego nie można po prostu wejść. *A przynajmniej w ciebie, jakie masz na sobie, mam. Jest tam...*

Wskazał gestem, Marion dostrzegła lustro wiszące w najciemniejszym, najodleglejszym zakątku tej długiej sali. Przez chwilę było ciemne, potem pojaśniało, uśmiechnęło się do nich odbicie pięknej młodej kobiety, właściwie jeszcze dziewczyny czeszącej lśniącej hebanowe włosy.

— Jak tam jest?

Nie wiem. Jeszcze nie do końca umiem zrobić ten krok.

Wypuściwszy zawartą w nim istotę z powrotem w niewyobrażalne macierze maszyn obliczeniowych, lustro poczerniało. Na dworze też coś pociemniało, choć słabiej —Marion zobaczyła, że nad Bristol nadciągają pchane orzeźwiający powiewem chmury.

— Muszę iść. Przepraszam...

Nie przepraszaj. Za nic.

Uśmiechnęła się.

- No to nie przepraszam.

— A dokąd idziesz?

— Jeszcze nie jestem pewna. Ale już prawie.

- To dobrze. Odezwiesz się?

Dłoń Klade'a, cała ciężka ręka, wyciągnęła się ku niej. Chwyliła ją, uniosła do twarzy, pogładziła, pocałowała, czując smak omywanej przy-
pływem skały i soli.

Oczywiście.

Wtem sen zafalował i znalazła się na zewnątrz; szybkim krokiem ruszyła do swego pensjonatu. Stare silosy i cukrownie wciąż były częściowo martwe, choć z ich ruin zaczynały wyrastać nowe pędy mniejszych budyneczków, destylarni, zacierowni. Ceny niewielkich partii cukru zaczynających przybywać z Wysp Szczęśliwych wciąż były horrendalne, zwłaszcza że ukochany przez Wschód słodkogórz okazał się niemożliwy do uprawy bez ciągłego pielęgnowania zakłęciami. Niektórzy twierdzili, że popyt nań nigdy nie powróci - gdyż ludzie przez lata żyli pozbawieni choćby odrobiny słodczy - Marion jednak podejrzewała, że wróci, myśląc chociażby o Denise.

Sunshine Lodge wciąż pachniało i wyglądało prawie tak samo. W pokoju 12A spakowała swój skromny dobytek do starej płóciennej torby i złożyła podpis w księdze, którą podsunęła jej kobieta w siatce na włosach. „M. Price”, z rozmazanym M, które mogło być W albo N albo U — a może i S. Marion bowiem nie żyła, a Price to pospolite nazwisko. Kto by zresztą myślał jeszcze o przeszłości? Idąc w stronę portu, postanowiła, że odtąd jej życie będzie stanowiło ku pamięci zmarłej, pogodnej siostry lepszy pomnik niż cokolwiek, co potrafi wykuć kamieniarz. Sally bowiem kochała i śmiała się bez namysłu i bezinteresownie - starzejąca się, gasnąca Marion zdecydowała, że spróbuje żyć tak samo. Będzie spać, gdy zaśnie, wstawać, gdy się zbudzi, płakać, gdy zechce jej się płakać. Nauczy się też śmiać. Na tę sama myśl przyśpieszyła kroku, uśmiechnęła się do nieba, głośno zaśmiała i omal nie przewróciła o zwój lin.

- No proszę... przecież to dziewczyna od Price'ów!

Marion odwróciła się i zobaczyła tęą czarną kobietę siedzącą na ławce razem z dwiema mewami. Włosy miała spięte w całkiem biały kok, rysy jej nabrzmiały, stały się mniej wyraźne, ale wiadomo było, że to Cissy Dunning. Marion usiadła obok, przeganiając protestujące ptaki.

- Dziewczyna od Price'ów — powiedziała. — Pani naprawdę dalej o mnie tak myśli?

Cissy się uśmiechnęła.

- Nie uwierzyłabyś, co o tobie słyszałam. Przy zdrowych zmysłach trzymała mnie tylko myśl, że jesteś nadal taka sama jak tamtego lata w Invercombe.

- Dobrze pani wygląda.

- To znaczy staro. Spokojnie możesz to powiedzieć.

- O mnie też, Cissy...

Zaśmiały się. Przechodnie widzieli, jak dwie kobiety, jedna biała, druga czarna, jedna wkraczająca w wiek średni, a druga go opuszczająca, nadrabiają zaległości w plotkach, tak jak wielu innych bristolczyków. Dobrze, że Cissy przeżyła i że jakoś sobie radzi po wyjeździe z Invercombe. Alice Meynell, słowna jak zawsze, znalazła jej pracę w innych domach, potem wtrąciła się wojna i umiejętności Cissy organizowania żywności i noclegu okazały się jeszcze bardziej poszukiwane.

- Przedtem myślałam, że moja praca to zajmowanie się domami. W czasie wojny odkryłam, że zawsze troszczyłam się o ludzi, choć ta nauka trochę mnie kosztowała. Domy upadają... - Wskazała niesamowite iglice Domu Wybrańców. - Nawet te największe...

Powiedziała, że byłaby już na emeryturze, gdyby cech uznał jej staż pracy. A tak musiała pracować nadal. I często wspominała Invercombe. Tak, była tam, czy raczej nad wzburzonym morzem, bo z domu nic nie zostało. Słyszała opowieści marynarzy i nadbrzeżnego ludku, i śmiała się z ich fantazji. Invercombe nigdy nie było żadnym pałacem dla skrzatów. **Zamieszkiwały** go tylko duchy, które ludzie przywozili we własnych głowach. Nie, tęskniła za prawdziwym domem, chłodem korytarzy, blaskiem okien, łagodnym ciepłem ogrodów i śmiechem uwijających się pokojówek. I za wiatrosternikiem Ayresem, i za życiem, które planowali wieść razem, choć taki uparty człowiek jak on pewnie przy pierwszym pomruku wojny zaciągnąłby się na jakąś zachodnią fregatę. Najprawdopodobniej tak jak teraz siedziałyby na tej samej ławce, wciąż bez porządnej emerytury, oplakując go i zastanawiając się, jak długo jeszcze da radę się schylać z chorym biodrem.

- A **nie** myślała pani, żeby wrócić na Wyspy Szczęśliwe?

Cissy zmarszczyła nos.

- **Tam** też wracam w myślach. Często chodzę z Ayresem po białych plażach. Ale słyszę teraz, że na tych wyspach jest taki sam chaos jak tutaj. Owszem, zniesli niewolnictwo, jak to lubią na Wschodzie nazywać. Ale pracy jest mniej, i mniej pieniędzy, czyli żyje się ciężiej. Mówi się tam

o Anglii takim tonem, jak my kiedyś o nich. Widzisz, płyną tam statki – przywożą nie tylko trzcinę cukrową. Do Anglii będzie przyjeżdżać coraz więcej ludzi o moim kolorze skóry i oni nie zadowolą się tylko zamiataaniem ulic, żeby sprawdzić, czy pod spodem nie jest schowane złoto.

- To dobrze dla kraju.

- Ha! Powiedz to przeciętnemu cechowemu. Zabieramy im pracę - już to słyszałam. No i jeszcze jest ta nowa, kretyńska teoria – czytałaś gazety, to wiesz, o co chodzi - że nie jesteśmy stworzeniami Bożymi, ale pochodzimy od małp, a w życiu wygrywa ten, kto najmocniej kopie. Są takie spotkania, na których powiedzą ci, że my, Afrykańcy, jesteśmy o wiele bliższymi kuzynami małp niż biali.

- Ale to nie...

- Pewnie, że tak! - obstawała Cissy, z uporem lub celowo nie rozumiawszy słów sprzeciwu. - To prawda. Wszędzie wiszą te plakaty. Zobacz! - Kiwnęła ręką ku ścianie tuż za nimi. - Nawet tutaj jest.

Zamilkły. W końcu długo się nie widziały.

- No cóż... - Cissy z mozołem wstała na nogi. - Od gadki robota sama się nie wykona.

Marion, pomagając jej, ujęła ją za dłonie, Cissy zachwiała się na moment, łapiąc oddech.

- Dobra byłaby z ciebie ochmistrzyni, naprawdę. Takie marnotrawstwo... - Zaśmiała się, pokiwała głową, odwróciła się i pokuśtykała, kręcąc obolałymi biodrami.

Było wczesne popołudnie, w dokach trwał ruch, w pośpiechu ładowano statki, by zdążyły wypłynąć, korzystając z dobrego wiatru i tali. Łopotały żagle, wiły się liny, przetaczały ładunki, ale i tak wydawało się dziwnie cicho bez akompaniamentu dymu i łoskotu niezliczonych maszyn. Statki, które zuchwale zrezygnowały z żagli, cięto teraz na blachę w stocznicach rozbiórkowych, choć bywały także, zauważyła Marion, idąc dalej, głośnie i przeciekające łąjby poruszane maszynami całkowicie obywatelkami się bez pomocy eteru. Klade miał rację – im mniej pomogą Wybrańcy, tym lepiej dla ludzkości.

Handel podupadł. Oferty pracy, niegdyś wypisywane kredą na tablicach obok trapów, teraz trafiały się z rzadka. Trudno też było o koje dla pasażerów, bo wielkie liniowce, które doczłapały jakoś do portów, na ogół już z nich nie wypływały, a ludzie tak samo jak niegdyś palili się do wyjazdu z Anglii, wbrew temu, co twierdziła Cissy. Obok ramp i pochylni, gdzie wciąż dominował dawny zapach żęzy i melasy, kiwało się wiele

niechcianych jednostek, często w strasznym stanie, a niektóre, w próżnej nadziei, miały na burtach wymalowane napisy NA SPRZEDAŻ. Jej uwagę zwrócił jeden ze stateczków. Był nieduży, omywany fałą kreślił czubkiem pojedynczego, wysokiego masztu niecierpliwe ósemki.

Znalazła bezrobotnego żeglarza, podającego się za jego właściciela; grał w karty w pobliskiej szopie. Targi były krótkie. Marion wiedziała, że cena nie jest niska, zastanawiała się nawet, czy aby nie współuczestniczy w kradzieży, chociaż znała dość marynarskich wyrażań, żeby postawić starszego człowieka na baczność. Dobili targu, plunęli w dłonie i podali je sobie. Wróciwszy na łódź z kupioną wodą i osprzętem, Marion zastała go sprawdzającego liny i pordzewiałe okucia, mrużące zakłęcia, które już nie działały. Mała łajba wyglądała jednak na zdatną do żeglugi, obydwójce zgodzili się, że głównym ciężarem jest dla niej wiatroster, który, popstrzony kwasem, rdzą i lodem maszynowym, stał bezużytecznie pośrodku pokładu. Popracowawszy kluczem, z wysiłkiem, z trzaskiem wsporników, uwolnili go i poturlali po deskach. Stoczył się za burtę i z potężnym chlupnięciem zniknął pod wodą.

Marion odpłynęła po południu, wraz z paroma zapóźnionymi statkami, korzystając z ostatniej fali odpływu. Brzękały dzwony. Pokrzykiwano do siebie nawzajem. Potem przez otwartą śluzę, mocniejszy prąd w estuarium Avonmouth. Wiatr powiał silniej. Bristol się skurczył. Czują, jak kil szuka kierunku, czują, co chce zrobić ster. Tutaj Severn zlewała się z pływami w kanale, zmieniając zapach cętkowanej wody. Morze to czy rzeka? Lecz ta łódź była o wiele dzielniejsza niż tamta, którą przypląnęła kiedyś z Bewdley, pozwoliła jej dziobowi skręcać na południowy zachód w stronę poszerzającego się ujścia rzeki. Po jednej stronie leżała Walia, miasteczka i góry, w których dotąd nie była, po drugiej falowały zielone wzgórza Zachodu omiotane błyskami słońca. Most na Severn, nietknięty, nadal wisiał nad gęstniejącymi prądami, choć w nocy już nie świecił. Podobno latem miał zostać otwarty dla ruchu, ale ludzie musieli jeszcze się nauczyć, jak wchodzić na belki i je malować, bo niedomagający Cech Zwierzmistrzów nie potrafił już stworzyć gargulców. Jak wiele podobnych konstrukcji, most zbudowany był solidniej, niż przyznawali inżynierowie. To zabawne, pomyślała Marion, że teraz wszystko opiera się na niezłomnych zasadach fizyki, a życie to i tak kwestia wiary.

Minąwszy most, wciąż jeszcze musiała nawigować między licznymi znakami na brzegu i bojami, ale niewątpliwie była już na morzu. Zaczęła halsować, dziób podskoczył i zarył w fale, bom przeleciał na drugą

stronę. Po sztormach ostatniej zimy na falach unosiło się mnóstwo śmiecia, a ogromne brunatne wyspy wodorostu, rozkładając się, lśniły dziwną fosforescencją niemającą nic wspólnego z magią. Marion czuła węchem i instynktem, że będzie to pomyślny rok dla nadbrzeżnego ludku.

Teraz, gdy fale się wzburzyły, linia brzegowa po lewej stronie powinna wydać się znajoma. Wyglądała całkiem obco. Zatoczka Clarence Cove poszerzyła się, a po cyplu Durnock Head pozostała tylko biała kipiela fal. Szarpnąwszy rumpel, wyostrzywszy, Marion podpłynęła rak blisko, jak tylko mogła. Potężne, świeże urwiska były ostrzejsze i bardziej nagie, ale poza tym w miejscu, gdzie kiedyś stało Invercombe, nie było na co patrzeć - nawet odleglejsze tereny posiadłości obsunęły się i zmieniły. I tak jednak, wypatrując przeszkód nad burtą tańczącej na falach łodzi, przez chwilę była pewna, że widzi tam ścieżki wydeptane pośród niepewnego morskiego życia, gestykulujących ludzi, złoty blask wiatrosteru i rozbłyskujące wysokie okna domu, który tak często odwiedzała w snach. Lecz wokół zatrzepotały i rozwrzeszczały się ptaki, karmiące swe młode obfitym łupem - tych niebezpiecznych wód nie było na żadnych mapach, nie znaczyły ich żadne boje. Przekreśliła ster, poluzowała szot i skierowała się z powrotem na głębsze wody. Na południe i na zachód.